

Andrzej Priadka

Lemkowska dyseja



Andrzej Priadka

Łemkowska odyseja

„Człowiek, który traci pamięć, traci życie”

Wyrażam wdzięczność swoim siostrom za
przybliżenie wielu faktów opisanych w książce

Koszalin, 2005 roku

Na okładce ruiny cerkwi p.w. Orędownictwa
Przeczystej Bogurodzicy w Płonnej.
Zdjęcie wykonane w 2004 r.

Zamiast wstępu

Bywają chwile, w których mocniej, niż kiedykolwiek, odczuwa się powszechne przeświadczenie, że wszystko przemija. *Panta rei* – rzekł grecki filozof. Wszystko płynie... Nad stwierdzeniem tym należałoby jednak chwilę zastanowić się. To, co przemija dla jednych, oznacza początek i rozwój dla innych. Świat ciągle znajduje się na swojej drodze ewolucji i nie leży w naszych możliwościach dokonanie oceny, jakie my miejsce w niej zajmujemy, a nawet, na jakim punkcie tej, wiecznie otwartej i niekończącej się drogi znajduje się nasz odcinek życiowy. Jest jednak pewne, że odgrywamy w tym rozwoju swoją, naznaczoną nam rolę. Materialny ślad naszego bytu w znanym nam wymiarze wszechświata z biegiem lat rozmywa się, zaciera i niknie. Tylko nieprzeciętne dokonania ludzkie – i to niekoniecznie te pozytywne – pozostają w zapisach dziejów tego świata.

Każdy z żyjących tu i teraz z pewnością pragnie, aby pamięć o nim przetrwała jak najdłużej, aby pozostały po nim jego dokonania. Jednak różna jest nasza rola. Jedni wywierają znaczący i łatwo zauważalny wpływ na otoczenie poprzez wielkie dokonania materialne lub przyczynę do rozwoju kultury społeczeństw, a posłannictwo innych wyraża się jakby w służeniu tym pierwszemu, w zabezpieczeniu ich materialnego bytu i – po spełnieniu swojego zadania – odchodzą w niepamięć. Wydawałoby się, że są również i tacy, którym nieznaczono żadnej roli w ich doczesnym życiu. Ale to tylko nasze ułomne wyobrażenia. Jednostka ludzka jest zbyt złożona i mało prawdopodobne jest, aby Stwórca mógł i chciał pozwalać sobie na taką rozrzutność. Może to tylko nasze ograniczone możliwości obserwacji skłaniają nas do takich ocen.

Wszyscy w czasie swojej doczesnej wędrówki otrzymują od poprzedników liczne informacje o istniejącym świecie, uczą się wielu umiejętności, rozwijają swoją osobowość, a potem – w miarę danych im możliwości – przykładają swoją cegielkę do niekończącej się opowieści. I z biegiem czasu dokonania nasze wtapiają się w ogół, rozmywają się w dziejach ludzkości i historii świata (w stosunku do nielicznych), czy też w sagach rodzinnych, albo w odniesieniu do terenów, w których żyli. Ślad po nas mógłby być jednak znaczniejszy, gdyby aspiracje nasze były wyższe i lepiej wykorzystywalibyśmy dane nam możliwości, ale też i wtedy, gdybyśmy sami, lub osoby nam współczesne, chcieli zadbać o to, aby przekazać innym swoje spostrzeżenia, wiadomości lub przemyślenia o otaczającym go świecie.

Człowiek tak długo żyje, jak długo pozostaje pamięć o nim, jak długo wiadomo, że istniał i czegośkolwiek dokonał. I nie jest istotne jak doskonała będzie forma, w jakiej przekazuje się swoje spostrzeżenia. Najważniejszym jest, aby zebrać swoje myśli, pozostawić ślad po sobie, po najbliższych z rodziny i otoczenia. Musi więc zachować się znak, że był, czuł, obser-

wowaleś, myślałeś, miałeś własne spostrzeżenia, coś niecoś stworzyłeś i wziąłeś udział w dziejach tego świata. Potem będą inni, a wśród nich i tacy, którzy potrafią wychwycić sentencję tego, co chciało się powiedzieć i jak postrzegało się swoje otoczenie. Może to będzie właśnie ta forma naszego udziału w tej niekończącej się opowieści...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tu się zaczęło

Jeżeli był na świecie raj... Poeci w ten sposób często nawiązują do cudownego charakteru jakiejś krainy. Jest zapewne wiele miejsc, które zasługują na takie porównania. Zawsze jednak bardziej skłonni do takich ocen są ludzie wtedy, kiedy chcą mówić o swoich rodzinnych ziemiach, a już szczególnie, kiedy kieruje nimi nostalgia za tym, co utracili. Dlatego największy z polskich wieszczów, wspominając swoją rodzinną Litwę, napisał: „...widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie”.

A więc, jeżeli był na świecie raj, to wcale nie jest wykluczone, że mógł on być właśnie tu – w krainie rozpościerającej się pośród obniżonych przez dzieje geologiczne pagórków Bieszczad i Beskidu Niskiego, o której uczeni mówią, że jest to część gigantycznego pasma górskiego, ciągnącego się w minionych erach od obecnych Pirenejów i Alp aż po szczyty Himalajów.

Tu jednak kiedyś nikt nie zastanawiał się nad pradziejami globu ziemskiego, nikt nie myślał, że oblicze ziemskie zmienia się na przestrzeni milionów lat, bowiem życie jest takie krótkie, a problemów nie trzeba szukać w dziejach ludzkości. One są znacznie bliżej. Umieszczone są pomiędzy najbliższymi wzniesieniami, a obejmują członków rodziny, dotyczą sąsiadów, znajomych. Problemy czasem bywają i większe. Aby je dostrzec trzeba wyjść poza własne opłotki. Tam, gdzieś daleko, są wysokie urzędy, są ludzie kształceni, którzy wiedzą znacznie więcej i oni mają wpływ na to, co można zmienić. Mądrzy ludzie znają się na wszystkim, to pewnie i o świecie wiedzą prawie wszystko. Są też i inne kraje, odległe i przedziwne. Do niektórych to trzeba nawet wędrować przez morze. A tu – własne kłopoty. Trzeba wytrwać, korzystając z płodów tej ziemi, na której Pan Bóg pozwolił żyć. Na ziemi trzeba ciężko pracować. Ona wiele wymaga: trudu, dbałości o nią, umiejętności. Ale i kochać ją trzeba. Jest za co ją kochać. Jest taka piękna, wszystkich wyżywi i odzienie wywodzi się z jej darów. Jej pagórki, zielone doliny, lasy rozbrzmiewające kwileniem naziemnych stworzonek i trelami ptaków, ruczaje płynące przez sioła i miejsciny, zieleń i kwiaty, puszysty śnieg i deszcze rześiste. Majowa woń i rozbrzmiewające chrząszcze dają ukojenie dla rozkołatanej duszy i strapionego ciała. Ziemia ta potem też i przytuli na zawsze...

Lud tu żył pracowity, pobożny i przestrzegający tradycji przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Wtedy nie było ważne pochodzenie tych ludzi. Nikogo to nie obchodziło. Kłopoty te powstaną dopiero znacznie później, gdy to po kolejnych zakrętach historii na nowo odżyje problem podziału ziem pomiędzy sąsiadujące kraje. Na razie jednak panującym był tu C.K. Cesarz Austro-Węgier. A cesarzowi podlegało przecież wiele narodów i

mówiły one różnymi językami. Budziło to nieraz duże emocje, ale dopiero tam, gdzie chodziło o większe sprawy – w urzędach, gdzie nieraz trzeba było upominać się o swoje prawa, w wojsku, które nie wiadomo czyich interesów miało bronić, a niekiedy w szkołach, gdzie ustalano w jakim języku i czego dzieci mają się uczyć – powstawały z tego większe problemy.

Szkół było mało, bo naród uczony za dużo myśli i czasem zbyt wiele spraw chce w swoich głowach roztrząsać. Tak więc, urzędy zbyt nie dbały o zakładanie szkół na wsiach. Ale bywało również, że przychodzili urzędnicy w sprawie tworzenia przybytków oświaty, a ludzie traktowali te propozycje z wielkimi oporami. Bo zresztą kogo było uczyć w wiejskich szkołach? Co prawda, dzieci nie brakowało – ich najłatwiej można było dorobić się. Ale dzieci przecież były potrzebne w domu przy różnych pracach: do pasienia krów, pilnowania zagrody, sprzątania obejścia, przy poganianiu wołów, ale też do kopania kartofli, wiązania i zwożenia zboża, do pracy przy sianie. Dzieci nie były przeznaczone do przesiadywania w klasach szkolnych. Liczenia i odmawiania pacierza nauczyć przecież mogła babusia z dziadkiem. Oni to właśnie i bajki przecież znali, a czasem nawet o starych dziejach rozpowiadali, wierszyka mogli też nauczyć...

Tak więc, nie było potrzeby i czasu roztrząsać, co to za lud mieszka we wioskach rozpościerających się w malowniczych dolinach pomiędzy wzgórzami Bieszczad i Beskidu Niskiego. Tacy sami przecież żyli w krainie rozciągającej się od Pienin po Karpaty Wschodnie. Mówili z odmiennymi rzeczami w poszczególnych wioskach, gminach i powiatach. W Boga wierzyli i nie trzeba było więc wiedzieć, kim się jest naprawdę. Wszyscy byli tutejsi, a rozmawiali po prostu po swojemu. Byli wśród nich tacy, co nazywali się Łemkami, Bojkami lub Hucułami. Niektórzy twierdzili, iż są Rusnakami. Czasem jedni o drugich mówili, że są góralami, a tamci o pierwszych, że podolakami. Wszyscy chodzili do cerkwi. Tam odprawiano nabożeństwa w języku starocerkiewnosłowiańskim, a kazań wysłuchiowano i modlono się po ukraińsku – podobnie jak mówiono na „Wielkiej Ukrainie”. *Wełyka Ukrajina* znajdowała się daleko. Mało kto ją widział, ale wszyscy wiedzieli, że tam ludzie przechodzili wiele cierpień i zniewolenia. Najładniej pisał o tym Taras Szewczenko. Wiele znało jego mądre dumki i smutne wiersze o sierotach, wdowach i chłopach-niewolnikach. Gdy wędrowcy wygłaszali tę poezję, to aż serce się krajało. Cierpienia najczęściej pochodziły od tych, co stali nad nimi – od szlachty, która w większości była polska, od obcych najeźdźców, jakimi byli Rosjanie, Turcy i Tatarzy i od własnych panów, którzy nie zawsze myśleli o swoim narodzie. Z tarasowej poezji wynikało też wiele nauk i przykazań, jak na przykład ta, że własną mowę należy szanować i pielęgnować:

...Mowo moja ridna, chto t’ja zabuwaje,

*Cej w hrud'jach ne serce, ale kamin maje.*¹

Gdzieś tam były właśnie, spory i wojny. Ale tu było spokojnie, choć pracować trzeba było ciężko. Pracować trzeba było dla siebie i na utrzymanie rodziny, a jeszcze dla pana we wsi i na podatki, a i księdza z rodziną trzeba było utrzymać. Ziemia urodzajna, ale dużo wymagała wysiłku. Narzędzia były proste, a na konia stać było tylko bogatszych. Większość orała krowami i wołami. Pole równe mieli tylko nieliczni – w pobliżu strumyków, które przepływały przez każdą wioskę. Większość to musiała wspinać się po stromych stokach i pracować ciężko, żeby wszystko było na czas. Rodziny były liczne, a ziemi z każdym pokoleniem coraz to mniej do podziału. Wioski przeważnie były mocno zaludnione, rozłożone w dolinach pomiędzy pasmami pagórków. Życie było surowe, wymagające. Ale bywało też i radośnie. Ciasne zagrody, pola w wąskich skrawkach, niemal ocierających się o siebie, wymagały życia w przyjaźni i we wzajemnym poszanowaniu. Ludzie mieli czas na pracę na roli, na modlitwę i życie towarzyskie. Spotykali się na weselach, chrzcinach i na pogrzebach. A w długie jesienne i zimowe wieczory wykonywało się roboty związane z wytwarzaniem i naprawą urządzeń domowych, narzędzi, uprzęży dla koni i wołów, wyrabianiem tkanin, pierzyn, naprawą wozów i sań. Wieczory były długie, więc spotykano się na tańcach i wspólnych pogawędkach. Spotkania te, zwane *weczirkami*, połączone były z darcie pierza, tkaniem płócien, haftowaniem i szyciem bieliźny. W czasie tym śpiewano piosenki, opowiadano o dalekich krajach, o zdarzeniach przedziwnych. Młodzież znajdowała czas na zaloty i wspólne zabawy. Wszystko to prowadziło do wielkiej zażyłości i wzajemnego poszanowania. Spory i kłótnie też bywały. To wszystko jednak było swoje, takie własne i nie dałoby się zamienić na nic innego w świecie.

* * *

Jadąc szosą prowadzącą z Sanoka na zachód, w kierunku Nowego Sącza, po przejechaniu czterech kilometrów, we wsi Dąbrówka możemy skręcić w lewo i udać się wąską drogą asfaltową ku południowej granicy Rzeczypospolitej. Po minięciu Sanoczka, dojeżdżając do wsi Markowce, wступujemy w malowniczą krainę łagodnych wzgórz i wzniesień poprzecinanych licznymi potokami, ozdobionych lasami, zielonymi polami i kwitnącymi łąkami. Jest to przejście pomiędzy pasmami gór Słonnych, Bieszczad i Beskidu Niskiego. Znajdujemy się po wschodniej stronie wzniesień Bukowica i Kiczera Długa. Na wschód od tego miejsca zaczyna się pasmo Bieszczad. Mijamy dalej Pobiedno i Wolice. Następnie napotykamy niewielkie miasteczko Bukowsko, w którym najciekawszym obiektem jest szesnastowieczny kościół rzymskokatolicki z przepięknymi freskami i figurkami.

¹ Mowo moja rodzima, kto cię zapomina, / ten w piersi nie serce, ale kamień nosi (ukr.)

Udając się dalej na południe szosą biegnącą wzdłuż doliny rzeczki Silska, zstępujemy na nieco opadający w dół i bardziej wyrównany teren. Za Wolą Piotrową teren przez jakiś czas podnosi się wzwyż, po czym wstępujemy na płaską przestrzeń. Po prawej stronie warto na chwilę zatrzymać się przy ładnej, ogrodzonej kapliczce z figurką Matki Boskiej wewnątrz. Od zarania na miejsce to mówiono *Ranciowa kapłyczka*¹.



„Ranciowa” kapliczka. Zdjęcie wykonane w 2004 r.

Następnie miniemy rzeczkę Goryłka i zbliżymy się do wsi Karlików. Po lewej stronie dalej rozciągają się pofalowane pola i łąki, a po prawej widzimy wysoki stok. Gdyby tak dołożyć trochę wysiłku i wspiąć się po tym stoku wyżej o 250 metrów, to doszlibyśmy na szczyt zwany Tokarnią. Gdybyśmy jednak jechali dalej naszą szosą w kierunku

Przełęczy Łupkowskiej, minęlibyśmy Płonę, Szczawne, Rzepedź, Turzańsk, Komańczę i Radoszyce. Od Sanoka do miejsca naszego zatrzymania w Karlikowie moglibyśmy dojechać również, kierując się od razu na południe poprzez Zahutyń, miasteczko Zagórz, Poraż, Morochów, Mokre, Wysoczany, Kozuszne i Płonę.

My jednak w Karlikowie, który jeszcze dwukrotnie odegra w tej opowieści ważną rolę, zatrzymamy się na chwilę, a potem skierujemy się z szosy na prawo, czyli bardziej na południowy zachód i – jakby w dolinie wielkiego wąwozu, pomiędzy wzgórzami Tokarni i Rzepedki – udamy się łagodnie pod górę, wzdłuż potoku Przybyszówka, a po minięciu około półtora kilometra znajdziemy się na terenie, gdzie ongiś znajdowała się wieś Przybyszów. Gdybyśmy tak szli dalej pod górę wzdłuż doliny Przybyszówki i pokonali wzniesienie Kamień, przed nami rozpostarłoby się pasmo kolejnego obniżenia, na którym zobaczylibyśmy ładną i gospodarną wioskę Wisłok Górny. My jednak w tym momencie nie pójdziemy na południe i pozostaniemy po północnej stronie tego wzniesienia.

Opowieść nasza rozpoczyna się właśnie tu, w P r z y b y s z o w i e.

¹ Kapliczka Rancia (prawdopodobnie od nazwiska jej założyciela; ukr.)

Minęła już połowa dziewiętnastego wieku. Szosy asfaltowej, którą jechaliliśmy, jeszcze nie ma. Są natomiast często uczęszczane i nieźle utrzymane bite drogi i dukty leśne. W otaczających nas terenach przeważają uprawiane w mozole pola, rozpościerające się wzdłuż obniżen, z których w każdym płynie rzeczka lub zaczynający się w górskich źródłach strumyk, z kryształicznie czystą i zawsze chłodną wodą. Tylko na bardziej stromych stokach i na górnych częściach wzniesień usadowiły się piękne lasy, w których przeważają jodły i buki. W niższych i bardziej nawodnionych partiach lasów rozproszyły się wierzby, łoży, leszczyny, kaliny i inne rozłożyste krzewy.

Gdybyśmy o to zapytali żyjących tu ludzi, to przytoczone wyżej współczesne nazwy miejscowości i obiektów geograficznych byłyby dla nich dziwnie brzmiące, bowiem oni od zawsze mieszkali we wsi *Prybysziw*. Sąsiedowali natomiast i odwiedzali takie miejsca jak: *Sianoczok, Dubrawa, Beśkid, Pobidno, Wołycia, Bukiwsko, Wola Petrowa, Horilka, Karłykiw, Połonna, Repid', Turyńsk, Radoszyci, Zahirja, Morochiw, Wyslik, Połonka, Prybysziwka* i inne podobnie brzmiące miejscowości, wzgórze, rzeczki i doliny.

Wioskę Przybyszów (*Prybysziw*) z dawien dawna zamieszkiwali ludzie od pokoleń związani z tą ziemią. Jedna z tez historycznych mówi, że jest prawdopodobne, iż lud ten przed setkami lat przywędrował z południowo-wschodniej części Europy i zagospodarował dziewicze tereny. Mówi się też bardziej konkretnie, a mianowicie, że przed wieloma wiekami przywędrowały tu i osiedliły się plemiona wołoskie. Kultury przenikały się, a ojczysty, słowiański język, z powodu podobieństwa, podatny był na wymieszanie z dialektami sąsiadujących narodów ruskiego, polskiego i słowackiego. Jeżeli to prawda, to jednak należy zauważyć dominujący wpływ zarówno kultury, jak i mowy ruskiej, skoro po wiekach była tak silna identyfikacja z narodem ukraińskim. Również i źródeł restrykcji ze strony położonego od północnej strony i często administrującego tymi terenami, państwa polskiego, należy dopatrywać się właśnie w takim powiązaniu miejscowej ludności. Taka też zresztą była – pomijając szczegółowe prowokacje i przypisywane rzekome zagrożenia dla Polski – jedna z przyczyn totalitarnej próby wytracenia tego narodu, podjętej przez ówczesne państwo polskie w połowie dwudziestego stulecia, a powszechnie nazywanej „Akcją Wisła”.

Wioska rozłożyła się w dolinie rzeczki Przybyszówki i dopływających do niej strumyków, a tereny jej ograniczone były stokami schodzącymi ze szczytów Kamienia, Tokarni i Rzepedki. Zabudowania usadowione były przeważnie w pobliżu przepływającej wody, równoległe do której poprowadzone były drogi. Wędrując od strony Karlikowa, po lewej stronie widzimy wysokie wzniesienie na kształt grzbietu. Gdy pójdziemy w stronę tego grzbietu dalej drogą, cały czas wznoszącą się lekko pod górę, dojdziemy do

energicznie płynącego potoku, nazywanego Przybyszówką. Tu właśnie droga skręca nieco bardziej w prawo, a za zakrętem, gdzie do Przybyszówki, od



jej lewej strony, wpada niewielki strumyk górski, pojawia się rozłożyste siedlisko, składające się z kilku niskich budynków. Mieści się tu tartak i młyn napędzany zgaconą wodą.

My idziemy jednak dalej. Mniej więcej po środku wsi widzimy kolejny zbieg wód. Tym razem do naszej Przybyszówki, płynącej od Kamienia, wpadają niemal w jednym miejscu dwa potoki – jeden po lewej stronie, spływający ze stoków Tokarni i drugi, nieco wyżej, po prawej stronie, płynący spod Rzepedki. Przy ujściu pierwszego strumyka znów widzimy bardziej okazałe zabudowanie, składające się z ładnej *chyży*¹ i młyna. Jest to właśnie siedlisko rodziny C h y r, o której przychodzący do tego domu mówili, że idą do Tychani. Młyn był założony niezbyt dawno. Mogło to być w połowie dziewiętnastego wieku. Przed samym zbiegiem trzech potoków, w miejscu gdzie woda stromo spływa ze wzgórza i przez wieki wyłobiła sobie głębokie koryto, wykonana była niewielka zaporą, a na niej zamontowane było koło młyńskie, które poprzez system połączonych ze sobą przegubami żelaznych sztang i drewnianych kół zębatach, wprowadzało w ruch znacznych rozmiarów okrągły kamień. Młyn był głównie na własne potrzeby, ale przychodzili tu również sąsiedzi, kiedy to wystąpiła potrzeba przemienienia większej ilości ziarna. Za usługę zazwyczaj nie płacono pieniędzmi, lecz mielono na tak zwaną miarkę. Dziesiątą część uzyskanej mąki trzeba było zostawić, jako należność, właścicielowi młyna.

Jeżeli przeszlibyśmy po moście, za którym znajduje się kolejna grobla spiętrzająca wodę dla młyna, na prawą stronę Przybyszówki, dojdziemy do okazałego drewnianego budynku, krytego gontem, w którym mieści się cerkiew greckokatolicka pod wezwaniem Świętej Matki Paraskewii. Cerkiew ta miała prostą konstrukcję z podwyższonymi na około pięć metrów ścianami w kształcie prostokąta i dachem czterospadowym. Na dłuższych ścianach, pod sklepieniem umiejscowione były niewielkie okna – po trzy z każdej strony. Na dachu znajdowały się trzy podwójne kopuły. Pierwsze z nich umiejscowione były na wystającej z dachu wieżyczce, drugie w połowie długości budynku, a trzecie nad prezbiterium. Wewnątrz wystrój był prosty, z wyraźnym akcentem stylu bizantyjskiego. Prezbiterium oddzielone było od nawy głównej apsydą, na której umiejscowiony był *ikonostas*², składający się z rzędu ikon i z *carskimi*³ drzwiami po środku. Tam, za tym dostojnym przedzieleniem, odprawiana była liturgia *bohosiłżennia*⁴, a w czasie najważniejszych i niepojętych przez zwykłego człowieka, jej mistycznych momentów, królewskie drzwi zamykały się, podtrzymując tajemniczy charakter misterium, w którym następowało przeistoczenie pańskie. Kapłan modlił się będąc zwrócony w tę samą stronę co ludzie, a odwracał się do wszystkich i wychodził przed ikonostas tylko w czasie udzielania błogosławieństwa, czytania ewangelii i wygłaszania nauk.

¹ Nazwa chaty, używana przez Łemków.

² Przegroda pomiędzy prezbiterium i nawą, przeznaczona do ekspozycji ikon.

³ Królewskimi (ukr.)

⁴ Mszy świętej (ukr.)

Przed samym wejściem do cerkwi wybudowana była niższa od niej, kwadratowa kapliczka z dzwonnica. Rozlegający się stąd odgłos spżowego dzwonu oznajmiał wszystkim o zbliżającym się nabożeństwie, głosił nowinę zmartwychwstania pańskiego w czasie wielkanocnych rezurekcji, zwiastował narodzenie pańskie podczas rozchodzącego się w noc wigilijną śpiewu ...z *namy Boh*¹, ale też żałośnie żegnał zmarłych na ich ostatniej drodze doczesnego świata lub zwoływał ludzi na trwogę w czasie pożaru albo innego nieszczęścia.

Oprócz spełniania swojej podstawowej roli umacniania wiary wśród narodu, cerkiew była ważnym ośrodkiem życia społecznego we wsi. Stanowiła ona miejsce najczęstszych spotkań ludności, gdzie oprócz uczestniczenia w licznych i przepojonych bogatą tradycją nabożeństw, była okazja do spotkania wielu osób, zasłyszania nowych wieści, a nawet do wysłuchania wielu komunikatów i rozporządzeń.

Poniżej cerkwi znajdował się sklep z wyszynkiem, prowadzony przez starego Onufrego Mardaka. Oprócz wykonywanego handlu i wyszynku, umiał on też doradzić jakie zioła są najlepsze na trapiące bolesti, a jak było trzeba, to i list z *Hameryki* przeczytał i zęba wyrwać umiał.

Ludzie zazwyczaj majstrowali sami, a w trudniejszych sprawach, jak podkucie konia, wyklepanie lemiesza do pługa, czy wykucie sztaby ze skoblem do zamykania wrót, udawali się do kowala, który prowadził swoją niewielką kuźnię w starym, małym, drewnianym budyneczku, położonym pod rozłożystym dębem w dolnej części wioski. Bywały również punkty sprzedaży różnych towarów, prowadzone przeważnie przez Żydów.

Oficjalny urząd sprawowany był przez wójta, który funkcję swoją pełnił niby to z wyboru, ale faktycznie bardziej z polecenia ówczesnych władz austriackich. Szkoła natenczas we wsi nie istniała, bowiem nie było pieniędzy na opłacanie nauczyciela, ani na wybudowanie budynku. A ponadto – po co komu mogła być przydatna szkoła? Najważniejsze umiejętności, niezbędne do uprawy ziemi i prowadzenia gospodarstwa, były przekazywane z pokolenia na pokolenie w każdej rodzinie. Nie było potrzeby czytania cegokolwiek. Pismo znali ludzie do tego przeznaczeni – urzędnicy cesarscy, duchowni, pan, czasem wójt, albo ludzie, którzy przywędrowali z dalekiego świata lub powracali z emigracji. A zresztą, kto uczyłby się w takiej szkole? Dzieci miały przypisane swoje, inne obowiązki, związane z prowadzeniem gospodarstwa i utrzymaniem obejścia.

Przybyszów od dawna był wioską zamieszkałą przez ludność kulturowo związaną z ziemiami ukraińskimi, czy też – jak to mawiano w urzędach – przez Rusinów. Oni sami jednak o swoim pochodzeniu mówili niewiele. Po prostu byli swoi, tutejsi, miejscowi. Czasami w rozmowach uważali się za

¹ Z nami Bóg (ukr.)

Łemków, a to za sprawą często używanej w mowie potocznej partykuły „łem”. Żartowano sobie nieraz z takiego dialogu:

– *Łemku, ne hwar „łem”, a dam tobi złotoho.*

– *Łem, szczoby'ste dały...*¹

¹ Łemku, nie powiadaj „łem”, a dam ci złotego. *Łem*, żebyście dali... (z łemkowskiego)

ROZDZIAŁ DRUGI

Andrzej

Sześć zabudowań wyżej, licząc od cerkwi w Przybyszowie, po minięciu zakola rzeczki, pomiędzy prawym jej brzegiem i wiejską drogą, znajdowało się domostwo składające się z chaty mieszkalnej, na przedłużeniu której była część przeznaczona dla inwentarza, a dalej stodoła na siano i zboże. Na podwórku zbudowana była niewielka szopka na drewno, w której znajdowały się również inne niezbędne oprzyrządowania, jak pień do rąbania drewna, *szagi* (stojak na drewniane klocki) i piła do przecinania kłoców oraz *brus* do ostrzenia narzędzi. W pobliżu, pod starą gruszą, na drewnianym pieńku zamocowana była stalowa *babka* do klepania kosy. Całe obejście ogrodzone było drewnianym płotem. Od strony północnej ograniczone było kolejnym strumykiem, spływającym spod szczytu Rzepedki, a od południa przebiegała droga prowadząca na pola.

Dom był drewniany, kryty słomianą strzechą. Ściany wewnątrz były otynkowane, sufity pobielone, a zamiast podłogi posadzka z uklepanej gliny. Wejście do wnętrza było niewysokie. Po minięciu dębowego, grubego progu wchodziło się do rozległej sieni z kamienną posadzką. Tu znajdowało się wiele przedmiotów niezbędnych do codziennego życia, jak również do obsługi inwentarza. Najważniejsze były żarna do mielenia zboża. Składały się one z dwóch leżących na sobie kamieni w kształcie płaskich walców, z których ten wierzchni był ruchomy, z dwoma otworami. Jeden z tych otworów, znajdujący się po środku, służył do wsypywania ziarna w czasie mielenia, a do drugiego, położonego bardziej na zewnątrz, wkładany był drewniany drag, zwisający z sufitu i spełniający rolę korby do obracania kamieniem. Inne przedmioty to *stopica* do tłuczenia jęczmienia na kaszę, maselnica, *zwarka*¹, służąca do wyparzania i ługowania białizny, prasownica, przyrząd do międlenia lnu i wiele innych przedmiotów.

Dalej przechodziło się do dużej izby. W oczy od razu rzucał się okazały piec, składający się z dwóch części: dolnej, służącej do gotowania potraw i górnej, spełniającej wiele ról. W piecu tym wypiekało się chleb, można było włożyć garnek ze strawą dla zachowania jej ciepłoty na późniejszą porę dnia, na wierzchu można było spać lub poleżeć i wygrzać wymęczone kości. Dom nie posiadał komina. W czasie palenia w piecu dym wychodził na izbę i ścielił się pod sufitem. W suficie przeważnie była otwieralna kłapa, przez

¹ Przeznaczoną do prania i wybielania białiznę przesypywano warstwami popiołem z bukowego drewna i zalewano wrzątkiem. Po moczeniu przez kilkadziesiąt godzin z popiołu wytwarzał się ług (powstawanie ługu badano pozostawionymi tam na próbkę żdźbłami słomy), który następnie wybijano drewnianymi łopatkami, tzw. pralnikami, na kamieniach przy potoku.

którą dym przedostawał się do części strychowej. W porze letniej nie było to mocno dokuczliwe. Zawsze można było przecież uchylić drzwi, aby wpuścić trochę czystego powietrza. Zimą, natomiast, takie wietrzenie było wielką udręką, ponieważ wiązało się zawsze z mocnym ochłodzeniem *chyży*. Innym ważnym obiektem w tej izbie był duży, rodzinny stół z okalającymi go ławami, które jednocześnie służyły do spania. W kącie stała drewniana *lada*¹, przeznaczona na składowanie bielizny i świątecznych ubrań. Nad piecem zamocowane były półki z wieszakami, na których wisiały przybory do przygotowywania i spożywania potraw. Ściany izby przyozdobione były licznymi ikonami, malowanymi najczęściej na wygładzonych deskach lub na płótnach, oprawionych w ramy ze szkłem. Z pierwszej izby przechodziło się do alkierza i do komory, przeznaczonej na przechowywanie zapasów żywności.

Rodzina składała się z czterech osób – dwóch dorosłych córek, starego ojca i znacznie młodszej od niego matki. Ludzie odwiedzający ten dom od dawien, dawna mówili, że idą do G u ł y c z a. I mało kto już pamiętał, że Gułycz to tylko przydomek, dotyczący bardziej siedliska, niż rodziny tu zamieszkującej, a prawdziwe ich nazwisko to Paszkiewicz.

Życie było ciężkie. Minęło zaledwie dziesięć lat od czasu, gdy w Galicji uwłaszczono chłopów. Tu jednak pana już dawno nie było, a ziemia zawsze, jak zwykło się mówić, należała do gospodarzy. Gospodarstwa te były jednak coraz to mniejsze. Dzielono je na części mniejsze z każdym pokoleniem. Tak też było i u Gułyczów. Pole, co prawda, było nienajgorsze, położone wzdłuż potoku i dosyć równe. Do gospodarstwa należał też ładny szmat łąki. Gospodarzyć jednak było dosyć trudno. Do pracy brakowało męskich rąk, a i zdrowie już nie było takie. Przyszedł czas, kiedy to należało pomyśleć o wydaniu córek za mąż. A może przy tej okazji, oprócz zięcia, i ziemi jeszcze przybyłoby więcej...

Nieopodal, po lewej stronie Przybyszówki, trzy zabudowania w górę wioski, mieszkała rodzina o nazwisku P r i a d k a. I chociaż te zabudowania rozdzielała woda, ich pole sąsiadowało z polem Gułyczów. Najstarszy syn, Michał, po przejściu kładki nad wodą, w drodze na pole, przechodząc obok ich zabudowania, zawsze chętnie spoglądał w tę stronę i często przystawał, aby zamienić kilka słów z Ewą, starszą córką Paszkiewiczów (Gułyczów). Tak niedawno byli jeszcze dziećmi, pasali razem krowy, bawili się i widywali podczas nabożeństw w cerkwi. Minęło jednak kilka lat, powyrastali na zgrabnych, młodych ludzi i przyszedł czas, aby pomyśleć o własnym, samodzielnym życiu. Obie rodziny zawsze żyły w zgodzie i pomagały sobie przy różnego rodzaju pracach – czy to w polu, gdy do ciężkich robót należało razem sprzęgnąć woły obydwu rodzin, czy też przy zwożeniu płodów do stodół. A w długie jesienne i zimowe wieczory przychodził czas na prze-

¹ Drewniana skrzynia na odzież i bieliznę

prowadzenie omłotów. Prace takie zazwyczaj wykonywano wspólnie – najpierw u jednych, a potem u drugich. Wspólnie odbywano też domowe spotkania, zwane *weczirkami*, przy których oprócz opowieści, wspólnych zabaw i śpiewu, wykonywano też wiele prac użytecznych jak przedzenie lnu, darcie pierza, czy też wyszywanie koszul i serdaków.

Był rok 1868. Przyszedł czas na z mówiny. Wtedy to jesienią, przy udziale wiejskich swatów, uzgodniono, że nadszedł już czas, aby te długoletnie zażyłości przypieczętować bliższym związkiem i połączyć się w jedną rodzinę. Zaręczynom nie byli przeciwni również młodzi. Wkrótce, po świętach Bożego Narodzenia, nastąpiła pora zapustów, Ewa z Michałem zostali pobłogosławieni i wpisani do ksiąg cerkiewnych jako nowe, prawowite małżeństwo. Zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami, Michał, otrzymawszy w posagu część pola przylegającego do gospodarstwa swoich teściów, zamieszkał w domu oblubienicy i przejął rolę gospodarza, zastępując w prowadzeniu gospodarstwa steranego już życiem starego Gułyczza. Wkrótce za mąż wyszła również młodsza siostra Ewy – Pelagia. Ona jednak nie pozostała w Przybyszowie, a przysłała do rodziny swojego męża w Rzepedzi.

Po niedługim czasie ojciec Ewy i Pelagii ciężko zachorował i opuścił ten świat. Michał, nowy gospodarz, przyjął zobowiązanie spłacenia należnego posagu swojej szwagierki i w ten sposób stał się prawowitym właścicielem całego gospodarstwa. Jednak, starym zwyczajem, ludzie przychodzący do tego domu nadal mawiali, że idą do Gułyczów, a nazwisko Priadka służyło tylko do oficjalnych zapisów w księgach urzędowych i cerkiewnych. Ponieważ Michał miał zwyczaj noszenia długiej, sięgającej do ramion, czupryny, którą niezbyt często czesał, to dla odróżnienia od innych gospodarzy o tym samym nazwisku, mówiono o nim *Mychało pelechaty*¹.

Młodzi, po przejęciu gospodarstwa, wykazywali się dużą pracowitością. Zręcznie wykorzystywali nabyte wcześniej umiejętności, a i szczęście również im służyło. Czasy były dosyć spokojne, a lata urodzajne. Zbierane plony pozwalały na łatwiejsze wyżywienie rodziny i dochód finansowy można było zauważyć. Wyremontowano i rozbudowano chatę i zabudowania gospodarskie. Wielkim postępem, powodującym kąśliwe uwagi sąsiadów, było wybudowanie komina w mieszkalnej części domu i pozbycie się wielkiego utrapienia, jakie stanowiło wieczne zadymienie *chyży*. Udało się też dokupić kolejny kawałek ziemi. Razem z łąką i położonym na stoku zagajnikiem było tego ponad piętnaście morgów. Przybyło również i inwentarza. Para niewielkich koników huculskich, których się dorobiono, znacznie ułatwiała pracę w polu, a i wyjechać już było czym do pobliskiego Bukowska w celu zakupu ważniejszych rzeczy.

¹ Michał kędzierzawy (łemk.)

Powiększyło się nie tylko gospodarstwo i inwentarz. Bardzo szybko rozrastała się również rodzina. Najstarszym synem był Piotr, potem dwie córki – Anna i Paraskewia. Następnie urodził się syn – Dymitr..

Gdy 4 października 1881 roku¹ przychodził na świat A n d r z e j, piąte dziecko w małżeństwie Ewy i Michała, nikt nie zastanawiał się nad jego losem. Przy narodzinach dzieci nie myśli się przecież o ich przyszłości. Dzieci po prostu się rodzą, bo tak jest stworzony świat. W rodzinie muszą być wszystkie pokolenia: stara babcia i czasem jeszcze dziadek, są ojciec z matką i dzieci w różnym wieku. Dzieci dorastają i żenią się, a potem pojawiają się ich dzieci. Bywa też czasem, że ciocia, czy wujek w takiej rodzinie są młodszy od swoich siostrzeńców lub bratanków.

W gospodarstwie potrzebne są więc wszystkie pokolenia rodziny, bo i pracy wystarczy dla wszystkich. Ziemia wymaga wiele zachodu, a w ciągu zmieniających się pór roku do wykonania są różne czynności. Na wiosnę trzeba przygotować rolę. Praca jest ciężka, a woły krnąbrne. Dzieci muszą je więc poganiać, aby ojciec mógł dokładnie trzymać pług. To nic, że ciężko chodzić za wołami, że zmarznęte stopy poobijane są od kamieni. Dzień na przedwiośniu robi się coraz dłuższy i jeść się chce do czasu zejścia z pola. Lecz jeść nie koniecznie trzeba. Przecież trwa post, a do Wielkiej Nocy jest jeszcze dużo, czasu.

Tak więc dzieci rodziły się dalej. Byli jeszcze Maria, Paweł, Jan i Filip. Razem dziewięć pociech - sześć chłopców i trzy dziewczynki. Chata, chociaż wcześniej rozbudowana, zaludniła się bardzo szybko. Dzieci dorastały. Teraz było już nieco łatwiej gospodarzyć. Było kim wyręczać się w wielu pracach – jedni pasali owce i krowy, inni poganiali konie w polu podczas orki. Wzrastały też wydatki na utrzymanie dzieci. Każdemu przecież trzeba było kupić obuwie i ciepłe wierzchnie ubranie na zimę. Bielizna wyrabiana była we własnym zakresie z nici uprzedzonych przez zimę z lnu i konopi.

Len i konopie siało się na wiosnę w każdym, nawet najmniejszym, gospodarstwie. Rośliny te szybko wyrastały, stanowiąc jakby misternie utkany dywan z zielonej przędzy. Konopie wyrastały tak wysokie, że łatwo człowiek się mógł w nich ukryć. Wyrabiano z nich zgrzebne tkaniny, przeznaczone głównie na worki. Len był bardziej szlachetny i wyrastał mniejszy od konopi – tylko nieco powyżej kolan. W czerwcu len codziennie pięknie zakwitał tuż po wschodzie słońca, a w samo południe kwiaty stulały się i cały

¹ W tym czasie na świecie nieznanymi było jeszcze wiele wynalazków technicznych. Nie podjęte zostały jeszcze żadne próby nad budową samolotu. W tym samym roku urodził się amerykański konstruktor samolotów Wiliam Boeing, wybudowano pierwszą elektrownię produkującą prąd na skalę przemysłową. Od tego roku datuje się powstanie kina. Nie były znane fale radiowe, a telefon, chociaż już znany, nie był jeszcze stosowany do celów praktycznych. Miały miejsce pierwsze próby wykorzystania samochodów, a pierwszy prototyp samolotu wzbił się w powietrze dopiero po przeszło dwudziestu latach.

łan zmieniał się z niebiesko-fioletowego na jasnozielony. I tak było co dnia, przez dwa, trzy tygodnie. Wczesną jesienią szły niewiasty z dziećmi i, pochylone, zgrabnym ruchem podsiębiernym wrywały garściami to cudowne runo. Następnie len wiązany był w małe snopki i ustawiany w mendle aż do wysuszenia się główek z ziarnami. Potem należało wylócić wszystkie snopki. Ziarno odłączało się od plew przetakami na wietrze lub – w gospodarstwach zamożniejszych – na specjalnych wialniach. Plewy służyły za pokarm dla świń, ziarno należało wytłoczyć na olej, a częściowo służyło na różne potrzeby domowe, na przykład na okłady na różne dolegliwości, jak bóle brzucha, zapalenia i wykwity skórne, przeziębienia i inne niedomagania.

Praca przy lnie lub konopiach układała się w całe cykle. Po oddzieleniu ziarna, wysuszone łodygi należało porządnie zrosić. Wczesną jesienią układano je więc na polach i pastwiskach aby nabrały wilgoci z nocnej i porannej rosy, po czym w dzień nagrzewające słońce powodowało kruszenie zdrewniałej otoczki włókien. Roszenie trwało kilkanaście dni, a następnie zebrany z pól i wysuszony len poddawało się procesowi międlenia w celu oddzielenia paździerzki od włókna. Na wykonywanie tych czynności najczęściej odpowiednim okresem był październik. Zresztą od powszechnie występujących w tym czasie w każdym obejściu paździerzki, miesiąc ten przybrał swoją nazwę.

Warto tu wspomnieć, że żadnym miejscu, gdzie używa się naszego nazewnictwa miesięcy, nazwy te nie są bardziej odpowiednie do pór roku i występujących w nich zjawisk, jak właśnie na pogórzu podkarpackim. I tak więc, poczynając od wiosny: w kwietniu – zakwitanie całej przyrody, w maju – majenie się łąk, pól i lasów dziesiątkami różnych, świeżych barw wiosennych kwiatów i liści, w czerwcu – powszechne wylęganie się młodych pszczoł z wcześniej złożonych larw, zwanych czerwiami, w lipcu – zakwitanie lip, połączone ze zniewalającym miodowym zapachem i wielkimi rojami pszczoł, w sierpniu – żęcie zbóż, które tu od wieków wykonywane było za pomocą sierpów, we wrześniu – zakwitanie wrzosów po lasach i uroczyskach, w październiku – międlenie lnów z powszechnie występującymi paździerzami, w listopadzie – masowe opadanie liści z drzew i przygotowywanie się przyrody do zimy, w grudniu – zamarzanie wody i ziemi z wszędzie występującymi grudami, styczeń – to miesiąc stykający dwa okresy, czyli minionej jesieni i zimy, z zapowiedzią nowego okresu, luty – miesiąc srogi z powodu przedłużających się mrozów i zamieci śnieżnych i wreszcie marzec – z przedwiośnią, zapowiedzią wiosny i budzącej się do nowego życia przyrody, o czym w zabudowaniach wiejskich najbardziej przypominały godowe zawrodożenia kotów.

I tak, wracając do naszych prac, wymiędlenie lnu i oddzielenie włókien od paździerzki stanowiło przygotowanie do dalszych, zimowych czynności.

W czasie jesiennych i zimowych długich wieczorów należało włókna wyczesać, wybielić i przygotować do przędzenia. Te ostatnie czynności często wykonywane były wspólnie w czasie gromadnych, sąsiedzkich spotkań. Używano przy tym najczęściej kądzieli i wrzeciona. Po pewnym czasie zaczęły pojawiać się drewniane kołowrotki, zwane tu *prydkami*, a na terenach położonych dalej na wschód, gdzie używana mowa bardziej zbliżona była do języka ukraińskiego, były to *prjadki*, co w tłumaczeniu na język polski oznacza prządki (można przypuszczać, że właśnie stąd wywodzi się nazwisko *Priadka*).

Wszystko to odbywało się w długie zimowe wieczory. A zimy bywały tu srogie. Przy silnych mrozach drzewa w lesie trzaskały, zwierzyzna nie zawsze mogła dokopać się pożywienia. Wilki często przybliżały się do domostw, siejąc zgrozę. Były więc postrachem nie tylko dla dzieci, a i dorośli nie zawsze mogli się zapuszczać w pojedynkę w gęste knieje. Wilki groźne były również w porze letniej. W okolicach często krążyły opowieści o tym, jak to pożarły konia na pastwisku lub zaatakowały jadącą furmankę albo sanie. Bywały też pojedynki psów przydomowych z tymi groźnymi drapieżnikami leśnymi. Ludzie mówili, że pies, jeżeli tylko dorównuje wzrostem wilkowi, ma większą szansę, a to z powodu bardziej giętkiego grzbietu. Pies jest zwinniejszy, a wilk w walce, nie mogąc zgiąć kręgosłupa, zawsze musi obracać się całym.

Andrzej Priadka, piąte dziecko Ewy i Michała, wyrastał niepostrzeżenie wśród innego rodzeństwa i swoich rówieśników z Przybyszowa. Do szkoły nie chodził, bo w tym czasie jeszcze jej tu nie było. Wykonywał więc od małego wszystkie czynności, z góry przypisane dzieciom. I tak – w miarę dorastania – pilnował gęsi, przynosił do chaty drewno do palenia, poganiał woły i konie, pasał krowy, pomagał przy omlotach zbóż, pracował przy lnie. W starszym wieku chłopcom zazwyczaj przychodził czas na pasienie koni, chodzenie za pługiem, siew zbóż, koszenie trawy, karmienie inwentarza. Andrzejowi jednak nie było dane wykonywania tych, bardziej zaawansowanych prac, w rodzinnym gospodarstwie swojego ojca, w Przybyszowie, o czym opowiemy zachwilę.

W roku 1888 przyszedł czas, że Hania, najstarsza siostra Andrzeja, po sierpniowym święcie odpustowym, na które starym zwyczajem ściągaly tłumy z okolicznych wiosek, przypadła do gustu zaprzyjaźnionej rodzinie Ananiewiczów z Płonnej, o której to powszechnie mówiono *u Łysków*. Po odbytych w niedługim czasie zmówinach i ogłoszonych zapowiedziach, po zakończonych pracach jesiennych, tuż przed adwentem, odbył się ślub Hani ze Stefanem, a następnie wyprowadziła się ona z rodzinnego domu do rodziny swojego męża.

Starsze rodzeństwo Andrzeja zaczęło się więc usamodzielniać. Następną po Hani była Paraska, która w roku 1890 wyszła za mąż za Macieja od

Czarnego (*Czornoho*) i również osiedliła się w Płonnej. Teraz w domu jakby się trochę rozluźniło. Pozostali rodzice i siedmioro dzieci. Główną podporą w pracy był najstarszy syn – Piotr, który już był dorosły i nabył wiele umiejętności do prowadzenia gospodarstwa. Pomoc jego była potrzebna, bo ich ojciec, Michał, nie był najlepszego zdrowia i często chorował.

Wkrótce, po przebytych w zimie zapaleniu płuc, Michał zapadł na dobre w niemoc. Długo męczył go kaszel i leżał w łóżku. Aż na tydzień przed nie-dzielał palmową pożegnał się z tym światem. Teraz gospodarstwo pozostało pod opieką matki-wdowy i najstarszego z braci, nieletniego jeszcze Piotra. W sytuacji tej przybyło obowiązków również każdemu z dzieci. Musiały odtąd wykonywać one coraz więcej prac należących zazwyczaj do osób dorosłych.

W sytuacji takiej kształtowała się osobowość Andrzeja. Wiedział, że w życiu trzeba ciężko pracować na kawałek chleba i na zaspokojenie innych najpilniejszych potrzeb. Przez cały czas nie tylko bacznie przyglądał się jak starsi bracia zręcznie wykonują pożyteczne dla gospodarstwa prace, ale i sam musiał uczestniczyć w ich wykonywaniu. I tak, w okresie późnej jesieni i zimy, oprócz codziennego obrządku inwentarza i omłotów zbóż, należało poczynić wszystkie przygotowania do nadchodzącej wiosny. Najważniejsze z nich to przegląd i naprawa uprzęży, która podczas mozolnych prac od wiosny do jesieni zawsze mocno nadwierała się. Trzeba było więc pozyskiwać na nowo wszystkie rzemienie i postronki, przejrzyć chomąta i uzupełniać wygniecione pod nimi podkłady. Prac przydomowych było wiele. Każde gospodarstwo musiało być samowystarczalne. Tak więc należało umieć wyciosać nowe elementy do wozu, zrobić beczkę do kiszenia kapusty, wykonać płozy do sani, z których inne były do przywożenia drewna z lasu, a inne do wyjazdu do miasta lub sąsiedniej wioski. W wykonywaniu tych specjalistycznych prac zawsze konieczna była pomoc dzieci. I tak, kiedy dziewczynki uczyły się prąść, tkąć płótno, haftować stroje ludowe, skubać pióra na pierzyny i poduszki, chłopcy bacznie przyglądali się majsterce wykonywanej przez ojców czy stryjów. Nabyte umiejętności przydatne były w późniejszym życiu – zarówno na własnym obejściu, czy też wtedy, kiedy przychodziło komuś pracować jako parobek w cudzym gospodarstwie, aby zarobić na swoje utrzymanie.

Tak więc Andrzej, piąte dziecko Michała i Ewy, uczestniczył we wszystkich pracach ucząc się gospodarowania na ziemi i przydomowej majsterki. Dorastając, przyglądał się bacznie swoim rówieśnikom i młodzieży starszej, która wchodziła w dorosłe życie. Dla niego samego perspektywa życia na przyszłość w Przybyszowie nie kroїła się zbyt obiecująco. Gospodarstwo, chociaż w miarę dostatnie, nie mogło przecież zapewnić utrzymania wszystkim domownikom. Wiadomo było, że w przyszłości przypadnie ono w udziale najstarszemu bratu – Piotrowi. A ponadto starszymi od niego

jeszcze byli Paraska i Dmytro. A było przecież jeszcze młodsze rodzeństwo – Maria, Jan, Paweł i Filip.

Był rok 1893. Po ciężkiej zimie nastąpiły roztopy i pojawiły się pierwsze przebłęski wiosny. Wymęczeni byli wszyscy. Zwierzęta domowe dojadały resztki paszy zgromadzonej latem i jesienią. Ludzie strudzeni byli wielkimi śniegami i potężnymi mrozami. Zimą co roku do wykonania było przecież wiele prac: a to przywózka drewna, a to trwające całymi tygodniami omłoty zbóż, które wykonywane były za pomocą cepów, a to tkanie i przędzenie. Choroby też często nękały mieszkańców, którzy przecież nie mogli liczyć na pomoc lekarską. Zawsze zimą i wczesną wiosną na wiejskim cmentarzu przybywały nowe kwatery grobów. Zapasy żywności też u niejednego były na ukończeniu. W gospodarowaniu resztkami pożywienia pomocny był zawsze wielkanocny post, bo wtedy spiżarnie opróżniały się wolniej, a bywało, że i do beczki można było naskładać masła z serem. Zapasy te bardzo potem przydawały się na wiosnę, kiedy pracy było dużo, a do nowych pól było jeszcze daleko. Tak więc wymęczeni, spragnieni światła i ciepła, a często osłabieni niedożywieniem i zbyt gorliwym poszczeniem, ludzie z wielką tęsknotą wypatrywali wiosny i nadchodzącego lata.

W rodzinie Gułyczów nastąpiły wielkie kłopoty. Otóż długą i ciężką zimą źle zniosła matka i nieboraczka często nie wstawała z pościeli. Słabość ciągnęła się tygodniami i chociaż przyprowadzano wielu znachorów i znawców od różnych boleści, matka była coraz słabsza i wkrótce zmarła. W domu teraz głową rodziny został najstarszy brat – Piotr, a pod jego opieką pozostało osieroconych sześcioro dzieci, z których najstarszym był piętnastoletni Dmytro. Andrzej w tym czasie miał niespełna 12 lat, a zaraz po nim była Maria, która jako 11-letnia „kobieta” musiała przejąć obowiązki gospodyni tego nieszczęsnego domu. Młodszymi jeszcze dziećmi byli Paweł, Jan i Filip. Andrzej rozumiał i mocno przeżywał swoje ciężkie położenie. Przybyłe na pogrzeb siostry Anna i Paraska z Płonnej litowały się nad tragicznym położeniem swojego młodszego rodzeństwa, ale niewiele mogły temu zaradzić. Widząc, że najbardziej utratę matki przeżywa Andrzej, Anna postanowiła zabrać go na utrzymanie do swojego domu, tym bardziej, że mógł on być przydatny jako pomoc do prowadzenia gospodarstwa, bo mąż jej również nie czuł się za dobrze, a do tego dosyć długo nie mieli jeszcze swoich dzieci. Podobnie postąpiła druga siostra z Płonnej – Paraska. Postanowiła ona zabrać do siebie na wychowanie najmłodszego brata – Filipa, który skończył zaledwie cztery lata. Pozostałe dzieci musiały być zdane na własną zaradność, a czasem na pomoc sąsiadów.

Zawinięto więc dzieciom to, co do nich należało, a było tego bardzo niewiele – po jednej parze trzewików, spodnie, po jednej zgrzebnej kurtce i koszuli oraz czapkę na głowę. Zaraz nazajutrz po pogrzebie i odbyciu do-

nowych modlitw za duszę zmarłej, nieszczęsne dzieci wyruszyły w tę przymusową podróż.

Droga do Płonnej nie była daleka. Trzeba było zejść w dół wioski, minąć jedną z rzeczek, które wpadały do Przybyszówki, a dalej, za zakrętem, w dolinie rozpościerała się wioska Karlików. Tu dochodziło się do szerszej, podrównanej i wysypanej grubym szutrem drogi, prowadzącej z Bukowska do Komańczy. Po skręceniu w Karlikowie w prawo i po przejściu około pół kilometra droga nieco opadała w dół i po lewej stronie widać było tak zwany Łazok¹, zamieszkiwany przez rodziny cygańskie, a po przejściu kolejnego niewielkiego wzgórza wyłaniała się z lewej i prawej strony duża wioska, w której jakby w centralnym punkcie znajdowała się wysoka, murowana cerkiew pod wezwaniem *Pokrovy Preczystoji Bohorodyci*².



Idąc dalej, droga opadała lekko w dół, a budynek cerkwi, stojący szczytem do naszego przybyścia, wydawał się coraz większy. Najpierw widoczna była, położona za niewielkim stawem, kamienna dzwonnica, zbudowana w kształcie trzech łuków, wyniesionych ponad bramą. Nad środkowym łukiem stała wieżyczka z bizantyjskim krzyżem. Za dzwonnica odślaniało się wejście do świątyni, nad którym górowała prostokątna wieża z piękną kopułą, zwieńczoną wysokim krzyżem z niewielkimi bizantyjskimi poprzeczkami, umieszczonymi nad i pod głównym ramieniem.

Patrząc na dach budynku cerkwi w oczy rzuciła się, stojąca mniej więcej w połowie dachu, jeszcze jedna wieża z dwoma baniami i takim samym krzyżem. Przed samą cerkwią droga krzyżowała się z mniejszym traktem wiejskim. Według nazewnictwa tutejszych mieszkańców Płonna podzielona była jakby na dwie części – na lewo od drogi, prowadzącej z Bukowska do Zagórza, znajdował się dolny koniec, a na prawo górny koniec (*nyżnij i wysznij kinec*). Idąc z Przybyszowa do siostry, „co wyszła za Łyśka”, należało skręcić właśnie w prawo. Gdyby tak iść dalej prosto, to za cerkwią i strumykiem napotkalibyśmy budynek szkolny. Ale Andrzej z Hanią skręcili w prawo. Po minięciu plebani i kilku innych zabudowań po prawej stronie znajdowała się czytelnia i dalej zabudowania dworskie. Tu plac ładnie ogrodzony był wysokim parkanem, z ozdobną bramą, a za ogrodzeniem górował dwór i zabudowania gospodarcze w kształcie prostokąta. Całość obsadzono licznymi drzewami owocowymi i ozdobnymi.

Andrzej, idąc ze starszą siostrą w tę, wymuszoną nagłą sytuacją, podróż, minął właśnie plebanie i dwór. Dalej szedł już wiejską drogą i po lewej ręce

¹ W miejscowej gwarze oznaczało to grupę kilku domów, oddalonych od wioski.

² Orędownictwa Przeczystej Bogurodzicy (ukr.)

miał znaczny potok, a po prawej jego ręce rozpościerał się, pokryty zieleńiącą się już trawą łąn, nazywany pastwiskiem (*pastiwnyk*). Za nim, na niewielkim wzniesieniu, znajdowało się równe pole uprawne, o którym mówili *na ruskim*. Na wprost, na niewielkim wzniesieniu stały zabudowania rodzinny Słapków, a dalej Ananiewiczów. W tym miejscu przeznaczone mu było spędzić najbliższe lata.

Pierwsze dni były dla małego Andrzeja bardzo ciężkie. Cały czas przed oczyma miał chorą i zmarłą matkę, a wieczorami i nocą, gdy tylko starał się zasnąć, majaczył mu się pogrzeb, ksiądz ubrany w czarne szaty i orszak ludzi śpiewających żałobne pieśni. Najgorszy był moment wpuszczania trumny do grobu i to głuche dudnienie zsypywanej ziemi. Brakowało mu również codziennego kontaktu z rodzeństwem. Dlatego starał się jak najczęściej zaglądać do małego Filipka, który był na wychowaniu u siostry Paraski w rodzinie *Czornoho*, zamieszkałej w odległości kilkunastu zabudowań położonych w górę wioski.

Odwiedziny te nie mogły być jednak zbyt częste. Wiosna była w pełni i było do wykonania bardzo dużo prac polowych i w zabudowaniu. Zaraz po upływie kilku dni pobytu w rodzinie swojej siostry – Hani *Łyśków* – naznaczono mu rolę, jaką powinien spełniać, aby nie być ciężarem i zarobić na swoje utrzymanie. Nie sposób tu wyliczyć tych zajęć. W zagrodzie trzeba było dbać o utrzymanie zwierzyny domowej, rąbać drewno na opał, przynosić wodę ze studni, pomagać przy wychowywaniu swoich siostrzeńców. W polu roboty też nie brakowało przy wiosennych uprawach, pielęgnacji roślin, pasieniu bydła. Szybko nastało lato, a pracy wciąż jakby przybywało.

Andrzej do ciężkich prac był już zaprawiony z czasów wczesnego dzieciństwa, a i wiele majsterki domowej nauczył się od przedwcześnie zmarłego ojca i starszych braci – Piotra i Dmytra. Do pracy był ochoczy i niczego nie odmawiał. Dlatego szybko przypadł do serca swojemu szwagrowi, Stefanowi, który w tym przypadku bardziej sprawował rolę ojca lub wychowawcy. Dni, chociaż tęskne, upływały szybko pośród codziennej krzątania i znojnej pracy. Tylko późnymi wieczorami, kiedy ustawała codzienna krzątania i można było już przymknąć oczy, często nasilała się tęsknota za rodzinnym domem, za ojcem i matką. Ich już nie było na tym świecie, ale za to w wolnym czasie mógł odwiedzić swoje starsze i młodsze rodzeństwo w Przybyszowie. Zdarzało się, że w niedzielę zabierał na tę, niezbyt odległą podróż, małego Filipka. Nieraz, gdy tak szli i w Karlikowie skręcili już na przybyszowską drogę, malec dopytywał starszego braciszka:

- *Andrijciu*, czy będą mamunia w domu?
- Mamy nie ma. Mama poszli bo Bozia. My idziemy do Pawełka i Iwanka – odpowiadał ze ściśniętym gardłem Andrzej.
- Ja chcę do mamuni... – płakał Filipek.

Po takiej, żalostnej rozmowie Andrzej, uspakajając malutkiego braciszka, czasami nawet sam zaczynał mieć nadzieję, że, być może, tym razem zobaczą mamę jak wita ich na progu. Ale mamusi nie było... Przywitali się tylko z braćmi i siostrą, zjedli trochę kaszy, ugotowanej ze suszonymi jabłkami, pochodzili po obejściu, obejrzeni krowy, owce i konie, pobawili się z pieskiem, a po kilku godzinach trzeba było wracać i ponownie zdawać się na tułaczkę – chociaż u krewnych, ale zawsze to w obcych domach. Był rozsądnym chłopakiem i – gdy tak rozmyślał o swoim położeniu – szybko pocieszał się, że nie jest tak źle. Nie miał rodziców, wiedział, że wszystkim jest ciężko, ale zdawał sobie też sprawę z tego, że ma przecież jakąś ochronę. Jeść było co, w razie potrzeby było schronienie w ciepłej i suchej chacie i przyodziewek jakiś nieraz mu przybył. W końcu nie był sam. Był u boku starszej siostry, mógł odwiedzać małego Filipka, a gdy wyszedł na pole, zwane *ruskim*, i popatrzył na duże wzniesienie góry Rzepedki, wiedział, że za nią, w Przybyszowie, jest jego rodzinny dom, a w nim liczna rodzina i – chociaż znajduje się ona w ciężkim położeniu – zawsze mógłby liczyć na oparcie z jej strony.

Tak upływały lata. Bywało różnie. Tęsknota za rodzinnym domem zwolna ustępowała. Andrzej wiedział, że życie jest trudne i każdy musi radzić sobie sam. Pośród ciężkiej pracy i codziennych obowiązków bywały i chwile radośniejsze. Wieczorami, zwłaszcza jesienną i zimową porą, ludzie często spotykali się na wspólnych rozmowach. Dyskutowano o wielu sprawach – o wydarzeniach sąsiedzkich, o sytuacji na świecie i o dawnych dziejach.

Wśród licznych opowieści Andrzejowi utkwiała w pamięci ta, która mówiła o tym, skąd wzięła się nazwa wioski. Powiadano, że przed wiekami, kiedy to w Polsce panował jeszcze król Jan Sobieski i odbywały się najazdy tatarskie, zdarzyło się, że orda pojmała i prowadziła w jasyr rzeszę młodych ludzi z podbitych narodów. W pewnym momencie, w czasie przejścia przez lasy beskidzkie, korzystając z nieuwagi oprawców, od tego smutnego pochodu udało się odłączyć pewnej grupie niewiast i mężczyzn. W ucieczce udali się oni w górę rzeczki Płonka i tam pośród wielkich zarośli znaleźli schronienie. Po minięciu zagrożenia, bojąc się ponownego dostania się do niewoli, postanowili osiedlić się tu na stałe. Ponieważ wydostali się oni z „*połonu*”¹ siedzibę swoją nazwali *Połonna*. W późniejszych wiekach nazwa ta w języku polskim przyjęła brzmienie „Płonna”. I tak pozostało do dzisiaj.

Zawsze w niedzielę znalazł się czas na pójście do cerkwi. Tu, oprócz wysłuchania modlitw, można było znaleźć chwilę na głębsze rozmyślenia, spotkać ludzi i porozmawiać z nimi. Przychodziła tam również i młodzież, która wieczorami spotykała się w różnych miejscach, w tym czasami też na

¹ *Połon* - niewola (ukr.)

tańcach, do których przygrywali miejscowi grajkowie z mieszkających w Płonnej rodzin cygańskich.

Idąc więc do cerkwi, Andrzej musiał pokonywać tę samą drogę, chociaż w odwrotną stronę, jaką przybył tu z siostrą Hanią po śmierci swojej matki. Miał więc po prawej stronie rzeczkę, która dalej wpadała do Płonki, po lewej widział pola zwane *na ruskim*, mijał przestrzeń nazywaną jako *pastiwnyk*, a dalej już były zabudowania dworskie z plebanią i szkoła. Na dworze mieszkał pan z rodu Konstantynowiczów. W tym czasie dawno nie było już obowiązku odrabiania pańszczyzny. Wobec prawa niby wszyscy byli więc równi. Ale to tylko wobec prawa...

Mijając wolne, wiejskie przestrzenie, Andrzejowi marzyło się właśnie, aby i on mógł kiedyś skorzystać z tych praw równości. Dlaczego on nie mógłby stać się równym panu w posiadaniu tych pięknych i urodzajnych pól? Może nie koniecznie należałoby dorównywać zaraz panu ze dwora, ale chociaż, jak ci gospodarze, żeby mieć własny kawałek ziemi. Gdyby tak zakupić chociaż część z tego łąnu... Miał swoją wizję. Postawiłby nieduży dom i urządził całą zagrodę. Były jednak ku temu przeszkody. To właśnie pieniądze, które w żaden dostępny sposób nie mogły mu zagrażać swoim bogactwem. I tak, rozmyślając, wędrował dalej, wchodził do cerkwi, a tam już był równy – nie wobec ludzi, ale wobec Boga w swoich modlitwach. Przynajmniej tak mu się zdawało...

Mijały lata i z biegiem czasu zachodziły zmiany również w rodzinie Priadka w Przybyszowie, określanej nadal jako „u Gułycza”. Otóż dopiero po sześciu latach od śmierci matki ożenił się brat Piotr. Była to wiosna 1899 roku. Anna, jego małżonka, pochodząca z górnego końca wioski, jak mawiali z *wysnioho kin’cja* (górnego końca), przyprowadziła się do domu swojego męża, a w posagu otrzymała dwa staje pola oraz coś niecoś z inwentarza żywego. Stała się ona odtąd prawowitą gospodynią tego rodzinnego gospodarstwa. Od tego czasu w domu Gułyczów stało się jakby trochę bezpieczniej. Hańcia, jak wołali na gospodynię, znała się trochę na prowadzeniu domu, dbała nieco o utrzymanie czystości, ugotowała ciepłej strawy i umiała chodzić koło inwentarza. Dlatego do domu mógł powrócić najmłodszy brat Filip, który od śmierci matki przebywał u swojej siostry u *Czornoho* w Płonnej. Teraz mógł on być już razem z całą rodziną, a do Płonnej chodził już tylko w odwiedziny brata i starszych sióstr.

Na jesień tego samego roku ożenił się również brat Dmytro i wprowadził się do domu swojej żony, Katarzyny z rodziny Fiedów – mieszkającej również po drugiej, to znaczy po lewej, stronie rzeczki Przybyszówki.

Życie niby to przebiegało leniwie, ale każdy rok przynosił coś nowego – zawsze ludzie mieli nadzieję na lepsze życie, nadchodziło czyjeś odejście lub narodziny nowych ludzi. We wsi ludzie ciężko pracowali, ale dla nich był to chleb powszedni. Potrafili również cieszyć się z owoców swojej pra-

cy. Na wspólne spotkania zbierali się nie tylko w długie, zimowe wieczory. Zawsze do lepszego nastroju sposobił czas, kiedy to na wiosnę przyroda budziła się do życia, a potem w okresie letnim rozkwitała całą swoją krasą. Wiezorami, jak w każdym innym miejscu na Ziemi, młodzież wylegała na dziedzińce, przystawała grupami po wieczornych nabożeństwach i zbierała się na wspólne śpiewanie. Andrzej, dorastający i wchodzący w wiek kawalerski, również nie stronił od tych wspólnych zgromadzeń, zwłaszcza, że od pewnego czasu na wiosnę 1900 roku, w tych grupowych spotkaniach szczególną uwagę jego oczu przykuwało ciepłe i przenikliwe spojrzenie dziewczyny o gładkiej i śniadej cerze i długimi warkoczami. Przychodziła ona z dolnego, jak mawiali miejscowi, końca Płonnej. Od dłuższego czasu zatrzymywali nawzajem na sobie wzrok podczas niedzielnych nabożeństw w cerkwi.

Pewnego razu po mszy, gdy ludzie, jak zwykle, tłoczyli się przy wyjściu, przystanął na chwilę przy dzwonnicy, od strony drogi, która prowadziła z Bukowska do Zagórza. Wiedział, że tamtędy będzie przechodzić za chwilę ta piękna, czarnowłosa dziewczyna. Wreszcie ją ujrzał, a gdy zrównała się z nim, zagadnął nieśmiało:

– Dzień dobry, jak masz na imię?
– Kasia – odrzekła nieśmiało dziewczyna. – A ty? – zapytała.
– Ja jestem Andrzej, mieszkam u Łysków, u swojej siostry.
– Ja służę u gospodarza, tam w dolnym końcu – odpowiedziała i ruszyła w dalszą drogę.

Andrzej ruszył z nią i przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Minęli w poprzek szutrowy trakt, a dalej szli już wiejską, wyboistą drogą. Po dłuższym czasie przystanęli pod łożą. Stali przez chwilę w milczeniu, po czym Andrzej wstydliwie przemówił:

– Skąd pochodzisz i ile masz lat?
– Na jesień skończę siedemnaście. Jestem z Karlikowa, od Tymciów – odpowiedziała Kasia i zarumieniła się.

Chwilę tak jeszcze postali w milczeniu, po czym zniecierpliwiony i nieco zmieszany Andrzej odezwał się pierwszy:

– Ja muszę już wracać, mam dużo roboty. Czy przyjdiesz w drugą niedzielę do cerkwi?
– Przyjdę – odpowiedziała Kasia, cała w wypiekach.

Odtąd ich spotkania, niby to przypadkowe, odbywały się coraz częściej. Zawsze trwało to jednak dosyć krótko. Nie dysponowali sami swoim czasem. Bywało, że spotkali się wieczorem na wspólnych śpiewach i tańcach, do których przygrywał na skrzypcach miejscowy Cygan – Jozko. Andrzej lubił słuchać jej śpiewu i patrzeć jak śmieje się wesoło. Oboje byli biedni i nigdy nie mieli odwagi porozmawiać poważnie, lub wypowiedzieć trudne

dla nich słowa, że chcieliby być razem nie tylko w czasie przypadkowych spotkań, ale może również i na dłużej...

Sytuacja gospodarcza w Galicji zachodniej, tak samo zresztą jak i pozostałych regionach ziem polskich, ukraińskich i innych krajów słowiańskich pozostających we władaniu Jego Wysokości cesarza Austrii i Węgier, nie była rozwojowa. Zauważało się wielką stagnację, a wydatki cesarskie były duże. Tak więc i poddany lud musiał ponosić wielkie ciężary. Oprócz wysokich podatków i danin, dodatkową zmorą dla mężczyzn było zagrożenie powołania na długie lata do armii austriackiej. Ludzie ratowali się więc jak mogli. W tym czasie rozwinęła się wielka fala emigracji. Wyjeżdżano w różne strony. Spośród krajów europejskich droga najczęściej wiodła do Francji. Ale zazwyczaj szlaki emigracyjne prowadziły za wielką wodę – do Argentyny, Rungwaju, Hameryki, czasem do Brazylii, Kanady i wszędzie, gdzie tylko skierowali agenci, którzy za odpowiednią opłatą chętnie służyli pomocą w opuszczaniu na długi czas lub na zawsze, rodzinnych stron. Tak więc, w wielu rodzinach pozostawała luka po kimś, kto w poszukiwaniu chleba i lepszego życia zdecydował się na tułaczkę i życie w nieznanym. Wyjeżdżali nie tylko młodzi i samotni. Bardzo często swoje rodziny opuszczali ojcowie. Zdarzały się niekiedy przypadki, że – pomimo nieobecności męża – dzieci nie przestawały się rodzic. Widocznie zbyt mocno pobudzona była samopomoc sąsiedzka... Atmosferę w tym zakresie oddaje ludowa przyspiewka łemkowska o mężu „zza wody”, dopytującym się w listach swoich sąsiadów o prowadzenie się jego żony:

– ...*cy ne chod'jat do moj żeny panowe?*

Otrzymywał on wtedy odpowiedź:

– *oj ne chodjat, sama chodyt' za nyma,
łem sia sira poła na niom zawywa¹.*

Problemy dotyczące rozterek i przeżyć ludzi zmuszonych do emigracji były niejednokrotnie przedstawiane w różnych opracowaniach literackich. Opisywane w książkach wydarzenia i rozterki nie były czystą fikcją. Ludzie naprawdę przeżywali wiele dramatycznych chwil, uniesień i rozczarowań – zarówno podczas podejmowania decyzji o wyjeździe, jak i następnie podczas pobytu na obczyźnie.

W rodzinie Priadków pierwszemu przyszło udać się na tułaczę, a w nadziei dostatnie życie, stryjeczemu bratu z domu *Celepów* - Teodorowi. Opuścił on na zawsze ojcowiznę i rodzinne strony, udając się do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej przypuszczalnie około roku 1897. Znał adresy ludzi z Przybyszowa, którzy wcześniej zdecydowali się na życie na obczyźnie i oni mieli stanowić podporę w stawianiu pierwszych kroków na kontynencie amerykańskim. W niespełna po pół roku przyszedł pierwszy

¹ ...czy nie chodzą do mej żony panowie? / oj, nie chodzą - sama chodzi za nimi / tylko szara poła za nią powiewa (łemk.)

list, z którego – po przeczytaniu u starego Mardaka – wynikało, że chociaż bardzo ciężko, ale jest nadzieja, że można tam dać sobie radę, a w przyszłości nawet urządzić sobie znacznie lepsze życie.

W każdym domu tęskno było po kimś, kto opuszczał rodzinne strony. Ale, pomimo takiego wyjazdu, w domu jednak nie zawsze stawało się zbyt luźno, a i pieniędzy na utrzymanie rodziny nie było więcej. Zawsze pozostawała jeszcze liczna rodzina, przeważnie z małymi i dorastającymi dziećmi, które trzeba było nakarmić i przyodziać. Rodziny często mieszały się w swoich pokoleniach. Bywało, że najstarsza córka wydawała się za męża, a matka dalej dzieci rodziła. Tak więc często wujek, czy ciocia, bywali młodszy od swoich siostrzeńców, czy bratanków. I chociaż może nikt tym zbytnio się nie przejmował, perspektywy na przeszłość nie były zachęcające.

Tak też często myślał o tym właśnie Andrzej. Ale... cóż, do wyboru niewiele pozostało. Bacznie obserwował on życie, a i własnych rozmyślań miał wiele... Jako już prawie dorosły kawaler, nie widział wiele możliwości na urządzenie sobie własnego, chociażby po części dostatniego życia. Tak na dobrą sprawę, to nie miał on nawet swojego domu. Od dziecka mieszkał i pracował nie u siebie. Chociaż była to siostra, ale zawsze to cudze gospodarstwo. Dorobku z tego nie miał żadnego – tyle co zjadł i czasem mu dostało się coś do ubrania – często już schodzonego przez inne, starsze od niego dzieci. W Przybyszowie, w rodzinnym jego domu, też nie było miejsca dla niego. Od lat przecież tu nie mieszkał i nie pracował na to gospodarstwo. I chociaż po wcześnie zmarłych rodzicach według prawa coś by mu się należało, to dzielić nie było co. W domu było jeszcze młodsze rodzeństwo: siostra Maria i bracia Paweł, Jan i Filip. A wkrótce też miały się rodzić dzieci ze związku najstarszego brata – Piotra z Anną.

Nastała wiosna 1901 roku. W okolicy znowu pojawili się niemieccy agenci, zbierający chętnych do wyjazdu za wielką wodę. Organizowali wiejskie spotkania, na których przedstawiali perspektywy dostatniego i bezpiecznego życia w obcych krajach. Obiecali pomoc w załatwianiu wszelkich spraw urzędowych, związanych z pozwoleniem na wyjazd, kupnem biletów, zwanych potocznie *szyfkartą*¹. Na emigrantów mieli tam, za wodą, czekać przedsiębiorcy, którzy potrzebują ludzi do pracy. Za podpisanie kontraktu można było otrzymać więc pracę i pomoc w urządzeniu się na nowe życie. A tu co? Dalsza poniewierka, praca za już zjedzony chleb i tułaczka na zawsze.

Andrzejowi niewiele przeto pozostawało do wyboru. Należało tylko zebrać w sobie siły na opuszczenie tego wszystkiego – rodzinnych stron, braci, siostry, kolegów z którymi dorastał, psa w zagrodzie, który zawsze tak cieszył się na jego widok, groby rodziców w Przybyszowie i te piękne góry, połoniny, lasy i łąki. Ale tam pewnie też będą pachnące gaje, strumyki... A

¹ Od angielskiego słowa „ship” - statek.

już z pewnością nie będzie musiał wypatrywać skąd tu znowu wystarać się o całe buty na zimę, cieplejsze odzienie i jakiegoś grajcara, gdyby mocno chciało się zjeść słodkiego *bonbona*. Zresztą całe życie jeszcze ma przed sobą. Wyjeżdżać nie trzeba na zawsze. Niektórzy ludzie przecież wracali. On może też zarobi trochę pieniędzy i może za dwa, trzy albo za pięć lat wróci, a wtedy już sam będzie gospodarzem. Ale myśleć o powrocie to jeszcze za wcześnie. Jest jeszcze przecież tyle problemów do rozwiązania...

Agent przygotował umowę. Trzeba było tylko zebrać pieniądze na *szyf-kartę* i opłatę za wszystkie sprawy urzędowe, w której to kwocie mieściło się też wynagrodzenie urzędników agitujących ludzi na wyjazd. Z pieniędzmi nie było łatwo. Gdy przyszło się rozliczać, to szwagier, Stefan Ananiewicz, wysupłał nieco grosza, niby to zapłatę za pomoc w prowadzeniu gospodarstwa i dobre sprawowanie się, ale może bardziej liczył, że przecież może będą mu przychodziły *dulary* z *Hameryki*. Najstarszy brat, który gospodarzył na rodzinnej ziemi w Przybyszowie, też widział korzyść w tym, że Andrzej wyjedzie i na przyszłość nie będzie już rościć pretensji do swojej części gospodarstwa po ojcu i matce. Tak więc, Piotr sprzedał krowę i część pieniędzy przeznaczył na pomoc bratu w opłaceniu wyjazdu i zakup lepszego przyodziewku na drogę. A i parę dolarów nie pożalował, bo na pewno przydadzą mu się na początek, gdy już będzie tam, na miejscu.

Przyszedł czas odjazdu i rozstania się. Razem z Andrzejem w tym samym czasie wyjeżdżało kilka innych osób z okolicznych wiosek – z Karlikowa, Przybyszowa, Płonnej i Woli Piotrowej. Byli to przeważnie ludzie młodzi, zarówno chłopcy jak i dziewczęta, ale byli też ludzie mający rodziny, których beznadzieja życiowa wyganiała w poszukiwaniu kawałka chleba. Niedługo przed wyjazdem Andrzej zebrał w sobie dość odwagi, aby pójść do domu gospodarza w dolnym końcu wioski, u którego służyła Kasia, i pożegnać się z nią. Pożegnanie nie było zbyt długie. Trudno było mówić o czymkolwiek. Wszystko, jeszcze jakby nie rozpoczęte, a już musiało się zakończyć. Położenie obojga nie sprzyjało pogłębieniu i uświęceniu tej znajomości. Nie mogli nawet myśleć o wspólnym życiu, bo gdzie mogliby się przytulić i za co żyć. Przyszłość jeszcze przed nimi, Bóg jedyny wie jak to będzie. Teraz trzeba było się rozstać.

– Czy cię jeszcze zobaczę? – zapytała zasmucona Kasia.

– Nie wiem. Jak Bóg pozwoli. Teraz muszę cię pożegnać. Bywaj zdrowa – odpowiedział z wielkim zatroskaniem Andrzej i uściśnął jej rękę.

Ona zaczerwieniła się, cmoknęła go w policzek, po czym po jej gładkim licu spłynęła łza. Rozstali się...

Teraz trzeba było obejść jeszcze całą rodzinę – braci, siostry, kuzynów, popatrzeć na groby rodziców i na te pola i lasy, wśród których wyrastał, bawił się, ale i też ciężko pracował. Wspomnień było wiele, chociaż nie

wszystkie były radosne. Wspomnienia przydadzą się na potem, gdy już będzie na cudzej ziemi i wśród cudzych ludzi.

* * *

Andrzej spakował niewielki tobołek. Trzeba było wziąć coś do ubrania na chłodniejsze dni i pożywienie na drogę – trochę chleba, wędzonej słoniny, suszone owoce i sera z masłem w kasetce, odłożonego przez siostrę w czasie wielkiego postu. W tym czasie, już od ponad 30 lat funkcjonowała kolej wiedeńsko-przemyska. Linia, po minięciu Przełęczy Łupkowskiej od strony Słowacji, przechodziła poprzez Łupków, Komańczę, Rzepedź, Szczawne, Mokre, Morochów, Tarnawę, a w Zagórzcu skręcała na wschód i przez Ustrzyki Dolne oraz Ustrzyki Górne prowadziła do Przemyśla. Dla podróżnego, który opuszczał swoje rodzinne ziemie, najbliższą stacją było Kulaszne. Tu odwieźli go najbliżsi – Piotr, głowa rodziny, młodszy bracia Filip, Jan i Paweł, a w Płonnej dosiadła się jeszcze siostra Hania, która przez długie lata zastępowała mu matkę.

Na stacji stał niewielki, murowany budynek¹. Pociąg miał nadjechać w niedługim czasie. Przyszła więc pora na rozstanie. Chociaż chciałoby się powiedzieć dużo, żal ścisnął gardło i nie można było znaleźć odpowiednich słów na pożegnanie. Wszyscy więc milczeli. Rozmyślać było o czym: o nieznanej podróży w ten wielki świat, o wspomnieniach minionych chwil, o przekazaniu nieco otuchy i przykazań na drogę od starszego rodzeństwa. Andrzejowi urywały się myśli. Przebiegały przez pamięć krótkie sceny z całego dzieciństwa – jak matka tuliła go do siebie, i jak leżała na śmiertelnej pościeli, i ojciec, który ciągle był zajęty ciężką pracą w polu i majstrowaniem przy domowym wyposażeniu, i zabawy z młodszymi braćmi, i ta ciężka, mozolna praca u siostry dla zarobienia na kawałek chleba. Ale rozmyślanie niewiele dawało. Czas szybko upływał i po chwili zza wzniesienia znajdującego się po prawej stronie ukazał się dym z parowozu, a potem łoskot wagonów i cały, potężny i trochę tajemniczy wehikuł wtoczył się na stację. Uściski pożegnalne nie trwały zbyt długo, bo konduktorzy ponaglali, aby szybko wsiadać.

– Niech cię Bóg prowadzi... Pamiętaj o nas... Uważaj na siebie i pisz do domu *Andrzejcu* – te słowa, wypowiedane przez najbliższych, długo rozbrzmiewały w uszach, gdy pociąg ruszył i z łoskotem przetaczał się przez wąwozy pomiędzy Beskidem Niskim i Bieszczadami.

Przez cały czas, aż do Zagórzcu, po prawej stronie w tę długą i nieznaną podróż towarzyszył Andrzejowi szeroki i rwący pomiędzy odsłoniętymi kamieniami, jak zawsze w czasie letniej suszy, duży potok, zwany Oslawą.

¹ Po upływie kilkunastu lat akurat w tym budynku rozpoczynać się będą dzieje Dobrego Wojaka Szwejka, opisane przez czeskiego pisarza Haszka.

W wieku dwudziestu lat przyszło mu nareszcie jechać nowoczesnym pociągiem. Dotąd nigdy nie miał ku temu sposobności. Widział pociąg wiele razy. Bywał przecież w Komańczy i w Rzepedzi. Gdy miał czas, to godzinami wyczekiwał, ażeby widzieć i słyszeć jak jedzie. Myślał o nim dużo. Wiedział już jak to się dzieje, że w środku woda podgrzewana węglem albo drewnem wytwarza wielką siłę. Wiedział, ale to było wszystko. Przecież on nie miał spraw ani pieniędzy, które upoważniałyby go do jazdy tym, co jest przeznaczone dla ludzi ze świata... Teraz jednak wyzwanie sprawiło, że i on razem ze wszystkimi siedzi tu, a ktoś dba o to aby mógł jechać bezpiecznie.

Po niecałej godzinie jazdy, w Zagórzu przyszło opuścić pociąg i poczekać na inny, udający się do Tarnowa. W Tarnowie kolejna przesiadka i oczekiwanie na pociąg, który miał przyjechać ze Lwowa. Dalej podróż miała prowadzić do Krakowa. Czasu teraz było więcej – aż do wieczora. Razem z towarzyszami tej nieznaney podróży, wśród których znajdował się również Łukasz pochodzący z sąsiedniego Karlikowa, wyszli więc z peronu i udali się do budynku dworcowego. Tam ułożyli swoje tobołki pod oknem, zostawili kogoś do ich pilnowania, a sami poszli nieśmiało na sąsiednie ulice, aby popatrzeć na miasto. Ze wszystkich nowych wrażeń najbardziej w pamięci utkwiała inność tych ludzi, polegająca na posługiwaniu się całkowicie polską mową. Do tej pory język ten słyszał w Bukowsku, kiedyś w Sanoku, ale nigdy nie był w miejscu, gdzieby nie było ludzi używających mowy ukraińskiej lub łemkowskiej. Tu było całkowicie inaczej. A więc po raz pierwszy odczuł, że nie jest już w domu.

Z Tarnowa, już późnym wieczorem, wyruszyli następnym pociągiem do Krakowa. Tu zaś przyszło im czekać aż do rana. Około godziny dziesiątej pojawił się na dworcu przewodnik i wytłumaczył, że dalej pojadą pociągiem w stronę Katowic, ale żeby pytali się ludzi i wysiedli w mieście, które będzie nazywać się Mysłowice, a tam powinni czekać na stacji, aż przyjdzie ktoś i zabierze ich w dalszą podróż.

Do Mysłowic dojechali około południa. Tu na peronie stał mężczyzna ubrany w białą koszulę i czarny zakiet, a na głowie miał niewielki kapelusz. Zebrał całą grupę i kazał im czekać w wyznaczonym miejscu, aż zbierze się więcej ludzi i oddalił się. Oczekiwanie było dosyć długie. Po jakimś czasie nadjechał inny pociąg. Ludzie mówili, że to pociąg od Częstochowy, a przyjechali nim ludzie z Królestwa Kongresowego. Andrzej dotychczas spotykał Polaków w różnych miejscach i wiedział, że kiedyś Polska była wolnym krajem, ale nigdy nie słyszał o takim królestwie. Ci, co umieli czytać, mówili, że na stacji i w mieście na sklepach napisy wykonane są znajomymi literami, jakby ukraińskimi, ale słów nie rozumieją. Nie bardzo mieli pojęcie, dlaczego napisy nie są tu w języku niemieckim, tak jak na ziemiach austriackich, a w języku rosyjskim. Właśnie tu, w Mysłowicach, zbiegały się bowiem granice trzech zaborów, pod jakimi znajdowała się Polska – au-

striackiego, rosyjskiego i niemieckiego. Oni przybyli z ziem jego wysokości cesarza Austrii, Mysłowice znajdują się pod panowaniem cara rosyjskiego, a w dalszą podróż będą musieli odbyć przez ziemie niemieckie. Za wiele tych różnorodności na raz. I tak już wszystko męciło się w głowach od niewyspania, trudów podróży, a przede wszystkim od lęku przed nieznanym.

Naszym podróżnikom było wszystko jedno kto i gdzie panuje. I tak czytać w większości nie umieli i było im obojętne w jakim językiem wykonane są napisy. A po drugie, to oni jadą do kraju, gdzie przyjdzie im uczyć się całkowicie innej mowy. Ważniejsze jest teraz to, co będzie z nimi dalej, jak długo przyjdzie im jeszcze koczować na stacji i kiedy będą mogli odpocząć po długiej i niewygodnej podróży.

Wreszcie, gdy słońce zaczęło już chylić się w stronę zachodu i przybył kolejny pociąg, ponownie pojawił się mężczyzna w czarnym żakiecie i w kapeluszu. Wszyscy poderwali się na nogi, przygotowując się do dalszej podróży. Jakież było ich zdumienie, gdy – zamiast wskazać do którego pociągu mają się udać – kazał im pozbierać rzeczy i iść za nim w stronę miasta. Szli grupą około trzydziestu osób. Minęli kilka ulic, a potem prowadzono ich przez budynek przewieszony w kształcie łuku nad ulicą. W tym dziwnym miejscu znajdowała się kontrola graniczna pomiędzy Monarchią Austro-Węgierską a Cesarstwem Niemieckim. Dalej przed nimi pojawił się rozległy, niewysoki budynek¹ z czerwonej cegły z wieloma szerokimi bramami, przez które mogły przejeżdżać wozy konne. Zatrzymano ich na placu przed tym budynkiem, podzielono na grupy i kazano rozejść się do przydzielonych pomieszczeń.

W budynku tym znajdowali się już inni ludzie, którzy przybyli tu przed nimi. Pomieszczenia były dosyć obszerne, z cementową posadzką, ze sklepieniami zamiast sufitów i małymi, wysoko osadzonymi oknami. Po środku stał duży stół, zbity z topornie ostruganych desek. Pod jedną ścianą znajdowały się ławki, a pod drugą drewniane prycze, zaścielone zgrzebnymi kocami. Poinformowano nieszczęśników, że miejsce to będzie ich domem do czasu, kiedy to przyjdzie wiadomość o możliwości dalszej podróży. Dostaną skromne pożywienie i mają cierpliwie oczekiwać na to, co ma nastąpić. Mieszkali teraz w grupach mniej więcej po piętnaście osób. Warunki były ciężkie. W pomieszczeniach panował wielki zaduch w dzień i wilgotny chłód po nocach. Własne zapasy żywności szybko pokończyły się, a otrzymywane wyżywienie było nędzne. Codziennie to samo – na śniadanie i kolację ciemny, kleisty chleb z czarną kawą, czasem okraszony smalcem i kawałkami cebuli, a na obiad postna zupa z kartoflami i kaszą. Bywało, że w zupie czasami można było wyłowić kawałek żyłastego i tłustego mięsa. Mijały dni i tygodnie. Ludzie zaczęli chorować i wycieńczać się nerwowo.

¹ W budynku tym w czasie pisania tej książki urządzone było Centralne Muzeum Pożarnictwa.

Nikt z nich nie był przyzwyczajony do życia w takiej ciasnocie, w oderwaniu od świeżego powietrza i z dala od przyrody oraz do tak lichej i nieświeżej stawy. Najbardziej dokuczliwa była bezczynność i tęsknota za pozostawionymi rodzinami, domami i całym dawnym otoczeniem oraz strach przed tym, co ma nastąpić. Ta, niespodziewana przystań niczego dobrego nie mogła zwiastować na dalsze losy życiowe.

Kolejnego dnia rankiem, gdy – jak zwykle – posilali się czarnym chlebem ze smalcem i popijali gorzką kawę, każdy starał się zawinąć na drogę kilka kromek, bo tak na dobre nie było wiadomo jak długo będzie trwała ta podróż, zanim zobaczą morze i czy ktoś będzie dbał o ich puste żołądki. Po śniadaniu wydane zostało polecenie, aby pospieszenie przygotowywać się do drogi, bo za godzinę wyruszają. Pakowanie nie trwało długo, bo i wywożonego dobytku nie było za wiele. Nie było też z kim się żegnać. Wyjeżdżali przecież wszyscy. Na miejscu pozostała tylko nieliczna obsługa tego nędznego przybytku. Pewnie nie będzie tu zbyt długo pusto, bo agenci będą zwozić następnych nieszczęśników, gotowych do opuszczenia tego kraju za poszukiwaniem lepszego i bardziej godnego życia.



Na zdjęciu tzw. przewiązka – pozostałość po dawnym urzędzie celnym, stanowiącym część obozu emigracyjnego w Mysłowicach. Zdjęcie z 2002 roku.

Wkrótce ten posępny orszak w całości wyruszył na stację kolejową. Szli tą samą drogą, jaką przemierzali kilka tygodni temu w odwrotną stronę. Nikogo z miejscowych ludzi nie dziwił ten przemarsz, ponieważ widok taki w Mysłowicach powtarzał się co kilka tygodni. Najwięcej ludzi zawsze pochodziło z Podkarpacia, ale byli i tacy, co pochodzili z odległych stron – ze Słowacji, dalekiej Ukrainy, z Królestwa Kongresowego. W Ameryce w tym czasie bowiem następował przyspieszony rozwój przemysłu, wzrastały farmy i zawsze potrzebne były nowe ręce do pracy.

Na stacji czekały już na nich trzy wagony, podstawione zawczasu na boczne tory. Były to obite deskami lory z powstawianymi oknami. Wewnątrz każdego wagonu wokół ścian przymocowane były drewniane ławki, po środku blat, zbity z desek na kształt stołu, a w rogu za skrzypiącymi drzwiami znajdowało się ustronne miejsce, z którego wydobywał się duszący fetor. Grupa zajęła wagony, po czym wszystkim jeszcze raz sprawdzono dokumenty upoważniające do odbycia tej podróży.

Po godzinie, gdy już zaryglowano przesuwane drzwi, dał się słyszeć głuchy łoskot i szarpnięcie wagonami. To parową lokomotywą przestawiano wagony na inne tory i doczepiano je do już stojącego przy peronie pociągu. Wreszcie ruszyli. Przez okno było widać wielkie hałdy węgla i szyby kopalniane z kręcącymi się u góry potężnymi kołami, przez które przechodziły stalowe liny. Widok taki był im dotychczas obcy. Jeszcze nie wiedzieli, że po niedługim czasie dla niektórych z nich będzie on chlebem powszednim. Po krótkim czasie znaleźli się za granicą. Otóż pociąg właśnie minął tereny należące do imperium rosyjskiego i przetoczył się na ziemię cesarstwa pruskiego. W stosunkowo krótkim czasie znaleźli się nasi podróżnicy już w trzecim kraju, bowiem jeszcze niespełna miesiąc temu znajdowali się w Austrii, byli już w Rosji, a teraz przemierzali kraj niemiecki. To tak, jakby ktoś chciał powoli przysposobić ich do wielkiego świata i żeby nie doznali zbyt wielkich wrażeń w chwili, gdy już będą całkowicie na nowej ziemi.

W Gliwicach odczepiono ich od całego pociągu i przyłączono do innego, który, jak im powiedziano, miał jechać aż do samego Berlina. Po godzinie jazdy teren za oknami pociągu wyrównał się. Teraz było widać rozległe pola, łąny koszonych zbóż, a w oddali dorodne lasy. Takie równinne tereny dla wielu z nich, zwłaszcza dla mieszkańców Łemkowszczyzny, były wielką nowością. Andrzej pomyślał sobie, jak bardzo monotonne musi być tutejsze życie. Przecież ci ludzie nie widzą żadnego urozmaicenia. Gdzie te beskidzkie i bieszczadzkie pagórki, gdzie te połoniny i rwące, czyste jak kryształ potoki? Gdzie to wszystko? Jak on przywyknie na tej obczyźnie? Ale tak na dobrą sprawę, to wcale nie wiedział dokąd jedzie i jak tam będzie wyglądał świat. Teraz ważniejszy dla niego był dzień jutrzejszy i to, co stanie się z nim za kilka dni lub nawet kilka godzin. Po takich myślach sam uspakajał się, bo chociaż przebywał wśród ludzi, to tak naprawdę już od dawna przywykł do samotności i musiał liczyć na własne siły. Nic więc gorszego nie powinno go już spotkać.

Pociąg głucho łoskotał i szamotał się na boki. Około południa za oknami pojawiło się znów duże miasto. Pociąg powoli wtaczał się na stację, aż w końcu zatrzymał się pod wielkim zadaszeniem, które obejmowało wszystkie perony. Gdy już stanęli, rozległ się ochrypły krzyk konduktora:

– *Breeslauuu¹!*

– Dojechaliśmy właśnie do Wrocławia – powtarzali niektórzy spośród nich, co znali się trochę na geografii i historii tych ziem.

– To miasto kiedyś było polskie, a potem czeskie. Teraz należy do Niemców – powtarzali pomiędzy sobą.

Ile to zamieszania w dziejach ludzi już było – pomyślał Andrzej, a ile jeszcze tych komplikacji będzie? Nie mógł oczywiście wiedzieć, że to miasto – *Breslau*, jak właśnie wykrzyknął konduktor, czy też Wrocław, jak go

¹ Wrocław (niem.)

nazywają inni – stanie jeszcze na jego drodze. Nigdy nie mógł też przypuszczać, że będzie ono miało tak duże znaczenie dla jego potomnych.

Pociąg stał tu ponad pół godziny. Do parowozu nalewali wody, natomiast nieszczęsnych podróżników prowadzący ich agenci, którzy sami podróżowali w wygodnych wagonach z przodu pociągu, zaprowadzili na koniec peronu do stojących na ławach dużych kotłów, gdzie mogli się napić czarnej kawy i nabrać jej do naczyń, ile kto chciał na dalszą jazdę.

Po jakimś czasie na peronie rozległy się okrzyki konduktorów, wzywające wszystkich do wsiadania. Gdy pociąg wytoczył się spod wielkiego i okopconego zadaszenia, po prawej i lewej stronie rozlegał się widok wielkich domów i fabrycznych kominów. Ile tu pracy... Czy trzeba to jechać aż za morze, ażeby zarobić na życie? – zamyślił się Andrzej i przysnął znużony.

Późną nocą dojechali do Berlina. Gdy ludzie z pasażerskich wagonów powysiadali i konduktorzy sprawdzili wszystkie przedziały, czy ktoś nie zapomniał bagażu, lokomotywa ruszyła i, manewrując kilka razy do przodu i do tyłu, cały pociąg kilkakrotnie zmienił tory, po czym odczepiono wagony z emigrantami i pozostawiono je na bocznicę. Tu czekali do rana. Kiedy słońce świeciło już wysoko na niebie, podjechał do nich wózek, ciągniony przez mężczyzn w białych fartuchach i obdzielano ich chlebem i kawą – z zapasem na dalszą drogę. Tak przestali do godzin popołudniowych, po czym ponownie podjechała do nich niewielka lokomotywa i dołączono ich wagony do pociągu, który w niedługim czasie miał wyruszyć w drogę do portowego Hamburga.

Zanim słońce schyliło się ku zachodowi, ujechali już ładny szmat drogi po nizinach Dolnej Saksonii. Andrzeja ponownie ogarnęła melancholia i rozmyślanie nad tym, jak bardzo różni się kraj, po którym podróżują, od urozmaiconych krajobrazów Podkarpacia, jakie opuścił niemal przed miesiącem. Poniewiera się po świecie już tak długo, a przecież oddalił się od rodzinnych stron tak niewiele. Tak naprawdę, to mógłby jeszcze teraz zrezygnować z tej ryzykownej podróży i, choćby pieszo, powrócić do domu. Łatwo pomyśleć „do domu”, tylko do którego domu? Siostra Hania już wypełniła swoje zobowiązanie i pomogła mu w dorastaniu do lat męskich. Pomogła mu nie za darmo. Przecież ciężko i po kilkakroć odrobił tę łyżkę strawy i marny przyzdziewek. A do rodzinnego domu w Przybyszowie też nie mógł powrócić. Nie mieszkał tam od wielu lat. Rodziców od dawna już nie było, a poza tym jest tam pełna chata czeladzi – młodszego rodzeństwa i dzieci zrodzonych z brata Piotra. Zresztą Piotr już wykosztował się, pomagając mu w opłacie tej wyprawy i nie może ponownie żądać od niego dalszego wsparcia. Musi się pogodzić, że raz na zawsze ojcowizna już nie należy do niego.

I tak kołatały mu się po głowie różne rozmyślania, a pociąg nieustannie parł do przodu, aby wreszcie rozwiązać ostatecznie wątpliwości na temat sensu tej podróży. Po prostu pewne dokonania coraz bardziej stawały się nieodwracalne. Nie było już innego wyjścia, niż skutecznie całe przedsięwzięcie i spróbować nowego życia. Gorzej nie powinno już być. Jest młody i silny, a pracy przecież się nie boi – już od małego był do niej przysposobiony. Jeżeli dalej będzie pracować tak gorliwie, to trudu więcej nie dozna, a być może, że i korzyści pewne z tego mogą wypłynąć.

Nad ranem, gdy już dobrze rozwidniło się, linia kolejowa prowadziła w pobliżu dużej rzeki. To Łaba. Zabudowania stawały się coraz gęstsze i wyższe. Ponad domami mieszkalnymi w niebo wystrzeliwały fabryczne kominy. Wjeżdżali na przedmieścia Hamburga. Jeszcze kilka rozjazdów kolejowych i pociąg wtoczył się pomiędzy perony. Podróżnikom naszym zakazano jednak wysiadania i po pewnym czasie towarowe wagony, jakimi jechali, zostały odczepione i – ciągnięci oddzielną lokomotywą – ruszyli w stronę kanałów portowych. Po kilkunastu minutach tej krętej podróży pomiędzy zwalami różnych materiałów, towarowych pociągów i dźwigów, zatrzymali się nieopodal nabrzeża portowego. Kazano im nie wychodzić z wagonów i czekać na dalsze polecenia. Po upływie około godziny wyprowadzono wszystkich z wagonów z całym bagażem, jaki kto posiadał, przeliczono ich, sprawdzono kolejny raz dokumenty i poprowadzono w stronę, gdzie stał przycumowany duży okręt pasażerski.

Szli tak jeszcze ładną chwilę. Z oddala widać było górujące nad okrętem trzy dymiące kominy, a w miarę zbliżania się, statek wydawał się coraz bardziej potężnym. Jego kominy zasłaniała teraz ogromna burta, która po czasie wydawała się być olbrzymią, żelazną ścianą. Okrętem tym był parowiec, a nazywał się *Preussen*. Stał już gotowy do wyruszenia w daleką drogę.

Po kolejnym sprawdzeniu dokumentów opuszczono trapy i przeprowadzono ich na pokład, a następnie w dół po żelaznych schodach do wnętrza okrętu – aż do nisko położonych, ogromnych kajut, z niewielkimi, okrągłymi bulajami, przez które przedostawało się niewiele światła. Do ścian przymocowane były żelazne prycze, na których znajdowało się łącznie pośłanie. Po środku stał metalowy stół z drewnianym blatem i przytwierdzonymi do podłogi ławkami. W każdym takim pomieszczeniu, należącym do czwartej klasy, swoje miejsce na prawie trzy tygodnie znalazło po dwanaście osób. W porcie stali jeszcze około dwóch godzin. W tym czasie wsiadali ludzie elegancko ubrani, z dużymi bagażami. Zajmowali oni pomieszczenia na górnych pokładach. Przetransportowano jeszcze jakieś ładunki, po czym przez bulaje było widać wzmożone krzątanie się ludzi z obsługi.

Podniesiono trapy, odczepiono cumy i zawyły okrętowe syreny. Puszczony w ruch śruby napędowe wprawiły cały okręt w potężne drgania, po

czym widać było jak oddala się betonowe nabrzeże. Okręt wyruszył najpierw portowymi kanałami, a potem znalazł się w głównym nurcie Łaby. Tak płynęli jeszcze godzinę, po czym drgania śruby okrętowej wzmożyły się jeszcze bardziej, powtórnie zarzycały syreny i widać było oddalający się ląd. Andrzeja kolejny raz ogarnął żal. Teraz jego podróż stała się już nieodwracalną. Nie można było już wysiąść na najbliższej stacji i – choćby pieszo, jak to miał nieraz ochotę podczas podróżowania pociągami – powrócić do swoich rodzinnych stron. Teraz należało myśleć tylko o tym, co go czeka tam, za morzem, jakie będzie tam życie i czy da sobie radę.

Zrobił się wieczór. Potem płynęli jeszcze cały dzień i noc, a następnie zbliżyli się ponownie do lądu i, po minięciu kilku kanałów, okręt przymocowany został do nabrzeża. Było to miasto Belfast w północnej Irlandii. Zrobiło się znaczne zamieszanie. Przez niewielkie okienne otwory było widać, jak po trapie wsiadają znowu ludzie, najpierw skromnie odziani, z niedbale zapakowanymi tobołkami, a potem jegomości w eleganckich ubraniach, panie w kapeluszach i z parasolkami. Ludzie rozchodzili się po pokładach – na górnym ci lepiej ubrani, a pospólstwo rozmieszczane było w kajutach położonych w dolnej części okrętu. Następnie powtórzyła się scena z Hamburga – świsty na górnym pokładzie, dzwonienie łańcuchów z podnoszonych trapów, szorowanie odczepianych cum, drgania śrub napędowych, ryk syren i oddalające się nabrzeże.

Wszyscy wiedzieli, że długo poprzez niewielkie, okrągłe okienka, które raz po raz zalewane były falą, nie zobaczą nic, poza wodą i przemieszczającymi się nad nią chmurami. Urozmaicheniem było gwiaździste niebo w nocy. Ludzie siedzieli na swoich pryczach przymocowanych do ścian. Ci na dole mieli wygodniej, bo siadać mogli bez kłopotu w każdej chwili, a ci, którym przypadło spać na górnym posłaniu, mieli mniej wygody, ponieważ za każdym razem trzeba było wdrapywać się po drabince. Przy wejściu na pokład w Hamburgu każdemu przydzielono blaszane miski i kubki oraz łyżki. Pożywienie roznosili kucharze trzy razy dziennie. Nie było w nim wielkiego urozmaicenia – na śniadanie i kolację czarna kawa, chleb ze smalcem, czasem kawałek jakiegoś mięsa lub sera, a na obiad gęsto ugotowana zupa z chlebem, niekiedy kartofle polane rzadkim sosem lub tłuszczem ze skwarkami. Ci z podróży, którzy – jak Andrzej – przechodzili przez zgrupowanie w punktach zborów, znajdowali się już od kilku ładnych tygodni w drodze i dawno nie spożywali świeżych potraw. Wielu z nich cierpiało na różne schorzenia – przeważnie zapalenia dziąseł i jamy ustnej, choroby często nękającej morskich podróżników.

Przez cały czas słychać było monotonne drgania silników parowych i śrub napędowych. Statek, rozcinając fale morskie, nieustrudzenie kierował się na zachód. Pogoda, z początku słoneczna i niemalże bezwietrzna, ulegała ciągłym zmianom. Coraz częściej niebo zasłane było chmurami, co szcze-

gólnie w nocy przyprawiało wszystkich o wielkie przygnębienie. Było wiele czasu na różne rozmyślania, ale myśli ciągle uciekały w rodzinne strony, w których Andrzej w swojej wyobraźni nieustannie widział swoich najbliższych – braci i siostry, dziecięce lata w Przybyszowie, młodzieńczy okres w Płonnej, spotkania z Kasią. W uszach rozbrzmiewały mu odgłosy cerkiewnych dzwonów i śpiewy młodzieży na wieczornych spotkaniach zimowych lub na majówkach. Rozmyślając tak o tym, sam zanucił:

...czem trawka zielona? bo blyz'ko woda,

*czem diwczyna harna? bo szcze mołoda...*¹

i, jeszcze bardziej zasmucony, ucichł.

Atmosfera w kajutach dla podróżnych czwartej klasy była przygnębiająca. Niskie stropy, słabe światło wpadające przez okrągłe bulaje, porożrzucające toboły, duszący dym palonego tytoniu i powszechny zaduch od ściśniętych na małej powierzchni i od dawna tylko powierzchownie umytych ludzi, powodowały lichy nastrój i zmęczenie. Przygnębienie wzmagane było dodatkowo nostalgią za porzuconymi ojczystymi stronami, rozmyślania o tym, co ma nastąpić oraz pogłębiające się objawy choroby morskiej. Nikt z nich dotąd nie był na otwartej wodzie, a pogoda ciągle się psuła. Okręt kołysał się na możliwie wszystkie strony – wzbijał się na wysokie grzbiety fal, aby po chwili niemal całkowicie zanurzyć się w otchłaniach oceanu. Potężna siła miotła go na boki i powodowała zmianę kierunku poruszania się. Wewnątrz trudno było ustać na równych nogach. Z konieczności ludzie niemal całymi dniami wylegiwali się na niewygodnych pryzkach.

Andrzej nie mógł już dłużej znieść tej przygnębiającej sytuacji. Postanowił wyjść na górny pokład, po którym dotychczas przechadzali się podróżni z droższych klas. Ci z dolnego pokładu nie pasowali do bardziej wytwornego towarzystwa, a do tego do wychodzenia „na świat” nie zachęcała nieznajomość powszechnie słyszanej tu mowy niemieckiej.

Panująca w tym czasie pogoda – wichry z nieustannie zacinającym deszczem, wysoka fala i chłód – zapędziła większość pasażerów do swoich kabin. Korzystając z tego niespokojnego luzu, Andrzej postanowił przyjrzeć się bliżej pracy marynarzy. Szczególnie w oczy rzucił mu się majtek dzielnie stojący za kołem sterowniczym i wpatrujący się w kompas. *Jak można było dokładnie wiedzieć, w którą stronę kierować tego olbrzyma po bezkresnych wodach głębokiego oceanu?* – rozmyślał, zadziwiony. *Widać są na świecie ludzie mądrzy* - westchnął w duchu, zdumiony i lekko wylękony młody emigrant. *– Dlaczego mnie nie zdarzyła się sposobność, ażeby nauczyć się takich wspaniałych umiejętności? W czym jestem gorszy od niego?*

Okręt coraz bardziej poddawał się potężnym siłom żywiołu. Miotła go na wszystkie strony. Wzbijał się do góry, to znów zanurzał się aż po same

¹ ...czemu trawa zielona? / bo blisko jest woda / czemu dziewczyna ładna? / bo jeszcze jest młoda (ukr.)

burty. Słysząc było trzeszczenie napinanych lin i wiązań. Marynarze biegali i z wielkim z troskaniem sprawdzali, czy wszystko jest na swoim miejscu. Starali się mocować przedmioty podatne na przemieszczanie się. Przy opadaniu w dół i przy większych przechyłach fala raz po raz przelewała się przez burty. Wkoło powiększał się nastrój grozy i zakłopotania. Kapitan głośno i nerwowo wydawał komendy, posiłkując się przy tym gwizdkiem, a podlegli mu ludzie pospiesznie i zdecydowanie starali się te polecenia wypełniać. Nastrój grozy udzielał się wszystkim obecnym na pokładzie. Dlatego marynarze zachęcali do ukrycia się wewnątrz kajut. Niektórzy, pomimo wszystkiego, przytrzymywali się lin wantowych i przechyleni przez burzę, oddawali w cierpieniach nie tylko dzisiejsze, ale nawet i wczorajsze pożywienie.

Widok był przygnębiający. Andrzej sam poczuł, że jest z nim co raz gorzej i postanowił poszukać schronienia w dusznej kajucie pod dolnym pokładem. Tu nastrój zgrozy nie był mniejszy, lecz przynajmniej nie zacinąło słoną wodą i nie przenikał chłodny wiatr. Za to zaduch potęgował się jeszcze bardziej, a blaszane spluwaczki co chwilę napępniały się. Powodowało to ogromny fetor i siało niepokój. Ludzie, pozbawieni sił, zaczęli się modlić. Dało się słyszeć różne jęki: *my God, Boże mij, meine Gott...* i podobne wezwania Boga w różnych językach. Niejeden żałował, że matka wydała go na świat i że odważył się na taką podróż. Andrzej, wymęczony i udręczony, rozmyślał teraz nad swoim życiem, całym dzieciństwem, latami młodości, a najbardziej o tym, że chciał szukać lepszego życia, a tymczasem spotykają go same poniewierki. Jak tu w takiej sytuacji myśleć o przyszłości? Pamięcią wrócił do uroczystych modlitw cerkiewnych i przeciągających się w nieskończoność nabożeństw. Ze znanych mu pacierzy najczęściej powtarzał:

– *S'wiaty Boże, s'wiaty kripkyj, s'wiaty bezsmertnyj, pomyluj nas...*¹

A następnie:

– *Bohorodyce, diwo, raduj'sja...*²

Rozżalony i wylękniony przywarł do swojej pryczy. Okręt kołysał się coraz mocniej. Najgorsze do wytrzymania były ciągle wznoszenia się w górę, a potem nagłe opadanie w dół – wydawało się, że aż do samego dna, jeżeli w ogóle ta rozszalała otchłań miała jakiegokolwiek dno. Wpadł w ten zwariowany rytm – przechył na prawo, przechył na lewo, podnoszenie się w górę i nagłe opadanie na dno. Huśtawka ta zdawała się trwać bez końca. Wreszcie wycieńczony usnął.

Rozbudził go niewielki przeblysł światła, wpadający przez okrągły bulaj. Okrętem szamotało nadal. Wszyscy spoczywali na swoich miejscach, tylko pakunki i tobołki raz po raz przesuwwały się w różnych kierunkach.

¹ Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami (ukr.)

² Bogurodzico, dziewico, bądź pozdrowiona... (ukr.)

Leżeli tak, nie wiadomo jak długo. Wreszcie z łoskotem otworzyły się drzwi do kajuty. Dwóch stewardów pojawiło się wewnątrz z kotłami napelnionymi strawą. Nikogo jednak to nie interesowało. Poprosili tylko, aby im nalać kawy do blaszanych kubków. Na żadne jedzenie nikt nie miał sił.

– Kiedy burza się skończy, czy ten okręt przetrzyma tę nawałnicę, czy nie się nam nie stanie? – pytali jeden poprzez drugiego.

– Musimy spokojnie poczekać. Teraz nic nie wiadomo – słyszeli w odpowiedzi.

Leżeli więc w bezruchu, modląc się i oczekując poprawy. Żadnej pomocy znikąd nie mogli się spodziewać. Wszyscy byli w tym samym położeniu. Ci, co pierwsi doznali objawów morskiej choroby, w miarę przemijania czasu, zaczęli czuć się nieco lepiej. Innym natomiast wyraźnie pogarszało się. Około południa niektórzy nieśmiało próbowali wyjść na pokład. Było tam niewiele ludzi. Po chwili jednak wracali i ponownie kładli się na swoje posłania. Potem powtarzali, że burza narobiła wiele szkód – popękało dużo lin, niektóre rzeczy powypadały za burtę. Mówili też, że przelewające się przez pokład fale pozostawiały na nim dziwne stworzenia. Najciekawsze było duże zwierzę, koloru żółtawo-szarego, wielkością dorównujące – jak powiadali – krowie albo koniowi. Czy zwierzę owo miało jeszcze jakieś inne cechy przybliżające je do zwierząt domowych, nikt z naszych znajomych nie był w stanie powiedzieć. Nie mniej wiadomość o tym pozostała i powtarzano ją sobie z ust do ust. Potęgowało to jeszcze bardziej trwającą trwogę. Domyślano się, że w głębinach morskich muszą żyć nie wiadomo jakie potwory i kto wie, czy nie zagrażają one samemu okrętowi. Wydarzenie to niejedną raz przejawiało się w licznych opowieściach Andrzeja, jakie miał w zwyczaju snuć w późniejszym życiu.

Złe samopoczucie Andrzeja ustępowało bardzo powoli. Na pryczy przeleżał nieruchomo całą dobę bez jedzenia i prawie bez picia. Potem nieśmiało zaczynał wstawać, ale nie mógł spożywać posiłków. Dopiero po upływie trzech dni odważył się wyjść na powietrze. Morze już prawie uspokoiło się. Na pokładzie przechadzało się już coraz więcej ludzi. Na nieboskłonie widać było, jak przez szare i groźne chmury od zachodniej strony przebijają się promyki słońca. Stamtąd właśnie miała przyjść nadzieja na poprawę pogody, a kto wie, może i na lepsze życie.

Na razie mieli do pokonania jeszcze wiele mil morskich. Okręt płynął teraz pełną parą, to wzbijając się na malejące już fale, to znów pograżając się jakby w wodnej dolinie. Podróż stawała się już monotonna i męcząca. W drodze był przecież już od blisko dwóch miesięcy, cały czas oddalając się od rodzinnych stron, a przybliżając się do nieznanego.

– Niechby już wszystko raz wyjaśniło się do końca – wyszeptał do siebie wymęczony i przygnębiony młodzieniec. – Chciałbym już wiedzieć, jakie to będzie życie w tej Ameryce i czy dam sobie radę w tym obcym kraju.

Nastał poranek w połowie trzeciego już tygodnia od wypłynięcia z Hamburga. Na pokładzie widać było ogromne podniecenie. Marynarze pośpiesznie doprowadzali takielunek do porządku. Sami też ubierali czystsze mundury i golili kilkudniowe zarosty.

– *alles muss in Ordnung sein, alles muss in Klar*¹ – powtarzali jedni do drugich.

– Mówią, że dzisiaj dopłyniemy do New Yorku – powtarzali sobie podróżnicy.

Przed południem można było już wyczuć w powietrzu inny zapach. Po jakimś czasie nad masztami z krzykiem przeleciało kilka białych ptaków morskich.

– To mewy, pewnie już ląd niedaleko – słychać było odgłosy ludzi.

Nareszcie kapitan, ubrany galowo, oznajmił wszystkim przez tubę, że przed wieczorem dopłyną do portu. Dało się odczuć szmery zadowolenia, a jednocześnie wewnątrz narastał jakiś dziwny niepokój. Przygotowaniem do zakończenia tej, za długo już trwającej, żeglugi zajęli się również sami podróżni. Zaczęto doprowadzać do porządku swoje bagaże, mocno nadwyrężone przez szalejącą jeszcze niedawno burzę. Tobołki zostały uszczuplone przez wymieciecie z nich wszystkich zapasów żywności, jakie kto mógł zabrać na tę, daleką drogę. Należało trochę się obmyć i ogolić. Akurat z tą ostatnią czynnością Andrzej jeszcze nie miał problemów, bowiem na jego młodzieńczej twarzy, nie wyglądającej na przeżyte już dwadzieścia lat, nie pojawił się jeszcze zarost, właściwy dla dorosłych już mężczyzn.

Mewy coraz częściej pojawiały się nad płynącym okrętem. Tuż po zjedzeniu południowego posiłku od zachodniej strony dał się zauważyć nad horyzontem wąski, czerniejący pasek.

– To ląd – wołali ludzie na pokładzie.

Po godzinie po prawej burcie już wyraźnie zarysowała się linia brzegowa, porośnięta lasem. Płynęli tak jeszcze jakiś czas, kiedy to widoczne były z początku niższe, a potem coraz wyższe budynki. To Long Island – długa, jak sama nazwa wskazuje, wyspa, położona po południowo-wschodniej stronie Nowego Jorku. Już było późne popołudnie. Słońce znajdowało się nad zachodnią stroną nieboskłonu. Gdy okręt zmienił swój kierunek – słońce, świecące dotąd nad dziobem, stopniowo przesuwało się nad lewą burtę. Płynęli teraz prosto na północ i ląd widoczny był z przodu – po lewej i prawej stronie. Stopniowo linia brzegowa przybliżała się. Nad dziobem okrętu widoczne były w oddali wysokie budynki, wyraźnie wystrzeliwujące w górę ponad horyzont, natomiast ląd po prawej i lewej burcie przybliżał się, jakby zacieśniając drogę, która miała się już ku końcowi. To Brooklyn, leżący na wyspie Long Island w Nowym Jorku oraz Richmond na wyspie Staten Island, należącej do stanu New Jersey.

¹ Ma być wszystko w porządku; w ładzie (niem.)

Wśród podróżnych, zwłaszcza tych z trzeciej i czwartej klasy, narastał widoczny nastrój podniecenia. Znowu kończy się jakiś etap życiowy. Teraz przyjdzie zmierzyć się z nową rzeczywistością. Ale co ich czeka przedtem, nikt z nich dokładnie nie wiedział. Zaczęli przypominać sobie listowne opowieści ludzi, którzy wyjechali wcześniej lub tych, którzy już z *Hameryki* powrócili. Wiedzieli, że początki nie są łatwe. Ale teraz najbardziej interesowało ich to, co stanie się niebawem. Jak oni wyjdą na ten nieznany ląd? Czy będą czekać na nich agenci, którzy zaproponują im dobrą pracę, a może też mieszkanie? Skąd wezmą pieniądze na przeżycie pierwszych tygodni? Pytaniom, które natrętnie nasuwały się na myśl, nie było końca. Dodatkowo był jeszcze jeden problem – wszyscy wiedzieli z opowiadań, że najpierw trzeba przejść przez *Kasegardę* i, że tam jest bardzo ciężko.

Owa *Kasegarda* kiedyś naprawdę istniała, a w rzeczywistości nazywała się *Castle Garden*. Był to ośrodek przyjmujący imigrantów z całego świata, zorganizowany w starym forcie wojskowym, pochodzącym jeszcze z czasów, kiedy to Nowy Jork był kolonią holenderską i nazywał się Nowym Amsterdamem. Faktycznie była to kwarantanna dla wszystkich przybywających do tego kraju zza oceanu. Przetrzymywano tu ludzi tygodniami w ciężkich warunkach i oszukiwano na wszystkim, na czym się dało – na wymianie pieniędzy, na cenach biletów na przejazd do pierwszego miejsca pobytu, na prowizji od kontraktów na pracę itp. Powszechnie panowały tu terror i wielka korupcja. Dlatego rząd Stanów Zjednoczonych w roku 1890 zlikwidował tę gehennę. Od tego czasu imigrantów przyjmowano w innym miejscu, ale wcale nie oznaczało to dla nich wielkich udogodnień.

Nowy, państwowy ośrodek przyjmowania emigrantów zbudowany był na małej wysepce Ellis, należącej administracyjnie do stanu New Jersey, a położonej około półtora kilometra od wyspy Manhattan i zaledwie pół kilometra od Statuy Wolności, wybudowanej w podarunku przez Francję na obchody stulecia Stanów Zjednoczonych, jako symbol wdzięczności za wspólną walkę o niepodległość¹. Ośrodek ten nazywał się *Ellis Island Immigration Station*². Pierwszy budynek, zbudowany na kształt wielkiej stodoły, spłonął w roku 1897. Później zbudowano nowy, jeszcze ogromniejszy, o powierzchni dwadzieścia dwa tysiące stóp kwadratowych³.

Tymczasem płynęli tak jeszcze pół godziny i gdy, widoczne po prawej i lewej stronie, lądy zaczęły znowu oddalać się i woda stawała się coraz szersza, okręt wyraźnie zwolnił swój pęd. Potężne trąby wydały, kilkakrotnie

¹ Do dzisiaj niemal 100 % Amerykanów uważa Statuę Wolności za symbol niepodległości. Natomiast wśród zwolenników spiskowej teorii dziejów istnieje pogląd, że pomnik ten postawiła francuska loża masońska i w jego konstrukcji zawarte są symbole oznaczające, kto naprawdę ma wpływ na losy tego świata, a wszystkim wtajemniczonym, przybywającym do nowego kontynentu, mają one tę prawdę głosić.

² Ośrodek Imigracyjny na Wyspie Ellis (ang.)

³ Około 1820 m²

przerywane, dłuższe to znów krótsze sygnały, po czy zatrzymali się całkowicie. Po jakimś czasie przybliżył się do nich niewielki statek i, gdy przymocowali go linami i opuścili sznurowe drabiny, na pokład weszła grupa kilkunastu mężczyzn. Po przywitaniu się z kapitanem cały zespół wyruszył do pracy. Jedni wymieniali pieniądze, inni sprawdzali dokumenty, jeszcze inni zaś przeglądali bagaże. Wreszcie podzielono podróżnych na grupy. Ci ładnie ubrani – z pierwszej i drugiej klasy – zostali na pokładzie, a pozostali, czyli z trzeciej i czwartej klasy, musieli zejść do swoich kajut pod pokład i przykazano im, aby nie wychodzili stamtąd do czasu aż otrzymają na to pozwolenie.

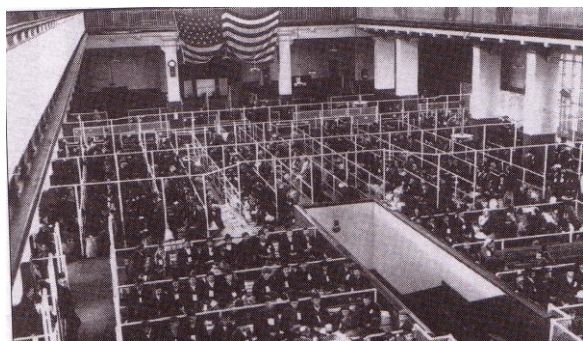
Andrzej poddał się wszystkim nakazanym rygorom. Najpierw stał posłusznie w kolejce do okazania paszportu, podał swój skromny bagaż do przeszukania, wymienił na dolary swoje austriackie marki, które pozostały mu jeszcze ze sprzedanej przez brata Piotra krowy, po opłaceniu wyjazdu i pobytu w obozie w Mysłowicach. Zeszedł też, jak mu nakazano, pod pokład i czekał, co z nimi będzie dalej. Wyglądając zniecierpliwiony przez niewielki bulaj, który ledwo wystawał nad wodą, przyglądał się tej nieznanej ziemi i myślał o tym, że tyle już przeszedł w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, iż nic bardziej dokuczliwego nie powinno go już spotkać.

Okręt przybił do nabrzeża położonego na Manhattanie. Przymocowano go cumami do kei, po czym dały się słyszeć łoskot żelaza i dzwonienie łańcuchów – odgłosy wydawane przez spuszczone trapy, służące do schodzenia na ląd. Po chwili powoli schodzili nimi elegancko ubrani podróżni z wielkimi bagażami. Trwało to około pół godziny. Następnie trapy podniesiono, okręt odcumowano i przeholowano go na leżącą w pobliżu Statuy Wolności małą wyspę Ellis Island. Po powtórzeniu znanych już z Hamburga, Belfastu i teraz, z Nowego Jorku, czynności z mocowaniem okrętu i spuszczeniem trapów, przyszedł czas na zakończenie tego etapu podróży. Wszyscy pasażerowie z trzeciej i czwartej klasy otrzymali przyzwolenie na opuszczenie okrętu. Podnieśli, zawczasu uporządkowane bagaże i powoli zaczęli wchodzić na pokład, skąd trapami w dół, aż – po niemal trzech tygodniach – ponownie nogami dotknęli ziemi. Ziemi nieznanej, która miała przynieść im wolność i nadzieję na lepsze życie.

Wyspa była niewielka. Teraz z pewnej perspektywy można było spojrzeć na wysokie budynki Manhattanu i na, znajdującą się w mniejszej odległości, Statuę Wolności (*Statue of Liberty*) – ogromny, wysoki na około trzydziestu pięter, posąg niewiasty z koroną na głowie i trzymającą, we wzniesionej tryumfalnie ręce, znicz wolności. Jaką wolność może przynieść ten symbol niepodległej Ameryki naszym emigrantom? Czy znajdą oni tutaj ukojenie swoich trosk i zapomnienie przeżytej poniewierki oraz doznanych upokorzeń we własnym kraju...?

Tymczasem mało kto wiedział co ten kolos może oznaczać i nie był to odpowiedni czas na podziwianie monumentalnych dzieł architektury. Po opuszczeniu okrętu nowo przybyłym rezydentom tego wolnego kraju wskazano jedyną drogę od nabrzeża, prowadzącą w kierunku niezbyt wysokiego, ale rozległego ośrodka przyjmowania emigrantów. Mieścił się on w długim, murowanym budynku, wykonanym z czerwonej cegły. W ścianie frontowej widoczne były dwa rzędy wysokich okien, od góry zakończonych ozdobnymi łukami. Stromy dach pokryty był czerwoną dachówką i przyozdobiony czterema, równo rozstawionymi kopułami.

Do wnętrza prowadziło kilka wejść, po pokonaniu których należało iść krótkim przejściem, wykonanym na kształt tunelu. Teraz przed przybyszami rozciągała się przepastna przestrzeń „Sali Wielkiej”. Było to wysokie, aż



„Sala Wielka” w „Ellis Island Immigration Station”

pod sam dach, pomieszczenie z dodatkowym stropem przyległym jedynie do ścian ze-

wewnętrznych, tworzącym jakby wielką, kwadratową antresolę, na której – już na poziomie pierwszego piętra – rozlokowane były wkoło różne pomieszczenia administracyjne, izolatki dla chorych, gabinety dla lekarzy i służb granicznych. Środek sali wewnątrz podzielony był na boksy, tworzące kilkanaście rzędów wzdłuż i wszerz. W każdym takim rzędzie znajdowało się po kilka okienek, za którymi siedzieli posępni lekarze, pielęgniarki i inspektorzy sanitarni, wyposażeni w maszyny do pisania, zestawy pieczętek i przeróżne formularze. Wokół sali rozmieszczone były potężne, podłużne stoły z ławkami, a w narożnikach znajdowały się bufety z potężnymi garami, przy których uwijali się przybrani na biało kucharze.



Sala jadalni w „Ellis Island Immigration Station”

Pomimo potężnej przestrzeni, wewnątrz „Sali Wielkiej” panował ogromny gwar i przykry zaduch, w którym

wyraźnie można było wyróżnić krzyżujące się przeróżne zapachy przygotowywanej i sprzedawanej żywności. Urozmaicenie serwowanych dań było imponujące, ale pomimo tego nie było możliwości zaspokojenia zróżnicowanych apetytów i gustów imigrantów, przybywających tu z całego świata. Inne były gusty i oczekiwania Irlandczyków, Niemców, Słowian, Chińczyków, Latynosów i jeszcze, Bóg wie jakich, nacji. Nie było sposobu, ażeby w każdym czasie były podawane potrawy według przyzwyczajień przybywających tu grup.

Dlatego zawsze można było zauważyć jęki niezadowolenia wielu ludzi. Występujący tu wielki ruch, wszechwładne zamieszanie i przepychanie się oraz obco brzmiące i niezrozumiałe nawoływania, dla przybyszów, wyczerpanych bardzo długimi podróżami, były nie do zniesienia. Wprawiało ich to w wielkie zakłopotanie i przygnębienie. Zdawali sobie jednak sprawę, że muszą pokonać i ten, nieoczekiwany, etap swojej poniewierki.

Andrzej dosyć ciężko zniósł znoje podróży. Mijały już niemal dwa miesiące od czasu kiedy to brat zawiózł go furmanką na stację w Kulasznie. Potem ta trudna droga do Mysłowic. Tam przedłużające się oczekiwanie na dalszy transport, przejazd przez Niemcy, długa podróż okrętem, choroba morska. Wszystko to, potęgowane nostalgią za rodzinnymi stronami, za krewnymi i niepewność jutra, spowodowało wyczerpanie fizyczne i psychiczne. I teraz jeszcze to ogromne zamieszanie, które miało stanowić wrota do wielkiego i sprawiedliwego i świata!

Tymczasem dzień chylił się już ku zmierzchowi. Na „Sali Wielkiej” zapalono gazowe latarnie. Zgiełk nie ustawał. Zanim Andrzej zdołał połapać się na czym polega ten rozgardiasz i ustawić się do okienka w jednym z boksów, oznajmiono, że na dzisiaj przyjmowanie imigrantów jest już zakończone. Tak więc nie pozostało nic innego, jak znalezienie w miarę dogodnego miejsca, gdzie mógłby położyć swoje tobołki i tam przysiąść znużony. Po usadowieniu się na ławie w samym rogu sali zauważył, że tuż obok miejsce na koczowanie znalazł jego współtowarzysz podróży i już dobry znajomy – wspomniany wcześniej Łukasz, pochodzący z Karlikowa, wioski położonej pomiędzy Przybyszowem i Płoną. Teraz razem rażniej będzie im przeczekać tę noc i, być może, nieco odpocząć przed nieznanym, jakie ma przynieść jutrzejszy dzień.

Obok dużego zmęczenia i nerwowego podniecenia zaczął dokuczać im głód i pragnienie. Od samego południa na okręcie, na którym przybyli, panowało ogromne zamieszanie i nikt już nie troszczył się o podróżnych. Nie pozostało nic innego, jak wydzielić drobną sumę z niewielkiej kwoty dolarów, jaką im wymieniono za marki przywiezione z Galicji i przeznaczenie jej na samodzielne już życie na obczyźnie. Po pewnym czasie Andrzej zdołał przepchać się przez ciągle bezładnie poruszający tłum i doszedł do buduaru, gdzie serwowano słowiańskie pożywienie. Jakaż była radość gdy mógł

otrzymać dla siebie i swojego przyjaciela miche pierogów z kartoflami i serem, okraszonych tłuszczem – chociaż w części przypominających te, jakimi posilał się w rodzinnym domu. Popiwszy spożyte pożywienie wodą, srodze umęczony, usnął przy swoich tobołkach, z głową złożoną na twarde, drewnianym stole.

Świtało już na dworze i przez łukowate okna do ogromnej sali wdzierały się pierwsze promienie słońca. Andrzej podniósł głowę i, wyprostowawszy zdrętwiały kark, rozejrzał się wkoło. Widok był niesamowity. Na podłodze, na ławach i stołach leżało mnóstwo ludzi. Bagaże porozrzucane były w wielkim nieładzie. Dużo osób kręciło się w różne strony. W powietrzu rozchodził się zaduch i kłęby dymu tytoniowego. Obok spał Łukasz, jego znajomy z podróży, z jedną ręką na ławie, a drugą wspartą o toboły. Przed przegrodami ustawionymi po środku sali w długich kolejkach ustawiali się strudzeni imigranci.

Dwaj nasi podróżnicy dopili resztę wody, jaka pozostała im po ostatniej kolacji, pozbierali swoje manele i zaczęli przepychać się w stronę boksów, gdzie należało załatwić swoje pierwsze na amerykańskiej ziemi sprawunki, od których miały zależeć ich najbliższe losy, a – być może – i nawet ich całe życie. Najtrudniejsze było to, że oni wcale nie mieli jakichkolwiek planów i swoich specjalnych żądań. Po prostu, wszystko miało zależeć od przypadku, czy postanowień urzędników, którzy w swoich przegródkach siedzieli za ladami i z miną arbitrów mogli decydować o tym, kto może pozostać w tym kraju, a kto do niego nie przystaje i w którą stronę powinien się udać po otrzymaniu zezwolenia na pobyt.

W ośrodku imigracyjnym na wyspie *Ellis Island* faktycznie odbywał się pierwszy przesiew ludzi przybywających do Stanów Zjednoczonych ze wszystkich niemal stron świata. Średnio przyjmowano tu ponad pięć tysięcy ludzi, a rekord wynosił 11750 osób, w ciągu jednej doby. Łącznie w okresie od 1892 do 1954 roku przewinęło się tedy ponad dwanaście milionów ludzi. Oczywiście, nikt z przybyszy nie mógł znać takiej statystyki. Ich natomiast przytłaczał wielki ruch, duża ciasnota, dające się tu słyszeć różne mowy oraz płacz ludzi pozostawionych na kwarantannę lub skazanych na powrót do swoich krajów. Zawracano ludzi z różnych powodów, najczęściej ze względów zdrowotnych, przekonania religijnego lub przeszłość polityczną. Średnio nie wpuszczano na terytorium Ameryki ponad sto osób dziennie. Widok więc koczujących i płaczących ludzi w oczekiwaniu na powrót okrętem z tej samej linii, jaka ich tu przywiozła i na koszt tej linii, nie był rzadkością. Wieści o takich praktykach rozchodziły się wśród przybyszy i każdy z nich żywił wielkie obawy, czy i jego nie spotka taki sam los. Obawy trwały tak długo, dopóki świeżo upieczony imigrant nie otrzymał nowych, amerykańskich dokumentów i biletu na pociąg w głąb kraju albo kontraktu na pracę w pobliżu Nowego Jorku.

Tak więc, wymęczony i udręczony najgorszymi myślami, Andrzej stał posłusznie w kolejce w przeznaczonym boksie, w którym rozmawiali w językach słowiańskich. Kierowano tu Polaków, Czechów, Słowaków, Ukraińców i Rosjan. Ludzie przesuwali się powoli, szurając po posadzce swoimi sponiewieranymi długą podróżą tobołkami. Przed południem stanął przed ladą, za którą siedzieli inspektorzy. Po sprawdzeniu dokumentów podróżnych zaczęły się przesłuchania. Najpierw trzeba było wymienić swoje imię i nazwisko, wiek i skąd się przybywa. Po ustaleniu, że dane są zgodne z zapisami widniejącymi w dokumentach, należało tłumaczyć się z wielu spraw, jak np. wyznawanej religii, zawodu dotychczas wykonywanego, umiejętności, z tego co chciałby robić, czy pracował już w jakiejś firmie, czy uczestniczył w strajkach, stanu rodzinnego, czy lubi zadawać się z osobami tej samej płci, ze stanu zdrowia, przebytych chorób, stanu majątkowego, na jaki okres przyjechał i odpowiadać na wiele, wiele innych, bardziej i mniej sensownych pytań. Razem pytań tych było dwadzieścia dziewięć.

Po wytłumaczeniu się ze wszystkiego, tzn. z tego co wiedział i nie wiedział, co myślał i nie myślał, należało przejść przez drzwi znajdujące się po drugiej stronie ludy, a dalej do niewielkiego pomieszczenia, wyposażonego w białe meble i z ludźmi tam siedzącymi również przybranymi w białe kitle. Za stołem siedział lekarz z przewieszonymi przez ramię słuchawkami, a przy nim pielęgniarka z białym czepkiem na głowie. Tu należało się rozebrać i poddać wszystkim oględzinom. Przeglądowi podlegały wszystkie miejsca na ciele, a nawet wewnątrz ciała – wszędzie tam, gdzie można było tylko zajrzeć. Ponownie wypytywano o stan zdrowia, przebyte choroby, opukiwano, osłuchiwano i obmacywano.

Wszyscy nowo upieczeni imigranci zdawali sobie sprawę z powagi takich oględzin. Stany Zjednoczone przeżywały w tym okresie ogromny rozwój gospodarczy. Budowano tu potężne fabryki, długie linie kolejowe i trakty komunikacyjne, kolonizowano i przeznaczano pod uprawę i hodowlę coraz to nowe obszary, wydzierane Indianom. Występowały tu wszelakie zasoby materiałowe. Nie brakowało tu w zasadzie niczego, oprócz siły ludzkiej. Pracy było wszędzie pełno, za którą płacono godziwie. Każdy, kto chciał się zatrudnić, mógł być pewien, że będzie go stać na utrzymanie siebie i swojej rodziny, a jeszcze będzie mógł zaoszczędzić na własny biznes, budowę domu, czy na odłożenie pieniędzy na zapas. Tak więc, siła robocza była tu potrzebna w każdej ilości. Był tylko jeden warunek – pracę należało wykonywać solidnie, z całym oddaniem się, a do tego niezbędne było odpowiednie zdrowie. Nie byli więc potrzebni tu ludzie słabi, ułomni lub zakażeni nieuleczalnymi chorobami. Każdy więc, kto stawał przed tą, jak gdyby komisją lekarską, zdawał sobie sprawę, że nie koniecznie musi on być wpuszczony na ląd amerykański. Chorym nie wydawano dokumentów, przetrzymywano ich w izolatkach jeden lub dwa tygodnie, a następnie odsy-

łano ich w drogę powrotną na koszt linii, którymi się tu dostali. Nie trzeba wspominać, że taki wyjazd był bardzo kosztowny i niejeden musiał wyprzedzić inwentarz na jego opłacenie lub zadłużyć się u sąsiadów. Najczęściej nie było dokąd i po co wracać. Tak więc, z duszą na ramieniu oczekiwali wszyscy na werdykt lekarski, który był niezbędny, aby otrzymać papiery na dalszą podróż i przebywanie na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Andrzej był średniej budowy o regularnych kształtach. Od małego zaprawiony był do ciężkiej pracy, co miało wpływ na wyraźne zarysowanie i dobre ukształtowanie się poszczególnych mięśni. Jednak w czasie przedłużającej się wędrówki od rodzinnej wsi galicyjskiej do tego miejsca, przebył wiele trudów. Pożywienie było na ogół marne, a do tego przed dziesięcioma dniami ciężko przeszedł, trwającą trzy dni burzę na oceanie. Wychudł więc i wyszczuplał nieborak. Oczy miał podkrążone, a twarz pobladłą. Przed wejściem prowadzącym do sali lekarskiej stał człowiek ze srogą miną i dokonnywał wstępnej oceny kondycji fizycznej przechodzących tędy nieboraków. Andrzej spotkał się z jego przenikliwym wzrokiem, po czym odczuł na swoich plecach lekkie draśnięcie.

– On ci narysował krzyżyk na ubraniu – poinformował go idący za nim przyjaciel z podróży, Łukasz.

Był to znak informacyjny dla osób z kolejnej kontroli, że tego człowieka należy szczegółowo ocenić, ponieważ może on mieć kłopoty ze zdrowiem. Piętno takie znacznie zmniejszało szansę, na pomyślne zakończenie całej weryfikacji. Zdając sobie z tego sprawę, Andrzej przystanął za drzwiami i poprosił Łukasza, aby ten skrycie starł z jego ubrania kredowe znamię. Nie wiadomo, czy operacja taka powiodła się całkowicie, bo po przejściu dalej lekarz długo przyglądał mu się i wypytywał o stan zdrowia, opukiwał i osłuchiwał. Kazał mu wymachiwać nogami i rękoma, wykonywać skłony i przysiady. W końcu zapisał coś na papierze, który wcześniej Andrzej dostał od inspektora siedzącego za ladą i kazał mu przejść z powrotem do pierwszego kantorka.

Urzędnik wziął do ręki papier wypełniony przez lekarza i ponownie zapytał Andrzeja co chciałby robić:

– Tu, koło *Niu Jorku*, jest dużo ludzi i o pracę trudniej. Radzę ci pojechać gdzieś dalej. Tam roboty jest pełno. Są duże *majny*¹, wiesz, węgiel wykopują spod ziemi i wszystkich przyjmują. A o mieszkanie też jest tam łatwiej.

– Ja mogę iść do *majny* – odpowiedział z wielkim zakłopotaniem Andrzej. Teraz dla niego najważniejsze było, aby w ogóle dostać pozwolenie na pobyt w Ameryce, a pracy żadnej się nie bał. – Tylko nie wiem dokąd mam się udać i jak tam dojechać.

¹ Brzmienie fonetycznie, od angielskiego słowa *mine* (kopalnia)

Urzędnik zaczął notować coś w dokumentach. Po chwili przybił w nich kilka pieczętek i wręczył je Andrzejowi.

– Masz tu papiery na pobyt w Ameryce. To jest twój nowy paszport. Musisz go szanować. Teraz wszędzie wolno ci jechać – wyrzekł urzędnik, podnosząc głowę znad lady. – Za godzinę będzie odpływać prom do Jersey City. Tam udasz się do agencji przy *Lincoln Street*. Oni ciebie pokierują.

Andrzej poczuł wielką ulgę. Wiedział już, że wszystkie udręki, o których wcześniej słyszał, związane z pobytem w „Kasegardzie”, ma już poza sobą. Potem przypomniał sobie, że to osławione miejsce, nazywające się właściwie *Castle Garden*, już nie istnieje, ale w tym przypadku nie chodziło o nazwę, a bardziej o obawę, czy zostanie wpuszczony na terytorium Stanów Zjednoczonych. Bardziej już spokojny, poczekał na swojego przyjaciela z podróży i rodzinnych stron – Łukasza. Po godzinie razem znaleźli się na niewielkiej barce, która przewoziła imigrantów na ląd na prawym brzegu ujścia rzeki Hudson.

Po wyjściu z barki i przebyciu około dwóch kilometrów pieszo, wraz z pokaźnym tłumem podobnych im zagubionych w tym nowym świecie ludzi, znaleźli się pośród niewielkich zabudowań. Na rogu pierwszej ulicy, przed budynkiem biurowym stała zebrana liczna grupka ludzi. Mówili, że tu mieści się jedna z agencji, które prowadzą nabór ludzi do pracy. Po niezbyt długim oczekiwaniu weszli do środka. Tu scena była podobna, jak w urzędzie przyjmowania imigrantów na Ellis Island, lecz nie było już takiego tłumu i przesłuchania nie trwały tak długo. Trafili do stanowiska, gdzie werbowano ludzi do kopalni węgla kamiennego w Wirginii Zachodniej, stanu położonego w kierunku południowo-zachodnim, o jeden dzień drogi koleją, pośród gór Appalachy. W te strony kierowano bardzo wielu przybyszów z krajów Europy wschodniej – Polaków, Słowaków, Ukraińców i Rosjan. Ludzie ci, zaprawieni ciężkimi warunkami życiowymi w swoich rodzinnych krajach, byli bardzo pracowitymi i posłusznymi robotnikami. Osiedlali się w pobliżu siebie, a więc i o przeżycie było im łatwiej. Rozumieli nawzajem swoje mowy, przez co czuli się mniej zagubionymi w tym, obcym, ale swobodnym i o całkowicie innych obyczajach, kraju.

Siedzący za biurkiem urzędnik spojrzał na dwóch młodych przybyszy, otaksował ich surowym i wprawnym okiem, po czym rzekł:

– Mam tu zapotrzebowanie z kopalni węgla w Monongah – mówił bliżej nieokreślonym językiem słowiańskim. – To jest w *West Virginia*, koło miasta Fairmont. Tam można dojechać *by rillway*, to znaczy kolej. Oni dają *ticket* na drogę. Tam wam dadzą też pensję na przeżycie, a potem trzeba to odpracować. Czy dla was będzie to *o.key*¹?

Andrzej z Łukaszem spojrzeli na siebie i na urzędnika. Nikt nie pytał ich czy chcą robić co innego albo, że mogą pojechać w inne miejsce. Byli już

¹ W porządku (ang.)

wymęczeniu podróży i wylęknieni obawami o możliwość przeżycia i całą swoją przyszłość. Wszystko, co się stało w ostatnich tygodniach, było właściwie bez odwrotu. Tak samo i teraz – wydawało im się, że jest to z góry zaplanowany ciąg zdarzeń, a oni nic tu nie mają do wyboru i muszą zgadzać się z tym, co im proponują.

– Tak, to będzie *o.key* – powiedział Andrzej, który już przyswoił sobie ten angielski zwrot.

Agent wypisał im skierowanie do pracy, na którym była nazwa i adres firmy i wręczył bilet na podróż koleją. Dał też każdemu po dwa inne dokumenty i powiedział:

– Macie tu *order away*¹ na robotę i *ticket for rillway*² na drogę. Potem trzeba będzie zapłacić za ten bilet, jak dostaniecie wypłatę. Stacja kolejowa jest w Newark. *Train*³ trzeba brać na Filadelfię, a dalej na Waszyngton. Tam wam powiedzą jak jechać dalej. A tu trzeba podpisać umowę.

Podsunał im do podpisania duży dokument, wypisany na białym papierze. Oczywiście, nasi przybysze nie byli kształceni w pisaniu. We wskazanym miejscu postawili więc, niewprawną do pióra ręką, po trzy krzyżyki.

Agent odebrał „podpisany” w ten sposób dokument i rzekł:

– *Good luck*⁴ – powiedział i wskazał na wyjście. – *Good bye!*⁵

Wzięli swoje dokumenty, ukłonili się na pożegnanie i wyszli. Na ulicy pytali ludzi, gdzie jest stacja kolejowa i gdzie jest to Newark.

Do stacji trzeba było jechać podstawionymi dylizansami, które to raz po raz odjeżdżały spod biur agencji kierujących ludzi do ich miejsc pobytu. Za drogę, która trwała niespełna dwie godziny należało zapłacić po dwadzieścia pięć centów, co nadwyrężyło ich skromne zasoby finansowe. Na miejscu okazało się, że pociąg w stronę Filadelfii odjedzie rano o godzinie dziewiątej. Obok stacji kolejowej były budynki, gdzie można było wynająć pokój do przespania się w cenie po pięć centów od osoby. Kupili coś do zjedzenia i udali się na spoczynek. Był to pierwszy nocleg odbyty już całkowicie na własną rękę i bez żadnej opieki. A więc, w końcu są w Ameryce! Od teraz trzeba sobie radzić samemu. Odczuli ulgę wolności, a jednocześnie wielką odpowiedzialność za swoje losy. Wiedzieli, że od tej chwili już nikt nie będzie im pomagał i wszystko, co robią, będzie miało duże znaczenie dla ich przyszłości. Jednocześnie zdawali sobie sprawę z tego, że niewiele mają do wyboru. Musieli dalej kroczyć po wskazanej, jakby z góry nakreślonej i niewidzialnej linii.

¹ tu: skierowanie (ang.)

² bilet na kolej (ang.)

³ pociąg (ang.)

⁴ dobrego szczęścia (ang.)

⁵ do widzenia (ang.)

Rano o godzinie dziewiątej na stację kolejową w Newark z łoskotem wtoczyła się wielka lokomotywa parowa z poprzyczepianymi do niej wagonami. Konduktorzy okrzykami oznajmiali, że jest to pociąg do Waszyngtonu przez Filadelfię, sprawdzili podróżnym bilety na przejazd i kazali zajmować miejsca. Wagony były obszerne, z jednym pomieszczeniem poprzdzielanym drewnianymi ławkami i przejściem po środku. Na jednym z końców wagonu wydzielone było niewielkie pomieszczenia na toaletę splukiwaną wodą. Nad każdą ławką znajdowała się metalowa półka na bagaże, a pod ścianami ustawione były metalowe spluwaczki. Do wagonu weszło pełno ludzi. Wśród nich byli miejscowi, ubrani niezbyt elegancko, większość z nich w kapeluszach i skórzanych kamizelkach. Niektórzy mieli na sobie skórzane pasy, od których zwisały pistolety przytroczone do uda. Wielu z nich paliło lub żuła tytoń. Wśród podróżnych wyróżnić można było grupę ludzi, którzy przybyli tu niedawno i z prowizorycznymi tobołkami zapewne udawali się w poszukiwaniu lepszego świata i swojego miejsca na nim.

Po upływie kwadransa rozległ się gwizd lokomotywy, konduktorzy przynaglali do wsiadania i zamykania drzwi, po czym cały ten stalowy zestaw ruszył z miejsca i zaczął toczyć się coraz to szybciej. Po drodze przejeżdżali przez gęsto rozsiane miejscowości, w których pociąg zatrzymywał się co kilkanaście minut. Po upływie około pół godziny wydostali się z górzystego terenu i wjechali na rozległe równiny, z polami uprawnymi, gdzieś niedaleko obsadzonymi sadami. Mijali też bujne i gęste lasy z potężnymi drzewami liściastymi i iglastymi.

Andrzej łapczywie spoglądał na te nowe, nieznane tereny i starał się jak najwięcej spostrzec czym one mogą różnić się od tych na Podkarpaciu, na rozłożystych obszarach śląskich, czy też dolin niemieckich. Z pędzącego pociągu nie mógł dostrzec drobnych różnic w wyglądzie dębów, sosen, innego koloru wiewiórek, czy występowania wielu nieznanych w Europie roślin.

– Świat, jak świat – pomyślał. – Wszędzie żyją ludzie i wszędzie trzeba pracować.

Nadzieja jego tkwiła w tym, że pracy nie powinno tu brakować, a za swój trud będzie mógł spokojnie żyć. A jak Bóg pozwoli, to może uda się odłożyć z zarobionych pieniędzy tyle, ażeby można było powrócić do swoich rodzinnych stron i tam urządzić sobie lepsze życie wśród swojego narodu i w pobliżu rodziny.

– Ale to tylko marzenia. Jeszcze jest za wcześnie, aby teraz o tym rozmyślać – powiedział jakby sam do siebie i, wsłuchując się w równomierny stukot kół, przymknął oczy, wielce zamyślony i zatroskany o swój los.

Przemieszczał się teraz przez całkowicie nieznany i bardzo oddalony kraj. Aż strach pomyśleć jakie ogromne przestrzenie dzielią go w tej chwili od jego rodzinnego Przybyszowa, od Płonnej, w której dorastał i ciężko pra-

cował, od braci i sióstr, którzy tam pozostali... Tyle przecież podróżował, pociągami i okrętem, a teraz znów pędzi w nieznane. Zadawał sobie pytania co teraz robią jego najbliżsi, koledzy i koleżanki z dzieciennych lat, czy Kasia dalej jest na służbie u gospodarza? Wiedział już, że słońce tu wschodzi i zachodzi o innej, niż w kraju, godzinie. A więc, jak tam teraz jest naprawdę: noc czy dzień. Jeżeli teraz tam jest noc, to skąd wzięła się ta zmiana? W czasie swojej podróży nie widział przecież żadnej zmiany. Zawsze słońce wschodziło i zachodziło o swojej porze. Jaki to ciekawy jest ten świat...

Tak rozmyślając na przemian – to nad ciekawostkami tego świata, to nad swoimi najbliższymi, to znów nad własnym losem – przemierzał przestrzenie Ameryki, raz podróżując co chwilę, a innym razem oglądając krajobrazy i mijane miejscowości. Po upływie około trzech godzin minęli miasto Trenton, a następnie jechali wzdłuż rzeki Delaware – aż do samej Filadelfii. Tu pociąg stał około pół godziny. Wiele podróżnych wysiadło, a na ich miejsce przybyli nowi. Następnie minęli Baltimore i, jadąc cały czas po równinie z widokiem po lewej stronie na wody zatoki Chesapeake, dojechali w pobliże Waszyngtonu. Przed samym Waszyngtonem pociąg skręcił bardziej na zachód i po pewnym czasie wjechali na stację w Arlington¹.

Tu nastąpiła przerwa w podróży. Pociąg zakończył swój bieg. Andrzej, wraz ze swoim towarzyszem Łukaszem z Karlikowa, według z trudem przeprowadzonego rozpoznania, musieli teraz udać się w kierunku stanu Wirginia Zachodnia. Pociąg w tamtą stronę odjeżdżał dopiero rano. Przyszło im w kolejną noc czekać przez wiele godzin. Przysiedli więc w niewielkim pomieszczeniu stacyjnym, w którym na dole urządzony był bar, a na górze znajdowały się pokoje do wynajęcia. Usadowili się przy stoliku pod oknem i kimali na przemian, dbając, aby jeden z nich pilnował bagaży i miał baczenie, czy nic złego się nie dzieje. Rano, utrudzeni wielce, wsiedli do kolejnego pociągu, który szlakiem oddalającym się od wybrzeża atlantyckiego, przez góry Appalachy, podążał w kierunku środkowej części kontynentu amerykańskiego.

Linia kolejowa początkowo prowadziła przez wielkie równiny, mijając po drodze coraz rzadziej rozmieszczone miejscowości. Niemal przez cały czas w zasięgu wzroku mieli znacznych rozmiarów rzekę, która widoczna była raz z lewej, to znów z prawej strony pociągu. Ludzie siedzący w wagonie mówili, że jadą w górę Potomaku, rzeki która przepływa przez Waszyngton, a następnie, poprzez zatokę o tej samej nazwie i zatokę Chesapeake, wpada do oceanu Atlantyckiego. Po upływie około trzech godzin dotychczas równinny teren zmieniał się w niewielkie pagórki, a potem zaczęły pojawiać się – raz na horyzoncie, to znów całkiem blisko – potężne góry skaliste, znacznie wyższe i potężniejsze od tych w galicyjskim Beskidzie

¹ Obecnie jest to dzielnica Waszyngtonu; na tutejszym cmentarzu pochowany jest prezydent John Kennedy.

Niskim. Były to góry Allegheny Mountains, wchodzące w skład pasma górskiego Appalachian Mountains. Teraz linia kolejowa niemal cały czas wspięła się w górę i przebiegała wzdłuż rzeki, która nie była już taka szeroka, ale woda w niej stawiała się coraz bystrzejsza. W pobliżu toru kolejowego przebiegał również trakt, po którym poruszały się dyliżansy konne, a od czasu do czasu można było dostrzec pojazdy bez żywego zaprzęgu, podobne do tych, jakie wcześniej widać było na ulicach Wrocławia, Berlina lub Hamburga. Pociąg jechał teraz znacznie wolniej, ale zatrzymywał się też o wiele rzadziej. Podróż wydłużała się.

Około południa minęli już najwyższe wzniesienia, a jeszcze wcześniej stracili kontakt z rzeką Potomac. Lokomotywa teraz pracowała już znacznie lżej, a pociąg poruszał się coraz to szybciej. Dodawało to jakby otuchy naszemu podróżnym, którzy przeczuwali, że ich podróż niebawem dobiegnie końca. Około godziny drugiej po południu minęli mniejszą już rzekę, Tygart Walley i pociąg na chwilę zatrzymał się w Grafton. Następnie po upływie ponad pół godziny podróży przełomem pomiędzy wzniesieniami, ponownie minęli niewielką rzekę o nazwie West Fork i cały żelazny zestaw z łoskotem wtoczył się na stację Clarksburg. Tu oznajmiono im, że podróżni udający się do Monongah powinni wysiąść i dalej mogą pojechać dyliżansem.

Domy w Clarksburg były znacznie mniejsze i skromniejsze od tych, jakie widzieli na wybrzeżu atlantyckim – w Nowym Jorku, Newark, czy Arlington. Na ulicach chodziło też mniej ludzi, a życie wydawało się jakby wolniejsze i spokojniejsze. Obok stacji kolejowej stały dyliżansy, które odjeżdżały o ustalonych godzinach w różnych kierunkach. Spytały o ten do Monongah i czekali na jego odjazd.

Wyboista droga prowadziła w pobliżu koryta rzeki. Kilkakrotnie przejeżdżali przez nią i widzieli ją raz z lewej, to znów z prawej strony. Jechali na północ. Teren wokół był skalisty, gdzieś tam porośnięty lasami. Słońce zmierzało już ku zachodowi, kiedy to na horyzoncie pojawiły się pierwsze zabudowania. Była to niewielka miejscowość Shinnston, a po upływie następnych dwóch kwadransów ponownie zobaczyli zabudowania, pomiędzy którymi widoczne były wieże z olbrzymimi kołami, zamontowanymi na samym wierzchu. W niektórych z nich koła te z łoskotem kręciły się raz w jedną, po czym znów w drugą stronę. Wokół wież usypane były hałdy czarnego węgla, a przy nich stały wagony kolejowe i krzatali się robotnicy. Zapytali się o nazwę miejscowości. W odpowiedzi usłyszeli:

– *The name of this locality is Monongah*¹.

Następnie pokazali woźnicy swoje skierowanie do pracy z prośbą o porównanie nazwy miejscowości. Ten po przeczytaniu papieru odpowiedział:

– *Yes, it is here*² – i potakująco skinął głową.

¹ Miejscowość ta nazywa się Monongah (ang.)

² Tak, to jest tutaj (ang.)

– To pewnie tu. Chyba to jest nasze przeznaczenie – powiedział Andrzej, trącając w bok swojego przyjaciela, pokazując mu urządzenia kopalniane. – Pewnie przyjdzie nam przy tym pracować. Nie wiadomo czy podobamy temu trudowi.

– Musimy się postarać. Nie mamy innego wyjścia – odparł w zamyśleniu Łukasz

Jechali w tej scenerii jeszcze niecałe pół godziny do czasu, kiedy to znaleźli się pomiędzy zabudowaniami, układającymi się w kilka wąskich uliczek, wkręcających się w zbocza gór, to znów obniżających się w kierunku płynącej rzeki. Dyliżans zatrzymał się na niewielkim placu, przy którym znajdowały się różne domy urzędowe i mieszkalne. Pośród nich wyróżniała się niewielka wieżyczka kościoła. Na niektórych z domów widniały duże napisy. Z napisów tych Andrzej nie mógł wysnuć żadnych informacji, bo, po pierwsze, brzmiały w zupełnie obcym mu języku, a po drugie, nie umiał czytać, gdyż do tej pory nikt go tego nie uczył. W dzieciństwie widywał napisy na obrazach cerkiewnych, na sklepach w Bukowsku i w Sanoku, na pismach, jakie czasami przychodziły z urzędów, ale nigdy nie próbował ich rozczytywać. Tak samo i teraz – musiał sobie radzić bez wnikania w to, co oznaczają litery poukładane w różne sposoby.

Wysiedli z powozu, który szybko oddalił się w dalszą drogę. Ludzi na placu, przy którym zatrzymał się dyliżans, było o tej porze niewiele. Już się zmierzchało i każdy spieszył na odpoczynek. Poczuli się zagubieni. Byli już srogo zmęczeni podróżą, a tymczasem nie było wiadomo co mogą robić dalej. Po chwili jednak podszedł do nich jakiś człowiek w średnim wieku z kapeluszem na głowie. Ubrany był w szare spodnie i skórzaną kamizelkę. Przez rozpięte poły kamizelki z przodu widać było skórzaną pas, z przytroczonym z boku rewolwerem.

– *Do You need a room*¹? – zapytał po angielsku. A po chwili, orientując się, że oni nie pojmują o co mu chodzi, złożył na płasko jedną dłoń na drugiej, tak złożone ręce podsunął pod szyję i skłonił na nich głowę.

– *Zimmer? Schlaufen*²? – spytał tym razem w łamanym języku niemieckim.

Akurat te dwa słowa w czasie trwającej długo podróży okrętem i pociągami niemieckimi stały się dla nich bardziej zrozumiałe i pojęli, że człowiek ów chce ich zaprowadzić na nocleg, albo wynająć pokoje. Robiło się już późno, a sami byli mocno utrudzeni długo trwającą podróżą. Nie spali już w łóżku od kilku dni i przydałby im się trochę wygodniejszy odpoczynek przed dalszymi trudami, związanymi z poszukiwaniem pracy i znalezieniem sobie miejsca na tej nowej, nieznanej ziemi. Przystali więc bez wahania na złożoną im propozycję. Nieznajomy, gdy zauważył skinienie głowami,

¹ Czy potrzebujecie pokoju? (ang.)

² Pokój?, spać? (niem.)

wziął Andrzeja za rękaw i poprowadził w boczną uliczkę, odchodzącą od placu, na którym zatrzymał się dyliżans. Szli tak przez chwilę, aż zabudowania stawały się coraz rzadsze. Minęli rzekę. Na skraju wioski, w miejscu gdzie droga raptownie skręcała w górę i dalej widać było tylko wysoki stok, stał wydłużony, drewniany budynek z nadbudowanym piętrem i wejściem skrytym za dwoma okrągłymi filarami. Nad wejściem świeciła się lampa naftowa, która lekko bujała się od podmuchu wiatru.

Weszli do środka. Nieznajomy mężczyzna poprowadził ich drewnianymi schodami na piętro, a dalej kilkanaście metrów wąskim korytarzem. Otworzył drzwi do sporego pokoju, zapalił lampę stojącą na stole i wskazał na dwa zaścielone łóżka. Przy stole znajdowały się trzy krzesła, a w rogu stała pokaźnych rozmiarów szafa. Warunki dla ludzi utrudzonych dwumiesięczną podróżą wydawały się prawie luksusowe. Był tylko jeden problem. Takie wygody pewnie drogo kosztują, a oni przecież nie mają wielkich zasobów finansowych, tym bardziej, że na początek nie wiadomo było jak nimi dysponować. Jednak chęć spoczynku była silniejsza od obaw i postanowili skorzystać z tej propozycji. Gestem dali do zrozumienia, że chcieliby wiedzieć ile trzeba pieniędzy na takie luksusy. Gospodarz pojął ich zapytanie i rzekł:

– *Ten cents for one person daily*¹ – po czym wyjął z kieszeni jednego centa i każdemu z osobna pokazał dziesięć palców.

Bardzo łatwo pojęli więc jakie są warunki. Gospodarz pokazał im jeszcze przez okno niewielki drewniany przybytek z wyciętym otworem w drzwiach, po czym wskazał na stojącą w rogu pokoju blaszaną miskę i kran z wodą usytuowany na końcu korytarza. Poprosił jeszcze ich o dokumenty, przy czym szczególnie przyglądał się skierowaniu do pracy w kopalni. Po chwili wcisnął kapelusz na głowę i odwrócił się.

– *Good night*² – rzekł, wychodząc z pokoju.

Zostali sami. Byli nieco zdumieni obrotem spraw, bowiem nie spodziewali się, że tak łatwo będzie im znaleźć jakieś miejsce do spania i to z całkiem znośnymi warunkami. Dodało im to otuchy do dalszych działań.

– Może niepotrzebnie tak boimy się o naszą przyszłość – rzekł Andrzej do przyjaciela. – W kraju też pracowaliśmy ciężko, a co z tego mieliśmy? Nawet na opłacenie drogi trzeba było pożyczać. A tu już mamy gdzie mieszkać, a w pracy też chyba damy sobie radę.

– I ja tak myślę. Roboty przecież nie boimy się. Jak będzie źle, to zarobimy trochę pieniędzy i możemy wracać – odparł Łukasz.

Następnie posilili się trochę z zapasów, które pozostały im jeszcze z podróży, obmyli się zimną wodą i, drugi raz od ponad trzech tygodni, udali się na spoczynek w normalnym, czystym i nie kołyszającym się łóżku. Andrzej,

¹ Dziesięć centów od osoby na dzień

² Dobranoc (ang.)

po ułożeniu się w pościeli, przymknął oczy, pomyślał o całych trudach tej wyprawy: o podróży pociągami do Mysłowic, potem miesięcznym pobycie w obozie przejściowym, o podróży przez całe Niemcy, chorobie morskiej, o przejściach w punkcie przyjmowania imigrantów na wyspie Ellis i o dalszej jeździe pociągami przez kawał Ameryki. Teraz sobie leży wygodnie na łóżku, w przestronnym pokoju i może wreszcie odpocząć. Pokonał więc, co prawda, krótki w czasie, ale bardzo odległy etap życiowy. Będzie miał przecież płatną pracę, a teraz cały los leży w jego rękach. Może będzie ciężko, ale musi wytrzymać i pokazać, że potrafi. Nie ma przecież dokąd i po co wracać. Nie może nieustannie pracować w pocie czoła na czyimś, a o wszystko, co mu jest niezbędne do życia – kromkę chleba, skromny przyodziewek – wypraszać, tak jakby jego trud nie był tego wart. Tak uciszony własnymi rozmyślaniami i wielką nadzieją na przyszłe życie, zapadł w twarde i spokojny sen.

Gdy obudzili się, słońce było już wysoko. Oporządkowali się, ubrali najlepiej jak mogli i wyruszyli do miasta w poszukiwaniu żywności, a następnie do biura kopalni, do której mieli skierowanie wydane w agencji w Jersey City. Pokazali barmanowi swoje papiery, a ten wskazał im drogę do kopalnianego *ofisu*¹. Przeszli kilka przecznic i zobaczyli okazały budynek z umieszczonym nad bramą dużym, łukowatym napisem *West Wirginia Coal Mains Ltd*², pod którym widniał herb z dwoma skrzyżowanymi kilofami. Chociaż samego napisu nie umieli rozczytać, po herbie domyślili się, że to właśnie tu mają się zgłosić.

W biurze przyjęli ich dosyć taktownie. Po obejrzeniu paszportu i skierowania znalazł się człowiek, który znał kilka słowiańskich słów i umiał porozmawiać z nimi w sposób dla nich zrozumiały. Po przepytaniu ich o wiele spraw, tłumacz ów zamienił kilka słów z urzędnikiem siedzącym za biurkiem, a następnie zwrócił się do dwóch nowych przybyszy:

– Możecie rozpocząć waszą pracę już jutro. Przyjdziecie rano o godzinie siódmej, Dostaniecie tu narzędzia potrzebne wam do roboty, a ubranie musicie mieć swoje. Będziecie na razie pracować przy załadunku węgla na wagony, a potem, gdy już przyuczycie się trochę, pójdziecie do pracy pod ziemią. Tam można więcej zarobić. *Boss*³ pyta czy zgadzacie się na to?

– Tak, zgadzamy się – niemal chórem odpowiedzieli Andrzej z Łukaszem.

– To dobrze. Wypłatę zarobionych pieniędzy będziecie odbierać raz w tygodniu, w sobotę po zakończeniu pracy. Pieniądzy nie radzę wam nosić przy sobie. Możecie zostawiać je w banku. Oni wam dadzą papier na to, ile u nich zostawiliście. Teraz *boss* może wam wypłacić zaliczkę, żebyście mie-

¹ Biuro (ang.)

² Spółka kopalni węglowych w Zachodniej Wirginii.

³ Szef w pracy (ang.)

li za co kupić sobie jedzenie i opłacić hotel. Zaliczkę tę będzie wam odliczać na raty z waszego zarobku. Czy wszystko zrozumieliście?

Wszystkiego słuchali uważnie. Lękali się bardzo przed tym, samodzielnym życiem na własną rękę w obcym kraju. Niczego więcej jednak nie oczekiwali. To, co im zaproponowano wydawało się i tak bardzo dużo.

– Tak, zrozumieliśmy.

– To dobrze. Trzeba przyjść jutro rano o siódmej, o *'kay*?

Już kilkakrotnie w czasie swojej podróży słyszeli już to słowo i wiedzieli co ono oznacza.

– O *'kay* – odpowiedzieli razem.

Odebrali po dziesięć dolarów zaliczki, ukłonili się w drzwiach i wyszli na ulicę.

Teraz poczuli się już znacznie lepiej. Byli wypoczęci i mieli grunt pod nogami. Było gdzie mieszkać, mieli pracę i pieniądze na przeżycie w najbliższym czasie. Tak podbudowani na duchu, z pełną otuchą w sercu, wybrali się na przechadzkę po miejscowości. Coraz bardziej oddalało się od nich nękające ich dotychczas poczucie lęku i obawy o przetrwanie. Mniej też odczuwali tęsknotę za własnym krajem i pozostawionymi tam bliźnimi i znajomymi. Teraz przyjdzie im żyć przez jakiś czas w tym miejscu, a potem...

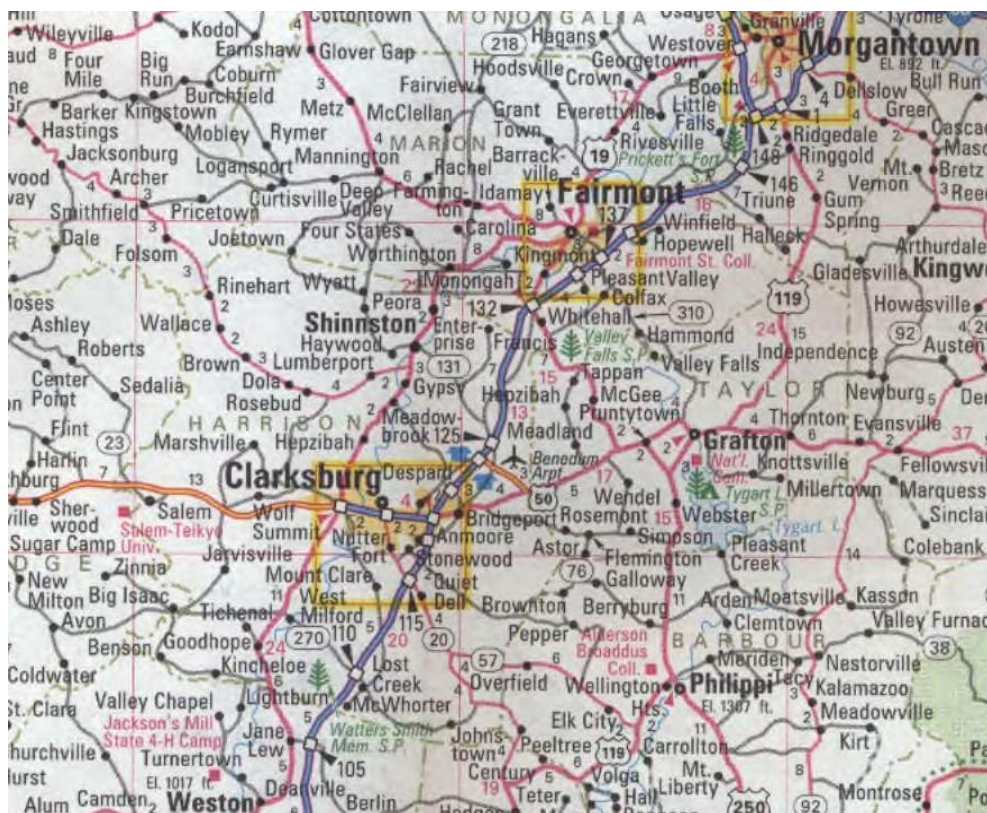
To „potem” wydawało się teraz odległe. Nie ma więc potrzeby rozmyślania o dalekiej przyszłości, kiedy się ma dwadzieścia lat, poczuło się grunt pod nogami oraz wielką nadzieję na lepsze i godne życie. Jest przecież tyle do zrobienia w najbliższym czasie, że nie ma konieczności zastanawiania się nad tym, co będzie kiedyś.

Szli więc rozejrzeć się po miejscowości i okolicy.

Monongah, miasteczko, a może tylko wioska, położone około osiem mil od miasta Fairmont, w tym czasie było niewielką osadą górniczą, rozłożoną w górzystym terenie po zachodniej stronie pasma górskiego Appalachów. Przez wioskę płynie górski potok West Fork, który w Fairmont wpada do większej rzeki, nazywającej się Tygart Valley, tej samej, którą minęli w Grafton. Od Fairmont tworzą one razem jedną większą rzekę Monnongahe-la, która to pod tą nazwą zmierza dalej na północ – aż do Pittsburga w Pensylwanii, gdzie – po połączeniu się z innymi dopływami – ponownie zmienia nazwę i stamtąd płynie do wielkiego jeziora Erie, położonego na granicy z Kanadą.

Całe otoczenie wioski Monongah było malownicze, a przyroda niemal dziewicza. Z każdej strony widoczne były mniejsze i większe wzgórza, porośnięte na szczytach świerkowym i sosnowym lasem, a zwodząc wzrok w dół, zobaczyć można było dęby, platany, brzozy i inne pojedyncze drzewa liściaste. Tereny tu i ówdzie poprzecinane były skalistymi, lśniącymi w słońcu uskokami. Jeszcze zaledwie przed jednym stuleciem zapewne rodzi-

ma ludność indiańska ustawiała tu swoje wigwamy, prowadziła łowy na dziką zwierzynę i odprawiała swoje obrzędy. W przeciągu dziewiętnastego stulecia jednak wyraźnie nasilała się ekspansja kolonizatorów, sprowadzanych tu występującymi bogactwami naturalnymi i przepiękną przyrodą, a



ułatwienie ku temu stanowiła niewielka odległość od wybrzeża atlantyckiego i niedawno wybudowane linie kolejowe. Tę, odwiecznie występującą tu, harmonię przyrody coraz częściej jednak zaczęły zakłócać osiągnięcia cywilizacji i rozwój przemysłu. Na tle stoków górskich, jak grzyby po deszczu, pojawiały się kopalniane wieże i hałdy wydobywanych kopalin, głównie węgla kamiennego. W dolinach rzek pojawiać się zaczęły osady robotnicze, nowe miasteczka, a na przyległych do nich równinach – pola uprawne.

Jak w wielu amerykańskich miejscowościach w tym czasie, centralnym punktem Monongah był plac, wokół którego skupiały się najważniejsze instytucje: biuro burmistrza i szefa policji, kościół, *saloon*¹ z hotelem i niewielki bank. Od placu rozchodziło się na zewnątrz kilka dróg, prowadzących nad wartko płynące strumyki górskie. Idąc na zewnątrz wioski, zabudowa stawała się coraz luźniejsza, a domy były mniejsze. W powietrzu czuć

¹ Potoczna nazwa restauracji w tamtym okresie, z salonem gier i innymi rozrywkami.

było zapach końca lata. Liczne ptaki latały na niewielkich wysokościach, jakby szykując się do mającej nastać zimy. Liście traciły już swoją świeżość zieleni, roślinność górska przekwitała, a chmury zwieszone były nisko nad horyzontem i, płynąc, niemal ześlizgiwały się po stokach gór. Cały ten nastrój Andrzejowi zaczął przypominać krajobrazy Podkarpacia, które opuścił przed dwoma miesiącami.

– Popatrz Łukaszku, – odezwał się po dłuższej chwili zadumy – tak dawno opuściliśmy nasz *Beśkid*¹, przejechaliśmy przez pół świata, wycierpieliśmy tyle poniewierki, a teraz mamy ziemię podobną do naszej. Teraz tu musi być nasz dom.

– Tak, tak, Andrzejku – odpowiedział Łukasz. – Ziemia podobna do naszej, słońce nad nami to samo i księżyc taki sam, ale to nie jest nasz dom. Nie ma tu naszych ludzi. Nikt tu wieczorem nie zanuci naszych pieśni i do cerkwi nie pójdziesz w niedzielę. Jesteśmy całkiem sami, ale musimy tu żyć i tu trzeba pracować na kawałek chleba, którego w domu nie zawsze mieliśmy w dostatku.

– Chleba tu nam nie powinno zabraknąć, tylko żeby dobry Bóg dał zdrowie i miał opiekę nad nami. Tutejszej mowy musimy się nauczyć, a ludzi też poznamy. Zobaczymy, może kogoś spotkamy z naszych stron.



Na zdjęciu Andrzej. 1901 rok.

Na takim rozmyślaniu i rozmowach na banalne tematy, byle czymś zająć czas i nie myśleć o samotności, upływały im resztki tego dnia. Myśleli też o mającej jutro się rozpocząć pracy. Trzeba było postarać się o wikt na jutrzejszy dzień, przygotować ubranie, a w ogóle to należało odpowiednio nastroić się do tego przedsięwzięcia, które przecież było celem ich podróży. Wiedzieli, że będą tam na nich patrzeć jak się sprawują i czy dadzą sobie radę. Nie mogli dopuścić do tego, ażeby po krótkim czasie szukać nowej pracy. Podpisali już wszakże kontrakty (jeżeli postawienie krzyżyków na papierach można było nazwać podpisem), wzięli niewielką zaliczkę i musieli myśleć poważnie o przyszłości. Uszczuplili więc ponownie swoje skromne finanse na zakup najbardziej potrzebnych rzeczy i żywności, a po powrocie do wynajętej stancji napotkali właściciela pensjonatu, któremu musieli wręczyć opłatę za pobyt do końca tygodnia.

¹ Chodzi tu o Beskid Niski (łemk.)

Tak więc, nastawieni na pokonywanie największych trudności, o zmierzchu udali się na drugi już spoczynek na nowym miejscu. W nocy sły-chać było hałas czyniony przez powracających późnym wieczorem innych mieszkańców tego przytuliska. Nie byli już zbyt zmęczeni, a więc i sen był jakby czujniejszy.

Andrzej, drzemiąc i przebudzając się na przemian, rozmyślał o wielu sprawach – zarówno o przeszłości jak i o przyszłym losie. Rozmyślania przerywane były wnioskami, że i tak nie mają one teraz dla niego żadnego znaczenia, bo przecież nic mu w tej chwili nie pozostaje do wyboru. Musi dalej kontynuować to, co zaczął z własnego wyboru. Chociaż, właśnie... Czy to był własny wybór? Przymusiła go do tego jego sytuacja. Miejsce urodzenia i przedwczesna śmierć rodziców stworzyły takie warunki, że mógł cały czas być czymś najemnikiem i zarobić tylko na przeżycie albo podjąć czegoś ryzykownego. Czegoś, co mogłoby dać mu szansę na znalezienie sobie ważniejszego miejsca pośród ludzi żyjących na tym świecie. To zawarcie zgody, jakby samego z sobą, ukoliło go i pozwoliło na pełniejszy odpoczynek, który powinien dać mu siły do wielkiego i długiego wyzwania, mającego na celu zorganizowanie sobie i w miarę wygodniejszego życia, właśnie w tym miejscu – w nieznanym kraju i pośród obcych mu ludzi.

* * *

Czas naznaczony był pracą, odpoczynkiem po pracy i przygotowaniem do pracy. Mijały dni, miesiące i lata już można było liczyć. W pamięci Andrzeja powoli zaczęły zacierać się obrazy z młodości. Teraz w pełni musiał być mężczyzną, całkowicie odpowiedzialnym za siebie. Życie układało się w sposób znośny. Najważniejsze, że była praca, z której mógł się utrzymać, zapewnić sobie całkowicie wystarczające warunki mieszkaniowe, wyżywić się i odłożyć sobie oszczędności na przyszłość.

Po kilku miesiącach pracy na powierzchni kopalni, głównie przy załadunku wagonów kolejowych, formowaniu składów pociągowych i porządkowaniu terenów wokół ramp załadunkowych, zaproponowano Andrzejowi zajęcie lepiej płatne, lecz wymagające większego wysiłku. Na początku zimy 1902 roku przeszedł do pracy bezpośrednio związanej z wydobyciem węgla pod ziemią. Oprócz aspektu dochodowego, zmiana ta miała dla niego również i inne dobre strony, a mianowicie w okresie trudnych warunków zimowych, jakie zazwyczaj występują w górzystym terenie Zachodniej Wirginii, przez co najmniej trzy miesiące, atmosfera wewnątrz kopalni daje swojego rodzaju schronienie przed mrozami, silnym wiatrem i śnieżycami – o ile w ogóle można mówić o dobrej i bezpiecznej atmosferze podczas pracy w kopalniach.

Wszystkie dni od poniedziałku do soboty były całkowicie podobne do siebie. Poranne wstawanie, pospieszny posiłek, dojście do kopalni ponad jedną milę, przebranie się i pobranie narzędzi, a potem trud przy urobku węgla, trwający ponad osiem godzin. Praca często była związana z różnymi zagrożeniami – a to niebezpieczeństwo obsunięcia się ściany lub korytarza, a to możliwość zapalenia się gazu, a to znów awaria oświetlenia lub wykolejenie wagoników wywożących węgiel. Przez cały czas należało mieć oczy dookoła głowy i bacznie wszystko obserwować. Polecenia należało wykonywać dokładnie – zarówno z konieczności zachowania dobrej opinii u *bossa*, co miało wpływ na podsumowanie zarobku pod koniec tygodnia, jak też dla zachowania wszelkich rygorów bezpieczeństwa.

Kopalnia, w której Andrzej pracował, nie miała szybu pionowego, jak to zazwyczaj bywa w górnictwie. W tamtym czasie w wielu kopalniach Zachodniej Wirginii węgiel kamienny wydobywano z pokładów znajdujących się na niewielkiej głębokości. Dodatkowo sprzyjało temu miejscowe ukształtowanie terenu. Po zachodniej stronie pasma górskiego Allegheny Mountains liczne wzniesienia górskie stromo opadały w kierunku dolin i rzek. W miejscach takich, aby dojść do grubych pokładów cennego surowca, wystarczające było wykopanie w stoku tunelu lekko opadającego w dół. Powodowało to wielkie oszczędności, ponieważ nie było konieczności wiercenia głębokich szybów, instalowania kosztownych wież wyciągowych i wind dla górników. Z tuneli bezpośrednio na zewnątrz prowadzone były kolejki z wagonikami do wywozu urobku. Wewnątrz tunele te niekiedy tworzyły prawdziwe labirynty; liczne korytarze miały rozgałęzienia, rozchodziły się w różne strony lub na różne poziomy, a niektóre z nich ponownie zbiegały się. Wszędzie była płatanina torów i ułożonych na izolatorach sieci elektrycznych.

Bywało, że po zakończonej pracy trzeba było dołożyć jeszcze sporo wysiłku na pokonanie szmatu drogi, aby wydostać się na zewnątrz tej podziemnej dżungli. Praca była ciężka, a wkoło pełno pyłu węglowego, szczelnie wypełniającego wszystkie zakamarki podziemnych korytarzy przez dłuższy czas po dokonaniu odstrzału. Wewnątrz było nie tylko pyliście i ciemno (słabe oświetlenie przy całkowicie czarnych czeluściach ledwie rozjaśniało wnętrze), ale również chwilami gorąco, a prawie zawsze duszno z powodu słabego napowietrzenia. Zawsze największym zagrożeniem był gaz. Dlatego ciągle należało sprawdzać jego obecność. Górnicy co chwilę więc, szczególnie po odstrzale, zdejmowali lampy z hełmów i unosili je ponad głowy, sprawdzając w ten sposób jego natężenie. Rozjaśniający się płomień wskazywał na obecność gazu i wtedy należało zachować wielką ostrożność¹. Węgiel ładowano ręcznie na wózki szynowe. Przed tym jednak, w

¹ 7 grudnia 1907 r. w Monongah w Zachodniej Wirginii miała miejsce największa katastrofa górnicza w Stanach Zjednoczonych. Od wybuchu gazu zostało wysadzonych całe zbcze

miarę wydłużania się korytarzy, należało na nowo przedłużać szyny i wykonywać nowe rozjazdy oraz nieustannie stemplować świeże wyrobiska i zabezpieczać przed zawaleniem stare korytarze. Pył węglowy wciskał się we wszystkie otwory na ciele ludzkim – pełno było go zawsze w nosie, ustach i uszach, a łzy ściekające z przekrwionych oczu tworzyły na policzkach osobliwe zacieki.

Na zawsze w pamięci Andrzeja utkwiał potworny wypadek, któremu uległ serdeczny kolega. Stojący na pochyłym torze wagon, załadowany węglem, zerwał się z zabezpieczenia i z dużą prędkością zaczął staczać się w dół tunelu. Stojący w pobliżu górnik starał się powstrzymać wagon poprzez podłożenie na szynę klocka hamulcowego. Nie zdołał jednak tego dokonać, a staczający się wagon zahaczył wystającym sworzniem o jego brzuch, rozciągając wnętrzności na kilka metrów wzdłuż torowiska. Gdy nieszczęśnik odzyskał przytomność, usiłował wstać i rękoma wkładać jelita z powrotem do jamy brzusznej. Zmarł po dłuższym czasie wielkich cierpień i wołania o pomoc. Wypadki takie, mniej lub bardziej makabryczne, nie należały do rzadkości.

Długi dzień roboczy przemijał szybko, chociaż niekiedy zmęczenie zwalało całkowicie z nóg. Jednak młody organizm musiał wytrzymać wszystko. Otuchy dodawała myśl, że pracuje się nie na darmo – można przecież zarobić trochę pieniędzy, a potem odmienić swój los.

W wielkim, codziennym trudzie czas przemijał jakby niepostrzeżenie. Sama praca, dojście do niej i powrót zajmowały Andrzejowi niemal pół doby. W czasie poza pracą należało zadbać o wszelkie sprawy bytowe, jak zapewnienie sobie pożywienia, ubranie, sprawy finansowe, napisanie listu do rodziny i inne drobne interesy. Mieszkał nadal w pensjonacie dla robotników, ale z biegiem czasu wynajął sobie nieco wygodniejsze, samodzielne pomieszczenie. Ponieważ był przystojny, rozpierał go wielki temperament i szczególne upodobanie płci przeciwnej, w pokoju tym nie zawsze nocował sam. Zdarzało się też, że przypadkowe towarzystwo mogło być dla niego kłopotliwe, a niekiedy i kosztowne. Nigdy przeto nie wiązał się z nikim na dłuższy okres, gdyż żadna z zapoznanych niewiast według niego nie nadawała się na towarzyszkę całego życia. Aż nadto ciągnęło go do słowiańskiej natury.

Nie pracował i nie zamieszkiwał już razem ze swoim przyjacielem z podróży do Ameryki, Łukaszem z Karlikowa. Utrzymywał jednak z nim nadal kontakty. Obaj prowadzili w pełni samodzielne życie. Spotykali się w dni wolne od pracy, kiedy to nieraz chodzili na modlitwy do jedynej w okolicy kościoła, należącego do parafii protestanckiej. Z początku w nabożeństwach tych nie wszystko było dla nich zrozumiałe z powodu słabej zna-

góry, w którym znajdowała się kopalnia. W wyniku tej eksplozji śmierć poniosło 362 górników.

jomości języka angielskiego. Uczestniczyli też niekiedy w różnych uroczystościach miejscowych o charakterze ludowym, zwanych tu *country*, a połączonych z tańcami, śpiewem i różnymi konkursami, jak rzucanie do celu końskimi podkowami, wchodzenie na śliskie pale, chwytanie na lasso i wiązanie cielaków, rodeo i inne temu podobne igrce.

Z biegiem czasu Andrzej coraz bardziej przyswajał sobie obcy mu dotychczas język angielski z miejscowymi naleciałościami i swoistymi dla Ameryki skrótami. Wielkie zainteresowanie wykazywał nauką pisania i czytania, pomimo, że nie chodził do żadnej szkoły. Po prostu prosił codziennie kolegów o pokazywanie mu znaczenia liter i sam próbował rozczytywać je na różnych napisach. Widząc jego zapał do nauki, mieszkająca obok niego Irlandka podarowała mu książkę, z jakiej uczyły się jej dzieci. W późniejszych latach wspominał, że była to jedyna w jego życiu książka, jaką kiedykolwiek otrzymał w podarunku. Dopiero po jakimś czasie dowiedział się o kursie dla imigrantów, na którym – oprócz języka angielskiego – uczono podstaw rachunków i innych wiadomości. Po pewnym czasie sam próbował już sztuki pisania. Rozpoczął ją od podpisywania się swoim imieniem i nazwiskiem¹, a z biegiem czasu próbował pisać listy do rodziny w Przybyszowie i Płonnej. Pisanie to było dosyć dziwne, bo pisał w języku ukraińskim, a ponieważ nie znał cyrylicy, to z konieczności używał liter łacińskich. Widać adresatom, a raczej tym, co te listy czytali dla adresatów, nie sprawiało to zbyt dużych trudności, bo listy krążyły dosyć regularnie w obie strony. W ten sposób, kiedy to już nikogo nie musiał prosić o napisanie listu, korespondencja odbywała się częściej, co bardziej przybliżyło go do pozostawionych krewnych i zmniejszyła się nostalgia za własnym krajem.

Z biegiem czasu coraz częściej spotykał w pracy ludzi pochodzących z Podkarpacia, z centralnych rejonów Polski, Słowacji czy Ukrainy. Po pewnym czasie najbliższym jego przyjacielem został Polak, pochodzący z okolic Rzeszowa, nazywający się Wojciech Pitelski. Nawiązywane z ludźmi kontakty pozwoliły na prowadzenie różnych rozmów: o tym co słychać w starym kraju, na tematy ogólnoswiatowe, czy o problemach religijnych. W ten sposób nie czuł się już tak samotnym. Jednak po powrocie z pracy, czy po przyjściu z miasteczka, gdy przyszło mu zamknąć drzwi za sobą, nadal czuł się opuszczonym i pozostawionym sam na sam ze swoimi problemami. Często podejmował rozmyślenia, czy długo w tym kraju pozostanie. Ciężka praca, przy oszczędnym trybie życia, przynosiła mu zauważalne oszczędności. Przecież mógłby zarobić jeszcze trochę pieniędzy i próbować wrócić do kraju. Jest jeszcze taki młody, a tam po powrocie zakupiłby kawałek ziemi, na którym postawiłby dom i następnie mógłby pomyśleć o założeniu rodziny. Szybko jednak otrząsał się z takich rozmyślań. Oszczędności miał jesz-

¹ Nazwisko „Priadka”, z powodu trudnej jego wymowy w języku angielskim, zostało Andrzejowi zapisane jako „Pratka”

cze zbyt małe i gdyby teraz chciał powrócić, to byłoby tak samo, jakby zawrócił w połowie drogi z dalekiej podróży. Jeszcze jest czas na urządzenie sobie stałego życia. Teraz musi zarabiać – tak, aby było go stać na więcej. Dalej więc pracował w trudzie i w znoju, a wszelkie plany życiowe odkładał na potem.

* * *

Przeminęło ponad sześć lat. Wszystko układało się nadal pomyślnie. Andrzej powoli zaczynał poczuwać się Amerykaninem. Znał już płynnie mowę angielską, umiał pisać i czytać, a w banku przyrastały jego oszczędności. Powoli ustawała wielka tęsknota za rodzimym krajem i za najbliższymi. Często otrzymywał wiadomości od rodziny. Tam też na ogół wszystko układało się bez większych kłopotów. Ale, jak to często bywa w życiu, jeżeli zbyt długo nie ma problemów, to znaczy, że wkrótce mogą one wystąpić. Tak też stało się i w życiu Andrzeja.

Była późna jesień 1907 roku. Dzień stawał się coraz krótszy. W miasteczku nie odbywały się już tak często imprezy rozrywkowe, a wynudzeni mieszkańcy pensjonatu, w którym zamieszkiwał Andrzej, często zabawiali się wewnątrz, grając w karty, a niekiedy nadużywając mocnych napitków, chociaż w tym czasie rząd Stanów Zjednoczonych wprowadził już prohibicję na produkcję i sprzedaż alkoholu. Okoliczności takie często prowadzą do nieporozumień. Tak więc było tym razem. Późnym wieczorem w sobotnie popołudnie Andrzej usłyszał na drugim końcu korytarza głośnie krzyki, przeradzające się w hałas, a następnie w potężne wrzaski. Co chwilę można było słyszeć:

– *Godam! You are a son of a bitch!*

– *You are the son of a bitch!*¹

Rozgwary takie niepokoiły go to srodze, ponieważ chciał już udać się na nocny spoczynek. Wtem nagle do jego uszu doszedł odgłos wielkiego łomotu. Wyrzwał na korytarz. Dostrzegł jak z sąsiedniego pokoju wypchnięty został jeden z lokatorów, uczestniczących w tych głośnych dysputach. W ręce trzymał kawał odłamanej nogi od stołka. Za nim wybiegł inny mężczyzna, odgrazając się i używając nadal głośnych przekleństw. Wtem ów człowiek, wypchnięty na korytarz, zamachnął się i rzucił w swojego adwersarza trzymanym przedmiotem. Ten drugi jednak w tym momencie pochylił się, a Andrzej poczuł ogromne uderzenie w głowę, zwałił się z nóg i opadł na podłogę. Gdy się ocknął po pewnym czasie, leżał już na łóżku z okrwawioną głową i potężnym bólem w okolicach lewego oka. W tym momencie chwycił się ręką za oko, chcąc zdjąć z niego bandaż lub jakąś – jak mu się wydawało – przesłonę. Momentalnie jednak z wielkim zdziwieniem stwier-

¹ przekleństwa w jęz. angielskim

dził, że żadnego opatrunku ani innej przewijacki na głowie nie ma, a na oko po prostu nie widzi.

Przeleżał tak, w wielkim bólu i w rozpacz, do rana w swoim pokoju. Nazajutrz wezwano właściciela hotelu, który po obejrzeniu urazów stwierdził, że należy zawieźć Andrzeja do szpitala w Fairmont. Tam opatrzone mu głowę i podano leki uśmierzające ból. Po kilku dniach zdecydowano się na operację, która nie dała żadnej poprawy, a po jakimś czasie postanowiono o konieczności usunięcia oka.

Zdarzenie to stanowiło wielką klęskę. Po oswojeniu się ze swoim kalectwem przyszedł czas na chłodne obrachunki. Leczenie, chociaż w części pokryte ze środków ubezpieczeniowych, pochłonęło Andrzejowi wiele z zebranych dotychczas oszczędności. Przez dłuższy czas nie był w stanie kontynuować pracy zarobkowej, a potem okazało się, że w ogóle nie może pracować przy urobku węgla, ponieważ nie powinien przez jakiś czas podejmować ciężkich wysiłków, a ograniczenie pola widzenia i wiążąca się z tym utrata możliwości oceny odległości, może powodować wielkie zagrożenie dla jego życia i zdrowia w ciężkiej i skomplikowanej pracy pod ziemią.

Pozostały mu do wyboru dwie możliwości: albo szukać nowej, mniej skomplikowanej i gorzej płatnej pracy, albo powrót do kraju i rozpoczęcie tam życia jakby od nowa. Mijały dni na rozmyślaniach i wysłuchiwanie rad innych. W tym czasie rana po amputowanym oku zagoiła się, a powoli zaczął ustępować również szok psychiczny. Zaproponowano mu też – dla częściowego zatuszowania kalectwa – używanie oka szklanego. Nie pozostało nic innego jak tylko pogodzić się z tą ułomnością i starać się ułożyć życie w inny sposób. W tym czasie Andrzej znał już w Monongah wielu ludzi. Gdy na początku pobytu w tej miejscowości pracował przy załadunku wagonów i formowaniu składów pociągowych, zaprzyjaźnił się z kilkoma ludźmi z kompanii kolejowej Western Maryland Railway Company, zajmującej się wywozem węgla z kopalń Zachodniej Wirginii. Ludzie ci, widząc pracowitość Andrzeja i wykazywanie się przez niego własną pomysłowością, cenili go wysoko. Postanowił więc odszukać ich i zapytać o możliwość zatrudnienia. Rozmowy powiodły się i zaproponowano mu pracę w miejscowym punkcie przeglądów wagonów i przy wykonywaniu drobnych napraw. Pracę tę z zadowoleniem podjął. Od teraz nie musiał już wykonywać wyczerpującego i niebezpiecznego zajęcia pod ziemią. Po jakimś czasie zarobki jego poprawiły się i jego pozycja materialna wyrównała się.

W prowadzonej z braćmi i siostrami korespondencji Andrzej długo nie wspominał o swoich ciężkich przeżyciach. Nie chciał, ażeby oni martwili się o niego, a ponadto chciał uniknąć obmowy ludzi nieprzychylnych mu, którzy tam, w kraju, nie mogąc sami osiągnąć sukcesu, chętnie przyjęliby wiadomość o czyjejs porażce.

Wiosną 1908 roku bracia Jan i Paweł powiadomili go, że chętnie chcą pójść jego śladem i również, nie widząc możliwości urządzenia sobie życia na miejscu, wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Podjęli już nawet w tym kierunku pewne starania, a teraz proszą go o pomoc w opłaceniu podróży i umożliwienie spotkania się z nim po przyjeździe. Andrzej prośbę taką przyjął z wielką radością i jak najszybciej wysłał im pewną kwotę oraz dokładnie opisał o jaki adres mają się pytać i jak go szukać na miejscu.



Miejsce, w którym pracował Andrzej przy naprawach wagonów. Zdjęcie z roku 1971 r.

Niebawem w niedzielę, wracając z nabożeństwa w kościele, Andrzej spotkał swojego przyjaciela z podróży

do Ameryki – Łukasza z Karlikowa. Po przywitaniu się rzekł do niego:

– Cieszę się, że cię spotykam. Chciałbym przekazać ci nowinę. Kilka dni temu otrzymałem list od swojego młodszego brata Pawła. Pisał mi, że chce się wybrać tu, do Ameryki. Prosił mnie o przysłanie mu pieniędzy na podróż oraz o poinformowanie go jak tu dojechać i jak potem mnie znaleźć. Bardzo się cieszę, że nie będę tu sam. On chce przyjechać razem z bratem Janem.

– Ja też mam wiadomość – odrzekł Łukasz. – Tam pewnie znowu ktoś chodzi i werbuje ludzi na wyjazd do Ameryki. Do mnie też chce przyjechać brat i dwie siostry cioteczne – Kasia i Oksana od Tymcia z Karlikowa. Obiecałem, że pomogę im w tym przyjeździe. Musimy rozejrzeć się, aby nasi krewni znaleźli punkt oparcia i mieli jakąś pracę. Tam jest naprawdę ciężko, a tu, jak widzisz, da się żyć.

– Mówisz, że przyjedzie Kasia od Tymcia? – przerwał mu Andrzej. – Czy ona może służyła u gospodarza w Płonnej?

– Tak, ona była w Płonnej, a potem wróciła do domu. Gdy jej ojciec, a mój wujek, zmarł, musiała wrócić do domu, aby pomagać przy młodszym rodzeństwie, a teraz chce szukać chleba gdzie indziej. Gospodarstwo mają małe i nie ma już co dalej dzielić...

Andrzej zamyślił się i nie docierały już do niego dalsze słowa Łukasza, który jeszcze długo rozpowiadał o tym, że ludzie w Galicji nie mają przyszłości i dobrze robi, kto decyduje się na wyjazd do innego kraju. Myślał teraz o tym, że niebawem może spotkać Kasię, z którą tak lubił rozmawiać i przebywać przed swoim wyjazdem do Ameryki. Miał wyrzuty sumienia, że już dawno powinien starać się nawiązać z nią kontakt i sam ją tu zaprosić.

Przecież do tej pory żył w zasadzie w samotności. Przelotne znajomości z dziewczynami amerykańskimi, czy też z Włoszkami, które licznie tu przebywały, nie stanowiły dla niego większego znaczenia. Wiedział, że jeżeli chce myśleć poważnie o tym, z kim może spędzić swoje życie, to musi to być niewiasta z jego kraju – niewiasta znająca zwyczaje ludzi, z których on sam się wywodzi i potrafi tak myśleć i zachowywać się, jak jego matka czy siostry.

Po chwili ocknął się ze swoich rozmyślań.

– Tak, tak – przytaknął Łukaszowi, który wciąż rozprawiał jeszcze o sytuacji młodych ludzi z Galicji. – Oni dobrze robią, że tu przyjeżdżają. Musimy się nimi zaopiekować i pomóc im na początek. Daj mi znać, gdy będziesz miał wiadomość o tym, kiedy można się ich tu spodziewać.

Tymczasem dni upływały Andrzejowi utartym już torem – praca, chwila odpoczynku, praca, sprawunki, czasem wyjście gdzieś pomiędzy ludzi i znów praca. Na wielkie rozrywki nie było czasu i odpowiedniego nastroju, ale też szkoda było wydawać na byle co tak ciężko zarobione pieniądze. Najczęstszym urozmaicheniem były więc długo prowadzone dyskusje z kolegami z pracy i znajomymi. Ludzi ciekawych nie brakowało. W otoczeniu swoim Andrzej spotykał osoby, które mieszkaly w Stanach Zjednoczonych od kilku pokoleń i one uważały się już za prawdziwych i rodowitych Amerykanów. Byli też ludzie, którzy urodzili się już na tej ziemi, ale cały czas uważali się za przedstawicieli tego narodu, skąd przybyli ich przodkowie. I wreszcie byli ludzie z nowej generacji imigrantów, którzy przybyli tu niedawno i cały czas uważali, że są tu tylko chwilowo. To „chwilowo” przeciągało się na lata, dziesiątki lat, a dla wielu przychodziło to w „zawsze”.

W tak urozmaiconym środowisku znajdowało się bardzo wiele ludzi ciekawych, z wielkim zasobem wiadomości o świecie. Byli reprezentanci różnych warstw społecznych¹, byli ludzie znający się na wielu zagadnieniach i mający różne zainteresowania i upodobania. Środowisko takie dla młodego przybysza z Galicji stanowiło źródło wielu wiadomości. Lubił więc Andrzej przesiadywać do późnej nocy ze swoimi kompanami z pracy, sąsiadami z hotelu, czy też z ludźmi zapoznanymi w miasteczku. Rozmawiali o wszystkim, spierali się, gdy mieli różne poglądy i przytakiwali sobie, gdy myśleli tak samo. Nabierał więc wiele wiadomości, dowiadywał się ciekawych rzeczy o świecie, o technice, o astronomii, a nawet prowadzili dyskusje na temat przyszłości i o rozwoju tego niespokojnego świata. Wszystko to kształtowało osobowość młodej i wrażliwej osoby. Powoli zmieniał się z prowincjonalnego chłopaka w oświeconego i kulturalnego

¹ Chodzi tu o warstwy społeczne występujące w krajach, z których pochodzili. W samych Stanach Zjednoczonych w owym czasie nie było żadnego podziału na klasy – wszyscy uważani byli za równych sobie.

człowieka światowego. Umiał rozmawiać z drugimi i przedstawiać swoje racje. Lubił wszystkich prawowitych ludzi, a ludzie lubili również jego.

W tamtym czasie Stany Zjednoczony przeżywały okres znacznego rozwoju. Budowano nowe miasta i fabryki. Zaczęto na skalę przemysłową produkować samochody. Powodowało to wielkie zapotrzebowanie na surowce – stal, węgiel, gaz i inne minerały. Bogata w zasoby naturalne Zachodnia Wirginia przeżywała więc również swój okres rozkwitu. Budowano nowe kopalnie, drogi i linie kolejowe. Przybywało więc tu coraz więcej ludzi, zarówno z samej Ameryki, jak też z innych krajów. Stosunkowo więc łatwo było o znalezienie nowej pracy i zdobycie mieszkania. Nie oznaczało to jednak, że ludzie tu mieszkający żyli całkowicie beztrosko. Jak w każdym miejscu na świecie, tak i tu nie byli wolni od trosk dnia codziennego, od chorób, wypadków losowych, czy też od wielu nieporozumień. Po prostu, był to normalny i przeciętny kraj. Zasadnicza różnica polegała na tym, że każdy był tu traktowany sprawiedliwie i na równi z innymi. Nie było żadnych uprzedzeń ze względu na pochodzenie narodowościowe, wyznaniowe czy społeczne. Ceniona była tylko praca i uczciwość. Za dobrą pracę i za dobre postępowanie każdy mógł się spotkać z odpowiednim wynagrodzeniem i należnym mu szacunkiem. Takie zasady pozostały tu zresztą też na lata późniejsze i zapewne obowiązują do dzisiaj.

Latem 1908 roku otrzymał Andrzej wiadomość, że zamierzona podróż jego braci Jana i Pawła dochodzi do skutku. Ich przyjazd przewidziany był na koniec sierpnia. Uradowało go to wielce, ponieważ byłby już mniej osamotniony. Jednocześnie poczuł, że spoczywać będzie na nim wielka odpowiedzialność, jaką powinien wykazać się starszy brat i już zadomowiony Amerykanin. Obawy o prawidłowe wywiązanie się z tych obowiązków nie były zbyt wielkie, bo wiedział, że bracia przywykli do twardego życia, są pracowici, a do wielu robót wprawieni są od małego. Podobnie jak i jego, życie ich nie rozpieszczało, a tu – obok ciężkiej pracy – mogą też kiedyś odetchnąć i cegogokolwiek dorobić się. Wcześniej już dokładnie poinformował ich o miejscu swojego pobytu i jak się tu dostać. Obecnie pasażerska linia kolejowa doprowadzona była już do samego Fairmont i prowadziła przez Monongah, a pociągi jeździły znacznie sprawniej i częściej. Poradził im też, aby w punkcie przyjmowania imigrantów w Nowym Jorku poprosili o wysłanie do niego telegramu z wiadomością o ich przybyciu.

Lato miało się już ku końcowi. Wczesnym porankiem w ostatnią niedzielę sierpnia Andrzej z Łukaszem i jeszcze kilkoma znajomymi wyszli na spotkanie nowych przybyszy. Zanosilo się na piękny, słoneczny dzień. Opadła już rosa, a słońce zaczynało przygrzewać. Wszyscy spoglądali w stronę doliny rozciągającej się ponad rzeką. Wreszcie usłyszeli pogwizdywanie lokomotywy, odbijające się od stoków górskich. Po chwili oczekujący ludzie zauważyli dym wydobywający się ponad drzewami, a następnie sły-

chać było łoskot pociągu. Potem z piskiem hamowanych kół, jak stalowy wąż, wtoczył się na stację i zatrzymał naprzeciw drewnianego budynku.

Cała grupa młodych ludzi – dziewczyn i chłopców – wysiadła z wagonów i po raz pierwszy postawiła nogi na ziemi Monongah. Powitanie było rzewne. Bracia nie widzieli się już od siedmiu lat. Wszystkim stanęły łzy w oczach i z trudem wydobywali z siebie jakiegokolwiek słowa na powitanie. Stali długo naprzeciw siebie. Jan z Pawłem przez ten czas zdążyli zmęźnieć i z podrastających chłopców zmienili się w dorosłych mężczyzn. Po chwili rzucili się Andrzejowi na szyję i długo trwali w nieruchomym uścisku.

– Witam was, drodzy bracia – pierwszy wykrztusił z siebie Andrzej.

– Witamy cię, kochany braciszku – chórem odpowiedzieli Jan z Pawłem.

– Przyjechaliśmy do ciebie i prosimy cię o pomoc. Chcemy tu żyć razem z tobą.

– Cieszę się mocno z waszego przyjazdu. Razem na pewno damy sobie radę. Chyba jesteście mocno zmęczeni, zaraz zabiorę was do domu i odpoczniecie trochę.

Po chwili spojrzał na Łukasza, który właśnie witał się ze swoim bratem i kuzynkami. Obok niego stały dwie młode i piękne kobiety. Wśród nich natychmiast rozpoznał dziewczynę, z którą chętnie przystawał w czasie, gdy mieszkał u swojej siostry w Płonnej. Przez te lata Kasia jeszcze bardziej wyładniała, nabrała krągłych, niewieścich kształtów, co znacznie podkreślało jej słowiański urok. Nie była to już ta panienka, jaką zapamiętał, a piękna, dorosła, młoda kobieta. Gdy Andrzej podszedł w jej kierunku, aby się z nią przywitać, zarumieniała się i, zawstydzona, pochyliła w dół głowę. Wyciągnęła jednak rękę w jego stronę. On pochwycił wyciągniętą dłoń, a drugą swoją ręką objął ją i całą przyciągnął do siebie.

– Witam cię, Katrusiu. Cieszę się mocno, że przyjechałaś. Często myślałem o tobie, ale nie wiedziałem co porabiasz. Dobrze, że będziesz tutaj, ja ci pomogę.

– Witam cię, Andrzejku. Tyle lat minęło... – zająknęła się i ponownie spuściła głowę.

Po chwili jakby się ocknęła z uniesienia, cofnęła się o krok i wskazała na młodą niewiastę, stojącą obok niej:

– To jest moja młodsza siostra, Oksana.

Następnie Andrzej przywitał się z Oksaną.

– Miło mi ciebie poznać – rzekł, po czym zwrócił się ponownie do Kasi:

– Masz ładną siostrę.

Oksana podała rękę Andrzejowi. Była znacznie młodsza i nieco wyższa od Kasi. Miała jasną cerę, a oczy niebieskie.

– Witam cię. Kasia wspominała mi o tobie, ale byłaś jeszcze dzieckiem

– powiedział Andrzej.

Następnie wszyscy wzięli niezbyt liczne bagaże i ruszyli w kierunku miasteczka. Szli powoli, chcieli nawzajem wypytać siebie o wiele spraw, lecz trudno jakoś było dobrać słowa do rozmowy.

– Jak żyjesz, braciszku? – pierwszy zaczął Paweł, zwracając się do Andrzeja.

– Życ tu nie jest trudno, jeżeli roboty się nie boisz – odpowiedział Andrzej. – Widzisz, tu pracy nie brakuje, a jeżeli już masz robotę i zdrowie ci dopisuje, to możesz żyć dobrze, pieniędzy na utrzymanie wystarcza, a i odłożyć można. Jak pewnie dostrzegłeś, spotkało mnie nieszczęście. W głupi sposób, całkowicie przez przypadek, straciłem oko i jestem już kaleką na całe życie. W kopalni dobrze zarabiałem, ale teraz już nie mogę tam pracować. Pracuję w firmie kolejowej. Przywykłem do tej roboty, jestem pracowity, niczego nie odmawiam, to mnie tam lubią. Mieszkania ani domu jeszcze nie kupiłem. Jestem sam, więc szkoda mi wydawać pieniądze na własny dom. Ale powiedz co nowego w naszej rodzinie, jak tam Piotr, inni bracia i siostry?

– Tam żyje się dalej ciężko – odpowiedział Paweł, – ale dzięki Bogu, wszyscy są zdrowi. Maryśka poszła do Biroszów. Wydała się za *Iwana*, ale dzieci jeszcze nie mają. Teraz, po naszym wyjeździe, w domu u Piotra jest już mniej ludzi, ale Hańcia, jego żona, urodziła już dwoje dzieci i pewnie będzie więcej, a więc szybko znów będzie pełna chata czeladzi.

– Teraz będziemy żyli tu blisko siebie, będzie nam różniej – przerwał mu Andrzej i zwrócił się do drugiego brata. – A jak ty, Iwanku, pewni miałeś tam dziewczynę i czy ona teraz będzie płakać za tobą?

Janek zawstydział się i odrzekł:

– Nie, nikt nie będzie za mną płakać. Szkoda mi tylko brata Filipka. On jeszcze nie jest całkiem dorosły, ale pracować musi ciężko. Teraz, jak my wyjechaliśmy, będzie trochę luźniej w domu. Zawsze to lepiej jest Filipowi w swoim domu, niż było u siostry w Płonnej.

– Tak, tak – westchnął Andrzej – nie ma to jak we własnym domu...

– A wy jak tam, dziewczęta – zwrócił się Andrzej po chwili do Kasi i Oksana, które to, wraz ze swoimi kuzynami, podążały za trzema braćmi od *Gułycza*, – czy nie szkoda wam było opuszczać swojego Karlikowa i tutaj wiązać swoje życie z obcym krajem?

– Tam też kraj jakby był obcy. Wiecie, że dalej tam rządzą Austriacy – odparła Oksana. – A roboty to my się nie boimy. W domu też ciężko pracowaliśmy, a trudno było wyżyć. A tu, jak trochę zarobimy, to może jeszcze mamie i młodszemu rodzeństwu pomożemy. A jeżeli będzie bardzo ciężko, to wrócimy, prawda Katrusiu? – zwróciła się do swojej siostry.

– Kto wie, czy wrócimy, czy też przyjdzie złożyć nam głowy tu, w tej obcej ziemi – odpowiedziała Kasia. – Ale niech tam... Wszystko zależy od Boga.

– Tak, wszystko zależy od Boga – przytaknął Andrzej.

Dalej szli już w milczeniu. Na placu w centrum miasteczka rozstali się: dwaj bracia od *Gulyczów* poszli z Andrzejem do jego pokoju w pensjonacie, a Łukasz poprowadził swoich gości do mieszkania w przeciwną stronę.

Przez jakiś czas wszyscy trzej bracia mieszkali razem. Do południa Jan z Pawłem odpoczywali po przebytej podróży, a wieczorem wszyscy razem rozmawiali o wielu sprawach. Andrzej dopytywał się o siostry, braci i znajomych ludzi z Przybyszowa i Płonnej, natomiast młodszy bracia chcieli dużo wiedzieć o Ameryce, jak się tu żyje i jakie mają możliwości na przyszłość. Zachwyceni byli tym, co zobaczyli – dobrze zaopatrzone i ładnie wyglądające sklepy, zadbane domy i dużo techniki. Wszędzie w domach było już oświetlenie elektryczne, a na ulicach lampy gazowe. W wielu miejscach spotykało się telefony, a po drogach z wielkim hałasem jeździły liczne już samochody. Ludzie byli weseli i wyglądający na zadowolonych. Myśleli sobie więc nowi przybysze o tym, jakby to stać się jednymi z nich, ale zaraz prostowali swoje marzenia na myśl, że przecież nie mają jeszcze żadnej pracy, nie mają gdzie mieszkać, a nawet nie umieją się porozumiewać w tutejszym języku.

– Nie martwcie się – pocieszał ich w takim przypadku starszy brat. – Ja byłem w gorszym położeniu. Nikogo tu nie znałem, a teraz w zupełności dobrze sobie radzę. Wy natomiast nie jesteście tu sami. Będziemy wspólnie sobie radzić i na pewno będzie dobrze.

Po kilku dniach Andrzej powrócił z pracy z dobrą wiadomością.

– Rozmawiałem z pewnym człowiekiem. Ma ładną farmę na wsi, w bok od Fairmont. Sam czuje się już słaby i chciałby człowieka do pomocy. Powiedziałem mu o was i kazał jednemu przyjść jutro. Daje pełne utrzymanie i jeszcze dodatkowo będzie płacić za pracę. Warto spróbować.

– Ja mogę tam iść – odpowiedział Paweł.

Andrzej wytłumaczył mu jak tam trafić i o kogo się dowiadywać. Janek spytał czy mogą iść razem. Odprowadziłby brata, a potem wróci. Wszyscy więc przystali na tę propozycję i nazajutrz zrobili tak, jak wcześniej ustalono. Paweł spakował sobie najpotrzebniejsze rzeczy, zjadł śniadanie i po chwili wszyscy trzej wyruszyli: Andrzej do pracy w warsztacie kolejowym, a Paweł z Jankiem udali się do farmera we wsi Caroline.

Po powrocie z pracy Andrzej zastał w swoim mieszkaniu młodszego z braci – Janka, który wrócił z Caroliny, ale – jak oświadczył – tylko na chwilę, bo dostał pracę na sąsiedniej farmie i rano następnego dnia również uda się do swoich zajęć. Będą obaj pracować w pobliżu siebie. Wszyscy trzej żyć będą w niewielkim oddaleniu i będą mogli spotykać się w każdej wolnej chwili.

Tak oto, po kilku dniach wspólnego przebywania z braćmi, Andrzej znów pozostał sam w swoim mieszkaniu, ale już w znacznie lepszym na-

stroju. Teraz wiedział, że chociaż jest na emigracji w dalekim kraju, to nie jest już samotny. Myśłami często wracał nie tylko do braci, którzy przebywali zaledwie pięć mil od niego, ale również do Kasi, która wraz z siostrą Oksaną, mieszkała ze swoimi kuzynami w tej samej miejscowości. Teraz tak często, jak tylko pozwalał mu czas, odwiedzał swojego przyjaciela Łukasza i wszyscy razem spędzali wolny czas. W niedziele odwiedzał swoich braci na farmach w Carolinie, którzy całkowicie byli zadowoleni z takiego obrotu spraw. Bracia też, gdy tylko mogli, odwiedzali Andrzeja i długie chwile spędzali na różnych rozmowach.

Pewnego razu Andrzej zaprosił Kasię na wspólny spacer. Wędrowali po ciekawych i urokliwych miejscach wśród pagórków i zakoli górskiej rzeki. Oboje lubili ze sobą przebywać, dlatego czas szybko im mijał. W opowieściach Andrzeja o samotnie spędzanych latach często przewijała się nutka tęsknoty za Kasią w tamtym czasie.

– Chciałabym w to uwierzyć – odpowiadała na to Kasia. – Tylko gdyby to była prawda, to dlaczego wcale nie odzywałeś się do mnie? Przez te wszystkie lata ani razu nie napisałeś listu.

– Naprawdę myślałem o tobie, ale czułem się bezradny. Wiesz, że nie umiałem pisać i trwało to przez dłuższy czas, a nie śmiałem prosić o taką przysługę kogoś innego. Poza tym, nie wiedziałem dokładnie, gdzie możesz przebywać. Potem, gdy przeminęło kilka lat i nauczyłem się pisanie, byłem pewien, że już jest za późno na nawiązanie kontaktu z tobą. Skąd mogłem przypuszczać, że taka ładna dziewczyna jest jeszcze sama, że nikt ciebie nie wziął za żonę? Potem tylko starałem się zapomnieć o naszej znajomości, ale to nie udawało mi się. Wspominałem ciebie bardzo często. Los się odwrócił i teraz jesteś blisko mnie.

– Chciałabym w to uwierzyć – powtórzyła jeszcze raz. – Ja byłam bardzo samotna. Przez wiele lat służyłam u różnych ludzi w Płonnej. Nic z tego nie miałam. Potem zmarł nasz ojciec i musiałam wrócić do Karlikowa, aby pomagać mamie w prowadzeniu gospodarstwa i przy utrzymaniu młodszego rodzeństwa.

– A wydawać się? – ciągnęła dalej ze łzami w oczach – Nikt nie chciał takiej ubogiej. Za to niejeden chciałby się ze mną pocieszyć i krzywdę zrobić biednej sierocie. Dlatego, jak tylko była możliwość, to zdecydowałam się na tę podróż. Dużo zawdzięczam Łukaszowi, on mi pomógł w przyjeździe do Ameryki.

– Bardzo dobrze zrobiłaś. Teraz możemy być blisko siebie – przerwał jej Andrzej i przytulił do siebie.

– Nie wiedziałam gdzie ty jesteś i czy jeszcze myślisz o mnie. Myślałam, że na pewno już się ożeniłeś.

Teraz trzymali się za ręce i szli po wąskiej łące, rozpościerającej się pomiędzy krętą rzeką a wznoszącym się mocno w górę zboczem. Lato już się

skończyło. Las mienił się dziesiątkami różnych kolorów usychających i spadających liści. W powietrzu czuło się nadchodzącą zimą.

– Wiesz Kasiu, tyle czasu przeminęło od kiedy poznaliśmy się. Byliśmy wtedy biedni i nie mogliśmy marzyć o wspólnej przyszłości. Teraz odmieniło się. Los znów nas przybliżył. Nie marnujmy więc czasu, możemy żyć przecież razem. Chciałbym cię poprosić, abyśmy się pobrali. Czy będziesz moją żoną?

Przystanęli i odwrócili się do siebie. Ona spuściła głowę i, nieco zawstydzona, ale wielce uradowana, odpowiedziała:

– Tak, chcę być twoją żoną. Nie chcę już dłużej poniewierać się po tym świecie sama – odrzekła Kasia i mocno przytuliła się do Andrzeja.

On przygarnął ją do siebie, po czym ucałował i rzekł:

– Odtąd będziemy razem. Nie dam cię nikomu krzywdzić. Zobaczysz, będzie nam dobrze.

Przed wieczorem wrócili do wsi i spotkali się z Łukaszem i Oksaną. Opowiedzieli im o swoich zamiarach. Wszyscy poczuli się z tego powodu mocno uradowani.

* * *

Ślub odbył się jeszcze przed końcem roku w małym kościele katolickim w Fairmont. Świadkami byli Łukasz z Oksaną. Na skromną uroczystość zaprosili jeszcze kilka osób, a wśród nich Wojciecha Pitelskiego i kolegów z pracy. Andrzej z Katarzyną zamieszkali razem, na razie w wynajmowanym pokoju w pensjonacie robotniczym. Ona pracowała jako pomoc w prowadzeniu sklepu, należącego do bogatej rodziny amerykańskiej, a on nadal w warsztacie kolei żelaznej. Teraz życie upływało im w szczęśliwości – mieli pełen dostatek materialny, w miarę wygodne, chociaż skromne mieszkanie i nie byli już samotni. Wieczorami, gdy spotykali się po pracy, długo rozmawiali o wielu sprawach. Często też widywali się ze znajomymi i przyjaciółmi.

Tak przeminęła zima, wiosna i lato. Jesienią 1909 roku Kasia przerwała wykonywanie swojej pracy w sklepie. Przyczyną tego był jej stan błogosławiony. Wkrótce na świat przyszła ich pierwsza pociecha. Poród odbył się przy pomocy miejscowej akuszerki, ale bez większych komplikacji. Narodziła się piękna córeczka, której na imię dali Maria – na pamięć matki Kasi. Oboje cieszyli się mocno z tego wydarzenia.

– Tak oto, widzisz Kasiu, nie jesteśmy już sami. Teraz naprawdę stanowimy rodzinę – zwykł mawiać Andrzej przy różnych okazjach.

– Bardzo się cieszę z naszej córeczki. Cieszę się też z takiego męża. Teraz życie wydaje się takie piękne, oby dobry Bóg zachował nas wszystkich przy zdrowiu – odpowiadała na to nowo upieczona mamusia.

– Dosyć już nacierpieliśmy się biedy i poniewierki. Teraz życie ułożyło się nam inaczej – kontynuował Andrzej. – Musimy mieć nadzieję, że wszystko, co złe, mamy już poza sobą.

Zbliżała się kolejna zima, dla Andrzeja już dziewiąta w tym kraju. Przyzwyczał się już do tutejszego klimatu. Okresy letnie w Zachodniej Wirginii bywają bardzo gorące i nawiedzane wieloma nagłymi burzami. Za to zimy, chociaż tereny te położone są znacznie dalej na południe w porównaniu z Galicją, są zawsze srogie. W zasadzie nie ma tu tak długich okresów przejściowych. Po długim i gorącym lecie występuje krótka pora podobna do podkarpackiej jesieni, po czym zazwyczaj już na początku listopada przychodzą srogie mrozy z obfitymi śnieżycami. Tak chłodny okres trwa dosyć długo. Ale już na początku marca gwałtownie ociepla się, giną śniegi i pojawiają się pierwsze symptomy wiosny. Wiosna, podobnie jak jesień, nie trwa zbyt długo, bo już w końcu kwietnia zaczyna się prawdziwe lato.

Ludzie zawsze starannie przygotowują się do okresu zimowego. Młode małżeństwo również uznało, że przebywanie z małym dzieckiem przez okres zimowy w tym, ciasnym i niezbyt wygodnym, mieszkaniu w pensjonacie dla robotników byłoby dla nich i ich pociechy dosyć kłopotliwe. Andrzej w tym czasie posiadał już znaczne oszczędności. Postanowili więc, że powinni zatroszczyć się o lepsze wygodę dla siebie i dziecka.

– Będzie nam ciasno i niewygodnie z dzieckiem w tym przytułku – wspominała nieraz Kasia, gdy mąż powracał do domu. – Może moglibyśmy, tak jak inni, wybudować niewielki dom.

– Widzisz Kasiu – odpowiadał Andrzej, – ciężko tu pracowałem przez osiem lat. Jesteśmy jeszcze młodzi, ale zawsze tak nie będzie. Znamy już ludzi i trochę przywykliśmy do tego kraju. Ale musimy pamiętać, że to nie jest nasz kraj. Zanim tu przyjechałaś myślałem zawsze, że zarobię trochę pieniędzy i kupię gospodarstwo w naszych rodzinnych stronach. Tam wołałbym żyć i pracować, wśród swoich. Dlatego nie chciałem wydawać ciężko zarobionych pieniędzy na budowę domu w tym kraju, a potem zostawiać go dla obcych ludzi. Dalej myślę o powrocie. Ale muszę jeszcze trochę tu popracować.

– Ale dziecko jest małe i musi mieć trochę wygodę. Nie możemy mieszkać tu, pomiędzy obcymi ludźmi, zawsze w hałasie.

– Tak, wiem o tym. Dlatego pomyślałem, że wynajmiemy sobie *apartment*¹ w ładniejszym budynku. Tam będziemy mieszkać tak długo, jak będziemy chcieli. A potem zobaczymy. Teraz, kiedy jesteśmy razem, to już nie wiem, czy na pewno powinniśmy powrócić do kraju, czy też zostaniemy tutaj na zawsze.

– Zrobię tak, jak ty uważasz za słuszne – odpowiedziała Kasia.

¹ Mieszkanie w bloku (ang.)

Po tej rozmowie Andrzej udał się na poszukiwanie nowego miejsca zamieszkania. Szukać nie trzeba było zbyt długo. W tamtych czasach Ameryka potrzebowała ludzi do pracy, w związku z czym budowano również wiele domów mieszkalnych – zarówno jednorodzinnych, jak i bloków z mieszkaniami na wynajem. Wynajęcie bardziej wygodnego mieszkania wiązało się jednak z ponoszeniem znacznych kosztów. Zdecydował się więc Andrzej na zamieszkanie w niewielkim lokalu w starszym budynku, na skraju miasteczka. Były tam dwa pokoje z małą kuchenką, położone na pierwszym piętrze. Mieszkanko było ciepłe i z pełnymi wygodami, a co najważniejsze, było samodzielne. Nikt obcy nie chodził przez całą dobę po korytarzu i nie wszczynał hałasu o każdej porze. Wydawało się przeto dobrym schronieniem dla młodego małżeństwa z malutkim dzieckiem. Nabyli więc kilka mebli i niezbędny sprzęt domowy i wkrótce zamieszkali w nowym miejscu. Uzyskanie pełnej samodzielności podbudowało i tak już dosyć dobre ich nastroje.

Malutka Marysia chowała się zdrowa i widać było jak rośnie i mądrzeje niemal z każdym dniem. Cieszyło to oboje rodziców. Andrzej chodził do swojej pracy w warsztacie kompanii kolejowej, zajmującej się wywożeniem węgla i innych kopalin, a Kasia od czasu, kiedy była w zaawansowanej ciąży, przestała pracować. Wysokość zarobków męża z powodzeniem wystarczała na utrzymanie ich trojga i pozwalała jeszcze na oszczędzenie pewnej kwoty.

Na wiosnę 1910 roku zaszły ważne zmiany. Otóż firma Western Maryland Railway Company, w której Andrzej pracował, podjęła decyzję o przedłużeniu swoich linii w kierunku na zachód Stanów Zjednoczonych. W pierwszym etapie miała być budowana żelazna droga z pobliskiego Clarksburg do Parkersburg. Potrzebne były nowe ekipy budowlane. Ponieważ Andrzej miał opinię bardzo obowiązkowego i odpowiedzialnego pracownika, zaproponowano mu udział w jednej z organizowanych ekip monterskich. Związane to było ze znacznie lepszym wynagrodzeniem. Przystał więc na tę propozycję. Łączyło się to jednak z wyjazdem na prace poza miejscem zamieszkania i pozostawienie żony z małą córeczką. Do pracy tej zwerbował również młodszego brata, Pawła, który od czasu przyjazdu pracował jako pomoc na farmie w pobliskiej miejscowości Caroline. Razem miało im być rażniej. Odtąd mieszkał więc wraz z nowymi kolegami w doraźnie organizowanych kwaterach, zmieniających swoje miejsce w miarę przedłużania się budowanej linii kolejowej.

Kasia została więc zdana na własne siły. Nie знаła jeszcze dokładnie języka angielskiego, ponieważ jej pobyt w Ameryce był krótki, a od czasu ślubu mieszkała razem z mężem i nie musiała używać cudzej mowy. Miała środki na utrzymanie, ale musiała sama troszczyć się o wszystko. Andrzej przyjeżdżał do domu tylko w soboty, a w poniedziałki wyjeżdżał na cały tydzień, albo nawet na dwa tygodnie. Sytuacja taka nie była sprzyjająca dla

młodego małżeństwa. Tęsknili za sobą, a poza tym Kasia czuła się zagubiona. Andrzej zaczął obawiać się czy żona, pozostawiona sama, nie zacznie rozglądać się za innymi mężczyznami. Była młoda i ładna. Uważał więc, że jest narażona na zaloty samotnych mężczyzn, których było pełno w całej miejscowości, zwłaszcza tych spośród nowej emigracji. Obudziła się w nim nutka bezpodstawnej zazdrości i bywało, że w ciągu krótkiego przebywania razem, zamiast wzajemnej czułości i cieszenia się sobą nawzajem, dochodziło niekiedy do nieporozumień i spięć. Niewinna żona czuła się z tego powodu mocno rozżalona i skrzywdzona.

– Ja tu siedzę Bogu ducha winna. Cały czas troszczę się o naszą Marysię. Ona jest taka malutka i boję się, czy sama sobie poradzę, a ty mnie posądzasz o takie bezeceństwo – wyrzucała mężowi rozżalona Kasia.

– Nie wiem, czy jesteś cały tydzień sama – wytykał jej Andrzej. – Pełno tu samotnych chłopów i kiedy mnie nie ma, to pewnie kręcą się koło ciebie.

– Jeżeli mi nie wierzysz, to nie muszę tu być sama. Wracaj z powrotem do pracy na miejscu.

– Nie mogę wrócić, bo oni na mnie liczą. Dali mi więcej zarobić i boss powierzył mi zwierzchnictwo nad całą grupą. Pracuję teraz sam na całą rodzinę, to muszę więcej zarabiać.

– Jeżeli tak, to nie muszę tu być sama. Zabierz mnie tam ze sobą, to będziesz mnie miał cały czas na oku, a jeszcze jeść wam ugotuję.

Wypowiedziała to z nadzieją, że w ten sposób wykaże nonsens postępowania Andrzeja, lecz on podchwycił tę propozycję i przytaknął jej:

– Dobrze, będziesz tam razem ze mną. Jest ciepło i Marysia będzie mogła też tam bawić się, a jeżeli będzie wam źle to wróćcie do domu.

Nazajutrz rano spakowali niezbędne rzeczy i kolejowym dyliżansem wraz z bratem Andrzeja, Pawłem i innymi robotnikami pojechali na trasę, gdzie budowano nową linię kolejową. Nie było to zbyt daleko. Jechali nieco ponad godzinę. Dziecko, zawinięte w bety, siedziało cicho i przyglądało się mijającemu za oknem krajobrazowi. Kasia sama była ciekawa tych nowych terenów. Od czasu, kiedy przyjechała zza wielkiej wody, nigdzie nie wychodziła poza obręb Monongah, nie licząc wyjazdu do Fairmont w dniu własnego ślubu. Teraz dopiero zobaczyła jakim pięknym krajem jest ta Ameryka, zupełnie podobnie, jak jej rodzimy Beskid, a kto wie, może nawet ładniejszym. Nie miała, oczywiście, pojęcia o rozległych krainach na zachodzie i południu Stanów Zjednoczonych – o wielkich górach, pustyniach, jeziorach, puszczech i preriach. Wiedziała tylko, że bardzo długo jechała w te strony od czasu opuszczenia okrętu w Nowym Jorku. Widziała, że ludzie bywają tu nieco inni, przynajmniej wtedy, gdy patrzyła na czarnoskórych. Nie bardzo wiedziała natomiast skąd oni wzięli się na tutejszej ziemi, że jeszcze niecałe pięćdziesiąt lat temu byli oni niewolnikami i można było obchodzić się z nimi tak samo jak ze zwierzętami. Słyszała, że był taki pre-

zydent, co nazywał się Waszyngton i że dał on wszystkim wolność. Mało natomiast wiedziała o tutejszej ludności rodzimej, którzy jeszcze przed jednym wiekiem w wielu miejscach byli jedynymi i prawowitymi właścicielami tych ziem. Gdyby знаła na tyle język angielski, ażeby odróżniać pochodzenie słów, to zauważyłaby, że wiele miejscowości do obecnej chwili nosi nazwy indiańskie, jak chociażby jej miasteczko (lub wioska), które nazywa się *Monongah*, czy rzeka, która zaczyna się w pobliżu i nosi nazwę *Monongahela*, podobnie jak góry *Appalachy*.

Kasia nie rozmyślała wtedy o takich problemach. Dla niej ważniejsze było jak poradzą sobie w najbliższych dniach i jakie będzie to jej życie, podobne do cygańskich taborów, jakie widywała w rodzinnych stronach.

Droga kolejowym dyliżansem stawała się coraz to mniej wygodna. Świeżo położone tory nie były jeszcze wyrównane i należycie przytwierdzone, więc wehikuł jechał teraz znacznie wolniej i kołysał się na wszystkie strony. Wreszcie pojazd zatrzymał się na dobre i wszyscy zaczęli wysiadać. Andrzej zabrał pod pachę zapakowane z rana tobołki z rzeczami, a Kasia przytuliła do siebie małą Marysię i poszli przed siebie nasypem, przygotowanym pod przyszłą linię kolejową. Po przejściu około pół mili zbliżyli się do grupy baraków, z których kilka miało przymocowane koła, służące do przewożenia ich z miejsca na miejsce. Weszli do jednego z nich. Wewnątrz były dwie prycze, niewielki stolik i dwa stołki do siedzenia.

– Teraz tu będzie nasze mieszkanie. Za chwilę przywiozą prowiant. W drugim baraku jest kuchenka, na której można ugotować jeść – wyjaśnił Andrzej i zaczął przebierać się w robocze ubranie. – A ty, Pawełku – zwrócił się teraz do brata – musisz sobie znaleźć miejsce do spania w innym baraku. Na twoim łóżku teraz będzie spać Kasia z Marysią.

– Po co mam iść do innego baraku? Mogę spać razem na łóżku z twoimi kobietami – zażartował Paweł.

– Tobie już czas mieć własną żonę. Musisz się tylko trochę porozglądać. – odparł mu Andrzej. – Teraz już musimy iść do roboty. Wrócimy dopiero wieczorem.

– Dobrze – odpowiedziała Kasia i wzięła się do rozpakowywania niewielkiego bagażu. – Będziemy tu z Marysią bawić się, a może przyjdziemy poprzyglądać się jak buduje się kolej.

– Lepiej nie przychodźcie za blisko, bo tam może dla was być niebezpiecznie – odpowiedział Andrzej i wyszedł wraz z innymi kolegami w stronę prowadzonej budowy.

Obie niewiasty zostały same. Wyszły przed barak. Młodsza z nich z podziwem wodziła oczętami po okolicznych górach, polach i potężnych drzewach i słodziutko gruchała sobie coś pod nosem, a starsza, nieco przerażona nową sytuacją, myślała o tym, jak sobie poradzą w tak surowych warunkach.

Pogoda była ładna. Jak zwykle na wiosnę, z każdym dniem robiło się coraz cieplej. W nowym, koczowniczym miejscu zamieszkania nie było wielkich wygod, ale można było wyżyć. Codziennie dowożono im świeże produkty żywnościowe i inne, najbardziej potrzebne rzeczy. Mężczyźni pracowali niemal cały dzień. Kasia siedziała na miejscu. Jej zadaniem była opieka nad malutką Marysią i przygotowywanie ciepłych posiłków na czas, kiedy to z pracy powrócą mąż ze szwagrem. W wolnych chwilach chodziła na długie spacery po okolicy. A tereny były urzekające – wkoło liczne pagórki i większe wzniesienia, szemrzące strumyki, las – wszystko to przepojone świeżością przyrody. Czas upływał dość szybko. Na niedziele powracali wszyscy razem do swoich miejscowości szynową drezyną, zabudowaną na kształt dyliżansu.

Prace przy budowie linii ciągle przesuwały się razem z wydłużaniem się ułożonych torów, wobec czego często musieli zmieniać swoje miejsce pobytu. Bywało też, że jeżeli trasa przebiegała w pobliżu miejscowości, to wynajmowano dla nich lokale w tanich hotelach, bądź całe budynki. Zdarzyło się pod koniec lata, że – gdy linia zbliżała się do miejscowości Pennensboro, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Clarksburg a Parkensburg – cała ekipa usadowiła się w opuszczonym, starym młynie, położonym w oddaleniu od wioski. Budynek był drewniany, wysoko posadowiony, z piwnicą. Obok niego przepływała niewielka rzeczka, na której była przegroda spiętrzająca wodę. Wszystko wkoło było zarośnięte bujną roślinnością, jedynie kamienna droga dawała dostęp do budynku. Przestronne pomieszczenia wewnątrz były lepszym schronieniem niż prowizoryczne baraki. Przeniesiono więc do wielkiej sali pięć łóżek, a dalszych kilka do pomieszczeń sąsiednich. Zamieszkiwanie tu było dość wygodne. Kasia zżyła się już z kolegami Andrzeja, wchodzącymi w skład ekipy montującej tory kolejowe. Za niewielką odpłatnością gotowała im wszystkim obiady. W wolnych chwilach po pracy miała Marysia, która już zaczynała chodzić, miała też wiele nianiek – wszyscy lubili wesołe i ładne dziecko.

Był poniedziałek, gdy właśnie po niedzielnym odpoczynku zadomowili się w wszyscy w tym nowym, zdawałoby się wygodnym, lokum. Po zakończonej późno pracy i spożyciu posiłku ugotowanego przez Kasię, cała ekipa wkrótce zaczęła przygotowywać się do nocnego spoczynku. Cieszyli się, że tym razem nie będą musieli poniewierać się w barakach, a będą spać jak panowie w salonach. Każdy wybierał swoje miejsce. Andrzej z Kasią zeszuli dwa łóżka w narożniku salonu, w pobliżu okna i ułożyli do snu malutką Marysię. W pobliżu swoje miejsce wybrał brat Andrzeja, Paweł, a pod drugą ścianą ustawione były jeszcze dwa łóżka. Pozostali członkowie brygady zajęli miejsca w sąsiednich, mniejszych pokojach. Niektórzy żartowali sobie:

– *Andy*, tym razem może sobie odpoczniesz w innym pokoju, my możemy spać z *Katy*¹. Będziemy pięknie się nią opiekować. Musimy jej podziękować za smaczne posiłki.

– Uważajcie, ażebym ja wam wcześniej nie podziękował jakimś twardeym przedmiotem. Wtedy już więcej nie będą wam potrzebne jej obiady – ripostował Andrzej.

Przekomarzali się tak jeszcze przez jakiś czas, po czym wszyscy, srodze wymęczeni całodziennymi trudami, udali się na spoczynek. W narożniku komnaty pozostawiono świecącą się małą lampę. Pomimo znużenia, nikt z nich nie mógł jednak zasnąć. Rozmawiali więc jeszcze na różne tematy, gdy nagle dał się słyszeć głuchy stukot na schodach wychodzących do pokoju z pomieszczenia piwnicznego. Wszystkich to mocno zaintrygowało. Tymczasem głuchy stukot przeistoczył się w istny łomot, coraz to potężniejszy. Po chwili sytuacja taka powtórzyła się. Tym razem stukot stawał się wyraźniejszy i jeszcze bardziej rytmiczny. Wszyscy strwożyli się; na schodach od dołu do góry zaczęła wyłaniać się postać starego mężczyzny z długimi, siwymi włosami i potężnym zarostem na twarzy. Po chwili w bladym świetle lampy naftowej widoczny był już cały osobnik, ubrany w skórzaną kamizelkę, roboczy kombinezon i wysokie, gumowe buty. Stał w wejściu prowadzącym z korytarza, ręce oparł o biodra i odchylając łokcie na boki, nadał się, wargi złożył w trąbkę i zaczął dmuchać w stronę nieproszonych gości. Czynność tę powtórzył kilkakrotnie, a na wszystkich wystąpił chłodny pot i poczuli się jakby sparaliżowani. Nikt nie mógł wykonać żadnego ruchu. Po pewnym czasie zjawa powoli rozmyła się w powietrzu i znikła. Po chwili usłyszeli jeszcze stukot w pomieszczeniu piwnicznym. Wtem Paweł, brat Andrzeja, zawołał, że z Irlandczykiem, na którego wołali Hary, dzieje się coś niedobrego. Potrząsał on nogami, jakby w konwulsjach, cały był zsiniały, a z ust toczyła mu się piana. Andrzej z kilkoma kolegami przypadł do niego i zaczęli nim potrząsać. Hary po chwili ocknął się, głęboko nabrał powietrza i zaczął odchrząkiwać. Zapytany, odpowiedział, że nie wie co się stało. Nagle poczuł na sobie wielki ciężar, nie mógł oddychać i stracił przytomność.

Teraz już naprawdę nikt nie miał ochoty do spania w tym miejscu, ale też bali się przechodzić przez wyjście w którym przed chwilą stała tajemnicza postać. Postanowili więc wynieść się z budynku napawającego ich zgrozą. Wyrzucili swoje rzeczy przez okno i udali się na spoczynek do baraków, które pozostały około pół mili od tego trefnego domu.

Nazajutrz rano wszyscy rozmawiali o tej niewiarygodnej przygodzie. Ciekawiło ich dlaczego taki niezły jeszcze budynek jest zupełnie opuszczony i nikt w nim nie mieszka. Dowiedzieli się, że starsi ludzie z pobliskiej miejscowości powiadali, iż przed wieloma laty żył tu młynarz, który popadł

¹ Andy, Katy - angielskie zdrobnienia imion Andrzej i Katarzyna.

w kłopoty finansowe i opuściła go rodzina. Musiał zaprzestać wykonywania swojego biznesu, pozostając w wielkiej nędzy, po czym zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Kiedy przed wieczorem powrócili z pracy i spożyli posiłek, udali się zbadać dokładniej tajemniczy budynek. Gdy przybliżyli się do niego na odległość około stu jardów, zauważyli w pobliżu komina jasność, jakby kupkę ognia, po czym iskry rozsypały się po całym dachu i dom w krótkim czasie stanął w płomieniach.

Tak przebiegało więc to zagadkowe zdarzenie, o którym Andrzej opowiadał w późniejszych latach wielu osobom. Opowiadania te były tak sugestywne i przekonujące, że wszyscy, którzy je słuchali, do dziś dzień są przekonani o ich autentyczności. Podobnych zdarzeń w jego opowieściach było więcej. Niech więc tak już to pozostanie...

Tymczasem praca przy budowie linii kolejowej trwała dalej. Wszyscy wraz z postępem robót przesuwali się za wydłużonymi torami i przeciągali swój tabor z miejsca na miejsce. Wraz z przybliżaniem się zimy nadeszły chłodne dni i nijak było młodej mamie wieść takie koczownicze życie z malutkim dzieckiem. Musiała więc pozostać, wraz z Marysią, w swoim mieszkaniu w Monongah. Teraz znów przebywali razem z mężem tylko od wieczora w sobotę do poniedziałkowego poranka.

Tak odbywało się do później jesieni. Pod koniec listopada mrozy skuły całą okolicę i Andrzej powrócił do swojej pracy w warsztacie kompanii kolejowej. Jednak te, cotygodniowe, jesienne wizyty męża w domu musiały być namiętne, ponieważ Kasia pod koniec zimy zaokrągliła się mocno, a pod koniec lata powiła drugie dziecko. Zapanowała wielka radość, gdyż urodził się piękny, dorodny syn. Z wdzięczności, że będzie przedłużony ród Priadków, czy raczej *Gułyczów*, nadano mu najbardziej popularne imię, Jan – tak samo jak zwał się dziadek Andrzej.

– Szkoda, że ojciec mój już dawno nie żyje – powiadał Andrzej. – Tak bardzo cieszyłby się z takiego wnuka. Tak długo ojca już nie ma na świecie. Zmarł chyba w 1890 roku. To już minęło dwadzieścia jeden lat.

– Tak, szybko ojcowie nasi poodchodzili, ale nie czas teraz o tym myśleć – odpowiedziała Kaśka. – Teraz nastały już nowe pokolenia i wszystko trzeba zrobić, aby nasze dzieci miały lepsze życie.

– Dopóki będę żył, niczego im nie zabraknie – zapewniał Andrzej.

W rodzinie było już czworo ludzi. Pracował więc jeszcze bardziej wytrwale i z dużym poświęceniem. I chociaż srodze utrudzony po całym dniu harówki, zawsze z wielką ochotą powracał do domu, witał się z małżonką i zaraz brał na ręce dzieci. Dopiero potem myślał o posileniu się ciepłą strawą, która, przygotowana przez wprawne już ręce troskliwej małżonki, zawsze czekała na niego na stole.

Życie teraz upływało rytmicznie. Andrzej miał regularną, dobrze płatną pracę. Zajęcie swoje lubił, bo od małego chłopca miał zamiłowanie do spraw technicznych. Ciekawiły go wszystkie urządzenia kolejowe, a w szczególności obsługa parowozów. Chociaż nie miał do tego uprawnień, zdarzało mu się, że pozwalali mu wyprowadzać parowozy z zajezdni i podstawiać wagony pod załadunek. Pracował z wielkim zapałem i nie robił sobie nigdy niepotrzebnych przerw. Często zapominał o spożyciu posiłków i o innych naturalnych potrzebach. Pewnego razu tak długo manewrował zestawami aż poczuł niepohamowaną potrzebę ulżenia czynnościom fizjologicznym. Ponieważ było ciemno, postanowił nie wychodzić z parowozu. Odślonił więc służący do tego celu narząd anatomiczny, upatrzył sobie prześwit w zabudowie lokomotywy i odczuł natychmiastową ulgę. Wtem usłyszał skwierczenie przypalanego ciała i poczuł silny ból. Właśnie w tym momencie delikatnym ciałem dotknął się do rozżarzonej rury, przechodzącej od kotła do urządzeń pomiarowych. Poparzenie w tak czułym i intymnym miejscu było bardzo dokuczliwe i przysporzyło mu na dłuższy czas wielu kłopotów, a przede wszystkim nauczyło go nieco wstrzemięźliwości w pożyciu małżeńskim na najbliższe tygodnie.

W wolnych chwilach Kasia i Andrzej spotykali się ze znajomymi i krewnymi. Widywali się więc z kuzynem Kasi – Łukaszem z Karlikowa, braćmi Andrzeja – Janem i Pawłem, a najczęściej odwiedzała ich Oksana, siostra Katarzyny. Ona miała pracę w bogatej rodzinie, gdzie prowadziła dom i pomagała przy wychowywaniu dzieci. Pobyt w Ameryce dobrze wpłynął na jej wygląd. Pomimo wielu obowiązków, wydelikatniała i nieco przybrała na cieple. Zatarły się znamiona ciężkiej pracy na wsi galicyjskiej, gdzie od małej dziewczynki wszystkie czynności w domu i w polu musiała wykonywać ręcznie i prawie bez wytchnienia. Dobrze dobrane ubrania podkreślały niewieście kształty i przysparzały jej wdzięku. Zauważał to Andrzej, który chętnie spoglądał na Oksanę, a i ona nie była mu dłużna, odwzajemniając mu się swoimi powłóczystymi spojrzeniami. Jednak oboje wyczuwali granicę, jakiej nie powinni przekroczyć. Tak jednak było tylko do czasu...

– Miałas dużo szczęścia – zwracała się nieraz Oksana do siostry, – że dostałaś takiego przystojnego i dobrego męża.

– Bóg mi wynagrodził moją poniewierkę – odpowiadała Katarzyna.

– Ty też dostaniesz dobrego męża – wtrącał się Andrzej. – Zasługujesz na niego. Tylko musisz nieco pozwolić chłopom zbliżyć się do siebie.

– Kiedy im zawsze tylko jedno w głowie. Nie wiadomo czy taki poważnie myśli, czy też chciałby się tylko zabawić. Dosyć nasłuchiłam się o dziewczęcych krzywdach. Muszę więc być ostrożna.

– Widać, jeszcze nie trafiłaś na tego, który jest ci przypisany.

Tymczasem nadeszła kolejna zima. Życie toczyło się normalnym torem. Ale często tak bywa, że gdy jest długo normalnie i wszystko szczęśliwie się układa, to znaczy, że można spodziewać się czegoś niedobrego. Tak też stało się w rodzinie Katarzyny i Andrzeja. Bywało, że Andrzej dłużej musiał pozostawać w pracy, gdyż trafiały się pilne czynności do wykonania przy przeglądach taboru kolejowego. W domu natomiast było do wykonania wiele obowiązków przy pielęgnowaniu małych dzieci i przygotowywaniu posiłków. Mały Janek coś niedomagał na zdrowiu i mocno kaprysił. Marysia natomiast, jak to bywa z dwulatkami, była bardzo ruchliwa i wykazywała coraz to nowe pomysły w zabawach. Skończyło się tak, że weszła na stół i biegła po nim, a gdy mama chciała ją stamtąd zdjąć, cofnęła się o krok, spadła na podłogę i mocno się potłukła. Efekt był niedobry, bo nie mogła już stanąć na nóżkę. Zrozpaczona Katarzyna nie wiedziała co może zrobić. Na jednej ręce trzymała marudzące niemowlę, a na drugiej okaleczoną, tylko nieco większą, córeczkę. Po powrocie z pracy Andrzej mocno rozsierdził się i w gniewie wykrzykiwał:

– Ja tam ciężko pracuję, a ty nie masz nic do roboty, tylko zajmować się dziećmi i jeszcze nie umiałaś je dopilnować!

– Ty się zajmujesz tylko swoją pracą, a ja mam cały dom na głowie. Wszystko muszę przygotować, zakupić potrzebne rzeczy, sprzątać, jeść gotować i cały dzień dzieci z rąk mi nie schodzą. Nie wiem gdzie mam te ręce włożyć, a ty jeszcze się na mnie wydzierasz – żaliła się Kasia.

Gdy ustała wymiana wzajemnych pretensji, doszli do wniosku, że czas zająć się dzieckiem. Wezwali do domu lekarza, który stwierdził, że Marysia ma uszkodzone biodro i trzeba ją zawieźć do szpitala. Nazajutrz zawieźli dziecko do lecznicy w Fairmont. Tam po dokładniejszych badaniach stwierdzili, że muszą całe biodro umieścić w gipsie, w związku z czym zatrzymają małżeństwo na dłuższy czas.

Pobyty Marysi w szpitalu trwał dziesięć dni, a następnie kilka tygodni przeleżała w domu. Po zdjęciu gipsu długo nie mogła chodzić, a potem okazało się, że biodro jest okaleczone w sposób nie do wyleczenia i już cały czas będzie utykać na nogę. Jej kalectwo było wielką udręką na całe jej życie. Zrozpaczeni rodzice oboje musieli patrzeć na ułomność dziecka, a nieszczęsnej matce niejednokrotnie jeszcze wytykano niedopełnienie należytej dbałości w sprawowaniu opieki nad dziećmi.

* * *

W jednym z listów, jakie nadchodziły niemal regularnie z Galicji, najmłodszy brat Andrzeja, Filip oznajmił, że też chciałby pójść w ślady swoich starszych trzech braci i przyjechać do Ameryki. Minęło mu już dwadzieścia lat i nie widzi dalszych perspektyw godziwego życia przy najstarszym bra-

cie – Piotrze, który gospodarzył na ojcowiznie w Przybyszowie. Zebrali się więc starsi bracia – piąte, siódme i ósme dziecko Michała i Ewy – i zgodnie postanowili sprowadzić do siebie dziewiąte dziecko z tej rodziny; razem na pewno będzie im jeszcze rażniej.

Przyjazd był przewidziany na maj 1912 roku. Był to czas, kiedy to w całej Ameryce, w tym również wśród imigrantów z Europy, nie ustawała dyskusja nad niedawno zaistniałą wielką katastrofą morską z angielskim okrętem pasażerskim „Titanic”, który to, jako największy i najszybszy, miał pobić wszelkie rekordy, a zatonął w swoim dziewiczym rejsie z Southampton do Nowego Jorku, zaledwie o niecały dzień drogi przed przybyciem do celu. W katastrofie zginęło ponad tysiąc pięćset osób i wieść o niej przysparzała wiele lęków tym, którzy mieli wyruszać w podobną podróż.

Na szczęście, katastrofy takie nie zdarzają się tak często i przyjazd Filipa odbył się bez większych komplikacji. Na stacji kolejowej przywitali go z radością trzej bracia, w towarzystwie wielu znajomych osób. Po przywitaniu Andrzej zaprosił go do swojego mieszkania i ugościł jak tylko umiał. Cieszyli się pospołu wszyscy trzej ze spotkania najmłodszego brata i wypytывali o zdrowie, o wiadomości od najbliższych i znajomych. Filip był pod wielkim wrażeniem z podróży, cieszył się, że bracia dobrze zadomowili się na amerykańskiej ziemi i z podziwem patrzył na liczną już rodzinę Andrzeja.

Po kilkudniowym odpoczynku starsi bracia znaleźli mu zajęcie w firmie budowlanej. Na początku miał jeździć jako ładowacz z transportem i dostarczać niezbędne materiały do prowadzonych budów. Postarali się również bracia o miejsce do mieszkania. Najmłodszy brat z rodziny Priadków przy każdej sposobności, gdy tylko miał kilka godzin wytchnienia od pracy, odwiedzał swoich najbliższych, przez co jego asymilacja do nowego życia przebiegała bez większych stresów. Przypadł mu do gustu wysoki standard życia tutejszych robotników, bowiem otrzymywana zapłata od razu wystarczała na pełne utrzymanie i życie w dostatku. Po niedługim czasie mógł też myśleć o odłożeniu niewielkich kwot i snuć plany na przyszły okres. Szybko więc zapomniał o galicyjskiej biedzie, o życiu w ciągłym napięciu i zamartwianiu się nad swoją przyszłością. Tu też musiał ciężko pracować, ale spotykał się z większym szacunkiem i wszędzie traktowano go jako równego sobie. Nie był sam. Prawie razem żyło trzech starszych braci, a w dodatku wkoło było wiele znajomych, którzy pochodzili – jak to zwykło się mówić wśród imigrantów – „z tych samych stron”.

* * *

Życie toczyło się utartym trybem. Niepostrzeżenie mijały miesiące i lata. Dzieci podrosły w zdrowiu i z dnia na dzień stawały się bardziej dojrzałe i mądrzejsze. Szybko uczyły się wielu umiejętności. Marysia skończyła już cztery, a Janek dwa lata, gdy Katarzyna pewnego wieczoru, po zakończeniu codziennej krzątany, nieśmiało przytuliła się do męża i, nieco zmieszana, powiedziała:

– Wiesz, Andrzej, muszę ci coś ważnego powiedzieć.

– Jaką ty znowu nowość wymyśliłaś? Chyba będziemy musieli znów coś kupić do domu – odparł Andrzej.

– Tak, będzie w domu więcej, ale nie rzeczy, tylko nas przybędzie. Ja jestem w ciąży. Nie będziesz się na mnie gniewać?

– Dlaczego miałbym się gniewać? Cieszę się, że nasza rodzina stanie się liczniejsza.

– Szkoda tylko – dodał Andrzej po chwili namysłu, – że nasze dzieci będą tu wyrastały, na obczyźnie. Tu jest dobrze, można zarobić pieniądze i jest z czego żyć, ale to nie jest nasze miejsce. Mnie zawsze tęskno za naszymi stronami. Tam, wśród naszych Łemków, chciałbym żyć i pracować. Chciałbym, aby nasze dzieci też tam się chowały – wśród kwiecistych łąk i pagórków, żeby nauczyły się śpiewać pieśni ukraińskie i modlić się po naszemu. Tu jesteśmy tylko z konieczności. Zawsze dręczy mnie myśl o powrocie.

– Ja też bardzo chciałabym wrócić. Nieraz o tym myślę. Ale jak teraz mamy wracać? – westchnęła Katarzyna – Tam ciężko żyć, a nas będzie już pięcioro. Nic tam nie mamy, ani domu swojego, ani kawałka pola. Chyba przyjdzie nam tu pozostać na zawsze.

– Zobaczymy... – odrzekł po namyśle Andrzej.

Gdy już wszyscy udali się na spoczynek, Andrzej długo rozmyślał, a potem zamknął się w kuchni, aby nikomu nie przeszkadzać i wziął się do pisanja listu. Pisał do najstarszego brata, Piotra, który ostał się na ojcowiznie w Przybyszowie.

Po dwóch miesiącach przyszła listowna odpowiedź. Piotr pisał, że chodził do Płonnej, rozmawiał z tamtejszym dziedzicem, a zarazem proboszczem parafii greckokatolickiej, Emilianem Konstantynowiczem, który na stałe zamieszkiwał już w Sanoku, gdzie obejmował funkcję dziekana. Ustalili, że chętnie może odsprzedać znaczny łąn pola w Płonnej, położonego niedaleko od cerkwi, w górną stronę wioski. A więc mogłoby ziścić się młodzieńcze marzenie Andrzeja o zakupie tej ziemi, obok której często przemierzał drogę za czasów, kiedy to wychowywał się u swojej siostry, Hani. Pozostało tylko jeszcze uzgodnienie ceny i podpisanie umowy notarialnej. Wysłał więc Andrzej bratu proponowaną kwotę i zlecił mu zajęcie się kupnem tej ziemi w sposób formalny.

Był początek lata 1914 roku. W życiu Andrzeja i Katarzyny zbiegły się dwa ważne wydarzenia: po pierwsze, urodził się drugi syn, któremu dali na

imię Michał (tak samo jak nazywał się ojciec Andrzeja), a po drugie, przyszła wiadomość z kraju, że stali się właścicielami jedenastu hektarów i trzydziestu arów najładniejszej ziemi w Płonnej. Zakup ten kosztował ich niemal półtora tysiąca dolarów, a pomimo tego, w zapasie pozostała im jeszcze suma znacznie przewyższająca tę kwotę. Wstępną umowę zawarł brat Piotr, ale, niestety, aktu notarialnego nie podpisał, ponieważ był niepiśmienny. Akt taki miałby być sporządzony dopiero po osobistym stawieniu się nowego właściciela ziemi.

Oboje byli wielce zadowoleni. Malutki Michałek miał się dobrze, a ponadto radowali się mocno, że są już teraz właścicielami ziemskimi i, gdy powrócą i wybudują całą zagrodę, będą mogli mieć się za równych najbogatszym gospodarzom we wsi, w której nie tak dawno byli tylko wyrobnikami. Pozostało tylko poczekać do czasu, kiedy najmniejsze dziecko nieco wzmocni się, aby dzielnie mogło znieść daleką podróż, a w tym czasie będzie można załatwić wiele formalności związanych z powrotem do kraju.

Lato było w pełni i niebawem miała zbliżać się jesień, a potem kolejna zima. Wyjazd w tym okresie nie byłby dobry, tym bardziej, że na początek należałoby przystąpić do stawiania zabudowań przyszłego gospodarstwa. Uradzili więc oboje, że najlepszym okresem do tak ważnej podróży będzie wiosna przyszłego roku, a do tej pory jeszcze zaoszczędzą nieco pieniędzy i zlecą zgromadzenie w Płonnej niezbędnych materiałów budowlanych.

Tymczasem na świecie nastał wielki niepokój. Najpierw prasa doniosła wiadomość o zabójstwie arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie, a potem o rozpoczęciu się otwartych konfliktów wojennych. W sierpniu Stany Zjednoczone ogłosiły, że wobec europejskiego konfliktu zachowają neutralność. Andrzej z Katarzyną zrozumieli więc, że wyjazd w takich okolicznościach raczej nie będzie możliwy, a na pewno niebezpiecznym byłoby pchanie się w samo centrum wojennej pożogi i żadne urządzenie nowego gospodarstwa nie może dojść do skutku. Powstała nawet obawa co do ważności transakcji kupna nieruchomości. Przecież akt notarialny nie został formalnie sporządzony, a ponadto nie wiadomo, czym ta wojna zakończy się, jakie będą zmiany w państwowości tych ziem i czy nowy imperator będzie respektować przedwojenne prawa własności. Nie pozostało nic innego, jak tylko czekać, spokojnie pracować i wychowywać dzieci.

Taki rozwój wydarzeń zasiał wiele niepokoju. Nie wpłynęło to dobrze na rodzinne nastroje. Oboje małżonkowie stali się drażliwi i skłonni do kłótni, a nawet awantur. Andrzej poważnie się zmienił w sposobie traktowania żony. Wytykał jej wiele, często niezawinionych, a nawet urojonych zdarzeń. Musiała więc nieraz ponownie wysłuchiwać, że to właśnie przez nią okaleczona została Marysia, że nie wiadomo kto u niej przebywa, podczas gdy on jest w pracy, dlaczego niedosolony lub przesolony jest obiad. Bywało też, że zarzucał małżonce, iż nie jest dość gospodarna i za dużo pie-

niędzy wydaje na utrzymanie. Bolało ją to bardzo, bo właściwie nigdy nie miała swobody w ich wydawaniu. Zawsze na każdy wydatek musiała dopraszać się najmniejszych sum i gdy uznawał, że jest to uzasadnione, to wysuły banknoty z najgłębszych kieszeni i ściśle jej na wszystko wyliczał. Takie zachowanie męża wprowadzało Katarzynę w przykry nastrój. W wyniku tego zbyt łatwo wpadała w przygnębienie, a nawet w depresję. Bardzo skłonna była do płaczu z byle powodu, po czym w żaden sposób nie można było jej udobruchać. Na nic zdawały się wtedy wszystkie przeprosiny i obiecanie, że od teraz na pewno będzie dobrze. Bywało, że wpadała w spazmy i przepłakiwała całe noce. Dotychczas wesołe i budujące, wspólne rozmowy przestaczały się w sprzeczki, kłótnie, a często w milczenie. Zbawieniem było więc, gdy ktoś odwiedzał ten dom. Wtedy atmosfera poprawiała się, pojawiały się ponownie żarty i wesołe opowieści.

Nadal odwiedzali ich bracia Andrzeja oraz Łukasz, kuzyn Kasi, ale najczęstszym gościem była jej siostra, Oksana. Andrzej lubił, gdy ona przychodziła. Zawsze była taka pogodna i uśmiechnięta. Wyładniała i wydelikatniała podczas kilkuletniego pobytu w Ameryce, a ponadto miała taki uwodzący i przenikliwy wzrok. Spoglądał więc na nią z wielką ciekawością, a gdy znajdował się w pobliżu, to przy każdej okazji dotykał ją lub ocierał się o nią, niby niechący. Ona nie unikała takich prowokacji, a nawet chętnie powłóczyła za nim oczyma. Zawsze czule, na oczach siostry, witali się i żegnali ze sobą. Bywało też, że niby przypadkowo, spotykali się poza domem, a przy sposobności Andrzej chętnie odprowadzał ją do wynajmowanego przez nią mieszkania.

Zdarzyło się kiedyś, że po kolejnym nieporozumieniu z żoną Andrzej nie powrócił z pracy i nie było go przez kilka dni. Zrozpaczona Katarzyna szukała go i dopytywała się o niego wśród kolegów. Oni poinformowali strapioną żonę, ażeby zbytnio się nie martwiła, bo na pewno nic złego mu się nie przydarzyło, bowiem od kilku dni wspominał, że nie będzie go w pracy, gdyż wybiera się w interesach. O tym, że wyjeżdża zawiadomił też swojego szefa. Uspokoilo to ją nieco, ale nadal nie wiedziała jakie to przyczyny spowodowały nieobecność męża. Udała się więc do siostry z zamiarem zapytania, czy coś może wie w tej sprawie i czy mogłaby jej pomóc w domu w czasie nieobecności męża. Niestety, nic osiągnąć nie zdołała, gdyż siostry nie było w domu, a gospodarz domu nie był w stanie bliżej ją poinformować o przyczynach nieobecności siostry.

– Poprosiła mnie o kilka dni wolnego, ubrała się ładnie i wyszła z domu. Nie mówiła kiedy dokładnie wróci – poinformował gospodarz, a zarazem pracodawca Oksany.

Informacje takie mocno zaniepokoiły Katarzynę. Zaczęła rozmyślać dlaczego właśnie oboje wyjechali w tym samym czasie. Gdyby zaistniało coś ważnego, to przecież powinni ją poinformować. A może oni... Tu wołała

przerwać rozmyślania. Nie, nie, to nie mogłoby się wydarzyć. Przecież to jej siostra, tyle razem przeszły, a teraz ona przecież nie mogłaby jej tego zrobić. Powróciła więc do swoich obowiązków przy pozostawionej trójce dzieci. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko czekać na rozwój wydarzeń.

Na czwarty dzień, przed wieczorem, Andrzej pojawił się w domu. Na zapytanie gdzie był nic nie chciał odpowiadać. Odrzekł tylko:

– Miałem sprawę, to wyjechałem. Przecież już jestem. Może kiedyś wszystko ci opowiem.

– Dlaczego też Oksany nie było w tym czasie w domu? – zapytała Kasia.

– Ja jej nie muszę pilnować. To twoja siostra – odburknął Andrzej.

I chociaż Kasia domyślała się powodu tej wspólnej nieobecności, nie miała na to żadnego dowodu, a Andrzej konsekwentnie nie informował o prawdziwej przyczynie swojej dłuższej nieobecności i nie przyznawał się, że spędził ten czas razem z Oksaną w hotelu w pobliskim mieście. Przez dłuższy czas sytuacja w domu była nadal przykra. W ten sposób mijały im tygodnie. Zdarzało się nadal, że Andrzej bywał nieobecny w domu, chociaż nie znikał już na tak długo.

Wreszcie Katarzyna zdecydowała się pierwsza przerwać to milczenie i podjąć poważną rozmowę. Poinformowała więc męża o tym, że od pewnego czasu jest w kolejnej ciąży. Andrzej dosyć już miał napiętej sytuacji i też męczyło go to, długo trwające, milczenie. Nową wiadomość przyjął spokojnie, chociaż nie bez głębszych wrażeń. Przecież mieli powrócić do kraju, kupili ziemię, a tylko ta piekielna wojna w Europie przeszkodziła im w tym przedsięwzięciu. A teraz nowa przeszkoda. Znów będzie malutkie dziecko. Ale, co tam! Jeżeli pojawia się kłopot, to nie jest może istotne ile powodów składa się na niego. Dziecko koniecznie trzeba odchować. Ważne pozostaje tylko, że na razie nie można zrealizować swoich zamierzeń co do podróży. Najwyżej przyjdzie im dłużej na to poczekać.

Mijały kolejne miesiące. Pamięć o wyrządzonej przez męża niemalej krzywdzie ulegała z biegiem czasu osłabieniu. Wzajemne stosunki między małżonkami uległy całkowitej poprawie. Pozostał tylko żal do siostry, którą pomagała przecież wychowywać, a potem wybrała się z nią w daleki świat.

– Widocznie tak to już bywa pomiędzy siostrami i nic na to nie poradzimy – westchnęła nieraz Katarzyna.

* * *

Nastała zima z 1915 na 1916 rok. Na wyciszenie atmosfery rodzinnej poważny wpływ miał również fakt, że Katarzyna znajdowała się ponownie w odmiennym stanie. Już czwarty raz miała powiększyć się rodzina. Teraz w wynajmowanym, niewielkim mieszkaniu robiło się naprawdę ciasno. Andrzej od dłuższego czasu nosił się z myślą przerwania pobytu na emigracji i

urządzenia sobie ładnego gospodarstwa na kupionej ziemi w Płonnej. Teraz plany te musiały być przełożone na nieznaną bliżej przyszłość. Były ku temu dwa powody: trwająca wojna w Europie i mające ponownie narodzić się dziecko. Nie pozostało więc do zrobienia nic innego, niż wybudowanie własnego domu. Gdyby nawet w przyszłości dalej miał zamiar powrotu do kraju, to przecież nic by na tym nie stracił. Dom zawsze można sprzedać, a przy korzystnym ułożeniu się spraw, to nawet można na tym zarobić.

Po podjętej decyzji przyszedł czas na załatwianie spraw związanych z budową. Najpierw trzeba było znaleźć miejsce i pozyskać prawo do stawiania na nim domu. Sama miejscowość Monongah, chociaż pięknie położona, nie stanowiła łatwego miejsca na tego typu przedsięwzięcie. Po wschodniej stronie stromo wspaniało się zbocze gór Allegheny Mountains, pod którym przepływał znaczny potok West Fork. Za potokiem, po zachodniej stronie, położone były zabudowania, układające się w kilka uliczek, a dalej znów zaczynały się, nieco mniejsze wzniesienia. Ponadto w wielu miejscach rozlokowane były szyby i tunele kopalniane oraz związane z nimi zaplecze techniczne, jak rampy załadownicze, bocznic kolejowe i zakłady przetwórcze. Ponieważ teren był mocno zróżnicowany, poprzecinany licznymi wzniesieniami i mniejszymi potokami, cała zabudowa miasteczka była mało widoczna i wtapiała się w krajobraz.

Andrzej wybrał niewielki skrawek o powierzchni około piątej części akra¹, położony po wschodniej stronie rzeki, nad którą przebiegała drugorzędna droga, lub – jak kto woli – kręta uliczka wiejska. Teren ten, o kształcie zbliżonym do prostokąta, posiadał różnicę w poziomie, pomiędzy dwoma jego bokami, ponad dwa metry. Dom, który tu stanął, był drewniany, pokryty papą. Ściany zewnętrzne obłożone były poziomo ułożonymi deskami, a wewnątrz budynek był obity gipsowymi płytami i wyłożony papierowymi tapetami. Posiadał plan kwadratowy z dachem jakby składającym się z czterech równych trójkątów, zbiegających się u szczytu swoimi wierzchołkami w jednym punkcie, a podstawy tych trójkątów wystawały poza ściany, tworząc z każdej strony okapy o szerokości około dwóch stóp. Ściany z dwóch boków – od frontu i od strony gór – stanowiły proste powierzchnie, zaopatrzone w okna z każdej strony. Natomiast od strony południowej i północnej ściany były cofnięte, a dach podparty czterema słupami, co tworzyło krużganki, szerokie na około siedmiu stóp każdy. Na krużgankach tych po środku znajdowały się drzwi prowadzące do wnętrza budynku, a z lewej i prawej strony tych drzwi zamontowane były okna. Jak przystało na amerykańską modłę, nie były one rozwierane na boki, lecz przedzielone poziomo w ten sposób, że dolną ich część można było podsuwać do góry. Przedstawione umiejscowienie tarasów miało swoje praktyczne zalety, a mianowicie, w zależności od pogody i pory roku, zawsze można było zna-

¹ Akra – amerykańska miara powierzchni, wynosząca około 40 arów.

leżeć na jednym z nich upragniony cień i związany z nim chłód lub przegrzewające słońce. A pogoda właśnie w tej części Ameryki bywa bardzo zmienna.



Dom, który wybudował Andrzej w Monongah. Zdjęcie zrobione w 1971 r.

Do wnętrza budynku¹ wchodziło się głównie z tarasu południowego. Wejście było bez przedsionka, opatrywane na zimę podwójnymi drzwiami, a latem używano tylko

drzwi z moskitierą² i prowadziło bezpośrednio do większego pokoju, zwanego *living room*³. Po lewej stronie znajdowały się drzwi do pomieszczenia pełniącego funkcję zarazem łazienki i schowka gospodarczego, a dalej było pomieszczenie kuchenne, oddzielone od ogólnej części tylko przewężeniem, bez drzwi. Na wprost przechodziło się do następnego pokoju, z którego można było wyjść na taras północny, a po prawej stronie znajdowały się jeszcze dwa pokoje, zwane jako *bedroom*⁴. Mieszkanie ogrzewane było piecem metalowym z częściową obudową ceramiczną, opalanym węglem, z możliwością rozprowadzenia ciepłego powietrza rurami do innych pomieszczeń. Piec ten usytuowany był w salonie, przy ścianie sąsiadującej z kuchnią. Wnętrze budynku miało około 1200 stóp kwadratowych⁵ i było w zupełności wystarczające dla młodej, pięcioosobowej, a niedługo sześciuosobowej rodziny. Dodatkowym walorem całego przedsięwzięcia było uzyskanie pewnego obszaru na zabawy dla dzieci, a ponadto na niewielkiej, bardziej płaskiej powierzchni urządzono ogródek, na którym można było uprawiać warzywa. Cały teren został obsadzony krzewami i drzewami owocowymi. Na zbieranie pożytków z tych ostatnich należało jednak poczekać jeszcze kilka lata.

¹ Budynek ten przetrwał co najmniej 60 lat; gdy piszący te słowa odwiedził go w czerwcu 1971 roku, był jeszcze zamieszkały przez młode małżeństwo z dwojgiem dzieci.

² Siatka zastępująca na okres letni przeszklenie w drzwiach, zapewniająca przewiew i ochronę przed owadami.

³ Dosłownie: pokój do życia (ang.), czyli pokój dzienny.

⁴ Sypialnia (ang.)

⁵ Około 110 m²

Budowa została zakończona latem 1916 roku. Wraz z zakupem podstawowego wyposażenia pochłonęła ona prawie całe oszczędności, jakie pozostały po dokonanych dwa lata wcześniej zakupie ziemi w Płonnej. Poprawa warunków mieszkaniowych pozwoliła na odczucie wielkiej ulgi. Najbardziej cieszyć się mogła najstarsza i jedyna dotąd córka – Marysia, która w tym czasie rozpoczęła właśnie naukę szkolną. Lepiej, jako gospodyni odpowiedzialna za dosyć już liczną rodzinę, poczuła się również Katarzyna. Wreszcie miała gdzie ułożyć wygodnie dzieci do spania, a im przybyło miejsca na zabawy wewnątrz mieszkania i na wolnym powietrzu.



Dom w Monongah. Na zdjęciu, wykonanym w 1971 r. stoi Andrzej, najmłodszy syn Andrzeja seniora (autor tej opowieści)

Z tego całego przedsięwzięcia ogromnie radował się również Andrzej. Miał w pamięci jeszcze nieodległe lata, gdy, jako wiejska sierota, od dziecka musiał pracować za prawo do miesz-

kania i wyżywienia się. Nie śmiał wtedy nawet myśleć o posiadaniu czegokolwiek swojego. A teraz dorobił się wszystkiego własnymi rękoma. Tu też ciężko pracował, ale podlegał jako takim prawom. Cieszył się więc ze swojego sukcesu najbardziej dlatego, że zapewnił rodzinie dobre warunki życiowe i dokonał czegoś wartościowego. Z drugiej jednak strony trapiła go myśl, że nadal nie wszystko układa się według jego oczekiwań. Jego marzeniem było wybudowanie porządnego gospodarstwa w ojczystych stronach i tam żyć jak równy najważniejszym gospodarzom w okolicy. Tymczasem zdawało mu się, że jakby rozmienił się na drobne. Posiadał w Płonnej ładny kawałek wymarzonego pola, ale nie mógł nawet go pooglądać, a do tego cały czas trapiła go myśl, że nic nie jest pewne. Tam teraz jest wojna i nie wiadomo jak się zakończy. Na dobrą sprawę to on wydał pieniądze, a ziemię uprawia ktoś inny. Nie ma nawet prawomocnych papierów na tę transakcję. Nic innego mu więc nie pozostało, jak tylko czekać i być dobrej myśli. Wszystko powinno się jakoś ułożyć. Nie można żyć tylko dążeniem do czegoś, podczas gdy tu ma na utrzymaniu pięcioro członków własnej rodzi-

ny. Wziął sobie młodą niewiastę za żonę, ona dla niego poświęca zdrowie i musi więc być za nią odpowiedzialny. A troje dzieci codziennie przecież na niego spoglądają z ufnością, że *papa*¹ dużo może i wszystko im zapewni. Nie ma prawa ich zawieść.



Na zdjęciu, zrobionym w 1971 r., przy domu w Monongah stoi Paweł, syn Andrzeja (pierwsze dziecko urodzone w tym domu)

W dniu 24 września 1915 roku przyszedł na świat kolejny syna Andrzeja i Katarzyny. Czwartemu dziecku dali na imię Paweł, a ojcem chrzestnym został brat Andrzeja o tym samym imieniu.

Teraz życie całej rodziny toczyło się nieco odmiennym torem. Andrzej z radością wracał do domu, bo zawsze na myśli miał wprowadzenie jakiegoś ulepszenia w samym mieszkaniu, czy też w gospodarstwie przydomowym. W wolnym czasie sam wykonał kilka uli, a następnie sprowadził do nich pszczoły. Okoliczne górskie tereny obfitowały w pożytek i już po roku dzieci pod dostatkiem miały swojego miodu, a czasem też i powód do płaczu, gdy któreś z nich za daleko zaplątało się w stronę, posadowionej pod zbozczem, niewielkiej pasieki. Oboje z małżonką w wolnej chwili, zwłaszcza w niedzielę, lubili siadać na którymś z tarasów i spoglądać w dół na Monongah lub wzwyż – na górskie stoki. Widoki te, chociaż urokliwe, nie mogły być jednak tak upajające, jak te beskidzkie – z rozległymi połoninami, łąkami poprzecinanymi krystalicznie czystymi potokami z kępkami kalin i łoż, zielonymi polami i różnobarwnymi lasami. Tu widoki były jakby krótsze, łąki nie tak kwieciste, a zamiast połonin – pourywane kotliny górskie. Kto wie, może kiedyś wróćą w tamte krajobrazy, zapamiętane z młodości lat...

Zmiany nastąpiły również w najbliższej rodzinie. Spośród pozostałych braci mieszkających w Ameryce pierwszy i zarazem jedyny, ożenił się ten najmłodszy, czyli Filip. Pojął on za żonę piękną, wysoką o długich czarnych

¹ Tak do Andrzeja zwracali się wszystkie jego dzieci.

włosach, dziewczynę z emigracji węgierskiej o imieniu Julia. Pozostali dwaj bracia, to jest Jan i Paweł, chociaż ukończyli obaj po trzydzieści lat, ostali się nadal w stanie kawalerskim. Odbyło się skromne wesele i wszyscy się cieszyli, że rodzina się poszerza. Julia już wcześniej znajdowała się w kręgu zainteresowań innego brata – Pawła, lecz on ciągle nie miał odwagi na wyjawienie jej celu swoich zalotów i zwlekał z oświadczeniami. Następnie ich wzajemne odniesienia ostygły, co wykorzystał bardziej przebiegły i odważniejszy młodszy brat. Filip przed poślubieniem Julii nie omieszkiał zapytać starszego brata, czy nie będzie miał niczego przeciwko uwieńczeniu ich znajomości i – po uzyskaniu zapewnienia, że nic już Julii i Pawła nie łączy – zdecydował się na zawarcie związku małżeńskiego.

Za mąż wyszła również siostra Katarzyny – Oksana. Poślubiła ona chłopca wywodzącego się również z emigracji łemkowskiej, niejakiego Teodora, który, jako jeszcze dziecko, przyjechał w te strony wraz ze swoimi rodzicami spod Nowego Sącza. Po krótkim czasie po ślubie wyjechali oni do niewielkiej miejscowości Greenville, położonej w środkowej części Pensylwanii, na północ od miasta Pittsburgh, i tam pozostali już na stałe. Wyjazd Oksany uspokoił nieco Katarzynę, która – chociaż nie zauważyła już więcej podobnych, jak kiedyś, wypadków do hotelu w mieście – ciągle obawiała się, że nie wygasła namiętność Andrzeja do jej siostry i nigdy jej do końca nie ufała. Zresztą pamięć o tamtym ekscesie powracała mimowolnie i często była powodem małżeńskich nieporozumień.

* * *

Mijały kolejne lata. Dzieci wyrastały. Marysia skończyła już dziewiąty rok życia, chodziła do szkoły i, pomimo swojego kalectwa, była bardzo pomocna przy wychowywaniu młodszego rodzeństwa i w prowadzeniu domu. Wydawało się, że życie Andrzeja i Katarzyny już się unormowało i następne lata będą znacznie łatwiejsze. Niekiedy oboje snuli plany, że gdy tylko trochę materialnie staną na nogi i dzieci będą większe, a w Europie sytuacja się unormuje, to może ponownie pomyślą o zrealizowaniu zamiaru powrotnej podróży za wielką wodę i tam, już na swoim, na dobre zajmą się gospodarstwem i będą się radować własnymi plonami oraz oglądaniem rodzinnych widoków.

Tymczasem na wiosnę 1918 roku w domu, którym wszyscy się tak radowali, zwiększyło się zaludnienie. Nowo narodzonemu chłopcu dano na imię Andrzej. Razem wszystkich domowników było już siedmioro.

Kolejna ciąża i ciężkie rozwiązanie źle wpłynęły na samopoczucie Katarzyny. Podupała nieco na zdrowiu, ale przede wszystkim stała się mocno pobudliwa i przewrażliwiona. Wiele spraw łatwo ją wprowadzało w rozdrażnienie i stale dopatrywała się objawów upokorzenia i lekceważenia ze

strony męża. Andrzej, widząc, że jego zamierzenia co do opuszczenia Ameryki ciągle się oddalają i przejęty obowiązkiem utrzymania już dość licznej rodziny, również stał się bardziej podatny na stresy i nie umiał ukoić częstej irytacji małżonki, a niekiedy wręcz odwrotnie – sam stawał się przyczyną nieporozumień. Sytuacja taka wprowadzała wiele nowych napięć w małżeństwie i życiu całej rodziny, zwłaszcza, że Andrzej też często bywał szybszy w działaniu niż w myśleniu, a w swoim zachowaniu wpadał w furję, której sam nie umiał opanować.

Zdarzyło się kiedyś, że gdy powrócił z pracy późnym popołudniem i w domu nie zastał gotowego posiłku, a żona krzątała się koło najmniejszego dziecka, które cały dzień z niewiadomych przyczyn grymasiło, wpadł w gniew i szorstko zapytał:

– Czy nie miałaś przez cały dzień dość czasu aby ugotować obiad i że-bym teraz nie czekał głodny?

– Dobrze powiedziałeś! Nie miałam dość czasu. Od rana wzięłam się za pranie, a tu mi jeszcze Andrzejek cały czas popłakuje. Bez przerwy muszę chodzić po wodę, a i tak mi jej brakło, bo nie ukończyłam płukania. Lepiej, zamiast złościć się, przyniósłbyś mi dwa wiadra wody, a obiad zaraz będzie gotowy.

– Zaraz będziesz miała wodę! – odrzekł, jeszcze bardziej poirytowany Andrzej, po czym wziął wiadra i wyszedł przed dom, gdzie znajdował się uliczny kran wodociagowy.

Po chwili wrócił z pełnymi wiadrami i kazał szybko je opróżnić, bo idzie jeszcze raz po wodę. Gdy ponownie powrócił, kazał znów opróżnić wiadra. Nieboraczka wylała wodę do wszystkich wolnych naczyń, jakie mogła znaleźć, a gdy mąż powrócił z pełnymi wiadrami kolejny raz i nie miała do czego wlać wodę, wylał ją na podłogę. Scenę tę powtórzył Andrzej jeszcze dwa razy, a zaprzestał tego furiackiego zachowania dopiero na głos lamentu zrozpaczonej żony i przestraszonych dzieci. Następnie wybiegł na zewnątrz i powrócił dopiero późnym wieczorem.

– Kasiu, – podjął próbę usprawiedliwienia się po powrocie – proszę nie gniewaj się na mnie. Byłem bardzo zmęczony. Cały dzień miałem ciężką robotę, a jeszcze *boss* ciągle na mnie wrzeszczał. Dlatego tak się w domu rozszłościłem. Postaram się być dobry dla ciebie.

– Tak, teraz mówisz „nie gniewaj się”, a o byle co wpadasz w złość, dzieci ciągle przestraszasz, a i ja już dalej tak nie mogę wytrzymać. Myślisz, że mało mam roboty przy tylu małych dzieciach.

– Nie dogładasz sama dzieci, bo przecież Marysia ci pomaga.

– Marysia ma dopiero dziesiąty rok, a do tego jest kaleką. Ledwo chodzi na tym swoim krzywym biodrze i sama potrzebuje pomocy. Ja już mam dosyć takiego życia! – zakończyła Katarzyna i popadła w spazmatyczny szloch.

Zdawało się, że nie ma sposobu aby ukoić żal rozgoryczonej niewiasty. Andrzej na przemian to próbował ją utulić w żalu i obiecał, że to się nie powtórzy, to znów sam popadał w rozgniewanie i rozterkę.

– Myślisz, że mnie jest tak lekko. Pracuję ciężko na nas wszystkich. Niczego wam nie brakuje. Przychodzę późno i chciałbym trochę spokoju. Już dawno chciałbym stąd wyjechać i rozpocząć trochę wolniejsze życie, ale ciągle mi się nie układa: to wojna, to znów małe dziecko! Ciągłe jakieś kłopoty, a tu jeszcze płacz i narzekanie żony. Jak ja mam tak dalek żyć?

– Niczego nam nie brakuje? – odrzekła Katarzyna, wstrzymując na chwilę płacz. – Co z tego, że mamy gdzie mieszkać i co jeść, jak nigdy nie ma spokoju. Ciągłe się o coś czepiasz: a to że ktoś u mnie był, to znów, że obiad nie jest na czas, albo znów w nocy jesteś niezadowolony. Jakie to życie w dostatku, jak ty go właśnie tak nazywasz?

W końcu zrobiło się późno i oboje posnęli bardzo zmęczeni i rozżaleni. Podobne zdarzenia miały miejsce jeszcze wiele razy. Bywały i okresy zgody, ale z biegiem czasu różne utarczki i zwady miały coraz częściej miejsce. Niekiedy wydawało się, że normalnym stanem jest gniew i nieporozumienie, a gdy jest spokój to właśnie wtedy dzieje się coś niezwykłego.

Tymczasem w rodzinie Andrzeja stało się nieszczęście. Otóż, gdy młodszy brat, Paweł powracał z pracy do domu, postanowił skrócić sobie drogę i udał się wzdłuż toru kolejowego. Gdy uszedł około mili, ujrzał nadjeżdżający z przodu pociąg i usunął się z tego toru na tor równoległy. Pociąg z łoskotem przejechał obok niego i oddalił się. Paweł usłyszał następnie gwizd lokomotywy, ale był przekonany, że to sygnał z oddalającej się maszyny, podczas gdy poza plecami miał pociąg jadący w przeciwnym kierunku. Gwizd powtórzył się i usłyszał głośny zgrzyt żelastwa. Gdy zorientował się, że właśnie za plecami ma inny pociąg, niż ten, który przed chwilą go minął, próbował uskoczyć, ale było już za późno. Hamująca, ale ciągle pędząca z dużą prędkością, lokomotywa zahaczyła o jego ubranie, przewrócił się i uderzył głową o podkłady kolejowe.

Przeniesiony do domu Paweł odzyskał przed wieczorem na chwilę przytomność, spojrzał na stojących nad nim braci i z trudem wyjąknął w geście pożegnalnym:

– Moje życie już się skończyło. Ja już odchodzę. Żegnajcie wszyscy.

– Nie mów tak – pocieszał go Andrzej. – Będiesz żył. Zaraz przyjedzie lekarz i pójdziesz do szpitala.

– Andrzejku kochany, lekarza już nie trzeba. Zaraz umrę. Widzisz, przyjechałem do Ameryki po śmierć. Niewiele się dorobiłem. To co mam, wszystkie moje pieniądze i mieszkanie, przekazcie Julii. Ją jedną naprawdę kochałem. Dobrze, że wyszła za Filipa, przynajmniej nie będzie teraz wdową. Idę tam, gdzie jest mama i nasz tato. Żegnajcie...

Po wypowiedzeniu tych ostatnich słów uniesiona nieco głowa opadła bezwładnie na poduszkę, całe ciało drgnęło, ręce obsunęły się i dokonał swojego żywota.

Po pogrzebie Pawła obecni przy śmierci udali się do notariusza, tam spisali swoje zeznania, po czym sąd wydał orzeczenie, że wszystkie dobra, jakie posiadał zmarły przechodzą na własność Julii, żony Filipa. Po uprawnieniu się orzeczenia bank wypłacił należne jej kwoty, a rzeczy podzielono pośród pozostałych trzech braci.

Z początku sytuacja w rodzinie Filipa była nieco napięta. Oto żona otrzymała pieniądze po swoim byłym wielbicielu. Było tego więcej, niż sami dotąd zdążyli się dorobić. Ale cóż, *pecunia non olet*¹. Pawła i tak już nie ma, a spadek przyda się na poprawę własnego życia.

– Pieniądze dostałam ja, ale ja nie jestem sama. Mam męża i dzieci. Teraz pieniądze należą do mojej rodziny, a w rodzinie wszystkim zarządza mąż. Weź i rozporządzaj się nimi, jak swoimi własnymi – rzekła Julia do męża.

Filip przyjął pieniądze i poradził się starszego brata co by mógł zrobić z taką kwotą, aby ją dobrze zagospodarować.

– Powiem ci co o tym myślę – rzekł po zastanowieniu Andrzej. – Ciężko tu pracujesz, ale ty jesteś gospodarski syn. Gospodarzami byli nasz dziad i ojciec, a i ty też nie powinienesz pracować na czyimś. Widzisz, najlepiej byłoby gdybyś kupił sobie ziemię w Przybyszowie lub w Płonnej, ale do kraju teraz nie ma po co wracać. Tam jest wojna i nie wiadomo jak to się skończy. Już ja tam kupiłem ziemię i nic mi po niej. Myślę, że powinienesz kupić sobie farmę tutaj, w Ameryce.

– Dobrze mi radzisz – odparł Filip, – ale tu w *West Wirginia* nic nie ma ciekawego. Tu same góry, a pola też nie są dobre.

– Nie musisz kupować tu. Ludzie jadą dalej. Właściwie to nie trzeba daleko. Możesz kupić ziemię w Pensylwanii.

Tak też się stało. Filip wyruszył za radą doradców i ogłoszeń gazetowych i po kilku dniach powrócił uradowany. Kupił ładną farmę w Riegeville, w południowo-wschodniej części stanu Pensylwania, niedaleko rzeki Delaware, która stanowi granicę pomiędzy tym stanem, a stanem New Jersey. Wkrótce zwolnił się z dotychczasowej pracy, zabrał żonę z dziećmi i razem z bratem Janem, który cały czas był kawalerem, zaczęli gospodarzyć na własnym majątku.

Teraz Andrzej poczuł się bardziej osamotniony. Co prawda, posiadał własną, już całkiem liczną rodzinę, ale tęskno mu było do swoich braci. Jeszcze nie tak dawno było ich tu razem czterech, a teraz został już jedyny i zdawał sobie sprawę z tego, że we wszystkim musi liczyć się sam na własne siły. Pozostało mu jeszcze wielu przyjaciół, ale przyjaciel to nie to samo co

¹ Pieniądze nie śmierdzą (łac.)

rodzony brat. W niedługim czasie zdecydował się odwiedzić braci i – jako najstarszy – starał się im nieco doradzić. Doradzał więc im, w jaki sposób mają sobie poczynić w prowadzeniu całkiem pokaźnego, bo liczącego ponad pięćdziesiąt akrów, gospodarstwa. Pomyślał, że chciałby zrobić to samo i z chęcią osiadłby na własnej ziemi, bowiem ciągle trapiła go myśl, że jest już właścicielem pokaźnego kawałka ziemi i to nie byle gdzie, tylko w samej Płonnej, tam, gdzie spędził swoje dzieciństwo i tyle wysługiwał się w gospodarstwie własnej siostry i innych chłopów, a korzystać z niej nie może. Kupno gospodarstwa w Ameryce nie wchodziło w rachubę, bo nie czuł się na tyle zamożnym, aby – po jednym już kupnie ziemi i wybudowaniu domu – ponownie rzucać się na tak poważną inwestycję.

Tymczasem w listach nadeszła wiadomość, która też potwierdzała się w informacjach gazetowych, że wojna w Europie definitywnie zakończyła się. Zaszły kolosalne zmiany, a najważniejszą z nich było powstanie, po stu dwudziestu latach niewoli, wolnej Polski. Ziemia, z której wywodzili się Andrzej z Katarzyną, teraz znajdowała się na terenie tego kraju. Tak więc, nie są oni już poddanymi Jego Cesarskiej Mości, cesarza Austrii, lecz obywatelami Polski. Nie bardzo wiedzieli co to może praktycznie dla nich oznaczać. Ukraina dalej nie była wolna. Powstała niby samodzielna Republika Ukraińska, ale nadal znajduje się pod panowaniem rosyjskim. Tam, na wschodzie, też były zmiany. Nie ma w Rosji już cara, ale władzę przejęli bolszewicy. Wiadomo, że wszystko od ludzi zabierają do wspólnego gospodarowania. Może to więc i dobrze, że nie zostały scalone wszystkie ziemie, na których zamieszkuje ludność ukraińska, że część tych ziem należy do Polski, bo w przeciwnym razie wszystko przepadłoby i po jego własnej ziemi nie byłoby nawet śladu. A tak jest jeszcze nadzieja, że państwo polskie będzie honorować zawarte dotychczas umowy i prawo właścicieli do ziemi będzie nienaruszone. Rozpatrując jednak z drugiej strony, to szkoda, bo od wieków ludność ukraińska tęskniła za wolnością, chciała się wyrwać spod panowania innych władców. Śpiewano o tym w zazwyczaj smętnych ukraińskich pieśniach i tak opisywali to poeci. A tymczasem znów przyszło czekać i nie wiadomo do kiedy i na jaką okazję.

Ale co tam po polityce! Teraz są problemy bliższe, z którymi należy na co dzień się borykać i trzeba myśleć, jak zapewnić sobie spokojne i w miarę dostatnie życie. W pracy Andrzejowi powodziło się nieźle. Wykonywał nadal obowiązki mechanika kolejowego, a jego głównym zajęciem było przeglądanie pociągów towarowych, ujawnianie ukrytych usterek i naprawianie ich w miarę możliwości. Nie miał potwierdzonych uprawnień do prowadzenia pociągów, ale świetnie sobie radził z obsługą lokomotyw. Dlatego chętnie, na podmiannę innych kolegów, podejmował się obowiązków zestawiania składów pociągowych, przewożących ładunki z surowcami mineralnymi w głąb Stanów Zjednoczonych. Prowadzenie parowozu stanowiło

dla niego przyjemność, ale jego trasy zamykały się najwyżej w promieniu kilkunastu mil.

Utrzymanie dosyć już licznej rodziny, przy zauważalnym wzroście cen, wymagało łożenia coraz większych sum. Andrzej zauważył, że przyrost oszczędności w gotówce w związku z tym jakby nieco zmalał, a pieniądze były potrzebne, bo zamiary miał jeszcze wielkie. Zaczął się więc zastanawiać w jaki sposób można byłoby nieco zwiększyć swoje dochody. Obserwował bacznie, co wkoło działo się ważnego. Zarówno w prasie, jak i w radiu, które już w tym czasie regularnie tu funkcjonowało, dużo się mówiło o obowiązującej już od dłuższego czasu w Stanach Zjednoczonych prohibicji na produkcję i sprzedaż napojów alkoholowych. Jak to zazwyczaj bywa przy tego rodzaju państwowych zakazach, zawsze jest to okazja do prowadzenia mętnych, lecz bardzo opłacalnych interesów. Tak samo więc było i w tym przypadku. W całej Ameryce aż się roiło od nielegalnej produkcji i sprzedaży alkoholi. Prymat w tym wiódł gang słynnego Al Capone. Ponieważ zapotrzebowanie na zakup alkoholu w różnej postaci ciągle było wysokie, Andrzej postanowił spróbować swoich sił w tym zakresie, bowiem już z dziecięcych lat widział jak Żydzi i miejscowi chłopci pędzą okowitę.

Postanowił więc również spróbować tego proceduru. Ponieważ wyrób bimbru we własnym domu był bardzo ryzykowny, gdyż kary przy ujawnieniu obrotu wyrobami alkoholowymi były srogie, Andrzej wykorzystywał do tego wyeksploatowane wyrobiska kopalniane. Wiele kopalni w okolicy Zachodniej Wirginii zamiast pionowych szybów posiadało tylko pochyłe korytarze, wchodzące w głąb zboczy górskich. Miejsca te były idealną kryjówką do chowania całej, niezbędnej do tego celu aparatury i wytwarzania zakazanych przetworów. Po pierwszych próbach okazało się, że wyrób tak poszukiwanego trunku może przynosić zauważalne dochody. Tak więc Andrzej z biegiem czasu coraz więcej nocy spędzał na nowo zorganizowanym sobie zajęciu, a wytworzone, przyjemnie piekące napoje rozprowadzał wśród kolegów, czasem sprzedawał w nielegalnych spelunach, a bywało też, że dostawy odbierali całkiem nieznani osobnicy. Transakcje były proste i szybkie. Za dostarczoną partię sprawdzonego towaru otrzymywało się do ręki gotówkę i nie wolno było pytać kto go odbiera. Jakiegokolwiek niedokładności w ilości lub jakości produktu były mocno ryzykowne. Za wpadki nie tylko wypadało się z gry, ale można było stracić o wiele więcej. W celu uniknięcia demaskacji zajęcie takie nie mogło być wykonywane nieustannie. Często należało robić krótsze lub dłuższe przerwy, a uzyskane dodatkowo przychody były bardzo pomocne w domowych rozrachunkach budżetowych. Proceder ten – z większymi lub mniejszymi przerwami – uprawiany był nawet przez kilka lat.

* * *

Rodzina Andrzeja i Katarzyny rozwijała się nadal. 13 listopada 1920 roku na świat przyszło kolejne dziecko. Tym razem była to córeczka, której na imię dali Anna. W ten sposób Andrzej uczcił pamięć swojej starszej siostry, która po śmierci jego matki zaopiekowała się nim i wychowywała go. Wydarzenie to, chociaż stanowiło przyjęcie dodatkowych obowiązków, uradowało obojga rodziców. Mieli już jedną, jedenastoletnią, córkę i czterech synów, a teraz znów córka, jakby zamykała ten dostojny poczet.

Dziecko chowało się dobrze. Jednak matka po kolejnym porodzie, zmęczona dotychczasowymi obciążeniami przy utrzymaniu licznej rodziny, nie mając w zasadzie chwili wytchnienia, znacznie podupadła na siłach. Ciągłe obawiała się o to, czy poradzi sobie z obowiązkami i czy dostatecznie dba o wszystko, aby w pełni zadowolić męża, bowiem on nadal skłonny był do stawiania jej różnych, najczęściej niezasłużonych zarzutów. Obawa na myśl o tym stawała się obsesją, co przejawiało się znacznym rozdrażnieniem i częstymi niepokojami. W przypływach szczerości i dobrego humoru Andrzej starał się uspokajać ją i podtrzymywać na duchu, lecz nie zawsze miał ku temu odpowiedni nastrój. Często więc, zamiast sprawę załagodzić, zdarzało się mu jeszcze bardziej ją zaognić.

Ale w zasadzie na wzajemne animozje nie było też za wiele czasu. Sześcioro dzieci wymagało wiele zachodu. Troje z nich chodziło już do szkoły. Należało je więc starannie wyprawić, zadbać, aby miały wszystko, co należy do nauczania i przypilnować, czy dobrze się sprawują. Najwięcej kłopotów sprawiało prowadzenie kontroli nad tym, czy dzieci dobrze przyswajają wciskaną im wiedzę. Nie było to proste dla rodziców, którzy w życiu nie spędzili ani jednej godziny w ławie szkolnej. Umieli trochę pisać i czytać praktyczne teksty, ale obce były im pojęcia gramatyczne, czy działania arytmetyczne. O świecie wiedzieli tyle, co sami widzieli i co opowiadali inni, a z przyrody nie były im obce tylko własne obserwacje. W naukowe rozważania na te tematy nigdy się nie wdawali, a to, co sami obserwowali, zawsze było proste i oczywiste. Na szczęście amerykańskie placówki nauczania nigdy nie przenosiły – i chyba dotychczas nie przenoszą – nastroju szkolnego do atmosfery domowej. Dziecko uczy się w zasadzie tylko w szkole, a w domu ma odpoczynek i może zająć się innymi sprawami. Tak więc oboje z tych rodziców nie musieli wnikać bardzo w programy szkolne, a z tego, co dzieci umiały, szczerze się cieszyli.

Będąc w odwiedzinach u braci w Pensylwanii, Andrzej zapoznał krajana, który pochodził z Płonnej, a w Ameryce przebywał już od kilkunastu lat i obecnie wybierał się z powrotem do kraju. Andrzej przypominał go sobie jeszcze z dziecięcych lat. Nazywał się on Ignacy Kohut i wyglądał na solidnego i poczciwego człowieka. Andrzej postanowił więc wykorzystać tę znajomość do wyjaśnienia swoich problemów, związanych z prawem do zakupionej jeszcze w 1914 roku ziemi, bowiem dotychczas, chociaż zapłacił

należną kwotę w wysokości tysiąca czterystu dolarów, nie posiadał na nią aktu notarialnego, ani innego urzędowego papieru, a tylko przyrzeczenie kupna i pokwitowanie odebranej kwoty, jakie pozostały u najstarszego brata, Piotra. Piotr nie umiał pisać i nie był władny doprowadzić sprawy do formalnego końca. Zresztą sam w trzy lata po zakończeniu wojny zmarł.

Poszedł więc Andrzej do notariusza w Fairmont, sporządził pisemne upoważnienie do reprezentowania siebie w sprawie zakupu ziemi i przesłał je na adres wspomnianego Ignacego Kohuta z prośbą o sprawdzenie stanu rzeczy oraz doprowadzenie ich do legalnego końca. Ten zaś przyjął prośbę i przyobiecał wypełnić ją tak solidnie, jak to tylko będzie możliwe.

Jesienią 1922 roku Andrzej otrzymał wiadomość, że wszystko jest załatwione pomyślnie. Ksiądz Emilian Konstantynowicz, który był na owy czas dziekanem grekokatolickim w Sanoku, a zarazem właścicielem dworu i niegdyś wielu dóbr ziemskich w Płonnej, a obecnie nie zajmował się gospodarstwem wiejskim, a jedynie wydierżawiał swoje posiadłości, skrupulatnie przechowywał przez cały wojenny okres wszystkie dotychczas sporządzone dokumenty na temat transakcji kupna-sprzedaży ziemi i teraz potwierdzał dokonanie takiego aktu i przyjęcie należnej kwoty. Udał się więc razem z rzeczonym Ignacym Kohutem do urzędu notarialnego w Sanoku i sporządzili wymagany dokument, który następnie został przedłożony w Sądzie Grodzkim.

Tak więc od tej pory Andrzej stał się już legalnym właścicielem ponad czternastu hektarów najbardziej urodzajnej, położonej w środku wioski, na równym terenie i dobrze mu znanej z młodości lat, ziemi. Przez areal ten przepływały dwa potoki, które tu łączyły się ze sobą, a następnie wpadały do rzeczki o nazwie Połonka. Przez część tej ziemi przechodziła, notarialnie obwarowana służebnością, droga wiejska, prowadząca z górnej części wioski w stronę cerkwi i do drogi wiodącej z Bukowska do Komańczy.

Ta, pomyślna, wiadomość wielce uradowała obojga małżonków. Ale zasiało to, a raczej odnowiło, również pewien niepokój. Otóż wydawało się, że sprawa pozostania w Ameryce, czy powrotu do kraju jest już rozstrzygnięta na korzyść tej pierwszej możliwości. Przemawiał za tym głównie stan rodziny, zadomowione już w tym kraju dzieci, posiadany dom i nabyte przyzwyczajenia. Tymczasem ponownie zaświtała, zwłaszcza w umyśle Andrzeja, chęć powrotu na stałe do kraju, urzędzenia się i spędzenia tam reszty życia. Powstawał związany z tym pewien problem. Otóż w niedługim czasie, gdy dzieci zaczną dorastać, zaistniałaby ponownie – jak to robili już dziadkowie i rodzice Andrzeja i Katarzyny – konieczność dzielenia gospodarstwa na mniejsze części. I znów zaczęłoby się wszystko od nowa. Gospodarstwo byłoby za małe, aby móc rozdrabniać je na sześć członów rodziny. Należało więc sprawę przemyśleć i dokładnie zastanowić się. Gdyby nie wracać, to ziemię można byłoby sprzedać i zaprzestać nużących już my-

śli o powrocie. Przecież tu, w Ameryce można żyć i w przyszłości wszystkie dzieci też znalazłyby swoje miejsce. Oni przecież już nie są tu obce i czułyby się jak we własnym kraju. Na razie jednak właściwie nie było dokąd wracać, bo jest sama ziemia, a nie ma gdzie mieszkać, a dzieci były jeszcze za małe, aby mogły poniewierać się po świecie. Postanowili więc, że w najbliższym czasie nie będzie żadnych zmian w ich życiu i pozostaną, przynajmniej przez kilka następnych, lat w Ameryce. Będzie to miało dobre strony – stworzony zostanie czas nie tylko na podrośnięcie dzieci, ale również powstanie dalsza możliwość zaoszczędzenia pieniędzy.

Spośród dzieci jedne już zaczęły dorastać, a inne wyrastać z okresu niemowlęcego. Pomimo różnicowania wieku, zarysowywały się wyraźnie różnice w ich osobowości. Każdy człowiek, nawet jeżeli nawet korzenie wywodzą się od tych samych rodziców, już od małego kształtuje w sobie odrębny charakter, upodobania i uzdolnienia. Tak też było i z dziećmi Andrzeja i Katarzyny.

Najstarsza córka, Marysia, była osobą bardzo wrażliwą i kochającą rodziców. Pewne piętno wywarło na jej usposobieniu kalectwo, jakiego nabyła się w pierwszych latach życia. Czuła się przez to mniej sprawna i nie mogła w pełni uczestniczyć w dokazywaniach swoich rówieśników. Miała za to więcej czasu na rozmyślanie, czytanie książeczek i rozmowy z rodzicami. Po mamie odziedziczyła nadmierną wrażliwość i skłonność do pocucia krzywdy we wszystkich poczynaniach ze strony innych osób. Była natomiast bardzo uczynna i wielce posłuszna.

Janek, najstarszy z braci, był dzieckiem spokojnego usposobienia, nieufnym wobec poczynąń innych osób i mocno zastanawiającym się przed podjęciem jakiegokolwiek przedsięwzięcia. Przeważnie na jakąś prośbę o wykonanie przysługi reagował odpowiedzią „z-a-a-raz”. Często żalił się, że inne dzieci mają lepiej od niego.

Michał był dzieckiem bardzo interesującym się wszystkim, co go otacza. Lubiał dopytywać się ojca o wiele spraw i zawsze stawiał trudne pytania: dlaczego to jest tak?, lub: skąd to się bierze? Jego usposobienie pozwalało spodziewać się, że w przyszłości będzie odkrywcą wielu zagadnień i będzie się zajmował sprawami naukowymi.

Paweł lubił do wszystkiego podchodzić bardzo praktycznie. Nad dokonaniem czegokolwiek zastanawiał się, czy nie można zrobić tego inaczej. Ponadto był bardzo sprawnym fizycznie i wytrwałym chłopakiem. Wykazywał też wielką odwagę w różnych zabawach; nie było dla niego problemem wejść na duże podwyższenie, jak np. mur, komin, czy wysoki szczyt, rozejrzeć się odważnie wkoło, a jeszcze do tego stanąć w tym miejscu na głowie. Zawsze trzeba było go upominać: nie idź tam, albo tam, bo złamiesz kark! Odpowiadał na to: nic mi się nie stanie.

Andrzej, najmłodszy z chłopaków, chociaż wzrostem dosyć wysoki, był bardzo delikatnego usposobienia. Rzadko wdawał się w męczące zabawy wspólnie z rówieśnikami, a wolał przez ten czas pomyśleć i zastanawiać się nad wieloma sprawami, przy czym nie interesowały go raczej rzeczy praktyczne, a zastanawiał się nad różnymi pojęciami abstrakcyjnymi, a gdy już był większy – nad istotą tego świata.

Hania, najmłodsze dziecko, była, oczywiście, jeszcze za mała, aby wydawać sądy o jej charakterze. Widać było jednak, że jest mocno uparta i lubi postawić na swoim. Często bez żadnego uzasadnienia odmawiała wykonania jakiejś czynności, a potem na dodatek dąsała się i płakała, jakby to właśnie jej czegoś odmówiono. Lubiła przebywać sama i posiadać różne przedmioty na swój tylko użytek.

Tak więc, dość liczna już teraz rodzina była bardzo urozmaicona w charakterach poszczególnych osób. A jeżeli do tego dodać dosyć zróżnicowane usposobienia obojgu rodziców, to wyszedłby cały kalejdoskop. W bardziej szczegółowe rozważania w tym przedmiocie nie można się wdawać, bo byłoby to zajęcie mocno ryzykowne dla osoby nie będącej w tej dziedzinie specjalistą. Zresztą wiadomości o tym nigdzie wcześniej nie zostały zapisane, a znane są tylko z opowiadań o poszczególnych epizodach, a niektóre z nich wywodzą się również z osobistej obserwacji piszącego.

* * *

Przemijały kolejne miesiące i lata. Wydawałoby się, że wszystko jest ustabilizowane. Dzieci dorastają pod troskliwą opieką swojej mamy, Katarzyny, a ojciec skrupulatnie stara się zapewnić niezbędne im środki do życia, a nawet myśli szerzej – chciałby mianowicie wszystkim zapewnić lepszy byt na przyszłość, aniżeli mieli ich rodzice. Dlatego, gdy tylko mógł, chętnie podejmował dodatkowe prace, zlecane mu przez jego przełożonych, sam wykonywał też wszystkie czynności techniczne związane z utrzymaniem domu i małym gospodarstwem przydomowym. Jego pasją było prowadzenie niewielkiej pasieki pszczelej, z której pozyski w pełni zaspakajały potrzeby całej rodziny, a bywało nawet, że część miodu mógł sprzedawać innym. Dodatkowo zajmował się ogródkiem przydomowym, do którego dołączył ładny kawałek ziemi, znajdujący się ponad domem. Do tego dalej przytrafiały mu się dochody z amatorskiej i nielegalnej wytwórni alkoholu, którą ukrywał w opuszczonych wyrobiskach kopalnianych. Na rozrywki nie było za wiele czasu, a ponadto wymagałyby one dodatkowego wydatkowania pieniędzy, na co Andrzej nie bardzo miał ochotę. Przytrafiały się od czasu do czasu wyjścia do kina, które w Ameryce w tym czasie przeżywało swój rozkwit.

Nastała jesień 1923 roku. Dni stawały się coraz krótsze i należało przygotowywać się do zbliżającej się zimy. Najmłodsze dzieci – Andrzej i Hania – korzystały jeszcze ze swobody przedszkolnej. Nie mając żadnych obowiązków, hasały do woli, wymyślając coraz to inne zabawy. Trójka starszych chłopców – Janek, Michał i Paweł – rozpoczęła naukę w kolejnych klasach, a córka Marysia zakończyła już swoją edukację w miejscowej szkole podstawowej, a na posyłanie jej na dalszą naukę w mieście rodzice nie zdecydowali się. Uważano, że dziewczynie powinna wystarczyć wiedza już nabyta. Może w przyszłości wyjdzie za mąż i nie będzie musiała sama zarabiać na utrzymanie, a do prowadzenia gospodarstwa domowego powinna mieć już wystarczające przysposobienie. Wydawało się też, że do przyjęcia takich obowiązków dzieli ją jeszcze odległy okres. Nigdy jednak nie wiadomo jaką kolej rzeczy szykuje nam los. Tak i tym razem niebawem miała nastąpić zasadnicza zmiana.

Katarzyna od jakiegoś czasu uskarżała się, że jej samopoczucie nie jest najlepsze. Praca przy gromadzie dzieci i inne obowiązki domowe, wyczerpywały jej nadwątlone zdrowie. Ciągłe obawiała się, że już dalej nie podoła temu wszystkiemu. Utyskiwania takie nie zawsze życzliwie były przyjmowane ze strony męża. On ciężko pracował poza domem i oczekiwał, aby w rodzinie wszystko było pozapinane na przysłowiowy ostatni guzik. Jednak, gdy widział, że małżonka opada z sił, starał się w miarę możliwości pomagać jej lub wyręczać w niektórych czynnościach.

– Musisz więcej wymagać od Marysi – mawiał często. – Ona już nie chodzi do szkoły i powinna pomagać ci przy mniejszych dzieciach.

– Ona pomaga mi – odpowiadała Katarzyna, – jak tylko może. Ale widzisz, że sama jest słaba. Chore biodro często jej dokucza, a chodzenie przez cały czas jest dla niej zbyt męczące.

Złe samopoczucie Katarzyny nasilało się. Pewnego wieczoru, gdy Andrzej powrócił z pracy, zastał żonę leżącą w łóżku, całą rozpromienioną. Miała przyspieszony oddech. Z początku myśleli, że to zwykłe przeziębienie. Pomimo stosowanych przez całą noc chłodnych okładów, gorączka nie opadała. Chora zachowywała się bardzo niespokojnie – majaczyła i przechodziła drgawki. Rano zaproszono lekarza. Po opukaniu i osłuchaniu zdecydował on, że Katarzynę jak najszybciej należy dowieźć do szpitala w mieście. Andrzej poprosił więc o samochód sanitarny i pojechał razem z nią do Fairmont. Tam, po przeprowadzonych wstępnych badaniach, orzekli, że żonę należy zostawić na kilka dni. Pewnie dostała silnego zapalenia narządów wewnętrznych, muszą dokładnie ją zbadać i zastosować odpowiednie leczenie. Pożegnali się i Andrzej sam powrócił do domu.

– Co z mamą ? – zapytała zaniepokojona Marysia, gdy ujrzała samego ojca.

– Mama jest ciężko chora i musiała zostać w szpitalu. Tam będą ją leczyć.

– *Papo*, a czy mama na pewno wyzdrowieje? – pytali chłopcy.

– Tak, na pewno wyzdrowieje. Będziemy się o to modlić.

Po upływie dwóch dni, w niedzielę rano, Andrzej wybrał się z synami Michałem i Pawłem do Fairmont. Tam zastał Katarzynę leżącą spokojnie w szpitalnej sali, bladą i w stanie bardzo osłabionym. Gdy zobaczyła Andrzeja i chłopców, rozplakała się i usiłowała się podnieść, lecz wycieńczenie nie pozwoliło jej siedzieć i bezwładnie opadła na posłanie. Po chwili, gdy nabrała nieco sił, zaczęła szlochać i cała dygotać. Andrzej wziął ją za rękę i próbował uciszyć:

– Katusiu, cicho, nie płacz, powiedz mi, co się stało.

– A, bo widzisz... tylko się na mnie nie gniewaj... Ja byłam w ciąży, a teraz dziecko przepadło... Nie gniewaj się, ja nie chciałam.

– Nie gniewam się, proszę, uspokój się i nie płacz – uciszał ją Andrzej, ściskając za rękę i ocierając jej łzy.

– Naprawdę, nie gniewasz się? – zapytała nieco spokojniej.

– Nie gniewam się, tylko chcę żebyś wyzdrowiała – uciszał ją Andrzej, po czym wstał i poszedł porozmawiać z lekarzem.

Lekarz poinformował go, że żona faktycznie była w ciąży. Wielkie osłabienie i wycieńczenie organizmu oraz przeżyte wstrząsy doprowadziły do obumarcia płodu. Nastąpiło wewnętrzne zakażenie i stąd taka silna gorączka. Teraz musi dużo odpoczywać i, jeżeli wewnętrzne zakażenie cofnie się, po jakimś czasie powinna przyjść do zdrowia. Najgorzej, że ona mocno przeżywa to wydarzenie, co może zaważyć na jej odporności psychicznej. Dlatego wymaga dużo spokoju, pocieszenia i opieki.

– Zatrzymamy ją tu pewnie jeszcze tydzień, a potem zobaczymy, może pójdzie już do domu – dodał lekarz.

Andrzej z chłopakami posiedzieli jeszcze jakiś czas i musieli wracać, bo odjeżdżał już autobus w stronę Monongah. Pożegnali się więc czule. Szczególnie nie chcieli mamy opuścić synowie.

– Mamo, ja nie chcę do domu, zostanę z tobą – płakał ośmioletni Pawełek i mocno trzymał się za rękę Katarzyny.

– Idź synku z papą, idź. Ja tu jeszcze poleżę, a potem do was wrócę – powiedziała załamana matka, powstrzymując szloch, po czym zwróciła się do Andrzeja. – Szanuj dzieci i powiedz Marysi, żeby dbała o Hanię. Ona jest jeszcze taka mała. Naucz Marysię, jak ma chodzić koło dzieci, bo gdybym nie wróciła to ona musi zastąpić im mamę.

– Nie mów tak – przerwał jej Andrzej. – Na pewno wrócisz i sama ją będziesz wszystkiego uczyć.

Wszyscy wyszli. Katarzyna odprowadziła ich długim i smętnym spojrzeniem, tak, jak żegna się kogoś bliskiego, gdy odchodzi na bardzo długi

czas. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, popadła w żalosne łkanie, w którym nikt jej nie mógł utulić.

We wtorek, gdy Andrzej powrócił z pracy, zastał w domu telegraficzną wiadomość, ażeby pilnie przyjechał do szpitala, bo z żoną jest gorzej. Natychmiast wieczorem udał się do Fairmont. Po przyjeździe do szpitala lekarze poinformowali go, że w niedzielę wieczorem, niedługo po odjeździe Andrzeja z synami, Katarzynę ponownie ogarnęła wysoka gorączka i co pewien czas traciła przytomność. W poniedziałek poczuła się nieco lepiej, lecz była bardzo osłabiona. Natomiast w kolejną noc, podczas nieobecności na sali siostry dyżurnej, Katarzyna zwlekła się z posłania, otworzyła okno, przechyliła się mocno i wypadła na bruk przed szpitalnym budynkiem. Ma wiele urazów, w tym uszkodzony kręgosłup i rany głowy. Prawdopodobnie ma wstrząśnięty mózg lub nawet wylewy wewnętrzne, bo niemal cały czas leży bez pamięci.

Andrzej podszedł do łóżka żony i wziął ją za rękę. Po chwili poczuł jakby mocniejszy uścisk na swojej dłoni. W tym momencie Katarzyna lekko rozchyliła powieki i wydawało się, że chce coś powiedzieć, lecz jej całe ciało naprężyło się, następnie drgnęło, a głowa odchyliła się na bok. Zaciśnięta na dłoni ręka rozluźniła się...

Andrzej zrozumiał, że w tym momencie rozstali się na zawsze i już nigdy niczego od niej nie usłyszy. Siedział tak jeszcze przez chwilę, po czym ucałował rękę, którą dotychczas trzymał w swojej dłoni i delikatnie odłożył ją na piersi zmarłej.

Pochówek odbył się na cmentarzu parafialnym w Monongah. Uroczystość celebrował ksiądz katolicki. Na cmentarzu stała pogrążona w smutku liczna grupa ludzi, wśród których znajdowała się siostra Oksana z mężem, kuzyn, znajomi krajanie i sąsiedzi. Bezpośrednio przy trumnie stała najbliższa rodzina – mąż i sześcioro dzieci. Żegnali swoją matkę i żonę, rozmyślając nad jej niedolą i swoją własną przyszłością.

Przed oczami Andrzeja przemykały na przemian obrazy tej młodej, czarnowłosej dziewczyny, którą zauważył w cerkwi w Płonnej, a potem kilkakrotnie widywał na młodzieżowych spotkaniach, to znów widział twarz zmęczonej i przepracowanej matki, a na koniec schorowanej i poturbowanej niewiasty na śmiertelnym łożu. Jej życie już przeminęło, a zdawałoby się jakby jeszcze ciągle miała ją spotkać upragniona nagroda za ciężką pracę, trud i poświęcenie. Właściwie nigdy nie zaznała ulgi w swoim trudzie. Urodziła się w biednej, łemkowskiej rodzinie. Już od młodych lat musiała pracować za chleb u obcych ludzi, potem, po śmierci ojca zmuszona była pomagać matce w utrzymaniu młodszego rodzeństwa. Emigracja też nie przyniosła jej oczekiwanego wytchnienia – mocno przeżywała rozstanie z najbliższą rodziną, trudno było się przyzwyczaić do życia wśród obcych, a potem małżeństwo, które nie zawsze było usłane różami. Dosyć trudne było

współzycie z mężem i liczna grupa dzieci na utrzymaniu. To ostatnie nie ujrzało świata, a ona sama musiała pójść w jego ślady. I wszystko dla niej zakończyło się, lecz świat toczy się dalej i nawet nie zauważył takiej straty...

Andrzej teraz został sam z szóstką nieletnich dzieci. Najstarsza córka, Marysia, ukończyła zaledwie czternaście lat, a najmłodsza, Hania, nie miała jeszcze pełnych trzech latek. Pomiędzy nimi czterech chłopców w wieku od pięciu do dwunastu lat. Nie wszyscy więc zapamiętają oblicze mamy. Podczas, gdy sieroty zanosili się od płaczu za żegnaną na zawsze mamą, nieszczęśny wdowiec zadawał sobie pytania, jak teraz żyć. Trzeba przecież zapracować na utrzymanie licznej rodziny, prowadzić dom i jeszcze zastąpić wszystkim matkę. Czy wystarczy mu sił, wytrwałości i czy jeszcze przy tym będzie go stać na należną czułość? I, chociaż nie umiał sobie na te trudne pytania odpowiedzieć, to wiedział, że nie może ich zawieść i że nie ma innego wyjścia w tym trudnym, nowym położeniu.

* * *

Nowa sytuacja wymusiła na wszystkich podzielenie się obowiązkami. Ojciec z konieczności musiał większą część dnia przebywać poza domem, aby zapewnić wszystkim jako takie warunki materialne. Rolę gospodyni i matki dla małych dzieci w nowej sytuacji musiała przejąć ich najstarsza siostra, Marysia. To nic, że sama miała wielkie kłopoty z poruszaniem się. Chore biodro wymuszało chodzenie jakby bokiem, z ugięciem całego ciała za każdym krokiem. Musiała teraz sama utrzymywać cały dom – dopilnować młodsze rodzeństwo pod nieobecność ojca, przygotować posiłki, uprać ubrania, które można było mierzyć na sterty i utrzymać jako taki ład w mieszkaniu. W czynnościach tych mieli pomagać jej najstarsi spośród braci, jednak – jak to bywa u chłopców w tym wieku – trudno było utrzymać ich w domu, a i z posłuszeństwem bywało różnie. Co prawda, czuli wielki respekt przed ojcem, ale nie sposób było ciągle na nich skarżyć się młodocianej niańce, kucharce i sprzątacze w jednej osobie. Tak więc Marysia, chociaż nieraz wyprosiła pomoc u chłopców, miała na głowie zbyt wiele obowiązków, jak na młodą, niezbyt wyrosniętą i ułomną dziewczynę. Jej młodość w zasadzie jeszcze nie rozpoczęła się, a już musiała przejąć obowiązki, w rozmiarach, jakie nie zawsze ciąży na dorosłych nawet niewiastach. Taki, ciężki los w zasadzie przeznaczony jej został na całe życie. Jak się później okaże, w przyszłości nie zawsze będzie miała nawet kogoś przy sobie, kto mógłby nie tyle jej ulżyć, ale chociaż zauważyć jej ciężkie położenie.

Sytuacja materialna rodziny Andrzeja po śmierci żony uległa znacznemu pogorszeniu. On sam już nie mógł tyle pracować, bo więcej czasu musiał poświęcać dzieciom. Szczególnej troski wymagały te najmniejsze – trzylet-

nia Hania i pięcioletni Andrzejek. Teraz musiał im wystarczyć za ojca i matkę. Prowadzenie domu też kosztowało więcej. Marysia ani nie miała dość sił i umiejętności, ani doświadczenia do prowadzenia oszczędnego gospodarowania. W przygotowywaniu posiłków najczęściej wspomagała się gotowymi produktami kulinarnymi, które w tym czasie w Stanach Zjednoczonych były już bardzo dostępne, ale i cena ich też była znacznie wyższa, niż koszt posiłków sporządzonych we własnym zakresie.

Nowe położenie szybko dało odczuć się w sytuacji materialnej rodziny. Teraz zarobki Andrzeja z trudem wystarczały na pokrycie wszystkich bieżących wydatków. Dzieci dorastały i ich potrzeby stawały się coraz większe. Nie było już mowy o odkładaniu jakichkolwiek oszczędności, a bywały nawet okresy, że należało naruszyć wcześniej uzbierane zapasy. Dlatego ponownie mocno zachęcające było korzystanie z powszechnie uprawianego procederu handlu alkoholem. Ponieważ w Ameryce nadal obowiązywała prohibicja, ceny tej używki były wysokie. Przypomniawszy więc sobie Andrzej o instalacji destylacyjnej, jaką pozostawił w opuszczonych wyrobiskach kopalni węgla, w której przed laty sam pracował. Wystarczyło więc zanieść tam surowce niezbędne do fermentacji, odczekać kilkanaście dni, a następnie przedestylować zaczyn i już można było rozglądać się za nabywcą świeżego produktu. Najbardziej pracobłonne było donoszenie czystej wody, natomiast z opałem nie było kłopotu, bo wewnątrz pod dostatkiem było resztek nie wywiezionego węgla. Ze zbytem nie było też większego kłopotu, lecz wszystko należało robić nadzwyczaj ostrożnie, bo kary za naruszenie zasad prohibicji były drakońskie. Dlatego wszystko najczęściej odbywało się pod osłoną nocy.

Pewnego razu, gdy nad ranem, po zakończeniu całonocnej destylacji, starał się wynieść nową partię towaru, omal nie doszło do tragedii. Otóż zmęczony całodzienną pracą, obowiązkami domowymi i czuwaniem przy aparacie, Andrzej był już bardzo zmęczony, gdy zabrał się do wynoszenia tego, nocnego urobku. W rękach trzymał dwa pokaźne pojemniki z okowitą, a przyświecał sobie karbidową latarką, przymocowaną do górniczego hełmu. Gdy był już gotowy do wyjścia, obrócił się aby sprawdzić, czy na pewno dogasił palenisko. Niechcący potracił znajdujące się tam rusztowanie. Spadające w dół deski zwały z hełmu lampę karbidową, która uległa całkowitemu zniszczeniu. Posiadane w zapasie zapalki, w ilości kilka sztuk, szybko zużyły się podczas próby naprawy lampy, po czym zapanowały dantejskie ciemności.

Początkowo Andrzej nie ulegał panice. Znał dobrze te stare urobiska, sam przecież przepracował w nich kilka ładnych lat. Kopalnia znajdowała się daleko pod zboczem górskim i prowadził do niej tunel nieco opadający w dół, a dalej przechodzący całkowicie w drogę poziomą. Nie można było więc zorientować się, z której strony znajduje się wyjście. Po ujściu po

omacku kilkudziesięciu kroków zorientował się, że tunele rozchodzą się na boki. Próbował wybrać ten właściwy, który zaprowadziłby go do zewnętrznego świata. Po przebyciu krótkiej drogi zorientował się, że tunel lekko opada w dół, a więc prowadzi bardziej do wnętrza kopalni. Gdy znów się cofnął do rozwidlenia tuneli, które przed chwilą minął, był już całkowicie zdeorientowany i, macając ściany węglowe, w żaden sposób nie mógł zorientować się z której strony przybył przed chwilą, gdzie znajdowała się jego instalacja i dokąd powinien teraz się udać. Ta szamotanina trwała dosyć długi czas, aż srodze wyczerpany całonocnym czuwaniem i zdenerwowany fatalnym swoim położeniem, opadł całkowicie z sił i przysiadł na napotkanej bryle węgla. Starał się odtworzyć w pamięci układ korytarzy i tuneli, lecz przychodziło mu to z trudem, zwłaszcza, że całkowicie nie miał już orientacji, w którym z ongiś dobrze znanych miejsc mógł się znajdować.

W tych czeluściach, opuszczonych już przez ludzi od dobrych kilku lat, zbłąkanego Andrzeja nachodziły jak najczarniejsze myśli. Nie miał przy sobie żadnego pożywienia, ani wody do picia. Porzucony w naczyniach płyn nie nadawał się przecież do ugaszenia pragnienia i w ogóle nie nadawał się do picia ze względu na jego wysoką moc. Wiedział też, że nikt nie przyjdzie go tu szukać, bo swoje wyjścia z domu utrzymywał w największej tajemnicy. Chwilami pogodził się już z tym, że może zginąć, lecz gdy pomyślał, że tam, poza tą czeluścią znajduje się jego sześcioro dzieci, niezdolnych jeszcze do samodzielnego życia, gorzko zapłakał. Co one bez niego mogłyby zrobić? Zginęłyby jak marne robaki. I to przez jego pożydlwość pieniędzy. Płakał więc nad swoim, ciężkim losem. Zawsze przecież starał się podejmować jak najtrudniejsze wyzwania, aby poprawić sytuację swoją i całej rodziny, lecz wszystkie osiągnięcia, jakich się dotychczas dopracował wydawały się bez jakiegokolwiek znaczenia. Właściwie, to czego się dopracował? Ciężko pracuje niemal przez całą dobę. Dorobił się jakichś tam oszczędności i niewielkiego domku, ale minęło przecież dwadzieścia kilka lat, a on okaleczony, bez oka, pozostał sam z sześciorgiem dzieci tu, na obczyźnie. Do rodzinnych stron daleko, bracia urządzili się w znacznym oddaleniu od niego, a nieboszczka żona już dawno znajduje się w innym świecie. Teraz na nim ciąży obowiązek opieki nad gromadą dzieci i zapewnienia im godziwego startu w życie. Właściwie, to co może im ofiarować? Chyba taką samą ciężką pracę, na jakiej schodzi i jego życie. Rozmyślaniom i rozpacz nie było końca. Wreszcie, całkowicie wyczerpany, usnął.

Gdy się przebudził, z początku nie miał orientacji, gdzie i z jakiego powodu się znajduje. Jednak po całkowitym ocknięciu zaczął na nowo rozmyślać. Nieco wypoczęty zmienił podejście do swojej sytuacji. Wiedział, że musi znaleźć z niej wyjście. Wstał, aby ponownie rozpocząć poszukiwanie drogi na zewnątrz. Po przebyciu kilkunastu metrów natknął się na żelazne tory, którymi niegdyś wywożono urobek z kopalni. Wpadł na pomysł, że w

tym musi być jego ratunek. Dalej nie szedł już w pozycji wyprostowanej, lecz na kolanach, a ręce przesunął po szynach. Gdy napotykał rozjazdy, długo obmacywał je i starał się wywnioskować, w którą stronę należy udać się do wyjścia. Zestawienie dawnych doświadczeń z kopalni i z obecnej pracy na kolei pozwoliły mu na prawidłowe wnioskowanie. Po godzinie takiej wędrówki zauważył, że korytarz lekko kieruje się w górę. Wniosek stąd, że pewnie jest już właściwa droga do wyjścia. Po pewnym czasie przed jedynym okiem zalśnił mu promyk nadziei – było to lekkie światełko, jakie przebłyskiwało na końcu tunelu. Teraz już wstał z kolan i, wyprostowany, ruszył do przodu, uważając tylko, aby się nie potknąć i nie utracić promyka światła, które po pokonaniu niewielkiego zakrętu przeistoczyło się w prawdziwą łunę radości. Teraz już wiedział, że nie tylko on jest uratowany, ale opiekę nadal będą miały jego dzieci. Nie zostaną już całkowitymi sierotami...

Po wyjściu na zewnątrz zauważył po pozycji słońca, że dzień chylił się już ku zachodowi. Czym prędzej pognął więc do domu i, ku swojej uciechę, ujrzał, że wszystkie dzieci, chociaż srodze wylęknione, są przy dobrym zdrowiu i szczerze radują się na jego widok. Przypadek ten dał mu wiele do myślenia. Postanowił mniej pędzić za powiększeniem za wszelką cenę swojego dorobku, a bardziej myśleć o rodzinie i w ogóle o sensie życia. Zauważył jak wiele zależy od przypadku i że cały los ludzki jakby wisiał na jednym włosku. Oczywiście, nie omieszkiał wrócić po pozostawiony w kopalni tamtej fatalnej nocy ładunek zakazanego przez rząd amerykański trunku. Sprzedając swój ostatni wyrób wyrównał z nawiązką utracony z powodu nieobecności w pracy zarobek i postanowił na tym zakończyć trwający z przerwami od dłuższego czasu nielegalny proceder, a więcej przebywać z dziećmi, które bardzo potrzebowały obecności ojca. Miał nieco mniej pieniędzy, ale za to już nie obawiał się przykrych konsekwencji za działalność niezgodną z prawem¹.

Teraz czas jakby wolniej odmierzał swoje przedziały. Życie Andrzeja z gromadą sześciorga dzieci nakreślone było licznymi i trudnymi do pokonania obowiązками. Na pierwszym miejscu z konieczności musiała być praca zarobkowa. Należało przecież zapracować na utrzymanie całej rodziny i opłacenie kosztów związanych z prowadzeniem domu. Praca wypełniała niemal cały czas przez sześć dni w tygodniu. Wieczorami trzeba było doglądać wszystkich spraw bytowych – czy wszyscy mają się w co przyodziać, czy mają potrzebne przedmioty do szkoły, czy wystarczające są za-

¹ O rozmiarze przestępstw w zakresie nielegalnego handlu alkoholem świadczą następujące liczby: od wprowadzenia prohibicji do 11 kwietnia 1927 r. w wyniku porachunków w Stanach Zjednoczonych zabitych zostało 49 urzędników, zarekwirowano na rzecz państwa 5,5 mln galonów (ponad 20 mln litrów) alkoholu, 24 tys. samochodów i 839 statków, aresztowano w tym czasie 300 tys. osób.

pasy żywności i jeszcze mieć na uwadze wiele innych problemów codziennych. Oczywiście, dzieci w tej sytuacji musiały być w dużej mierze samowystarczalne. Te starsze pomagały młodszym, a te młodsze z kolei wiedziały, że nie ma kto o nich zbyt wiele troszczyć i muszą we wszystkim być posłuszne. Bywały jednak chwile, gdy brakowało im po prostu zwykłej macierzyńskiej czułości, nie było komu pocieszyć w chorobie, czy innych kłopotach, a i strawa nie smakowała tak, jak za czasów, kiedy wszystko przygotowała mamusia.

Andrzej też czuł się samotny w ponoszonej odpowiedzialności za liczną rodzinę. Zawsze był przemęczony i dodatkowo zestresowany na myśl, czy we wszystkim sobie podoła. Obawiał się też o przyszłość swoją i dzieci. Zadawał sobie pytania: co ich wszystkich czeka w nadchodzącym czasie? Dzieci przecież zaczynają dorastać bez większego przygotowania na trudną drogę samodzielnego życia. Nie stać go było na edukację ponadpodstawową, a tu, na miejscu, nie zdobędą przecież żadnego zawodu wyuczonego i w przyszłości będą musieli być zwykłymi robotnikami, tak jak ich rodzice.

* * *

Od śmierci Katarzyny mijały już trzy lata. Życie unormowało się w swoim rytmie. Andrzej jak mógł, tak starał się dzielić swój czas pomiędzy pracę zawodową i zajęcia związane z utrzymaniem rodziny i domu. Marysia powoli stawała się prawie dojrzałą panienką. Wprawiała się już do swoich, przedwcześnie przyjętych obowiązków gospodyni domowej. W pełni dawała sobie już radę w przygotowaniu posiłków, w praniu i codziennych obowiązkach, chociaż nie przychodziło jej to bez trudu. Przez cały czas dokuczliwym było jej kalectwo. Ograniczało ją to w sprawnym i szybkim poruszaniu się, możliwości przenoszenia ciężarów, a ciągłe chodzenie w przechyłonej pozycji odbiło się na całej sylwetce ciała. Czowała się tym skrzepowana w towarzystwie swoich rówieśników. Nie mogła w pełni uczestniczyć we wspólnych spotkaniach, często połączonych z tańcami i innymi zabawami. Powoli stan taki odbił się również na jej psychice. Często poczuwała się jakby nie w pełni wartościową, unikała spotkań, na które i tak nie za wiele pozostawało jej czasu i popadała w kompleksy. Kompleksy te pogłębiały się też niekiedy w wyniku uwag, jakie spotykały ją ze strony ojca, czy młodszego rodzeństwa, odnoszące się do wywiązywania się przez nią z nałożonych przez los obowiązków.

Andrzeja coraz częściej trapiła myśl na temat konieczności życiowego usamodzielnienia starszych dzieci. Marysia, chociaż stanowiła domową podporę rodziny, mogłaby przecież pracować na własne utrzymanie. Janek skończył już piętnaście lat i od roku nie uczęszczał do szkoły, a był jeszcze za młody, aby podjąć regularną pracę, tym bardziej, że nie będąc przysposa-

biany do żadnego zawodu, mógł jedynie liczyć na ciężką i prostą robotę jako pomocnik przy jakimś rzemieślniku. A było jeszcze trzech chłopców – Michał, Paweł i Andrzej oraz mała Hania, która była jeszcze w wieku przedszkolnym¹.

– Wiesz Marysiu – zaczął Andrzej rozmowę pewnego wieczoru, – zaczęłaś już osiemnasty rok życia, a więc jesteś już prawie dorosła. Dobrze umiesz prowadzić dom, wiele nauczyłaś się od mamy, a i teraz praca przy mniejszych braciach i siostrach wprawiła cię do samodzielności. Tak pomyślałem, że mogłabyś już zarabiać pieniądze. Czy chciałabyś pójść do pracy?

– Jak to tato, czy już nie chcecie mnie widzieć w domu? A gdzie ja mogę iść do roboty? Nikt mnie nie przyjmie. Umieję tylko pracować w domu, a żadnego fachu nie znam.

– Wystarczy tego, co się nauczyłaś właśnie w domu. Jest taka praca, że chcieliby cię tam przyjąć – odpowiedział ojciec.

– A kto chciałby zatrudnić kaleką dziewczynę? – zapytała Marysia, nieco zmartwiona propozycją ojca.

– Znam jednych, bardzo pocziwych ludzi – ciągnął dalej ojciec. – Oni potrzebują kogoś do roboty, do prowadzenia domu. Są aptekarzami, mają dwoje małych dzieci i potrzebują pomocy. To dobra rodzina, są Słowakami i będzie ci u nich dobrze. To niedaleko stąd, będziesz mogła przychodzić do domu w wolnych chwilach, a i my czasem do ciebie przyjdziemy.

W sercu Marysi pojawił się żal za tym, co minęło i jednocześnie ogarnął ją lęk przed nieznanym. Jak ona miałaby opuścić swoją rodzinę, ojca, młodszego rodzeństwo i pójść gdzieś w nieznaną? Przecież tu jest jej dom, tu wyrosła, tu była razem z mamą nieboszczką, a teraz miałaby to wszystko opuścić?... Co będzie robić wieczorami? Już Hania nie przyjdzie do niej i nie usiądzie jej na kolana. Kto małej siostrzyczce zaplecie warkocze i kto położy ją do spania? Myśli zaczęły się kołatać jedna przed drugą. Gdy trochę ochłonęła, to pomyślała też o problemie z drugiej strony. Jest prawdą, że już dorosła. W domu jest jeszcze tyle dzieci. Nie mogą przecież zawsze być razem, musi kiedyś zacząć własne życie.

Strapiony ojciec dostrzegł zaniepokojenie i zmartwienie na twarzy swojej córki.

– Nie myśl, że ja ciebie wyganiaję z domu – odrzekł po namyśle. – Jak chcesz, to możesz nie iść. Tu jest co robić, a i chleba wystarczy dla wszystkich. Tylko widzisz, to wszystko zaczyna się nam nie układać. Ja ledwo zarobię na utrzymanie, a trzeba pomyśleć o waszym przyszłym życiu. Nie wiem co będzie dalej, może długo już tu nie pomieszkamy. Może przyjdzie

¹ W Stanach Zjednoczonych w tym czasie dzieci zaczynały naukę szkolną już od sześciu lat. Warunkiem przyjęcia dziecka jednak było ukończenie wymaganego wieku przed rozpoczęciem roku szkolnego, a Hania urodziny miała 13 listopada.

mi wracać do kraju, a wy musicie zacząć własne życie. Mamy nie ma i musimy sobie radzić sami i wiesz, że zawsze nie może tak być, jak do tej pory.

Pogłaskał Marysię po głowie, przytulił ją do siebie i pocałował w czoło.

– Pójdziemy, dziecko, teraz spać. Już jest późno. Jutro porozmawiamy.

Marysia długo w nocy nie mogła zasnąć. Rozmyślała nad swoim położeniem. To prawda, że zaczynała być dorosłą. Zawsze nie może być przy ojcu. Ale co ją teraz czeka? Jak sobie może poradzić? Pracy przecież nie miałyby więcej, tylko byłaby ta różnica, że to u obcych ludzi. Przecież ze swoją ułomnością nie pójdzie na cały dzień do pracy w fabryce. Może to i dobre wyjście...

Przed wieczorem Marysia, gdy ojciec powrócił z pracy i posprzątała po zjedzonym obiedzie, zwróciła się do niego:

– Papo, a jak nazywają się ci ludzie i od kiedy oni chcą mnie przyjąć?

– Oni mieszkają zaraz za wioską, w stronę Fairmont. Nazywają się Holoub. Znam ich dobrze od wielu lat, to ludzie z wielką godnością. Nie miałybyś u nich krzywdy. A robotę możesz zacząć zaraz, gdy tylko będziesz gotowa.

– Dobrze, papo. Ja pójdę na drugi tydzień. Teraz chciałabym wszystko doprowadzić w domu do porządku. Muszę wszystko wyprać i posprzątać, a i z Hanią chciałabym nabawić się trochę. Ona już jest duża, ma sześć lat i na pewno poradzi sobie beze mnie.

– Tak, dziecko – odpowiedział Andrzej, nieco sam zaskoczony nagłą odmianą postawy Marysi i zakłopotany, że zabraknie w domu najstarszej córki, która swoją obecnością i troską o wszystkich wypełniała lukę po odejściu żony. – Hania sobie poradzi. Wszyscy będziemy o nią dbać. Nie rozstajemy się przecież. Będziemy blisko siebie, a gdyby ci tam nie było dobrze, to zawsze możesz wrócić do domu. A teraz powiem Huloubom, że mogą na ciebie liczyć i niech już nikogo więcej nie szukają.

Po tygodniu Marysi nie było już w domu, a pozostałe, niemal same męskie towarzystwo, musiało odtąd liczyć na własne siły. Ze wszystkich trudności największą była ta, związana z prowadzeniem kuchni. Z początku niemal musieli przejść na suchy prowiant, ale z biegiem czasu coraz lepiej wychodziło im kucharzenie we własnym zakresie. Zresztą Andrzej wprawiony był do tego z młodszych lat, kiedy to sam prowadził swoje gospodarstwo domowe, a teraz, wiedząc, że ma jeszcze małe dzieci do wychowania, tym bardziej musiał natężyć swoich umiejętności i jednocześnie przyuczać do tego najstarszych chłopaków. Marysia na początku odwiedzała ich w każdą niedzielę, ale z biegiem czasu przychodziła coraz rzadziej. Powoli wszystkim – Andrzejowi z dziećmi i Marysi – życie zaczynało układać się na nowo i szli jakby własnymi torami. Zresztą stabilizacja ta nie trwała zbyt długo...

Po upływie niespełna dwóch miesięcy od wyjścia z domu najstarszej córki – Marii, młodsze dzieci zauważyły, że ojciec niezwykle dużo uwagi przykładł do porządkowania wszystkiego w domu i w całym obejściu. Wiele zbędnych przedmiotów usuwał, inne przekładał na nowe miejsce. Często też oglądał różne dokumenty, czytał je, na nowo spinał i układał w koperty. Z początku myśleli, że związane jest to z nadchodzącą zimą i wszystko ma być w domu uładzone na nowo. Zresztą znali przywiązanie ojca do utrzymania całości w należytym ładzie i ta krzątania nie stanowiła dla nich aż tak dużej niespodzianki. Jednak sensację wzbudził dopiero przyjazd samochodu ciężarowego, na który załadowano ule z pszczołami, bowiem przydomowa pasieka stanowiła dla ojca przedmiot szczególnego szacunku. Pszczoły były nie tylko podporą w wyżywieniu licznej rodziny, ale traktowano je tak, jakby stanowiły jej część. Chociaż zdarzało się, że niekiedy pożądlili któreś dziecko i było przy tym wiele płaczu, to do pszczoł obowiązkowo należało odnosić się z wielkim poszanowaniem. Wszyscy musieli pomagać przy pracach w pasiece i przy pozyskaniu miodu, a przypadki, choćby i niezamierzonego, pozbawienia życia któregoś z tych pożytecznych owadów spotykały się z wielkim napomnieniem. A teraz właśnie te pszczoły były ładowane i wywożone w nieznanym kierunku.

– Papo, dlaczego wywozicie pszczoły? – zapytał nieśmiało Paweł. – Czy u nas nie będzie już pszczół?

– Widzisz Pawełku, tu już nie będzie pszczół, bo i nas tu nie będzie – odrzekł równie zmieszany i jednocześnie zakłopotany ojciec, a z jedyne go oka potoczyła się duża łza.

Odwrócił się, otarł łzę i poszedł rozliczyć się z przybyszem, który odkupił pasiekę. Gdy samochód odjechał, Andrzej przywołał do siebie dzieci, najmniejszą Hanię wziął na kolana i przemówił:

– Słuchajcie, kochane dzieci. Żyjemy tu tak sami, bez mamy, już trzy lata. Wszystkie przez ten czas sporo podrosłyście. Marysi już nie ma w domu. Mnie jest ciężko na wszystko zarobić. Niedługo Janek też pewnie będzie chciał pójść gdzieś do roboty. Czas pomyśleć o zmianie. Dlatego musimy sprzedać ten dom i zmienić swoje życie.

– Jak to, zmienić życie? – ciągnął dalej Paweł – Gdzie my wszyscy będziemy mieszkać? Przecież to jest nasz dom. Gdzie my będziemy mieszkać, jak już będziemy dorośli?

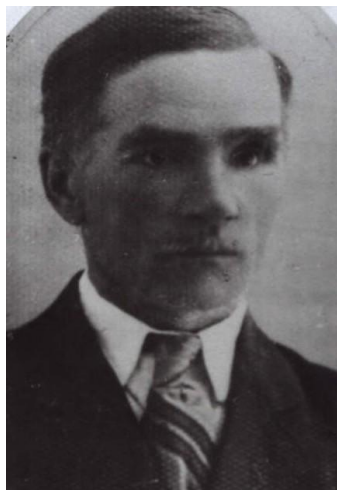
– No właśnie, Pawełku. Jak już niedługo będziecie dorośli, to i tak się tu nie pomieścimy. Każdy będzie myślał o swoim własnym życiu.

– Ale tu mieszkała nasza mama i dzieci się tu narodziły – włączył się do rozmowy Michał, który zawsze miał bardziej poważne usposobienie i gdy już coś musiał powiedzieć, to lubił się nad tym zastanowić.

– Wiem o tym, Michałku. Mnie też to boli. Ja cały czas tu, w Ameryce, czuję się obco. Przyjechałem dawno temu, aby trochę zarobić pieniędzy i

miałem wracać do kraju – tam skąd pochodzę i skąd pochodziła wasza mama. Los tak chciał, że długo nie mogłem myśleć o powrocie. Teraz przyszedł czas, że musimy to zmienić. Wynajmiemy sobie mieszkanie i tam przez jakiś czas będziemy żyć. Trafił mi się człowiek, który chce za dom dobrze zapłacić. Musimy tak zrobić, aby było dobrze. Nie martwcie się, ja o wszystko będę się troszczyć.

Sprawę wyjazdu Andrzej kilkakrotnie roztrząsał w swojej głowie i dotychczas długo nie mógł podjąć decyzji w tym zakresie. W Ameryce w tym czasie żyło się dobrze¹, co nie oznaczało, że wiele ludzi nie mogło przeżywać również kłopotów. Bywało, że dla przybyszów ze środkowej Europy niekiedy dokuczliwy był klimat, szczególnie występujące okresowo wielkie upały². Zestawienie podobnych argumentów za i przeciw tym razem doprowadziło do podjęcia ostatecznej i nieodwołalnej decyzji, z którą postanowił zapoznać swoje dzieci. Długo więc im tłumaczył skąd wzięła się jego decyzja o życiowej zmianie, po czym pogłaskał po łśniących, równo przystrzyżonych i gładko uczesanych włosach, małą Hanię, zdjął ją z kolan i po kolei uściskał wszystkie dzieci.



Andrzej w wieku 46 lat

– A teraz musimy iść spać. Muszę odpocząć, bo rano trzeba iść do roboty.

Noc dla nikogo z nich nie była spokojną. Wszyscy długo rozmyślali nad tym, jak spędzali tu swoje życie przez wiele lat i nad tym, jak to będzie w przyszłości.

Jednak odwołania od decyzji nie było i stało się tak, jak ojciec powiedział. Przez jakiś czas wszyscy pomagali w układaniu i pakowaniu rzeczy, a po dwóch tygodniach zamieszkali w wynajętym skrzydle starego domu, niemal w środku miejscowości. Mieszkanie było dosyć wygodne, chociaż

¹ W USA w tym czasie odbywał się wielki postęp techniczny i miał miejsce wysoki poziom życiowy. W roku 1926 dokonano pierwszych prób lampy kineskopowej, stanowiącej później podstawę rozwoju telewizji. Wytwarzano tu w tym czasie 80 % światowej produkcji samochodów. Statystycznie przypadał 1 samochód na 6 osób. W listopadzie 1926r. ogłoszono, że uzyskano najwyższy poziom życia w historii USA, prawie w ogóle nie było bezrobocia, chociaż wystąpiły już pierwsze przypadki zamykania kopalń.

² W lipcu 1926 r. odnotowano tu falę wielkich upałów, w wyniku których śmierć poniosło kilkaset osób.

znacznie ciasniejsze od własnego domu. Musieli jednak przywyknąć do nowych warunków, chociaż nie to było ich największym zmartwieniem. Zarówno Andrzej, jak i starsze dzieci, wiele rozmyślali nad tym, co ich czeka w przyszłości. Andrzej po kilka razy dziennie zastanawiał się, w jaki sposób ma rozwiązać wiele problemów, skoro i tak już postanowił, że powinien wrócić do starego kraju. Już od dwunastu lat miał tam kupioną ziemię, ale wtedy nie mógł tam wrócić, bo była wojna. Potem zawsze były małe dzieci i wyjazd byłby utrudniony. Teraz dzieci już podrosły, ale nie ma żony i w jaki sposób on sam może temu wszystkiemu zaradzić? Tam, w kraju, też nie będzie łatwo. Ma tylko ziemię, ale to jeszcze nie jest gospodarstwo, na którym dałoby się żyć. Przyjdzie wszystko budować od nowa, a na początek szukać schronienia przy rodzinie. A co tam będą robić dzieci jak dorosną? Dla wszystkich przecież nie wystarczy ziemi, gdy założą swoje rodziny. Oprócz tego dla dzieci na pewno będzie to obcy kraj. Przecież tu się urodziły i tu chodziły do szkoły. Na co dzień, chociaż znają język ukraiński, to zazwyczaj posługują się językiem angielskim. Tu też jest łatwiej o pracę, za którą można wyżyć. Można byłoby poczekać jeszcze dziesięć lat, aby wszystkie dorosły, ale wtedy on sam też będzie już za stary, aby zaczynać życie od nowa. Uznał więc, że najlepszym wyjściem w tej sytuacji byłoby usamodzielnienie tych najstarszych dzieci, a młodsze zabrać ze sobą na wychowanie, a potem same zdecydowałyby, czy chcą żyć w kraju swoich rodziców, czy też powrócić do Ameryki. Pytaniom własnym i ze strony dzieci nie było końca, a czas biegł naprzód.

* * *

Nastała zima 1927 roku. Pewnej niedzieli do domu naszej rodziny przybył starszy, elegancki pan i przedstawił się, że jest farmerem z pobliskiej wioski Caroline. Po krótkiej rozmowie okazało się, że jest to gospodarz, u którego przed laty pracował jeden z braci Andrzeja – Paweł, który później zmarł śmiercią tragiczną, potrącony przez pociąg. Farmer ów znał już rodzinę Andrzeja i wiedział, że są to ludzie solidni, zdolni do pracy i uczciwi. Zapytał więc, czy ma kogoś, kto mógłby podjąć się u niego pracy w prowadzeniu gospodarstwa, bo sam już poszedł w lata i nie może wszystkiemu podołać.

Przywołał więc Andrzej Janka, który był teraz najstarszym z dzieci pozostałych przy nim i zapytał, czy nie chciałby pójść i przyuczyć się do pracy w rolnictwie. Gospodarz jest solidny, farma położona niedaleko, a więc mógłby odwiedzać często ojca i rodzeństwo. Miałby tam pełne utrzymanie, a też regularną zapłatę w gotówce – w miarę swoich zasług. Janek miał niedługo skończyć szesnaście lat, do szkoły już nie chodził i nie miał żadnych lepszych perspektyw na przyszłość. Przyjmując propozycję uzyskałby jakąś

niezależność, chociaż z trudem przyszkłoby mu rozstać się z najbliższą rodziną.

– Przecież nie odchodzisz daleko, my tu jeszcze będziemy mieszkać i zawsze możesz nas odwiedzić, a gdyby ci było tam źle, to i całkowicie możesz powrócić do domu – zachęcał go ojciec.

Po niedługim zastanowieniu chłopczyna zgodził się, chociaż przeczuwał, że żadnego powrotu już nie będzie, bo znał zamiary ojca co do zakończenia pobytu w Ameryce. Jeżeli ojciec chce naprawdę wyjechać, to lepiej może byłoby już teraz, póki wszyscy są jeszcze są na miejscu, spróbować żyć na własną rękę, bo potem trudniej byłoby usamodzielnąć się i nie wiadomo gdzie wtedy mógłby popaść.

Tak też postanowiono. W następną niedzielę wieczorem spakowano rzeczy Janka, wszyscy się pożegnali, a na umówioną godzinę znajomy farmer przyjechał samochodem i zabrał młodocianego robotnika ze sobą. Razem z nimi, dla pocieszenia, pojechał odprowadzić brata również niespełna trzynastoletni Michał.

Po powrocie Michał opowiadał ojcu:

– Papo, Janek będzie tam żył jak *boss*. Dostał własny *room* i duże łóżko. Ja też, jak będę większy chciałbym pójść na taką służbę.

– Dobrze synku, – odpowiedział na to ojciec – jeszcze masz czas, aby o tym myśleć. Kto wie, jak dorośniesz, to może też popadniesz w dobre miejsce, ale teraz za wcześnie o tym mówić. Jeszcze musisz chodzić do szkoły i uczyć się – zakończył ojciec.

Michał właśnie chodził ostatni rok do szkoły podstawowej, jaka znajdowała się w Monongah. W domu nie rozmawiano nigdy o dalszej jego nauce. Starsze rodzeństwo, to znaczy Marysia i Janek, gdy zakończyli naukę pozostali po prostu w domu i tu czekali swojego dorosłego wieku. W Stanach Zjednoczonych nauka w szkołach podstawowych była bezpłatna, a za naukę w szkołach wyższego stopnia należało płacić. Ponadto młodzież z mniejszych miejscowości musiała jeszcze ponosić koszty na zamieszkanie w pensjonatach. Oczywiście, w sytuacji licznej rodziny i bez matki, nie mogło być mowy o ponoszeniu takich wydatków, tym bardziej, że zaoszczędzone pieniądze przede wszystkim miały służyć na urządzenie gospodarstwa po powrocie do starego kraju. Należałoby ponadto przyznać, że Andrzej, sam będąc samoukiem i posiadający wiadomości szkolne głównie na poziomie pisania, czytania i dokonywania prostych rachunków, nie doceniał zbytnio związku edukacji dzieci z ich sytuacją życiową w przyszłości. Jeżeli myślał o ich przyszłości, to głównie miał na uwadze pozyskanie przez nich jakiejś względnie dobrze płatnej pracy i możliwości do zamieszkania. Pomiął fakt, że aby mieć właśnie dobrze płatną pracę należałoby uprzednio zdobyć kwalifikowany zawód. Po prostu – wszystko miało się samo dobrze ułożyć. Poradził sobie w życiu on, to poradzą sobie i dzieci. Od przyszłego

losu ważniejsza była chwila obecna. Teraz musiało wystarczyć na podstawowe potrzeby, a w przyszłości niech wszyscy sobie radzą w miarę własnych możliwości.

I tak właśnie również Michałowi, pomimo wykazywania przez niego wielkiego zamiłowania do wiedzy przyrodniczej i spraw technicznych, nikt nie obiecał, że w przyszłości będzie mógł pogłębiać swoje zainteresowania, pobierając naukę *high school*¹, nie mówiąc już o instytutach wyższej rangi. Tymczasem bywało, że chłopiec często dokonywał w domowych warunkach przeróżnych doświadczeń: a to z urządzeniami elektrycznymi, budując modele silników, czy telegrafów, a to z różnymi odczynnikami chemicznymi. Uzyskiwane efekty reakcji między substancjami lub działania urządzeń elektrycznych pokazywał starszemu i młodszemu rodzeństwu. Nie zawsze to spotykało się z pochwałą ze strony ojca.

– Jeszcze coś złego wystrugasz. Wybuchnie ci coś albo poparzysz siebie i dzieci. Nie możesz zająć się czym pożytecznym? – rugał go ojciec.

Po takiej reprimendzie Michałek zaszywał się gdzieś w kącie i spokojnie czytał książki przyrodnicze albo o przygodach podróżniczych. Ale za zwyczaj nie na długo się uspokajał. Po pewnym czasie ponownie ciągnęło go do swoich eksperymentów. Zawsze w domu lubił powtarzać doświadczenie dokonywane wcześniej na szkolnych zajęciach. Często też chodził na dłuższe wypady poza wioskę, aby obserwować przyrodę. Niekiedy przynosił do domu różne okazy roślin lub wypadłe z gniazd pisklęta dzikich ptaków. Teraz jednak, z powodu okrojonej przestrzeni mieszkalnej, dokonania te musiały być siłą rzeczy również ograniczane.

Wczesną wiosną 1927 roku Andrzej zebrał trójkę młodszego rodzeństwa, to jest Pawła, Andrzeja i Hanię, kazał im umyć się i ubrać dokładnie, a następnie zaprowadził do fotografa. W następnym tygodniu udał się do oddalonego o 80 mil Charleston, stolicy Zachodniej Wirginii, gdzie wszystkim wyrobił paszporty upoważniające do wyjazdu za granicę. Sam posiadał jeszcze paszport wydany przez władze austriackie w 1901 roku. Po odebraniu paszportów sytuacja stała się napięta. Poprosił wszystkie dzieci do siebie, w tym również Marysię i Janka, którzy już nie mieszkali z ojcem i oświadczył im, że definitywnie postanowił zakończyć swój pobyt w Stanach Zjednoczonych i wraca do kraju.

– Jak to, papo? Wy jedziecie, a co będzie z nami? – zapytała Marysia.

– Widzisz, córeczko, wszyscy nie możemy pojechać, bo tam nie mamy jeszcze domu. Dlatego starsze dzieci zostaną w Ameryce, a mniejsze zabiorę ze sobą. Ty z Jankiem już pracujecie i dacie sobie radę, a Paweł, Andrzej i Hania pojedą ze mną. Oni są jeszcze za młodzi, ażeby żyć tu bez opieki ojca.

¹ Dosłownie: szkoła wyższa, w nazewnictwie amerykańskim nazwa ta odnosi się do szkoły ponadpodstawowej (ang.).

– A co będzie ze mną? – nieśmiało odezwał się Michał, który niedawno skończył zaledwie trzynaście lat.

– Ty, Michałku, nie pojedziesz do kraju. Zostaniesz u stryja Filipa. Tam będziesz chodzić do szkoły i stryj ze stryjenką Julią zaopiekują się tobą. Będzie ci tam lepiej niż w domu. Oni też mają dzieci w twoim wieku i razem będzie wam dobrze.

– Papo – odezwał się, zazwyczaj małowówny Janek, – czy to oznacza, że my się już nie zobaczymy? Nie zobaczę was, nie zobaczę Hani, Pawła i Andrzejka? Czy teraz będziemy żyć wszyscy oddzielnie?

Na takie pytanie Andrzej, ojciec sześciorga dzieci, spuścił głowę i przez chwilę milczał. O podjęciu decyzji o wyjeździe myślał już od dawna. Zamierzenia te, co najmniej od czternastu lat to się nasilały, to znów pod wpływem zaistniałych komplikacji były odkładane na przyszłość. Teraz uznał, że dalej już nie może się zastanawiać. Jeżeli ma coś odmienić w swoim życiu, to odkładając decyzję traciłby tylko czas. Oczywiście, miał przed sobą wielką rozterkę z problemem, co ma zrobić z dziećmi. Żadne z możliwych wyjść nie było bez wad. Zabieranie do kraju wszystkich dzieci nie wchodziło w rachubę, bo wiedział, że tylko pogorszyłoby to ich warunki życiowe. Dwoje z nich pracowało już na własny chleb i powinni dać sobie radę, a najmłodsze dzieci musiał zabrać ze sobą, bo były za małe, ażeby pozostać bez ojca i matki. Myślał i o tym, czy rozstaną się na zawsze. Ludzie jeżdżą przecież po kilka razy do Ameryki, dlaczego więc w przyszłości dzieci nie miałyby się odwiedzać nawzajem. A może, jak te młodsze dorosną, to też będą chciały powrócić w strony, gdzie przyszły na świat? Wszystko pokaże przyszłość, a teraz już nie ma co ponownie zmieniać decyzji. Musi tak się stać, jak postanowił.

– Nie, Janku. Myślę, że będziemy jeszcze się widzieć. Jesteście młodzi, a przede mną też, jak Bóg pozwoli, pozostało jeszcze trochę życia. Mam przecież dopiero czterdzieści sześć lat. Świat się nie kończy i na razie musi tak pozostać, jak postanowiłem.

Najmniej zmartwieni takim obrotem rzeczy była malutka Hania i Andrzejek. Dla nich myśl o podróży przez pół świata zdawała się nawet być wielce interesująca. Przecież cały czas tu siedzą, w jednej wiosce, a teraz pojedą daleko. Paweł natomiast, który do wszystkich przedsięwzięć lubił podchodzić po wielkim namyśle, zastanawiał się zarówno nad podróżą w nieznane, jak i nad rozstaniem ze starszym rodzeństwem. Obawiał się, że ta zmiana w życiu może dla nich wszystkich przynieść więcej kłopotów i utrapień, niż pozostanie na miejscu i szukanie tu swojego przeznaczenia. Jednak zdawał sobie sprawę z tego, że niewiele może tu zdziałać. Znał stanowczość ojca, a zresztą sprawy zaszły już za daleko. Pozbyli się przecież swojego domu, ojciec już coraz częściej nie wychodzi do roboty, a tylko załatwia

różne sprawy. Było już więc wszystko postanowione, a teraz trzeba poddać się biegowi losu.

Andrzej już wcześniej listownie uprzedzał brata Filipa w Pensylwanii o swoim zamiarze, a teraz postanowił czym prędzej zlikwidować swoje siedlisko w Monongah, przenieść się na jakiś czas z dziećmi do jego farmy i stamtąd załatwiać już resztę spraw związanych z wyjazdem. W niedługim czasie definitywnie już zwolnił się z pracy w Western Maryland Railway Company, pobrał należne pieniądze z pracy, wybrał zaoszczędzone sumy w banku, spakował wszystkie niezbędne rzeczy do kufrów i postanowił wyjechać do Filipa w Riegsville we wschodniej Pensylwanii. Wynajmowane mieszkanie przekazał właścicielowi. W rozliczeniu otrzymał niewielką kwotę za pozostawione meble i wyposażenie domowe. Następnie kupił dla całej rodziny bilety do miasta Bethlehem¹, bagaże nadał do wysyłki i byli już gotowi do odbycia bardzo ważnej podróży.

W dniu wyjazdu zebrali się wszyscy razem – ojciec, dzieci wyjeżdżające i te, które miały pozostać w Ameryce. Wcześniej udali się na miejscowy cmentarz, gdzie krótką modlitwą pożegnali się ze spoczywającą tu matką i żoną. Na stacji kolejowej zebrała się spora grupka ludzi, a wśród nich przyjaciele i znajomi. Życzyli sobie na przemian to szczęśliwej podróży, to znów dobrego pobytu na ziemi amerykańskiej. Marysia, wielce zasmucona, objęła ojca i mocno przyłgnęła do niego.

– Papo, ja chyba was już więcej nie zobaczę! – wykrztusiła po chwili, a po jej gładkich policzkach potoczyły się grube, gorzkie łzy.

Stali tak przez chwilę nieruchomo. Zatroskany ojciec, jakby chciał już przerwać to pożegnanie, powoli rozluźnił ściskające go ręce córki, pogłaskał ją po twarzy i złożył na jej głowie pocałunek, po czym uściśnął stojącego obok syna, Janka, mówiąc do niego:

– Synu, z wielkim bólem serca zostawiam was tutaj. Życzę wam zdrowia i wiele szczęścia. Słuchaj we wszystkim swojej siostry, ona jest starsza i musisz ją szanować. Jak będzie trzeba, pomagaj jej, bo widzisz, że ona nie jest silną kobietą. Jeżeli Bóg pozwoli, to może jeszcze się kiedyś zobaczymy. Na razie muszę jechać z dziećmi. Nie mogę inaczej. Szanujcie się wszyscy. Odwiedzaj Michałka, który będzie u stryja Filipa. Jak on dorośnie, to dobrze byłoby, gdybyście mieszkali blisko siebie. Będziemy pisać listy. *Let God bless You!*².

Pociąg powoli ruszył. Odjeżdżający wyglądali przez okno.

– *Let God bless You* – powtórzyli jakby chórem Marysia z Jankiem i przez chwilę wpatrywali się w malejący wizerunek ostatniego wagonu, a potem w znikające za wzniesieniami kłęby dymu, wymieszane z buchającą z parowozu parą, aż całość skryła się za najbliższy szczyt górski...

¹ W języku polskim nazwa ta brzmi „Betlejem”

² Niech was Bóg błogosławi (ang.)

Pociąg toczył się miarowym, równym stukotem kół o złącza szyn. Po upływie około pół godziny lokomotywa zaczęła pracować coraz ciężiej, a cały skład wagonów wił się pośród podnóży szczytów górskich to w lewo, to znów w prawo – niczym stalowa, wielka żmija. Wjeżdżali właśnie na największe przełęczę gór Allegheny Mountains. Po upływie następnej godziny praca lokomotywy stała się znów lżejsza, a tereny bardziej wyrównane. Grzbiety górskie, które pozostały za nimi, dokładnie oddzielały stan West Virginia od Pensylwanii.

Oddzieleniu uległ też wielki etap życia Andrzeja. Tam, za szczytami górskimi, pozostało dwadzieścia sześć lat jego młodego życia. Dwadzieścia sześć lat, które powinny być najpiękniejszym przedziałem bytu. Ile w tych latach było udręki, potu, strachu, tęsknoty i poniewierki – sam mógł tylko ocenić. Były też chwile piękne i radosne. Tam właśnie zarobił swoje pierwsze pieniądze w życiu, pozyskał własny kąt do mieszkania, przeżył pierwsze przelotne romanse, szczęśliwym trafem odnowił swoją młodzieńczą miłość do Kasi, następnie miłość tę potwierdził wiecznymi węzłami przed obliczem kapłana. Potem wybudował wygodny dom, który napełniał się radością z każdym podrastającym dzieckiem. Poznał tu wiele technicznych nowości, jak nowoczesne kopalnie, koleje żelazne, kino, radio i samochody. Były też chwile nieszczęśliwe, jak własne okaleczenie, okaleczenie córki, nieporozumienia małżeńskie. Następnie okazało się, że istnieją siły większe od przyrzeczeń ślubnych. Zrządzeniem losu małżeństwo zostało rozdzielone – ona odeszła na zawsze, a on pozostał z gromadą małych dzieci. To wszystko przemineło...

Teraz jadą pociągiem szukać nowego wyzwania. To, czego się dorobił w sposób materialny, wiezie ze sobą w dokładnie zaszytej kieszeni. Ale jest jeszcze i dorobek cenniejszy – to te niewinne istoty, które siedzą obok niego i zajmują niemal cały przedział w tym nowoczesnym, pulmanowskim wagonie. Pozostał też tam, za górami, jego ślad życia w Ameryce. Zostało przecież dwoje młodocianych i zagubionych dzieci, zdanych na łaskę Boga i obcych ludzi. Teraz nikt nie wie, czy rozstanie to będzie trwało na zawsze, czy też los pozwoli im jeszcze spotkać się na swojej drodze życiowej. Wszystko w rękach Najwyższego...

Przez dłuższy czas podróż odbywała się tą samą drogą, jak ta na początku dwudziestego wieku, kiedy to Andrzej zdążał na emigrację. Jednak teraz w Filadelfii pociąg skręcił bardziej na północ, pozostawiając z prawej strony tory prowadzące w kierunku Nowego Jorku. Nad ranem wjechali na stację w Allentown, gdzie przesiedli się do podmiejskiej linii w kierunku Bethlehem. Po dojechaniu na miejsce, cała umęczona już podróżą rodzinka udała się przed dworzec kolejowy i rozglądała się za wynajęciem taksówki, która zawiozłaby ich do farmy Filipa w Rievesville. Przejazd przez miasto nie był zbyt długi. Na próżno można byłoby dopatrywać się w nim jakiegoś podo-

bieństwa z tym Betlejem, w którym narodził się Zbawiciel. Zapewne też nie wszyscy mieszkańcy tego miasta wiedzą z czym się ta nazwa kojarzy. Takie są właśnie przywary stałych mieszkańców tego kraju. Każdy interesuje się zazwyczaj tylko tym, co jest niezbędne w jego życiu i co może dać mu dodatkowe korzyści, a rozmyślanie o zakrętach w dziejach tego świata pozostawiają tylko nielicznym zapaleńcom.

Zwyczajem amerykańskim gospodarstwa rolne nie zawsze znajdują się dokładnie w miejscowości, do której przynależą. Tak też było z farmą Filipa. Było to ładnie rozłożone domostwo na lekko pofałdowanym i dość żyznym terenie, rozpościerającym się w pobliżu doliny rzeki Delavere, rozdzielającej w tym miejscu stan Pensylwania od stanu New Jersey. Z szosy dojazd prowadził kilkadziesiąt jardów utwardzonym traktem. Po minięciu bramy, wykonanej z równo ociosanych drągów i napisem „*Philipe Pratkan's Farm*”¹, po lewej stronie stał szereg budynków gospodarczych, a między nimi garaż na traktory, podręczny warsztat, stodoła i budynek inwentarski. Po prawej stronie rozłożony był ładnie zagospodarowany sad z różnymi drzewami owocowymi i krzewami ozdobnymi. W głębi sadu znajdowała się pasieka, składająca się z kilkunastu uli. Natomiast na wprost bramy położony był sporych rozmiarów dom, stojący na podmurówce. Pod częścią domu urządzone były pomieszczenia piwniczne, a na górze kilka pokoi sypialnych. Parter składał się z dużego salonu, obszernej kuchni, pomieszczenia łazienkowego i z kilku pokoi sypialnych. Całość była przestronna i harmonijnie zagospodarowana.

Przywitanie było wzruszające. Bracia nie widzieli się już kilka ładnych lat. Ostatni – i bodaj jedyny – raz Andrzej odwiedzał swoich braci na początku 1922 roku. Wtedy właśnie zapoznał tu niejakiego Ignacego Kohuta, który po wielu latach pobytu w Ameryce wracał właśnie do kraju i z upoważnienia Andrzeja podjął się doprowadzenia do końca formalności notarialnych, związanych z zakupem ziemi u księdza i jednocześnie dziedzica Płonnej – Emiliana Konstantynowicza. Właśnie tamto załatwienie sprawy sprawiło, że teraz Andrzej z trójką dzieci mógł bardziej śmiało wyruszyć w tę kontrowersyjną podróż. Na spotkanie wyszła żona Filipa – Julia, Węgierka z pochodzenia i drugi brat, Jan. Przedstawili sobie nawzajem dzieci. Filip zapytał się również o nieobecnych tu Marysię i Janka, a Andrzej natomiast podziwiał gromadkę bratanków, jakich dorobiło się to jeszcze młode małżeństwo, a była ich już czwórka, a mianowicie: Piotr, Paweł, Marta i Julia.

– Masz ładne gospodarstwo – zauważył Andrzej, gdy już ustały powitalne gesty. – W jaki sposób tego wszystkiego zdążyłeś się dorobić?

– Pracujemy tu wszyscy solidnie – odpowiedział Filip. – Ziemia tu jest niezła, jak widzisz, nie bardzo górzysta, to i pracować nie jest tak trudno. Na początku najtrudniej jednak było mi tu cokolwiek sprzedać. Ale ja znała-

¹ Farma Filipa Pratkan (ang.)

złem sposób. Gdy zachodziła potrzeba, to na miejscu wszystkim zajmował się brat, a ja ładowałem towary – ziemniaki, warzywa, owoce na wóz i jechałem do Betlehem, gdzie chodziłem od domu do domu i starałem się jak najwięcej posprzedać.

– I co? Kupowali ludzie – zapytał zaciekawiony Andrzej.

– Nie wszyscy, ale dużo z nich brało towar, a jak popróbowali, że produkty są dobre, to niektórzy prosili o kolejne dostawy. Czasami udawało mi się nawet sprzedać towar do sklepu.

– Ciężko musiałeś się przy tym napracować.

– Tak, pracowałem ciężko, ale teraz już będzie mi lżej. Kupiłem małego *truck'a*¹ i już nie będę tracił tyle czasu na wyjazdy. Dzisiaj też już mam większych odbiorców i nie idzie mi źle.

– Cieszę się, Filipku, że dajesz sobie radę. U mnie, widzisz, nie wszystko ułożyło się dobrze. Kaśka zmarła już cztery lata temu. Zostałem z szóstką dzieci. Dłużej już tak nie mogę żyć i postanowiłem wrócić do kraju. Mam tam ziemię i założę gospodarstwo, może też mi się ułoży. W kraju zmieniło się, nasze strony już nie należą do Austrii, a jest tam Polska. Może będzie inaczej.

– Myślisz, że inaczej? Zawsze to będzie w obcym kraju. Nie wszyscy lubią inne nacje. Pewnie i teraz tak będzie. Zmienił się tylko cesarz, a nasi ludzie nie będą się czuli, że są gospodarzami na swoim.

– Zobaczymy jak będzie – odpowiedział zamyślony Andrzej. – Teraz nie mam już nic do wyboru. Sprzedałem dom i wszystko, co miałem. Dwoje dzieci zostawiłem u cudzych ludzi, a teraz proszę ciebie, kochany bracie, abys zaopiekował się tym, oto Michałem. On jest jeszcze za młody, abym go pozostawił samego, a do kraju też go nie chcę zabierać, bo co wszyscy będziemy tam robić. To dobre dziecko i jak będzie trzeba, to na pewno ci pomoże przy gospodarstwie.

– Mam już gromadkę swoich, to i nim się zaopiekujemy. Julia to dobra kobieta, na pewno polubi go, jak swoje dziecko – odrzekł Filip. – *Mychal*, będziesz mieszkał z nami i zaopiekujemy się tobą jak własnym synem – dodał po chwili, głaskając chłopca po głowie².

– Dziękuję ci serdecznie – odrzekł Andrzej wzruszony szczerością brata. – Zostawię ci trochę pieniędzy na ubrania dla niego, a na jedzenie to może sam zapracuje.

¹ Samochód ciężarowy (ang.)

² Z obietnicy tej Filip nie wywiązał się zbyt rzetelnie. Z późniejszej korespondencji wynika, że po odejździe Andrzeja niespełna czternastoletniemu Michałowi było dane spać w komnatach stryja tylko przez jedną noc. Nazajutrz Filip wskazał bratankowi posłanie za żłobem w bydłowej oborze, mówiąc: „Mam dosyć swoich dzieci, a dla ciebie nie ma już miejsca w mieszkaniu”.

– Pieniądzy nie trzeba, ale skoro nalegasz, to przyjmę je, abyś nie myślał, że robię ci wielką łaskę. Pamiętam, jak opiekowałeś się mną, gdy zostaliśmy bez rodziców, a potem przygarnąłeś mnie, jak syna po moim przyjeździe do Ameryki. Jesteśmy braćmi i musimy sobie pomagać.

Ponieważ wiosna dopiero ledwo się rozpoczęła i nauka w szkołach odchodziła całą parą, postanowiono, że również dzieci Andrzeja do czasu wyjazdu nie będą siedzieć po próżnicy. Wszyscy trzech chłopcy zostali zapisani do pobliskiej szkoły¹ i chodziły tam razem z dziećmi Filipa, a Andrzej załatwiał dalsze sprawy związane z wyjazdem. W zasadzie pozostało mu tylko kupić bilety i oczekiwać swojej kolejki na statku. Niebawem udał się więc w tym celu do Nowego Jorku, dokąd podróż stąd trwała pociągami niecałe dwie godziny. Po powrocie oznajmił, że posiada już dla wszystkich „szyf-kartę”² i wyjeżdżają w terminie, który niebawem wyznaczy towarzystwo oceaniczne. Nastął więc czas oczekiwania na dzień podróży.

Tymczasem życie toczyło się niby normalnie. Dzieci uczęszczały do szkoły; dla Michała oznaczało to zakończenie nauki w szkole podstawowej, czyli w jego sytuacji zapewne miałyby to być koniec całej edukacji. Wszystkie jego zainteresowania, jakie dotąd przejawiał w naukach przyrodniczo-technicznych, miałyby odtąd stać się tylko namiastką rozrywki. Andrzej, po ponad ćwierć wieku wytężonej pracy, w końcu otrzymał, a raczej sam sobie nazначzył, zasłużony urlop. Mógł przejściowo nie myśleć o codziennych obowiązkach i o wypełnianiu naznaczonych mu przez innych zadań. Co prawda, pracował na farmie brata, ale w jego sytuacji było to tylko formą odpoczynku, zwłaszcza, że do pracy na roli i w obejściu gospodarskim był zaprawiony od dziecka. Praca w gospodarstwie w warunkach amerykańskich, ze względu na liczne udogodnienia i mechanizację, była znacznie mniej wyczerpująca, niż ta, którą pamiętał z Galicji. Poza tym bardzo chętnie przyglądał się wszystkim usprawnieniom z myślą o przynajmniej częściowym ich wprowadzeniu w swoim gospodarstwie, jakie zamierzał urządzić po powrocie. Nie mógł, oczywiście, liczyć na wszystkie udogodnienia, jakie mieli u siebie bracia Filip z Janem, bo wiedział, że tam, dokąd się udawał, to wszystko będzie niedostępne, a poza tym pamiętał też o konieczności przestrzegania pewnych tradycyjnych metod. Przypomniawszy sobie na przykład, że za jego młodości nikt nie śmiał kosić zboża kosą, a należało wykonywać to tylko sierpami, bo to przecież chleb, a chleb jest darem bożym i należy mu się wielki szacunek. Tu nigdy nikt tak nie myślał. Powszechne były żniwiarki, nie tylko konne, ale również ciągnięte przez traktory, a opowiadano też, że są już w użyciu maszyny, które koszą zboże i jednocześnie młócą. Wiedział, że na Podkarpaciu nie będzie miał problemu z wyborem takich urządzeń, bo kto tam mógł słyszeć o traktorach albo o

¹ Hania nie podlegała jeszcze obowiązkowi szkolnemu.

² Tzn. „kartę okrętową” (od angielskiego terminu „ship card”)

jeszcze większej mechanizacji prac przydomowych, kiedy w całej okolicy nie ma jeszcze nawet prądu elektrycznego.

Wiosenne wieczory schodziły starszym na długich rozmowach. Było co opowiadać – każdy o swoich sprawach. Julia opowiadała, jak to jest u braci Madziarów. Kiedyś wszyscy pochodzili z jednego wielkiego kraju – Austro-Węgier. Teraz wiedzieli, że nastąpiły zmiany. Po zakończeniu wojny powstało kilka nowych krajów, a raczej powrócono do dawniejszych układów. Nie zmieniło się tylko jedno, a mianowicie pozostała ta sama galicyjska bieda. Nadal zachodziła konieczność wspomagania krewnych paczkami lub niewielkimi przesyłkami pieniężnymi. Filip szczególne wyrazy wdzięczności okazywał siostrze Parasce, która wyszła za *Czornoho* w Płonnej i przez dłuższy czas miała go na swoim utrzymaniu po śmierci rodziców. Oczekujących na pomoc było jednak w rodzinie wiele, a więc nie było możliwości ulżyć wszystkim. Julia też posiadała krewnych na Węgrzech, ale tam bieda była jakby mniejsza. Zawsze to kraj ten był bliższy cesarzowi, niż inne poddane narody, o słowiańskich korzeniach.

Dzieci obydwu braci po powrocie ze szkoły miały wiele czasu na wspólne rozmowy i zabawy, tym bardziej, że tutejsze szkoły nie miały zwyczaju zadawania ćwiczeń do odrabiania w domu, a w domu z kolei nie obarczano nieletnich zbyt ciężkimi i zajmującymi obowiązkami. Przez kilka miesięcy kuzyni żyli się ze sobą i nieraz robiło się im smutno na myśl o rychłym rozstaniu. Pod koniec czerwca zakończyła się nauka w szkole. Michał otrzymał świadectwo zakończenia edukacji w zakresie podstawowym, a młodsi synowie Andrzeja – Paweł i Andrzejek – promocje do następnych klas. Wiedzieli jednak, że promocji tej już nie wykorzystają, bo gdy po wakacjach przyjdzie pora na naukę w wyższych klasach, to ich już nie będzie w Ameryce. Na ile natomiast przyda się amerykańska szkoła w Galicji, nie było wiadomo. Na pewno obawiano się, że będzie bariera językowa. Tu – oprócz języka angielskiego – znali używaną przez rodziców potoczną mowę ukraińską z narzeczem łemkowskim. Nie znali prawie w ogóle języka polskiego. W Monongah Paweł z Andrzejem bywali w domu u swojego kolegi Władka Pitelskiego i słyszeli jak jego rodzice rozmawiają po polsku, ale w pamięci pozostało im jedynie kilka słów. Wszystko jednak było do nadrobienia.

Minęła wiosna i zasiane wspólnie przez trzech braci zboża zaczęły dojrzewać. Jednak przed przybliżeniem się pory żniw nadszedł list z towarzystwa oceanicznego, w którym pisano, że wyznaczony jest już termin wykorzystania zakupionych wcześniej kart pokładowych dla czterech osób z Nowego Jorku do Hamburga. Mieli około tygodnia na ostateczne spakowanie się i przygotowanie do podróży. W tym czasie Andrzej zdołał jeszcze raz wybrać się do pobliskiego miasta, gdzie zakupił niezbędne przedmioty na podróż, a szczególnie dodatkowe ubrania dla dzieci, trochę słodczy, które

miałyby przydać się do poczęstunku najbliższych po powrocie na miejsce, coś z niepsujących się zapasów żywności na okres podróży i również do wysyłki. Większe przedmioty zapakowano do kufrów i nadano na bagaż z przeznaczeniem do odbioru po powrocie do kraju i niecierpliwie czekano na nadejście daty odjazdu. Dni, które dzieliły podróżników od naznaczonej daty były nacechowane atmosferą nerwowości i wielkiego podniecenia. Prowadzone w tym czasie rozmowy urywały się w połowie wątku, nie podejmowano już nowych przedsięwzięć, a na farmie Filipa wykonywano w zasadzie tylko czynności niezbędne, głównie związane z utrzymaniem inwentarza żywego.

Statek miał odpływać w godzinach popołudniowych. W tym dniu wszyscy wstali przed świtem. Jeszcze raz sprawdzono pakunki, przejrano dokumenty, po czym zasiedli do wspólnego śniadania, przygotowanego na tę okazję przez Julię ze szczególną pieczołowitością. Po śniadaniu wsiedli do dwóch samochodów – małej ciężarówki, prowadzonej przez Filipa i samochodu osobowego, kierowanego przez brata, Jana i udali się w drogę do Nowego Jorku. Razem ze swoim kuzynem, Piotrem w drogę tę wyruszył również najstarszy z obecnych tu dzieci Andrzeja – Michał, który po pożegnaniu ojca i rodzeństwa miał wrócić i pozostać w Riegesville.



Andrzej z dziećmi podczas podróży do Polski. Od lewej: Paweł, Anna, Andrzej (ojciec) i Andrzej (syn)

Podróż, łącznie z dojazdem do portu, trwała niecałe trzy godziny. Tam odjeżdżający skorzystali jeszcze z usług miejscowego fotografa i zrobili sobie pamiątkowe zdjęcie, ostatnie na ziemi amerykańskiej. Pożegnanie nie trwało zbyt długo. Wszyscy byli zbyt podekscytowani i nieco zmęczeni przygotowaniami do podróży. Najbardziej rzewne było rozstanie ojca z pozostającym na lądzie synem Michałem.

– Papo, smutno mi tu zostawać bez was. Co ja tu będę sam robić? Nie będzie już Pawła, Andrzejka i Hani. I was, papo, nie będzie. Czy ja was jeszcze zobaczę? – nie było końca rzewnym pytaniom ze strony pozostającego, jeszcze niespełna czternastoletniego chłopca, zdanego odtąd na przymusową dorosłość i odpowiedzialność samego za siebie.

– Synu, nie płacz – pocieszał go przez łzy zafrasowany ojciec. – Mnie też jest smutno, ale tak będzie lepiej. Niedługo już będziesz dorosły i tu znajdziesz swoje miejsce. A tam nie wiadomo jak będziemy żyć. Nie będziesz tu sam, zostajesz przecież ze stryjami. Filip będzie ci jak ojciec, a stryjenka matką. Będziemy pisać listy, a potem, kto wie, może przyjedziesz kiedyś do nas, a może my ciebie odwiedzimy. Jak będziesz mógł, to pojedź do Marysi i Janka. Może w przyszłości będziecie żyli obok siebie. Trzymaj się synu.

– Dziękuję wam bracia za wszystko – zwrócił się do stojących obok Filipa i Jana. – Dziękuję za pomoc. Proszę opiekujcie się Michałkiem. Życzę wam szczęścia i zdrowia. Niech Bóg ma was w swojej opiece.

– Niech Bóg ma was w swojej opiece – odrzekli niemal chórem Filip z Janem.

Pożegnały się też ze sobą dzieci, po czym jedni – po sprawdzeniu kart pokładowych i paszportów – weszli na pokład okrętu, a drudzy jeszcze chwilę postali na nabrzeżu portowym i, wsiadłszy do samochodów, odjechali w kierunku Pensylwanii, aby zdążyć do domu przed nocą.

Statek należał do amerykańskiego towarzystwa żeglugowego. Nazywał się „*M/S Independence*”. W czasie trwania pobytu Andrzeja na emigracji w warunkach podróżowania przez ocean nastąpił poważny postęp. Na tak odległych liniach nie eksploatowano już parowców. Wprowadzenie powszechnego napędu spalinowego poważnie skróciło czas podróży¹. Przy zajmowaniu przypisanej mu czteroosobowej kajuty, Andrzej zauważył poważną zmianę w swoim położeniu. Przed dwudziestu sześciu laty do tego samego portu przybył jako pasażer czwartej kategorii. Jemu i podobnym mu towarzyszom podróży nie pozwolono wtedy nawet wysiąść w samym porcie, a odholowano ich na wyspę Ellis, gdzie przez całą dobę poddawano ich przemysłnym procedurom weryfikacyjnym. A teraz zasiada sobie z całą rodziną jako pełnoprawny pasażer, z przynależącymi mu wszystkimi udogodnieniami, w tym z prawem do korzystania z okrętowej restauracji. A kim on jest? Tylko zwykłym robotnikiem najemnym. Ale stać go na wykupienie

¹ W tym czasie jeszcze daleko było do przemierzania Atlantyku samolotami. Zaledwie dwa miesiące wcześniej, bo 21 maja 1927 r., odbył się pierwszy przelot samolotowy nad Atlantykiem. Amerykanin Charles Lindbergh pokonał ten dystans na samolocie w czasie 33 godzin i 29 minut.

biletów podróжных na równi ze wszystkimi tu obecnymi. Poza tym miał w zanadru pewną, w mozole zdobytą, sumę zielonych banknotów, która to upoważniała go do korzystania z wielu dóbr, wymyślonych przez człowieka. Jak to łatwiej jest zachować swoją godność, gdy chociaż po części można finansowo stanąć na równi z innymi... Porównanie tych dwóch sytuacji: obecnej i tej sprzed ćwierć wieku, dało mu wiele do myślenia nad tym, na czym opierają się wartości tego świata. Nie on to wymyślił, lecz teraz kolejny już raz, na własnej osobie, utwierdził się w przekonaniu na czym polega znaczenie pieniędzy w położeniu człowieka.

Statek odcumowano od kei. W rytmie granych przez orkiestrę marszy holowniki odciągnęły go do ujścia z kanału portowego, skąd o własnym napędzie, pochodzącym od potężnych silników dieslowskich, skierował się na południe. Płynęli przez chwilę obok znanego już potężnego posągu niewiasty z koroną na głowie, trzymającą we wzniesionej ręce gorejący znicz.



– Patrzcie, to Statua Wolności¹, symbol wolnej i niepodległej Ameryki – poinformował Andrzej, zafascynowane podróżą i nieco przerażone całym przedsięwzięciem, dzieci.

– *Statue of Liberty* – powtórzył po angielsku Paweł.

Gdy minęli już wąski przesmyk pomiędzy wyspami Long Island i Staten Island, skierowali się w kierunku wschodnim. Przez jakiś czas po lewej burcie w zasięgu wzroku mieli tę pierwszą wyspę, po czym ląd już ostatecznie oddalił się i zewsząd zaczęły ich ogarniać czeluści wodne. Jednocześnie rozpoczęło się zapadanie zmroku. Na bezchmurnym niebie pojawiły się roje gwiazd. Tam, za rufą, pozostała Ameryka – ziemia stanowiąca przedmiot westchnień wielu strapionych biedą ludzi, a gdzieś daleko przed dziobem znajduje się Europa – nadzieja na przyszłe, może bardziej spokojne życie.

¹ Monument w tym czasie rzeczywiście uważany był za symbol wolności. W 1903 roku na jego cokole wryto wiersz Emmy Lazuras, którego zakończenie (w wolnym przekładzie) brzmi: „*Dajcie mi wasze zmęczenie, biedne uciskane masy ludzi, które tęsknią za tym, aby móc swobodnie oddychać; Nieszczęśliwie odtrącone od waszych przeludnionych wybrzeży; Przyślijcie do mnie doświadczonych przez los tych, co stracili nadzieję; Ja unoszę moją lampę obok złotych drzwi*”.

ROZDZIAŁ TRZECI

A n a s t a z j a

W opowiadaniu tym cofnijmy się nieco w czasie i przenieśmy się teraz ponownie do znanego nam już *P r z y b y s z o w a* w Beskidzie Niskim.

Ku schyłkowi ma się dziewiętnaste stulecie. Życie we wsi toczy się od lat utartym trybem. Ludzie gospodarzą na swoich zagonach. Rodzą się nowe dzieci, młodzi dorastają, zakładają własne rodziny i przejmują we władanie rodowe gospodarstwa. Starsi, jak to zawsze bywało, stają się najpierw pomocniczą siłą roboczą, potem wegetują, doczekując swoich dni, aż w końcu odchodzą na zawsze. Od czasu do czasu pojawiają się nadzwyczajne wydarzenia: a to silna i długa zima, a to nieprzewidziana susza, gradobicie lub długotrwałe ulewy, a to znów nasilenie chorób, które zwalają z nóg wiele ludzi i przysparzają nowych mogił na cmentarzach. Cmentarze w wielu wioskach rozrastały się najbardziej. W Przybyszowie w tym czasie w dolnej części wioski, na zboczu góry od strony Tokarni, istniał używany jeszcze stary cmentarz, który był już znacznie przepełniony. Coraz częściej mówiło się o potrzebie założenia nowego miejsca pochówku.

W rozwoju wioski nie zauważono większego postępu. Chociaż ludzi przybywało, we wsi znajdował się nadal jeden sklep, zwany „kooperatywą” i wciąż nie zadbano o zorganizowanie szkoły. W dobrym stanie natomiast utrzymywana była cerkiew pod wezwaniem Św. Matki Paraskewii. Usługiwał ludziom jeden tartak, tnąc bele i deski na budowę domów, a zboże miały dwa młyny – jeden na początku wioski, a drugi mniej więcej w połowie. Na samym końcu górnej części wsi istniała leśniczówka. Mieszkający tutaj leśniczy zarządzał gospodarką leśną – wydawał pozwolenia na wycięcie drzew na budowę, wypas zwierząt i nadzorował kupno i sprzedaż arealów leśnych.

Idąc w górę wioski, mniej więcej po jej środku, gdzie do Przybyszówki, płynącej od góry Kamień, wpadają z dwóch stron, niemal jednocześnie dwa potoki – jeden spływający ze stoków Tokarni, a ściślej mówiąc, jak to okre-

ślali miejscowi ludzie, z góry *Rozdill'ja*, a drugi płynący spod Rzepedki poprzez górę *Łaski*, widzimy schludne zabudowanie, składające się z ładnej *chyży*¹, oddzielnie stojącego budynku inwentarskiego ze stodołą² i młyna. Zabudowa otoczona była zadbanym sadem, w którym rosły głównie czereśnie, grusze i śliwy. Na *chyży*, podobnie jak w pozostałych zabudowaniach w Przybyszowie, poziomo ułożone bale drewniane pomalowane były na czarno, a uszczelnienia pomiędzy nimi na biało. Jest to siedlisko rodziny Chyrów, o których przychodzący do tego domu mówili, że idą do Tychani.

Młyn był założony około pół wieku wcześniej, czyli w połowie dziewiętnastego stulecia. W miejscu gdzie strumyk spod Tokarni stromo spływa ze wzgórza i przez wieki wyłobił sobie głębokie koryto, przed samym ujściem do Przybyszówki, wykonana była niewielka zaporą, z której spiętrzona woda kierowana była wąskim kanałem na koło młyńskie. Koło to, poprzez system żelaznych sztang połączonych ze sobą przegubami i drewnianych kół zębatach, wprawiało w ruch znacznych rozmiarów okrągły kamień. Zboże zasypywane było do zasobnika znajdującego się nad kamieniami młyńskimi, a po przemieleniu spadało do skrzyni, znajdującej się w niższym poziomie budynku. Następnie uzyskany nowy produkt przesypywany był na układ sit, zwanych pytlem, skąd otrzymywało się oddzielnie mąkę i otręby. Od gęstości zastosowanych sit i ilości powtarzanych czynności przesiewania, uzależniona była jasność i ilość mąki i otrębów. Bogatsi gospodarze mielili zboże na „sześćdziesiątkę”, a biedniejsi na „osiemdziesiątkę” lub „razówkę”³. Młyn był głównie na własne potrzeby, ale przychodzili tu również sąsiedzi, kiedy to wystąpiła potrzeba przemielenia większej ilości ziarna. Za usługę zazwyczaj nie płacono pieniędzmi, lecz mielono na tak zwaną miarkę. Wykonywanie usług uzależnione było również od ilości wody w strumyku.

Dochody więc z młyna nie były wielkie, a podstawę do wyżywienia i utrzymania rodziny stanowiło średniej wielkości gospodarstwo rolne. W gospodarstwie tym, jak zresztą we wszystkich innych, uprawiano prawie wszystko, co było niezbędne do wyżywienia rodziny i inwentarza: zboże, ziemniaki, buraki, brukiew, koniczynę na siano, len, konopie, warzywa i inne rośliny oraz hodowano wiele gatunków zwierząt: krowy, owce, kozy, świny, kury i gęsi, a czasami również króliki. Zajęcie w gospodarstwie mieli zawsze wszyscy domownicy, bo pracy nie brakowało przez okrągły rok. Każde gospodarstwo w zasadzie było samowystarczalne, a więc nie można

¹ Nazwa chaty, używana przez Łemków.

² Wśród Łemków, podobnie jak na całym Podkarpaciu, w zabudowie gospodarskiej część mieszkalna najczęściej stanowiła jedną bryłę z częścią inwentarską, z możliwością przejścia z sieni do obory lub stodoły. Oddzielnie stojące budynki gospodarcze i mieszkalne zdarzały się rzadko i świadczyły o zamożności gospodarza.

³ Mielenie na „sześćdziesiątkę” oznaczało, że otrzymuje się 60 kg mąki ze 100 kg zboża, a „razówka” była po zmieleniu przesiewana tylko raz.

było poprzestać na uprawie roślin i hodowli zwierząt, a należało we własnym zakresie wytwarzać wszystkie niezbędne do życia przetwory spożywcze i produkty służące do codziennego życia. Wszyscy więc byli specjalistami od wyrabiania masła, serów, które można było przechowywać przez dłuższy czas, od konserwacji mięsa, warzyw na zimę, olejów, miodu, mąki i kaszy, wypieków pieczywa, wyrabiania tkanin, elementów końskiej uprząży, sań i wozów. Do wytwarzania tych wyrobów nie wystarczały same umiejętności, a konieczne było rozmaite oprzyrządowanie. Dlatego w każdym zabudowaniu można było znaleźć przeróżne narzędzia i urządzenia. Chociaż niekiedy z wyglądu prymitywne, były one bardzo zmysłowe i mające wielce praktyczne zastosowanie. Późniejszy rozwój cywilizacyjny poprzez swoją specjalizację spowoduje wielkie zubożenie umiejętności ludzkich i zmniejszenie wyposażenia gospodarstw domowych. Zresztą do spustoszenia kultury materialnej przyczynią się również wszelkiego rodzaju zakręty dziejowe, powodowane głównie przez nikczemne interesy polityków.

W każdej miejscowości tworzyły się oddzielne elementy kulturowe, charakteryzujące się własnymi pieśniami, obrzędami świąt lokalnych i wydarzeń rodzinnych. Wśród obrzędów ludowych pierwszeństwo miały wiejskie odpusty i festyny, organizowane przeważnie z okazji dnia patrona lokalnej cerkwi. Od dawna istniał zwyczaj, że na takie święta, zwane *praznykami*, zawsze zapraszano mieszkańców ościennych miejscowości. Na okoliczność taką w każdej rodzinie przygotowywano się do przyjęcia jak największej liczby gości spośród krewnych zamieszkującej w innych wioskach, znajomych, a nawet całkiem przygodnych osób. Przy okazjach tych zawsze było wesoło, organizowano wspólne zabawy i śpiewy, popisy sprawnościowe. W takich okolicznościach zawsze też zawierane były nowe znajomości, które w przyszłości niekiedy owocowały trwalszymi związkami. Wszystko to przyczyniało się do rozwoju kulturowego, pogłębiania jedności społeczeństwa i umacniania poczucia tożsamości narodowej.

W domu Tychani, a właściwie Chyrów, mieszkała w tym czasie rodzina składająca się z pięciu osób – ojca Teodora, matki Oksany, dwóch córek – Marii i Anny oraz najmłodszego syna – Jana. Życie toczyło się utartym torem. W zagrodzie powtarzały się codzienne obowiązki przy utrzymaniu inwentarza, a wykonywane czynności w gospodarstwie naznaczone były rytmem upływającego roku. Zawsze, oprócz aktualnie najważniejszych prac, wynikających z pory roku, na uwadze należało mieć zabezpieczenie bytu rodziny na najbliższy okres, a najbardziej zważano na zbliżającą się zimę. Trzeba więc było prowadzić naprawy narzędzi, budynków, przygotowywać zapasy żywności, czy też przetwarzać len, wełnę i konopie na nici i tkaniny. Szczególną uwagę poświęcano utrzymaniu młyna. Od pokoleń uważano, że gdy funkcjonuje młyn, miele się w nim zboże i przyjeżdżają do

niego gospodarze, to znaczy, że trwa życie w domu. Ponieważ Teodor, głowa rodziny, był bardzo zajęty w prowadzeniu całego gospodarstwa, a powoli i czas zaczynał odciskać swoje piętno na jego siłach, do rzemiosła tego przysposabiał jedyne go syna – Jana. Wraz z żoną, Oksaną, synów mieliby więcej, gdyby nie śmierć, która dwóch zabrała w wieku kilku lat.

W roku 1897 za mąż wyszła najstarsza córka Teodora i Oksany – Maria. Po ślubie zamieszkała ona w domu swojego męża, Macieja o nazwisku Ostaf, w pobliskim Karlikowie. Niespełna rok później wydała się również druga córka – Anna. Ta z kolei wyprowadziła się niezbyt daleko, bo do rodziny Krawczyków, zamieszkałej kilka zabudowań w dół wioski, po drugiej stronie rzeczki, niedaleko zbocza góry Łaski. Powszechnie – tutejszym zwyczajem – o rodzinie tej mówiło się używając przydomka Kobycy. W ten sposób w krótkim czasie liczba domowników w rodzinie Chyrów zmniejszyła się do trzech osób.

Teraz w domu zostały tylko rodzice i syn Jan. Zrobiło się znacznie luźniej, ale jednocześnie dało się odczuć brak ludzi do pracy. A pracy, jak to w gospodarstwie, nie brakowało. Codzienne obowiązki przy dość licznym inwentarzu angażowały niemal do końca gospodynię. Ale na tym nie koniec – musiała przecież jeszcze zadbać o utrzymanie domu. Jedną tylko czynność nie absorbowwała Oksany, a mianowicie nie miała ona obowiązku, jak to robiły inne gospodynie we wsi, mieć zboża na żarnach przed przygotowywaniem posiłków. „Żarna” w tym obejściu były bowiem znacznie większe, niż te, które znajdowały się w sieni prawie każdej *chyży* w Przybyszowie, a kręcić nimi nie było trzeba, bo robiło to koło młyńskie, napędzane zgaconą wodą. Młyn jednak, chociaż nie był zbyt obciążony pracą, wymagał nieustannej obsługi.

– Iwanku, – mawiała nieraz strudzona matka, – tak dalej nie może być. Ja sama nie dam rady pracować przy *chudobie*¹, gotować jedzenie, pracować, sprzątać, a jeszcze wychodzić na pole. Dobrze byłoby gdybyś przyprowadził do domu niewiastkę².

– Mamo, skąd ja wam wezmę teraz niewiastkę, a po drugie to jeszcze mam czas na żeniactwo.

– Wczoraj była tu Maryśka od Gajdosza, ta co wyszła za syna leśniczego i mieszkają na górnym końcu. Ona pochodzi z rodziny Babiaków z Rzepedzi. Słyszałam, że to dobra rodzina. Mówiła, że ma młodszą siostrę. Mógłbyś się zainteresować tą dziewczyną.

– Jeszcze mam czas o tym myśleć – odpowiedział nagabywany syn, powtarzając przed chwilą wyrażoną myśl.

Niedługo po tej rozmowie, w dzień świętej Paraskewii, w Przybyszowie odbywał się odpust. Tradycyjnie już z okazji odpustu we wsi miał miejsce

¹ Dosłownie: bydło, a w tym znaczeniu inwentarz żywy (łemk.)

² Tak nazywana była synowa, która zamieszkiwała w domu swojego męża.

festyn, czyli *praznyk*. Z okazji tej miejscowych ludzi odwiedzali zawsze ich krewni i znajomi, zamieszkali w sąsiednich miejscowościach. Tak było i tym razem. Na odbywające się w cerkwi nabożeństwa przybyły liczne rzesze, a potem tłumnie pozostawali na różnego rodzaju zabawach, tańcach, śpiewach i sprawnościowych zmaganiach. Wszystkie domostwa w tym czasie były gromadnie odwiedzane – nie koniecznie przez krewnych oraz znajomych – i według starych zwyczajów należało ugościć każdego gościa.

Zabudowania Chyrów znajdowały się w pobliżu cerkwi, tuż za potokiem zwanym Przybyszówką, do którego w tym miejscu wpadały z obydwu stron mniejsze strumyki spływające z pobliskich zboczy. Wystarczyło pokonać kładkę nad rzeczką, aby znaleźć się po drugiej jej stronie. Jadący wozami dla przedostania się na drugi brzeg musieli natomiast pokonywać bród. Takich przejazdów przez wodę we wsi było zresztą wiele. Tak więc, w dzień odpustu domostwo to odwiedzało mnóstwo ludzi. Niby to przy okazji, a trochę również dla obejrzenia młyna, a może przede wszystkim w celu z góry ukartowanym, po nabożeństwach, które trwały niemal całe przedpołudnie, do Chyrów zawitały dwie młode niewiasty – jedną z nich była wspomniana już Maryśka, co wyszła za syna leśniczego Gajdosza, a drugą jej młodszą siostrą z Rzepedzi – Paraska. Wywodziły się one ze starej rodziny Babiaków.

– *Sława Isusu Chrystu*¹ – zawołały od progu.

– *Na wiki sława*² – odpowiedzieli niemal razem gospodarz z gospodynią.

– Ciepło dzisiaj. Tak długo już jesteśmy na nogach. Czy możemy się napić wody? – zawołały przybyszki.

– Proszę, zachodźcie do chaty. Siadajcie – odpowiedziała Oksana, podsuwając im dwa drewniane zydle.

Niewiasty wypily po garnuszkę wody, rozejrzały się po izbie i starsza z nich podjęła rozmowę:

– To jest moja siostra. Na imię ma Paraska. Na jesień będzie jej dwadzieścia lat. Przyszła dzisiaj na odpust. Mieszka jeszcze z rodzicami w Rzepedzi, ale jak jej się tu spodoba, to wydamy ją za mąż w Przybyszowie.

Dziewczyna zarumieniała się i spuściła głowę, a po chwili odezwała się:

– Gdzie mi tam za mąż... Maryśka tak zawsze gada.

– Ładna dziewczyna – zauważył Teodor. – Pewnie, że długo nie będzie chodzić panienką. Już chłopcy z Przybyszowa się o to postarają.

Dziewczyna zarumieniała się jeszcze bardziej i po chwili powtórzyła:

– Gdzie mi tam już się wydawać... Jeszcze posiedzę przy rodzicach...

W tym czasie nadszedł syn gospodarzy – Jan. Pozdrowił siedzące obce kobiety i pytająco spojrzał na matkę.

¹ Chwała Jezusowi Chrystusowi (ukr.).

² Na wieki chwała (ukr.)

– To jest Maryśka Gajdosza, pewnie ją znasz, a to jej siostra, Paraska – objaśniła synowi matka. – Zmęczyły się w cerkwi i przyszły trochę odpocząć. Może pokażesz Parasce młyn, pewnie nigdy nie widziała jak się mieli zboże?

– Jak chce, to jej pokażę – odpowiedział Iwanek, zwracając głowę w stronę młodszej niewiasty.

Dziewczyna, nieco zakłopotana, wstała i po chwili oboje wyszli na zewnątrz chaty, a potem udali się do młyna. Po powrocie z tej krótkiej wycieczki Paraska znów przysiadła przy stole, po czym obie młode kobiety ugościły się nieco sporządzonymi wcześniej przez gospodynię wypiekami z białej mąki. Zjadły kilka pierogów z serem i po kawałku strucli i wypily trochę wywaru z suszonych śliwek. Następnie podziękowały i wyszły.

– I co, Iwanku – zapytała matka, – podoba ci się Paraska? Wygląda na to, że byłaby dobra z niej żona i niewiastka. Pochodzi z porządnej rodziny. A widziałeś jak ona szybko zjadła? To znaczy, że i do roboty zdalna¹. Powinienieś się zastanowić.

– Dziewczyna ładna – odpowiedział Iwanek, – a szybko zjadła, bo pewnie była głodna. Ja jeszcze mam czas na żeniączkę. Jak będzie trzeba, to się zastanowię, a teraz muszę wyjść, bo tam na mnie koledzy czekają.

Tydzień minął, jak zwykle, na różnego rodzaju pracach.

W następną niedzielę wszyscy wstali z samiotkiego rana, zrobili co należało w gospodarstwie, zjedli śniadanie i wyruszyli całą trójką w stronę południową, gdzie na horyzoncie wznosiło się pasmo góry Kamień. Droga wiodła wzdłuż strumyka, który koło cerkwi wpadał do Przybyszówki. Następnie udali się poprzez przełęcz, mijając po lewej stronie wzniesienie Łaski, a po prawej stronie górę Werszok. Dalej szli wierchem przez las około dwóch kilometrów, a gdy teren zaczął znów obniżać się i wstąpili w szeroki jar, obok steczki pojawił się niewielki, ale za to rwący potok, stanowiący początek rzeki Rzepedki. Po jakimś czasie wąska steczka przemieniła się w szerszy dukt i teren stawał się bardziej wyrównany, a po chwili, po pokonaniu kilku mniejszych strumyków wpadających do Rzepedki, zza parowu wyłoniły się zabudowania wioski Rzepedzi, a raczej – jak mówiono tu od wieków – *Repedi*. Teraz wędrowcy przyodziali już na nogi obuwie, niesione dotąd na ramionach i ruszyli dalej.

Szli tak jeszcze przez wioskę około kwadransa gdy po lewej stronie zza wzgórza wyłoniły się cztery wieże, zwieńczone bizantyjskimi krzyżami – pierwsza z nich, jakby nieco skromniejsza, stała na dzwonnicy, a trzy następne, z okazałymi baniami i posadowione na wystających ponad dach

¹ Był zwyczaj, że kandydatkę na synową oceniano nie tylko według wyglądu, ale przede wszystkim na podstawie jej predyspozycji do pracy. Między innymi szybkie i sprawne spożywanie posiłków miało świadczyć, że dziewczyna jest silna i ma zdolności do wykonywania cięższych prac.

podwyższeniach, stanowiły bogatą ozdobę pięknej, drewnianej cerkwi pod wezwaniem Św. Mikołaja, stojącej tu w takim kształcie już co najmniej od stu pięćdziesięciu lat¹. Dzwonnica miała kształt ściętego ostrosłupa o podstawie kwadratu. Na jednej trzeciej i w połowie wysokości miała okapy imitujące daszki, a pod dachem właściwym, stanowiącym podstawę wieży, w ścianach wycięte były otwory, zamykane okiennicami, przez które wydobywały się donośne, a chwilami jakby żalosne, dźwięki dzwonu. Do cerkwi wchodziło się poprzez okryty krużganek i babiniec, nad którym było pomieszczenie na chór. Po wejściu do środka od razu rzucał się w oczy stojący na wprost, pięknie przyozdobiony misternymi obrazami ikonostas. Obok cerkwi, nieco w stronę cmentarza², postawiona była niewielka kapliczka pod wezwaniem Św. Eliasza.

Cała trójka – ojciec, matka i syn – przystanęli na chwilę, odwrócili się w stronę świątyni i przeżegnali się po trzykroć złożonymi trzema palcami – kciukiem, wskazującym i środkowym – głośno wymawiając *wo im'ja otc'ja i syna i sw'jatoho ducha, amin*³. Następnie zapytali się o gospodarstwo Babiaków i ruszyli dalej.

Tam przyjęto ich z otwartymi rękoma. Wizyta ta w zasadzie nie była niespodzianką; już wcześniej uprzedziła swoich rodziców o możliwości takiego zajścia córka Maryśka z Przybyszowa, która wiadomość taką posiadała od Oksany, matki Janka. Oboje gospodarze witali całą trójkę już od progu chaty, posadzili gości za stół, zastawiony jadłem i napitkami.

– Witamy, witamy! Siadajcie i prosimy gościć się czym chata bogata – zawołał stary Babiak.

– Nie jesteśmy głodni i nie przyszliliśmy tu na jedzenie, ale jeżeli dzielicie się swoimi dobrami to i my coś przynieśliśmy – odpowiedział Teodor Chyr, wyciągając z zanadra butelkę przedniej okowity. – Przyszliśmy tu prosić was, abyście byli łaskawi oddać córkę waszą ukochaną za naszego Iwanka.

– Wychowaliście swoje dziecko – ciągnął dalej Teodor – na ładną i pracowitą dziewczynę, ale na nic jej żyć w pojedynkę, a syna mamy porządnego. Wyrośnięty i pracowity. Ma już dwadzieścia trzy lata i czas mu własną rodzinę założyć. Rodziców ma w poszanowaniu, to i dla żony pocziwy będzie.

– Nasza Paraska jest jeszcze młoda, wydawać się nie musi – odpowiedziała Babiaczka, – ale jak zalotnik dobry, to pomyślimy. Maryśka nam

¹ Pierwsza świątynia w tym miejscu postawiona była około roku 1526.

² W przyszłości miejsce to zaszczycone będzie pochówkiem biskupa greckokatolickiego Teodora Majkowicza, który wywodził się z tej wioski i spokrewniony był z rodziną Babiaków.

³ W imię ojca, i syna i świętego ducha, amen

mówiła, że z dobrej rodziny pochodzi. Widać to po was. Musimy porozmawiać. Parsko! Chodź no tu – zawołała w kierunku drugiej izby.

Po chwili otworzyły się drzwi z sąsiedniej izby. W progu stanęła dziewczyna, nieco zawstydzona, ładnie ubrana w odświętny strój: w układaną spódnicę, haftowaną bluzkę z długimi rękawami, zapiętymi nad nadgarstkami i serdak z granatowego aksamitu, haftowany w ornamenty nabijane metalowymi aplikacjami. Przez jedno ramię zwisały jej do przodu czarne, lśniące włosy, uplecione w piękny, gruby warkocz. Ukłoniła się na przywitanie w stronę przybyłych gości, a gdy wzrok jej spoczął na oczach przyszłego narzeczonego, jej twarz stała się pąsowa.

– Ci ludzie przyszli do ciebie. Oni są z Przybyszowa, nazywają się Chyr. Pewnie ich znasz.

– Tak, mamu. Znam tych ludzi. Byłam u nich z Maryską w ubiegłą niedzielę, zaraz po odpuscie.

– Oni chcą ciebie za niewiastkę. Podoba ci się Iwanko?

Dziewczyna dostała jeszcze silniejszych wypieków. Zawstydzona, pochyliła głowę i przez chwilę milczała.

– Co ma mi się nie podobać? Wy sami najlepiej wiecie.

– Parasiu, zgódź się pójść za mnie – odezwał się milczący dotąd Jan. – Będę cię szanować i razem będzie nam dobrze. A i żyć będziemy mieli z czego. Mamu ładny kawałek ziemi, a do tego jeszcze na młynie czasami można zarobić.

– Z domu też nie poszłabyś z gołymi rękami. Dołożymy na dwie morgi, a jeszcze i krowę, tę co jest zacielona, dostaniesz.

– Wasza wola, tato i mamu. Jak uważacie, że mi czas z domu, to się zgodzę. I tak kiedyś muszę stąd wyjść. Macie jeszcze młodsze dzieci. A Iwanko mi się podoba. Już dawno na niego spoglądałam – jeszcze łośńskiego roku na *praznyku* w Przybyszowie zauważyłam go, ale on wtedy nie zwracał na mnie uwagi.

– Oj, zwracałem, tylko nie śmiałem ci o tym powiedzieć – próbował wytłumaczyć się Jan i wziął Paraskę za rękę. – To jak będzie? Zgodzisz się pójść za mnie?

– Tak – odpowiedziała dziewczyna.

Ustalili, że ślub i wesele odbędą się na zapusty – w czasie wolniejszym od nawału pracy gospodarskiej. Po zakończeniu zmówin goście wypili jeszcze po kubeczku gorzałki, ugościli się jadłem, omówili szczegóły co to posagów, jakimi mieli być obdarowani młodzi, uzgodnili przebieg uroczystości weselnej i udali się w drogę powrotną, zwłaszcza, że czas ich pilił, bo cały dobytek pozostawiony był bez jakiegokolwiek dozoru.

Wszystko następnie odbyło się zgodnie z przewidywaniami i miejscowym zwyczajem. Młodzi odwiedzali się niemal co tydzień, a gdy nadszedł czas zapustów naspraszano gości, w cerkwi odbył się uroczysty ślub, a na-

stępnie wszyscy bawili się w domu panny młodej na sutym weselu, przy kapeli cygańskiej. Następnego dnia spakowano osobiste rzeczy młódki wraz z otrzymanym posagiem i uroczyście przejechano saniami do jej nowego domu w Przybyszowie. Tam bawiono się jeszcze do następnego rana, po czym goście rozeszli się, a Paraska pozostała w domu swoich teściów z nowo poślubionym mężem.

* * *

Zaczęła się zima 1904 roku. W domu Chyrów mieszkała już nieco liczniejsza rodzina. Całym gospodarstwem, zgodnie ze ślubnym zapiskiem, zajmował się syn Jan, który był już nie tylko prawowitym gospodarzem, ale również mężem i ojcem dwuletniej córki – Hani. Tymczasem Paraska od wielu miesięcy ponownie znajdowała się w stanie błogosławionym. Jeszcze wczesną jesienią brała udział we wszystkich pracach gospodarskich, a później nie wychodziła już na pole, a zajmowała się tylko pracami przydomowymi. W domu nie tak bardzo dokuczała zła pogoda i częściej można było zrobić sobie chwilę przerwy. Teraz, zimą, kiedy już nikt nie wychodził na pole, mogła sobie częściej pozwolić na odpoczynek, czy też dłużej z rana wygrzać się pod pościelą. Wszyscy niecierpliwie wyglądali nowego domownika. Według oczekiwań powinien to być chłopiec, który mógłby w przyszłości przejąć rodowe gospodarstwo. Aż nadszedł czas rozwiązania.

Był wtorek 2 lutego 1904 roku¹, gdy Paraska z rana nie wstała, bo czuła się bardziej zmęczona i niespokojna. Potem pojawiły się bóle promieniujące od kręgosłupa w dolne części tułowia. Po jakimś czasie bóle te zaczęły powtarzać się coraz częściej. Przywołano więc do izby, w której leżała, teściową.

– Mamo, ja chyba będę rodzić, pošlijcie po akuszerkę – wyszeptała Paraska.

– Dobrze, dziecko, leż spokojnie zaraz pošlę Iwanka po starą Maryskę od Sasa. Ona zna się na położach najlepiej – odrzekła teściowa.

Gdy przybiegła stara Maryska od Sasa poród zaczął się na dobre. Około południa czekającym w pierwszej izbie chłopom oświadczone, że jest już po wszystkim.

– Na gospodarza przyjdzie nam jeszcze poczekać. Teraz mamy ładną dziewczynkę, będzie z niej dobra gospodyni – oświadczyła wszystkim stara

¹ W roku tym pierwszy raz w świecie odbył się sterowany przelot samolotem (bracia Wright 20.09.1904 wykonali lot po okręgu); w 1904 r. urodzili się: Jean Gabin – aktor francuski, Oskar Lange – polski ekonomista, Witold Gombrowicz – pisarz, Hanka Ordonówna – piosenkarka i Marlena Dietrich – aktorka światowej sławy, pochodzenia niemieckiego.

Oksana, babcia nowo narodzonego dziecka. – Paraska czuje się dobrze. Napalcie porządnie w piecu, żeby matka nie zmarzła i dziecko miało ciepło.

Dziewczynkę ochrzczono dopiero w drugi dzień świąt wielkanocnych, aby nie narażać dziecka na przeziębienie, a ponadto chrzcin nie wypadało robić w wielkim poście. Na uroczystości zebrała się cała rodzina – obie siostry Jana: Maria, która poszła za Ostafa do Karlikowa i Anna, która wydała się za Krawczyka w Przybyszowie, Maria od Gajdosza – siostra Paraski i rodzina Babiaków z Rzepedzi. Na rodziców chrzestnych zaproszono najbliższych sąsiadów, bowiem nie było wtedy w modzie, aby funkcję taką powierzać członkom najbliższej rodziny. W czasie podniosłej uroczystości, odbywającej się zgodnie z wszelkimi kanonami obrządku bizantyjskiego, mała panienczka otrzymała starosłowiańskie imię *A n a s t a z j a*¹.

Mała Anastazja, czyli Nastia, jak wszyscy na nią mówili, chowała się dobrze. Szybko zaczęła nawiązywać kontakt z najbliższymi i światem zewnętrznym. Włoski ciemne, dosyć wysokie i wypełnione czoło, oczy przenikliwe i nieco głęboko osadzone, nos lekko wydłużony, na końcu jak u orla, nieznacznie przegięty w dół, usta umięśnione, szerokie i z lekko opadającymi kącikami – wszystko to stwarzało swoistą harmonię i powodowało wrażenie, że w dziecku drzemie inteligencja i przejawia ono zainteresowanie całym otaczającym go światem. Wszyscy polubili więc małą Nastię i chętnie bawili się z nią. Oczywiście, najbardziej zainteresowana była siostrzyczką starsza o dwa lata Hania. Szybko więc pomiędzy dziewczynkami nawiązała się więź i, kiedy dorośli niekiedy ponad miarę zajęci byli pracą, one pozostawały razem, zajmując się sobą i różnymi przedmiotami je otaczającymi. Obie ciągle rozglądały się za sobą, co było korzystne nie tylko dla nich samych, ale również dla rodziców, którzy po niedługim czasie nie musieli tak dużo uwagi poświęcać tym małym istotom.

Minęło nieco ponad rok, a Paraska ponownie zaszła w ciążę. Latem 1906 roku urodził się Mateusz, pierwszy chłopak w rodzinie i zarazem wielka nadzieja na przyszłość. Od tej pory uważano bowiem, że będzie już następca właściciela gospodarstwa, a jednocześnie gwarancja zachowania nazwiska rodowego. Kilkanaście miesięcy później, jesienią 1907 roku na świat przyszedł następny syn, któremu na imię dano Mikołaj.

Teraz pracy było już więcej, bo i dzieci już była gromadka, a gospodarstwo też rozrosło się, gdyż nadarzyła się okazja dokupienia, za pieniądze pochodzące z niewielkiego posagu Paraski, nieco ziemi, położonej w pobliżu dotychczasowej ojcowizny. Przybyło więc też cokolwiek bydła i owiec, a i stado ptactwa przydomowego powiększało się, zwłaszcza, że nie brakowało paszy na jego wykarmienie, bo młyn pracował dosyć często i miarki² w

¹ W dosłownym tłumaczeniu z języka greckiego imię to oznacza „ta, która cierpi” (...!).

² Terminem „miarka” określano część zboża, jaka należała się młynarzowi za jego przemienienie; była to najczęściej dziesiąta część przetworzonego produktu.

związku z tym były większe. Przerwy w mieleniu zdarzały się tylko z powodu małych stanów wody. Tak więc, od pogody w jakiejś mierze uzależniony był dostatek rodziny Chyrów.

Życie toczyło się utartym trybem. Teraz, chociaż rodzina była dosyć liczna, gdyż liczyła już osiem osób – dwoje dziadków, Jan z Paraską i czworo dzieci – łatwiej było zapracować na utrzymanie, bo było na czym pracować, a siły roboczej również nie brakowało. Dzieci stawały się coraz większe. Starsze córki powoli zaczynały być przydatne w pracy – głównie w pilnowaniu młodszych dzieci i w niektórych pracach przydomowych. Im dzieci stawały się starsze, tym rodzicom łatwiej było się zająć pracą polową i innymi obowiązkami. Zresztą we wszystkich tych obowiązkach bardzo pomocni byli dziadkowie, którzy znajdowali się jeszcze w sile wieku.

Wioska tętniła pełnią energii. W zasadzie prawie wszystkie gospodarstwa były samowystarczalne pod względem zaspokajania swoich podstawowych potrzeb – nie tylko uprawiano rośliny i hodowano zwierzęta, ale też wytwarzano we własnym zakresie różne dobra, składające się na kulturę materialną tutejszych mieszkańców. Głównie w okresie od późnej jesieni do wczesnej wiosny wyrabiano wozy, sanie, uprzęż na konie i woły, przedzę, tkaniny i takie przybory jak stępki do kaszy, prządki, faski, dzieże do ciasta, żarna, zwarki oraz narzędzia: widły, cepy, grabie, oprawiano młotki, kosy, sierpy oraz wiele innych przyrządów i narzędzi. Wszystkie te przedmioty przedstawiały sobą wysoki kunszt rzemieślniczy, nacechowany tradycją i, można byłoby rzec, miejscowym wzornictwem. W wykonywaniu wielu czynności pomagano sobie wzajemnie, nie licząc zbytnio skrupulatnie kto, komu, ile pomagał i ile czasu za tę pomoc powinien odrobić.

Współpraca ta sprzyjała nawiązywaniu wzajemnych kontaktów i zażyłości towarzyskich. Zazwyczaj bywało tak, że gdy jedni wykonywali jakąś pracę w zespole, na przykład przędzenie, tkanie, czy ciosanie wyrobów drewnianych, to drudzy towarzyszyli im przy tej okazji i tak powstawało swoiste towarzystwo. Schadzki te stanowiły sposobność do spotkań młodzieży, podczas których żartowano, śpiewano piosenki i flirtowano. Starsi natomiast opowiadali o dawnych dziejach, popisywali się znajomością wierszy i wysłuchiwali opowieści ludzi, którzy bywali w świecie. We wsi zawsze było kilku takich, którzy powracali z podróży do Ameryki, z Francji, Niemiec czy też krajów południowoamerykańskich. Ludzie najczęściej opowiadali o zdarzeniach z własnego przeżycia, ale też często powtarzali opowieści zasłyszane od innych lub pochodzące z dalekich terenów. Przeplatały się więc wątki i często zdarzenia prawdziwe mieszały się ze zmyśłowymi, przy czym sami autorzy gawęd często zatracali granice pomiędzy prawdą a fikcją.

Jednym z częstszych tematów przejawiających się w opowiadaniach były zdarzenia na styku świata rzeczywistego i duchowego. Świecie wierzone

nie tylko w obcowanie duchów pomiędzy ludźmi żyjącymi, ale zdawałoby się, że niemal każdy z opowiadających autentycznie przeżywał takie, niewytłumaczalne zjawiska, miał spotkania z osobami spośród krewnych lub znajomych, które dawno odeszły z tego świata, a już na pewno każdy znał kogoś, kto takie zdarzenia sam przechodził. W ten sposób wytwarzał się stereotyp takich zająć i krążyło wiele rad na temat, jak przeciwdziałać szkodliwemu wpływowi duchów, czarom, rzucaniom uroków i złym zaklęciom.

Atmosfera taka wytwarzała powszechną zgrozę, zwłaszcza wśród dzieci i ludzi młodszych, mniej odpornych na stresy. Nikt więc nie miał wątpliwości o prawdziwości tych zdarzeń, a nawet jakby obyto się z egzystencją świata duchów, a mądrość życiowa polegać miała na tym, aby nie wdawać się w kolizję z tymi, co przychodzą z zaświatów. Bywały zdarzenia, że uporczywe nawiedzanie rodzin przez dusze wcześniej zmarłych osób stanowiło wielkie utrudnienie w życiu codziennym. Wtedy zwracano się do miejscowych lub pochodzących z sąsiednich miejscowości egzorcystów i zaklinaczy.

W takiej to atmosferze wychowywała się nasza mała Nastia. W czasie swojego wyrastania na dziewczynkę nie miała możliwości czerpania wiadomości o świecie ze szkoły, bo takiej natenczas jeszcze w Przybyszowie nie było. Młody umysł chłonał więc, jak mógł, informacje przekazywane z ust do ust podczas różnorodnych spotkań towarzyskich, w tym poważną część stanowiły przeżycia z pogranicza świata realnego i duchów. Zapamiętywała nie tylko atmosferę wytwarzającą się wokół tych opowiadań, ale w pamięci jej utkwiło również wiele faktów z tym związanych. Głośno było na przykład o pewnej niewieście o imieniu Tekla, zmarłej w średnim wieku, która jakoby uporczywie nie mogła pogodzić się ze swoim odejściem, albo nie spełniła do końca przypisanych jej powinności, jakie miała do wykonania na tym świecie i systematycznie pojawiała się we własnym domu, przy czym jej obecność, poprzez różne psoty, stawała się wielce dokuczliwą, a nawet niebezpieczną dla domowników. Modlono się więc za jej duszę, jak to przykazywał ksiądz proboszcz, odprowadzano msze i ściągano egzorcystów. Efektów jednak żadnych nie było, a wręcz odwrotnie – wyrządzane krzywdy powtarzały się i stawały się coraz bardziej dokuczliwe.

Podczas jednych ze spotkań wieczornych uradzono, że należy podjąć działania ostateczne, które z pewnością przyniosą oczekiwane efekty.

– Słuchajcie chłopcy – podsłuchiwała rozmowę mała Nastia, – nie ma co już dłużej czekać. Musimy zrobić z tym porządek.

– Tylko jak? – odezwał się drugi sąsiad. – Wszystkiego już próbowaliśmy. Nie wiem, co jeszcze można zrobić!

– Jest tylko jedno wyjście – odpowiedział ten pierwszy. – Musimy ją odkopać, odciąć głowę i położyć pomiędzy kolana, a do serca wbić osikowy kołek. Tak zawsze ludzie robili, gdy nie można było inaczej zaradzić.

Wszyscy zamilkli. Nastia poczuła, jak przez całe jej ciało przeszła masa mrówek. Widziała już kilka pogrzebów i ludzi modlących się na grobach, ale że zmarłego człowieka można odkopywać i jeszcze wyprawiać z nim takie rzeczy, to przerastało jej wyobrażenia.

Po chwili milczenia i kilku głosów sprzeciwu, ustalono, że nie ma co zwlekać i czynność tę należy wykonać jak najwcześniej.

– Zaczniemy jak tylko się rozwidni, ażeby nie było zbiegowiska. Gdy rano ludzie powychodzą z pościeli, to będzie już po wszystkim.

Ustalono jeszcze, że wszyscy przyjdą z łopatami, wyznaczono kto ma wyciosać osikowy kołek i rozeszli się. Nastia w tę noc prawie w ogóle nie spała. Nad ranem słyszała, jak dziadek zwlekał się ostrożnie z posłania, aby nie pobudzić domowników i wyszedł z *chyży*. Gdy zamknęły się za nim drzwi, również ona wstała po cichutku, przyodziała się trochę i poczłapała w stronę cmentarza. Po drodze słyszała, jak tu i ówdzie rozlega się pianie kogutów i śpiew porannych ptaszków. Znad góry Werszok zaczynała wyłaniać się krwawa tarcza słoneczna. Dziewczynka stanęła przy ogrodzeniu cmentarza – w pobliżu, gdzie zebrała się już grupka mężczyzn. Ci zrobili znak krzyża nad kopcem grobu i wzięli się za jego rozkopywanie. Pracowali bez przerwy na zmianę i po krótkiej chwili widać było jak rośnie kupa wyrzucaanej na zewnątrz grobu ziemi. Po jakimś czasie Nastia słyszała głuchoe odgłosy tupania po dnie trumny i dochodzące z grobu głosy.

– Nie masz jej tutaj, wiedźma nie wróciła jeszcze z nocnej wyprawy – odezwał się głos z wnętrza wykopanej jamy.

– Jak to jej nie ma? – zawołał ktoś spośród stojących u góry.

– A tak to, nie ma! – odpowiedział ten z dołu i ponownie dał się słyszeć stukot męskich butów o dno trumny.

– Ona na pewno siedzi na tej, oto topoli – odezwał się głos męża zmarłej Tekli. – Jeszcze nie wróciła do grobu. Musimy odejść, aby jej nie przeszkadzać, przyjdziemy tu za jakiś czas, gdy ona już powróci i zrobimy swoje.



Opisywana scena przypuszczalnie odbyła się w tym miejscu. Zdjęcie starego cmentarza w Przybyszowie wykonano w 2004 r.

Nastia rozejrzała się wkoło. Oblediał ją dziwny strach, a gdy spojrzała w górę, uświadomiła sobie, że właśnie stoi pod topolą. I chociaż nie wiedziała

czy chodzi właśnie o tę topolę, przeraziła się okropnie, bowiem nie chciała widzieć jak nieboszczka będzie schodziła z drzewa. Pobieгла więc czym prędzej do domu i schowała się pod pościel. Skulona, zmarznęta i niewyspana, drżała cała i majaczyły się jej różne maskary. Nie wiedziała, czy spała trochę do czasu, gdy rozbudził ją odgłos powracającego do domu dziadka.

Po kilku dniach znowu przebudziły ją hałasy nad ranem. Gdy się już ocknęła na dobre, zauważyła, że w głównej izbie siedzą mężczyźni odziani w czarne ubrania z naszywkami, a w rękach trzymają karabiny. Rozmawiali między sobą po niemiecku. Po chwili z drugiej izby wyszedł ubrany dziadek, związali mu ręce i wyprowadzili. Gdy Nastia wyjrzała za dziadkiem, zauważyła, że na podwórzu stoi więcej ludzi ubranych w czarne mundury, którzy ustawili w rząd pięciu sąsiadów, a pośród nich jej dziadka i poprowadzili traktem w stronę Karlikowa. Gdy już odeszli za wzgórze, w chacie rozległ się lament babki.

Aresztanci wrócili po miesiącu. Opowiadali, że przez ten czas siedzieli w więzieniu we Lwowie. Tam przeprowadzono przesłuchanie, odbył się nad nimi sąd za czyn polegający na profanacji zwłok i sprowadzenie zagrożenia sanitarnego, po czym wypuszczono ich z nakazem zapłacenia dużej kary lub odpracowania pięćdziesiąt dni szarwarku¹. Potem rozpowiadano sobie, że spotkała ich wielka krzywda, bo w przeszłości odkopywanie zmarłych i wyczynianie na nich różnych praktyk nie należało do rzadkości, a im się akurat nie poszczęściło, bo zapewne ktoś na nich naskarżył do *szandarów*². Od tej pory nie było już słyhać o podobnych wyczynach nad odstraszeniem duchów, chociaż opowieści o nich nie malały i dzisiaj już nikt nie wie, które z nich były prawdziwe, a które powstały tylko w wyniku ludzkiej wyobraźni. Tak czy inaczej, spraw tych nie lekceważono również i w przeszłości.

Zapomnieć o sprawach z pogranicza światów ludzi żywych i umarłych w tamtych czasach było nie sposób, ponieważ śmierć ocierała się o każdą rodzinę zbyt często, a wolnych miejsc na cmentarzu ubywało z każdym tygodniem. Może dlatego ludzie w ten swoisty sposób przedłużali jakby kontakt z osobą, która odeszła już na zawsze.

Właśnie niebawem stało się tak, że w rodzinie Chyrów również odeszła jedna osoba. Mały Mateusz nie zdążył jeszcze skończyć w pełni pięciu lat, gdy nagle zachorował i po kilku dniach leżenia w dużej gorączce, szukaniu pomocy u wszystkich kobiet wykonujących masaże i stosujących napary z ziół, a nawet zamawiających choroby na wszystkie sposoby, zamknął swoje oczęta na zawsze, pograżając w wielkim smutku całą rodzinę. Odeszedł bezpowrotnie syn pierworodny, chluba i nadzieja rodziców. Siedmio-

¹ Przymusowa praca na cele społecznie użyteczne w ramach płaconego podatku lub wykonywana za karę.

² Żandarmów

letnia wtedy Nastia to tragiczne wydarzenie przeżywała na równi, a może nawet bardziej niż domownicy dorośli. Jeszcze kilka dni wcześniej bawiła się z nim i pomagała mu w wielu sytuacjach, a dzisiaj leżał już martwy na ławie ustawionej po środku izby, nakryty białym płótnem, przy migocącym płomieniu woskowej świecy. Pogrzeb odbył się już na drugi dzień. Po zakończeniu uroczystości żałobnej Nastia nieśmiało żywiła nadzieję, że tak jak inne duchy przychodziły w opowieściach różnych ludzi, tak i ona ujrzy ukochanego braciszka. Nic jednak takiego nie wydarzyło się, a jej pozostało jedynie zanieśnienie na grób bukietka z uzbieranych kwiatów polnych.

Rodzina Chyrów (czyli Tychani, jak mówiło się według miejscowego zwyczaju) pomniejszyła się nie na długo, bowiem już w pół roku później można było zauważyć, że Paraska nabiera bardziej okrągłych kształtów. Z początku wydawało się, że to odpoczynek od ciężkiej pracy, której w okresie zimowym było zawsze mniej, powoduje przybieranie na cieple, ale gdy wyraźnie owo zaokrąglenie stawało się większe w nad biodrami i coraz częściej rozglądała się za bardziej wytrawnym pożywieniem, nikt już nie miał wątpliwości, że niebawem rodzina ulegnie liczebnemu powiększeniu. Tak więc, pod koniec lata 1912 roku przygotowywano się do kolejnych chrzcin. Chłopcu dano na imię Andrzej – mówiono, że na pamiątkę apostoła, założyciela kościoła chrześcijańskiego na wschodzie.

Chłopiec chował się dobrze. Podrastały również starsze dzieci, to znaczy dziesięcioletnia Hania, Nastia, która miała już osiem lat i młodszy od niej o trzy lata Mikołaj – razem czwórka małych jeszcze, ale za to dorodnych pociech. Coraz gorzej natomiast czuli się dziadkowie. Stary Teodor niemal w oczach podupadał na zdrowiu. Był skłonny do przeziębień i cierpiał na różnego rodzaju inne schorzenia. Bywało, że przeleżał niekiedy w łóżku znaczną część zimy.

W gospodarstwie było, jak zawsze, dużo roboty, lecz korzyści z tego wyciągano niewiele. Nie zawsze plony były takie, jakich oczekiwano, a ponadto były kłopoty ze sprzedażą produktów. Towarami zazwyczaj handlowali Żydzi, którzy w sytuacjach kryzysowych umieli trzymać ceny na poziomie korzystnym tylko dla siebie. Podatki należało płacić w myśl zasady, że co cesarskie, to należy oddać cesarzowi, a na monetach właśnie były odbite wizerunki Jego Cesarskiej Mości *Franza Josefa*. A więc i podatki coraz większe szły do austriackiego rządu, który zawsze miał duże wydatki. Armie przecież należało szykować do wojny, bo zatargi z sąsiednimi krajami były częste, a w ogóle na świecie robiło się coraz bardziej niespokojnie. Narody podporządkowane Cesarstwu Austro-Węgierskiemu wcale nie chciały na zawsze być poddanymi i przy każdej nadarzającej się okazji podnosiły głowę, szukając możliwości uzyskania wolności. Armia w takiej sytuacji musiała więc być czujna i dobrze wyposażona, co kosztowało wiele nakładów finansowych. Od zawsze wiadomo, że gdy rządy chcą zwiększyć

swoje dochody, to najłatwiej pieniądze znaleźć w kieszeni ludzi najuboższych. Tak też było i tym razem.

Podatków nie było z czego płacić, pieniądze były potrzebne na utrzymanie rodziny, a do tego zawsze jakiś *greizar*¹ należało trzymać na czarną godzinę. Dochody z młyna nie zawsze były wystarczające na te wszystkie wydatki, bo w cięższych czasach to i ludzie niezbyt ochoczo przywozili zboże na przemiał. Myślał więc pocziwy Jan, jakby to można przysporzyć co nieco dochodu, a niekiedy podejmował na ten temat rozmowę:

– Wiesz, Parasko, pracujemy ciężko, a pieniędzy u nas nie widać. Podatki musimy płacić wysokie, dzieciom trzeba kupować obuwie na zimę i skąd tu na to wszystko brać. Sprzedać cokolwiek ciężko, a jak się już coś trafi, to pieniądze z tego są nijakie. Żydzi nie pozwolą *grajcara* przysporzyć. Ludzie w młynie coraz rzadziej mieli, bo każdemu szkoda miarkę odsytać. Wolą na żarnach się męczyć i czarne pierogi jeść.

– Tak, to prawda. Kiedyś było łatwiej żyć. Teraz pieniędzy jest mało i nie wystarcza na wszystko. Ale trudno, musimy jakoś wytrzymać. U innych to nawet na sól brakuje, a my jakoś, Bogu dziękować, dajemy sobie radę.

– Ludzie potrafią pieniędzy dorobić i potem jest im lżej – westchnął Jan.

– A w jaki sposób tu dorobić? Przecież pracujemy wszyscy ciężko i nic więcej nie da się już zrobić.

– Oj, dałoby się... Tylko trzeba by ruszyć się z domu – przerwał Jan. – Zobacz ile ludzi wyjeżdża do *Hameryki*, do *Rungwaju*, czy do innych krajów. Tam popracują, przywożą pieniądze i potem jest im lepiej.

– Tak? Ty mi teraz mówisz o *Hameryce*, kiedy czwórka dzieci małych w domu i rodzice są już starzy? Ojciec coraz słabszy, do roboty nie wychodzi, a ja sama co tu z tą dzieciarnią zrobić?

– Inne sobie dają radę to i ty jakoś wytrzymałabyś...

– A która to z tych, co są bez mężów, ma na głowie czworo dzieci i dwoje starców? Ani mi się waży tak myśleć! Patrzcie go, podróżnik się znalazł! – wykrzyknęła Paraska i wyszła z izby.

Jan zamyślił się, przysiadł przy piecu, nabił fajkę i drzazgą przypaloną w palenisku pieca zapalił tytoń. Siedział tak przez dłuższy czas, a potem naciągnął czapkę na oczy i poszedł robić porządek w młynie.

Minęło kilka tygodni. Wiosna w roku 1913 przyszła znacznie wcześniej niż zwykle. Ludzie więc, jak mrówki, wyszli na pole przygotowywać ziemię pod zasiewy. Wszędzie było słychać świsty batogów i pokrzykiwania na woły i konie: *wie, wišta, nazad, how!*. Przy każdym oraczu za końmi, czy wołami, biegali poganiacze. Były to zazwyczaj dzieci, które – nie chodząc do szkoły, bo jej we wsi nadal nie było – nie były obciążone nauką i w całości mogły poświęcać się pracy na gospodarstwie. Zresztą obawa przed utratą

¹ „Grajcar” - drobna moneta austriacka.

taniej siły roboczej była jedną z przyczyn zwlekania z podjęciem decyzji o budowie tej, koniecznej, placówki oświatowej.

– Tak, jak zrobimy szkołę, to kto będzie krowy pasł, albo woły poganiał? – odzywali się gospodarze na zebraniach, na których przedstawiciele administracji cesarskiej próbowali podjąć inicjatywę budowy. – Nie po to chowamy dzieci, aby potem do szkół je oddawać!

Tak więc, dzieci w Przybyszowie nie były zajęte nauką, a głównym ich zadaniem była pomoc w różnych pracach gospodarskich. W domu Tychani (czy Chyrów – jak kto woli) jedenastoletnia Hania najczęściej zostawała w domu, pomagając matce przy obrządku inwentarza. Młodsza natomiast o dwa lata Nastia bardziej zżyta była z ojcem i wołała asystować mu przy jego pracach związanych z majstrowaniem. A gdy nadeszła pora prac polowych, zadaniem Nastii było poganianie koni podczas orki i przy innych czynnościach polowych.

Zawsze prace związane z przygotowywaniem pola do zasiewów zachodzą w okresie wiosennym. Tak się złożyło, że w roku 1913 Wielkanoc według kalendarza juliańskiego przypadała na ostatnią niedzielę kwietnia. W tym czasie nie tylko zwierzęta pociągowe, karmione głównie sianem i słomą, a pozbawione niemal całkowicie ziarna, były wychudzone i słabe, ale również ludzie, odżywiający się według wielkopostnej diety, byli osłabieni. Trwający niemal osiem tygodni post najbardziej odbijał się na kondycji dzieci i nic dziwnego, że kiedy przyszło wyjść na pole, nie miały one wytrwałości do wykonywania całodziennej, mozolnej pracy.

– Tatku, ja już nie mam siły chodzić z wami za końmi – mówiła nieraz mała Nastka. – Chce mi się jeść.

– Przecież mama dali ci do *jaszczyka meryńde*¹ – przypomniawszy ojciec.

– Tak, mamcia dali mi suchego chleba – odpowiedziała Nastia. – Zjadłam go i dalej jestem słaba.

– Trochę odpoczniemy – odrzekł ojciec i sam przysiadł na pługu.

Gdy powrócili do domu, Jan powyprzęgał konie i wszedł do izby.

– Parasko, a Nastii, gdy będzie ze mną szła na pole, to do *jaszczyka* nałóż nie tylko samego chleba ale daj jej też masła i sera! Przecież naskładałaś tego przez post już całą faskę. Niech dziecko je, bo nie ma siły chodzić cały dzień za końmi. Jeszcze mi tam całkiem zesłabnie i co wtedy będziemy robić?

– Skończyła przecież już dziewięć lat i jest dosyć duża, ażeby pościć, tak jak wszyscy – odrzekła Paraska. – Już niedługo będą święta i post się skończy. Wtedy będzie jadła i ser i masło, a teraz nie musi grzeszyć. Lepiej sam byś tak nie gadał.

¹ Jaszczyk – drewniane pudełko, używane do noszenia żywności na pole; meryńda (łemk.) – kołacz, czyli posiłek przeznaczony do pożywienia się w drodze lub przy pracy.

– Oj, dałabyś dzieciom i masła i mleka. Kto to widział, żeby tak maleństwa głodzić – odpowiadał na to pocziwy Jan. – Jaki to grzech, jak trzeba dać dzieciom jeść.

Pogoda sprzyjała, a więc prace wiosenne zakończyły się wcześniej. Następnie świętowano uroczystie dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Zdawało się, że w ciągu wielkiego tygodnia modłom w cerkwi nie będzie końca. Najważniejszy i podniosły moment był wtedy, gdy nad ranem w niedzielę rozległ się donośny śpiew kapłana, *Chrystos woskres iz mertwych*¹, a następnie powtarzany chóralnie przez wszystkich wiernych *smertiju smert' popraw, isuszczemu w hrobi żywot drowaw*². Od tego momentu, aż do święta wniebowstąpienia, przy wszystkich powitaniach pozdrawiano się słowami:

– *Chrystos woskres!*

– *Woistynno woskres*³ – odpowiadali ludzie.

W kilka dni po świętach wielkanocnych⁴ ojciec Nastii, gdy już wszystko porobił w polu, skoro świt wybrał się do pobliskiego miasteczka – Bukowska. Zabrał ze sobą trochę produktów na sprzedaż, głównie zboża, które w nadmiarze pozostawało z zapasów zimowych, wełnę owczą i jednego tuczniaka. Nie było go cały dzień, a gdy powrócił, podarował dzieciom trochę słodczy i zawołał do małżonki:

– Patrz Paraniu, przywiozłem ci trochę zapasów – poinformował ją, zdejmując z wozu worek cukru, dwa worki białej mąki pszennej, kilkanaście kilogramów suszonych śliwek i dwie brzozone miotły.

– A po cóż tyle tego nakupiłeś? Pewnie wydałeś wszystkie pieniądze! – wykrzyknęła Paraska.

– Kupiłem trochę rzeczy, aby ci starczyło na dłuższy czas, a pieniędzy wszystkich nie wydałem. Masz tu, tyle mi zostało – odrzekł Jan, wręczając Parasce kilka banknotów.

– Dlaczego mi dajesz pieniądze? Trzymaj je razem ze wszystkimi – odrzekła.

– A weź i schowaj je, żebym nie zgubił.

Minęło kilka dni, a Jan wieczorem, po zakończonej pracy, kazał przygotować sobie ciepłej wody, umył się i poprosił o czystą bieliznę.

– Wiesz Parasko, jutro z samego rana muszę znów pójść do Bukowska. Mam jeszcze w gminie sprawę do załatwienia, coś z podatkiem od młyna kazali mi wyjaśnić.

¹ dosłownie: Chrystus wskrzeszony został spośród martwych (ukr.)

² Śmiercią śmierć zwyciężył, będącemu w grobie życie podarował (z języka starocerkiewno-słowiańskiego).

³ Chrystus zmartwychwstał. Prawdziwie zmartwychwstał (ukr.)

⁴ Mówiąc po polsku o świętach wielkanocnych w obrządku bizantyjskim, może bardziej poprawne byłoby określenie święta „wielkodzielne”, ponieważ w języku ukraińskim nie mówi się „Wielkanoc” lecz „Wetykdeń”, czyli wielki dzień.

Rano wstał skoro świt, ubrał się w odświętne ubranie, zjadł śniadanie, zabrał tobolek i szykuje się do wyjścia.

– Dlaczego nie weźmiesz koni? Chyba nie pójdziesz pieszo? – zapytała Paraska.

– Jedzie Michał od Sasa, to zabiorę się z nim, aby po próżnicy nie pędzić koni. A ty doglądaj gospodarstwa i dzieci, żeby nic im się nie stało – odrzekł Jan i, jak mało kiedy, ucałował żonę w policzek. Ja niedługo wrócę.

– Idź z Bogiem – odpowiedziała Paraska.

Dzień minął na bieżącej pracy. W domu, jak zwykle, było wiele do roboty. Pod wieczór, gdy wszystko, co należało na ten dzień, było już zrobione, Paraska zauważyła, że Jan coś długo nie wraca z miasteczka. Poszła więc do Sasa, który mieszkał po sąsiedzku, trzy zabudowania w górę wiozki, po tej samej stronie rzeczki, zapytaniem, czy Michał już wrócił i dlaczego nie ma w domu jeszcze jej Iwana. Na podwórzu spotkała krzątającą się w obejściu żonę gospodarza, a pod stodołą, jak zawsze, stał wóz konny.

– Dlaczego tu stoi wóz? – zapytała Paraska gospodynię.

– A dlaczego nie miałby stać? – zdziwiła się Sasowa.

– Bo przecież Michał pojechał z moim Iwanem do Bukowska, a jego jeszcze nie ma w domu. Czy twój już wrócił? A gdzie podział Iwana?

– Michał wrócił już w południe, a teraz jest z końmi na polu – odpowiedziała zdziwiona sąsiadka. – O, właśnie wraca – wskazała w stronę drogi, która prowadziła z tak zwanych *Perekopów*.

Polną drogą zmierzał właśnie ku zabudowaniom Michał Sas, idąc pomiędzy dwoma końmi, które trzymał za kantary.

– Ty już wróciłeś z Bukowska i jesteś w domu? A gdzie zostawiłeś Iwana? – spytała zadziwiona Paraska.

Sąsiad w milczeniu zaprowadził konie do stajni, uwiązał je do żłobu i po chwili wyszedł. Powoli nabijał fajkę, spoglądając na przybyłą na jego podwórko sąsiadkę.

– Ja wcale nie byłem w Bukowsku, tylko w Kulasznm, na stacji kolejowej...

– Jak to, w Kulasznm? Przecież mój mówił, że jedziecie do Bukowska – przerwała mu Paraska.

– Słuchaj Parasko. Mam ci coś ważnego do powiedzenia, tylko, proszę cię, bądź spokojna.

– Co się stało z Iwanem? Mów szybko – z zaniepokojeniem ponaglała Chyrowa.

– Z Iwanem nic się nie stało. Jest cały i zdrowy. Możesz być spokojna. Kazał ci pozdrowić i przeprosić, że o niczym ci wcześniej nie powiedział.

– Ale gdzie on jest?

– On wybrał się daleko. Pojechał do *Hameryki*. Mówił, że wróci, jak tylko zarobi trochę pieniędzy.

– Jak to... do *Hameryki*? – wyjąknęła Paraska i przysiadła z wrażenia na stojącym nieopodal pieńku do klepania kosy.

– Tak, pojechał do *Hameryki* – powtórzył Sas. – On dawno o tym myślał, ale bał się tobie o tym powiedzieć, bo wiedział, że go nie puścisz. Nie martw się, on tam długo nie będzie. Może parę lat. Zarobi trochę pieniędzy i wróci. A potem będziecie już lepiej sobie żyć. Będzie lżej tobie i twoim dzieciom.

Zmartwiona kobieta posiedziała chwilę na pieńku, wstała i poczłapała na uginających się kolanach w stronę domu. Na niebie zaczynało już zmierzchać.

Gdy powróciła do domu, zaczęła lamentować od progu:

– Boże, Boże, Boże... Ale mnie urządził! Jak złodziej jaki uciekł po kryjomu z domu! Co teraz wszyscy będziemy robić? Czworo dzieci, dwoje starych ludzi i ja sama z nimi...

– Co się stało, Paraniu? – zawołała stara Oksana, teściowa Paraski.

– Jak to „co się stało”? A wy pewnie o tym nie wiedzieliście? Uciekł z domu, jak złodziej jaki i nas wszystkich zostawił. *Hameryki* mu się zachciało! Tak, jakby tu nie było co robić! – lamentowała Paraska.

– Cicho, nie płacz – uspokajała teściowa. – Przecież samej cię tu nie zostawił. My też tu jesteśmy. Jakoś wspólnie obrobimy gospodarkę. Kupił ci przecież, co trzeba – masz mąkę, cukier, śliwki i jeszcze miotły brzozone. W spiżarni jest też cała donica odłożonego sera z masłem, jest olej. Niczego nam tu nie zabraknie. Nie masz czego płakać. W młynie ojciec jeszcze potrafi zrobić, a dzieci w polu pomogą. Ja w obejściu też dopilnuję. Nie masz co płakać – powtórzyła stara Oksana.

– Tak, nie mam co płakać! Mam mąkę, cukier, śliwki i jeszcze dwie miotły brzozone! – z ironią w głosie powtórzyła Paraska. – Lepiej znajdę brzozę, z której tę miotłę zrobili i sama się na niej powieszę.

– Powieś się, powieś! A kto ci dzieci będzie wychowywał? – zauważył ze stoickim spokojem stary Teodor, siedzący dotąd cicho na zapiecku.

– Lepiej spytajcie o to swojego syna – odburknęła Paraska. – On się nie martwi o to, kto będzie dzieci wychowywać.

Nastia przysłuchiwała się tej dziwnej rozmowie i jakby niezupełnie docierała do niej wiadomość, że ojciec ich opuścił i pojechał daleko, na drugi koniec świata, nie wiadomo jak długo tam będzie i czy w ogóle wróci. Wiedziała, że wiele osób ze wsi i okolicy wyjechało do Ameryki i do innych krajów i zarabiają tam pieniądze, ale nie za bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co to znaczy być bez ojca, nie mieć oparcia w ciężkich chwilach. Nie wiedziała też, jak ciężko może być pracować na utrzymanie całego gospodarstwa samotnej kobiecie z czwórką małych dzieci i dwojgiem starszych ludzi.

Nadeszła pora do odpoczynku nocnego. Dziadek z babką pozostali w izbie ogólnej i ułożyli się do snu – jedno na ławie, a drugie na stygnącym piecu. Parska natomiast zabrała ze sobą dzieci i udała się do drugiej izby. Przytuliła do siebie obydwu chłopców – Mikołajka i Andrzejka, a dwie siostry położyły się razem na drugim posłaniu. Chłopcy posnęli szybko, nieświadomi tego, co nastąpiło. Za to Nastia długo słyszała ciche i żalosne łkanie matki, aż jej samej było okropnie żal – nie tak ojca, który niespodziewanie odjechał, ale bardziej matki, która, mocno zmartwiona, przeżywała tę nową sytuację. Sama też nie mogła długo usnąć, a gdy zauważyła, że siostra też nie śpi, naciągnęła mocno pierzynę na jej i swoją głowę i cichutko, szepcząc jej do ucha, zapytała:

– Haniu, nie spisz?

– Nie – odpowiedziała jej starsza siostra.

– Czemu mama tak mocno płaczą? Przecież tatko wróć. Prawda, że wróć?

– Tak, wróć – odpowiedziała Hania, – ale mama płaczą, bo tatko nie powiedział jej, że jadą. A teraz boi się, że nie damy sobie radę z całym gospodarstwem. Kto nam wszystko teraz będzie robić? Dziadzio już stary, a babcia słaba. Ja też się boję – dodała po chwili Hania, rozplakała się i mocno przytuliła do Nastii.

Dopiero teraz małej Nastce również zrobiło się smutno, że taty nie będzie, a oni będą sami i nie poradzą sobie ze wszystkim. Leżały tak, obie rozżalone i wylęknione, przez dłuższy czas, aż wreszcie w późną noc usnęły.

Spały przerywanym i męczącym snem, a gdy już dobrze rozwidniło się, usłyszały głos mamy, która nakazała im wstawać, ubierać się i pomagać przy pilnych pracach, jakie każdego rana były do wykonania w każdym gospodarstwie. Po wykonaniu najważniejszych porannych obowiązków, Paraska rozpałała w piecu, przygotowała posiłek dla całej rodziny, obudziła i ubrała chłopców, a następnie razem z teściem zaczęli ustalać jakie czynności są najpilniejsze w gospodarstwie i w jaki sposób mogą je wykonać. Wspólnie uzgodnili, że jak najszybciej należy zakończyć sadzenie ziemniaków, a następnie wziąć się za inne rośliny okopowe, takie jak brukiew, kapusta i buraki, a potem zadbać o wszystkie warzywa, aby nie zabrakło jedzenia na zimę. W cięższych pracach polowych rodzina Chyrów, podobnie jak inne, musiała korzystać z pomocy sąsiadów. Za pomoc taką oczywiście należało odpracować, co powodowało dodatkowe obciążenie pracą i tak już zaharowanej Paraski.

Tak minęła wiosna i zbliżyło się lato. Teraz największym zadaniem było zebranie w porę zbóż, które jest w każdym gospodarstwie podstawą wyżywienia. Ponieważ koszenie tradycyjnie odbywało się przy użyciu prawie wyłącznie sierpów, do prac żniwnych konieczne było wynajęcie kilku ko-

biet, które systematycznie, dzień po dniu, zmniejszały łany stojącej pszenicy, owsa i jęczmienia. Ustawianiem snopków w kopy, opierające się na ostro zaciosanych i wbitych w ziemię kołach, zajmował się dziadek z babką, a pomagały im przy tym obie dziewczynki. Potem, po przesuszeniu zboża, powoli zmagano się ze zwożeniem snopków do stodoły. Problemem w tym terenie było niedopuszczenie do wywrócenia się fury na stromych, a niekiedy nawet skośnych zjazdach. Bywały przypadki, że dla uchronienia przed katastrofą należało hamować wóz, wkładając w szprychy kół grube drągi lub przewijając je łańcuchami. Na szczęście, pole Tychani nie było pod tym względem zbyt uciążliwe i dosyć sprawnie uporano się z pracami żniwnymi. Teraz, kiedy całość zboża była złożona już w sásiekach, minęła obawa, że może zabraknąć na chleb dla rodziny lub na paszę dla chudoby.

– Teraz mamy już pod dachem wszystko, co Iwan posiał – mówiła Paraska. – Jesienią będziemy zbierać to, co sami posadziliśmy, ale wtedy już nie będzie strachu, że nam zamoknie. Jak Bóg pozwoli, to następne zboże już sami będziemy siać, chyba, że Iwan do tej pory powróci. Nie wiem, czy my to wszystko potrafimy zrobić – dodała po chwili.

– Nie martw się, Paraniu – odpowiedział Teodor. – Zrobiliśmy tyle, zrobimy i jesienią, i na wiosnę. Przecież ja tu z matką jesteśmy i siły jeszcze trochę mamy, a na robocie też się znamy. Nie martw się, dziecko – dodał ciepłym głosem i pogłaskał ją po głowie.

– Teraz, tato, musimy postarać się o drzewo na zimę, bo potem, jak wszystko namoknie, to będzie ciężko.

– Zrobimy i drzewo na zimę, nie martw się – uspokajał ją teść. – Żeby tylko Bóg dał zdrowie. A teraz musimy pomyśleć o wyrwaniu lnu, żeby było z czego płótno zrobić i oleju trochę natłoczyć.

Pod koniec lata listonosz pojawił się w zagrodzie, wołając od samego ogrodu:

– Parasko, przyniosłem wam list z Ameryki! Twój chłop napisał. Musisz potwierdzić, że ci doręczyłem.

– Dziękuję wam – odrzekła Paraska, stawiając niewprawną i spracowaną ręką trzy krzyżyki we wskazanym przez listonosza miejscu na papierze.

Schowała list za obraz, a gdy tylko zakończyła wszystkie najważniejsze prace na ten dzień, przyodziła się nieco i wybrała się do starego Mardaka, który prowadził sklep kilka zabudowań niżej, po drugiej stronie rzeki. Razem z nią z wielkim zaciekawieniem poszła Nastia.

– *Sława Isusu Chrystu.*

– *Na wiki sława* – odpowiedział stary sklepikarz. – Co cię sprowadza do mnie o tej porze, Parasko?

– A dostałam list od Iwana. Napisał z *Hameryki*. Proszę was abyście mi go przeczytali.

Mardak poczłapał w stronę komody, wyjął z niej okulary, przetarł rękawem, wziął list do ręki, obejrzał go z każdej strony i wymamrotał, jakby sam do siebie:

– Wysłany niecały miesiąc temu.

– Otwórzcie i przeczytajcie, co tam jest napisane – ponaglała Paraska.

Wziął nóż ze stołu, przyjrzał się uważnie, w którym miejscu naciąć, aby zbyt nie uszkodzić koperty i wyjął złożoną kartkę, zapisaną czarnym atramentem. Ze środka wyleciał na stół banknot pięciodolarowy.

– Mamo, patrz, pieniądze! – wykrzyknęła Nastka. – Takie same, jakie widziałam u Piotra Gułycza, jak otwierał list, co dostał z *Hameryki*.

– Cicho Nastio, nie przeszkadzaj.

Mardak odłożył banknot na stole, wziął list w obie ręce, przysunął go w stronę światła, które padało od lampy naftowej i zaczął czytać:

Droga Parasko. W pierwszych słowach mojego listu niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Piszę do ciebie z Ameryki, jestem zdrowy i o twoje zdrowie pytam. Proszę, nie gniewaj się na mnie, że wyjechałem niespodziewanie, ale wiem, że nie pozwoliłabyś mi na ten wyjazd, a ja chciałem zarobić trochę pieniędzy. Teraz myślę o tym, czy dobrze zrobiłem, bo tu wcale nie jest łatwo. Wam tam pewnie jest ciężko beze mnie, a ja tu też nie mam lekkiego życia. Robotę dostałem u farmera, co to gospodarzy może na więcej niż na stu morgach, ale oni tu mają maszyny i nie muszą wszystkiego robić rękoma, tak jak u nas. Pieniądze mi płaci, ale część muszę oddać za to, że u niego mieszkam i daje mi jedzenie. Nie wiem, czy długo tu jeszcze będę. Chcę zarobić dolarów, żeby oddać te, co pożyczyłem na drogę do Ameryki. Pewnie jeszcze jakiś czas tu będę, chociaż jest mi ciężko, bo oni nie rozumieją naszej mowy. Nie mogłem wcześniej napisać listu, bo wiesz, że ja pisać nie potrafię i musiałem znaleźć kogoś, kto chciał mi ten list napisać. Dbaj o siebie i o dzieci. Powiedz im, że ojciec do nich wróci. Pozdrów ode mnie ojca i matkę. Zostańcie z Bogiem. Twój mąż.

– Tyle tu jest tego pisania – rzekł na koniec stary Mardak, składając list.

– Bóg wam zapłać za przeczytanie. Teraz chcę was prosić żebyście mu odpisali.

– Dobrze odpiszę mu list. Przyjdiesz jutro, to będzie gotowy.

– Przyjdę. Napiszcie mu, że się już nie gniewam na niego, chociaż dobrze nie zrobił. Dzieci i dziadkowie są zdrowi, ale jest nam bardzo ciężko, bo roboty dużo i za pomoc muszę płacić obcym ludziom. On tam pieniędzy nie zarobi, a ja wydam więcej od tego jego zarobku. Niech wraca szybko, jak tylko będzie mógł. I niech go Bóg ma w swojej opiece.

Podziękowała raz jeszcze staremu za przysługę, pożegnała się, wzięła córkę za rękę i wyszły.

– Mamuniu, kiedy tatko wróć do nas? – zapytała Nastka.

– Tato wróć, ale jeszcze musimy poczekać. Przyjdzie nam na pewno samym przetrzymać.

Po powrocie do domu Paraska poinformowała teściów, że syn ich odezwał się w końcu, jest zdrowy i chce wrócić do domu, ale nie wiadomo kiedy i że o nich pamięta.

– Musimy sami zrobić całą robotę na jesień – zakończyła Paraska – i do zimy też trzeba nam się przygotować, bo drzewo na opał już się kończy.

– Tak, musimy dobrze się przygotować, żeby dzieci nie pomarły, a i my swoje stare kości musimy trochę wygrzać.

* * *

Chociaż było ciężko, wszyscy przetrzymali szczęśliwie. Na wiosnę znów było dużo roboty do wykonania. Z początku do pracy garnął się stary Teodor, ale sił miał coraz mniej i często musiał polegiwać w łóżku. Prosił więc, kogo mogli, o pomoc. Kilka razy przyszli do pomocy mężowie siostr Jana – Krawczyk z Przybyszowa i Ostaf z Karlikowa. Ale u nich samych też nie brakowało roboty, więc i pomocy za dużo okazywać nie mogli. Dlatego trzeba było często wynajmować odpłatnie obcych ludzi. Dla pokrycia tych kosztów należało szukać dodatkowych pieniędzy, a najłatwiej było je znaleźć wyprzedając część inwentarza. W ten sposób gospodarstwo zaczynało ubożeć.

Zapowiadały się więc ciężkie czasy. Na świecie robiło się coraz bardziej niespokojne. Na wiosnę 1914 roku ludzie powracający z odległych krajów lub zwolnieni z cesarskiej armii często opowiadali, że pomiędzy państwami powstaje wielka niezgoda. Austria, Rosja i inne kraje szykują się do wojny. Wielkie zamieszania wystąpiły w Serbii. Zwiększyły się więc zaciągi do wojska. Chłopów znów zobowiązano do większych podatków, a za uchylanie się od ich płacenia nakładane były dokuczliwe kary. Nierzadkie były przypadki grabieży¹ mienia za nieterminowe wywiązywanie się z nałożonych obowiązków.

Podolać wszystkim nałożonym obciążeniom ciężko było również rodzinie Chyrów, tym bardziej, że ceny na produkty rolne spadły, bo handlarze uprawiali na biedzie ludzkiej dochodową spekulację, a poza tym większość skupowanych produktów rolnych musiało przejść przez ręce Żydów, którzy mocno dbali o utrzymanie dobrych dla siebie cen. Do sprzedawania było coraz mniej, bo pod nieobecność w domu głównego gospodarza dorobek

¹ Terminem „grabież” określano zabór (egzekucję) rzeczy za niespłacone podatki lub inne należności. Urzędnicy dokonujący egzekucji mienia nazywani byli „grabusiami” lub „finansami”. Słowem „grabież” jeszcze w latach międzywojennych określano rekwirowanie na rzecz wojska środków transportowych, koni i innego wyposażenia.

zmniejszał się. Nie było też komu odrabiać nakładanych szarwarków. Dlatego z wielką nadzieją Parska oczekiwała powrotu męża zza wielkiej wody. Oczekiwały go zresztą również dzieci, zwłaszcza te starsze – Hania i Nastka, bo chłopcy przez rok przywykli do nieobecności ojca i zaczęli powoli o nim zapominać.

– Mamy coraz to większe długi – żaliła się do teścia Paraska. – Pewnie niedługo przyjdą „grabusie” i pozabierają nam krowy albo konie.

– Nie martw się, Parasko – pocieszał ją w takim przypadku stary Teodor. – Wszystko obsialiśmy i posadzili na polu. Niedługo przyjdzie lato i będziemy zbierać żniwo. Może coś wtedy sprzedamy i długi się zmniejszą.

– Do żniw jeszcze daleko i nie wiadomo co się nam urodzi i ile będziemy mogli sprzedać. A do tego patrzcie, jakie oni dają ceny... Nie wiem, czy wywiążemy się kiedyś z długów – wzdychała Paraska. – A tamten siedzi w swojej *Hameryce* i nic go nie obchodzi, że dzieci nie będą miały co jeść.

– Oj, pewnie go obchodzi, obchodzi... Tylko z *Hameryki* jest daleko i nie tak łatwo wrócić, bo to podróż dużo kosztuje, a i miejsce na okręcie trzeba znaleźć. Poczekajmy, na pewno wróci – odpowiadał Teodor.

Takie i podobne rozmowy często miały miejsce w domu Tychani. Paraska obawiała się, czy zdoła utrzymać czwórkę małych dzieci przy pomocy dwojga ludzi w podeszłym wieku, słabnących z dnia na dzień. Dziadek teraz już coraz częściej nie wychodził do żadnej roboty, a bywały dni, że i z łóżka nie wstawał.

– Co ci jest – pytała stara Oksana.

– Nic mi nie jest, tylko jestem słaby i jak wstanę, to w głowie mi się kręci – odpowiadał dziadek.

– Może trzeba iść po starą Teklę od Baka, ażeby ci brzuch wymasowała, albo jakieś okłady położyła? Może przesłoby ci od tego?

– Głupia babo, żadna Tekla mi nie pomoże. Nic mi nie jest, tylko słabym, trochę poleżę i mi przejdzie – odpowiadał Teodor.

I na tym zazwyczaj się kończyło, bo czasu nie było na wielkie zachody wokół słabego dziadka. Było dużo roboty do wykonania i na niej głównie schodziły całe dni.

Tymczasem kończył się już maj. Na polach wszystko pięknie rozwinęło się, aż miło było wyjść i popatrzeć. Sady już dawno przekwitły i zawiązywało się mnóstwo załazków owocowych. Wszyscy z wielką nadzieją patrzyli na zapowiedź dobrych urodzajów. Jeżeli udałoby się więcej je zebrać, to i na pożywienie dla dzieci i dla zwierzyny wystarczy, a może też i na kontyngenty¹. Ludzie żyli więc wielką nadzieją nie tylko z myślą o urodzaju, ale również i o tym, że na świecie zapanuje spokój i wszystkim będzie łatwiej. O to też modlono się w cerkwiach.

¹ Obowiązkowa sprzedaż produktów rolnych za z góry wyznaczoną, najczęściej zaniżoną cenę, w ramach nałożonych zobowiązań wobec państwa.

Tymczasem w ostatnią niedzielę maja, gdy wszystko, co zazwyczaj należało w taki dzień wykonać w gospodarstwie, zrobiono i cała rodzina zasiadła do wspólnego posiłku, dało się słyszeć głośnie ujadanie psów, które następnie zmieniło się w radosne skomlenie, przechodzące w niepokojący pisk.

– Nastio, idź zobacz, co się tam stało, dlaczego psy są takie niespokojne – nakazała Paraska.

Nastia odłożyła więc łyżkę, którą właśnie zanurzyła w misie wypełnionej okraszonymi krupami i wybiegła przed dom. Ledwie przekroczyła próg, stanęła jak wryta i zaczęła krzyczeć:

– Tatko, tatko... Tatko przyjechali!

Za Nastką wybiegła Paraska z pozostałymi dziećmi. Ujrzała, jak podwórko przemierza Jan, ubrany w ciemne ubranie i białą koszulę, z kapeluszem na głowie, a w rękach trzyma dwa potężne toboły.

– Witaj, Parasko! Przyjechałem... – zawołał z daleka Jan. Toboły położył na ziemię, podbiegł do żony i mocno ją uściskał. – Witaj, moja kochana żono! Tak bardzo się za wami stęskniłem.

Po chwili wypuścił z uścisku żonę, podbiegł do dzieci i zaczął je tulić do siebie.

– Jak ty, Nastio, wyrosłaś! I Hania już taka duża, prawie już dorosłe dziewczę z ciebie. A gdzie są chłopcy? O, *Kolo*¹... Jakiś ty duży... A *Andrijcio* już tak ładnie biega. – Puścił dzieci, po policzkach spływały mu strugą duże łzy i tonęły gdzieś w sumiastych wąsach.

– No wreszcie mamy cię w domu. Pamiętałeś o nas – wyjąknęła Paraska, ocierając uniesioną zapaską mokre oczy. – Nie wiesz jak nam było tu ciężko bez ciebie. Zachodź do *chyży*.

Oboje wzięli stojące na podwórzu toboły i przekroczyli próg pierwszej izby. Jan przywitał się czule z matką i zapytał o ojca.

– Ojciec jest słaby i dzisiaj nie wstał z pościeli – odpowiedziała mu stara Oksana. – Codziennie czekał na ciebie. Pomagał nam wszystkim jak mógł, ale teraz od dłuższego czasu niedomaga.

Jan przeszedł do drugiej izby, podnosząc wysoko nogi aby pokonać próg, a jednocześnie musiał dobrze pochylić głowę, aby nie uderzyć się o niskie nadproże drzwiowe.

– Tato, witam was. Już przyjechałem z tej *Hameryki*. Teraz już cały czas będę w domu.

– Witaj synu – odpowiedział Teodor, wysuwając do przodu prawą, mocno spracowaną rękę. – Słaby jestem i myślałem, że ciebie nie doczekam. Dobrze, *Iwanku*, że przyjechałeś. Tu roboty dużo. Paraska sama nie może obrobić wszystkiego, a my z matką już też nie mamy siły do ciężkiej pracy. Bez ciebie wszystko tu zaprzepaściłoby się. Dobrze, że jesteś...

¹ Zdrobnienie od imienia Mikołaj.

– Pewnie jesteś głodny i zmęczony. Siadaj z nami do stołu, my jeszcze nie skończyliśmy jeść. Jak tam było w tej twojej *Hameryce*? – zapytała Paraska.

– Wiele by opowiadać. Jeszcze będziemy mieli dużo czasu na rozmowy. Teraz już nigdy i nigdzie nie wybiorę się z domu – podjął opowiadanie Jan, zaczerpując krupy z miski. – *Hameryka* to duży i daleki kraj. Jak masz robotę, to możesz tam dobrze żyć i niczego ci nie zabraknie. Ale jak nie masz roboty, to jest ciężko i łatwo możesz zginąć. Trudno między nimi być samemu, jeżeli nie rozumie się ich mowy. Ja długo nie mogłem znaleźć swojego miejsca. Miałem ochotę wrócić, ale nie było jak, bo i pieniędzy nie miałem na drogę i nie wiedziałem jak to załatwić. Potem spotkałem naszych ludzi i oni mi pomogli dostać robotę na farmie. Farma to taka duża gospodarka. Pracowałem ciężko, ale tamten gospodarz dawał mi utrzymanie, a jeszcze i pieniądze mi wypłacał. Potem przez zimę nie było już u niego pracy i chodziłem zarabiać ładowaniem towarów na wagony kolejowe. Ale tam już trzeba było dużo płacić za mieszkanie i wyżywienie. Dobrzy ludzie pomogli mi wykupić *szyfkartę* i wróciłem tak szybko, jak tylko mogłem.

– Pieniądze, które zarobiłem – ciągnął dalej Jan – wydałem na drogę. Parę dolarów mi zostało, to kupiłem trochę ubrań dla dzieci. I dla ciebie, Parasko, mam parę rzeczy. A tu jest reszta dolarów – wsadził rękę za pazuchę, wysupłał nieduży zwitek zielonych banknotów i położył je na stole.

– I tak nic za te pieniądze nie kupimy, bo tu już grożą nam grabusie za długi w spłacaniu podatku – oświadczyła Paraska. – Ty nie wiesz, że teraz jest mocno niespokojnie na świecie. Mówią, że Austria do wojny się szykuje, podatki podwyższyli i wszystko ludziom zabierają. A i chłopów do wojska zaciągają. Oj, niespokojnie jest na świecie – zakończyła.

– Tatuniu, a czy do *Hameryki* jedzie się przez morze? – zapytała Nastka, podsuwając się na ławie bliżej ojca.

– Morze, dzieci kochane, jest tak duże, że nie można sobie tego wyobrazić. Jak okręt wypłynie na niego, to przez dwa tygodnie nic nie widzisz, tylko wodę i wodę. I choćbyś chciał zawrócić z takiej podróży, to nie ma na to żadnej rady – musisz płynąć aż skończy się ta okropna droga.

– A czy okręt jest duży, czy większy od naszej *chży*? – zapytała Hania.

– Takich domów, jak ten, to na okręt może weszłoby pięćdziesiąt, a może i dwa razy tyle.

– To jak to jest? Okręt taki duży i pewnie ciężki, to czemu on nie pójdzie na dno – pytały dalej zaciekawione dzieci.

– Słuchajcie, okręt robią bardzo mądzy inżynierowie. I on jest tak zrobiony, że na nim wszystko jest: są duże motory, co pchają go do przodu, jest miejsce, gdzie ludzie śpią, są takie duże karczmy, gdzie ludziom dają jeść i towaru jeszcze dużo na niego włożą. Kiedyś wam wszystko dokładnie opowiem, a teraz pokażę, co wam przywiozłem.

Jan przerwał swoje śniadanie i zaczął rozpakowywać przywiezione toboły. Każdemu coś dał: to jakieś ubranko kolorowe, to buciki, a i zabawki też były. Najwięcej radości dzieciom sprawiły przywiezione przez ojca piękne i bardzo smaczne łakocie – ciastka, cukierki, czekolady. Wszyscy bardzo się z prezentów cieszyli. Jednak prawdziwe święto było z tego powodu, że w końcu ojciec był w domu. Cała rodzina poczuła się taka bezpieczna. Najmniej z tego wszystkiego rozumiał mały Andrzejek, który przez rok całkowicie zapomniał o ojcu i dlatego z początku bardzo nieufnie siadał mu na kolana. Po czasie jednak i on jakby zrozumiał co to znaczy, kiedy ojciec jest przy swojej rodzinie.

Wraz z niedzielą skończyło się świętowanie i nastały znów szare, mroźne dni. Najpierw trzeba było rozliczyć zaległe podatki, aby pozbyć się ciężącego na gospodarstwie ciężaru. Następnie Jan wziął się za przeglądnięcie i naprawę urządzeń młyńskich. Była więc nadzieja, że ponownie będzie można na młynie zarobić kilka grajcarów na podreperowanie domowych finansów.

Ponieważ Chyrowi pozostało jeszcze trochę pieniędzy zarobionych w Ameryce, wpadł on na pomysł, że byłoby dobrze, aby wykorzystać je i przysporzyć trochę dochodu na handlu. W tym czasie sklepikarze byli zainteresowani skupowaniem różnych artykułów przemycanych przez Beskid z terenów słowackich. Wybrał się więc Jan ze swoim kompanem przez góry, na południową stronę Beskidu Niskiego, czyli *za Beśkid*, jak mawiali miejscowi i po dwóch dniach powrócił z pełnym workiem różnorodnych przypraw – pieprzu, cynamonu i jeszcze wielu innych ziół, których pośród ludzi miejscowych nawet nazwy nie były znane. Przyniesiony towar natychmiast odkupili potajemnie Żydzi, co przyniosło rodzinie zauważalny dochód. Wszystko jednak musiało być utrzymywane w dużej tajemnicy, bo handel taki był według prawa austriackiego zakazany.

Zdarzyło się, że po kilku takich wyprawach, które odbywały się poważnie przy udziale kilku osób, handlarze wiejscy nie powrócili w spodziewanym czasie. Gdy nieobecność ta przedłużała się, rodziny ich były mocno zaniepokojone.

– Jeszcze parę niedziel temu przysięgał, że już nigdy i nigdzie z domu nie wyjedzie – wzdychała Paraska do starych rodziców, – a tymczasem co znowu zrobił? W domu jest dosyć wszystkiego do roboty. Po co go znowu kusy poniosł gdzieś po świecie? Tak ciężko mu w domu miejsce zagrać...

– Nie martw się, Paraniu – odpowiadała stara Oksana. – Coś go pewnie tam zatrzymało i niedługo wróci.

– Tak, wróci, wróci! – Ze złością powtórzyła Paraska. – Tak, jak wrócił z *Hameryki*! Dopiero po roku wrócił, a ja tu sama z dziećmi się męczyłam.

– Na pewno wróci – odpowiedział spod pieca stary Teodor.

I faktycznie wrócił, ale dopiero po tygodniu i to z pustymi rękoma.

– Gdzie, do licha, byłeś i co tak długo wyprawiałeś? Pewnie jakąś Słowaczkę sobie tam znalazłeś? – wykrzykiwała na dobre zdenerwowana i Paraska.

– Żadnej Słowaczki tam nie mam. Chyba zgłupiałaś! Pojechaliśmy koleją przez Łupków do Kyčery. To takie miasteczko po słowackiej stronie. Tam kupiliśmy dużo towaru i już wracaliśmy, gdy na stacji pojawiło się wojsko austriackie i sprawdzali wszystkich, kto co wiezie. Wobec tego poszliśmy pieszo przez *Beškid*. Już mijaliśmy Kiczerę Długą, to kierowaliśmy się do Wisłoka, aż nagle zza krzaków wyszło dwóch *szandarów* i jeden *finans*. Zostawiliśmy więc towar za kamieniami i sami poszliśmy dalej bez niczego. Oni jednak kazali nam wrócić, znaleźli nasze worki, a potem przystawili nam *gwery*¹ do pleców i zaprowadzili nas do *kazarmy*². Tam trzymali nas trzy dni. Dawali tylko czarny chleb do jedzenia i kawę do picia. Potem przyszedł oficer, spisał nas i kazał zapłacić karę. Płacić jednak nie mieliśmy czym, bo pieniądze wcześniej wydaliśmy na zakupiony towar. Dołożyli nam więc po pięć batogów, zabrali wszystko, co mieliśmy na handel, nakazali, aby to było ostatni raz i wypuścili z gołymi rękoma. Teraz jestem już w domu. O, zobacz – Jan odsłonił plecy i część ciała poniżej nich i na dowód, że mówi prawdę, pokazał ślady po otrzymanych razach. – A teraz daj mi coś jeść, bo już drugi dzień jestem bez niczego w ustach. Tam też zresztą nie obkarmili nas za dużo.

– Dobrze, że ci przyłożyli na srakę – odrzekła Paraska, ukrywając w kącikach ust lekki uśmieszek, – to ja ci już nie muszę dokładać. Po co ciągle gdzieś nosisz cię po świecie? Masz czworo dzieci, starych rodziców na utrzymaniu i pełno w domu roboty. Czas ci się już ustatkować! Może to cię nauczy i weźmiesz się za coś pożytecznego.

– Tak, dobrze mówisz Paraniu, tylko ja to dla waszego dobra robiłem, ale teraz już na pewno będę siedział w domu.

* * *

Lato 1914 roku było piękne. Już od wiosny często popadywały deszcze. Po krótkiej słońcu zawsze przychodziło ciepło. Wszystko w polu rosło niemal w oczach. Pomimo wielkich trudności, spowodowanych nieobecnością gospodarza w domu, wszystkie pola były obsiane zbożami lub obsadzone okopowymi. W porę udało się zebrać siano na paszę dla bydła na okres zimy. Teraz już wszyscy byli w domu i w niezłym zdrowiu. Nawet stary Teodor jakby bardziej radośnie patrzył na świat. Wydawało się, że wszystko wraca do dawnego porządku. Ze świata dochodziły ciekawe wieści. Ludzie, którzy powracali z odległych krajów, czy miast, opowiadali o różnych inte-

¹ W zaborze austriackim potoczne określenie karabinu (od niemieckiego „gewehre”).

² Koszary wojskowe (z niem.)

resujących odkryciach i ulepszeniach. Już od jakiegoś czasu wszystkim było wiadomo o istnieniu elektryczności – że można nią oświetlić dom, że w miastach zastępuje konie w ciągnięciu pojazdów i że w fabrykach obraca maszynami. Teraz dochodziły nowe wieści: że telefon działa dzięki elektryczności i można rozmawiać z kimś na dużą odległość, że ludzie na maszynach latają jak ptaki w przestworzach, że nawet są urządzenia, zwane radiem, przez które można przemawiać do wszystkich ludzi, którzy mają to w domu i nadawać muzykę na odległość. Były również inne ciekawe wynalazki, o których jeszcze nie wszyscy wiedzieli¹.

O istnieniu niektórych dziwnych i siejących lęk wynalazkach mieszkańcy Przybyszowa mogli nawet przekonać się sami, nie wyjeżdżając z domu. Na początku lata rozeszła się wiadomość, że w najbliższą niedzielę w południe przelatywać będzie w powietrzu *cepelin*². Wieść ta rozeszła się błyskawicznie po całej okolicy. Najbardziej zaintrygowani byli dzieci, które w ten dzień powstawały już o świcie. Od rana wszyscy spoglądali w niebo. W końcu nadeszła oczekiwana w napięciu chwila. Znad lasu, położonego na wierzchołku zwanym „Ruda”, pojawiło się ogromne, długie monstrum na kształt cygara albo potężnego, leżącego wora. Od spodu miał przymocowane pomieszczenie z oknami, a po bokach warkotały dwa motory. Tył zakończony był jakby rybem ogonem. W miarę przybliżania się nad wioskę ów *cepelin* wydawał się coraz większy, a warkot motorów nasilał się. Ludzie, zgromadzeni wokół polany położonej przy cerkwi, zadzierali wysoko głowy i pokazywali sobie nawzajem niebywałe zjawisko. Nadlatując nad wioską, sterowiec nieco obniżył się i zwolnił swój bieg. Było widać nawet głowy ludzi znajdujących się wewnątrz podwieszanej kabiny.

Urządzenie poszybowało w stronę wioski *Kamiane* i znikło za wzgórzami, a ludzie długo rozprawiali na jego temat. Mówili, że nic dobrego to nie wróży, że na pewno będzie wojna i dlatego takie potwory latają po niebie i że z góry można z tego strzelać do ludzi i do wojska, a w ogóle, że to wielka zgroza.

– Tatu, czy to prawda, że z tego może zrobić się wojna? – pytała dziesięcioletnia Nastia, bardzo ciekawa świata, a jednocześnie przerażona opowieściami ludzi. – Czy tam, w środku byli normalni ludzie, czy może tam siedział ktoś straszny?

– Cicho, dziecko, nie bój się – odpowiadał ojciec. – Ja takie rzeczy widziałem już w *Hameryce*. Oni tam jeszcze mają aeroplany. To takie maszy-

¹ Na przykład 2 czerwca 1914 roku miało miejsce pierwsze w świecie przekazanie obrazu na odległość, a dokonał tego Anglik, Archibald Low. Osiągnięcie to stało się prekursorem późniejszej telewizji.

² Chodzi tu o sterowiec, czyli aerostat (rodzaj balonu o podłużnych kształtach), napędzany silnikami spalinowymi. Nazwa pochodzi od niemieckiego konstruktora Ferdynanda Zeppelina.

ny, co bardzo szybko latają po niebie, robią dużo hałasu i każdy, kto ma pieniądze, to może tym polecieć.

Takie to, i jeszcze wiele innych, pojawiały się więc nowości tego lata. Niestety, coraz więcej było wieści niepokojących, niż tych dobrych. Teraz już nie tylko z opowiadań ludzi wracających z dalekich podróży można było wnioskować, że Austria i inne kraje szykują się do wojny. Przypuszczać o tym można było też z przychodzących z urzędów różnych nowych rozporządzeń i nakazów, jak dodatkowe rejestracje mężczyzn w wieku podlegającym służbie wojskowej, rejestracja koni, nakładanie wyższych podatków, przemarsze i ćwiczenia wojsk. Na początku lipca pojawiła się wiadomość, że w Serbii zabity został cesarski syn, Franciszek Ferdynand i że Austria nie puści tego bez zemsty, a wraz z nastaniem sierpnia wszyscy mówili, że wojna już się rozpoczęła. Narastał więc nastrój powszechnego niepokoju i obawy o dalsze losy.

Żniwa jeszcze nie dobiegły całkowicie do końca, gdy do wsi wkroczył oddział żandarmerii z nakazami wcielania chłopów do armii. Razem z wójtem oddział ten podchodził do wyznaczonych zabudowań i wyznaczał tych, którzy za dwie godziny mają być gotowi do wymarszu. Niepowodzenie to dotknęło również czterdziestoletniego już Jana Chyry, mającego na utrzymaniu liczną rodzinę. Na nic zdały się błagania Paraski i staruszków:

– Panie oficerze – wołała nieszczęsna kobieta, – miejcie litość nad tymi dziećmi i starymi ludźmi. Jak zabierzecie Iwana na wojnę, to kto się nimi zaopiekuje. Ja, słaba kobieta, nie dam rady utrzymać całej gospodarki i opiekować się rodziną.

– Nasz kraj jest w wielkiej potrzebie. Cesarz nakazał przygotować silną obronę, bo Rosja na nas naciera. Nic teraz nie ma ważniejszego. Wszyscy musimy pomagać naszemu panu.

– Miejcie litość, oficerze... – wołała Paraska.

Lamenty żon i matek nic jednak nie pomagały. Ledwie słońce przechyliło się w stronę zachodu, Przybyszów opuszczał zbrojny oddział żandarmerii, konwojujący grupę nieszczęsnych chłopów, skazanych na poniewierkę, a może i utratę życia, w imię interesów wielkiego cesarstwa. Poszli gotowi walczyć na śmierć i życie ze swoimi braćmi Słowianami, rozdzielonymi pomiędzy dwoma wielkimi imperiami. Polak przeciwko Polakowi, Ukrainiec przeciwko Ukraincowi, Krakowianin przeciwko Mazurowi, Łemko, Bojko czy Hocuł przeciwko swojemu bratu spod Połtawy czy Kijowa. Wszystko w imię cesarza Austrii, czy cara Rosji.

W domu zapanował nastrój wielce przygnębiający. Jeszcze tak niedawno Jan przysięgał swojej żonie, że teraz już nigdy i nigdzie z domu nie wyjedzie. Będzie zawsze razem ze swoją rodziną: żoną, dziećmi, starymi rodzicami. I co? Minęło zaledwie ćwierć roku i znów poszedł w świat, ale tym

razem nie z własnej woli i nie na zarobek, jak poprzednio do Ameryki, czy do Słowacji, ale na zgubę, w interesie obcych i nieznanych mu władców.

Życie stawalo się coraz to trudniejsze. Pracy było dużo, a wykonywać ją nie było komu. Teraz i o pomoc sąsiedzką było trudniej, bo w wielu domach nie było już mężczyzn. Wołanie o udzielenie pomocy przez rodzinę też niewiele skutkowało, bo każdy miał swoje kłopoty. Rodzice Paraski z Rzepedzi też stawali się z dnia na dzień słabsi, a Jana szwagra, Krawczyka, też spotkał ten sam los. Tak więc w wielkim mozole ponownie przyszło Parasce troszczyć się o dosyć pokaźne gospodarstwo, małą działkę i starych teściów. Ojciec Jana, Teodor, od pewnego czasu znów silnie niedomagał. Tym razem już wcale nie wstawał z łóżka i wymagał większej opieki. Wiadomość o poborze syna do armii austriackiej pogрузzyła go jeszcze bardziej w chorobę.

W niedzielę pod koniec sierpnia chory dziadek jakby się nieco ożywił. Zjadł podaną mu strawę na śniadanie, przywołał do siebie Nastkę i poprosił:

– Idź, powiedz mamie i babci żeby przyszły i wyniosły mnie do sadu, ja tam chcę poleżeć.

Nastka popędziła co tchu do matki, krzątającej się w obejściu i przekazała prośbę dziadka. Kobiety wyniosły do sadu dwa stołki, oparły o nie kilka desek i położyły na nich siennik z pościelą. Następnie przy pomocy najstarszej córki, Hani, wyniosły schorowanego staruszka i ułożyły go na pospiesznie urządzonym łóżu pod gruszą, w pobliżu pszczelej pasieki. Na dworze było gorąco, stare, pocziwe drzewo, które Teodor sam posadził za swojej młodości, dawało mu kojący chłód.

– Teraz jest tu mi dobrze – chory wydobył z siebie stłumiony głos. – Słyszę jak brzęczą pszczoły. Nie będę sam, tak jak w tej ponurej izbie. Mogę przyglądać się na was, jak chodzicie i widzę całe swoje obejście i młyn, i stodołę. Jest mi tu dobrze.

– Nastio, pilnuj tu dziadka – powiedziała matka do córki. – Patrz, żeby muchy mu nie dokuczały i żeby nie spadł.

– Dobrze, mamó – odpowiedziała dziewczynka.

Minęło niewiele czasu, gdy wystraszona Nastka przybiegła do matki:

– Mamó, mamó – wołała z daleka, – dziadziowi chyba się coś stało, bo przechylił głowę na bok i nie chce nic mówić.

Paraska co tchu pobiegła w stronę sadu, wzięła teścia za rękę, podniosła ją nieco i opuściła bezwładną.

– Biegnij po babcię – poleciała Nastce.

Gdy przybliżyła się Oksana, zaniepokojona Paraska wyjąknęła:

– Tato chyba nie żyje.

Na nic zdały się już potrząsania i nawoływania. Na wpół otwarte oczy zaszyły bielmem, a całe ciało stało się omdlałe.

– Tak, on nie żyje – powtórzyła stara kobieta i zaniosła się od lamentu.

– Teraz zostałyśmy już same. Żadnego chłopca nie ma w domu i co my, biedne, zrobimy same z dziećmi – wołały osierocone kobiety.

Przeniosły zmarłego do izby, ułożyły go na pospiesznie zmontowanych marach, ubrały w haftowaną koszulę i szarawary¹, a następnie zapaliły przy nim dwie woskowe świece. Wieczorem zebrała się na modłach spora grupa ludzi, którzy pozostali w tej smutnej chacie niemal do rana. Modlono się i śpiewano żałobne pieśni. Stary Mardak czytał niektóre wersety z grubej księgi, zwanej psalterzem. Wierzono w tajemne moce modlitw zawartych w tej księdze.

– Wiecie, kumo – odezwała się w rogu izby leciwa kobieta, – powiadali kiedyś starzy ludzie, że gdyby znalazł się taki człowiek, który do rana nad zmarłym przeczytałby cały psalterz, to nieboszczyk powstałby na nogi.

– Może to i prawda – odezwała się inna kobieta. – *Łem*, gdzie takiego można znaleźć?

– Takiego człowieka nie ma może i na całym świecie – odpowiedziała pierwsza.

W poniedziałek z rana pospiesznie zamówiono trumnę w tartaku, powiadomiono księdza i pogrzeb odbył się po południu przy odprawianym nabożeństwie i śpiewie chóru, składającego się głównie ze starszych kobiet. W domu Tychani zapanowała cisza i melancholijny nastrój. Paraska ze starą Oksaną nie miały jednak czasu na obchodzenie żałoby, bo napierało je mnóstwo pracy, którą musiały wykonywać z wielkim pośpiechem i wysiłkiem, aby utrzymać przy życiu siebie i czwórkę dzieci.

A pracy rzeczywiście było mnóstwo. Należało pospiesznie zakończyć żniwa, bo czekały już prace jesienne. Trzeba było przygotować pole pod zasiew oziminy i przystąpić do zbioru roślin okopowych – ziemniaków, brukwi, buraków. Wszystko to było konieczne do zapewnienia paszy na wyżywienie zwierzyny przez okres zimowy. A po drodze jeszcze był zagon lnu do wyrwania, z którym również należało zrobić porządek. Do tego dochodziły codzienne obowiązki przy wypasaniu bydła, karmieniu trzody i drobnego inwentarza. Pamiętać należało również o zbliżającej się zimie, aby zadbać o zapas drewna, ogacić chatę. Tak więc, pracy było mnóstwo – o wiele za dużo, jak na jedną kobietę w średnim wieku i schorowaną staruszkę. Pracować musieli więc wszyscy: dziewczynki Hania i Nastka oraz siedmioletni Mikołajek. Tylko Andrzejek, któremu było zaledwie dwa lata, nic z tej biedy nie rozumiał. On miał ciepłe posłanie, mleko i chleb, a czasem też matczyne uścisk, na który przeważnie już nie starczało czasu.

Spracowanych i zatroskanych ludzi nękały jeszcze dodatkowo wieści z wojny. W wielu domach brakowało teraz ojców, braci i synów. Tymczasem coraz częściej mówiło się, że wojna będzie sroga. Przez pobliskie drogi i

¹ Szerokie spodnie, z przewężonymi u dołu nogawkami, wchodzące w skład ludowego stroju.

trakty odbywały się przemarsze wojsk austriackich, które zdążyły przeważnie na północ i wschód – bliżej do linii rozdzielającej dwa mocarstwa – Rosję i Austrię. Wojsko szło kolumnami pieszymi, wozami i linią kolejową, prowadzącą ze Słowacji przez Łupków, Zagórz i dalej w stronę Przemyśla.

– Idą na front. Będzie strasznie – powtarzali ludzie.

Wśród oddziałów często pojawiali się mężczyźni rekrutujący się z miejscowej ludności. Gdzie im tam było do rzemiosła wojennego... Jeszcze niemal wczoraj musieli porzucić kosy i pługi i zamienić je na karabiny. Szybkiej mogli przewidzieć, patrząc na zachodzące słońce, jaka będzie nazajutrz pogoda, aniżeli rozstrzygnąć najmniejsze zadanie z taktyki wojennej. Pomimo tego, musieli maszerować, głodować po drodze i spać po lasach. A wszystko w imię jego cesarskiej mości lub wielkiego imperatora.

Ludzie, którzy pozostali we wsiach musieli pracować na utrzymanie swoje i tych, którzy rozpętali tę straszną, krwawą zabawę. Na początku września rozeszła się wieść, że Austria przegrała bitwę o San i rosyjskie wojska zbliżają się w stronę Bieszczad i Beskidu Niskiego. Narastał powszechny nastrój zgrozy. Nikt z żyjących dotychczas nie przeżywał bezpośrednio linii frontu wojennego.

A tymczasem w rodzinie Chyrów, jakby nie dość było dotychczasowej biedy, szykowało się następne nieszczęście. Wszyscy byli zmęczeni i wycieńczeni ciężką pracą. W połowie września, po powrocie z wykonywanych w deszczu prac polowych, zachorowała najstarsza córka – Hania. Już wieczorem narzekała, że źle się czuje i nic nie będzie jadła na kolację. W nocy naszła ją bardzo silna gorączka, bóle w piersiach i gardle. Niemal całkowicie zaniemówiła. Jak zwykle przy takich okazjach, postanowiono sprowadzić kobietę-znachorkę. Umiała ona tylko naparzać zioła i masować ciało.

– Idź, Nastio, po Teklę od Baka – poleciła Paraska. – Niech szybko tu przyjdzie, bo Hania jest bardzo słaba. Może coś na to zaradzi.

Nastia, przerażona o zdrowie ukochanej siostry, pobiegła co tchu i po krótkim czasie powróciła razem ze znachorką. Ta, jak zwykle, obejrzała dziewczynkę, odmówiła swoje zaklęcia i modlitwy, po czym oświadczyła:

– Dostała zapalenia. Pewnie ktoś na nią urok rzucił. Trzeba jej brzuch wymasować i ziół naparzyć.

Tekla wykonała, co uważała za słuszne, odprawiła jeszcze modły nad dziewczyną i poszła. Tymczasem Hani z godziny na godzinę robiło się coraz słabiej. Przez całą noc matka od niej nie odchodziła. Robiła jej okłady z mokrej pościeli, aby trochę ochłodzić rozpalone gorączką ciało. Rano dziewczyna co chwilę traciła już przytomność. Leżała z zamkniętymi oczami, a czasem otwierała je szeroko i wzrokiem wypatrywała czegoś na powale. Matka stała nad nią, strapiona swoją bezradnością. Wtem chora odwróciła głowę w jej stronę, popatrzyła na nią żałośnie i ostatnim wysiłkiem wyrzekła:

– Ma... Mamo, ja umieram, ratujcie mnie, mamciu kochana...

Parska ujęła ją za rozognioną rękę, przycisnęła do swojej twarzy i ze ściśniętym gardłem wyrzekła:

– Cicho, cicho Haniu, dziecko moje. Będzie dobrze... Zaraz dam ci jeść, nie bój się... Nie bój...

– Mamciu, mamciu moja – wyjąknęła ostatnim wysiłkiem Hania, – ja już odchodzę, wybaczcie mi... – i zamknęła zmęczone oczy.

W nieszczęsnej chacie rozlegało się biadanie. Płakali wszyscy – matka, babcia, Nastka i Mikołaj. Tylko mały Andrzejek nie do końca rozumiał przyczynę tej rozpacz i mocno przycisnął się do poły od spódnicy swojej mamy. Paraska podniosła go, przytuliła do serca, a drugą ręką przygarnęła pozostałe dzieci. Po dłuższej chwili rozpacz, nieszczęsna matka puściła dzieci, spojrzała w stronę ściany, na której wisiały ikony, załamała ręce i wyjąknęła:

– Boże, mój Boże, czemu mnie tak ciężko karzesz? W czym ja nieszczęsna ci przewiniłam?

Po chwili ocknęła się ze swoich wyrzutów wobec Najwyższego, klęknęła przed domowym ikonostasem¹, a w jej ślad również ukłękła stara Oksana z dziećmi. Wspólnie odmówili „ojcze nasz” i „zdrowaś Mario”, po czym obie niewiasty zaczęły się naradzać, co teraz powinny zrobić.

Pierwszą czynność, jaką wykonały, było ubranie nieszczęsnej dziewczynki w strój pogrzebowy. Odnalazły więc w składzie białą haftowaną bluzkę i spódniczkę, w którą Hania ubierała się wychodząc do cerkwi. Ustawiły przy niej dwie świece – te same, które jeszcze przed dwoma tygodniami stały przy jej dziadku, zapaliły je, po czym Paraska poszła zamówić trumnę w tartaku i powiadomić proboszcza.

Po wyjściu z domu Paraska dowiedziała się o kolejnym zagrożeniu. Otóż wszyscy we wsi mówili o zbliżającym się froncie wojennym, bowiem od kilku dni w całej okolicy odbywał się nadzwyczaj wzmożony ruch oddziałów wojskowych, a teraz bezustannie słychać było kanonadę armatnią i odgłosy pojedynczych wystrzałów karabinowych. Wszyscy mówili, że wojska austriackie wycofują się od strony Kulasznego pod nawałnicą napierającej armii carskiej. Jegomość² powiedział, że z pogrzebem trzeba się spieszyć, bo front za kilka godzin może przechodzić przez Przybyszów, a wtedy we wsi będzie gorąco i strasznie. Być może, że jutro będzie jeszcze gorzej, a wtedy o żadnej uroczystości żałobnej nie będzie już mowy. W takiej sytuacji powszechnego zagrożenia pospiesznie wykopano grób i przystąpiono do pogrzebu. Gdy wkładano młodocianą nieboszczkę do pospiesznie zbitej

¹ Ikonostas – ściana ze świętymi malowidłami, przedzielająca w cerkwi ołtarz od pozostałej części; we wszystkich chatach łemkowskich namiastkę ikonostasu stanowiła główna ściana w izbie, na której umieszczano święte obrazy.

² Tak zwracano się do księdza.

trumny, to jeszcze niecałkowicie zanikły z jej lica rumieńce, a całe ciało było różowe od gorączki. Wyglądem swym przypominała raczej dziewczynę, która zapadła w głęboki sen, niż ciało nieboszczyka, które za chwilę ma być złożone w ciemnym grobie. Na widok taki zasmucona Nastka popadła w wielkie zmartwienie i zwróciła się do matki z takimi słowami:

– Mamo, a może Hania wcale nie umarła i tylko śpi? Nie możemy jej położyć w grobie i przysypać ziemią! A jak ona tam ożyje?

– Nastio, co tobie przychodzi do głowy – odpowiedziała jej zdrętwiała od zgryzoty Paraska. – Hania umarła i na pewno nie ożyje. Musimy ją pochować, bo jest wojna. W nocy przyjdzie tu front i nie wiadomo, co dalej będzie z nami wszystkimi.

Nie było innej rady. Pogrzeb musiał się odbyć i wieczorem w domu wszystko zaczynało przychodzić do starego ładu. Tylko na noc, starym zwyczajem, na stole pozostawiono w miseczce wodę święconą, bo krążyły wierzenia, że po pogrzebie dusza zmarłego może powrócić do miejsca zamieszkania, łaknąć napitku i szukając ochłody. Nastię natomiast długo dręczyła myśl, że Hania może nie umarła, a tylko zasnęła, a teraz, obudziwszy się w grobie, straszne przechodzi męki. Obawa taka zapadła na długo w jej psychice, bo, będąc już potem w latach dorosłych i w wieku podeszłym, często, myśląc o swoim odejściu – może bardziej niż śmierci – obawiała się przebudzenia w grobie.

Z wydarzeniami związanymi z zejściami ludzi, szczególnie osób młodych, łączyło się wiele przygnębiających opowiadań, mających swoje potwierdzenie w rzeczywistości. Jedno z takich makabrycznych wspomnień o wydarzeniach z tamtego okresu łączyło się z ośmioletnią dziewczynką w rodzinie mieszkającej po sąsiedzku, której to stan zdrowia, w krótkim czasie od zakażenia się chorobą, pogorszył się nagle i doszło do agonii. Sąsiadki, które zgromadziły się, niby dla niesienia pomocy, orzekły, że już nikt tu nic nie pomoże i dziewczynka umrze. Urządzono więc, że – dla uniknięcia późniejszego kłopotu z ubieraniem ciała zmarłej – należałoby już teraz przywdziać ją w strój pogrzebowy. Nieboraczkę postawiono więc na ławie i pośpiesznie ubierano. Na nic zdały się jej rozpaczliwe prośby, że nie chce umierać i aby ją ratować. Kiedy dokończono dzieła, ułożono powrotnie na łóżku, ale już bez przykrycia i czekano kiedy dokona żywota. Znieczulenie takie wywodziło się może z faktu, że śmierć dziecka nie należała wtedy do rzadkości. W wielu rodzinach liczba dzieci zmarłych nie była mniejsza od tych, które pozostawały przy życiu.

Front, o którym wspomniano już wyżej, rzeczywiście przybliżył się do Przybyszowa. Już nad ranem wzmogła się strzelanina. Austriackie wojsko, a wśród nich wiele słowiańskich pobratymców, pośpiesznie wycofywało się najpierw doliną rzeki Rzepedki – od strony Kulasznego, potem poprzez Rzepedź i wzgórze Kamień, a dalej poprzez Przybyszów w stronę Woli Pio-

trowej i Bukowska. Pomimo tej ogólnej rejterady, dla powstrzymania śmiercionośnej nawałnicy dochodziło pomiędzy wrogimi armiami do krwawych i wyniszczających starć. Odgłosy walki było słychać jeszcze przez wiele dni, a potem, po zakończonych walkach, po wsiach pozostały zniszczenia, spalone zabudowania i liczne trupy. We wsi pozostało też wiele rannych żołnierzy, którzy nie nadawali się do dalszego transportu. Wśród osób ocalałych po przejściu frontu byli również dezterterzy, którym nie po drodze było dalsze nadstawianie karku w imię jego cesarskiej mości. Oczywiście, czyny takie – po schwytaniu delikwenta – karane były srogo. Pomimo tego, przypadki ucieczki z armii były częste, bo żołnierze, nie będąc zaangażowani emocjonalnie po żadnych z walczących stron, widzieli w tym jakąś nadzieję na przetrwanie tego okropnego czasu.

Wśród wycofujących się oddziałów miejscowi ludzie daremnie wypatrywali swoich krewnych, sąsiadów lub znajomych. Rozpytywano też żołnierzy, czy nie widzieli, gdzieś tam na wojnie, takiego, albo takiego człowieka. Na ogół nikomu nie udawało się dowiedzieć niczego o swoich bliskich. Podobnie Paraska daremnie rozpytywała o swojego męża. Od czasu, kiedy wcielono go do armii, wieść o nim przepadła. Nie nadchodziła żadna korespondencja, ani niczego nie można było się dowiedzieć wśród znajomych, którym udało się wydobyć z tego piekła. Pozostało tylko żywić nadzieję, że Opatrzność ochroniła go przed najgorszym i po dwóch przeżytych w krótkim czasie tragediach nie dojdzie w rodzinie do kolejnego nieszczęścia.

Tymczasem należało się zająć sprawami niezbędnymi do przeżycia, tym bardziej, że zbliżała się kolejna zima bez męża i ojca. W pozostających do wykonania pracach było tym razem znacznie trudniej, bowiem nie było już pomocy ze strony dziadka, a spośród dzieci odeszła najstarsza córka, która za życia w wielu czynnościach z konieczności musiała zastępować dorosłą kobietę. Wszystkie podejmowane starania sprowadzały się do przetrwania rodziny i zabezpieczenia gospodarstwa przed dalszym upadkiem. Narastała więc wielka obawa o przetrwanie i strach przed jeszcze gorszym okresem. Teraz nie było już mowy o takich czynnościach, jak przedzenie, tkanie płócien, czy darcie pierza. Ciężka praca w gospodarstwie wypełniała mocno wydłużony dzień. Po prostu trwała nieustanna walka o przetrwanie.

W połowie zimy 1915 roku Paraska dowiedziała się, że do domu w Karlikowie powrócił z wojny ranny człowiek, który prawdopodobnie był razem w wojsku z jej mężem. Co tchu pobiegła więc dowiedzieć się, czy może wie coś o Janie.

– Tak, byliśmy razem w jednym oddziale – odpowiedział okaleczony weteran. – Walczyliśmy pod Przemyślem. Tam było bardzo ciężko. Rosjanie napierali z każdej strony. Przez kilka dni nie mieliśmy wytchnienia, nie było kiedy odpocząć, ani nic do pożywienia. Potem, na początku grudnia,

mnie trafiła kula i mało co z życiem uszedłem. Odwieźli mnie do lazaretu¹, a Jan został dalej w oddziale. Był żywy i cały, ale nie wiem co z nim dalej.

Nie było tych wiadomości o mężu za wiele, ale przynajmniej nabrała nadziei, że jest szansa, iż mąż pozostał przy życiu i przy pomocy boskiej może powrócić do domu.

Tak przeminęła zima, która w tym roku była dosyć sroga. Rodzina Chyrów przetrwała ten ciężki okres dosyć szczęśliwie. Jak na te ciężkie czasy, można byłoby rzec, że los im sprzyjał. Nikogo nie nękały zbyt choroby. Przetrwali nie tylko ludzie, ale i cała trzoda doczekała wiosny w komplecie, nie licząc tych sztuk, które przeznaczono na wyżywienie rodziny.

W połowie kwietnia 1915 roku do wsi przysłała wiadomość, że na stację kolejową w Kulasznie nadszedł transport z rannymi żołnierzami, których przywieźli z linii frontu, a wśród nich są również jacyś ludzie z Przybyszowa. Sołtys zorganizował więc podwoję konną i wyruszono po tych nieszczęśników. Wóz powrócił pod wieczór i zajechał na podwórko zabudowania Tychani. Na ten widok co tchu wybiegła Paraska z Nastką. Dopadły do wozu i wśród wychudzonych, sponiewieranych i wymęczonych kilku osób od razu rozpoznano Jana. Kobieta przylgnęła do niego z okrzykiem:

– *Iwanku, Iwanku...* Ty żyjesz? Powróciłeś do domu... Chodź do chaty... Ty żyjesz...

– Żyję, żyję, żono kochana. Ale to cud boski, że jeszcze żyję – ledwie wyjąknął ranny i obolały Jan. – Iść nie bardzo mam siły, ale przy twojej pomocy jakoś dostanę się do *chyży*.

– Tatku, tatku ... – zawołała Nastia. – My tak mocno na ciebie czekaliśmy. Ja codziennie prosiłam Boga, żebyś do nas powrócił. I doczekaliśmy się. Ale Hania nie doczekała.

– Jak to, Hania nie doczekała? – zapytał Jan.

– Ano tak, nie doczekała... – wyjąknęła Paraska ze ściśniętym gardłem – Nie doczekała biedaczka. Jeszcze na początku jesieni zachorowała i na trzeci dzień zmarła. Nie masz jej już na tym świecie. Ojca też nie ma – dodała ze spuszczoną głową.

– Ojca też nie ma? – powtórzył Jan, chcąc utwierdzić się w tym co usłyszał.

– Ojciec zmarł jeszcze pod koniec zniw. Był słaby i kazał przygotować sobie posłanie w sadzie i wynieśliśmy go. Ale niedługo tam poleżał. Zmarł może po godzinie.

– Boże, Boże! – zawołał Jan. – Za co nas tak pokarałeś?

A po chwili odwrócił się do żony i zapytał:

– To jak wy tu przeżyliście przez tę ciężką zimę?

– Jak widzisz, przeżyliśmy. To nie ważne jak dawaliśmy sobie radę, ale najważniejsze, że jesteś w domu. Teraz już może będzie lepiej.

¹ Wojenny szpital polowy.

Paraska ujęła słabego męża pod pachę i przy pomocy sąsiada i małej Nastki zaprowadziła go do izby. Tu przywitała go sterana życiem, ale teraz wielce uradowana matka. Do ojca przytulił się nieśmiało również ośmioletni Mikołaj, a najmniejszy Andrzejek stał z boku i nie bardzo rozpoznawał się w tym całym zamieszaniu. Jan poprosił, aby podać mu dziecko, przytulił go do siebie i ucałował w czoło.

– Tato, tato? – wyszeptał Andrzejek, jakby szukał u starszych potwierdzenia, czy dobrze rozpoznaje ojca.

– Tak, tato... Twój tato, synku – odpowiedział ojciec i pociekła mu łza po poczerwiałym licu.

Potem przygotowano posłanie Janowi i ułożono go wygodnie na łóżku. Stan zdrowia tego nieszczęsnego człowieka, którego nie z jego woli uczyniono żołnierzem, był ciężki. Okazało się, że podczas postrzału kula przeszła mu klatkę piersiową i na wylot przeleciała w pobliżu serca. Widocznie żadne z ważnych organów nie były naruszone w ten sposób, aby organizm był całkowicie niewydolny. Jednak i życia wielkiego w nim nie było widać. Był słaby, wychudzony i co chwila kaszlał krwią. Gdy nieco odpoczął i za-grzał się, obmyto go i nakarmiono, po czym usnął. Noc była dosyć niespokojna. Z wrażenia i radości nikt z domowników nie mógł spać spokojnie, a ponadto chory co chwila potrzebował jakiejś posługi. Paraska, ciesząc się z powrotu męża i ojca dzieciom, rozmyślała o tym, jak to teraz będzie. Wiosna na dobre rozpoczęła się, a ona sama pozostała do roboty – tak samo jak minionych zniw, jesienią i zimą. Ma męża w domu, ale on wymaga dodatkowej troski. Sama Oksana, matka Jana, nie podoła w prowadzeniu domu i pracować w zagrodzie. A tu jeszcze ta piekielna wojna. Ile razy jeszcze może front tędy przechodzić?

Nazajutrz Jan poczuł się nieco lepiej. Wypytywał jak sobie matka z żoną dawały rady w tym ciężkim czasie, a zagadnięty jakie ponieważ musiał przechodzić na wojnie, najczęściej milczał lub opowiadał zdawkowo.

– Co przeżyłem, to już nikt mi nie cofnie, a ja nie chcę jeszcze was w to wszystko wciągać. Niech to będzie moja bieda, a wy powinniście myśleć o tym, że jutro będzie może lepiej.

– Ale powiedz, gdzie byłeś, gdy cię zranili i w jaki sposób wydostałeś się z tego wszystkiego.

– Byłem w różnych miejscach – poszliśmy przez Lesko i Ustrzyki Dolne w stronę Sambora. Wszędzie tam było ciężko – dzień i noc albo w marszu, albo w transporcie kolejowym, a potem na froncie. Ale najgorsze przyszło później. Skierowali nas do Przemyśla, gdzie były ciężkie walki, bo rosyjskie wojska mocno napierały. Wiele naszych chłopców tam poległo. Potem Austriacy zaczęli się wycofywać, ale Rosjanie otoczyli miasto i na początku grudnia zostaliśmy okrążeni. Nie dawali nam wytchnienia ani przez godzinę w ciągu dnia. Zaczęło brakować wszystkiego – jedzenia, wody do picia i

miejsca do spania. Nie mieliśmy też czym strzelać. Tak było przez trzy miesiące, a potem ataki rosyjskie zaczęły się jeszcze nasilać. W połowie marca, podczas gdy byłem wystawiony na pierwszą linię, trafiła mnie kula. Leżałem długo w okopie, a potem ocknąłem się w lazarecie.

Tu Jan na chwilę przycichł, otarł pot z czoła, a oczy zrobiły mu się wilgotne.

– Długo leżałem bez tchu, ale potem zaczęło robić mi się lepiej – ciągnął po chwili. – Chyba po tygodniu rozeszła się wieść, że nasi poddali się i Rosjanie wszystkich biorą do niewoli. Siłę ludzi zabrali i poprowadzili nie wiadomo dokąd. Powiadali, że więcej, niż sto tysięcy chłopów poszło w *polon*¹. Ale rannych, leżących w szpitalu, nie ruszali. Zostawili z nami tylko sanitariuszki i niewiele już nami interesowali się. Teraz było jeszcze gorzej – nie było lekarstw i jedzenia brakowało. Po paru tygodniach spisali nas wszystkich, załadowali na transport i porozwozili w różnych kierunkach. Z Przemyśla do Kulasznego jechaliśmy ponad dobę.

Znów przerwał. Z trudem powstrzymywał płacz, a łzy ciekły mu po policzkach.

– No i teraz tu jestem – dodał po chwili milczenia. – Wszystko w rękach Boga.

– Cicho, już cicho – uspakajała go Paraska i delikatnie przytuliła do siebie. – Teraz już jesteś w domu i niedługo wyzdrowiejesz. Leż tu spokojnie, a my musimy zająć się robotą.

Teraz życie, chociaż naznaczone ciężką pracą, ponad siły jednej kobiety z małymi dziećmi, stało się nieco spokojniejsze. Była nadzieja, że nieszczęścia, jakie miały miejsce w tak nieodległym czasie, już może się nie powtórzyć i powoli wszystko będzie powracać do oczekiwanego spokoju, a wtedy, gdy zdrowie dopisze, to i gospodarstwo doprowadzi się do dawnej świetności. Co prawda, w maju 1915 roku wyruszył z Austrii na północ i wschód jeszcze ponowny front, ale tym razem wojska szybko przeszły i więcej w tych stronach nie było tak ciężkich walk, jak jesienią poprzedniego roku. Po tamtych jednak walkach długo pozostawały smutne pamiątki. Na okolicznych poloninach i polanach leśnych długo znajdowano ponure ślady niedawnych walk bratobójczych. Dzieci w każdej wolnej chwili chodziły tam z nadzieją znalezienia czegoś ciekawego lub przedmiotu przydatnego w domu. Ściągano więc na wpół przegniłe buty wojskowe, rzemienie, hełmy, *patrontasze*², karabiny i inne przedmioty. W pamięci Nastii długo zapadły widoki rozkładających się ciał ludzkich, poszarpanych w ciągu zimy przez wilki i lisy. Były przypadki znalezienia zawiniątek z dokumentami, zdjęciami osób najbliższych lub niewielkimi kwotami pieniędzy, a nawet z napisanymi i nigdy nie wysłanymi listami do rodzin. W wielu przypadkach,

¹ W niewolę (ukr.)

² Torba na amunicję (z niem.)

szczególnie na polecenie miejscowego proboszcza, nieszczęśnikom organizowano pogrzeby, lub po prostu przysypywano ich kopcami ziemi. Wszystko to stwarzało makabryczny obraz wojny i refleksje na temat bezsensowności konfliktów między narodami. Wśród miejscowych ludzi na długo wytworzyła się psychoza strachu przed wojną, powodująca narastanie lęków również w czasach późniejszych na wieść o jakimkolwiek konflikcie politycznym. Jak się później okaże, lęki te nie na długo pozostały li tylko w sferze odczuć, ale zbyt szybko przeistoczyły się w nowe fakty.

Tymczasem w rodzinie Chyrów starano się usuwać poniesione straty i leczyć obrażenia wojenne. Ojciec powoli, ale w sposób widoczny powracał do zdrowia. Co prawda, długo jeszcze jątrzyła się i otwierała rana postrzałowa, kaszlał i pluł krwią, lecz w każdym tygodniu można było zauważyć, że przybywa mu sił i ciała. Chociaż sam jeszcze długo nie mógł pracować w gospodarstwie, to jego obecność i dobra rada podtrzymywała na duchu Paraskę i starą matkę. Dzieci też czuły się raźniej, wiedząc, że ojciec jest w domu. Na początku lata zaczynał chodzić i wykonywać lżejsze prace przy inwentarzu i utrzymaniu obejścia. Natomiast jesienią ponownie wrócił do pełnego *gazdowania*¹.

Uporządkowano wiele spraw w gospodarstwie, całkowicie wykonano wszystkie prace polowe oraz ponownie uruchomiono rodzinny młyn, który – tak jak wcześniej – nie tylko miał służyć na własne potrzeby, ale zaczął przynosić niewielkie dochody. Przed zimą cała rodzina była pełna otuchy i nadziei na lepsze, normalne życie. O tym, że życie w rodzinie Tychani wróciło niemal całkowicie do stanu normalnego, świadczyć może fakt, że zimą Paraska „rozbyła się w sobie”, brzuch jej się zaokrąglił i przybliżył do brody. Natomiast pod koniec wiosny powiła ładnego i tęgiego syna, któremu dano na imię Teodor – na pamiątkę zmarłego dziadka. Teraz w rodzinie było ponownie czworo dzieci: córka Anastazja, i synowie: Mikołaj, Andrzej i Teodor.

* * *

W następnych latach zachodziły dalsze zmiany zarówno w układzie politycznym, w życiu Przybyszowa i w bycie rodziny Chyrów, o których zwięzajowo mówiono tu Tychania.

Wojna, którą potem nazwano pierwszą wojną światową, trwała jeszcze dwa lata. Jak nigdy w dotychczasowej historii, w konflikcie tym zamieszanych było wiele państw niemal z całego świata, przeplatały się interesy różnych narodów, w których trudno było jednoznacznie ustalić o co komu chodzi i jakie są prawdziwe racje. Dziwne były również przebiegi samych walk, ale najbardziej tragicznym wydźwiękiem były wielomilionowe straty w ist-

¹ Znaczy: gospodarzenia (łemk.)

nieniach ludzkich. Powstało kilka nowych państw, inne odzyskały wcześniejszą suwerenność. Pozmieniały się przynależności terytorialne i początek wzięła nowa, katastrofalna ideologia, zwana komunizmem.

Jak to zwykle bywa, do wielu peryferii nie dochodziła wielka polityka, a jej działanie ludzie poznawali tylko po skutkach. Tak było i na Podkarpaciu, a ściślej rzecz biorąc w Galicji Zachodniej, na pograniczu Beskidu Niskiego i Bieszczad. Jeszcze jesienią 1916 roku doszła tu wiadomość, że po sześćdziesięciu ośmiu latach panowania odszedł na zawsze Jego Cesarska Mość Franciszek Józef Pierwszy. Wraz z nim zamknęła się pewna epoka. Wojna zakończyła się upadkiem Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Na mocy porozumień międzynarodowych, a może bardziej w wyniku faktów dokonanych, tereny od wieków zamieszkałe przez Łemków przeszły pod władanie państwa polskiego, które odrodziło się po przeszło stu dwudziestu latach niewoli niemiecko-austriacko-rosyjskiej. Zmianę tę ludzie przyjęli z nadzieją, ale bez wielkiego entuzjazmu. Nadzieja była w tym, że skończy się tyrania panowania zaborcy, nie będzie trzeba już służyć obcemu panu i stawać na polach walki przeciwko swoim braciom, znajdującym się pod innym władaniem. Obawy natomiast wynikały ze świadomości, że skończyła się służba jednemu mocarzowi, a przyjdzie się poddawać innemu. Wszak i tak będzie się pod obcym panowaniem. Jednak natenczas nadzieje były większe od obaw, ponieważ nowy pan był bardziej swoim, niemal bratem. Przecież wśród Polaków żyło się i za czasów panowania austriackiego. Wtedy wróg był wspólny, to dlaczego i teraz by nie żyć po bratersku?

W Przybyszowie, jak i w setkach innych wiosek w tym regionie, zmiana państwowości nastąpiła bez większych ostentacji. Zmieniły się tylko urzędy na wyższych szczeblach, a tu, na miejscu życia kierowali ci sami ludzie – wójt, sołtys, proboszcz. Ci sami Żydzi trzymali w swoich rękach handel i wszelakie interesy. Byli ci sami lekarze, adwokaci i inni oficjałowie. W szkołach już wcześniej i teraz nauczano rodzimej mowy, tylko językiem podstawowym, tu i w urzędach, od tej pory był już język polski. Nikt jednak w urzędach spraw za dużo nie miewał, a gdy się już tam znalazł, to wcale nie musiał wysilać się na używanie innej mowy niż swojej, ojczystej. Jak ktoś miał, to teraz wydawał już inne pieniądze. Zamiast marek austriackich były marki polskie. Bywało, że niektórzy nie mała stracili na zmianie waluty. Za czasów austriackich wiele osób zgromadziło, zaoszczędzone głównie na skromnym życiu, spore kwoty. Gdy podczas zmian politycznych radzono im zamianę pieniędzy, lub wydanie ich na artykuły bardziej użyteczne, odpowiadali:

– *Na moj duszu*¹, cesarskie pieniądze nigdy nie upadną.

¹ Zwyczajowa przysięga łemkowska (dosłownie: na moją duszę; porównywalnie odpowiednik przysięgi w języku polskim „jak Boga kocham”). Inna przysięga, potocznie tu używana to „Bih me” (niech mnie Bóg...; łemk.).

Ale potem pieniądze te upadły i były nieważne nie tylko tu, ale również i na Węgrzech i w samej Austrii. Opowiadano jeszcze w przyszłych latach o przypadkach, jak to banknoty te dawano potem dzieciom do zabawy i cały zaoszczędzony, zaklęty w tych magicznych papierkach, trud poszedł na marne.

W krótkim okresie po zakończeniu wojny, w Przybyszowie wybudowano szkołę. Powstała ona nieopodal zabudowania Chyrów, na niewielkim pagórku, gdzie strumyk płynący z góry *Rozdill'ja*, wpadał do Przybyszówki – naprzeciw cerkwi pod wezwaniem Św. Matki Paraskewii. Za cerkwią natomiast, patrząc od strony szkoły, urządzono nowy cmentarz, ponieważ stary był już mocno przepełniony. Wybrano miejsce pod zboczem góry zwanej „Łaski”, po lewej stronie potoku wpadającego do Przybyszówki. Tak więc, w okolicach zabudowań naszej rodziny powstawało jakby swego rodzaju centrum, skupiające wokół siebie ludzi podczas ważnych, wesołych i smutnych wydarzeń życiowych.

Życie w rodzinie dorastającej Anastazji toczyło się teraz spokojniej. Po zakończeniu wojny gospodarstwo stanęło ponownie na nogi. Dzieci stawały się mocniejsze i były już bardziej pomocne we wszelkiego rodzaju pracach. Łatwiej więc było utrzymać większą ilość inwentarza i prace polowe przebiegały bez większych zakłóceń. Działanie młyna uzależnione było natomiast tylko od stanu wód. W porach deszczowych potok płynący z *Rozdill'ja* był w stanie wykonać więcej pracy, a wtedy i dochód również był znaczniejszy. W okresach suszy natomiast trzeba było przez jakiś czas gromadzić zgaconą wodę, aby zmielić zboże zaledwie na własne potrzeby.

Jan od Chyrów, jak powiadali miejscowi *Iwan Tychani*, powszechnie uważany był za człowieka pracowitego i solidnego. Cieszył się uznaniem i autorytetem nie tylko wśród rodziny, ale i ze strony sąsiadów, wójta, a nawet plebana. W dowód wielkiego zaufania powierzono mu rolę *cerkownego*¹. Do jego obowiązków należało nie tylko utrzymanie miejscowej świątyni w należytym stanie, ale prowadził również nadzór nad finansami parafii.

* * *

Teraz możemy już przenieść się do roku 1922. Wprawdzie liczebność rodziny nie zmieniła się – nadal mieszkało tu siedem osób. Jednak zaszły zmiany w jej składzie. Mianowicie na zawsze odeszła, z nadzieją spotkania się ze swoim mężem i wnukami, stara Oksana – matka Jana, babcia Nastki i jej rodzeństwa. Przybył natomiast kolejny syn, któremu na imię dano Stefan. Teraz miał on już trzy latka i bardzo zaradnie uczył się poznawać ten świat. Dziecko było nadzwyczaj rozgarnięte i przepowiadano mu ciekawą przyszłość.

¹ Kościelny w cerkwi greckokatolickiej.

– Ten chłopiec nie będzie byle kim – mawiali ludzie, widząc jak pilnie obserwuje życie, ładnie rozmawia i szybko uczy się nowych umiejętności. – Może nawet będzie księdzem, albo jakim nauczycielem. Kto wie, kim on będzie...

– Oj, kumo – odpowiadała wtedy Paraska, – za wcześniej o tym myśleć. Ważne, żeby Bóg dał mu zdrowie, a potem sam zrobi co zechce.

– Nie tylko to jest ważne, co zechce – dodawał Jan, – ale to, co będzie mógł zrobić. Świat nie jest łatwy dla biednych ludzi...

– Prawdę, prawdę mówicie.

Późną jesienią, jak zwykle o tej porze roku, nasilenie prac zmalało. Dzień się skrócił i ludzie już więcej czasu spędzali w domach, spotykali się na rozmowach, prowadzonych przeważnie przy przedzeniu, tkaniu, darciu pierza lub majstrowaniu. Wtedy też częściej można było wyjechać na targ do pobliskiego miasteczka, aby coś sprzedać albo kupić. Zwyczaj taki miał też poczciwy Jan. Bywało, że po takim wyjeździe powracał dosyć późno, bo lubił porozmawiać ze znajomymi lub przygodnie poznanymi ludźmi. Rozmowy takie odbywały się niekiedy też w żydowskiej karczmie przy szklaneczce piwa lub okowity.

Pewnego razu, po załatwieniu kilku spraw, siedział sobie więc poczciwy Jan przy kolejnej już szklance piwa w karczmie niejakiego Joszka w Bukowsku. Nie spostrzegał nawet jak szybko czas upływa i nie zwracał też uwagi na fakt, że już całkowicie zmierzch zapadł. Od czasu do czasu wychodził tylko na drogę sprawdzić, czy konie mają się dobrze i czy nie zabrakło im może obroku, który miały uwieszony w ten sposób, że pysk znajdował się wewnątrz worka i co chwilę mogły sięgnąć po nową porcję sieczeni owsem. Wiedział, że tam, w domu czekają na niego żona z dziećmi, ale on przecież nie zapominał o nich, bo dla każdego coś miał w tobołku: a to kołacz w postaci słodkiej bułeczki, zwanej tu gąską, a to porcję *bonbonów*¹ lub scyzoryk dla chłopaków. W szczególny jednak sposób tego wieczoru pamiętał o najstarszej i dotychczas jedynej córce – Nastii.

– To mówicie, sąsiedzie – nawiązał do rozpoczętej wcześniej rozmowy Maciej, gospodarz z sąsiedniej wioski, Karlikowa, gdy Jan kolejny raz powrócił do szynku po sprawdzeniu, czy konie dobrze się sprawują, – że macie w domu córkę na wydaniu?

– A mam, żebyście wiedzieli, że mam – odpowiedział Jan, podkreślając sobie sumiaste wąsy. – Mam córkę, osiemnaście lat jej minęło, a zimą skończy dziewiętnasty. Na imię jej Nastia. Anastazja, rozumie się. A wy co, sąsiedzie? Macie może syna?

– A mam. Gotowy do żeniaczki. Na imię mu Stefan. Skończył już dwadzieścia trzy lata i czas mu założyć własną rodzinę. I niewiastka w domu

¹ Rodzaj cukierków do ssania (z niem.).

przydałaby się, bo roboty w gospodarstwie dużo, a moja sama wszystkiemu nie podola.

– Macieju, a ziemi macie dużo?

– Będzie tego ze dwanaście morgów, a do tego jeszcze kawałek łąki i lasu. Trzecią część mogę zapisać Stefanowi, bo mam jeszcze młodsze dzieci. A wy, *Iwanie*, dużo macie ziemi? Ile możecie dołożyć dziecku na wyprawę?

– Ziemi mam dużo. Dzieci też jest gromadka, ale im jeszcze daleko do żeniaczki. Nastii mogę dokupić ze trzy morgi i z *chudoby* też z obory mogę coś wyprowadzić.

– No to wypijemy jeszcze po kufelku, *Iwanie*, a potem pogadamy – odpowiedział na to Maciej z Karlikowa i zawołał na karczmarza: – Podaj jeszcze dwie czarki piwa, tylko żwawo.

Dopili dwaj kompani piwo, zapłacili ile należało się marek i udali się w podróż powrotną. Maciej skorzystał z okazji i wsiadł na furę Jana, bo droga do Przybyszowa prowadziła przez Karlików. W domu Jan, przywitany przez żonę niezbyt przychylnie z powodu długiej jego nieobecności, wykupił się przywiezionymi podarkami i kołaczami, wyprzągł i nakarmił konie i poszedł spać. Następnego dnia przy wieczery rozpoczął rozmowę:

– Słuchajcie Parasko i ty Nastio. Powiem wam coś ważnego. Nie myślcie, że wczoraj w Bukowsku na darmo zabawiłem. Miałem ważną rozmowę. Poznałem tam zanego człowieka, gospodarza z Karlikowa. Maciej ma na imię. Maciej Zachar – dodał po chwili.

– Wiem, że w Karlikowie mieszkają Zacharowie – przerwała mu Paraska, – ale co z tego, że ty go poznałeś.

– A to z tego, że to porządny i szanowany człowiek. Ma syna Stefana, którego chce żenić. Tak sobie pomyślałem, że byłby akurat dla naszej Nastii.

– Jak to, tato – włączyła się do rozmowy Nastka, – dlaczego dla mnie?

– A komu tu czas za mąż wychodzić, chyba nie twojej matce – stanowczo przerwał Jan. – Jesteś już dorosła, a w domu ludzi jest dosyć. Musisz pomyśleć o własnej rodzinie. Widzisz, że matka niedługo znów zlegnie i będzie nas w domu więcej.

– To chcecie mnie za chłopca wydawać, bo wam w domu ciasno ze mną?

– Oj, ty głupia... Nie chcę się ciebie pozbyć dlatego, że w domu jest ciasno. Chleba wystarczy dla wszystkich, ale zawsze z nami żyć nie będziesz. I tak kiedyś z domu pójdziesz, a teraz trafia się dobry kawaler i trzeba z tego skorzystać.

– Skąd wiesz, że dobry – wtrąciła się do tej, niezbyt przyjemnej, rozmowy Paraska. – Przecież go nie widziałeś.

– A właśnie widziałem, bo odwiozłem wczoraj Macieja aż do domu i zaszedłem do nich. Jest wyrośnięty, zdrowy i niczego mu nie brakuje.

Na tym rozmowa się zakończyła. W niedzielę rano, ledwie spożyto śniadanie, a na podwórko zajechał wóz z trzema mężczyznami. Wśród nich był wspomniany już Maciej Zachar z synem i trzeci człowiek, spełniający rolę swata. Rozmowa nie była zbyt długa. Zaproszono gości do izby, ugoszczono czym chata bogata, porozmawiano o gospodarce i o świecie, po czym gospodarz zaproponował:

– A teraz z gośćmi naszymi napijemy się po kwaterce gorzałki. Nie odmówicie, prawda?

– Wypić nie odmówimy – odpowiedział ten trzeci, co bawił się w rolę swata, – ale waszej pić nie będziemy, bo dzisiaj gorzałkę swoją przynieśliśmy.

Mówiąc to, wysupłał z zanadru kapoty butelkę okowity i z szaruncim stuknięciem postawił na dębowy stół. Jan podsunął blaszane garnuszki, po czym już było słychać bulgotanie płynu, wylewanego ze szklanej butelki.

– Przyszliśmy tu – ciągnął dalej swat, – aby zapytać was, drodzy gospodarze, czy zechcielibyście oddać waszą córkę za tego, oto, młodziana?

Tu wskazał na siedzącego przy rogu stołu Stefana. Ten zaś zarumienił się i spojrzał na opartą o narożnik pieca Nastkę. Dziewczyna również spłonęła rumieńcem i spuściła głowę. Przez chwilę nastąpiło milczenie. Ojciec spojrzał na córkę, a potem na żonę, która była już w dziewiątym miesiącu i po chwili rzekł:

– Ano, już rozmawiałem z Maciejem. Stefana też widziałem. Teraz dobrze byłoby, żeby poznali się młodzi. Pytałem o was we wsi i powiedzieli mi, że porządną rodziną jesteście. My też z dziada pradziada tu siedzimy i gospodarkę mamy nienajgorszą. A i młyn do tego prowadzimy. Nastia pracować umie i gospodyni z niej będzie niezgorsza. Trzeba więc zastanowić się nad tym. Ale i młodych zapytać wypada.

Tu Jan podkręcił wąsy i spojrzał na przybyłego Stefana, a po chwili na Nastię.

– No, co wy, dzieci, na to? – zapytał po chwili.

– Właśnie, zapytajmy młodych – podjął myśl Maciej z Karlikowa.

– Nastio, co ty na to powiesz? – powtórzyła po mężu Paraska.

Dziewczyna jeszcze bardziej zarumieniła się i przez chwilę stała bez ruchu. Spojrzenia starszych obróciły się w stronę kawalera. Ten po chwili namysłu odchrząknął i przedstawił swoje stanowisko.

– Jakbym nie chciał z Nastią się żenić, to bym tu nie przychodził. A tak proszę was żebyście się zgodzili wydać ją za mnie.

Oczy wszystkich teraz spoczęły na speszonej dziewczynie, która po chwili milczenia odezwała się:

– Ja do tej pory nie znałam Stefana, a o wydawaniu też jeszcze nie myślałam. Ale jak tatko i mamcia każą, to muszę pomyśleć. Jeszcze mam czas,

a wesela teraz, przed gwiazdką też nikt robić nie będzie. Trzeba poczekać kilka tygodni.

Wypowiedź Nastii przyjęto po prostu jako brak odmowy, co było równoznaczne z wyrażeniem zgody. Obgadano jeszcze kilka szczegółów co do obiecanych posagów, a wyznaczenie terminu zaślubin przełożono na czas późniejszy. W tym okresie młodzi mieliby bardziej poznać się, co zresztą i tak niczego nie miałyby zmienić. Najważniejsza była zgoda rodziców. A więc wszystko miałyby być według ich woli. Oczywiście było dla wszystkich, że po ślubie, który miałyby nastąpić, młodzi zamieszkają w domu rodziców Stefana, a w przyszłości mieliby stać się spadkobiercami gospodarstwa w Karlikowie.

Nastała zima. Sroga i mroźna, z dużą ilością śniegu, jak wszystkie inne zimy w tym regionie podgórskim. Klimat tu bywał surowy, ale jednocześnie przyjazny dla ludzi. Wszystkie pory roku były wyraźnie oddzielone od siebie. Zimy były ostre, a po nich następowały wiosny, nasycone bujną zielenią roślinności i obfitymi kwiatami pól i łąk. Lata były zazwyczaj gorące z chłodnymi nocami i porankami. Wiosna i lato zawsze tworzyły istny raj dla licznych pasiek. Pszczoły stanowiły niemal w każdej zagrodzie poważne źródło uzupełnienia zapasów w żywieniu, a jednocześnie dawały tak ważny materiał jak воск, z którego wytwarzano świece dla użytku domowego i świątyń. Jesień zawsze nasyciona była obfitością kolorów zasypiających na zimę drzew i krzewów, wśród których występowało mnóstwo owoców leśnych – jagód, malin, jeżyn, licznych grzybów i orzechów. Lasy, oczywiście, stanowiły jedyne źródło zaopatrywania się mieszkańców w opał do ogrzewania mieszkań i przygotowywania posiłków. Tak więc, ludzie stanowili część przyrody, a przyroda była integralnym elementem ich życia.

Jeszcze przed końcem roku i znacznie przed świętami Narodzenia Pańskiego¹, Paraska urodziła kolejne dziecko. Tym razem na świat przyszła córeczka, której na imię dano Maria. W ten sposób liczba żyjących dzieci zwiększyła się do sześciu, a wewnątrz łemkowskiej *chyży* znów uległo zagęszczeniu. W sytuacji takiej Nastia sama coraz częściej myślała, czy nie byłby już czas opuścić ojcowiznę. Niedługo miała skończyć zaledwie dziewiętnaście lat, ale w tamtym czasie dziewczyny w tym wieku zazwyczaj zakładały już swoje rodziny, co wcale nie oznaczało, że usamodzielniają się życiowo. Młode małżonki często zamieszkiwały w domach swoich mężów, gdzie główną gospodynią – do czasu naturalnego odejścia – nadal pozostawała teściowa, a do tego w domu jeszcze zawsze było inne, liczne rodzeństwo. Tak też było i w tym przypadku. Rodzice Stefana byli jeszcze w nie-

¹ Święta w obrządku greckokatolickim obchodzone są według kalendarza juliańskiego i w związku z tym Boże Narodzenie przypada na początku, a nie – jak w obrządku łacińskim – na koniec roku (opóźnienie o 13 dni).

zbyt zaawansowanym wieku, w domu były młodsze dzieci i można było spodziewać się następnych. Synowa była potrzebna, jak to mówiono, za niewiastkę, co przede wszystkim oznaczało nabycie młodej kobiety do pomocy nie tylko w pracach przydomowych, ale również w polu. Z takiej kolei rzeczy zdawały sobie sprawę wszystkie dziewczyny i przeciwko temu nie wysuwały żadnych sprzeciwów. Podporządkowała się więc temu również Nastia. Wiedziała, że musi wyjść z domu, bo taka jest kolej rzeczy, a nadzieję na jakąś samodzielność należało odłożyć na nieznaną przyszłość.

Podobnie było ze sferą uczuciową. Nie zawsze zawarcie małżeństwa poprzedzone było wcześniejszym zakochaniem się. Tak bywało, gdy młodzi znali się od lat i pochodzili z tej samej miejscowości. Małżeństwa jednak często były zawierane pomiędzy ludźmi pochodzącymi z różnych wiosek, a ich wzajemne poznanie się następowało w okresie krótkiego narzeczeństwa, lub dopiero po ślubie. Bywały przypadki, że zakochanie się nigdy nie następowało, z czego nawet nie zawsze pary takie zdawały sobie sprawę. Po prostu w małżeństwie były wspólne obowiązki i z nich należało się wywiązywać. A potem przychodziły też wspólne kłopoty, które trzeba było przezwyciężać.

Zdarzały się też przypadki, że związki małżeńskie były zawiązywane nie z tą osobą, o której druga strona myślała. Na przykład w sąsiedniej Płonnej młody i przystojny kawaler o imieniu Mikołaj wyswatany był z niebrzydką dziewczyną z położonej dalej wioski Duszatyn. Wielki był jego zawód, gdy do ślubu teście przyprowadzili dużo starszą siostrę oblubienicy, o urodzie, delikatnie mówiąc, znacznie niższej od przeciętnej. Wobec takiego postanowienia rodziców na nic zdały się próby protestów i płacz młodzieńca. Małżeństwo zostało zawarte przed majestatem cerkiewnym i tak musiało pozostać do końca ich dni. Małżeństwo to, jak się później okazało, było nawet udane, dochowano się w nim liczne potomstwa i dożyło wspólnie długich lat.

W tej opowieści jednak nic tak koszmarnego się nie wydarzyło.

Zaślubiny Anastazji i Stefana odbyły się dopiero na Wielkanoc 1923 roku. Do tego czasu – po odbytych porodach – wzmocniła się matka pani młodej, Paraska i odchowana nieco została najmłodsza siostra, Maria. Ślub odbył się według bogatej ceremonii bizantyjskiej w cerkwi pod wezwaniem Św. Matki Paraskewii w Przybyszowie. Po odśpiewaniu na koniec pieśni „*mnohaja lita*”¹ nastąpiła uroczystość weselna. Przybyli goście obdarowywali młodych prezentami w postaci ręczników, pościeli i przedmiotów do użytku domowego. Wśród prezentów zebrano też, szczególnie od bliższej rodziny, przyzwoitą sumę pieniędzy w markach polskich. Obliczono, że za

¹ Dosłownie: „Mnogie lat”. Pieśń śpiewana według obrządku wschodniego z okazji wielkich uroczystości lub ważnego winszowania. Odpowiednik łacińskiego śpiewu „*plurimus annos*”.

tę kwotę można było nabyć pierwszej jakości krowę. Następnego dnia odbyły się przenosiny do nowego domu Nastii w Karlikowie. Odległość pomiędzy wioskami nie była duża, więc cały orszak drogę pokonał pieszo, a przegrywała mu kapela cygańska. Młodzi siedzieli na wozie, do którego zaprzęgnięte były dwa kare konie huculskie. Z tyłu usadowili się rodzice nowożeńców i ułożono ładę¹ z ubraniami, pierzyną i innymi drobiazgami, a do wozu przymocowana była na powrozie dwuletnia krowa.

W Karlikowie gości weselnych goszczono jeszcze do późnego wieczora. Spożywano różne potrawy, częstowano się gorzałką i przytupywano przy akompaniamencie cygańskich gęśli. Nad ranem cały korowód powrócił do Przybyszowa. Zakłopotana nieco zmianą swojej sytuacji, Nastia pozostała z mężem, na łasce teściów, a dokładniej mówiąc, na łasce teściowej, która w tym domu zawsze stanowiła o wszystkim i tylko jej racja musiała być na wierzchu.

Dom rodziny Zacharów w Karlikowie, chociaż schludny, nie był zbyt wygodny. Składał się z sieni, głównej izby z piecem, w której przygotowywano posiłki, przebywano w czasie wolniejszym od zajęć gospodarskich i odpoczywano w nocy oraz z dodatkowej izby z małymi oknami, przeznaczonej głównie na spoczynek nocny dla gości. Z sieni dodatkowe wejście prowadziło jeszcze do komory, w której składowano wszelakie narzędzia, zapasy zboża, przedziwa i różne przedmioty użytkowe. Trzecie drzwi z sieni prowadziły do pomieszczeń gospodarskich – obory i *boiska*².

Dotychczas rodzina ta składała się z sześciu osób – gospodarzy, Stefana, starego ojca i dwojga dzieci, z których jedno nie skończyło jeszcze dwóch lat. Teraz do tej czeready przystała Nastia, jako szósta osoba. Młodemu małżeństwu przydzielono do zamieszkiwania, a raczej do spania, mniejszą izdebkę, w której, chociaż utrzymywana była we względnej czystości, znajdowało się prawie wszystko – skład starych i często nieużywanych ubrań, wiekowe już meble, naczynia kuchenne i wiele innych rupieci. Powietrze było duszne i wilgotne. Okienka, poutykane od zewnątrz mchem mającym chronić od wiatru, nie dawały się otworzyć i wymiana powietrza nie była możliwa. Podobnie było w całej chacie. Nie wydawało się więc dziwne, że młody małżonek ciągle pokastywał i chrząkał. Cera jego była blada, a oczy miał stale mętne. Podobnie wyglądały młodsze dzieci.

Od pierwszej chwili pobytu Anastazji przydzielono do wypełniania wiele prac, głównie w obejściu. Sposób ich wykonywania był bacznie obserwowane przez teściową i nie zawsze pochwalany. Uwagi miała w zasadzie do wszystkiego – a to, że za wolno, a to, że niedokładnie, albo znów, że nie tak trzyma przyrządy. Przy próbie gotowania stawy młodej gospodyni obrywało się, że jest zbyt hojna i za dużo używa masła lub innej omasty. Na-

¹ Drewniana skrzynia na składowanie bielizny.

² Tak określano stodołę.

strój taki nie był budujący. Nastka od pierwszej chwili zaczęła odczuwać, że nie pracuje na swoim, tak jak w domu rodziców i że bardziej spełnia tu rolę służącej, niż współgospodyni. Jeżeli dodać by jeszcze do tego tęsknotę za rodzicami i młodszym rodzeństwem, to byłby to cały obraz jej nieszczęśliwego samopoczucia.

W pierwszym okresie pobytu w Karlikowie nastroju tego nie było w stanie poprawić upojenie uczuciami do męża, bo po prostu uczucia takie jeszcze się nie pojawiły. Podczas pierwszego widzenia się ze Stefanem przed niespełną pół roku, nie nastąpiło pierwsze zauroczenie, jak to bywa pomiędzy dwójkiem młodych ludzi, gdy wzajemnie zakochują się w sobie. Potem do czasu ślubu widzieli się zaledwie kilka razy i prawie nigdy na osobności, a teraz Nastia bardziej była pod wrażeniem przymusowego pobytu w cudzym domu i oddzielenia od najbliższej rodziny, niż obcowania z mężem. Co prawda, pierwsze zbliżenia napełnione były wrażeniem nieznanych dotąd doznań, spowodowanych raczej naturalną zmysłowością, niż miłością. Po upływie pewnego czasu kontakty te coraz częściej podbudowane były już uczuciami. Uczucia te jednak jednocześnie osłabiane były brakiem zrozumienia ze strony matki męża i nadmiarem obowiązków. Stefan natomiast nie umiał i nie był w stanie złagodzić tych ambiwalentnych odczuć młodej małżonki, co jeszcze bardziej pogłębiało świadomość krzywdy, jaką odczuwała Nastia.

Bywało niekiedy, że w wolniejszy od nawału pracy dzień Nastia wybierała się w odwiedziny do rodzinnego domu. Odległość tę młoda kobieta pokonywała w trzy kwadranse i w wizytach tych nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie fakt, że po ich zakończeniu nie zawsze chciała wracać do swojego nowego domu.

– Nastio, czemu się ociągasz? Powinnaś już iść do domu – przypominała jej matka.

– Mamo, przecież ja jestem w domu, a do Karlikowa nie chcę już wracać. Tam nie jest mi dobrze.

– Dziecko, nie mów tak! – karmiła ją Paraska. – Tam jest twój mąż i musisz być razem z nim. Jeżeli zaraz nie wrócisz, to co powiedzą na to Maciej i Ksenia? I Stefan będzie zły. Musisz wracać.

– Wiem, że muszę wracać. Ale to wasza wina. Po co mnie wydaliście za mąż? Ja jeszcze nie chciałam.

– Ja ci dam: wasza wina! – złościł się na to ojciec – Jeżeli tak będziesz mówić, to ci zabronię tu przychodzić. Czy zrozumiałaś?

– Tak tato, rozumiałam, że mnie tu nie chcecie. A ja nie chcę być tam i co wobec tego mam nieszczęsna zrobić?

Po chwili Jan uspokajał się, przytulał Nastię do siebie i, już udobruchany, tłumaczył:

– Nie masz czego płakać. Pobędziesz tam jakiś czas, to przywykniesz. Twojej matce też nie od razu spodobało się w Przybyszowie. Zobaczysz, że przywykniesz.

I tak pocieszona, a raczej przymuszona, powracała Nastia do Karlikowa z nadzieją, że wszystko się odmieni. Sama nie bardzo wiedziała jakiej odmiany oczekuje – czy to będzie nagły przypływ większych uczuć do męża, czy też ją bardziej polubi teściowa, a może nastąpi jeszcze coś innego... Ale co?

W niedługim czasie odmiana taka nastąpiła. Podczas prac jesiennych Nastia nagle poczuła się dziwnie. Najpierw zrobiło się jej jakby słabo, a potem zaczęło ją mdlić i ogarnęły ją zawroty głowy. Nie wiedziała, co to wszystko może oznaczać. Przerwała więc wykonywane prace przy wrywaniu i czyszczeniu brukwi, a raczej *karpeli*, jak tu mówili na tę roślinę i opowiedziała o tym teściowej.

– Mamo, ja coś źle poczułam się i nie mam siły pracować.

– A co ci się stało, Nastio?

– Mdli mnie w dołku i w głowie się kręci. Chyba muszę wymiotować.

– Idź tam, na miedzę i odpocznij chwilę – jak nigdy, dobroduszenie odpowiedziała Ksenia. – Nic ci nie jest. Po prostu jesteś brzemienna. Będziesz miała dziecko.

Wieczorem Nastia poinformowała o tym Stefana.

– Wiesz, na polu źle się poczułam, a mama powiedziała, że jestem brzemienna, to znaczy będziemy mieli dziecko.

– To dobrze – odpowiedział Stefan. – To dobrze, że będziemy mieli dziecko. Teraz już naprawdę będziemy rodziną.

Od tego czasu Nastia już nieco mniej rozmyślała nad swoim położeniem. Teraz interesowało ją, jak to będzie w nowym położeniu. Będą mieli dziecko i trzeba będzie się zająć jego wychowaniem. „Tak, to dobrze” – powtórzyła w myśli za mężem. Nie jest przecież tak źle. Ma męża, ma gdzie mieszkać i z czego żyć. Stefanowi należy się część gospodarstwa, a w domu przyobiecano jej przecież, że w przyszłości ojciec pomoże im w dokupieniu ziemi. Ma swoją krowę. Może więc kiedyś dorobią się własnego gospodarstwa. A teraz i tu można żyć. Kiedy już będzie dziecko, to i teściowa na pewno w końcu ją polubi za urodzenie wnuka.

Uświadomienie sobie tego wszystkiego i snucie planów na przyszłość pozwoliło na inną ocenę swojej sytuacji. Zaowocowało to pogłębieniem uczucia do męża. W końcu to już nie tylko mąż, ale również ojciec jej dziecka. Po prostu: to jej Stefan.

Nastała zima – okres znacznie wolniejszy od licznych obowiązków. W domu, jak zawsze w takim okresie, wykonywane były prace związane z poprawą wyposażenia domowego. Nastii brakowało jednak tej atmosfery towarzyskiej, w jakiej wychowywana była w Przybyszowie. Tu też czasami

przychodzili ludzie, ale to nie byli ci sami, którzy w rodzinnym domu przysparzali zawsze tyle radości. Jednak teraz coraz częściej myślała o własnych sprawach. Wkrótce przecież będzie matką i musi podołać nowym obowiązkom. Zimą rzadziej już odwiedzała swój rodzinny dom, przez co bardziej była związana z nowym miejscem zamieszkania. Niepokoila ją nieco ciasnota w izdebce, którą jej przydzielono, ale pomyślała, że i z tym można sobie poradzić. Wystarczyłoby co nieco tu uporządkować i wynieść w inne miejsce przedmioty niekonieczne do bieżącego użytku.

Zimą zachorował Stefan. Przeziębił się i dostał silnej gorączki. Wszyscy mówili, że to zapalenie. Stawiano mu bańki, masowano brzuch i zaparzano zioła. Choroba przeciągnęła się niemal do wiosny. Kiedy jednak ociepliło się i należało już wychodzić w pole, to i Stefan nabrał nieco sił i potrafił już nawet chodzić za pługiem, lecz był bardzo osłabiony, często pocił się i trapiły go napady suchego kaszlu.

– To minie, jak całkowicie ociepli się na świecie – mawiały miejscowe znawczynie od wszelkich boleści. – Wygrzeje się na słońcu, nawdycha letniego powietrza i będzie dobrze.

Dobrze jednak nie było. Okresowo następowały poprawy, to znów przychodziły większe osłabienia, ale wszyscy byli dobrej nadziei. Tymczasem brzemienność Nasti stawała się coraz bardziej okazała i należało myśleć o nadchodzącym rozwiązaniu.

– Wiesz, Stefcu – ozwała się pewnego razu Nastia, – już niedługo zlegnę. Będzie małe dziecko, a my nic dla niego nie mamy, ani kołyski, ani pieluszek, czy coś do ubrania. Nie mam z czego uszyć tych rzeczy, bo płótno, co jest w domu nie nadaje się dla maleńkiego dzieciątka. Tak pomyślałam, że teraz, kiedy jeszcze mogę, powinniśmy pójść do miasteczka i kupić potrzebne rzeczy. Sama też nie bardzo będę miała w co się ubrać, gdy przyjdzie dziecko zanieść do chrztu.

– Tak, to prawda – odpowiedział Stefan, – ale za co my to wszystko kupimy. Przecież matka nie da nam pieniędzy.

– Pieniądzy powinna dać, bo przecież cały rok tu pracowałam – odpowiedziała Nastia. – Ale wiem, że ona nic nie da, dlatego pomyślałam, że trochę trzeba ruszyć z tych pieniędzy, co dostałam na prezent ślubny.

– Te pieniądze nie są przeznaczone na fatałaszkę – oburzył się Stefan. – Może kiedyś pójdziemy na swoje i trzeba będzie coś do domu dokupić.

– A jak my pójdziemy na swoje? Kto nam pomoże? – rozżaliła się Nastia. – Pieniądzy przydałyby się, ale są bardziej potrzebne już teraz. Trochę weźmiemy, a reszta niech leży.

Mąż się zgodził na taką propozycję. Następnego dnia zaprzągnął konie do wozu i udali się do Bukowska. Nastia rzadko dotychczas wychodziła poza Przybyszów – najwyżej na odpust do innej wioski, a w Bukowsku była tylko kilka razy w życiu i raz z ojcem pojechała do Sanoka. Wszystko tu wydawa-

ło się jej ciekawe. Były nowe sklepy i dużo straganów na jarmarku. Wszędzie pełno różnych napisów. Jednak nie mogła zauważyć, że napisy te już nie są wykonane w języku niemieckim, jak za Austrii, lecz po polsku, bowiem biedaczka nie umiała czytać ani pisać. Za jej dzieciństwa nie było we wsi szkoły, a nikt nie pofatygował się żeby dziecku pokazać litery. „Po co dziewczynie potrzebne jest pisanie i czytanie?” – mawiali wszyscy. Faktycznie, pracować w polu i w zagrodzie można i bez takich mądrości...

Młode małżeństwo oczekiwało jeszcze inne zaskoczenie. Po obejrzeniu niezbędnych im towarów okazało się, że ceny są takie, iż o żadnej krowie, czy dokupieniu ziemi za posiadaną kwotę mowy i tak nie mogło być, bowiem przez cały czas od ich ślubu codziennie następowała zmiana cen. Pieńiądze, które mieli w zawiniątku wystarczyły zaledwie na opłacenie kilku kawałków płótna na pieluszki i koszulki dla dziecka, które miało się narodzić. Na odjezdne Nastia wypatrzyła sobie jeszcze perkalikową chustkę na głowę i cały posag został wydany.

– Masz teraz! – powiedziała z żalem, – oto całe moje wiano. Nie mamy już niczego i musimy być na łasce twojej mamy. Tak się dorobiliśmy! Dlaczego nikt mi nie powiedział, że pieniądze trzeba wydać, bo tracą swoją wartość?

– Tak to jest z biednymi – westchnął Stefan. – Biedny nigdy niczego nie może się dorobić. Ale nie płacz, jesteśmy młodzi i na pewno coś jeszcze osiągniemy, a teraz musimy wracać, bo nic tu nie mamy do szukania bez grosza przy duszy.

Poród odbył się na początku czerwca 1924 roku. Na świat przyszedł ładny chłopiec, któremu na imię dali Michał. Wszystko odbyło się szczęśliwie – chłopiec chował się dobrze, a mama też szybko wróciła do sił.

Teściowa pochwaliła nowego wnuka, ale nie okazywała w stosunku do niego zbyt wielkiej miłości.

– Teraz będą się chować razem – powiedziała pewnego razu, przytulając do siebie swojego, niespełna trzyletniego synka. – Michałek będzie miał po kim nosić ubranka, jak wyrośnie z nich nasz Kolo.

– Dlaczego ma nosić po nim ubranka? Jak będzie wyrastać to może będziemy mu kupować nowe... – obruszyła się Anastazja.

– Jak będziesz miała swoje pieniądze, to mu będziesz kupować. Ale skąd je weźmiesz, jak wszystkie wydałaś przed miesiącem w Bukowsku?

– Przecież pracujemy ze Stefanem na równi z wami, to naszemu dziecku chyba też się coś należy.

– Tak, wszystkim się należy... – odburknęła teściowa i wyszła z chaty.

Chrzest Michała odbył się po zakończeniu żniw. Na uroczystość tę przybyli rodzice Anastazji i całe rodzeństwo. Na chrzestną poproszono kuzynkę po ojcu, mieszkającą w Karlikowie (córkę ciotki, Marii Ostaf), a na ojca chrzestnego młodszego brata teściowej. W zwyczaju było, że małe

dziecię otrzymywało od chrzestnych i najbliższej rodziny niewielkie prezenty, zwane krzyżmem. W ten sposób małżeństwo Nastii i Stefana ponownie weszło w posiadanie własnej, chociaż niewielkiej kwoty pieniędzy.

* * *

Mijał rok od narodzenia Michała Zachar, dziecka Anastazji i Stefana. Nastąpiła kolejna wiosna, która, jak zawsze w tym regionie, obfitowała w mnóstwo kwiatów rozpościerających się na łąkach, w lasach, polanach, a nawet na każdej miedzy. Wszędzie śpiewały ptaki, pobrzękiwały pszczoły zbierające nektar. Sady przekwitały szeroką paletą barw, w której dominowały odcienie różu i błękitu i niemal całkowicie tonęła w niej świeża zieleń nowych liści. Wkoło tętniła w pełni energia przyrody. W tej scenerii każde żywe stworzenie nabierało otuchy, a szczególnie ludzie w takiej sytuacji nabierają nowej nadziei na lepsze życie.

Nadziei takiej wypatrywano również w rodzinie Zacharów w Karlikowie. A była ona bardzo pożądana, ponieważ Stefan od kilku miesięcy leżał zniewolony swoją słabością. Jak to się u niego często zdarzało każdego roku, tak i tym razem podczas zimy nabawił się zapalenia płuc i długo leżał w gorączce. Później gorączka osłabła, ale siły mu już nie powróciły. Pozostał dokuczliwy, suchy kaszel. Z biegiem czasu zaczął płuć krwią, a osłabienie nie mijało. Zawieziono go nawet do lekarza w Sanoku, ale ten po osłuchaniu i przebadaniu stwierdził, że choroba jest przewlekła i tak szybko mu nie przeminie. Zalecił dobre odżywianie, odpoczynek i przebywanie w cieplejsze dni na świeżym powietrzu.

Anastazja sytuacją taką była bardzo zakłopotana. Miała przecież małe dziecko, wymagające zachodu, a teraz jeszcze wiele troski musiała wykazywać choremu mężowi. Ponadto w gospodarstwie teściów zobowiązana była wykonywać niemal wszystkie prace, jakie występują w każdym wiejskim obejściu. Coraz częściej nachodziły ją złowróżbne myśli odnośnie jej przyszłości. Stefan w czasie dwóch lat wspólnego pożycia wiele czasu spędził w chorobie. Zaczęła więc wątpić co do możliwości całkowitego jego wyzdrowienia. Życie z chorym człowiekiem, mając na utrzymaniu małe dziecko i wiele prac do wykonania, nie napawało dobrą nadzieją na przyszłość. Nie mogła natomiast wyobrazić sobie dalszego swojego bytu, gdyby sytuacja przybrała jeszcze gorszy obrót, ponieważ odnoszenie się do niej ze strony rodziców Stefana, zwłaszcza jego matki, mało kiedy było przyjazne.

Obawy te wkrótce okazały się całkowicie uzasadnione. Stefan na początku lata już w ogóle nie wstawał z łóżka, mocno wychudł i słabł z dnia na dzień. Twarz jego zrobiła się koścista, oczy uwypukliły się, a cera stała się woskowa. Pewnego wieczora, pod koniec czerwca, poprosił, aby Nastia przysiadła przy nim. Ujął ją za rękę i rzekł:

– Nastio moja, ja chyba już będę umierać. Co ty teraz, biedna, będziesz robić beze mnie?

– Ty nie możesz teraz umrzeć! Jest przecież małe dziecko. Nie trzeba tak myśleć. Jeszcze trochę poleżysz i będziesz mocniejszy.

– Tak chciałbym jeszcze trochę pożyć, ale na mnie przyszedł chyba już czas. Mam dopiero dwadzieścia sześć lat. Napracowałem się już dużo, jeszcze nic się nie pocieszyłem tym światem, a muszę już odchodzić...

Nastię żal ścisnął za gardło. Nie wiedziała co mu teraz odpowiedzieć.

– Ty masz dwadzieścia sześć lat – wyszeptała po chwili, – a Michałek ma dopiero jeden roczek i, gdybyś odszedł, to on wcale ojca nie zapamięta. Dla niego będzie tak, jakby go nigdy nie miał. Nie zostawiaj nas tak... – i zaniosła się płaczem.

– Nie płacz, kochana, będę prosić u Boga o łaskę dla was wszystkich... – i uciął.

Obojgu spływały po policzkach grube łzy. W tym czasie leżące w kołysce dziecko przebudziło się, jakby przeczuwało o czym rodzice rozmawiają i głośno zapłakało. Nastia puściła więc rękę Stefana, wstała i podeszła do kołyski. Wzięła na ręce małego chłopczyka i mocno przytuliła do siebie. Teraz płakali wszyscy troje.

– Cicho, cicho, nie płacz, ty moja sierotko... – uciszała strapiona matka wylęknione dziecię.

Noc dla wszystkich była niespokojna. Stefana nachodziły ataki duszącego kaszlu. Nastia starała się ulżyć mu w cierpieniach, co chwilę chodziła więc do ogólnej izby i przynosiła do picia różne napary, które dla zachowania ciepłoty stały na zapiecku. Zamieszanie to rozbudzało leżącego w kołysce małego Michałka, którego trzeba było co chwilę uspokajać. Najlepszy sposób na ukojenie płaczu malca stanowiła matczyzna pierś. Strapioną Nastię można było więc widzieć na przemian: to klęczącą nad kołyską, to znów utulającą cierpiącego męża. O jakimkolwiek odpoczynku w tę noc trudno było myśleć.

Nastał świt. W izbie zapadł spokój. Już słońce stało wysoko nad górą *Kruhla*, gdy, zaniepokojona długo trwającą ciszą, Ksenia otworzyła drzwi do izdebki z zamiarem przywołania Nastii do codziennych obowiązków. Ujrzała niepokojącą scenę: mały chłopiec w milczeniu siedział w kołysce i spoglądał w stronę drewnianego łóżka, gdzie w bezruchu leżał ojciec z otwartymi oczami i pochyloną w bok głową, a przy tym smutnym posłaniu klęczała śpiąca matka z ręką ułożoną na spokojnej już piersi męża...

Ciało zmarłego Stefana ubrano w odświętne ubranie – w to samo, w którym przed dwoma laty przysięgał w przybyszowskiej cerkwi miłość, wierność i że ją nie opuści aż do śmierci. We wszystkich tych względach przysięgi dotrzymał w całości... Czasu jednak na wielką miłość nie było za wiele. W rzeczywistości wcześniej niemal nie znali się wcale i nigdy nie nastą-

piło pierwsze zauroczenie. Dopiero po ślubie, gdy przyszło razem dzielić im nie tylko małżeńskie łóżce, ale musieli wspólnie również wspierać się w pokonywaniu codziennych trudności, układać sobie plany na sposób życia i pokonywać występującą często nieprzychylność innych ludzi, wśród których, niestety, przede wszystkim znajdowała się teściowa oraz musieli za dbać o wychowanie dziecka, zaczęli przenikać się nawzajem, poznawać swoje charaktery i oczekiwania. W pokonywaniu tego nawiązywała się wzajemna więź i pogłębiające się uczucie. Tak więc, Stefan dotrzymał przysięgi i wytrwał w pogłębiającej się miłości i wierności aż... do samej śmierci.

Teraz leżał spokojny, wystrojony w haftowaną w ludowe motywy koszulę i był już zwolniony ze wszystkich złożonych w życiu przysięg. Pozostało mu tylko, tak jak obiecał, wstawiać się u Najwyższego za osieroconym dzieckiem, przedwcześnie pozostawioną żoną i strapiionymi rodzicami. Tylko, że już nikt i nigdy nie dowiedział się, w jaki sposób mógł to uczynić i na ile był wysłuchany w swych prośbach. Może to jest właśnie częścią tajemnicy życia i przemijania...

Miejscowym zwyczajem przy doczesnych szczątkach zmarłego modlono się gromadnie niemal przez dwie doby. W ogólnej izbie rozchodził się zapach topiących się świec woskowych, a na okolicę rozbrzmiewały żałosne śpiewy nabożne. Czytano też psalmy, ale nie znalazł się, oczywiście, nikt taki, kto mógłby przez jedną noc przeczytać cały psalterz, aby zmarły mógł powstać. I tym razem cud wydarzyć się nie mógł...

Pochowano więc nieszczęśnika na miejscowym cmentarzu, przy długich i rzewnych śpiewach liturgicznych, którym przewodniczył miejscowy proboszcz, po czym strapiona rodzina zaprosiła wszystkich żałobników do domu na skromną gościnę. Po wszystkich uroczystościach goście rozeszli się do swoich domów, a domownicy pozostali w opustoszałym po części mieszkaniu i zwyczajnie musieli zająć się codziennymi obowiązkami.

W uroczystościach żałobnych uczestniczyła cała niemal rodzina Anastazji. Jedyne nie mogła przybyć matka, ponieważ musiała opiekować się trzyletnią córeczką, a ponadto ponownie była w ciąży i w niedługim czasie oczekiwać miała rozwiązania. Natomiast z wielkim współczuciem odnosił się do młodej wdowy jej ojciec.

– Co ty, nieboraczko, będziesz sama tu robić, wśród obcych ludzi? – zapytał ją przed odejściem.

– Nie jestem tu już obca – odpowiedziała Nastia. – Mam dziecko, którym muszę się zająć, a ci ludzie to babcia i dziadek tego dziecka, a więc nie są już mi obcy. Musimy żyć razem.

– Pamiętaj, dziecko, że masz ojca, matkę i braci i zawsze możesz liczyć na naszą pomoc. Co prawda, w domu jest już dużo ludzi. Matka niedługo urodzi dziecko i będzie nas jeszcze więcej, ale jak będzie trzeba, to ci zawsze pomożemy.

– Dobrze, tato, wiem, że muszę sobie radzić. Teraz za dużo przeżyłam biedy i kłopotu i nie chcę myśleć o tym, co będzie dalej. Muszę zadbać o Michaśka i jakoś wszystko ułożyć od nowa. Mam tu gdzie mieszkać i co jeść, a potem Bóg pokaże co dalej.

– Wiedz, że myślimy o tobie i niczego się nie bój. Krzywdy ci nie pozwolimy zrobić, a teraz módl się za Stefana. Zostań z Bogiem – powiedział na odejście Jan.

– Zostań z Bogiem – powtórzył za ojcem brat Mikołaj, który skończył już osiemnaście lat i wyglądał na całkiem dorosłego mężczyznę.

– Idźcie z Bogiem i uściskajcie ode mnie mamę – odpowiedziała Nastia.
– Życzę mamie szczęśliwego rozwiązania – dodała jeszcze po chwili w stronę odchodzącej rodziny.

Po odejściu gości starym zwyczajem pozostawiono na noc w półmisku na stole w izbie, gdzie leżał nieboszczyk, wodę święconą, która miałaby służyć strapionej duszy na ochłodę, gdyby jeszcze nie całkiem odeszła w zaświaty. Nazajutrz wodę usunięto, spakowano do skrzyni rzeczy zmarłego i zajęto się codziennymi sprawami.

Nic jednak nie wróciło do starego ładu. Nastia czuła się mocno osamotniona i zakłopotana. Ostatnie dni życia i choroby męża bardzo wyczerpały ją fizycznie. Wylężnione i zmęczone było również osierocone dziecko. Zmęczenie to ustało po kilku dniach, lecz w miarę upływu czasu coraz bardziej narastała tęsknota za mężem. Dopiero teraz Anastazja zaczęła na dobre uświadamiać sobie, że odszedł on bezpowrotnie i uprzytomniła sobie, że zdążyła naprawdę go pokochać. Osamotnioną poczuła się również i z tego powodu, że nie doznawała wokół siebie przyjaznej atmosfery domowej. Teściowa jeszcze za życia Stefana okazywała się kobietą bardzo władczą. Nie liczyła się nigdy ze zdaniem ani męża, ani dzieci, a tym bardziej z poglądami synowej. Gdy natomiast zabrakło jej w domu starszego syna i nie widziała już bezpośredniej więzi z Nastią, to zaczęła traktować ją jak kobietę, która chociaż, co prawda, opiekuje się jej wnukiem, ale w domu jest osobą obcą. Sytuacja taka stawiała się trudna do zniesienia. Jednak Anastazja była świadoma swojego niełatwego położenia i wszystko robiła, aby sytuację w miarę możliwości łagodzić. Nie napawało ją to jednak dobrą nadzieją na przyszłość.

Niespełna w miesiąc po pogrzebie męża Anastazję odwiedził dziewięcioletni wtedy brat Teodor z wiadomością, że mama będzie rodzić i prosi, aby przyszła na kilka dni do Przybyszowa, zaopiekowała się nią i pomogła w prowadzeniu domu. Zawinęła więc dziecko w chustę, zabrała do płachty kilka niezbędnych rzeczy i – po wcześniejszym powiadomieniu teściowej – wybrała się do rodzinnego domu. Tam z jej przyjścia szczególnie ucieszyło się młodsze rodzeństwo. A wszystkich, łącznie z Nastią, było już sześcioro. Serdecznie przywitani ją również rodzice.

Stan matki faktycznie wskazywał na mające szybko nadejść rozwiązanie. Posłano więc po miejscową akuszerkę. Zanim słońce zdążyło skryć się na nocny spoczynek za górą Tokarnia, w domu Tychani zakwiliło kolejne dziecko. Tym razem była to dziewczynka, której nadano imię *Pajza*, a oficjalnie w księgach zapisano Pelagia.

Teraz Nastia miała już dwie siostry i czterech braci. Razem mogła to być szczęśliwa siódemka... Tak może i powinno się stać, ale ślepy bieg wydarzeń nie zawsze w swoim kalejdoskopie chce uwzględniać ludzkie oczekiwania. Dlatego nie jest możliwe snucie dokładnych planów co do ludzkich losów – one zawsze biegą swoimi, nieznanymi nikomu wcześniej, drogami, a poznawać je możemy jedynie dopiero po ich ziszczeniu się.

Mała Pelasia chowała się dobrze, a po kilku tygodniach jej matka wróciła do dawnych sił. W niedługim więc czasie, po spożytym porannym posiłku, Nastia odezwała się:

– Mamo, dobrze mi tu u was, ale moje miejsce jest gdzie indziej. Chyba powinnam już wracać do Karlikowa. Tam pewnie będą niezadowoleni, że ja tak długo u was siedzę. Oni też mają pełno roboty i ja muszę im pomagać, a was tu jest dosyć i beze mnie.

– Jeżeli tak uważasz, to wracaj – odpowiedziała matka. – Dobrze mi było z tobą. Nie obchodziło mnie wiele spraw, a teraz znów muszę sama dbać o wszystko. Ale wracaj i dziękuję ci za pomoc. Bez niej byłoby mi ciężko.

– To ja wam, mamo, dziękuję. Chociaż miałam dużo roboty, to i tak odpoczęłam. Zapomniałam chociaż na chwilę o swojej biedzie, a teraz znów będę musiała wszystko przeżywać na nowo.

– Musisz, kochane dziecko, z tym się pogodzić. Stefana nie ma i nigdy go już nie będzie. Musisz o nim zapomnieć.

– Zapomnieć całkowicie nie mogę, ale żyć z moją teściową też się nie da. Nie wiem, co ja teraz mogę zrobić.

– Wszystko jest w rękach Boga – odpowiedziała po namyśle matka. – Zobaczymy jak będzie. Zawsze musi być jakieś wyjście. A teraz już idź, bo ja też myślę, że powinnaś wracać.

Zawinęła więc Anastazja swoje nieliczne rzeczy w płachtę, a dziecko w chustę i wyruszyła w podróż powrotną.

– Poczekaj sestro – zatrzymał ją najstarszy z braci, Mikołaj. – Napracowałaś się tu przy nas niemało, to i pieszo nie pójdziesz. Odwiozę cię końmi.

W kilka minut wóz zaprzęgnięty w dwa wypielegnowane konie był gotowy do drogi. Mikołaj przyniósł z młyna pokaźny mieszek mąki, matka podała barylkę odkładanego sera z masłem i podwoda wyruszyła w niedaleką podróż. Nastia z żalem obejrzała się jeszcze za rodzinnym domem, otarła łzę z policzka i mocno przytuliła do piersi małego Michałka.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Potem, gdy mijali leżący po lewej stronie cmentarz, odezwała się Nastia:

– Zobacz, Mikołajku, na tym cmentarzu leży tyle ludzi, a wśród nich nasz dziadek z babcią, nasza siostra Hania i braciszek Mateusz.

– Tak, ludzi tu jest pełno, aż miejsca brakuje. Słyszałem, że mają w Przybyszowie urządzać drugi cmentarz – odpowiedział na to Mikołaj.

– A w którym miejscu będzie drugi cmentarz? – zapytała Nastia.

– Ma być z drugiej strony rzeki, dalej za cerkwią.

– Przecież tam jest pole Piotra Gułyczów.

– Wioska odkupiła od niego jedną morgę ziemi, zaraz powyżej strumyka, co płynie z góry Łaski – wyjaśnił Mikołaj.

– To znaczy, że będą dwa cmentarze w Przybyszowie... – zamyśliła się Nastia.

Po chwili dodała, jakby sama do siebie:

– Tak, wszędzie pełno ludzi na cmentarzach. Tyle ludzi umiera, że miejsc mało na pochówek. Mój Stefan też tam teraz leży nieborak sam dzień i noc – i rozpląkała się, przytulając małego synka do piersi.

Mikołaj przytulił zaś siostrę i jechali tak w milczeniu, aż zbliżyli się do końca wioski. Za ostatnim zabudowaniem gospodarskim wjechali na mostek nad strumykiem, zwanym *Poticzok*¹. Dalej, po lewej stronie drogi, pod dużą skarpą, stały trzy domy ludzi biedniejszych, a w jednym z nich mieszkała Cyganka Ewa. Po prawej zaś stronie, w pobliżu, gdzie *Poticzok* wpadał do Przybyszówki, stało urządzenie do cięcia bali drewnianych na deski, zwane *piloramą*. W tym miejscu początek brały wszystkie budynki stawiane we wsi. Nie było tu żadnej maszynierii, jak w dużych tartakach, a cała technologia polegała na tym, że na wysokiej na ponad dwa metry ramie mocowało się kłocę przeznaczone do cięcia, a u góry i u dołu stało po dwóch mężczyzn i, wykonując piłą ruchy w dół i do góry, cięli drzewo na deski lub bale budowlane.

Następnie droga skręciła w lewo i wyjeżdżało się na bardziej otwartą przestrzeń. Stąd do Karlikowa było niewiele ponad kilometr.

– Wiesz co, siostro – przerwał milczenie Mikołaj, – chcę ci coś ważnego powiedzieć, tylko trochę się wstydzę i nie wiem jak zacząć.

– Mów śmiało – odpowiedziała Nastia.

– Podoba mi się bardzo jedna dziewczyna. Hania ma na imię, mieszka niedaleko, w górnym końcu wioski. Ona też na mnie patrzy z upodobaniem. Już dosyć długo spotykamy się przy każdej okazji. Chyba chciałbym się z nią ożenić, ale rodzice nie bardzo to pochwalają. Mówią, że jestem jeszcze za młody. Powiedz, co ja mam zrobić?

– To prawda, że jesteś jeszcze młody do żeniaczki. Masz przecież dopiero dziewiętnaście lat, ale jeżeli Hania ci się podoba i ty też dla niej nie jesteś

¹ Potoczek (ukr.)

obojętny, to nic w tym złego nie ma, że chcecie być razem. Jak będzie trzeba, to poproszę mamę, żeby się zgodziła.

– Jakbyś porozmawiała z mamą, to może by się zgodziła. My z Hanią bylibyśmy razem, a do tego na pewno przydałaby się w gospodarstwie jedna kobieta do pomocy.

– Dobrze, gdy znów zobaczę mamę, to jej o tym powiem – odpowiedziała Nastia.

Tymczasem zbliżyli się już do zabudowania Zacharów w Karlikowie. Nastia wzięła na ręce dziecko, a Mikołaj zabrał wszystkie rzeczy i weszli do izby. Wewnątrz przy garnkach uwijała się Ksenia.

– *Sława Isusu Chrystu* – przywitała teściową Nastia i pocałowała ją w rękę.

– *Na wiki sława* – odpowiedziała Ksenia. – Nareszcie przyszedł! Długo cię nie było, a tu tyle roboty.

– Nie mogłam przyjść wcześniej, bo mama byli jeszcze słabi i musiałam im pomagać.

– Już dobrze. Wiem, że tam pracowałaś, ale tu też jest co robić – odparła Ksenia. – A jak tam z Paraską, co się urodziło?

– Mama czują się dobrze, a urodziła się dziewczynka. *Pajza* dali jej na imię, ale chrzcin jeszcze nie było. Chcą ją ochrzcić na odpust, w dzień świętej Paraskewii.

Mikołaj pożegnał się z siostrą i małym Michałkiem, odwiązał konie i wyruszył w drogę powrotną. Na odjezdne zwrócił się do Nastii:

– Bywaj zdrowa, siostro. Jak ci będzie źle, to pamiętaj, że w Przybyszowie masz brata, ojca i matkę. Daj mi znać, a ja szybko do ciebie przyjadę. Uważaj na Michałka. To bardzo dobre dziecko, szkoda, że nie ma ojca.

– Jedź z Bogiem – odpowiedziała Anastazja. – Pozdrów mamę i ojca. Powiedz im, że ja zawsze o nich myślę. Bądź zdrow.

Długo jeszcze spoglądała za oddalającym się wozem, a gdy znikł za zakrętem, odwróciła się i weszła ponownie do izby. Po przebraniu się nakarmiła piersią synka i wzięła się za codzienne obowiązki.

Pracy w gospodarstwie Zacharów, jak w każdym innym, było niemało. Różnica polegała jednak na tym, że sytuacja w tej rodzinie zawsze była napięta, jakby każda robota – w domu, czy też w polu – wykonywana była po wyznaczonym terminie i ktoś musiał być winnym za to, że tak się stało. Nigdy po zakończeniu jakiejś czynności nie odczuwało się satysfakcji, lecz ciągle następowało kolejne spięcie z tego powodu, że jest coś innego do zrobienia. Anastazja nie była zwyczajna do tak nerwowego zachowywania się. U Tychani w Przybyszowie, gdzie wychowywała się i nie jeden raz przechodziła z matką i dziadkami prawdziwe niepowodzenia, jak na przykład podczas niespodziewanego wyjazdu ojca do Ameryki, śmierci dziadka, czy pobytu ojca na wojnie, nigdy nie odczuwało się tak gorączkowej atmos-

fery, jak u Zacharów w Karlikowie. Tu nieomal wszelka praca musiała być połączona z awanturą i każdy się bał czy już się naraził, czy dopiero nastąpi to za jakiś czas.

Po śmierci męża Anastazja czuła się w tym domu niemal całkowicie obcą osobą, jakby wynajętą tylko do pracy, a do tego jeszcze mitrzącą czas na pielęgnację własnego dziecka. Prawie w ogóle nie mogło być mowy o otrzymaniu najmniejszej, chociaż, kwoty pieniędzy – nie jako zapłaty, ale na poniesienie niezbędnych wydatków na utrzymanie dziecka, które przecież jednocześnie było wnukiem gospodarzy. Sytuacja taka, oczywiście, powodowała poczucie wielkiej krzywdy i beznadziejności. A przecież była jeszcze całkowicie młodą niewiastą, która odczuwała również potrzebę porozmawiania z kimś, wyjścia gdziekolwiek, czy przebywania w czyimś towarzystwie. Wszystkie te problemy powodowały narastanie rozgoryczenia i poczucie krzywdy. Nachodziły ją przygnębiające myśli co do swojej przyszłości. Nie widziała swojego dalszego życia w tym domu, a wracać nie bardzo miała dokąd. Nie miała nawet z kim o tym porozmawiać. Spośród osób bliskich w Karlikowie Nastia miała tylko jedną ciotkę, Marię, ale ona żyła swoimi problemami. Była znacznie starsza od niej i nie przejawiała skłonności do wysłuchiwania jej kłopotów. Ponadto, z powodu ciągłego zapracowania w ciągu swojego dwuletniego pobytu, nie zdążyła zapoznać tu żadnych koleżanek lub bliższych znajomych. Próby wychodzenia do rodzinnego domu w Przybyszowie były źle widziane przez teściową, a ponadto przedsięwzięcie takie było kłopotliwe do wykonania z małym dzieckiem, które przez całą drogę należałoby nieść na rękach.

W utrapieniu takim i przy ciężkiej pracy mijały całe tygodnie i miesiące, ale dopiero po nadejściu późnej jesieni i na początku zimy, kiedy to wszyscy domownicy niemal cały czas przebywali razem w ciasnym mieszkaniu, ciągle ocierali się o siebie i nieustannie zdani byli na swoje towarzystwo, sytuacja taka stawała się trudna do zniesienia. Przy próbie poinformowania o swoim ciężkim położeniu i prośbie o wyjaśnienie przyczyn takiego stanu rzeczy, Anastazja nigdy nie spotykała się ze słowami otuchy, a stykała się z ostrą reprimendą:

– Źle ci z nami? Nikt cię przecież siłą tutaj nie trzyma. Możesz iść dokąd tylko ci się podoba!

– Nie mam dokąd pójść – odpowiedziała Anastazja. – W Przybyszowie jest i tak dużo ludzi w mieszkaniu, a ponadto tu właśnie jest dom rodzinny małego Michałka, tu jest dom jego ojca i dziadków i tu powinien się wychowywać.

– Jeżeli tu jest dom Michała – odparła Ksenia, – a ty chcesz z nim mieszkać, to powinnaś cicho siedzieć i nie skarżyć się ciągle, że jest ci źle. A jeżeli nie chcesz żyć z nami, to droga jest wolna. Możesz iść dokąd chcesz. My ciebie nie zatrzymujemy.

Takie i podobne rozmowy miały miejsce coraz częściej. Atmosfera stała się dla Anastazji nie do wytrzymania. Musiała więc coś postanowić, ale wyboru nie miała zbyt wielkiego. Nieraz zastanawiała się dlaczego ją spotkał taki los i kto do tego doprowadził. Tak naprawdę wszystko odbyło się jakby bez jej udziału. Ojciec obiecał przypadkowo poznanemu człowiekowi, że wyda córkę za jego syna i tak się też stało. Nie był to w owych czasach odosobniony przypadek. Zrękowiny bez udziału osób najbardziej zainteresowanych, w tamtejszym i nie tylko tamtejszym kręgu kulturowym, stanowiły normalny tok postępowania. Młodzi nie zawsze mieli inne możliwości do wyboru, ponieważ stosowano różne metody przymusu, w tym również nierzadko grożono im pozbawieniem prawa do posagu, a tym samym środków do życia na przyszłość. Chociaż wyszła za mąż nie zupełnie przekonana do takiego posunięcia, w końcu przecież polubiła swojego Stefana. Pewnie byłaby z tego związku wielką miłość, ale potem przyszła nieubłagana śmierć...

Na nic się jednak w tym czasie mogły zdać rozmyślenia o przyczynach takiego stanu rzeczy. To, co było, to już minęło. Teraz na miejscu Anastazji trzeba było myśleć raczej o tym, jak wybrnąć z tego, niekorzystnego położenia. A wyjście było tylko jedno: nie zważając na czekające ją niewygody, należało wracać do domu rodzinnego. Tam przecież są rodzice i własne rodzieństwo i chociaż może być ciasno, to zawsze oboje z synem dostaną kawałek chleba i będzie to we własnym, rodzinnym domu. A potem? Potem jakoś musi być. Będzie jak Bóg pozwoli...

Spakowała więc Nastka swoje, niezbyt liczne rzeczy, przygotowała syna do drogi i rzekła do teściowej:

– Mamo, my z Michałem idziemy do Przybyszowa.

– Nie musisz mi mówić o tym. Już nieraz tam chodziłaś – odburknęła Ksenia.

– Chodziłam nieraz, ale teraz już tam zostanę. Nie mogę tu przecież siedzieć, jeżeli Stefana już nie ma, a wy mnie traktujecie nie tak, jak matkę waszego wnuka i żonę syna, ale gorzej niż obcą kobietę.

Mówiąc to, Anastazja wzięła rzeczy do jednej ręki, a drugą podniosła opatulone dziecko i zaczęła wychodzić z izby. Ksenia zastąpiła jej w tym momencie drogę, mówiąc:

– Nie pójdziesz przecież sama po śniegu i w taki mróz z małym dzieckiem. Co potem powiedzieliby o nas ludzie? Macieju! – zawołała następnie na męża, – zaprzęgnij konie do sani i zawieź Nastię do Przybyszowa. Niech nie idzie z dzieckiem po mrozie.

– Jeżeli zaprzęgacie konie – dodała Nastia, – to przywiążcie do sani krowę, którą dali mi rodzice. Tam też dla mnie i dziecka będzie potrzebne mleko.

– Przywiąż i krowę, niech nie mówi, że ją tu okradliśmy – burknęła Ksenia.

Nie minęło więcej niż pół godziny i sanie zaprzęgnięte w dwa konie i z przywiązaną z tyłu krową, starszą już o przeszło trzy lata od kiedy odbyła podróż odwrotną, skryły się w ośnieżonym wąwozie, prowadzącym wzdłuż Przybyszówki, pomiędzy wzgórzami Rzepedką i Tokarnią. Po upływie następnej pół godziny Nastia z synem przybyła do rodzinnego domu, gdzie przyjęto ją, chociaż z wielkim zdziwieniem, ale serdecznie i z otwartymi rękoma.

Tak zakończyła się pierwsza, nieszczęśliwa próba samodzielnego życia Anastazji. Owocem tego etapu życiowego pozostało osierocone dziecko, o którego przyszłość teraz będzie musiała się troszczyć, sama będąc na łasce rodziców. Ale tu przynajmniej nie będzie czuła się obca i przebywać będzie wśród życzliwych sobie ludzi.

* * *

Zimą 1926 roku w domu Chyrów ponownie mieszkała w komplecie cała rodzina – rodzice, siedmioro dzieci w wieku od dwudziestu trzech lat do jednego roku i półtoraroczny wnuk; razem 10 osób. Chociaż było nieco przyciasno w dwuizbowej, łemkowskiej *chyży* z komorą, to była tam atmosfera życzliwa i radosna. Wszyscy nawzajem szanowali się, a mające nieraz miejsce sprzeczki rodzinne w zasadzie nigdy nie



Rodzice Anastazji – Paraskewia z domu Babiak i Jan Chyr. Zdjęcie wykonane około 1952r.

przeistaczały się w większe kłótnie lub gniewy. Nie słyszano tu również przekleństw lub wyzwisk. Największą niegrzecznością głowy rodziny było powiedzenie *bodaj t'ja pryściao*¹. Zauważalne było posłuszeństwo dzieci wobec rodziców i wzajemny szacunek w ich małżeństwie. Życie rodzinne

¹ Ażeby cię przysikało (łemk.)

przebiegało w wielkiej harmonii. Materialnie natomiast nie widać było przepychu, chociaż na bieżące potrzeby zawsze wystarczało.

Wspomnieć tu należy, że potrzeby materialne w rodzinach wiejskich w owym czasie były mocno ograniczone. W zakresie wyżywienia każde gospodarstwo musiało być samowystarczalne. Z dokupywanych, i to niezbyt często, produktów wymienić można cukier, sól, czasem śledzie i tylko okazynie łakocie dla dzieci. W wielu rodzinach nawet sól była uznawana za przejaw luksusu¹. Podstawowe produkty spożywcze oraz przedmioty codziennego użytku w większości wytwarzane były we własnym zakresie. Jednak nie zawsze wszystkim wystarczały one przez cały rok. Wiele ludzi ograniczało sobie jedzenie nie tylko w okresie dorocznych postów, ale bardzo często też w czasie przednówek. Przed żniwami albo pożyczano pożywienie od sąsiadów, albo najczęściej ograniczano spożycie. Rytm taki stanowił powszedniość i nikt się specjalnie na to nie użalał. Do podstawowych zadań gospodyni należało takie dysponowanie zasobami, ażeby zbytnio rodzina nie była narażana na niedostatek, przez co też nie było przepychu w okresach bardziej zasobnych. Niedostatki te rzadziej dotyczyły opisywanej rodziny, ale również i tu musiano w wielu przypadkach oszczędzać.

Pod koniec zimy Mikołaj, prawie dwudziestoletni brat Anastazji, najpierw ponownie uprzedził starszą siostrę dla uzyskania poparcia w sprawie, a potem przedstawił rodzicom swój problem. Otóż pewnego niedzielnego popołudnia, a czas ten wybrał może ze względu na wolne od pracy chwile, a może też z tego powodu, że w dni świąteczne ludzie starali się być zawsze bardziej pogodni i życzliwi, zwrócił się do rodziców z prośbą o pozwolenie na ożenek z od dawna adorowaną Hanią z górnego końca wioski. Po pokonaniu zaskoczenia spowodowanego stanowczością prośby syna, tym razem ojciec starał się przetłumaczyć mu, że jest jeszcze młody i ma czas na założenie rodziny. Mikołaj na to odpowiedział w sposób zdecydowany:

– Tato, wszystko jest prawda, co mówicie, ale teraz już nie czas prosić o pozwolenie na mój ożenek, tylko trzeba omówić kiedy weźmiemy ślub i w jaki sposób będzie urządzone wesele. Chcę wam powiedzieć, że za parę miesięcy będziecie mieli drugiego wnuka.

– Co ty synu powiadasz? – wtrąciła się do rozmowy matka – Chcesz powiedzieć, że Hania jest w ciąży?

– Tak mam, Hania jest w ciąży i ja jej tak nie zostawię. I tak muszę się kiedyś ożenić, a nikogo innego nie chcę, tylko ją.

Przez chwilę zapanowało milczenie, po czym ponownie przemówiła matka:

¹ Dla oszczędności nie solono wody do gotowania ziemniaków, lecz soli dodawano dopiero po ich ugotowaniu.

– To coś innego pozostało nam do zrobienia? Musimy się zgodzić na wasz ślub, skoro najpierw postaraliście się o wnuka, a potem prosicie rodziców. Trzeba tylko omówić wszystko z jej rodziną.

– Tak, trzeba rozmówić się z jej rodziną – przytaknął stojący z boku Jan.

Tak też się stało. W przeciągu wielkiego postu wyszły w cerkwi wszystkie zapowiedzi, a w niedzielę przewodnią¹ odbył się ślub. Uroczystości weselne były dosyć skromne – wszystko na miarę możliwości obydwu rodzin, a potem niewiastka zamieszkała w domu swojego męża.

Po powiciu przez Hanię syna, któremu dano na imię Piotr, w domu zamieszkiwały już niemal trzy rodziny – jedna to Mikołaj z Hanią i synem, druga to starsi rodzice i wszystkie pozostałe dzieci, a trzecia to Anastazja ze swoim synkiem, Michałem. Razem dwanaście osób. Szczególną ciekawostkę stanowił fakt, że w jednej izbie jednocześnie stały trzy kołyski, w których znajdowali się: dwuletni Michał, syn Anastazji, jednoroczna *Pajza*, córka Jana i Paraskewii oraz całkiem maleńki Piotr, syn Mikołaja i Anny. Ciotka była więc młodsza od swojego siostrzeńca. Takie układy, jakie miały miejsce w rodzinie Chyrów, nie stanowiły w tym czasie wielkiego ewenementu; podobne sytuacje występowały również w innych familiach.

Mikołaj, jako najstarszy syn, pomimo młodego wieku, traktowany był od tej pory jako następca rodowego gospodarstwa. Natomiast jego żona, Anna, powoli przygotowywać miała się do objęcia funkcji głównej gospodyni. Jednak nastąpić to mogło niezbyt szybko, ponieważ Paraskewia była jeszcze w sile wieku i wykazywała się pełnym wigorem, o czym mogły zresztą świadczyć mające później następować jeszcze dalsze powiększanie się grona rodzeństwa Anastazji.

Sytuacja Anastazji w dalszym ciągu nie była więc szczęśliwa. Mieszkała, co prawda, w rodzinnym domu i razem ze wszystkimi najbliższymi osobami, ale, będąc wdową z małym dzieckiem, stanowiła jakby odrębność w tej gromadzie. Musiała nieustannie zabiegać o swoją pozycję i podstawowe środki do utrzymania syna. Jednocześnie czuła się osobą osamotnioną. Była jeszcze przecież młodą, dwudziestotrzyletnią niewiastą, którą porywała nieraz chęć pójścia na tańce, czy uczestniczenia w spotkaniach młodzieżowych. Uwzględniać jednak musiała fakt, że nie wszystko, co by zrobiła, mogło podobać się rodzicom i innym ludziom. Bardzo łatwo było jej popaść na języki ludzkie i stać się przedmiotem obmów sąsiedzkich. W tak nieodległym jeszcze czasie, przed swoim nieszczęśliwym zamążpójściem, obcowiała z przyjaciółmi ze swojej miejscowości. Oni teraz nadal mają pełną swobodę w postępowaniu, a ona natomiast obarczona jest obowiązkami wychowywania dziecka, co ograniczało jej możliwości snucia planów na przyszłość. Wśród dawnych znajomych byli i tacy, którzy, chętniej niż inni, chcieli z nią przystawać lub nawiązać bliższe kontakty. Nieraz myślała, że

¹ Pierwsza niedziela po Wielkanocy.

może jej losy życiowe potoczyłyby się innym torem, gdyby nie przypadkowe zmówiny, dokonane przez swatkę, w jaką zabawił się przy piwie jej własny ojciec.

Jednym z takich bliższych znajomych, który w dalszym ciągu pozostawał kawalerem, był Sławek Osiurak, mieszkający kilka zabudowań w górę wioski. Jeszcze z dziecinnych lat lubili razem bawić się, a potem, w czasie dorastania nieraz spoglądali na siebie anielskim okiem podczas uroczystości cerkiewnych, czy też na młodzieżowych spotkaniach. Kiedy przyszedł czas dojrzałości, losy Anastazji zmieniły się i musiała opuścić Przybyszów. Teraz jej nieoczekiwany powrót do wioski, co prawda już w znacznie trudniejszym położeniu, dawał nić nadziei, że sytuacja ulegnie odmianie i może ich połączyć coś więcej, niż tylko przelotne spojrzenia i przypadkowe, krótkie rozmowy. Można było zauważyć, że oboje szukają okazji do spotykania się i przystawania ze sobą pod jakimś pretekstem, albo nawet wprost – przychodzili na umówione miejsca.

W ten sposób mijały tygodnie i miesiące. Nastia lubiła wyrwać się w wolnej chwili z zatłoczonej po brzegi chaty, aby przez krótki chociaż czas przebywać w towarzystwie Sławka. Jednak same nawet myśli o pogłębieniu tego związku natrafiały na wielkie przeszkody. Nie była przecież sama i każdy, kto chciałby z nią powiązać swoje życie, musiałby być świadomy tego, że bierze również na utrzymanie jej dziecko. W ubogim domu Sławka nie było już możliwości na powiększenie mieszkającej tam czeredy o dalsze dwie osoby, a dzielenie gospodarstwa, ze względu na jego szczupłość, nie było możliwe. Nie mógł też on liczyć na taki posag, który pozwoliłby na zawiązanie samodzielnej rodziny. Podobnie było w rodzinnym domu Nastii. Obecnie mieszkali tam prawie trzy rodziny, składające się łącznie z dwunastu osób. Nie było więc już miejsca na kolejnego człowieka, a tym bardziej nie można było wprowadzać tam trzeciej pełnej rodziny.

Stan taki nie pozwalał więc dwojgu młodym ludziom na snucie wspólnych planów na przyszłość. Musieli zadowolić się przypadkowymi, ale przez obie strony oczekiwanymi, spotkaniami w chwilach wolniejszych od nawału pracy. Niekiedy też te spotkania musieli ukrywać przed nieprzyjawnymi oczami sąsiadów, lub nawet rodziny. Okres ten stanowił dla Anastazji czas przetrwania, z myślą, że pewnie jeszcze zajdzie jakieś wydarzenie, które odmieni jej życie. Gdyby ją jednak ktoś zapytał, czego może w tej chwili oczekiwać, to z pewnością nie umiałaby na to pytanie odpowiedzieć. Żyła więc nadzieją, że nie wszystko jeszcze jest skończone. Nadzieja taka pewnie dodawała jej otuchy i mocy do przetrwania tego niepomyślnego położenia życiowego.

Tak przemijały kolejne tygodnie i miesiące...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wspólne lata

Powróćmy teraz ponownie do czworga ludzi – czterdziestosześcioletniego Andrzeja i jego trójki młodszych dzieci – udających się ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej do Przybyszowa na Pogórzu Karpackim. Podróż do niemieckiego portu w Hamburgu przebiegała bez większych zakłóceń. O ile ojciec znajdował się w stanie wielkiego napięcia, spowodowanego rozdzieleniem rodziny i obawami o najbliższą przyszłość, to dzieci przygodą tą były nawet mocno podekscytowane. Wszystko to: droga odbywana ogromnym okrętem, przemierzanie świata dla odnalezienia czegoś nowego, potężne żywioły i poznawane tereny, stanowiły dla nich wielką nowość. Natomiast problemy, jakie mogły ich spotkać i obawy o przyszłość nie stanowiły dla nich zmartwienia – były przecież pod opieką wszechmogącego ojca. On na pewno wie co trzeba zrobić i nikomu nie pozwoli wyrządzić im krzywdy. Mogły zatem w pełni fascynować się tą wielką przygodą, jaką stanowiła podróż w nieznane.

Przeprawa przez Ocean Atlantycki i Morze Północne odbyła się bez większych komplikacji. Zaistniały w ciągu dwudziestu sześciu lat, to jest od czasu kiedy Andrzej odbywał swoją podróż na zachód, postęp techniczny w konstrukcji statków wodnych spowodował, że nawet burze morskie, jakich niełatwo uniknąć, płynąc trzy tysiące mil, nie były tak dokuczliwe jak wtedy, na początku dwudziestego wieku. Znacznie sprawniej odbyła się też podróż pociągami z Hamburga, największego portu niemieckiego, do Kulasznego, małej miejscowości na Pogórzu Karpackim. Zmieniła się również geografia polityczna w tej części Europy. Po minięciu za Gliwicami granicy niemieckiej, droga nie prowadziła już, tak jak poprzednio, przez terytorium imperium rosyjskiego, a potem przez Cesarstwo Austro-Węgierskie. Pierwsze imperium zmieniło swój kształt polityczny i przesunęły się jego granice dalej na wschód, a to drugie już nie istniało. Obecnie, po minięciu Niemiec wszędzie była Polska. Zmieniły się więc napisy na kolejowych tablicach, na budynkach urzędowych i handlowych. Teraz dla Andrzeja napisy te – nie tylko z powodu zmiany języka urzędowego – już nie stanowiły zbioru niejasnych znaków, a układały się w zrozumiałe słowa. Była to dobroczynność wejścia w posiadanie sztuki pisanie i czytania, jaką między innymi nabył w pierwszych latach pobytu na emigracji.

Oglądał więc Andrzej w czasie tej powrotnej podróży te same miejsca, co uprzednio – wielkie dworce kolejowe w Hamburgu, Berlinie, Wrocławiu, rozległe terytoria Niemiec i Polski, zmieniał pociągi w czasie przesiadek i w głębokiej zadumie rozmyślał o tym, jak odmieniła się jego sytuacja społeczna. Nie był już obecnie poniewierany w jakichś tam niskich klasach w pociągach, czy na okręcie, a był pełnoprawnym pasażerem, korzystającym w zupełności z przywilejów należnych wszystkim podróżnym. Teraz też nie był bogatym, ale miał już swoje zasoby finansowe, którymi płacił za należne mu usługi. Odczuwał więc wyraźnie magiczne działanie pieniądza. Jest jedna prawda, że godności ludzkiej nie da się niczym zmierzyć, ale jest też i druga, chłodna zasada, mówiąca o tym o ile ta godność ma mniejsze znaczenie jeżeli nie można jej poprzeć wartością materialną.

Przejeżdżając przez polski już teraz Śląsk, przypomniał sobie Mysłowice, gdzie w 1901 roku w oczekiwaniu na dalszą podróż spędził długie tygodnie w punkcie zbornym dla emigrantów.

– Słuchajcie dzieci – zwrócił się głównie do Pawła i Andrzeja, bo Hania jeszcze niewiele z tego wszystkiego mogła pojąć, – już wam mówiłem, że w czasie, kiedy wyjeżdżałem z kraju, to Polski nie było na mapie świata. Tu właśnie zbiegały się granice państw, które – więcej niż sto lat temu – podzieliły się jej ziemiami, to znaczy granice Niemiec, Rosji i Austrii. Tereny, dokąd się udajemy, należały właśnie do Austrii. Teraz tam jest Polska. A tu, w Mysłowicach, siedziałem przez niemal miesiąc w oczekiwaniu na transport do portu w Niemczech, skąd mogłem dalej płynąć okrętem do Ameryki. Zbierali tu ludzi z różnych stron i wszystkim ciężko było wytrzymać z powodu ciasnoty i złego odżywiania. A najgorsze było czekanie na nikomu nie wiadomy termin wyjazdu.

– Papo – zapytał Paweł, – a czy to znaczy, że teraz, kiedy jest tam już Polska, to ludzie lepiej żyją i nie będą musieli jeździć po świecie, ażeby szukać pracy?

– Nie wiem, synu – odpowiedział po namyśle ojciec. – Teraz już ludzie w Polsce nie muszą pracować na innego cesarza. Sami rządzą się u siebie, to pewnie powinno być im lepiej. Ale patrząc na to z drugiej strony, to wiem, że ludzie z Polski dalej jeżdżą po świecie i szukają kawałka chleba. To pewnie niezupełnie jest dobrze. Niedługo sami zobaczymy, jak będzie.

– A jak w Polsce ludzie rozmawiają? – zapytał dziewięcioletni Andrzejek. – Czy tam rozmawiają tak jak my? Czy rozumieją amerykańską mowę?

– Nie tak, jak my – odpowiedział Andrzej. – W Polsce ludzie rozmawiają po polsku. Angielskiej mowy pewnie nie rozumieją, bo stąd daleko do Anglii, czy do Ameryki.

– Ale my przecież nie rozmawiamy po polsku, to jak tam będzie z nami? – ciągnął dalej swoje pytania Andrzejek.

– Tam, gdzie my jedziemy, w Przybyszowie i w całych okolicach, ludzie rozmawiają po swojemu, to znaczy tak, jak ja rozmawiałem z mamą, kiedy jeszcze żyła. To jest mowa ukraińska lub łemkowska i my nie musimy rozmawiać po polsku.

– To dlaczego nie wszyscy ludzie w Polsce rozmawiają po polsku? – wtrącił się do rozmowy Paweł.

– Bo w Polsce kiedyś żyły i nadal żyją różne narody i każdy może rozmawiać po swojemu – odparł ojciec.

– A jak będzie w szkole? – pytał dalej Paweł.

– W szkole pewnie będą uczyć po ukraińsku, bo tam mieszkają ludzie, którzy używają właśnie tej mowy. Ale myślę, że po polsku też będziecie musieli się uczyć. Zobaczymy jak to będzie...

W lepszej sytuacji była mała Hania. Ona po przyjeździe na miejsce miała pójść po raz pierwszy do szkoły i jej było obojętne, w jakim języku będą ją uczyć.

Kiedy skończyli rozmawiać na tematy granic państwowych i języków, jakimi mieszkający tu ludzie posługują się, minęli Oświęcim. Dalej już zaczynało się Podkarpacie. Andrzej, patrząc na pojawiające się coraz częściej pagórki i większe wzniesienia oraz na małe zagony na polach, po raz pierwszy poczuł, że zbliża się do swoich rodzinnych ziem.

Musieli jeszcze kilka razy zmienić pociąg, nim dotarli do stacji swojego przeznaczenia w Kulasznie, leżącym na pograniczu Beskidu Niskiego i Bieszczad. Podróżą tą, odbywającą się już ponad drugą dobę i wieloma pociągami, byli wszyscy mocno wyczerpani. Oprócz opieki sprawowanej nad dziećmi, Andrzej musiał jeszcze troszczyć się o bagaż. Wiele podręcznych toreb i walizek mieli ze sobą, ale równolegle z nimi, w wagonie bagażowym jechały dwa okazałe rozmiary kufry, które należało dopilnować, aby były odpowiednio przeładowane podczas zmiany pociągów na stacjach węzłowych.

Do Kulasznie dotarli rano. Tu z furmanką czekał na nich, powiadomiony wcześniej telegraficznie, najstarszy brat Andrzeja, Piotr. Bracia przywitali się serdecznie po dwudziestu sześciu latach rozłąki. Wcześniej pisali do siebie listy. Andrzej często wysyłał bratu zdjęcia swoje i całej rodziny. Wydawało się, że wiedzą o sobie wszystko, ale żadna korespondencja nie mogła zastąpić bezpośredniego spotkania.

– Piotrusiu, to są moje dzieci: – przedstawiał Andrzej w kolejności swoje pociechy – Paweł, Andrzej i Hania. Dzieci przywitajcie się ze stryjem.

– Starsze dzieci zostały w Ameryce – dodał po chwili Andrzej. – Jest tam Marysia, Janek i Michał. Muszą sami sobie tam radzić, a my będziemy tu gospodarzyć, na własnej ziemi.

– Cieszę się bardzo, że wróciłeś – przemówił Piotr, ocierając dłonią łzy.
– Tu jest ciężko żyć, ale będziesz z dziećmi na swoim. A jak tam żyją nasi bracia, Jan i Filip?

– Pisałem ci o wszystkim. Żyją dobrze. Filip ma sporą farmę, to znaczy gospodarkę. Ma dobrą żonę i ładne dzieci. *Iwan* nie ożenił się i mieszka razem z Filipem. Paweł już dawno nie żyje. Zabił go pociąg. Opowiem ci kiedyś jak to się stało.

Następnie załadowali wszystkie rzeczy na tył wozu, bracia usiedli na desce z przodu, a dzieci po środku i wyruszyli w drogę do Przybyszowa. Przez chwilę jechali wzdłuż rzeki Osławy, a po przejechaniu torów kolejowych, którymi przed chwilą tu przybyli, żwirowa droga zaczynała wznosić się do góry. Dzieciom od razu dała się zauważyć różnica pomiędzy żwirowym traktem, którym teraz przemierzali się, a drogami znanymi z Monongah w Zachodniej Wirginii, czy też w Riegsville w Pensylwanii. Ojciec musiał więc objaśniać im przyczyny takiego stanu rzeczy, a mianowicie, że kiedyś nigdzie nie było dobrych dróg. Teraz w Ameryce jest inaczej, bo to bogaty kraj, a tu nie ma tyle samochodów i większe drogi nie są konieczne. Gdy tak rozmawiali, dojechali do rozstajnych dróg. Tu skierowali się w lewą stronę.

– Nie wiem czy pamiętasz – przerwał milczenie Piotr i wskazał batem w prawą stronę, – tą drogą można dojechać przez Wysoczany i Mokre do Zagórza i dalej do Sanoka.

– Jakbym nie pamiętał – odparł Andrzej. – Te wszystkie miejsca nie raz i nie dziesięć razy śniły mi się po nocach. I za każdym niemal razem, gdy przymknąłem oczy, widziałem wszystkie te okolice. Nie wiesz Piotrusiu, jak bardzo ci brakuje twoich rodzinnych stron, gdy odjedziesz daleko od domu. Myślisz nie tylko o rodzinie: braciach siostrach, czy rodzicach, ale też o każdym pagórku i o kawałku łąki – tam, gdzie chodziłeś, bawiłeś się i wyrostaleś.

– Papo – niespodziewanie odezwał się Paweł, – czy my też będziemy tak pamiętać *West Virginie* i naszą wioskę *Monongah*?

– Nie wiem synku – odpowiedział ojciec. – Wy jesteście jeszcze młodzi i może nie przywykliście do Ameryki, tak jak ja do swoich połonin.

– A czy my jeszcze będziemy kiedyś w Monongah, czy tam może powrócimy?

– Nikt nie wie, jak to będzie. Może kiedyś jeszcze zobaczymy tamte strony. Wszystko w rękach Boga.

Jechali przez jakiś czas po równinie. Następnie droga zaczęła prowadzić znów pod górę, a gdy ponownie zaczęła łagodnie opadać w dół, odsłonił się przed nimi widok potężnej wioski, rozciągającej się daleko w lewą stronę. Po prawej stronie natomiast, na wzniesieniu, przy samej drodze usytuowany był cmentarz, a gdy on też pozostał już w tyle, odsłoniło się drugie, prawe skrzydło tej samej wioski.

– Patrzcie, dzieci – rzekł Andrzej, odwracając się w tył wozu. – Tu na prawo i na lewo rozciąga się wioska, w której ja spędziłem całe swoje młode lata. To Płonna! Tu kupiłem ziemię, na której pobudujemy sobie gospodarstwo.

– To tu, papo, będziemy mieli swoją własną farmę? – z zaciekawieniem zapytała małomówna dotąd Hania. – Czy będziemy mieli taką samą farmę, jak u stryja Filipa?

– Tak córeczko. Jak u stryja Filipa, a może jeszcze ładniejszą. Zobacz jak tu wszędzie jest *beautifully*¹.

– *That's right, papa, here is beautifully, like in West Virginia, but we have 'nt anything here, except the field*² – zauważył Paweł po angielsku, jakby dla podkreślenia powagi tego, o czym chce powiedzieć. – Gdzie my tu będziemy mieszkać?

– *To have a field now is very, very much, my son*³. Zamieszkamy u stryja Piotra w Przybyszowie. Potem wybudujemy dom i będziemy tu gospodarzyć na własnej ziemi – odpowiedział ojciec, zdziwiony nieco fraszobliwością syna.

Jechali dalej drogą opadającą w dół. Teraz już wyraźnie było widać zabudowania wiejskie w Płonnej. W oczy rzucał się styl, na jaki pomalowane były wszystkie domy mieszkalne: czerwony kolor poziomych kłód drewnianych i białe spoiny pomiędzy nimi.

– A co to za budynki? – po chwili zwrócił się Andrzej do starszego brata, wskazując na dwa okazałe domy po lewej stronie nad potokiem, nieco oddalone od drogi, którą przemierzali.

– To jest niedawno wybudowana szkoła i czytelnia wiejska – poinformował Piotr.

– Ładne budowle – odparł Andrzej. – Za moich czasów nie było tu takich budynków. Tylko dwór pański był większy od chałup gospodarskich.

Gdy minęli cerkiew, stojącą po lewej stronie drogi, Andrzej poprosił brata o zatrzymanie się, zsiadł z wozu, wziął na ręce Hanię i nakazał chłopcom, aby poszli za nim. Gdy wszyscy weszli do wnętrza świątyni, Andrzej postawił córeczkę na nogi, podszedł do wizerunku *Maty Bożej Pokrowytelki Switu*⁴, leżącego na stojącym przed ikonostasem tetrapodzie, przykląkł i po trzykroć ucałował obraz, a po policzkach popłynęły mu pokotem gorzka łzy, wymieszane z potem i kurzem. Zmówił modlitwę i wymawiając

¹ Pięknie (ang.)

² To prawda, papo, tu jest pięknie, podobnie jak w Zachodniej Wirginii, ale my tu niczego nie mamy, oprócz pola (ang.).

³ Mieć pole, to teraz jest bardzo, bardzo wiele, mój synu (ang.)

⁴ Matki Bożej Orędowniczki Świata (ukr.)

na koniec słowa: ...*i zmyłoserdyjsja nad namy*¹, drżącym głosem zwrócił się do stojącego obok brata:



Cerkiew w Plonnej p.w. Orędownictwa Przczystej Bogurodzicy. Zdjęcie wykonane około 1927 roku.

– Boże, ile ja razy myślałem o tym, żeby jeszcze kiedyś w życiu wejść do tej cerkwi i pomodlić się przed tymi obrazami. Tam też były domy boże, ale to nie to samo, braciszku, co nasze cerkwie z pięknymi ikonami i zapachem wosku i kadzidła. Stojąc w tym miejscu, wydaje mi się jakby stąd było bliżej do Boga. Dzieci – zwrócił się do stojącej obok niego trójki, – zmówcie też tu pacierz, tak jak was uczyła mama.

Dzieci przyklekły, przeżegnały się i każde z nich odmówiło na swój sposób modlitwę, jaką pamiętały z minionych lat. Najmniej z tym umiała poradzić sobie mała Hania, to też ojciec wziął ją na ręce i jeszcze raz pomodlił się razem z nią. Postali tak jeszcze chwilę, po czym wszyscy wyszli na zewnątrz i poszli dalej wiejską drogą, prowadzącą wzdłuż potoku w górę wioski. Minęli stojący po prawej stronie dwór pański, który tu wtedy jednocześnie stanowił plebanię.

– Czy jest tu jeszcze ksiądz Konstantynowicz? – zapytał Andrzej Piotra.

– Księdzem teraz jest tu Michał Hajduk, a Konstantynowicz został dziekanem w Sanoku i mało kiedy można go tu spotkać – odpowiedział mu brat. – On mieszka w mieście, a swój majątek dzierżawi jakiemuś uczonemu gospodarzowi. Niekiedy jednak tu przyjeżdża i nawet mszę odprawia.

Następnie Andrzej spojrzał na potężny łąn, który już od przeszło trzynastu lat należał do niego i zwrócił się do dzieci:

¹ ...I zlituj się nad nami (ukr.)

– Spójrzcie, kochane dziatki, to jest wszystko nasze pole – tu wykonał zamaszty znak ręką, jakby chciał całą tę przestrzeń objąć jednym gestem. – A gdzieś w tym miejscu postawimy nasz dom i będziemy tu mieszkać.

Do dzieci nie zupełnie przemawiała ta euforia ojca. One teraz bardziej myślały, ażeby skończyła się wreszcie ta podróż i przez chwilę chociaż odpocząć.

– Dobrze, papo, że będziemy tu mieszkać – odparł Paweł, chcąc już przerwać to uniesienie ojca. – Przyjdziemy tu potem, a teraz jedźmy już do stryja, bo jesteście wszyscy zmęczeni.

Wrócili więc do stojącego przy drodze wozu z niepokojącymi się już końmi i wyruszyli w dalszą drogę. Po minięciu kilku strumyków, przecinających pokonywany trakt wjechali znów w obręb wioski. Andrzej ponownie zwrócił się do dzieci, wyjaśniając im:

– Ta wioska nazywa się Karlików. Tu urodziła się i wyrosła wasza mama i ciocia Oksana. Pewnie tu można byłoby znaleźć jeszcze waszych kuzynów lub innych krewnych.

Po chwili skierował się do brata ze słowami:

– Wyjechała stąd biedaczka ponad dwadzieścia lat temu. Szukała łatwiejszego życia i tylko jedyny Bóg wie, jak ona bardzo chciała powrócić w rodzinne strony. Nigdy jednak już nie zobaczy swojej wioski. Cały czas prosiła mnie, aby kupić ziemię i tu się osiedlić. Ziemię kupiłem, ale potem nastąpiła wojna i już myślałem, że wszystko straciłem, że nie będę miał ani ziemi, ani pieniędzy. Przez osiem lat nie byłem pewien swego, ale potem, gdy Ignacy Kohut podpisał za mnie papiery u rejenta, znów nabraliśmy otuchy i żyliśmy nadzieją na powrót. Ale biedaczka zmarła w niedługim czasie. Została tam na zawsze, w amerykańskiej ziemi, tak samo jak nasz brat, Paweł. Taki jest los naszych ludzi.

– Ano tak – odparł w zamyśleniu Piotr. – Taki to już jest los tych ludzi. Tu żyć jest ciężko, a jak pojedą gdzieś w świat, szukać chleba, to też nie jest im łatwo. Mało kto stamtąd wraca. Dobrze, bracie, że ty postanowiłeś wrócić. Teraz będziemy żyć obok siebie, tylko żeby Bóg dał zdrowie.

Pociągnął energicznie lejcamy, krzyknął do koni: *wie, wišta* i wystrzelił z bata. Teraz wóz zawrócił w lewą stronę i jechali bardziej na południe. Droga prowadziła cały czas lekko w górę, wzdłuż potoku zwanego Przybyszówką. Andrzej z zaciekawieniem spoglądał na wszystkie znane mu miejsca i starał się zauważyć jakie zmiany nastąpiły w przeciągu jego ponad ćwierćwiekowej nieobecności. Oglądał więc mijany tartak z młynem na początku wioski, zabudowania wiejskie, a po jakimś czasie mijali leżący po prawej stronie cmentarz.

– Tu spoczywają pomarli z naszej rodziny: ojciec, matka, dziadkowie i wiele innych – przemówił, jakby sam do siebie. – Duży cmentarz!

– Tak, cmentarz jest spory – odpowiedział Piotr, – ale ludzi umiera też dużo. Już się na nim nie mieszczą. Pewnie nie wiesz, że od roku mamy już nowy, zaraz przy cerkwi, poniżej naszego pola. Teraz już tam chowają ludzi.

Jechali dalej w górę wioski. Za mostkiem znajdującym się nad strumykiem, co płynął z góry zwanej *Rozdill'ja*, Andrzej zwrócił uwagę na spiętrzoną wodę i koło młyńskie, po czym zapytał:

– Czy u Tychani dalej młyn pracuje? Kto tu teraz gospodarzy?

– Teodor z Oksaną już dawno pomarli – odpowiedział Piotr. – Teraz mieszka tu dużo ludzi, a gospodarzem jest *Iwan*. Ożenił się z Paraską od Babiaków z Rzepedzi i mają razem dużo dzieci. Syn ich, Mikołaj też się ożenił, ale mieszkają wszyscy razem. Najstarsza córka, Nastia, wydała się do Karlikowa za Zachara, ale jej chłop umarł i z dzieckiem wróciła do ojców. Razem jest ich chyba tu ze dwanaście osób. A młyn chodzi, bo go ciągle naprawiają, tylko wody często brakuje. *Iwan* był też w Ameryce, ale szybko wrócił. Potem poszedł na wojnę austriacką i był ciężko ranny.

– To jak oni żyją w takiej dużej rodzinie, pewnie są w wielkiej biedzie? – zainteresował się Andrzej.

– Życ jest im pewnie ciężko, ale biedy nie widać. Mają parę ładnych kawałków ziemi, wszyscy są pracowici i dobrze sobie radzą. A tu, zobacz – wskazał Piotr na okazały budynek, stojący po prawej stronie, – już teraz, za polskich czasów, wybudowali szkołę. Dzieci obowiązkowo do niej chodzić muszą i nie ma komu teraz na gospodarkach pomagać.

– To dobrze, że jest szkoła – odpowiedział Andrzej. – W Ameryce też obowiązkowo wszystkie dzieci chodzą do szkoły. Dzieci muszą się uczyć. Na całym świecie dzieci uczą się. Ciemny naród niczego nie może zrobić, a jak ludzie będą oświeceni, to szybciej mogą do czegoś dojść. Sama ciężka praca nie wystarczy. Trzeba umieć czytać i pisać i o świecie też trochę należy wiedzieć.

Przejechali właśnie przez mostek nad Przybyszówką, minęli stojącą za nim cerkiew i, po pokonaniu niewielkiej odległości, dotarli do rodzinnego zabudowania rodziny Priadka, zwanej tutaj od lat Gułyczami¹. Andrzej wreszcie, po długim czasie nieobecności, stanął na progu łemkowskiej *ch-ży*, gdzie dla niego wszystko się zaczęło i dokąd przez wiele lat wracał myślami w chwilach refleksji. Nie wszystkie wspomnienia, jakie stąd wyniósł, były radosne, ale za to każde z nich dotyczyło młodego i pełnego nadziei wieku. Dotyczyły czasu, w którym wydawało mu się, że świat można podbić i wiele osiągnąć. I jeszcze teraz często myślał, iż dzięki swojej ciężkiej pracy i wytrwałości w chwilach trudnych, osiągnął wiele. Jednocześnie jed-

¹ W tym czasie w Przybyszowie było co najmniej osiem rodzin o nazwisku Priadka. Dla odróżnienia ich konieczne było posługiwanie się przydomkami, które najczęściej wywodziły się od nazwiska ludzi wcześniej mieszkających w danej zagrodzie.

nak zdawał sobie sprawę i z tego, jak dużo poniósł porażek, ile w życiu stracił i ile niebezpieczeństw ominął. Ale teraz nie było czasu na rozmyślanie o czasie minionym, bowiem wyznaczył sobie tak dużo do wykonania, że mogłoby wystarczyć tego na całe życie, a on już większą jego część miał za sobą.

Na progu powitała go żona Piotra i ich dzieci. Niektóre z nich były już prawie dorosłymi osobami. Pozdejmowano z furmanki bagaże, niewiasty przygotowały posiłek i wszyscy razem zasiedli do stołu. Andrzej rozpakował niektóre toboły i obdarował każdego z domowników jakimś prezentem, a dzieciom dostało się ponadto po parę sztuk różnych łakoci, o jakich nigdy nie słyszały i nie umiały je nawet nazwać. Panowała ogólna radość, a opowiadaniom nie było końca.

Na wspólnym biesiadowaniu, minął cały dzień i nastąpiła pora na nocny spoczynek. Rozlokowano domowników po różnych miejscach, a gościom przydzielono do odpoczynku oddzielną izbę. Przybysze byli mocno utrudzeni podróżą wieloma pociągami na trasie od portu w Hamburgu, gdzie zeszli z okrętu, do stacji w Kulusznie i dalszym przejazdem wozem konnym do Przybyszowa i, pomimo braku większych wygod, spali mocnym snem. Nazajutrz, po zapoznaniu się z zagrodą, dzieci zauważyły różnicę pomiędzy gospodarstwem rolnym w Ameryce i tym krajowym. Dopytywały się o wiele rzeczy: o to, gdzie są traktory, dlaczego stryjek nie posiada samochodu, o światło elektryczne, radio i wiele innych przedmiotów, jakie w Ameryce stosowane były do codziennego użytku, a tu w ogóle nie występowały. Długo przeto ojciec musiał im tłumaczyć dlaczego są takie różnice w wyposażeniu i że bez tych udogodnień też można żyć. Nie podobały się dzieciom niektóre miejscowe zwyczaje, jak na przykład jedzenie drewnianymi łyżkami ze wspólnej miski, spanie po kilka osób w jednym posłaniu, czy brak zwyczaju dokładniejszego mycia się przed nocnym spoczynkiem.

W drugim dniu Andrzej zapoznawał się z rodzowym gospodarstwem, którego jedynym zarządcą obecnie był najstarszy brat, Piotr oraz odwiedził kilku znajomych z okresu młodych lat. Dawni koledzy, tak samo jak on, byli teraz mężczyznami już znacznie zaawansowanymi w wieku, a kilku z nich wcale już nie istniało. W tej chwili kolejny raz zdawał sobie sprawę z upływu czasu, jaki dzielił go od opuszczenia tych ziem do obecnego powrotu. Dodatkowo różnica w jego sytuacji polegała jeszcze na tym, że teraz już nie był człowiekiem, który z całą swobodą mógł dysponować swoimi posunięciami. Był ojcem sześciorga dzieci, z których troje, pozbawionych matki, znajdowało się wyłącznie pod jego opieką. Z myśli nie schodziła mu również trójka pozostała w Ameryce, a szczególnie najmłodszy z nich – Michał, który znajdował się pod opieką swojego stryja Filipa.

W następnym dniu przybysz zza oceanu udał się w towarzystwie starszego syna, Pawła, do Płonnej w celu dokładniejszego zapoznania się z sy-

tuacją dotyczącą zakupionej przed trzynastoma latami ziemi. Najpierw jednak odwiedził mieszkające tu siostry – Marię Czarnego i Hanię Ananiewicz. Szczególnie serdeczne spotkanie było właśnie z Hanią, u której wychowywał się i spędził młodzieńcze lata, aż do wyjazdu na emigrację.

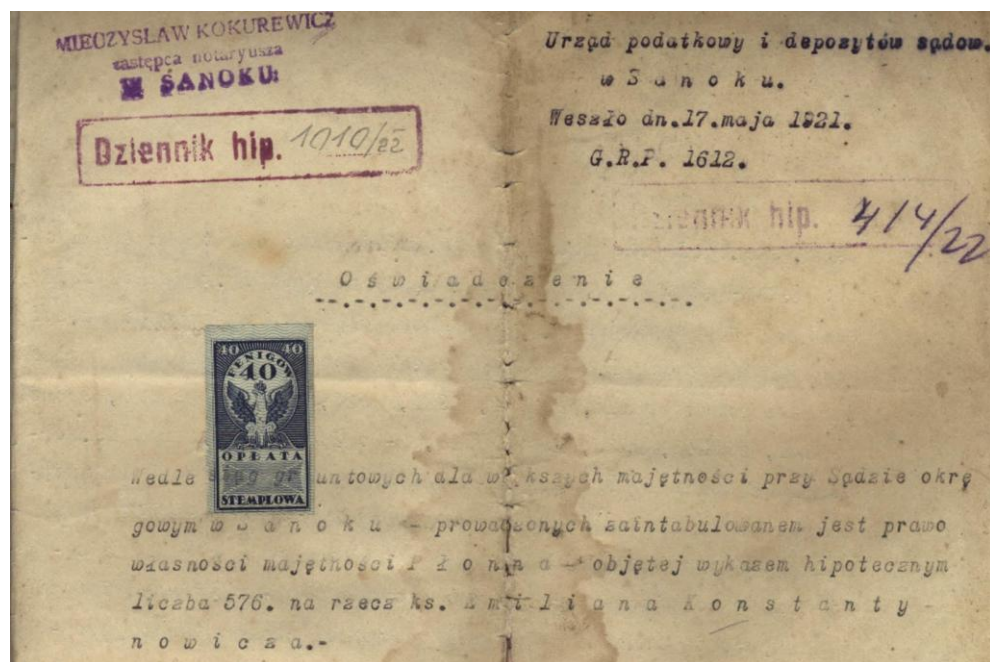
Teraz przyszła kolej na ponowne sprawdzenie przez Andrzeja stanu prawnego swoich włości i na wejście w faktyczne ich posiadanie. Odszukał więc Ignacego Kohuta, który upoważniony był, jako pełnomocnik, przy sporządzaniu dokumentów notarialnych dotyczących zakupu i przez ostatni okres nadzorował utrzymanie ziemi, nadal dotychczas uprawianej przez sprzedawcę. W dniu tym w Płonnej akurat obecny był dziedzic na dworze i jednocześnie ksiądz-dziekan greckokatolicki – Emilian Konstantynowicz. Obaj, to znaczy Andrzej i jego pełnomocnik, zostali serdecznie przyjęci przez jegomościa i – zgodnie z obowiązkiem wyznaczonym w akcie notarialnym – zostali zapoznani z granicami poszczególnych arealów.

Moment ten został uznany za faktyczne przejęcie zakupionych pól. Następnie dokonano krótkiego rozliczenia wzajemnych należności. Andrzej był winien księdzu-dziekanowi pewną kwotę z tytułu sprawowania przez niego nadzoru i opieki od chwili sprzedaży ziemi do czasu obecnego, natomiast ksiądz z kolei był dłużny w stosunku do nabywcy z racji użytkowania ziemi i czerpania z niej korzyści materialnych. Uznano, że w zasadzie wzajemne zobowiązania kompensują się i nikt nikomu nie jest dłużnikiem. Ponieważ miejscowy szlachcic był człowiekiem honoru, zobowiązał się do udzielenia Andrzejowi pewnej pomocy w zorganizowaniu gospodarstwa, gdy ten już pobuduje na swojej ziemi dom mieszkalny i niezbędne budynki gospodarcze. Obiecał nawet odstąpienie po korzystnych cenach kilku sztuk inwentarza żywego, które w każdym gospodarstwie rolnym stanowią podstawę egzystencji. Zobowiązał się również do użyczenia na pewien okres niezbędnych narzędzi rolniczych, aby nowy gospodarz miał czym uprawiać ziemię i pracować w obejściu.

Podziękowali sobie wszyscy nawzajem za świadczone przysługi i pożegnali się. Następnie Andrzej, teraz już faktyczny posiadacz ponad czternastu hektarów najlepszej ziemi w Płonnej¹, jeszcze raz, teraz już tylko w towarzystwie syna, obszedł swoją posiadłość, ocenił jej przydatność i dokonał pierwszych zamysłów co do kształtu przyszłego gospodarstwa. Pole jego niemal w całości leżało pomiędzy głównym potokiem i wpadającym do niego z prawej strony strumykiem, a tylko część leżała po lewej stronie potoku.

¹ Majętność dworska w Płonnej już wcześniej, prawdopodobnie po roku 1863, kiedy to nastąpiło powszechne uwłaszczenie chłopów, była rozparcelowana. Ziemia, którą zakupił Andrzej Priadka stanowiła pozostałość po tej parcelacji, wchodzącego w skład gospodarstwa dworskiego areалу.

Na swoją sadybę wybrał jednak miejsce na niewielkim wzniesieniu na lewo od potoku, aby mieszkać po tej samej stronie, gdzie znajduje się większość domów Płonnej.



Początek pierwszej strony notarialnego aktu kupna ziemi z 1921 roku

Późnym popołudniem ojciec z synem wracali w pełni ukontentowani do miejsca swojego czasowego pobytu w Przybyszowie.

– Chodź, synku, pójdziemy z powrotem inną drogą. Przy okazji poznasz trochę okolice, w których będziemy żyć – powiedział Andrzej do Pawła, kierując się do Przybyszowa nie drogą przez Karlików, a na skróty przez pola i lasy.

Szli tak najpierw równolegle do potoku wiejskiego, poczynając od pola zwanego „na ruskim”, w stronę południową. Potem, gdy zaczynały się już większe wzniesienia, należące do rzepedzkiej góry, skierowali się bardziej na zachód. Po lewej stronie mieli wysoko wznoszące się tereny lesiste, a po prawej rozciągały się niemal równinne pola, poszatkwane na drobne zagony. Na łąkach tych stało dojrzałe, kołyszące się na wietrze zboże, gotowe już do żniw. Pomiedzy zbożowymi zagonami zieleniły się drobne poletka z ziemniakami i innymi uprawami. Tu i ówdzie widać było w oddali uwijających się żniwiarzy.

– Papo – zapytał zmęczony nieco tą wędrówką Paweł, – a czy my też pole swoje podzielimy na takie kawałki i będziemy mieć na nich takie ładne zboże?

– Zboże będziemy mieć jeszcze ładniejsze, ale nie będzie ono na takich drobnych kawałkach, bo nasze pole jest duże i nie ma potrzeby dzielić go na małe zagony.



Ostatnia strona notarialnego aktu kupna ziemi z 1921 roku

– To dlaczego tu są takie małe kawałki? U stryja Filipa w Pensylwanii pola były bardzo duże.

– Bo widzisz, w Ameryce pola jest dużo i nie trzeba go dzielić. Tutaj natomiast w każdym gospodarstwie rodzice dzielą pole pomiędzy swoje dzieci i z dużego łąnu muszą robić kilka małych.

– Ale gdy my dorośniemy, to papa też podzieli swoje pole na mniejsze – stwierdził rezolutny Paweł.

– Gdy wy dorośniecie, to nie będziemy dzielić naszego pola. Jak będzie trzeba, to wam dokupię ziemi, żebyście też mieli ładne gospodarstwa. Ale do tego czasu jest jeszcze daleko i nikt nie wie jak to potem będzie.

Gdy minęli potok Wyszbór, wtedy nazywany jako Wyzwir, dla przejścia którego należało zdjąć obuwie, ścieżka zaczęła prowadzić bardziej w górę. Szli chwilę przez las, a potem odsłoniła się przed nimi piękna, duża polonina. Las natomiast pozostał po lewej i prawej stronie.

– Gdy miałem kilkanaście lat, może nawet mniej niż ty teraz – zaczął opowiadanie Andrzej – i byłem na służbie u cioci Hani, to często, razem z innymi chłopcami, pasaliśmy tutaj konie. Bywały czasy, że trzeba było z końmi nocować, ażeby niepotrzebnie nie prowadzić je na noc do domu. O konie wtedy dbało się bardziej niż o pastucha, bo koń wart był dużych pieniędzy i był potrzebny do pracy w gospodarstwie. Pastuchowi natomiast wystarczyło dać kawałek chleba i trochę sera do *jaszczyka*. Nawet butów nie musiał mieć.

– To gdzie spaliście, papo, jeżeli konie pasły się przez noc?

– Spaliśmy pod gołym niebem i w nocy zawsze było zimno. Nakładaliśmy więc drewna na *watwę*¹ i grzaliśmy się przy niej. Jeden zawsze musiał nie spać, aby ogień podtrzymywać, bo inaczej wilki mogły podejść za blisko.

– To tutaj są wilki? – zapytał zaciekawiony i nieco wystraszony Paweł.

– Tak, tu, w tych górskich lasach w Beskidzie i Bieszczadach, żyje dużo dzikiej zwierzyny: są wilki, lisy, żbiki, a nawet niedźwiedzie. Najgroźniejsze były wilki. Jeżeli ktoś się nie pilnował, to mogły zjeść konia, a i dla ludzi były groźne. Pewnego razu jeden z koni, należący do sąsiada, odszedł dalej od nas i napadła go cała wataha. Z konia zostały tylko skóra i kości. Chłopaka, który miał pilnować te konie, gospodarze mocno pobili i wygonili z domu. Poszedł biedak w świat szukać przytułku.

– To nas, papo, też teraz mogą wilki zjeść, prawda?

– Nie, synu. Teraz, latem wilki nie są głodne i w dzień ludzi nie atakują, ale zawsze lepiej uważać i mieć w ręce jakąś porządną tyczkę.

Szli tak dalej, a ojciec opowiadał uważnemu chłopakowi wiele ciekawostek z życia w tych stronach i o swoich przygodach z młodości. Opowiadania takie powodowały, że Paweł zaczynał lubić te okolice i mniej tęsknił do swoich miejsc z dzieciństwa. Droga szybko im mijała. Teraz ta górską steczka prowadziła już w dół i lżej było iść. Tak doszli do pól należących do przybyszowskich gospodarzy i kierowali się według niewielkiego, ale za to rwącego strumyka.

– Schodzimy teraz z góry, na którą miejscowi ludzie mówią *Łaski*, a tam w dole widać już cerkiewną banię – poinformował Andrzej syna.

– A co to jest „banią”?

¹ Ognisko (łemk.)

– Banie to takie duże kopuły w kształcie gruszki, które są na dachu każdej cerkwi. A na bani zawsze zamontowane są żelazne krzyże.

Dalej szli koło nowo założonego cmentarza, za którym, około stu kroków w górę, znajdowało się gospodarstwo brata Andrzeja, Piotra. Dzień chylił się już ku zachodowi. Na progu stały pozostałe dzieci Andrzeja – Andrzejek junior i Hania.

– Papo, gdzie tak długo byliście? My nie chcemy być tu sami. Jesteśmy głodni – wołali jedno przez drugie.

– Mówiłem wam, że idę z Pawłem do Płonnej oglądać ziemię, gdzie pobudujemy dom, a wy sami nie byliście, tylko ze stryjem i jego dziećmi. A co, stryjna nie dawała wam jeść?

– Jeść dawała, ale tylko kartofle i kaszę z mlekiem¹ – poskarżył się ojcu Andrzejek.

– Dobrze, już dobrze, jutro będzie inaczej – uspokajał dzieci Andrzej.

Gdy weszli do izby, siedzący przy piecu Piotr zapytał brata:

– I co, jak tam poszło w Płonnej? Czy wszystko ułaziłeś tak, jak chciałeś.

– Tak, wszystko jest załatwione tak jak trzeba. Miałem szczęście, bo znalazłem Kohuta, a potem zastałem też Konstantynowicza. Przekazał mi całe pole zgodnie z aktem zakupu i dokonaliśmy rozliczenia. Powiedział, że pomoże mi w urzędzeniu gospodarstwa. Byłem jeszcze u naszych sióstr i porozmawiałem z nimi przez chwilę.

– A jak z domem, czy szybko będziesz budować? Bo widzisz, u nas jest dosyć ciasno, ludzi swoich mam dużo i pewnie niewygodnie ci tu z dziećmi – wypytywał dalej Piotr.

– Wygodnie nie jest tu nikomu, ale mieszkać w tym domu z dziećmi przez jakiś czas chyba mogę. To jest dom naszych rodziców i chyba też mam prawo do niego. Wyszedłem przecież z domu, razem z Filipem, jak jeszcze byliśmy małymi dziećmi i nic z gospodarstwa nie dostałem. Trochę pomogłeś mi przy wyjeździe, ale potem ja i Filip też ci pomagaliśmy. I teraz, kiedy jestem w kłopotach, to pewnie mam prawo mieszkać tak długo, jak potrzebuję.

– No, masz, masz prawo – odpowiedział z zakłopotaniem Piotr. – Ja nic przeciwko tobie i twoim dzieciom nie mam, tylko Hańcia mówi, że jej ciężko tyle ludzi wyżywić.

– Nic się nie bój – odparł zdenerwowany nieco Andrzej. – Na wyżywienie dzieci ja mam pieniądze i jeszcze twoje przy tym skorzystają. A co dotyczy miejsca do mieszkania, to też nie będziemy tu zimować, ale muszę

¹ Po wielu latach, już w wieku starszym Anna uskarżała się, że z okresu krótkiego pobytu u stryja Piotra zapamiętała ciągle dokuczający jej głód. Aby pożywić się czymś bardziej treściwym dzieci Andrzeja robiły niekiedy wypad do ciotki Biroszowej, która przyjmowała je serdecznie.

mieć czas na pobudowanie wszystkiego, co trzeba w gospodarstwie. Trzeba mi teraz rozejrzeć się za materiałami i majstrów też muszę zjednać. Już jutro się za to wezmę, tylko powiedz mi, gdzie mogę kupić drewno na budowę i proszę cię, ażebyś dał mi koni na załatwienie tego wszystkiego, bo jak będę chodził pieszo to stracę dużo czasu.

Piotr nic nie miał na przeciw takiej prośbie; zrobiłby wszystko, co mogłoby przyspieszyć wyprowadzenie z domu dodatkowo teraz zamieszkujących czterech osób, aby dalej już nie drażnić burkliwej żony.

Nazajutrz, po śniadaniu Andrzej zaprzął konie do wozu, a mógł sobie na to pozwolić, bo jeszcze nie rozpoczęła się pora zwózki zbóż z pola, i razem ze wszystkimi dziećmi wyruszył do pobliskiego Bukowska. Podczas przejazdu przez Karlików ponownie opowiadał dzieciom o ich zmarłej mamie i jak mocno chciała powrócić w te strony. Następnie pomiędzy Karlikowem i Wolą Piotrową mijali stojącą po lewej stronie drogi kapliczkę, nazywaną przez ludzi *Rańciowa kapliczka*. Tutaj Andrzej zdjął czapkę z głowy, a dzieciom nakazał przeżegnać się po trzykroć.

– Dzieci, tu jest święte miejsce i za każdym razem, kiedy będziecie tędy przechodzić, trzeba go uczcić. Ta kapliczka stała jeszcze w czasach, kiedy ja byłem dzieckiem. Ludzie zawsze przynoszą tu kwiaty, a jak ktoś ma problemy, to tu przychodzi się pomodlić do Matki Bożej. Dziwne rzeczy opowiadają o tym miejscu. Na przykład raz kiedyś wracał tędy zmęczony człowiek, którego żona wysłała, żeby w Bukowsku sprzedać jajka i masło, a potem kupić za uzyskane pieniądze trochę żywności. Niósł między innymi suszone śliwki, a że był już w drodze powrotnej zmęczony i głodny, to postanowił kilka z nich spróbować. Przysiadł więc na progu tej kapliczki i tak długo się posilał, aż nic w torbie mu nie zostało. Gdy chciał wstać i pójść dalej, to chwyciły go wielkie boleści brzucha. Kiedy przysiadł z powrotem, aby przeczekać tę dokuczliwość, pojawił się przed nim długowłose, siwy starzec i oświadczył mu, że spotkała go kara, bo nie spieszył do głodnych dzieci, a sam spożywał to, co dla nich miał przynieść. Poradził mu, ażeby najpierw pomodlił się, a potem zjadł za karę wszystkie jądra z pestek, które powyrzucał ze spożytych śliwek. Objęty boleściami chłop złożył się więc do modlitwy, a gdy podniósł na nowo wzrok do góry, starca już nie było. Rad nie rad, wziął się następnie do rozbijania pestek przy pomocy znalezionych kamieni i wydłubywania z nich jąder. Gdy uporał się z ostatnią pestką, ból brzucha mu minął, a on poszedł dalej.

Reszta drogi zeszła na różnych, innych opowieściach. W Bukowsku Andrzej najpierw kupił dzieciom w karczmie jedzenie, a potem w sklepie i na targu nabył wiele produktów spożywczych, aby w domu było z czego przygotowywać posiłki i zabrał się do załatwiania spraw związanych z czekającą go inwestycją. Zaszedł więc do wójta, gdzie uzyskał pozwolenie na budowę, szukał majstrów i rozpytywał, gdzie można zakupić niezbędne materiały

budowlane. Zapewniając wszędzie, że dobrze zapłaci w zagranicznej walucie, załatwianie wszystkich spraw odbywało się sprawnie. Po południu wracali do Przybyszowa, a po drodze dzieci słuchały opowiadania o tym, jak będzie wyglądało ich nowe miejsce zamieszkania i całe gospodarstwo w Płonnej. Mniej może interesowałyby je to całe przedsięwzięcie, gdyby nie wizja lepszych warunków życiowych, bo w domu stryja, pomimo krótkiego okresu przebywania w nim, życie wydawało im się ciężkie, zwłaszcza, że przez cały czas miały w pamięci swoje mieszkanie i wygodę w Ameryce.

Przygotowania do budowy przebiegały dosyć sprawnie. W krótkim czasie zgromadzone zostały niezbędne materiały, wynajęto majstrów i uzgodniono układ budynku mieszkalnego i całego gospodarstwa. Następnie Andrzej przygotowywał się do wykonywania pierwszych w życiu prac polowych na własnej ziemi. Korzystał przy tym z różnych możliwości. Przeważnie konie i narzędzia za odpłatnością pożyczał u brata albo u miejscowych gospodarzy, a przy wykonywaniu upraw pomagały mu własne dzieci lub wynajmowani ludzie. Całymi dniami przebywał w Płonnej, a do Przybyszowa przychodził późnym wieczorem. Cierpiały trochę na tym dzieci, ale ojciec cały czas pocieszał je, że po wybudowaniu własnej zagrody będą miały lepiej.

Rozmyślał również nad własną sytuacją życiową. Zdawał sobie sprawę z tego, że do opieki nad dziećmi potrzebna jest w domu niewiasta, a sam również, będąc jeszcze żywotnym mężczyzną, nie miał zamiaru spędzać życia w osamotnieniu. W urzeczywistnieniu tego widział jednak pewne problemy. Chociaż, jak na tutejsze warunki, był człowiekiem dosyć majątnym i nieposłedniej urody, trudno byłoby znaleźć kobietę, która, wchodząc w związek małżeński, chciałaby wziąć sobie na barki gromadkę cudzych dzieci. A przy tym miał Andrzej jeszcze dosyć wygórowane oczekiwania co do wieku i urody przyszłej partnerki.

Będąc człowiekiem rozmownym i nie znając jeszcze zbyt wielu ludzi, z problemami tymi dzielił się z bratem i kolegami, rozpytując o wiadomości odnośnie możliwej kandydatki na przyszłą żonę.

– Człowieku – rzekł do niego Dymitr, starszy o dwa lata brat, mieszkający również w Przybyszowie, a ożeniony w rodzinie Fiedów, – co będziesz szukał daleko. Jest tu po sąsiedzku młoda wdowa z jednym dzieckiem. Mąż jej zmarł dwa lata temu, a teraz siedzi na kupie z rodzicami i rodziną starszego brata.

– A kogo masz na myśli? – zapytał zaciekawiony Andrzej.

– Mówię o Nastii od Tychani. Ona ma dopiero dwadzieścia kilka lat, a jej chłopak chyba ze trzy lata. Rodzina bardzo gospodarna, ale w domu jest dużo ludzi i ona, nieboraczka, nie ma tam łatwego życia. Wydała się parę lat temu do Zachara w Karlikowie, ale chłop jej był słabego zdrowia i długo nie

pożył. Po śmierci męża nie mogła dłużej wytrzymać z teściową i wróciła do swoich ojców.

Andrzej bardzo zainteresował się tą propozycją. Przez chwilę zastanawiał się, a potem rzekł:

– Powiadasz, że jest jeszcze bardzo młoda... Ja mam już czterdzieści sześć lat i trójkę dzieci na utrzymaniu. Druga trójka pozostała w Ameryce. Nie wiem, czy ona będzie chciała wyjść za takiego człowieka.

– Co by tam nie chciała! – wykrzyknął Dymitr – Jak nie będzie chciała to pogadaj z jej ojcem, a on jej już przetłumaczy.

Na tym rozmowa pomiędzy dwoma braćmi zakończyła się. Nazajutrz Andrzej wybrał się na drugą stronę potoku. Gdy mijał stojącą po lewej stronie nową szkołę przysłała mu do głowy taka myśl: *„Taka piękna szkoła. szkoda, że nie było jej za moich czasów. Gdyby było inaczej, to może nie pojechałbym w świat taki ciemny, bez możliwości przeczytania lub napisania kilku słów”*. Po chwili jednak zreflektował się i jakby sam siebie chciał sprostować, snuł dalej swoje rozmyślenia: *„Choćby wtedy i była ta szkoła, to i tak nie mógłbym się w niej uczyć, bo musiałem iść na wychowanie do Płonnej, a tam też nie było gdzie się uczyć. A zresztą, gdyby nawet była wtedy w Płonnej szkoła, to kto by mnie do niej posyłał? Przecież byłem potrzebny do pracy na gospodarstwie. Tak, czy inaczej, biednemu zawsze jest pod górkę”*. Na takich rozmyśleniach zeszedł mu ostatni odcinek niedługiej drogi i stanął przed wejściem do młyna, a po chwili znalazł się u progu chyży Chyrów. Z miejscowym gospodarzem znał się jeszcze sprzed wyjazdu za ocean, bowiem od Jana był młodszy zaledwie o siedem lat. Pozdrowili się nawzajem. Porozmawiali chwilę o pogodzie i odbywających się żniwach, po czym Andrzej, szukając tematu do rozmowy, rozpytywał o możliwości zmielenia zboża w młynie.

– Młyn jest na chodzie, tylko czasem wody brakuje – poinformował go Iwan. – Ale teraz i wody wystarcza, bo ludzie przeżywają przednówek i prawie nikt nie ma zboża do zmielenia.

– A co w takim razie jedzą? – wypytywał Andrzej.

– Jedzą, co kto może. Teraz już amerykańskie¹ kartofle można kopać. A i zielonego coś do jedzenia można zbierać w ogrodzie i na polu.

– Ja też nie mam zboża do zmielenia – roześmiał się Andrzej, – ale Bogu dziękować nie muszę dla dzieci do jedzenia zbierać zieleniny. Tak więc i ja nie dam ci zarobić na mieleniu.

– Tak się spodziewałem, że nie w sprawie mielenia tu przychodzisz – zauważył Chyr.

– Dobrze myślisz, Iwanie – przytaknął mu przybysz. – Moja sprawa jest ważniejsza od mielenia zboża, tylko nie wiem jak o tym powiedzieć.

– Mów śmiało. Jak będę mógł, to ci pomogę.

¹ Tak popularnie nazywano tu wczesną odmianę ziemniaków.

– Jeżeli o to chodzi, to będziesz mógł. Tylko nie wiem, czy zechcesz. A poza tym to nie tylko od ciebie będzie zależało.

– Mów śmiało. O co chodzi? – zachęcał gospodarz do dalszej rozmowy.

– Otóż, drogi *Iwanie*, tak ci będę mówił, bo też już nie jestem młody, a znamy się od dawna. Byłem długo w Ameryce, ale moja żona, Kaśka od Tymciów z Karlikowa, zmarła i zostawiła mnie z sześciorgiem dzieci. Już dawno myślałem o powrocie do kraju, ale biedaczka nie doczekała tego. Musiałem więc wrócić już bez niej. Nie mogę jednak dalej żyć sam i dlatego chciałbym zostać twoim zięciem. Nie wiem, czy zgodziłbyś się wydać za mnie Nastię. Co ty na to?

Chyr podkreślił wąsy, wydobył z kieszeni serdaka fajkę i zaczął ją nabi-jać. Po chwili rzekł:

– A co ja mogę na to odpowiedzieć... Nastię spotkało też wielkie nieszczęście. Wydałem ją za męża, a po dwóch latach chłop jej umarł i została sama z dzieckiem. Musiałem ją więc przyjąć z powrotem do domu, ale to nie dla niej tu życie. W domu jest już gospodyni, bo Mikołaj, najstarszy mój syn, ożenił się i ma już dziecko. Moja Paraska też jeszcze dzieci rodzi. Nastia nie ma co ze sobą zrobić. A ty jesteś człowiekiem prawym i gospodarnym. Słyszałem, że kupiłeś ziemię i chcesz gospodarkę zakładać. Możesz więc utrzymać i dzieci i żonę. Ale w tej sprawie trzeba zapytać Nastię. Niech ona sama odpowie.

Weszli do izby, przysiedli przy stole i podjęli dalszą rozmowę. Andrzej opowiadał, jak tam było w świecie, a *Iwan* poinformował go, że też był w Ameryce, ale nie mógł tam dłużej zabawić, bo żona pisała za nim listy, że jej samej ciężko i gospodarka upada i musiał szybko wracać, nie dorobiwszy się niczego. W tym czasie do izby weszła Nastia z wiadrem udojonego mleka. Pozdrowiła gościa i dalej zajmowała się swoją robotą. Ojciec natomiast przerwał jej rozpoczęte czynności, mówiąc:

– Nastio, przerwij tę robotę z mlekiem. Mamy gościa i musimy z nim porozmawiać.

– To rozmawiajcie, tato, ja wam nie będę przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz nam, ale Andrzej ma sprawę do ciebie.

Zaintrygowana Nastia przerwała wykonywane czynności, obtarła ręce i przysiadła na ławie, naprzeciwko gościa. On spojrzał na nią swym, chociaż okaleczonym, ale przenikliwym wzrokiem. Poczula się nieco zmieszana i splonęła rumieńcem. Po chwili tę niezręczną sytuację przerwał ojciec.

– Posłuchaj Nastio, Andrzej przyszedł prosić mnie, abyś wyszła za niego. On buduje gospodarstwo w Płonnej i nie może być dłużej sam. Chociaż go nie było tak długo w kraju, to wszyscy wiedzą, że to dobry i porządny człowiek. Myślę, że szanowałby cię i miałabyś z nim dobre życie.

– Tak, to prawda – dodał Andrzej. – Chciałbym się z tobą ożenić, tylko nie wiem, czy ty zgodziłabyś się na to. Jestem dużo starszy od ciebie i mam

troje dzieci. Ale ty też masz syna i razem wszyscy mogliby się wychowywać. Pomyśl więc, czy wspólnie nie byłoby nam łatwiej żyć.

Nastia wiedziała o powrocie Andrzeja i o jego zamiarach co do urzędnictwa gospodarstwa w Płonnej. Nie myślała natomiast, że to wszystko mogłoby mieć jakiś związek z nią. Przedłożona jej przez dwa razy starszego człowieka niespodziewana propozycja małżeństwa całkowicie ją zaskoczyła. Nigdy nie myślała o takim rozwiązaniu swojego ciężkiego położenia. W tej chwili momentalnie przyszedł jej na myśl Sławek Osiurak, z którym od wielu miesięcy spotykała się i chyba żywiła do niego prawdziwe uczucie. Nie mogli jednak żyć razem, bo nie mieli ku temu warunków. Obydwójce byli biedni, pochodzili z przeludnionych domów i nie mieli możliwości snucia realnych planów odnośnie wspólnego dalszego życia. Zawsze nieśmiało myśleli, że znajdzie się jakieś wyjście i los ich odmieni się. Teraz jednak pojawił się niespodziewanie człowiek, który, co prawda, mógł jej zapewnić dach nad głową i przyjąć jej syna na wychowanie, ale przecież wcale go nie zna i nie pała do niego żadnym uczuciem. Już raz jeden własny ojciec wyswatał ją bez jej zgody i niemal przymusił do wyjścia za człowieka, którego wcześniej nie знаła. I co z tego wyszło? Sama zgryzota, nieszczęście i poniewierka. A teraz znów ojciec przedkłada jej propozycję obcego człowieka. Skąd może wiedzieć, że tym razem wszystko ułożyłoby się inaczej. Choć była jeszcze młoda, ale już przez życie ciężko doświadczona i nie mogła napędce podejmować tak ważnej decyzji. Czując na sobie wyczekujący wzrok obydwu mężczyzn, Anastazja zebrała jednak dość odwagi, aby odpowiedzieć im w sposób, jaki dawałby jej jeszcze szansę na wybór. Wtedy bowiem myślała, że jeszcze stoi przed nią taka możliwość.

– Nie wiem, co mam teraz odpowiedzieć. Nie spodziewałam się takiej propozycji. Andrzeja wcale nie znam. Jest już dojrzałym mężczyzną, a ja mogłabym być jego córką. Nie wiem więc, czy nadaję się na żonę dla niego. Chciałabym się jeszcze zastanowić. Nie ma przecież powodu do pośpiechu.

Ojciec został zaskoczony, że Nastia w takiej chwili może mieć jeszcze wątpliwości. Według niego nie miała żadnego innego wyjścia. Trafił się jej człowiek z dobrą sytuacją materialną, a ona jeszcze śmie zastanawiać się. Odmiennego zdania był natomiast Andrzej, kandydat na zięcia.

– Nie spodziewałem się, że od razu się zgodzisz. Dobrze, że się zastanawiasz. Świadczy to o twoim rozsądku i że nie jesteś kobietą lekkomyślną. Nie boję się o to, czy byłabyś dobrą gospodynią. Znam twoją rodzinę od młodych lat i wiem, że tu zawsze był ład i porządek. Choć było ciężko, to zawsze dawaliście sobie radę. Ze mną też umiałabyś gospodarzyć. Poczekam, aż się zastanowisz i wtedy dasz mi odpowiedź.

Pożegnał się i wyszedł, aby nadal załatwiać swoje sprawy.

W niełatwym dotąd życiu Anastazji został zasiany kolejny niepokój. Do tego jeszcze należałoby dodać niezadowolenie ojca, aby w pełni przedstawić

jej stan duchowy. Konsekwentna odmowa łączyłaby się z gniewem rodziców, a szczególnie ojca, który chciałby w jakiś sposób ulżyć swoim utrapieniom i mieć mniej ludzi na głowie. Natomiast przyjęcie propozycji oznaczać mogło kolejny związek bez uczucia, a do tego rozstanie się z osobą bliską, jaką był Sławek. Żyć tak, jak dotychczas, też nie mogła dalej, bo syn podraستاł, ona sama nie miała niczego i nie było w tym domu dla nich przyszłości.

W utrapieniu takim przemijały kolejne dni. Przez cały czas czuła na sobie ponaglący wzrok ojca, a przy – niby to przypadkowym – spotkaniu z Andrzejem, który dziwnym trafem ciągle miał jakieś nieprzewidziane sprawy do omówienia w jej domu, czuła się zmieszana i zawstydzona. Od czasu jednak pierwszej rozmowy zaczęła coraz częściej przyglądać mu się i dostrzegać w nim pewne zalety. Było to jednak za mało, aby podjąć decyzję niezgodną z jej wcześniejszymi odczuciami. Ojciec jednak nie dawał za wygraną i przynaglał:

– Kiedy się, dziewczyno, w końcu zastanowisz? Kogo ty wyczekujesz? Tu nikt cię z dzieckiem nie weźmie, a jeżeli taki się znajdzie, to całe życie będziesz żyła w niedostatku, bo nikt bogaty przecież tu ci się nie trafi.

– Nikogo bogatego nie wyczekuję, ale chciałabym wyjść za kogoś, kogo lubię. Sami widzicie – zwracała się Anastazja do rodziców, – że to jest człowiek już stary. Niedługo mu do pięćdziesiątki, a ja mam tylko dwadzieścia trzy lata. Mogłabym być jego córką. On ma dzieci mało młodsze ode mnie, a do tego jest kaleką, z jednym tylko okiem.

– Oko ma tylko jedno – zdenerwował się Jan, – ale, jako chłopu, nic więcej mu nie brakuje! A kto tu od niego jest przystojniejszy?

– Kto? – powtórzyła z płaczem Nastia. – A chociażby Sławek Osiuraka. Wiecie przecież, że go lubię, a wy mi każecie wychodzić za starca.

– Jeżeli go lubisz, to idź z nim i więcej tu nie wracaj! – wykrzykiwał ojciec. – Tylko gdzie wy się podziejecie? Chyba razem pójdziecie na służbę, tylko kto potrzebuje teraz do domu troje ludzi. Jak sobie wolisz: albo wychodzisz za Gułycza, albo zabieraj dziecko i wynoś się, gdzie cię oczy poniosą!

– Jeżeli tak, to już się wynoszę – odrzekła Nastia, rozplakała się i wybiegła z domu w ciemną noc.

Stała tak, szlochająca, za węgłem budynku przez dłuższy czas i rozmyślała o swojej niedoli. Wtem niespodziewanie podszedł ktoś do niej z boku i objął ją w czułym uścisku. Podniosła oczy do góry i ujrzała stojącego obok niej Sławka. Rozplakała się na nowo, a po niewielkim uspokojeniu się opowiedziała mu o całym zajściu. Przez chwilę płakali oboje, po czym Sławek pierwszy ocknął się, pomyślał przez moment i przemówił:

– Droga Nastko, a może ojciec ma rację? Jakie życie czekałoby ciebie przy mnie. Gdybyś ty jeszcze była sama, to może poszlibyśmy gdzieś w świat. Ale ty też musisz myśleć o dziecku. Ono i tak jest biedne bez ojca, a

przy mnie czekałaby go pewnie jeszcze większa poniewierka. Może więc nie trzeba nam myśleć tylko o sobie. Tak to jest już na świecie...

– Czy to znaczy, że mnie nie kochasz i nie chcesz być razem ze mną? – zapytała Nastia, zaskoczona wypowiedzią Sławka.

– Nie. To znaczy, że kocham cię i nie chcę przez to narażać ciebie i dziecka na biedę, jaka czekałaby was przy mnie. Musimy być rozsądni. Widać tak już jest nam pisane, że nie możemy być razem.

Postali tak jeszcze przez chwilę, po czym Sławek pożegnał się i odszedł. Teraz Anastazja poczuła się podwójnie zawiedziona: przymuszającym stanowiskiem ojca i wątpliwością odnośnie uczucia Sławka. A jeżeli Sławek naprawdę ją kocha i musi rezygnować ze swojej miłości z troski o nią? Zdawało się, że rozmyślaniom nie będzie końca. Zafrasowana powróciła do izby, w której spał już mały Michałek, mocno przytuliła synka i przeleżała tak niemal do rana. Już się rozwidniało, gdy zmęczona i wielce strapiona usnęła.

Na rozmyślaniach o swojej przyszłości zeszło Anastazji kilka następnych dni. W myślach swoich coraz częściej skłaniała się do podjęcia decyzji o swoim powtórным zamążpójściu. Miała już dosyć życia w zniewoleniu: najpierw jako niemal służąca w domu swojego pierwszego męża, a teraz niezbyt mile widziana przez własną, najbliższą rodzinę. Wobec takich refleksji jako ukojenie przyjmowała wyobrażenia siebie samej w roli prawowitej gospodyni w jednym z większych gospodarstw w sąsiedzkiej Płonnie. W końcu nie byłaby na czyjejs łasce, a byłaby panią sama dla siebie. Wobec takiej, chociaż powolnej, przemiany własnego poglądu na sprawę, inaczej zaczęła postrzegać Andrzeja. Odróżniał się od wszystkich znanych jej miejscowych mężczyzn, którzy chcieliby z nią przystawać, nie tylko zamożnością, ale przede wszystkim ogładą i wielkimi wiadomościami o świecie. Wydawał się być człowiekiem odpowiedzialnym i wiedzącym do czego zmierza. Natomiast jego wiek nie stanowił już tak wielkiej przeszkody. Przecież nie jest jeszcze starym mężczyzną, a urodą i elegancją przewyższał wielu innych. W końcu doszło do tego, że miała już dość tych rozmyślań i postanowiła podjąć decyzję.

– Mamo i tato – odezwała się pewnego wieczoru, gdy syn i młodsze rodzeństwo, wykluczając żonatego już Mikołaja, poszli spać, – chciałam was prosić, abyście się już na mnie nie gniewali. Postanowiłam, że pójde za Andrzeja Gułyczów. Nie chcę już dłużej być dla was ciężarem, a innego wyjścia nie widzę. Muszę się oprócz tego przyznać, że Andrzej zaczyna mi się nawet podobać. Jego dzieci też potrzebują opieki i może razem będzie nam łatwiej, a i wy odetchniecie trochę.

– Nie gniewamy się na ciebie, córeczko – odpowiedział, wyraźnie uradowany, ojciec. – Cieszę się, że zmadrzałaś i dobrze rozmyślałaś sobie wszystko. Pochwalamy twoje postanowienie.

– Tak, pochwalamy twoje postanowienie – powtórzyła po swoim mężu Paraska. – Zadbamy o to, żeby ci nie stała się jakaś krzywda. Już czas, abyś przestała pracować na czyimś i została gospodynią na swoim własnym.

– Powiemy jutro o tym Andrzejowi. Na pewno się ucieszy – zakończył rozmowę ojciec.

Tak też stało się. Nazajutrz z samego rana Chyr udał się do domu Gułyczów, opowiedział o podjętej przez Anastazję ostatecznej decyzji i oświadczył, że odtąd będzie traktował Andrzeja jak swojego zięcia.

W krótkim czasie załatwiono wszystkie sprawy w parafii i ślub odbył się niebawem po zakończeniu prac żniwnych. Uroczystości weselne, chociaż w cerkwi w pełni respektujące bogatą ceremonię bizantyjską, były skromne, przy udziale tylko ścisłej rodziny i najbliższych sąsiadów. Wyjątkowy widok stanowiła obecność stojących przy ołtarzu, tuż za parą młodą, czwórki ich dzieci w wieku od trzech do dwunastu lat. Tak więc, ślubowanie zwiędło jednocześnie sześćoosobową rodzinę, a Anastazja w wieku dwudziestu trzech lat, zanim jeszcze została „gospodynią na swoim”, stała się zarazem żoną i matką czworga dzieci. Przyjęcie weselne nie było okazałe, chociaż nikomu z obecnych nie brakło sytegojadła i wyborowego napitku. Była również muzyka przygrywająca do tańca do białego rana. W miejscowym zwyczaju było, że uroczystości takie trwały – łącznie z przenosinami do nowego domu – po kilka dni, ale Andrzej nie chciał stwarzać nadmiernego kłopotu żadnej ze stron: ani ojcu Anastazji, w domu którego mieszkało dwanaście osób, ani swojemu bratu, który nieraz dawał do zrozumienia, iż czyni szczególny gest dobroci, przyjmując na komorne jego rodzinę. Ponadto, nie mając jeszcze swojego domu, Andrzej nie mógł nadawać uroczystej oprawy przeprowadzce żony do obcego mieszkania. Do tego, mieszkając poza Przybyszowem od dziecka, nie czuł szczególnej więzi z mieszkającymi tu ludźmi, a bardziej myślał o swoich problemach związanych z koniecznością zapewnienia rodzinie lepszych warunków życiowych jeszcze przed nastaniem zimy.

W poniedziałek, po uroczystości zaślubin, Anastazja spakowała swoje, niezbyt liczne rzeczy i w towarzystwie męża, rodziców i najstarszego z braci, Mikołaja, udała się do domu Gułyczów, położonego po drugiej stronie potoku. Pomimo, że nie było to własne mieszkanie Andrzeja, powitano ich tu, jak nakazywał obyczaj, chlebem i solą, a błogosławieństwa udzielił nowożeńcom najstarszy brat, Piotr. Na okres przejściowy łemkowska *chyża* powiększyła się o jedną pełną, dość liczną rodzinę.

W późniejszym okresie czas ten niezbyt przyjemnie wspominać będą „amerykańskie” dzieci Andrzeja. Otóż sam przyjazd do Polski i zderzenie się z tutejszymi warunkami żywymi, pomijając krótkotrwałą euforią podróży w nieznaną, dla dzieci tych stanowił wielki szok. Pomimo stosunkowo trudnych warunków, zwłaszcza po śmierci ich matki, życie w Ameryce

odbywało się na znacznie wyższym poziomie. Inne były warunki mieszkaniowe i inny sposób odżywiania się. Tam były już od dawna wszelkie udogodnienia komunikacyjne, a tu przyszło im wszędzie chodzić pieszo. Najwięcej nieprzyjemnych doznań wywoływały tutejsze zwyczaje i warunki higieniczne. Do rzadkości należało używanie środków czystości, nie mówiąc już o jakichkolwiek kosmetykach. Zdziwienie wywoływał archaiczny zwyczaj jadań przez całą rodzinę ze wspólnej miski.

Żeniaczka ojca i sprowadzenie do tymczasowego ich domu nowej matki kojarzyło się im również z przykrymi doznaniem. Otóż dotychczas zajmowały one wraz z ojcem oddzielną izbę, która też nie dawała im tego komfortu, do którego były przyzwyczajone w swoim domu w Monongah, lub nawet podczas krótkiego pobytu u stryja Filipa w Riegesville, ale stanowiła dla nich jakieś minimum egzystencji. Teraz w izbie tej wraz z ojcem zamieszkała nowa mama, a oni do spania musieli przenieść się do ciemnej komory. Ciemność ta przypominała im złowrogię czeluści, znane tylko z bajkowych opowieści o zaświatach i przyprawiała je o wielkie przygnębienie. Po pewnym czasie do ciemności mogły się przyzwyczaić, bo w końcu noc na tym polega, aby nie było światła, gdyby nie nadmierna dokuczliwość wywoływana przez pluskwy i inne insekty. Zatem w nocy, zamiast odpoczynku, towarzyszyła tym dzieciom zgryzota i tęsknota za tym, co już, zdawało się, utraciły na zawsze. Przytulały się więc do siebie pod kłującym, sukiennym przykryciem i wspólnie dodawały sobie otuchy. Najstarszy z nich, Paweł uspokajał Hanię i Andrzejkę:

– Nie płaczcie, my tak długo tu nie będziemy mieszkać. Papa pobudują dom i tam będziemy mieli swoją ładną stancję¹.

– Naprawdę, *Paul*², będziemy mieć swoją stancję z oknem? I ładne łóżko będzie tam stało? – prosiła o potwierdzenie tej nadziei Hania.

– Tak będzie naprawdę – odpowiadał Paweł, – a teraz już śpijcie. *Good night Andrew, good night Ann. Tomorrow will be better*³.

Anastazja, widząc udrękę dzieci, próbowała jakoś zaradzić temu. Nie była w stanie przysporzyć miejsca do spania, ale przynajmniej mogła coś zrobić w zakresie poprawy warunków higienicznych. Podejmowała też próby obrony dzieci, gdy skarżyły się na postne i niesmaczne wyżywienie.

– Hańcia! – zwracała się do żony Piotra, – daj dzieciom coś lepszego do zjedzenia, bo zesłabną całkowicie. Nie żałuj im sera, masła i jajek.

– *Na moj duszu*⁴ – odpowiadała skąpa gospodyni, – kury wcale się nie niosą, a masła też więcej nie ma.

¹ Tak nazywano pokoje poza izbą ogólną.

² Paweł (ang.)

³ Dobranoc Andrzej, dobranoc Anna. Jutro będzie lepiej (ang.)

⁴ Zwrot wyrażający przysięgę. Dosłownie: na moją duszę (łemk.).

– Nie ma? – irytowała się Anastazja. – A wczoraj, gdy chciałam wszystko wyparzyć w komorze, to na dnie beczki znalazłam więcej niż kopę jajek. Masło naskładane z serem też tam widziałam, a ty rodzinę głodem morzysz!

Rozmowy takie, oczywiście nie powodowały dobrej atmosfery rodzinnej i Andrzej nieraz uspokajał małżonkę, aby starała się przetrwać to wszystko, bo przecież długo tu mieszkać nie będą, a z rodziną i tak trzeba żyć w zgodzie.

* * *

Przeprowadzka do nowego domu odbyła się zaraz po zakończeniu prac jesiennych.

Cała zabudowa składała się z oddzielonych od siebie budynków: mieszkalnego, inwentarskiego i stodoły¹. Dom mieszkalny postawiony był na podwyższonych fundamentach, co w tamtych czasach było wielką rzadkością. Z zewnątrz wejście prowadziło do dużej sieni, z której przechodziło się do izby ogólnej, zwanej *chyżą*. Z *chyży* można było przejść do pokoju sypialnego, zwanego *stancją* i do pomieszczenia przeznaczonego do przygotowywania i spożywania posiłków, zwanego *wankieryk*. Istniała jeszcze jedna izba sypialna, czyli *stancja*, ale do tej wchodziło się bezpośrednio z zewnątrz budynku; była to więc tzw. *stancja dwirna*². W części przestrzeni pomiędzy podwyższonymi fundamentami znajdowało się pomieszczenie piwniczne, zwane *sklepem*. Budynek posiadał duże okna i pokryty był ocynkowaną blachą. Na poddaszu znajdowało się pomieszczenie strychowe, do którego można było wejść po drabinie umieszczonej w sieni.

W całym planie gospodarstwa przewidziano miejsce na urządzenie sadu, który miał być położony nieco wyżej zabudowań, w stronę pola zwanego *na ruskim* oraz oddzielny zagon na uprawę warzyw, usytuowany poniżej zabudowań – w stronę potoku. Oczywiście, jak w każdym gospodarstwie, tak i tu wykopana została studnia, a w okresie późniejszym nastąpiło ogrodzenie całej sadyby. Pole, przejęte od księdza Konstantynowicza, przez cały czas od jego zakupu w 1914 roku, było należycie uprawiane. Obecnie, po dokonanych przez poprzedniego właściciela zbiorach, zostało zaorane i posiano na nim oziminy. Nowo zdomowieni rolnicy weszli w gospodarstwo z niewielkim, ale wystarczającym do wyżywienia rodziny, stadem inwentarza żywego, który nabyli w różnych miejscach. W stadzie tym, oczywiście, znalazła się sześćioletnia krowa Nastii, która miała już swoją historię, poszła bowiem do Karlikowia jako posag ślubny, tam odrabiała swoją trzyletnią służbę i wydała potomstwo, następnie wróciła do Przybyszowa, a teraz od-

¹ Po kilku latach został dobudowany spichlerz, który w okresie późniejszym w sposób nadzwyczajny odegrał ważną rolę w przeżyciu rodziny.

² „Dwirna” oznacza „dworna”, nazwa pochodzi od wejścia ze dworu.

była drogę do Płonnej. Anastazja przeto do żadnej sztuki nie była tak przywiązana, jak do swojej Mecki.

Wybudowanie i urządzenie gospodarstwa uszczupliło poważnie zasoby finansowe Andrzeja, pochodzące z ciężkiej pracy na emigracji. Można byłoby rzec, że całe to przedsięwzięcie, w sposób niezamierzony podzielone zostało na dwa etapy: zakup ziemi przed wybuchem wojny i wzniesienie budynków wraz z zakupem niezbędnego wyposażenia gospodarskiego. Etapy te oddzielone od siebie były działaniami wojennymi, a następnie chorobą i śmiercią pierwszej żony. W wyniku tego rozdzielone zostały też dzieci Andrzeja i Katarzyny z Tymciów z pobliskiego Karlikowa: troje młodszych zamieszkało na ojcowskiej, jakby powiedzieli w Ameryce, farmie, a trojgu starszych nie było dane ujrzenia ziemi swoich ojców. Los tak chciał, że druga żona, podobnie jak pierwsza, też w swoich dziejach życiowych związana była z Karlikowem. Teraz wydawało się, że zamierzenie życiowe Andrzeja zostało osiągnięte, co nie musiało wcale oznaczać, że życie będzie o wiele łatwiejsze lub pozbawione problemów. Tak już bowiem jest, że jak problemy kogoś polubią, to będą mu wierne i nigdy nie będą chciały go opuścić.

Gdy rodzina Anastazji z Chyrów i Andrzeja Priadki od Gułyczów¹ osiedliła się w swoim gospodarstwie, to już od dwóch miesięcy trwał nowy rok szkolny. Odległość do szkoły była niewielka – aby przejść do niej wystarczyło pokonanie około czterystu metrów, co nawet w okresie zimowym nie stanowiło problemu. Teraz liczba uczniów w szkole powiększyła się o troje dzieci. Najłatwiej było najmłodszemu z nich – Hani, ponieważ dotychczas ona jeszcze nie chodziła do szkoły, to nie miała zaległości w znajomości pisowni, a ze słyszenia od dziecka знаła już język ukraiński. Paweł i Andrzej natomiast musieli nadrabiać znajomość pisowni w języku ukraińskim i polskim². Znać o sobie dawała również różnica w poziomie nauczania, ponieważ w szkołach europejskich, w tym także w szkołach polskich, był znacznie wyższy poziom nauczania, niż w placówkach amerykańskich. Różnice te jednak szybko zostały nadrobione i po upływie pół roku nie było już problemów w tym zakresie.

Trafiały się natomiast problemy o innym charakterze. Spośród dwóch chłopców szczególnie Paweł miał usposobienie wielce energiczne i, oprócz spełniania obowiązków pobierania nauki, w zanadrzu miał zawsze jakieś pomysły do wykonania. Dla oszczędzenia papieru wspomnieć można chociaż o tym, jak wspólnie z innym kolegą postanowili zrobić użytek z twardej łupin, jakie pozostały po zjedzeniu orzechów włoskich. Złapali więc kota należącego do nauczycielki, umoczyli mu łapki w smołę i ponakładali

¹ Przydomek ten, jak cień poszedł za nim również do Płonnej. Tu już wcześniej mieszkało kilka rodzin o nazwisku Priadka. Tak więc dla odróżnienia tych rodzin w korespondencji, a nawet w pismach urzędowych, często używano określenia Gułycz.

² Język polski w tym czasie był tu językiem dodatkowym.

na nie te łupiny. W czasie lekcji podkutego w ten sposób kota wypuścili z sakwy na podłogę. Wystraszone i pozbawione naturalnej przyczepności do podłoża zwierzę, spowodowało ogromne zamieszanie ku wielkiej ucieście całej klasy i strasznej furii pani. O zdarzeniu szybko poinformowani zostali rodzice, po czym rezolutny Paweł przekonał się o tym, jakie kroki dyscyplinujące może podjąć nowa mama. Myliłby się jednak ten, kto myślałby, że reprimendy te, i nie tylko zresztą reprimendy, na długo odnosiły swój skutek.

Wybudowany dom mieszkalny po dłuższej tułaczce, jaką odbyli Andrzej z dziećmi i Anastazja ze swoim synem, okazał się bardzo wygodnym. Choć, jak w żadnym innym nowym małżeństwie, rodzina składała się już od początku z sześciu osób, to cztery przestronne izby dawały każdemu potrzebne miejsce do życia. Od innych istniejących we wsi chat tę odróżniało dobre doświetlenie wszystkich pomieszczeń, wysokie fundamenty i drewniane podłogi. Ulepszenia takie w tym czasie należały do rzadkości w zabudowaniach wiejskich. Wystąpiły jednak również pierwsze problemy, które powstały w wyniku pospiesznego procesu budowlanego. Drewno na budowę zakupione zostało prosto z wyrębu i w przyjętym pośpiechu nie było czasu na jego przesuszenie. W trakcie budowy wszystkie uszczelnienia poszczególnych elementów konstrukcyjnych wykonane zostały zgodnie z obowiązującą sztuką. Jednak po kilku miesiącach, kiedy drewno zaczęło wysychać, pojawiły się w ścianach liczne szpary, a ponieważ miało to miejsce w zimę, stanowiły wielką dokuczliwość. Toteż jedną z ważniejszych czynności w tym okresie było uszczelnianie pojawiających się dziur, aby ochronić rodzinę przed przemarznięciem. Dokładniej dokuczliwości te zostały usunięte dopiero w następnym sezonie letnim.

W opowiadaniu tym warto wspomnieć, że u Chyrów w Przybyszowie, po wyprowadzeniu się do Płonnej Anastazji z dzieckiem, niezbyt długo oczuwano poprawę w zakresie przepełnienia domu. Otóż już w lutym 1928 roku na świat przyszło kolejny syn Jana i Paraski, któremu na imię dano Michał. W ten sposób syn Anastazji z pierwszego małżeństwa, też Michał, po młodszej od siebie cioci pozyskał młodszego wujka. A wzięwszy pod uwagę fakt, że narodzone dziecko było również wujkiem przyrodnym dzieci Andrzeja, to wujek Michał był młodszy od swojego siostrzeńca aż o trzynaście lat. W ten sposób pokolenia rodzinne wiekowo były mocno przemieszane. Nie była to zresztą ostatnia ciekawostka w tym zakresie.

W październiku tego samego roku, po upływie nieco ponad roku od ślubu, pojawiło się pierwsze dziecko Andrzeja i Anastazji. Chłopczykowi nadano imię Piotr. W ten sposób liczba dzieci w domu zwiększyła się do pięciu, a wśród nich były już dzieci różnego pochodzenia, czyli „twoje, moje i nasze”. Pierwsze chrzciny wyprawiono hucznie, zwłaszcza, że było już kogo zapraszać, bo oprócz rodziny Andrzeja, czyli dwóch jego sióstr, we wsi

pojawiło się już pewne grono przyjaciół. Narodziny Piotrusia spowodowało też pełniejsze zespolenie rodziny.

Chłopiec rozwijał się dobrze i wszyscy mocno go polubili. Stał się swojego rodzaju maskotką dla starszego rodzeństwa – zarówno ze strony mamy jak i ojca. On zaś z kolei upatrzył sobie najstarszego brata i chętnie szedł do niego na ręce, gruchał do niego, a gdy zaczął artykułować pierwsze słowa szybko nauczył się wymawiać imię Paweł. Anastazję podbudowywała na duchu harmonia rodzinna i właściwie teraz zaczęła odczuwać, że życie jej stało się bardziej bezpieczne i jakby spełnione. A w stosunku do Andrzeja odczuwała już nie tylko respekt, jaki należy się znacznie starszemu mężczyźnie, ale pojawiło się też prawdziwe uczucie, jakie żywią niewiasty do ukochanego męża, albowiem był on – pomimo swojej ułomności, związanej z brakiem oka – mężczyzną w sile wieku i z pełną elegancją. Zewsząd otaczał go autorytet jako człowieka światowego, w miarę zamożnego i znającego się na wielu sprawach. Chociaż był mocno zapracowany, to w chwilach wolniejszych od obowiązków umiał również zadbać o swój wygląd. Tak też i u niego dopiero od tej chwili zaczynało dojrzewać uczucie do żony. Teraz można było już nawet mówić o prawdziwej miłości, jaka zapanała pomiędzy nimi.

Na efekty tego wzajemnego zauroczenia nie trzeba było czekać zbyt długo, bowiem już po jedenastu miesiącach, czyli dwudziestego szóstego września 1929 roku na świat przyszło drugie dziecko, a pierwsza wspólna córeczka, którą nazwano Helena, a zwracano się do niej Oleńka. Od teraz w domu było już czterech chłopców i dwie córki. Razem rodzina liczyła osiem osób.

Często bywa, że po wielkiej radości i nadziei na sielankowe życie przychodzi niepowodzenie i smutek. Tak też stało się w tej rodzinie. Po upływie niecałych dwóch miesięcy od narodzin małej Oleńki zachorował jej starszy o jedenaście miesięcy braciszek. Z początku wydawało się, że jest to niegroźne przeziębienie, lecz po upływie dwóch dni stan jego pogorszył się. Dostał kaszlu i silnej gorączki. Zastosowano wszelkie dostępne i znane środki jak nacieranie ziołami, masowanie brzuszka, a nawet zamawianie choroby. Po kolejnym dniu wydawało się nawet, że choroba ustępuje. Mały Piotruś rano pięknie już bawił się, naśladował miauczenie kota, i co chwilę przywoływał najstarszego brata, Pawła.

– Zobacz, jak ładnie bawi się Piotruś – mówił Andrzej do żony, widząc, że dziecko z zaciekawieniem wodzi oczami za chodzącymi po izbie ludźmi, chętnie pije mleko i zabawia się z Pawłem.

– Dziecko należałoby pewnie wykapać, aby szybciej nabrało sił – dodał po chwili.

Tak samo zresztą poradziły przychodzące w odwiedziny sąsiadki. Wieczorem przygotowano więc ciepłą wodę, chłopczyka wykapano, ubrano w

koszulkę i zawinięto w pieluszki. Po zabiegu tym jednak Piotruś ponownie nie chciał jeść, dostał silnej gorączki i zaczął szybko oddychać. Zaniepokojona tym Anastazja wzięła go na ręce, dziecko spojrzało jej w oczy i chciało przywołać mamę, jakby prosiło o ratunek:

– Mam..., mam... – ale nie miało już sił dopowiedzieć słowa do końca.

Po chwili zaciągnęło ostatni raz powietrze i oddało ducha.

W domu zapanowała rozpacz. Nie pomogły żadne próby cucenia chłopczyka. Ułożono więc ciało ponownie w kołysce, zapalono przy nim świecę i zaczęła się długa, żałobna noc. Nazajutrz powiadomiono o zdarzeniu księdza i odprowadzono niewinne ciało na miejsce wiecznego spoczynku.

Życie jednak musiało toczyć się dalej. Czas, jak zwykle, goi rany i tak też musiało być tym razem. W domu i gospodarstwie było na tyle pracy i obowiązków, że nie starczało już czasu na ciągłe rozmyślanie o zaistniałej stracie. Tylko późnym wieczorem zaczynało brakować wesołego gaworzenia chłopczyka, lecz i w takim czasie smutne rozmyślania przerywane były już gruchaniem małej Oleńki.

* * *

Gospodarstwo rozwijało się pomyślnie. Przybywało inwentarza i różnego rodzaju urządzeń. Andrzej dla innych gospodarzy we wsi stanowił wzór do naśladowania. Będąc w Stanach Zjednoczonych, chociaż sam był robotnikiem w kopalni, a potem na kolei, jako syn gospodarski i przyszły rolnik bacznie obserwował stosowane tam metody upraw i hodowli zwierząt. Na farmach pracowali jego bracia, a już po roku 1920 odwiedzał swojego brata Filipa w Pensylwanii, a na koniec pobytu za oceanem przez kilka tygodni mieszkał i pracował na jego farmie. Oczywiście, nie można było przenieść wszystkich doświadczeń na grunt krajowy z powodu zacofania technicznego¹, źle funkcjonującego systemu zaopatrzeniowego, a nawet z powodu starych tradycji². Pewne te elementy Andrzej skutecznie przełamywał. Na przykład wbrew oburzeniom sąsiadów zrezygnował z szatkowania swojego pola na drobne zagony, a poszczególne działki orał i uprawiał w całości.

– Widzieliście bogacza! – szemrali tu i ówdzie sąsiedzi – Jakie on tu wprowadza nowe zwyczaje! Jeżeli nie porobi bruzd, to wszystko mu wymoknie.

– Myśli, że jak ma dolary, to wszystko można robić po światowemu – mówili inni.

– Przyjdziecie do mnie jesienią – odpowiadał na to Andrzej. – Zobaczmy ile kto zbierze zboża i wtedy będzie wiadomo kto miał rację.

¹ Na wsiach podkarpackich w tym czasie nie znano elektryczności, nie były w ogóle dostępne traktory i samochody.

² Np. według tradycji nie należało kosić zboża kosą, a tylko sierpami.

Potem faktycznie przychodzili, ale nie koniecznie po poradę, ale na przednówku z prośbą o pożyczenie zboża, bo na chleb im brakowało.

W kolejnych latach prowadzone z rozmysłem gospodarstwo dawało zauważalne dochody, z których większą część Andrzej przeznaczał na dalszy jego rozwój. Kupował zatem niezbędne środki techniczne do usprawnienia pracy na roli i w zagrodzie. Osiągnięcie jednak znaczącego postępu nie było możliwe ze względu na ogólne uwarunkowania, jak brak elektryczności, traktorów i innych postępowych osiągnięć. Jednak w miarę możliwości starał się on ułatwić pracę w gospodarstwie i zwiększyć uzyskiwane efekty. Jednym z podstawowych urządzeń, jakie sprowadził bezpośrednio od wytwórcy, był kierat¹ konny. Mając ten, swojego rodzaju, motor, dokupiono następnie mogące współpracować z nim maszyny, jak na przykład młocarnię, czy siewkarnię. Teraz praca stała się już łatwiejsza i wydajniejsza.

Następnym posunięciem, które miało zwiększyć efektywność gospodarowania, a nawet wprowadzenie postępu w miejscowej agrokulturze, było zastosowanie chemicznego nawożenia pól. Ponieważ nawozy sztuczne w tamtym regionie nie były dostępne dla drobnych rolników, Andrzej postanowił zadziałać w tym zakresie na własną rękę. Dokonał więc rozpoznania odnośnie możliwości zakupu i sam zamówił w krakowskiej fabryce cały wagon nawozów. Ponieważ taka hurtowa ilość wykraczała poza roczne potrzeby jednego, chociaż sporego gospodarstwa, pewną ich część odstąpił innym miejscowym rolnikom, którzy zaufali mu, jako człowiekowi światowemu, że – pomimo znacznych nakładów – może to przynieść zauważalne korzyści. Oczywiście, posunięcie takie nie przeszło bez echa. Natychmiast zareagowali okoliczni kupcy, że jakiś tam rolnik z Płonnej naruszył ich monopol na *geschäfte führen*². Szybko więc przysłali Żydzi swojego człowieka, który miał za zadanie przeprowadzenie rozpoznania, co właściwie się wydarzyło. Następnie przychodzili przedstawiciele ich organizacji handlowych z żądaniem podzielenia się zyskiem z przeprowadzonego handlu, grożąc w przeciwnym razie konsekwencjami, że podadzą Andrzeja do sądu i zniszczą mu gospodarstwo. Oczywiście z tej wrzawy nic nie wynikło. Łątwo rezolutny gospodarz udowodnił, że żadnego monopolu nie naruszył, gdyż nawóz zakupił wyłącznie dla swoich potrzeb, a jedynie nadwyżkę odstąpił sąsiadom i to bez żadnego zysku.

Przypadki takich zakupów powtarzały się jeszcze, ale w przyszłości, kiedy okazało się, że miejscowi chłopci przekonali się do tego rodzaju ulepszeń, to coraz częściej placówki handlowe zaczęły same sprowadzać nawo-

¹ Urządzenie techniczne, poprzedzające silniki, a składające się z systemu przekładni i wałów napędowych, instalowane w tym przypadku poza budynkiem. Kierat był wproważany w ruch przez konie, chodzące po okręgu, a poziome sztangi napędzały stojące w stodole maszyny.

² Prowadzenie interesu (niem.)

zy sztuczne i rozprowadzać je pomiędzy rolnikami. Obrotów jednak w tym zakresie nie było zbyt dużych, bo właściciele rozdrobionych gospodarstw mało kiedy było stać na takie usprawnienia, a ponadto nie było żadnej działalności uświadamiającej odnośnie sposobów stosowania nawozów i nie zawsze poczynione w tym zakresie nakłady przynosiły oczekiwane efekty.

Były też i złe strony pędu Andrzeja do doskonalenia swojego gospodarstwa. Otóż z biegiem czasu zaczynał robić to jakby za wszelką cenę, a zapominał czemu ma służyć pozyskiwanie dochodów z pracy. Gospodarstwo zaczynało stanowić cel samo w sobie, a potrzeby rodziny zaczynały być spychane na dalsze plany. Pozyskiwane zarobki przeznaczał ponownie na kolejne inwestycje. Potrzeby w tym zakresie były oczywiście niemałe, ale nie było możliwe wykonanie wszystkich nowych budów i zakupów urządzeń w tak krótkim czasie, zwłaszcza, że rodzina była dosyć liczna i ciągle się rozwijała. Bywały momenty, że dzieci, zwłaszcza te starsze, czyli pochodzące z amerykańskiego małżeństwa ojca i Michał, syn z pierwszego związku Anastazji, nie miały godziwego przyodziewku i nieraz do późnej jesieni chłopcy musieli chodzić bez obuwia.

– Czy nie widzisz – próbowała przekonywać skąpego męża Anastazja, – że chłopcy chodzą w podartych ubraniach i bez butów, chociaż jest już zimno?

Andrzej, oczywiście, nie znosił uwag robionych pod jego adresem, a zwłaszcza tych, których zrealizowanie mogłoby narazić go na większe wydatki.

– *Godam!*¹. A skąd ja mam pokrywać wydatki na strojenie ich? Przecież pieniędzy nie przepijam, a wszystko wkładam w gospodarstwo, aby było łatwiej żyć w przyszłości.

– Nie można przecież wszystkiego odkładać na przyszłość. Ludzie wezmą nas na języki, że taki bogacz, a dzieci wyglądają jak cygańskie. Każdy, kto do ciebie przyjdzie, to może liczyć na pożyczkę, a ile jest takich co nie oddają pieniędzy. A na nasze dzieci zawsze muszę cię prosić o najmniejszy grosik.

Bywało, że molestowania takie nie zawsze odnosiły skutek. Wtedy Anastazja po kryjomu, pod nieobecność Andrzeja, sprzedawała w kooperatywie² lub u Żyda kwartę zboża, jaja lub wełnę i kupowała niezbędne rzeczy dla dzieci. Gdy Andrzej widział, że przyodziewek jest dobry i dzieci ładnie wyglądają, nie ganił takiego postępu, lecz nawet pochwalił zakup.

– Ładne masz trzewiczki, Haniu – mówił. A potem dodawał do Nastii: – Nie gniewaj się, że ci nie dałem pieniędzy, ale ty wiesz, że chciałbym, żeby wszystko w gospodarstwie było tak, jak trzeba.

¹ Czytaj: gadem; amerykańskie przekleństwo.

² Spółdzielnia wiejska, która zajmowała się skupem i sprzedażą towarów.

Tymczasem znów powiększyło się grono rodzeństwa Anastazji. U rodziców w Przybyszowie w roku 1930 urodziło się jedenaste dziecko pięćdziesięciosześcioletniego Jana i pięćdziesięciodwuletniej Paraskewii. Kolejna już ciocia była znacznie młodsza od swoich siostrzeńców. Na przykład Michał, syn Anastazji, był starszy od swojej cioci o sześć lat. Dziewczynka otrzymała na imię Anastazja – tak samo, jak nazywała się jej najstarsza z żyjących sióstr. Nie był to przypadek odosobniony, aby w jednej rodzinie dwoje dzieci nazywać tym samym imieniem, chociaż w okresie późniejszym powodowało to nieraz problemy formalno-prawne.

Rok 1931 natomiast u Gułyczów obfitował nie tylko w dosyć dobre plony, ale jeszcze wcześniej powiększyła się również ich rodzina. Otóż zimą przyszło na świat trzecie dziecko Andrzeja i Anastazji. Dziewczynkę nazwano Marysią. Łaska losu i tym razem odwróciła się od tego domu. Dziecko chowało się dobrze i nic nie zapowiadało tragedii. Jednak po upływie trzynastu miesięcy od urodzenia, malutka Marysia zachorowała i podobnie jak wcześniej Piotruś, niespodziewanie odeszła z tego świata. Zrozpaczonych rodziców przejął straszliwy ból i poczucie krzywdy.

– Jak to tak może być? – zadawali sobie nieraz pytanie. – Co my komu zawiniłiśmy, że Bóg tak nas pokarał? Dlaczego zabrał nam już drugie dziecko?

Takie i podobne pytania powtarzały się nieraz. Andrzej w załamaniu swoim zaczął powątpiewać w dobrodziejstwo i sprawiedliwość stwórcy, a nawet zaczął zaniedbywać się w praktykach religijnych. Ale, jak zawsze bywa w takich przypadkach, najlepszym lekarzem okazał się czas. Oboje utraپieni rodzice musieli znaleźć ukojenie w ciężkiej pracy na gospodarstwie i przy wychowywaniu posiadanej już licznej grupki dzieci.

* * *

Mijało właśnie już kilkanaście lat od zakończenia pierwszej wojny światowej i odzyskania niepodległości przez Polskę. Fakt ten – nie wdając się w bliższe opisywanie różnych zaszłości politycznych i militarnych – jednocześnie oznaczał przejście terenów Galicji spod jarzma austriackiego pod rządy polskie. Można byłoby zastanawiać się nad tym, jak zmiana ta odbiła się na życiu ludności żyjącej na tych terenach, lecz krótkiej i jednoznacznej odpowiedzi na ten temat nie można sformułować. Jak już zaznaczono w pierwszej części tego opowiadania, prostych ludzi, żyjących w trudnych warunkach, nie tak bardzo interesowało pochodzenie władcy, jak raczej jej stosunek do poddanych¹. Najlepszych doświadczeń w tym zakresie nie było jed-

¹ Stosując to określenie należałoby podkreślić, że słowo „poddany” wcale nie musi ograniczać się tylko do ludzi żyjących w monarchii; każda władza, niezależnie od swojego

nak na Podkarpaciu w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Ludzie musieli ciężko pracować, świadczyć swoje zobowiązania wobec władcy (w postaci podatków, służby wojskowej, szarwarków i innych zobowiązań) i sami musieli troszczyć się o swój byt. Natomiast władzę ludzie interesowali na tyle, na ile trzeba było zapewnić sobie ich posłuszeństwo na teraz i przyszłość. Szarych obywateli nadmiernie przeto nie interesował fakt, że w urzędach trzeba było używać teraz już języka polskiego w miejsce niemieckiego. Oni mieli przecież swoją własną mowę i nawet zbytnio nie zastanawiali się nad jej rodowodem i swoim pochodzeniem. Przecież od zawsze tu mieszkali i po prostu byli oni sami swoi.

Z latami jednak zaczęli odczuwać różnicę w swojej przynależności państwowej. Polegała ona na tym, że wcześniej Austro-Węgry składały się z wielu narodów i władza nie próbowała podważać ich pochodzenia etnicznego, a zadawała się lojalnością wobec niej. Natomiast „za Polski”, jak powszechnie mawiano, z wielu przyczyn zaczęto obawiać się podtrzymywania świadomości o tożsamości podległych narodów¹ i zaczęto mącić ludziom w głowie co do ich pochodzenia. Na przykład powszechnie o ludności ukraińskiej, nawet w oficjalnych dokumentach, mówiono, że jest to ludność ruska. Bardzo również obawiano się ruchów domagających się autonomii lub niepodległości. Oczywistym jest, że działania takie były łatwiejsze do przeprowadzania w odniesieniu do tych narodowości, które nie miały swojego oparcia o własne niepodległe państwa. Jak to zwykle bywa, w przypadkach takich fałszywi politycy posługują się wieloma prowokacjami i pacyfikacjami². W sytuacji tej mniej bezpiecznie poczuła się również ludność łemkowska na Podkarpaciu. Ograniczono dla niej możliwości rozwojowe. Na przykład nauka w szkole podstawowej trwała siedem lat, ale uczące się w

umocowania, z samego założenia, ludzi pozostających poza nią traktuje jako zbiór zależnych od siebie osobników.

¹ Według spisu z 9.12.1931 stan ludności w granicach Rzeczypospolitej Polskiej wynosił 31.916 tys., w tym 68,9 % pochodzenia polskiego, 13,9 % ukraińskiego, 8,6 % hebrajskiego, 3,1 % białoruskiego, 2,3 % niemieckiego i 0,4 % pochodzenia rosyjskiego.

² W dniu 2.12.1929 Henryk Józefski, Wojewoda Wołyński, ogłosił tzw. program wołyński, mający na celu asymilację ludności ukraińskiej. Następnie w dniu 30.07.1930 Ukraińska Organizacja Wojskowa (UWO), rzekomo dla wykazania, że nie może być spokoju na pograniczu polsko-ukraińskim, dokonała szeregu podpałów na terenach Małopolski Wschodniej. W odwecie za to wydarzenie, na osobiste polecenie Józefa Piłsudskiego, wojsko i inne organizacje polskie w dniu 16.09.1930 rozpoczęły przeprowadzanie w 450 wsiach ukraińskich, na terenie 16 powiatów, akcji pacyfikacyjnej, w ramach której demolowano zabudowania ukraińskie, wprowadzano odpowiedzialność zbiorową, kary cielesne, rozwiązano młodzieżową organizację „Plast’ ”, zamykano gimnazja ukraińskie. Nie skuteczną interwencję w tym zakresie podjęła Liga Narodów. W odpowiedzi na te wydarzenia w dniu 29.06.1931 założone zostało Wołyńskie Ukraińskie Zjednoczenie (WUO).

niej dziecko mogło ukończyć najwyżej cztery klasy¹. Ograniczono możliwość zdobywania zawodów², zakupu gruntów państwowych, zakładanie innych firm niż gospodarstwo rolne³ oraz wprowadzono jeszcze wiele innych form restrykcji.

W sytuacji takiej ludność ukraińska poczuwała się w wielu sytuacjach zagrożoną i niepewną co do swojej przyszłości. Jednak życie we wsi biegło dalej i większość tutejszych mieszkańców starała się nie zwracać uwagi na tę, złowrogą politykę, o ile restrykcje te nie dotyczyły ich osobiście. Zresztą sprzeciwy nic nie dawały, bo nie było gdzie przedstawić swoich skarg⁴. Organizowano się więc w grupach samoobrony i w lęku oraz niepewności starano się przeczekać te złe dni. Z biegiem czasu ustawały działania bojówkowe, ale postanowienia odgórne, co do utrzymywania w ryzach ludności pochodzenia ukraińskiego, w zasadzie nie zostały zaniechane.

Z upływem czasu życie jakby unormowało się i każda ze stron starała się nie przekraczać pewnych, dopuszczalnych granic. Miejscowa ludność, chociaż z rozgoryczeniem, starała się pamiętać o swoim, wyznaczonym jej miejscu w społeczeństwie. Zresztą nie zawsze można żyć problemami państwowymi, czy politycznymi, jeżeli w zanadru każdy ma swoje własne.

W życiu Płonnej niewiele zmieniał się. Dotychczasowy pan, Emilian Konstantynowicz, w zasadzie przestał zajmować się gospodarstwem rolnym. Utrzymywał on dwór i dalej wypełniał swoją misję w kościele greckokatolickim, chociaż większość czasu spędzał w swojej rezydencji w Sanoku, gdzie pełnił funkcję dziekana. Ludzie jednak żywili dla niego wielki szacunek, bo był to człowiek światły i widzieli w nim pewną ostoję i jakby przywództwo w sprawach życia społecznego. Wioska liczyła ponad sto osiemdziesiąt zabudowań i zamieszkiwali ją ludzie różnego pochodzenia. Oprócz dominujących rodzin ukraińskich, żyło tu również kilka rodzin polskich, cygańskich i żydowskich. Pomiędzy rodzinami tymi zawsze, o ile nie mieszała się do tego władza, panowała zgoda, a nawet przyjaźń. Zdarzało się też, że pomiędzy młodymi ludźmi z rodzin polskich i ukraińskich zawierane były związki małżeńskie i stosowano się wówczas do zasady kościelnej, że

¹ Z założenia dziecko powtarzało, nawet po 3 lata, tę samą klasę, aby nie zdobyło świadectwa uprawniającego do nauki w gimnazjum.

² Dziecko pochodzenia ukraińskiego nie mogło zostać urzędnikiem, adwokatem, sędzią, lekarzem, inżynierem. Wyrażano co najwyżej zgodę na naukę na duchownego.

³ Przykładowo w okresie nasilenia działań bojówek antyukraińskich nachodzono sklepy należące to miejscowych kooperatyw, demolowano je, wlewano naftę do produktów żywnościowych, mieszano cukier z solą, wlewano naftę do studni itp.

⁴ Np. znany jest przypadek, gdy na zorganizowanym przez posła ukraińskiego wiecu w Bukowsku, na oczach policji nie dopuszczono do niego ludzi podczas przyjmowania przez niego skarg. Obrzucono go jajami, a na koniec obezwładniono. Zawiedzeni i rozgoryczeni okoliczni chłopcy musieli rozejść się do swoich domów.

rodzący się z takich związków chłopcy przypisywani byli do religii ojca, a dziewczęta do religii matki (rzymsko lub greckokatolickiej).

Różny był też stan zamożności poszczególnych rodzin. Gleba była tu żyzna i niezbyt trudna w uprawie. Wobec jednak ciągle powiększających się rodzin w wielu przypadkach posiadany areał nie wszystkim wystarczał na zapewnienie odpowiedniej ilości pożywienia przez cały rok. Wśród biednych byli właściciele całkowicie małych gospodarstw, ale również i tacy, którzy w ogóle nie posiadali ziemi i żyli jako wyrobnicy lub żebracy. Nad ludźmi takimi na ogół litowano się, ale również spotykali się oni niekiedy z pogardą. Opowiadano o przypadku, gdy pewien człowiek o imieniu *Tymko* (Tymoteusz), chodzący od domu do domu i pracujący za łyżkę strawy, trafił na plebańnię, pochwalił na powitanie Zbawiciela i zwrócił się do księdza z prośbą:

– Czy jegomość miałby coś może do roboty dla mnie? Chciałbym zapracować parę groszy, bo bieda u mnie duża.

Ksiądz popatrzył na niego z politowaniem, zaprowadził go do drewnutni i kazał rąbać drewno na opał. Widząc, że nieborakowi nie bardzo zadana robota odchodzi, zapytał:

– *Tymku!* Czy *Tymko* jadł już dzisiaj śniadanie?

Domokrażny wyrobnik podniósł głowę znad pieńka do rąbania drewna i w nadziei, że zlitowano się nad nim i będzie się mógł posilić, odpowiedział:

– Proszę jegomościa, ja nie tylko, że nie jadłem śniadania, ale i kolacji też jeszcze nie jadłem.

– W takim razie – odpowiedział pleban – nic tu po *Tymku*. Niech *Tymko* sobie stąd pójdzie, bo mnie nie są potrzebni tacy robotnicy, co śniadania nie jedli i ślaniają się pod siekierą.

Nieborak odłożył narzędzie i poszedł szukać litości gdzie indziej.

W domu Andrzeja i Anastazji takie przypadki nie zdarzały się. Wszyscy biedni zawsze otrzymali łyżkę strawy. Bywały dnie, że gości takich przewinęło się kilka. Niekiedy pomagali oni doraźnie w pilnych pracach, ale też i nie zawsze wymagano od nich odrobienia otrzymanej jałmużny. Pomagano też ludziom w inny sposób. W razie potrzeby przyjmowano na mieszkanie osoby potrzebujące pomocy, a one, będąc wdzięczne za utrzymanie, chętnie pomagały w prowadzeniu gospodarstwa i w pracach domowych.

Andrzej w myślach swoich często wracał do dzieci pozostawionych w Ameryce. Ubolewał nad tym, że sytuacja zmusiła go do rozdzielenia rodziny, tym bardziej, że żadne z nich w czasie rozłąki nie miało na tyle dobrej sytuacji, aby być pewnym, że nie dzieje się im krzywda. Nigdy nie był przekonany, czy postąpił słusznie, ale nie mógł już nic na to zaradzić. Jego ponowny wyjazd za ocean nie był możliwy, a sprowadzenie tamtej trójki do Polski nie miałoby żadnego sensu, bo zapewnienie dla nich godziwego bytu byłoby tu mało prawdopodobne. Według istniejących możliwości utrzymy-

wał więc z nimi kontakty listowne. Poczta była jednak powolna, listy szły długo, a do tego, w miarę jak zacierала się pamięć o wspólnie przeżytych dniach, korespondencja taka przychodziła coraz rzadziej. Najczęściej o ojcu pamiętała córka Marysia, która dotąd przebywała na służbie u aptekarza pochodzenia słowackiego. Listy nie zawsze były optymistyczne. Dzieci informowały o swojej nostalgii za najbliższą rodziną i o trudnościach związanych z przebywaniem wśród obcych ludzi. Wiadomości takie jednak były do przewidzenia i z biegiem czasu już nie powodowały u Andrzeja tak wielkiego żalu. Ale, niestety, nadchodziły również wiadomości najmniej oczekiwane.



Jan, najstarszy syn Andrzeja, w wieku 19 lat

Otóż zimą 1932 roku, czyli niedługo po śmierci małej córeczki, dostarczony został list zagraniczny. Andrzej miał zwyczaj, że listy od dzieci z Ameryki czytał zawsze pod wieczór, po zakończeniu prac. Tym razem jednak bez czytania poznał, że list ten zawiera niedobłą wiadomość, ponieważ na kopercie, oprócz adresu napisanego przez Marysię, widniał czarny krzyż. Nie miał więc odwagi do otwierania koperty. Dopiero pod wieczór, przynaglany przez małżonkę, list otworzył i zabrał się do czytania. Już po przeczytaniu pierwszych zdań opuścił ręce i wyjąknął:

– O Boże! Jak to się mogło stać? ... Czy to na pewno jest prawda?
– Co się stało? – zapytała zdziwiona Nastia. – Dlaczego nie czytasz dalej?

Andrzej przez chwilę milczał, a po policzkach spływały mu łzy. Po pewnym czasie nabrał sił i zaczął list czytać od początku na głos:

Drogi papo! Witam was wszystkich serdecznie i od razu chcę ci powiedzieć, że mam bardzo smutną wiadomość. Otóż mój brat, a twój syn, Michał nie żyje. Zmarł pięć dni temu w Pensylwanii. Ja i brat Janek byliśmy na pogrzebie, który urządził stryjek Filip. Na pogrzebie był ksiądz katolicki i dużo ludzi. Pewnie chcesz wiedzieć dlaczego Michał umarł. Dokładnie my też nie wiemy. Stryjek mówił, że on bawił się jakimiś mieszkankami, nie wiem czy to były proszki, czy też płyny. Mówił, że musi wypróbować na sobie jakieś lekarstwo. Nie wiem, dlaczego on to musiał próbować, bo nigdy nie mówił, żeby był chory. Ty pamiętasz, że Michał zawsze przynosił do domu różne dziwne rzeczy. Pewnie teraz też wykonywał jakieś doświadczenia i próbował czegoś, co mu poszkodziło.

Ale nie wiem, czy on umarł od tego. Ludzie mówili też, że wcześniej przeziębiał się i długo kaszlał, a potem dostał gorączki i nikt z nim nie po-

szedł do lekarza. Może więc umarł na zapalenie płuc albo na jakąś inną chorobę.

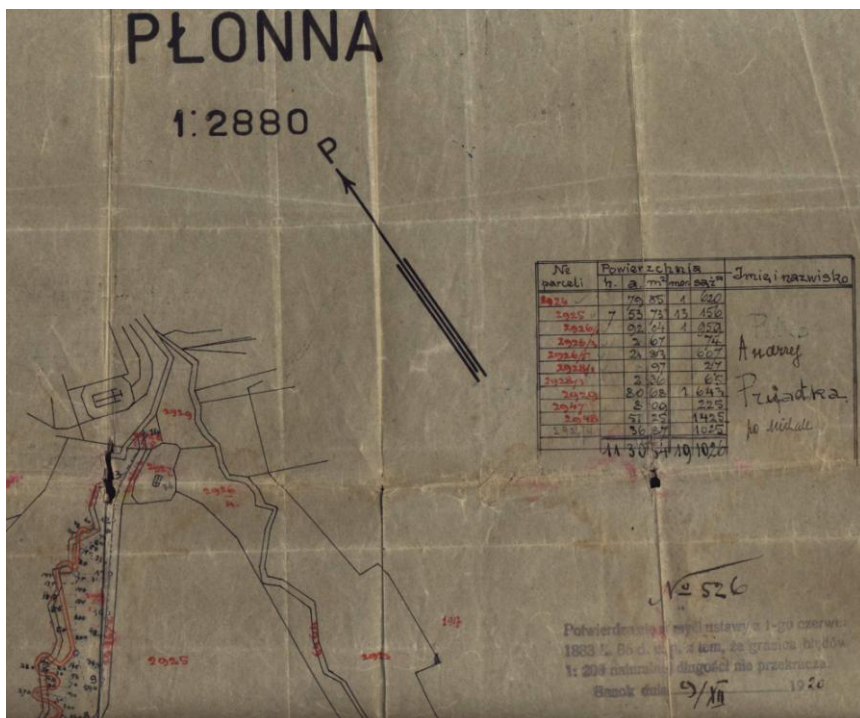
Teraz, kochany papo, zostało nas tylko dwoje, ja i John. Jest nam bardzo smutno i bardzo szkoda Michalka. On był młodszy od nas, a teraz go już nie ma na tym świecie. Wiem, że wam, papo, też jest smutno i nawet nie mogliście być na pogrzebie swojego syna. Mnie jest bardzo tęskno za Pawłem, Hanią i Andrzejkiem. Chciałabym ich zobaczyć. Papo, napisz mi, czy ja was kiedyś jeszcze będę widziała? Chciałabym żebyście przyjechali do Ameryki i żebyśmy znów mieszkali razem, tak jak kiedyś. Wiem, że już nie będzie tak, jak dawniej, bo naszej mamy też nie ma. Ona teraz pewnie jest razem z Michalkiem. Bardzo mi was brakuje. Powiedz o tym chłopcom i Hani. Napisz, jak wy tam żyjecie? teraz już więcej nie mogę pisać, bo jest mi bardzo smutno. Następnym razem napiszę więcej. Pozdrawiam was i mocno całuję. Twoja córka Marysia.

Ostatnie słowa Andrzej odczytał ze ściśniętym gardłem i łzami w oczach. Następnie odłożył list, przerwał wykonywaną pracę i zamknął się w pokoju, gdzie spędził w samotności resztę dnia. Nastia natomiast prosiła dzieci, żeby nie przeszkadzały ojcu, bo on jest teraz bardzo smutny. Smutni byli wszyscy, a w tym szczególnie dwaj bracia – Paweł i Andrzej, którzy na żywo mieli zawsze w pamięci ulubionego brata. Teraz wiedzieli, że już nigdy go nie zobaczą.

Utrata syna mocno odbiła się na samopoczuciu Andrzeja. Z początku był bardzo załamany otrzymaną wiadomością. Często rozmyślał nad kolejami losu swojej rodziny. Z konieczności rozdzielił rodzeństwo, a sam naraził się na to, że już nigdy nie miałby zobaczyć trójki swoich najstarszych dzieci. W sposób nieprzewidziany zaczęło mu się to ziszczać, bowiem już na zawsze utracił najmłodszego z nich. Gdyby nie postąpił w taki sposób, to Michał prawdopodobnie żyłby jeszcze przy nim i nie doszłoby to takiej tragedii. Miał pretensje nie tylko do siebie, ale czuł, że opuściły go łaski boże. Odczuwał też, że jego modlitwy, poparte uczciwym i mozolnym życiem, są jakby bezskuteczne. Przecież już wcześniej utracił pierwszą żonę, dwoje małych dzieci z drugiego małżeństwa, a teraz zabrano mu dorosłego już syna. Wobec tego, trudno teraz było mu przełamać się wewnętrznie i mieć odwagę dalej prosić Boga o łaski i opiekę nad jego rodziną. Przekonany był, że Opatrzność odwróciła się od niego. Od tego czasu coraz rzadziej widywano go na niedzielnych nabożeństwach w cerkwi, chociaż nie zaniedbywał codziennych modlitw odmawianych w domu.

Doświadczeni ludzie mówią, że czas jest najlepszym lekarzem na wszystkie zgryzoty. Mądrość ta i tym razem dała znać o sobie. Z biegiem czasu osłabł żal Andrzeja po stracie syna, przestał rozmyślać nad słusznością swego postępowania i powoli znowu powracała mu energia do działania. Powrócił przeto do swoich wcześniejszych zamiarów, co do powiększenia gospodarstwa. Najpierw doprowadził do końca realizację wcześniej, bo

siedemnastego marca 1932 roku, podpisanej umowy z księdzem Emilianem Konstantynowiczem i dołączył do posiadanych już gruntów ładny szmat pola, w skład którego wchodziły 3 hektary i 13 arów, położonych powyżej zabudowań, na tak zwanym „ruskim”.



Jeden z rejestralnych dokumentów kupna ziemi, przedstawiający wyrys oraz zestawienie działek.. Z prawej strony widnieje podpis Andrzeja.

Następna transakcja w zakresie zakupu ziemi odbyła się na początku 1933 roku. Otóż w dniu 23 lutego Andrzej odkupił od niejakiego Ignacego Kuhuta (tego samego, który w roku 1922 podpisywał z jego upoważnienia akty notarialne w sprawie zakupu ziemi, faktycznie dokonanego w 1914 roku) 1 hektar i 12 arów ziemi, przylegającej wąskim pasem do obszaru już posiadanego. W ten sposób do gospodarstwa należał już cały grunt znajdujący się pomiędzy dwoma potokami.

Na tym jednak Andrzej nie zakończył rozszerzania swoich posiadłości. Ponieważ dawniejszy właściciel ziemski w Płonnej, wspomniany już ksiądz Emilian Konstantynowicz, który teraz swoje włości dzierżawił niejakemu panu Kudło, postanowił wyzbyć się części posiadanego obszaru. Do podziału i upłynnienia pozostał ładny szmat pola, składający się aż z czterdziestu dwóch działek, mierzących w sumie 179 hektarów, 93 arów i 70 metrów kwadratowych. Z parcelacji tego majątku osiemdziesiąta szósta część przy-

padła do wykupienia Andrzejowi i Anastazji. Stanowiło to 2 hektary i 9 arów.

W ten sposób ostatecznie ukształtował się obszar ich gospodarstwa, który odtąd wynosił 17 hektarów i 64 ary, najładniejszej, prawie całkowicie równinnej ziemi, chyba najlepszej z całej Płonnej. Było to na tamten czas bodaj największe, a na pewno najnowocześniejsze gospodarstwo we wsi, a może nawet i w okolicy. Od tego czasu powiększyło się również znacznie stado inwentarza żywego. Oprócz licznych bydła i trzody chlewnej, hodowano także pokaźne stado owiec, nie wspominając już o całym asortymencie ptactwa domowego. Najbardziej pielęgnowanym „inwentarzem” w gospodarstwie była jednak pasieka pszczela, licząca ponad dwadzieścia uli. Andrzej od małego dziecka był zamiłowany w hodowli pszczół, a potem, jako podrastający chłopiec pomagał przy tych pracach w gospodarstwie swojej siostry, Anny. Pszczoły trzymał również w Ameryce – aż do czasu, kiedy to mając w zamiarze powrót do kraju, wyzbył się własnego domu. O pszczołach mógł rozmawiać długo i wszystkim tłumaczył o szlachetności i inteligencji tych stworzeń oraz o konieczności ich szanowania.

Innym przejawem postępu w gospodarowaniu było powszechne wprowadzenie do uprawy i wyżywienia rodziny różnego rodzaju warzyw i owoców, dotychczas nie znanych w Płonnej i w okolicy lub uprawianych z wielką rezerwą. W domu Andrzeja i Anastazji w codziennym pożywieniu stosowano wiele warzyw i nie tylko takie jak fasola, groch, bób, marchew, buraczki, wczesne ziemniaki (zwane tu amerykańskimi), ale również pomidory, kalafiory i inne nowalijki. Z początku sąsiedzi patrzyli nieufnie na takie uprawy, a nawet wykpiwali je jako dziwactwa przybysza z Ameryki. Jednak z biegiem czasu coraz częściej wypytywano jak to, czy owo należy uprawiać lub proszono nawet o sadzonki i nasiona.

Gospodarstwo to stanowiło nie tylko wystarczające źródło utrzymania rodziny, ale również przynosiło odczuwalne dochody. I chociaż zakupy ziemi poważnie uszczupliły zasoby finansowe, pochodzące jeszcze z pracy Andrzeja w Ameryce, to od tego czasu następowała pełna stabilizacja pieniężna. Pomimo, że na gospodarstwie ciążyły poważne obciążenie podatkowe, sytuacja ekonomiczna była zupełnie znośna. Nieco trudniej było z podołaniem wszystkim obowiązkom w polu, w zagrodzie i domu. O ile do prac polowych, które, jak wiadomo, nie w jednakowym nasileniu występują w przeciągu całego roku, można było wynająć robotników dorywczych, to do prac w zagrodzie i w gospodarstwie domowym należało raczej mieć kogoś do pomocy na stałe. Dlatego od pewnego czasu przyjmowano na służbę tak zwane kucharki, których zadaniem była obsługa inwentarza żywego, utrzymywanie ogrodu i pomoc w samych pracach domowych. Zatrudnianie służby niekiedy stanowiło też rodzaj aktu dobroczynnego, bowiem do pracy takiej często przyjmowano kogoś z dalszej rodziny lub z rodzin zaprzyjaź-

nionych, które same nie były w stanie wyżyć ze swoich skromnych gospodarstw i często potrzebowały pomocy.

Troskliwy ojciec rodziny, mając teraz bardziej dochodowe gospodarstwo, zdecydował, że przynajmniej niektóre z jego dzieci powinny zdobyć liczące się wykształcenie i jakiś pożyteczny zawód, aby nie musiały w przyszłości tak ciężko pracować jak on sam. Po naradzeniu się z małżonką postanowił posłać „do szkół” syna z „amerykańskiego” małżeństwa – Andrzeja, który na wiosnę tego roku miał zakończyć naukę w miejscowej szkole powszechnej. Wydawało się, że wybór co do dalszego kształcenia Andrzeja był trafny, ponieważ akurat on nie zdradzał jakichkolwiek zainteresowań pracą w gospodarstwie lub nawet skłonności do wyuczenia się jakiegoś zawodu rzemieślniczego. Lubił natomiast czytać i dowiadywać się wielu wiadomości o świecie. Chętnie przystawał do towarzystwa starszych wszędzie tam, gdzie prowadzone były ciekawe dyskusje. Najpierw więc postanowiono, że powinien on uzupełnić pełne wykształcenie w zakresie szkoły podstawowej. Ponieważ nie było możliwe, ażeby dokonać tego na miejscu, postanowiono, że Andrzej dalej będzie uczyć się w Przemyśle. Od początku roku szkolnego rozpoczął więc tam naukę w szkole prowadzonej przez greckokatolicki Zakon Bazylianów. Ze względu na to, że naukę w szkole powszechnej w Płonnej Andrzej junior – tak, jak wszystkie tutejsze dzieci – miał przedłużoną, a skończył już piętnaście lat, musiał brać dodatkowe korepetycje w zakresie starszych klas. W Przemyśle odbywał więc skrócony kurs w zakresie pełnego programu szkoły podstawowej, a następnie przystąpił do nauki w gimnazjum. Z nauką nie miał on większych problemów. Jednak ze względu na to, że opłaty za chesne były wysokie, posunięcie to poważnie odbiło się na stanie finansów gospodarstwa. W latach następnych bywały nawet okresy, że zalegano z tego powodu z opłatami podatkowymi. Wniosek stąd prosty: skoro kształcenie jednego dziecka stanowiło znaczne obciążenie dla stosunkowo dużego gospodarstwa, to na pewno na takie przedsięwzięcie nie było stać pomniejszych rolników.

W tym samym roku zaszła jeszcze jedna zmiana w rodzinie Andrzeja i Anastazji. Otóż dziewiętnastego lipca 1933 roku na świat przyszła kolejna córeczka, której na imię dano Marysia. Andrzej nalegał na wybranie takiego imienia, ponieważ chciał, ażeby przypominało ono najstarszą jego córkę, pozostawioną w Stanach Zjednoczonych, co do której coraz częściej tracił nadzieję na jej ujrzenie. Ponadto oboje z rodziców żywo jeszcze mieli w pamięci utratę poprzedniego dziecka o takim imieniu, które przed rokiem niespodziewanie zeszło z tego świata i może w głębi duszy, ukradkiem wierzyli, że Bóg im wynagrodził poprzednią stratę, gdyż narodzona dziewczynka ładząco przypominała tę niedawno utraconą. W ten sposób grono rodzinne powiększyło się do sześciu osób, ale wszystkich domowników było więcej, ponieważ nadal utrzymywano do pomocy jedną niewiastę, pełniącą

funkcję kucharki. Bywało też, że przejściowo zamieszkiwał tu ktoś z młodszego rodzeństwa Anastazji – po części do pomocy, a po części dla ulżenia jej rodzicom w utrzymywaniu licznej czeladzi.



Na zdjęciu młodzież uczestnicząca w kursie trykotażu. W dolnym rzędzie, trzecia od lewej strony siedzi Hania, córka Andrzeja z pierwszego małżeństwa. Zdjęcie wykonane w 1934 roku. (zdjęcie w posiadaniu pana A. Szkrawana)

Płonna tętniła w tym czasie pełnią życia. Pozacierały się już wojenne rany, wszyscy zaasymilowali się do nowego układu politycznego. Bardziej swojskie wydawały się rządy polskie, niż austriackie, bo i mowa polska – w odróżnieniu od niemieckiej – wydawała się niemal jak swoja własna. Zmalały też szykany odwetowe zapoczątkowane przed kilkoma latami. Wszyscy ludzie żyli nadal w zgodzie, niezależnie od tego, w jakim języku modlono się i rozmawiano w domu. We wsi kwitło życie kulturalne. Młodzież organizowała się w zespołach śpiewaczych i tanecznych. Organizowano regularnie wieczorne zabawy, które najczęściej odbywały się w czytelnii. Wydarzały się niekiedy również niewielkie lokalne dysonanse. Były okresy, że wiążywała się niezdrowa rywalizacja pomiędzy dwoma częściami wioski, to znaczy pomiędzy dolnym i górnym końcem Płonnej, nazywanymi tu jako *nyżnyj i wysznyj kinec*. Przez pewien czas w przypadku, gdy zabawę organizowała młodzież z dolnego końca, to na imprezie tej nieobecni byli chłopcy i dziewczęta z górnego końca. W sytuacjach takich Andrzej często kazał usunąć meble ze swojej *chyży*, przywołać grajka i zabawa na całego odchodziła w tym domu, który natenczas pełnił rolę drugiej świetlicy wiejskiej.

Często spotykano się na różnych imprezach okolicznościowych, z których najpopularniejszą były schadzki rodzinne i towarzyskie z okazji wspomnianych już wcześniej *praznyków*, czyli święta danej wioski, połączonego z odpustem. W Płonnej *praznyk* taki przypadał w dniu czternastego paź-

dzielnika z okazji święta *Pokrowy Preczystoji Bohorodyci*¹. W dniu tym schodzili się znajomi i krewni z odległych nawet miejscowości. Obowiązkowo każdy, kto wtedy pojawił się w domu, powinien być ugoszczony.

Uroczyscie zawsze obchodzono również wszystkie inne doroczne święta religijne. Z ważniejszych uroczystości przypadających po odpuście należałoby wspomnieć o święcie *Wwedenn'ja u Chram Preswjatoji Bohorodyci*² oraz *Neporoczne Zaczatt'ja Preswjatoji Bohorodyci*³. Dzieci jednak najbardziej oczekiwały na dzień dziewiętnastego grudnia, na który to przypadało według kalendarza juliańskiego święto Świętego Mikołaja. Chociaż w tym czasie trwał już post adwentowy, święto to najmłodszy obchodzili bardzo radośnie, ponieważ łączyło się ono z obdarowywaniem ich różnymi gościnkami. Już od kilku dni wszyscy starali się nie narażać rodzicom jakimkolwiek nieposłuszeństwem, a osiemnastego grudnia należało dokładnie obmyć się i wcześniej iść spać, aby następnego rana, skoro świt, zajrzeć pod poduszkę, gdzie Święty Mikołaj zostawiał swoje podarunki. Oczywiście podarunki te nie były jednakowo bogate we wszystkich domach. Jak bywa w wielu miejscach na świecie, tak i tu Mikołaj miał zwyczaj pozostawiać cenniejsze prezenty dzieciom, u których w domu wiodło się lepiej, a te biedniejsze często zadowalały się kilkoma cukierkami, czasem jakimś ciastkiem lub niewielką garstką orzechów. Niektórym przytrafiało się odnaleźć pod poduszką również kawałek różgi lub zgniłą cebulę – jako przestrożę, że coś w swoim postępowaniu powinny zmienić. Taki to był już ten Święty Mikołaj...

Po Świętym Mikołaju wszyscy oczekiwali już nadejścia Świąt Bożego Narodzenia, zwanego tutaj jako *Rizdwo Chrystowe*⁴. Do świąt tych przygotowywano się w dwóch wymiarach – duchowym, polegającym na odnowie wewnętrznej, z której punktem kulminacyjnym były sakramenty spowiedzi i komunii świętej, przyjmowanej zawsze pod postacią chleba i wina oraz w wymiarze obyczajowym, polegającym na uroczystym i wesołym przeżywaniu tego okresu. Święta trwały w zasadzie przez cztery dni, to znaczy przez wigilię i trzy dni świąt właściwych.

W wigilię, zwaną jako *Naweczir'ja Rizdwa Chrystowoho*, cały dzień, podczas którego obowiązywał ścisły post, schodził na przygotowaniach do świąt. Strojono więc choinkę i sporządzano liczne stawy na wieczerzę, pośród których najważniejszą, przygotowywaną tylko raz w roku, była kutia. Według zaleceń starych gospodyń, po dodaniu do ugotowanej pszenicy wszelkich rarytasów, wśród których najwięcej było miodu, należało nabrać ją na łyżkę i rzucić o powalę. Jeżeli zawartość łyżki nie spadła z powrotem,

¹ Orędownictwa Przeczystej Bogurodzicy (ukr.).

² Wprowadzenia na ołtarze Najświętszej Bogurodzicy (ukr.).

³ Niepokalane poczęcie Najświętszej Bogurodzicy (ukr.).

⁴ Narodzenie chrystusowe (ukr.).

to oznaczało, że kutia jest już gotowa. Przygotowania do wieczerzy polegały również i na tym, że wszyscy po ujrzeniu pierwszej gwiazdy na niebie, powinni umyć się w pobliskim potoku i przywdziać świeże odzienie. Stół, na którym spożywano ten uroczysty posiłek, nakrywany był sianem, a następnie zasłany białym obrusem. Dodatkowo w kącie izby stawiano zawsze snopek zboża, a na podłodze nieco słomy – dla upamiętnienia, że Jezus narodził się w stajence. Przed spożyciem wieczerzy gospodarz brał chleb, udawał się do obory i karmił nim rogaciznę. Następnie, po zmówieniu wspólnej modlitwy, której przewodniczył ojciec lub osoba najstarsza wiekiem, przystępowano do spożywania potraw. Pierwszą z nich był chleb, poświęcony w poprzednią niedzielę w cerkwi, zwany *prosforą*. Po podzieleniu się *prosforą* należało spożyć zwykły chleb z solą i czosnkiem, jako prośbę o dobre zdrowie dla siebie i całej rodziny. W następnej kolejności spożywano inne potrawy, których było co najmniej dwanaście, w dowolnej kolejności i już według uznania każdego z domowników. Obowiązkowym napojem była tak zwana *juszka*, czyli kompot ugotowany z suszonych owoców.

Przy stole zebrana była zawsze cała rodzina, a ponadto przygotowywano jedno miejsce dla osób zabłąkanych, niespodziewanych gości, a niektórzy uważali, że miejsce to jest dla tych osób z rodziny, które w ostatnim okresie odeszły już na zawsze. Wieczerze wigilijne trwały długo. Po zaspokojeniu pierwszego apetytu zaczęto wspólne śpiewanie licznych kolęd. Następnie późnym wieczorem przenoszono się na uroczystości religijne do cerkwi. Najpierw odprawiane było tak zwane *poweczir'ja wetykie*¹, a następnie, zazwyczaj już po północy, pierwsza msza bożonarodzeniowa. Modlitwy niekiedy przeciągały się do późnej nocy. Było to nabożeństwo zwane *wsianocne*². Wszystkim modlitwom towarzyszyły liczne śpiewy, przeplatane uroczystymi wezwaniami do Boga, opartymi na starym i nowym testamencie. Jednak dopiero, gdy kapłan pierwszy uroczyście zaśpiewał ...z *n a m y B o h*³..., w cerkwi odczuwało się prawdziwą atmosferę zejścia z niebios Zbawiciela, który ma odkupić świat. Nastrój ten pogłębiany był zmieszonym zapachem spalanych świec woskowych i kadzidła. Na koniec nabożeństwa wszyscy wierni do kapłana, który każdego błogosławił, namaszczał krzyżmem i dawał do ucałowania krzyż z rozpiętym Chrystusem. Od tego czasu wszyscy pozdrawiali się zawołaniem *Chrystos raždajet'sja*⁴, na które należało odpowiadać *slawite jeho*⁵.

¹ Dosłownie: wielkie powieczerze (ukr.); nabożeństwo to wraz z odbywającą się po nim mszą stanowią łącznie odpowiednik pasterki w kościele rzymskokatolickim.

² Całonocne.

³ Z nami Bóg (ukr.)

⁴ Chrystus się rodzi (ukr.)

⁵ Wsławiajcie go (ukr.)

W następne dni również uroczyście świętowano poprzez spożywanie licznych straw, kołędowanie i udział w nabożeństwach cerkiewnych. Był też zwyczaj grupowego obchodzenia innych domostw. Podczas tych odwiedzin, zwanych jako *rańcowanie*, śpiewano kolędy oraz dokazywano, wykonując nieszkodliwe psoty. Odwiedzani gospodarze musieli natenczas wykupywać się poczęstunkiem.

Po świętach bożonarodzeniowych zaczynał się okres licznych zabaw, wesel i spotkań towarzyskich. Podczas tych wszystkich imprez śpiewano, tańczono i goszczono się obficie. Właściwie z obfitością tą różnie bywało. Z okoliczności takich pochodzi opowiadanie, jak to rozmawiały ze sobą instrumenty muzyczne, udające się na wesele. Gęśle piskliwym głosem wykrzykiwały: *budeme jiły, budeme pyły*, a kontrabas grubo odzywał się: *jak Boh dast', jak Boh dast'*. Natomiast w drodze powrotnej gęśle popiskiwały: *any sme ne jiły, any sme ne pyły*, a kontrabas odpowiadał: *ja ty powidaw, ja ty powidaw*¹.

W okresie tym wykonywano również wiele prac gospodarczych oraz przygotowywano się do przyszłego sezonu letniego. Najbardziej pracochłonną pracą we wszystkich gospodarstwach były omloty zbóż, wykonywane tradycyjnie za pomocą cepów. Ponieważ sposób wykonywania tych czynności był bardzo czasochłonny i wyczerpujący, omloty ciągnęły się długimi tygodniami. Prace rozpoczynano bardzo wcześnie przed wschodem słońca, a kończono późnym wieczorem. W nielicznych tylko domach w tym czasie posiadano zegar, dlatego dokładne rozliczenie czasu pracy nie było możliwe. Wspominano taki przypadek, kiedy to późnym wieczorem, jeszcze przed udaniem się na nocny spoczynek Andrzeja i Anastazji, ze stodoły sąsiada dochodził miarowy stukot cepów. Następnego dnia, około południa sąsiad ów odwiedził ich mieszkanie i żalił się, że jest bardzo zmęczony:

– Dzień dzisiejszy jest jakoś dziwnie długi – opowiadał. – Zabraliśmy się bardzo rano do młocki i nijak nie można było doczekać się rana. Teraz musiałem przerwać pracę, bo już dłużej nie mam sił stać przy cepach.

– Onufrze – zareagowała na to Anastazja, – wy pewnie młóciliście nie od rana, ale przez całą noc! My jeszcze spać nie poszliśmy, jak od waszej stodoły dochodziły odgłosy cepów.

– A niech to lichy! – odpowiedział na to Onufry. – Jak to ciężko żyć bez zegara, zwłaszcza w okresie zimowym.

Andrzej z Anastazją problemów takich nie znali, bo nie tylko w ich domu wisiało kilka zegarów, ale i omloty trwały krócej, gdyż wykonywane były maszyną, napędzaną końskim kieratem. Dlatego w tym domu zimą więcej czasu można było poświęcić na rozmowy w gronie rodzinnym i z sąsiadami. Wiezorami zawsze przychodziło tu wiele ludzi i w zaciekawie-

¹ Będziemy jedli, będziemy pili / jak Bóg da, jak Bóg da / aniśmy nie jedli, aniśmy nie pili /jam ci powiadał, jam ci powiadał (łemk.).

niu słuchali opowiadań Andrzeja z wielkiego świata: o różnych ludziach, o Ameryce, o podróży i wielu ciekawostkach. W tym bardzo często przejawiały się tematy z pogranicza świata realnego i duchowego. Był przeto Andrzej uznawany za człowieka mądrego i cieszył się wielkim autorytetem wśród miejscowych ludzi. Radzono się go w wielu problemach, a on zawsze umiał znaleźć poradę i każdemu służyć dobrym słowem. Zresztą nie zawsze kończyło się tylko na radach. Ludzie potrzebujący mogli liczyć również na pomoc, nie wykluczając z tego pożyczek pieniężnych, na których to operacjach nierzadko sam źle wychodził.

W sprawach związanych z gospodarowaniem trafiały się również sytuacje zabawne – szczególnie te, które łączyły się z prowadzonymi transakcjami z kupcami żydowskimi. Jedną z takich historyjek powstała, kiedy to Andrzejowi na skutek wielkich mrozów zimą wymarznął okazałej wielkości sad śliwkowy, założony przed rokiem. Na wiosnę powstał problem, co zrobić z kilkuset wyciętymi drzewkami, które ze względu na swoje małe rozmiary nie bardzo nadawały się do jakiegoś użytku. Zagadnął więc Andrzej napotkanego przypadkowo Sruła, czy nie chciałby kupić suche śliwki.

– A ile tego będziesz miał-a-a! – zapytał zaciekawiony Żyd.

– A będzie tego kilka wozów – odpowiedział mu Andrzej.

Po wstępnym uzgodnieniu ceny, która Żydowi wydawała się atrakcyjną, Andrzej poprosił o zaliczkę i ustalili datę odbioru towaru. Po upływie kilku dni, kiedy to Sruł przyjechał w celu zrealizowania transakcji, nastąpiła wielka konsternacja, gdyż okazało się, że na wóz trzeba ładować nie suszone owoce, a uschnięte drzewka owocowe.

– No-o-o, Priadka-a-a, ty mnie oszukała-e-eś! – powiedział zdenerwowany Żyd. – Ja kupiłem u ciebie śliwki-i-i, a ty mi każesz ładować na wóz jakieś chrusty-y-y.

– Srułu, przecież mówiłem ci wyraźnie, że mam na sprzedaż suche, a nie suszone śliwki!

Cała sprawa zakończyła się na zamieszaniu i wielkim śmiechu. Zaliczka została zwrócona, skompromitowany kupiec odjechał, a wycięte drzewka poszły na opał.

Nieco inny przebieg miała transakcja związana ze sprzedażą jałówki. Pewnego razu doszło do porozumienia z innym kupcem żydowskim o imieniu Dawid. Otóż chciał on kupić u Andrzeja roczną jałówkę i po uzgodnieniu ceny również została wypłacona zaliczka. Mijały dni i tygodnie, a Dawid nie odbierał zakupionej sztuki. Sytuacja stawała się dla sprzedawcy niekorzystna, bo cena była już uzgodniona, jałówkę należało nadal żywić, a pasza drożała. Ponaglał więc Andrzej kupca w sprawie odbioru zakupionej sztuki, a ten nonszalancko odpowiadał:

– No-o, Priadka-a, mam cię w d.... i twoją jałówkę-ę.

Gdy odpowiedzi takie powtarzały się, Andrzej wziął ze sobą świadka, przy którym ponownie usłyszał odpowiedź:

– Mam cię w d.... i twoją jałówkę-ę.

Gospodarz sprzedał więc jałówkę swojemu sąsiadowi. Po upływie kilku dni psy zaczęły ujadać, a na podwórku pojawił się rzeczony Dawid. Andrzej, akurat zmartwiony wyjazdem syna do Ameryki, schował się, a inicjatywę w zakresie rozliczenia się z kupcem przejęła Anastazja.

– No, Priadkowa, przyszedłem, po swoją jałówkę!

– Jałówki nie ma, została sprzedana.

– Jak to, sprzedana? Przecież jałówka była moja, bo dałem zaliczkę.

– Wiesz co, Dawidzie – odpowiedziała Anastazja, – powiem ci tak samo, jak ty odpowiadałeś mojemu chłopu.

– A jak ty mi odpowie-esz?

– A odpowiem ci, że mam cię w d.... i twoją zaliczkę.

– A ja pójdę do sądu!

– A idź do sądu, a tak samo wygrasz, jak Motio wygrał z księdzem¹.

– Motio przegrał – mówił zdenerwowany Żyd, – bo Motio to jest durny ciul.

– Idź sobie do sądu, a sam zostaniesz drugim takim durnym ciulem.

* * *

Nieubłagany czas szybko posuwał się do przodu. Nastał rok 1935. Jedne dzieci stawały się coraz to większe, a inne wchodziły w wiek dorosły. Teraz dawał znać o sobie odwieczny problem, jakie powinny podjąć działania, aby w miarę dobrze ułożyć sobie dalsze życie. Pytania takie stawały przede wszystkim przed trójką dzieci, które wraz z ojcem przyjechały tu z Ameryki. Najstarszym z nich był Paweł, który wszedł już w dziewiętnasty rok życia. Chociaż od dawna pracował już na równi z dorosłymi mężczyznami, nie zdradzał on chęci zajmowania się w przyszłości rolą, a ponadto Andrzej nie był skłonny do dokonywania podziału z trudem zorganizowanego gospodarstwa, gdyż na uwadze musiał mieć również zabezpieczenie przyszłości młodszych dzieci. Podjęcie przez Pawła pracy zarobkowej także nie wchodziło w rachubę, ponieważ pracy takiej w okolicy nie było, a gdyby nawet się znalazła, to na pewno byłaby tak opłacana, że z trudem można byłoby się

¹ Wcześniej była głośną sprawą niejakiego Motia, który kupił las do wycięcia. Od księdza uzyskał zgodę na wywiezienie drewna przez jego drogę w zamian za przyobiecane gałęzie, jakie pozostaną po wyrębie. Gdy ksiądz spostrzegł, że Żyd zaczął wywozić z lasu również gałęzie, a jemu chce pozostawić tylko chrust, wynajął chłopów i w nocy sam odebrał swoją zapłatę. Zdenerwowany kupiec oddał sprawę do sądu, ale przegrał ją, gdyż ksiądz przedstawił dowody świadczące o uzgodnionym sposobie zapłaty za korzystanie przez Żyda z jego prywatnej drogi.

z niej utrzymać. Uradzono więc, że najlepszym wyjściem byłoby, gdyby Paweł udał się z powrotem za ocean i tam próbował swoich sił na własną rękę.

W tym czasie Stany Zjednoczone zmieniły swoją politykę imigracyjną. Nie przyjmowano już do nowego kraju wszystkich chętnych, a tym bardziej nie udzielano już imigrantom wszechstronnej pomocy. Kraj ten ledwo co wyszedł obronną ręką z kryzysu światowego i tam również dawało znać o sobie bezrobocie. Ograniczenia te jednak nie dotyczyły osób, które były urodzone w Ameryce. Stawiano im jednak warunek, że powinny one powrócić do Ameryki przed ukończeniem dwudziestego roku życia. W związku z tym korespondencyjnie, przy pomocy zamieszkującej tam rodziny, przeprowadzono wszystkie niezbędne formalności, a w tym również wystąpiono o wydanie paszportu amerykańskiego. Odpowiedź pozytywna, to znaczy przesyłka z paszportem i potwierdzeniem opłaty podróży, przysłała na początku wiosny, a przed latem nastąpił wyjazd Pawła w drogę powrotną do kraju swojego urodzenia.

Wyjazd taki oznaczał rozstanie się ojca z kolejnym dzieckiem. Już na kilka dni przed tą podróżą nastrój w rodzinie był dosyć melancholijny. Z jednej strony cieszą się, że Pawłowi, być może, uda się zapewnić sobie bardziej dostatnie życie na przyszłość i będzie on mógł spotkać się z siostrą i bratem, lecz jednocześnie coraz bardziej w tych przygotowaniach przeważał smutek spowodowany mającym nastąpić rozstaniem. Na pożegnanie Pawła poproszono również o przyjazd przebywającego w szkole w Przemyśle młodszego brata, Andrzeja. Spakowano niezbędne rzeczy, w tym niewielki zapas odzieży i żywności na drogę. Ojciec wysupłał pewną kwotę z zachowanych oszczędności dolarowych i wozem konnym wyruszone w drogę do Sanoka, skąd pociągiem miała nastąpić dalsza podróż do Warszawy, a stamtąd do Hamburga – przetartego już szlaku wodnego, prowadzącego do Nowego Jorku.

– Mamo, żegnam was i dziękuję za wszystko, co od was otrzymałem – wykrztusił przytłumionym głosem Paweł, ściskając przybraną matkę. – Proszę, nie gniewajcie się na mnie, jeżeli kiedyś postąpiłem niewłaściwie. Zawsze będę myślał o was, jak o swojej prawdziwej matce. Teraz będzie mi ciężko bez was, ale cóż mam zrobić... Jestem już dorosły i muszę sam sobie dawać radę.

Wypuścił z ramion Anastazję, a spoglądając na jej wysoko zaawansowaną ciążę i dodał po chwili:

– Życzę wam jeszcze szczęśliwego rozwiązania i niech wszystkie wasze dzieci chowają się dobrze, tak, abyście mieli z nich pociechę na starsze lata.

– Żegnam cię, mój synu – odpowiedziała Anastazja, z trudnością powstrzymując płacz. – Będzie ciebie brakować, też nigdy cię nie zapomnę.

Życzę ci, abyś był zdrow i nie zapominaj o nas. Jak ci będzie tam ciężko, to zawsze możesz tu wrócić. Pamiętaj, że masz tu swój dom.

– Na pewno nigdy was nie zapomnę – odrzekł Paweł i jeszcze raz mocno uściśkał Anastazję, po czym pożegnał się ze wszystkimi dziećmi i razem z ojcem, bratem Andrzejem i piętnastoletnią siostrą, Anną, wyruszyli w podróż.

W Sanoku Paweł czule pożegnał się z ojcem i rodzeństwem.

– Papo, dziękuję wam za wszystko i przepraszam, jeżeli w czymś zawińłem...

Chciał powiedzieć więcej, ale żal ścisnął mu gardło. Puścił z objęć zapłakanego ojca, po czym uściśkał brata i siostrzyczkę.

– Żegnam cię mój synu. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę, ale proszę, nie wspominaj mnie źle. Uściśkaj ode mnie Iwanka i Marysię. Powiedz im, że bardzo chciałbym ich zobaczyć i niech uważają na siebie.

– Nie płaczcie papo – Paweł chciał pocieszyć zasmuconego ojca. – Świat nie jest taki wielki i jak tylko będę mógł, to odwiedzę was, a może kiedyś wy przyjedziecie do Ameryki. W Bogu nadzieja, że się kiedyś jeszcze zobaczymy. A wy – zwrócił się do Hani i brata Andrzeja, – pewnie też kiedyś przyjedziecie do Ameryki. Tam będziemy żyć wszyscy razem. Ja pierwszy postaram się, żeby było nam tam dobrze. Żegnajcie wszyscy.

Pożeganie przedłużało się. Chciałoby się jeszcze dużo powiedzieć, ale żal ścisnął gardło i brakowało słów. Każda następna chwila stawała się trudną do zniesienia. Sytuacją tę przerwał podany sygnał do odjazdu pociągu. Uściśkali się wszyscy raz jeszcze, a po chwili pociąg skrył się za zakrętem.

Zasmucony ojciec pożegnał jeszcze syna Andrzeja, który za chwilę miał pociąg do Przemyśla, wziął Hanię za rękę i udał się do czekającego na nich zaprzęgu konnego. W drodze powrotnej rozmawiali mało, a po przybyciu do domu również długo jeszcze rozmyślał o kolejach swojego losu w wielkiej obawie o to, jakie jeszcze niespodzianki czekają go w przyszłości.

Na zmianę życiową, chociaż ona akurat nie stanowiła niespodzianki, nie trzeba było czekać zbyt długo. Już za dwa tygodnie na świat przyszło kolejne dziecko. Tym razem urodził się chłopiec. Na imię dano mu Piotruś, tak samo, jak synowi pierworodnemu w tym małżeństwie, który zmarł przed sześcioma laty, przeżywszy zaledwie jeden rok.

Nowo narodzony chłopiec wyglądał bardzo ładnie, był dobrze zbudowany, miał regularne rysy i pokaźną, jak na noworodka, czarną czuprynę. Andrzej bardzo ucieszył się z jego narodzin.

– Zobacz, jaki ładny chłopiec – mówił do osłabionej jeszcze matki. – Wyrośnie z niego piękny i silny mężczyzna.

Anastazję cieszyła taka pochwała ze strony męża i szybko wracała do sił. Dziecko wykazywało się dobrym apetytem i niemal w oczach przybiera-

ło na wadze. Wygładziły się jego kształty, wybielała skóra, zaczął ładnie uśmiechać się i wodzić oczyma za dorosłymi. Wszyscy radowali się na jego widok.

Szczęście nie trwało jednak zbyt długo. Nie minęły jeszcze dwa tygodnie od narodzin, gdy mały Piotruś zaczął w nocy marudzić, a rano Anastazja zauważyła, że ma silną gorączkę. Następnego dnia na jego ciele utworzyły się liczne, głębokie krosty, a gorączka podniosła się jeszcze bardziej. Posłano więc szybko po księdza, który ochrzcił niemowlaka, a przy odejściu postawił diagnozę, że dziecko zachorowało na ospę. Zrozpaczona matka nie wiedziała, co ma czynić. Próbowano więc wszystkich dostępnych środków i zastanawiano się, czy następnego dnia nie należałoby pojechać z nim do lekarza. Nieszczęsne dziecko nie doczekało jednak już dnia następnego, a biedni rodzice na głowie teraz mieli rozpacz i urządzenie pogrzebu.

Mały Piotruś spoczął na miejscowym cmentarzu, obok swojego starszego brata o tym samym imieniu i siostry Marysi.

Dom teraz przepełniony był ponownie bólem i pustką, chociaż zamieszkiwało w nim wiele osób. Zasmucona była mocno Anastazja. To już trzecie jej dziecko zeszło z tego świata! Tyle wysiłku i cierpień macierzyńskich zostało zniweczonych. Chociaż pocieszali ją wszyscy, że przecież ma jeszcze troje ładnych dzieci i na pewno Bóg ją obdarzy kolejnym potomstwem, to ona ciągle miała w oczach to małe biedactwo, umierające w cierpieniach, któremu, jako matka, nic nie mogła pomóc.

Z powodu utraty malutkiego synka cierpiał również Andrzej. Jego ból był dodatkowo pogłębiony rozstaniem się z Pawłem. Rozstał się nie tylko z synem, ale utracił dobrego pomocnika w prowadzeniu gospodarstwa, a nawet doradcę w wielu trudnych sprawach. Można byłoby rzec, że przez kilka ostatnich lat gospodarstwo prowadzili wspólnie. Po latach Paweł, gdy odwiedził go w Stanach Zjednoczonych jego najmłodszy, później narodzony brat, okres ten będzie wspominał: *„Niewiele otrzymałem od ojca, bo i wiele dać mi nie mógł, ale za jedno jestem mu wdzięczny: nauczył mnie ciężko pracować. I wtedy, kiedy przeżywałem trudne chwile, to łatwiej było mi je znosić, bo wiedziałem, że człowiek może dużo wytrzymać”*.

Wobec nieobecności w domu drugiego syna, Andrzeja juniora, który pobierał nauki w oddalonych szkołach, najważniejszym w domu mężczyzną – licząc po gospodarzu – był teraz jedenastoletni Michał, syn Anastazji z pierwszego małżeństwa. W miarę dorastania musiał podejmować on coraz to większe obowiązki, ale podobnie jak Pawła, nie zrażało go takie położenie, bo wiedział, że żadne wykrety nic tu nie pomogą.

Powstała sytuacja przysparzała Andrzejowi o wielki smutek. Ciągłe chodził zamyślony i tracił zapal do dalszych działań.



*Michał, syn Anastazji
z pierwszego małżeństwa,
podczas pasienia owiec
„na ruskim”. Zdjęcie wy-
konane około 1935 r.*

– Dlaczego przez całe życie zawsze muszę napotykać na nieustanne trudności i wielkie niepowodzenia? – żalił się w rzadkich momentach przy-
pływu wylewności.

Najczęściej jednak chodził zamknięty w sobie i nie wykazywał już do-
tychczasowych skłonności do podejmowania dyskusji ze wszystkimi napo-
tykanymi ludźmi. W okresie tym ponownie niemal całkowicie odstał od
praktyk religijnych. Modlił się czasami w domu, stojąc zwrócony do świę-
tych obrazów, wiszących jakby w szyku na frontowej ścianie głównej izby i
tworzących namiastkę ikonostasu.

W pewną niedzielę pod koniec sierpnia, po wykonaniu prac przy inwen-
tarzu i spożyciu obiadu, położył się Andrzej w cieniu drzew na ławie znaj-
dującej się w sadzie. Sen miał głęboki i dosyć długi. Dzieci otrzymały pole-
cenie, aby nie przeszkadzać ojcu, który teraz odpoczywa. Gdy słońce prze-
chyliło się już w stronę zachodu, Andrzej przybiegł do izby, a z jego wzroku
emanował dziwny stan, jakby jednoczesne pomieszanie lęku i zachwyty.

– Coś ty taki wylęknięty? – zapytała go Nastia. – Czy już dosyć odpoc-
ząłeś?

– Odpocząłem dosyć, ale spałbym chyba jeszcze dłużej, gdyby nie
dziwne widzenie, które miałem we śnie.

– Co to za dziwny sen? Przecież zawsze ludziom coś się śni i nic z tego
nie wychodzi – uspakajała go żona.

Mnie też często się coś śni, ale tym razem sam nie wiem, czy to był sen,
czy też było to prawdziwe widzenie.

– *Hey, Ann, give me some water*¹ – zawołał do najstarszej córki.

Hania sięgnęła po szklankę i zaczerpnęła nalewką stojącą we wiadrze
zimnej wody, przyniesionej przed chwilą ze studni, znajdującej się na po-
dwórku. Andrzej wypił wodę niemal jednym tchem, po czym zastanowił się
chwilę i zaczął opowiadać od początku.

¹ Hej, Anna, daj mi trochę wody (ang.)

– Miałem w sędzie dziwny sen, tak dziwny, że nie jestem nawet pewien, czy to był sen, czy też naprawdę się to wydarzyło.

– Powiedz wreszcie co takiego ci się śniło – znów zapytała Anastazja.

– Jak zauważyliście, spałem dosyć długo, bo widzę, że już słońce przechyliło się ku zachodowi. Kilka razy przebudzałem się i zasypiałem na nowo. Otóż po kolejnym przebudzeniu, kiedy to postanowiłem, że jeszcze trochę poleżę, zauważyłem pomiędzy drzewami jakby nadlatującego z nieba ptaka, ale po chwili ptak ów wyglądem swoim zaczął przypominać dziecko. Potem odniosłem wrażenie, że jest to Piotruś, pierwszy nasz syn. Na jego widok ogarnął mnie dziwny lęk, po czym poczułem się cały zdrętwiały, jakby elektryczność po mnie przeszła i nie mogłem uczynić żadnego ruchu. Zjawia ta to przybliżała się do mnie, to znów oddalała, ale nie mogłem dostrzec jej twarzy. Wtem usłyszałem głos dziecka, przypominający Piotrusia. Rzekł on do mnie: *nie lękaj się, tato, przychodzę do ciebie w dobrych zamiarach. Wiem, że teraz bardzo przeżywasz utratę dziecka, rozstanie z Pawłem oraz że niepokoją cię inne niepowodzenia. Proszę cię jednak, nie obracaj swojego żalu i gniewu przeciwko Bogu. W tym wszystkim, co się stało, są jego zamiary, a ty nie możesz się temu sprzeciwić. Nie bądź niedowiakiem.* A potem zapytał mnie, czy chciałbym się czegoś dowiedzieć.

– I co, papo, dowiedzieliście się czegoś? – przerwała opowiadanie ojca zaciekawiona Hania.

– Tak, chciałem się dowiedzieć i spytałem go, czy po śmierci coś jeszcze istnieje i dlaczego nikt z umarłych nie przychodzi opowiedzieć o tym, jak tam jest. Piotruś odpowiedział na to: *Już ci powiedziałem: nie bądź, tato, niedowiakiem. Przecież widzisz, że tu jestem. Musiałem przyjść, aby wyprowadzić cię z twego niedowiarstwa. Musisz wiedzieć, że człowiek nie po to umiera, aby znów powracać na ziemię. Ja poprosiłem Pana, aby mi jednak zezwolił na to. Ale ty nie masz wyobrażenia o tym, co trzeba przejść, aby tu ponownie się zjawić i znów tam potem wracać. Dlatego nigdy więcej nie proś nikogo, aby robił to dla twojego kaprysu. Musi wystarczyć ci wiara i módl się o to, abyś nigdy jej nie utracił. Muszę ci jeszcze wyznać, że będziesz dużo cierpieć. My wszyscy – twoje dzieci, które odeszły z tego świata – jesteśmy tam, ale będzie nas tu jeszcze więcej... Ty i mama musicie w tym wytrwać. Ale nie lękaj się – wszystko przetrzymasz i doczekasz jeszcze dużo zmian. I będziesz miał wiele obaw o swoje życie, ale nie umrzesz tak szybko, jak się tego obawiasz.*

– Zapytałem jeszcze – kontynuował dalej Andrzej, – czy wobec tego może mi powiedzieć kiedy umrę. On na to odpowiedział: *Jeżeli cię to interesuje, to mogę ci powiedzieć, ale zastanów się, czy na pewno tego chcesz.*

– I co, papo, dowiedziałeś się kiedy umrzesz? – natarczywie pytała Hania.

Wtem do izby wbiegł Michał, krzycząc:

– Papo, papo, konie wyszły z zagrody i teraz biegają po polu! Nie dają mi się złapać!

Andrzej w pośpiechu wstał i pobiegł za końmi, a następnie zajął się codzienną robotą. Do mieszkania powrócił dopiero przed wieczorem, ale przerwanej rozmowy już nie podjęto. W życiu jego wystąpiła jednak wielka zmiana. Otóż od tej pory ponownie regularnie zaczął uczęszczać na msze i często modlił się w domu. Przestał też w rozmowach powątpiewać na tematy przyszłego życia i wszystkich innych odwodził od niedowiarstwa.

Nastało lato. Na wakacje przyjechał z Przemyśla siedemnastoletni syn – Andrzej junior, który zakończył nauczanie na poziomie ówczesnego gimnazjum. Wakacje miały też dzieci chodzące do szkoły w Płonnej – Hania i Michał. Po raz pierwszy do szkoły natomiast szykowała się starsza córka ze wspólnego łoża – Oleńka.

Utrzymanie syna w szkole poza miejscem zamieszkania wymagało wielu nakładów finansowych. Wysoka była opłata za samo nauczanie, którą pobierali bracia z Zakonu Bazylianów, ale również немало kosztowało utrzymanie chłopca w pensjonacie. Jeżeli dodać do tego jeszcze potrzebę zakupu lepszego ubrania i innego wyposażenia, to razem dawało to nieliczną kwotę, wyasygnowanie której odbijało się na sytuacji finansowej sporego przecież gospodarstwa. Trafiały się nawet przypadki dłuższego zalegania z płaceniem zobowiązań podatkowych. Fakt ten świadczy o tym, jak bardzo były okrojone możliwości kształcenia dzieci z biednych, wiejskich rodzin. Z całej, liczącej ponad tysiąc osób, Płonnej w tamtym czasie wystarczyłoby palców jednej ręki, aby zliczyć tych, którzy ukończyli więcej, niż cztery oddziały miejscowej szkoły podstawowej.

Chcąc zapewnić młodemu Andrzejowi jakąś godziwą przyszłość, należało, po ukończeniu przez niego gimnazjum, rozwiązać jeszcze jedno zawiąkanie. Trzeba było mianowicie starać się o umieszczenie go w szkole, która mogłaby zapewnić mu zawód. Ponieważ dzieci pochodzenia ukraińskiego nie były w tym czasie przyjmowane w zasadzie do żadnych szkół ponadpodstawowych, to wiązał się z tym poważny problem. Jedynym wyjściem było kształcenie na duchownego. Tu jednak też była bardzo duża selekcja. Za wstawiennictwem miejscowego proboszcza udało się umieścić Andrzeja w greckokatolickiej akademii teologicznej we Lwowie. Z posunięciem tym wiązały się kolejne wydatki na zakup nowego, pełnego wyposażenia oraz z opłacaniem chesnego.

W okresie tym zaszły zmiany w rodzinie Gułyczów w Przybyszowie. Zmarł najstarszy brat Andrzeja i spadkobierca rodzinnego gospodarstwa – Piotr. Od tej chwili Andrzej bardziej poczuwał się zobowiązanym do sprawowania opieki nad dziećmi brata. Na okazję do podejmowania decyzji w tym zakresie nie trzeba było długo czekać. Na weselu odbywającym się u jednej z sióstr zamieszkałych w Płonnej, została zawarta znajomość pomię-

dzy Katarzyną, córką Piotra i niejakim Ignacym Kurinko. Po niedługim okresie znajomość ta miała zaowocować związkiem małżeńskim. Andrzejowi mocno nie spodobała się taka koligacja i żal mu było swojej bratanicy.

– Kasiu – rzekł Andrzej do nieco zaawansowanej w latach (minęło jej wtedy już dwadzieścia osiem wiosen) bratanicy, – to nie jest dobre dla ciebie, aby pójść za mąż do Kurinki. Oni tam niczego nie mają, oprócz biedy i bałaganu. W domu jest kupa ludzi, a ty pójdziesz do nich za służącą.

– Może to i prawda, strytku – mówiła na to Kasia, – ale co ja teraz mogę poradzić? Trzeba było wcześniej mi o tym powiedzieć. Już zapowiedzi wyszły i ja nic nie mam do wyboru.

– Nic się nie bój, dziecko – pocieszał ją Andrzej. – Jesteś córką mego brata. To tak, jakbyś była moim dzieckiem i nie dam cię sponiewierać. Poczekaj, a wszystko będzie dobrze.

Nazajutrz Andrzej udał się najpierw do proboszcza w Płonnej, a następnie do Przybyszowa i poprosił o zerwanie zapowiedzi. Przekazana odpowiednia ofiara w zielonych banknotach do końca przekonała plebanów co do słuszności takiego posunięcia. Następnie swat i stryj w jednej osobie powędrował do Wisłoka Wielkiego, gdzie od dawna miał dobrych znajomych i jeszcze tego samego dnia przyszedł do swojego rodzinnego domu z kawalerem w odpowiednim wieku. Onufry Matijcio (potem zmieniono mu nazwisko na Matejko) miał wtedy skończonych już trzydzieści pięć lat i też czas mu było do żeniaczki.

– Kasiu, przyszedłem do ciebie z Onufrym, abyście się poznali. To człowiek z dobrej rodziny i mają ładne gospodarstwo w Wisłoku. Myślę, że dobrze byłoby gdybyście mogli się pobrać.

Katarzyna spieszyła się nieco obecnością niespodziewanego kawalera w jej domu, tym bardziej, że cały czas czuła się związana danym słowem i zapowiedziami ślubu, który już niebawem miał się odbyć.

– Stryku, ale ja przecież jestem po słowie i zapowiedzi już raz wyszły.

– Zapowiedzi już nie będą dalej wychodziły, a u Kurinki też powiedziałem, że nic z tego nie wyjdzie. Pochodzisz z gospodarskiej rodziny i powinnaś być też gospodynią u siebie, a nie pracować na czyjeś dzieci.

W dalszej części rozmowy sprzeciwów już nie było. Młodzi przyjęli propozycję stryja i w ciągu trzech tygodni odbyło się wesele, po czym bratanica Andrzeja przeprowadziła się do Wisłoka, gdzie była gospodynią na sporym gospodarstwie i dorobiła się z Onufrym dwóch dorodnych synów. Niestety nie było jej pisane, podobnie jak wszystkim jej pobratymcom, zbyt długo być panią na swoim, ale to już przyszłe dzieje, o których będzie mowa na dalszych stronach tego opowiadania.

Zanim jednak przybyło dzieci w nowo wyswatany małżeństwie, nastąpił dalszy rozwój rodziny Andrzeja i Anastazji. W sierpniu 1936 roku przyszła na świat kolejna córeczka, której na imię dano Ewa. Co prawda, An-

drzej wolałby, aby rodzina powiększyła się o dziecko płci męskiej, ale i nową córeczką był również wielce uradowany. Sam poród i rozwój dziecka odbywały się bez komplikacji. Dziewczynka rosła ładnie i w domu panowała z tego powodu pełna szczęśliwość. Małą Ewę polubili nie tylko rodzice, ale również szybko przyzwyczaiło się do niej starsze rodzeństwo. Małą polubił również najstarszy spośród nich, Andrzej junior, który akurat w tym czasie przebywał w domu na wakacjach. W czasie tych wakacji doszedł jeszcze jeden wydatek, a mianowicie należało alumnowi¹ uszyć strój duchownego, ponieważ na drugim roku nauki chodzili oni już w sutannach, zwłaszcza że Andrzej pobierał nauki na wydziale misjonarskim.

Zwykle tak bywa, że przy małym dziecku jest wiele zachodu. Pracy w gospodarstwie z nastaniem wiosny było natomiast coraz to więcej. Postanowiono więc, że do domu przyjęta zostanie nowa pomoc. Tak się złożyło, że nieopodal gospodarstwa Gułyczów, w Płonnej znajdowała się siedziba Ananiewiczów, o których mówiło się według miejscowego zwyczaju „u Chomy”. Anna, gospodyni tego domu, była spokrewniona z rodziną Babiaków w Rzepedzi – tą samą, z której wywodziła się matka Anastazji. Obie niewiasty szybko porozumiały się i funkcję nowej kucharki objęła Maryśka, młodsza siostra Anny, która była jeszcze panienką i mieszkała w Szczawnem. Odtąd pracowała więc ona u swojej dalszej kuzynki i traktowana była po części jak członek rodziny.

W tym czasie wydawało się, że wszystkie sprawy są ustabilizowane i nie należy spodziewać się większych niespodzianek. Dzieci chowały się w należytym zdrowiu. Troje z nich, to znaczy Hania, Michał i Oleńka, chodziły do szkoły i z nauką ich nie było większych problemów. Pozostałe dwie córki – trzyletnia Marysia i malutka Ewa – również nie przysparzały większych kłopotów. W gospodarstwie także darzyło się, chociaż trafiały się okresowe trudności, związane z terminowym płaceniem należności podatkowych, ponieważ bardzo mocno odczuwane były koszty utrzymania syna w szkole we Lwowie. W razie potrzeby do najtrudniejszych prac polowych również wynajmowana była pomoc. Niekiedy pomocą taką służyli bracia Anastazji – Teodor lub Andrzej. Szczególnie pierwszy z nich lubił przebywać w Płonnej, ponieważ zawsze mógł tu spotkać miłe towarzystwo, a szczególnie ładne dziewczęta. Cichaczem mówiło się, że jedna z poprzednich kucharek – Anna Mychalcio, nazywana „Gułanią” – na służbie takiej dorobiła się nie tylko niewielkiego grosza, ale również dużego brzucha. Z romansu takiego narodziła się dziewczynka o imieniu Pelagia. W ten sposób nieoficjalnie powiększyło się grono kuzynów dzieci Anastazji. Zresztą dla przedstawienia pełnego obrazu w tym zakresie wspomnieć należałoby, że również gospodarz nie zawsze opierał się wdziękom młodych kucharek, co niejedną raz bywało przyczyną niesnasek małżeńskich.

¹ Słuchacz szkoły duchownych w kościele katolickim.

Wracając do zasadniczych dziejów opisywanej rodziny, przytoczyć należy tu niespodziewane wydarzenie, jakie miało miejsce już pod koniec września tego samego roku. Otóż pewnego wieczoru, po wykonaniu wszystkich prac przewidzianych na ten dzień, przed udaniem się na nocny spoczynek, cała rodzina siedziała w izbie i spędzała czas na luźnych rozmowach. Spokój zamieszało natarczywe ujadanie psów. Zniecierpliwiona Anastazja kazała Michałowi wyjść na dwór, aby zobaczyć co jest przyczyną takiego niepokoju. Jednak gdy Michał wyszedł, Anastazja również wybiegła za nim i zauważyła, że pod wiśnią, rosnącą od strony drogi, stoi syn Andrzeja – Andrzej junior. Jego widok spowodował u niej wielkie zdziwienie, ponieważ nikt nie spodziewał się jego przyjazdu w tym okresie. Po wejściu do mieszkania Andrzej podszedł do kołyski, gdzie leżała malutka Ewa.

– Ale ona wyrosła! – powiedział dla przerwania milczenia, widząc wielkie zdziwienie na twarzy ojca.

– A ty skąd się tu wziąłeś o tej porze?

– Właśnie idę ze stacji w Kulasznie – odpowiedział zakłopotany Andrzej.

– Tak myślę, że pieszo nie przyszedłeś ze Lwowa, ale powiedz, dlaczego przyjechałeś do domu? Parę niedziel dopiero minęło od czasu, jak wyjechałeś z domu. Nie spodziewaliśmy się ciebie o tej porze. Czy może coś się stało? – dopytywał zdziwiony ojciec.

– Nic się nie stało, tylko poczułem się chory i pomyślałem, że najlepiej będzie, jeżeli w domu dojdę do siebie.

Andrzej był nieco zaskoczony taką odpowiedzią, bo wiedział, że w seminarium każdy, kto zachoruje powinien mieć zapewnioną opiekę.

– To oni ciebie chorego wysłali w drogę? A co ci dokucza?

– Papo, nic wielkiego mi nie dokucza. Po prostu, źle się poczułem i pewnie przez parę dni mi przejdzie i wszystko będzie w porządku.

Na tym rozmowa zakończyła się, chociaż nie ustał ogólny nastrój zaskoczenia z powodu przyjazdu studenta. Nazajutrz zajęto się codziennymi obowiązkami i nie było czasu na dyskusję na ten temat. Sprawa do końca wyjaśniła się dopiero po upływie trzech dni, kiedy to zaproszono ojca na plebanie w celu odbycia rozmowy z proboszczem. Po pochwaleniu Pana ksiądz poprosił Andrzeja, aby spoczął na chwilę:

– Mam dla ciebie niemiłą wiadomość. Dzisiaj dostałem przesyłkę z seminarium duchownego we Lwowie. Przysłali mi list, w którym piszą, że twój syn został wydalony i już nie będzie miał prawa uczyć się tam. Cały twój wysiłek poszedł na marne, a ja przecież dałem twojemu synowi jak najlepsze referencje.

Andrzeja w tym momencie ogarnęło uczucie zawstydzienia i jednocześnie złości z powodu wyrządzonego przez syna zawodu.

– Jak to, jegomość, syn został wydalony? Z jakiego powodu? Przecież zawsze dobrze się uczył, a teraz co się stało?

– Co się stało, to o to zapytaj syna. Mnie tylko napisali, że twój Andrzej nie spełnił oczekiwań i nie znalazł w sobie dostatecznie wystarczającego powołania, aby zostać kapłanem.

– To ja sobie z nim teraz porozmawiam! – oznajmił rozzłoszczony Andrzej. – Tyle wysiłku i wszystko na nic. Nie podaruję mu tego!

– To nie tak, Andrzeju – przerwał mu stary kapłan. – Widzisz, aby zostać kapłanem, to nie wystarczy dobra nauka. Trzeba mieć jeszcze w sobie coś więcej. Coś, co nazywa się powołaniem. A twego syna widocznie Bóg nie obdarzył tym wyróżnieniem. Nie trzeba teraz na nim wyładowywać swojej złości. On pewnie sam też to teraz przeżywa.

– Dobrze, jegomość. To ja teraz już sobie pójdę. Proszę tylko, nie gniewajcie się za to na mnie.

– Gniewać się nie mam zamiaru. Tak już musi być. Aha, jeszcze jedno. List przyszedł razem z paczką, w której zwracają wszystkie jego rzeczy, oprócz sutanny. Sutanna została poświęcona i nie może być w użyciu ludzi świeckich.

Andrzej zabrał przesyłkę, jeszcze raz przeprosił proboszcza i udał się do domu. Tu wywiązała się atmosfera stanowiąca mieszaninę gniewu i przygnębienia. Nieszczęsny student tłumaczył się jak mógł, że naprawdę niczego złego nie dopuścił się. Po prostu bardzo trudno było mu dochować wszystkich warunków ascetycznego życia, jakie obowiązywało na kierunku misjonarskim, ale nie chciał opuszczać seminarium bez zgody ojca. Wiedząc, że nie może zapytać o nią wprost, ponieważ cała korespondencja była cenzurowana, napisał potajemny list, który miał do jego domu dostarczyć współtowarzysz, udający się na okolicznościową przepustkę. W liście napisał o przeżywaniu swoich rozterek i prosił o zgodę na przerwanie nauki. Poprosił, ażeby w przypadku wyrażenia zgody na opuszczenie seminarium, ojciec odpisał mu, że „w domu jest ładna pogoda”, a jeżeliby zgody takiej nie było, to odpowiedź miałaby brzmieć: „u nas cały czas pada deszcz”. List jednak został przechwycony przez przeora i po naradzeniu się kazano Andrzejowi nie czekać już na wiadomości o pogodzie i niech sobie jedzie i korzysta z niej do woli.

Zawiedzony ojciec wpadł jednak w wielki gniew i obiecał, że już nigdy żadnego dziecka nie pośle na nauki, bo nie będzie jeszcze raz marnować gospodarstwa dla czyichś kaprysów. Nie wiadomo, czy dopełniłby tego drakońskiego postanowienia, bo losy nieprzewidziane potoczyły się zupełnie inaczej – w sposób bardziej skomplikowany, niż ktokolwiek mógł przewidywać.

Od tej pory atmosfera w domu stała się dosyć skomplikowana. Andrzej nie mógł wybaczyć synowi, że na marne poszło tyle zachodu i wyrzeczeń.

Miał on stać się dumą rodziny, a tymczasem przysporzył tylko wstydu. Nie rozumiał do końca, że nie wszystko poszło na marne, ponieważ Andrzej junior uzyskał przecież jakiś poziom wykształcenia, a zdobyte wiadomości na zawsze pomocne były mu w przyszłym życiu. Niewydarzony duchowny czuł się w domu niezręcznie. Popadł przy tym w pewne kompleksy. Nawet po kilkudziesięciu latach życia nie wyzbył się podejrzeń, że starszy jego brat, Paweł, ma pewnie do niego pretensje, iż to właśnie on, jako człowiek może zdolniejszy, powinien być posłany na nauki, a wtedy trud ojca nie poszedłby na marne. Paweł, oczywiście, nigdy takiego zdania nie wypowiedział, co jednak nie pomniejszało podejrzeń Andrzeja.

Wracając do wcześniejszego okresu, należy podkreślić, że po powrocie Andrzej nie bardzo był uważany za osobę przydatną w gospodarstwie. Niezwyczajny do wykonywania ciężkiej, fizycznej pracy, unikał podejmowania się obowiązków gospodarskich, co przysparzało o złość nie tylko ojca. On sam natomiast szukał innych zajęć, jak częste wyprawy poza wioskę, czytanie książek i prasy, kontakty z dziewczynami, a nawet niestronienie od alkoholu. Nie tylko, że sam nie zdradzał zainteresowania pracą, to jeszcze skutecznie przeszkadzał w spełnianiu swoich obowiązków kucharce, odbywającej w tym czasie służbę w tym domu. Maryśka, chociaż była od niego starsza, pozwoliła byłemu alumnowi zawrócić sobie w głowie (a może było to odwrotnie; teraz trudne to jest do ustalenia) na tyle, że po upływie pół roku z powodu odmiennego stanu nie nadawała się już do wykonywania ciężkiej pracy. Skrępowana swoim położeniem postanowiła opuścić Płonę i udać się do domu rodziców w Szczawnem.

Nie widząc dalszej możliwości utrzymywania nieco zbuntowanego i mało przydatnego w gospodarstwie syna, Andrzej postanowił odesłać go z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Do takiego postanowienia większych zastrzeżeń nie wnosił sam zainteresowany, bowiem nie widział celu w dalszym egzystowaniu w Polsce. W krótkim więc czasie załatwiono wszystkie niezbędne formalności i po otrzymaniu amerykańskiego paszportu, jako dla człowieka tam urodzonego i karty na przejazd przyszedł czas na wyprawienie Andrzeja za ocean. Pomimo różnych nieprzyjemnych zdarzeń, jakie miały miejsce w ostatnim okresie, rozstanie nie było łatwe dla żadnej ze stron. Andrzej senior rozstawał się z kolejnym swoim dzieckiem na okres trudny do przewidzenia, a może i na zawsze. Miał już dosyć przeżywania rozłąki z najbliższymi, ale nie widział innego rozsądnego wyjścia. Syn natomiast czuł, że traci bezpowrotnie opiekę rodzinną i odtąd będzie zdany wyłącznie sam na siebie. Ponadto żał mu była tracić zarówno ojca, przybraną, ale bardzo troskliwą matkę oraz młodsze rodzeństwo.

Na krótko przed terminem odjazdu Andrzej junior wybrał się jeszcze do Szczawnego, aby odwiedzić Maryskę, która była mu osobą bardzo bliską sercu. Dziewiętnastoletni młodzieniec był już na tyle dojrzałym mężczyzną,

że zdawał sobie sprawę ze swojego postępu. Jeżeli wyrządził krzywdę tej dziewczynie, to nie była ona zamierzona. Oboje okazali się mało odpowiedzialni. On sam natomiast, będąc jeszcze w zupełnie młodym wieku, zdążył sobie poważnie skomplikować życie. Czuł się jednak na tyle odpowiedzialnym, aby przynajmniej przeprosić za zaistniałą sytuację i obiecać pomoc w przyszłości, jeżeli tylko byłoby to możliwe. Dziewczyna przebaczyła mu całe postępowanie, czego nie można byłoby powiedzieć o jej matce. Ona na pożegnanie zwróciła się do niego z niezbyt sprzyjającymi życzeniami:

– Przeklinam cię na zawsze! Obyś nigdy nie zaznał spokoju sumienia i oby cię Bóg nie obdarzył własnym potomstwem – krzyczała za nim przy jego wyjściu z mieszkania.

Takie życzenia pogrzyżyły Andrzeja jeszcze bardziej w rozgoryczeniu, ale nie miał już nic do wyboru. Wszystko już było postanowione. Miał tylko nadzieję, że życie jeszcze stworzy sytuację, która pozwoli mu na odmianę takiego stanu rzeczy i pełne zadośćuczynienie tym dwu osobom, dotychczas znajdującym się jeszcze w jednym ciele.

Rozstanie się z ojcem, przybraną matką i rodzeństwem odbyło się w poważnej atmosferze i z nadzieją, że przecież jeszcze nie wszystko stracone. Dom ponownie, chociaż pełen ludzi, na jakiś okres wydawał się być pustym. Niepocieszony ojciec starał się rozstanie przeżyć z godnością i z trudem tłumił w sobie wielki żal. Kolejny raz zadawał sobie pytanie dlaczego życie go tak gorzko doświadcza. Dlaczego w życiu zawsze wszystko tak musi być skomplikowane? Pytań takich było dużo, ale jak zwykle, czas jest najlepszym lekarzem na wszystkie zgryzoty...

* * *

W życiu tak bywa, że okresy stabilizacji przeplatane są różnego rodzaju niepokojami lub niepowodzeniami. Tak też bywało na pograniczu Beskidu Niskiego i Bieszczad, gdzie przeplatały się interesy dwóch grup narodowych, a co za tym idzie, również interesy państw. Do takich sporów zawsze angażowani są prości ludzie i właśnie na nich najczęściej odciskają swoje piętno błędy polityki. Takim pamiętnym zdarzeniem w tym zakresie pod koniec lat trzydziestych była zapowiedź przeprowadzenia referendum, mającego na celu określenie przez mieszkańców swojej przynależności narodowej. W pewnej mierze zamiar dokonania takiego aktu politycznego wynikał z traktatów międzynarodowych, uważających wschodnią granicę Polski jako dokonanie tymczasowe. W ślad za zapowiedzią przeprowadzenia plebiscytu wyruszyli politycy różnej maści, którzy dla zrealizowania swojego celu starali się zamącić ludziom w głowach. Jak wcześniej już przedstawiano w tym opowiadaniu, tereny Podkarpacia zamieszkiwał lud prosty, ale pracowity i posiadający własne tradycje kulturowe. Dzieje historii nie roz-

pieszczaly go – ziemie te co pewien okres zmieniały swojego suwerena. Ludzie natomiast na ogół nie chcieli interesować się polityką, a mieli jedyne życzenie, aby po prostu godnie żyć.

Nie wiadomo, czy było to zamiarem polityków, czy też problem wymknął się spod kontroli. Należy jednak wspomnieć, że zamaćono ludziom na tyle skutecznie w głowie, że miały miejsce niekontrolowane, gorące dyskusje, graniczące z konfliktami, a nawet rękoczynami. Problem polegał na tym, że nie wszyscy z tutejszych mieszkańców określali się jako Ukraińcy. Część z nich mówiła o sobie, że są Rusnakami i nie zgadzają się z tym, aby ci pierwsi mogli mieć coś do powiedzenia. Dodatkową komplikacją było to, że wszystkich z nich oprócz tego nazywano Łemkami lub Bojkami. Oczywiście, mieszały się w tym wszystkim zakresy pojęć i rodowodów historycznych. Niewiele osób coś z tego do końca mogło zrozumieć, ale za to było mnóstwo takich, którzy dali wciągnąć się w konflikt, jaki – być może – był na rękę ówczesnym władzom. Niektórzy z mieszkańców spodziewali się nawet otwartych zatargów i chcieli znaleźć w tym swoje miejsce. Przykładowo jeden z krążących i groźnie zapowiadających się sloganów, wypowiedzianych przez zwolenników określania siebie Rusnakami, w odniesieniu do osób zaliczających się do narodowości ukraińskiej, brzmiał: *Ukraj inći! Budemo rizały z was reminci!*¹. Zmiana w kierunku polityki, dokonana między innymi w obliczu zarysowującego się powszechnego konfliktu zbrojnego w Europie, spowodowała, że na szczęście do plebiscytu takiego nie doszło i wewnętrzne podziały, przebiegające często w jednej wiosce, a nawet w ramach jednej rodziny, z biegiem czasu wygasły. Żałośni animatorzy tego zamieszania nie przewidzieli wtedy, że niewiele lat ich dzieliło od konfliktu znacznie poważniejszego i że wszyscy z nich padną ofiarą spisku na niewyobrażalną dotychczas skalę.

Powróćmy jednak do opisywanej rodziny Andrzeja i Anastazji Priadka, czyli do domu Gułyczóww Płonnej. Rok 1938, jak prawie każdy z poprzednich okresów, również znamienity był w wiele wydarzeń, które miały różne oblicze – tragiczne, bardziej wesołe lub obojętne w swoim nastroju. Na początku roku rodzina składała się z siedmiu osób, w tym troje dzieci wspólnych (dziewczynki: Oleńka, Marysia i Ewa), córka Andrzeja z amerykańskiego małżeństwa (Hania) i syn Anastazji z pierwszego związku (Michał). W okresie wielkiego postu okazało się, że Anastazja ponownie jest brzemienną i rodzina wkrótce powiększy się. Wobec kilku obytych już porodów wiadomość o stanie błogosławionym przyjęta została z szacunkiem, ale bez większego zachwyty. W spokoju minął więc wielki post, odbyto święta wielkanocne i pokonano spiętrzenie prac wiosennych. Nic nie zapowiadało mającego nastąpić tragicznego wydarzenia. Przed zbliżającymi się zielonymi świątkami Anastazja, jak zawsze, przystąpiła do wykonywania wielu

¹ Ukraińcy! Będziemy wycinać z was rzemienie! (ukr.).

prac przygotowawczych. Andrzej natomiast zajmował się obowiązkami w gospodarstwie, a dzieci zajęte były swoimi sprawami.

– Nastio – zawołał od progu Andrzej do krzątającej się przy kuchni żony, – ja teraz pojedę do kowala, bo mam do naprawienia kilka narzędzi, a ty zwróć uwagę, żeby w gospodarstwie wszystko było w porządku. Wróć chyba po południu.

Anastazja przyjęła tę wiadomość, nie widząc w tym nic szczególnego i dalej krzątała się przy sporządzaniu staw świątecznych. Po chwili zauważyła, że nie widzi w zasięgu wzroku najmłodszej córeczki – Ewy, która niedawno ukończyła dwadzieścia jeden miesięcy.

– Michale – zawołała do syna, – idź, zobacz gdzie jest Ewa, bo już dawno jej nie widziałam.

Po upływie kilku minut usłyszała dobiegający z podwórka lamentujący głos Michała:

– Mamo, mamo, Ewa nie żyje!

Anastazja wybiegła z izby i ujrzała przerażającą scenę: biegnącego syna ze zwisającym mu z rąk ciałem małej córeczki.

– Mamo, znalazłem ją w potoku, ona chyba nie żyje – powtórzył wystraszony Michał.

Przerażona matka wyrwała dziewczynkę z rąk chłopca i rozpaczliwie zaczęła potrząsać bezwładnym ciałkiem.

– Ewciu, Ewciu! Odezwij się, nie umieraj córeczko! Nie umieraj...

Lamenty i zaklęcia nic jednak już nie mogły pomóc. Oczy dziecka zaszyły bielmem, ciało pobladło, a na czole widniało bladoróżowe znamię, jakby ślad od uderzenia.

– Co się stało, synu? – wołała zrozpaczona Anastazja.

– Ewcia leżała w potoku, blisko kładki. Twarz miała w wodzie, ale całe ciało wystawało, bo tam nie było głęboko – objaśniał Michał.

– Idź, Michałku, po ojca. On jest u Lewczaka. Biegnij, niech szybko przyjdzie do domu.

Pod wieczór pojawili się policjanci, o wszystko wypytali, obejrzeni miejsce zdarzenia i spisali protokół, z którego wynikało, że był to nieszczęśliwy wypadek. Dziecko, widząc odjeżdżającego na furmance ojca, pobiegło za nim. Droga prowadziła przez kładkę. Prawdopodobnie pośliznęła się na mostku i, wpadając do płytkiej na dwadzieścia centymetrów wody, uderzyła głową o kamień. Dziewczynka zachłysnęła się wodą i została nieruchoma w strumyku, kilka metrów za kładką.

Ewę pochowano na miejscowym cmentarzu, obok leżącego już tam trojga starszego rodzeństwa. Od teraz były tam dwie siostrzyczki z dwoma braciszkami. W pobliżu rodzinnego już miejsca pochówku przed rokiem złożono doczesne szczątki miejscowego proboszcza, dla upamiętnienia którego postawiono kamienny nagrobek.



Ten trwały znak po latach, kiedy to na tej, tętniącej dotychczas życiem ziemi pozostaną tylko zgłiszcza, będzie stanowił jedyny punkt rozpoznawczy, gdzie pozostałe przy życiu rodzeństwo będzie mogło zmówić modlitwę i zadumać się nad przygnębiającymi zakrętami dziejów rodzinnych.

Bólu i gorzkiej utrapionej nad trumną dziecka matki nie sposób przedstawić w tym ułomnym opowiadaniu. Pocieszano ją znów, że czas zaleczy rany i że Bóg jej wynagrodzi poniesioną stratę, bo przecież jest w stanie błogosławionym i niedługo ujrzy nowe życie. Strapiiony ojciec natomiast ponownie zamknął się w sobie ze swoim cierpieniem. Jednak tym razem tragedię tę przeżywał jakby bardziej spokojnie i z pewnym wyrozumieniem, bowiem w pamięci żywo miał proroczy sen, w którym widział zmarłego pierwszego swego syna, Piotrusia. W głowie zabrzmiał mu ponownie zasłyszany wtedy głos: *...i muszę ci jeszcze wyznać, że będziesz dużo cierpieć. My wszyscy, twoje zmarłe dzieci, tam jesteśmy, ale będzie nas jeszcze więcej...* Powtarzał sobie przeto w pamięci: "Boże, dlaczego jeszcze więcej tam pójdzie? Ile tego można wytrzymać?..." Gdy natchodziły go chwile zwątpienia i rozgoryczenia, znów przypominał sobie tamto nawoływanie Piotrusia: *...proszę cię jednak, nie obracaj swojego żalu i gniewu przeciwko Bogu. W tym wszystkim, co się stało, są jego zamiary, a ty nie możesz się temu sprzeciwiać...* „Ale jak się temu nie sprzeciwiać, skąd brać tyle siły?” Rozmyślać tak było można bez końca...

Czas jednak narzucał i tym razem swoje reguły gry. Życie szło dalej. Wszyscy musieli zająć się bieżącymi obowiązkami i coraz mniej było czasu na głębsze rozmyślanie. Zresztą, jakby te rozmyślanie nie były głębokie, to i tak byłyby za płytkie, aby pojąć istotę dziejów tego świata.

Życie szło więc dalej swoimi zakolami... Jeszcze we wrześniu Anastazja zległa, jak to zwykle się mawiać w tutejszych okolicach i narodziła się im nowa, ładna dziewczynka. Na imię dano jej Olga. Konieczność zajmowania się niemowlęciem powoli zacierało przykre przeżycia związane z niedawną utratą niemal dwuletniej córeczki. Pracy w rozbudowanym gospodarstwie, jak zwykle, nie było mało i należało szukać pomocy, aby sprostać wszystkim obowiązkom. Pomocna mogła być każda para rąk, a niekiedy chodziło też o parę nóg, które mogłyby biegać za licznym inwentarzem. Trochę dla zaspokojenia potrzeb na siłę roboczą, a bardziej może z powodu chęci niesienia pomocy rodzicom, Anastazja zaproponowała Andrzejowi przyjęcie na utrzymanie w swoim domu najmłodszego ze swoich braci – Michała. W domu w Przybyszowie gospodarstwo było znacznie mniejsze, zatem i mniej pracochłonne, a czeladzi tam nie brakowało. Michał, jako chłopiec rezolutny, który już wcześniej odwiedzał Płonę, przyjął taką propozycję i odtąd w zasadzie jego domem stało się domostwo najstarszej siostry. Oprócz pracy i utrzymania znalazł on tam również towarzystwo w oso-

bach starszego od siebie siostrzeńca o tym samym imieniu oraz młodszej o rok Oleńki, z którą często rywalizował o lepszą pozycję w wielu sytuacjach. Oboje mieli podobne, zadziorne charaktery i rywalizacja taka często kończyła się krótkotrwałymi spięciami, a nawet rękoczynami¹, co po latach oboje będą wspominać z nostalgią i przymrużeniem oka. Pobyt Michała w domu swojej siostry trwał przez kilka lat – aż do czasu, kiedy to jego ojciec posłał go do szkoły w Sanoku.

Zima z 1938 na 1939 rok przeminęła w Płonnej bez szczególnych wydarzeń. Wszystko we wsi toczyło się utartym trybem. Jednak zaczynały tu dochodzić wieści świadczące o niepokoju na świecie. Najpierw głośno było o przyłączeniu Austrii do Rzeszy Niemieckiej. Wszyscy dorośli ludzie jeszcze żywo mieli w pamięci austriackie panowanie na tym terenie, a tymczasem państwo to już dwukrotnie zmieniło swój status polityczny. Następnie zmiany zaszły niemal za miedzą, bowiem za karpackim pasmem wrzało jesienią, kiedy to dokonano zaboru Czech, a w pobliskiej Słowacji utworzone zostało nowe państwo faszystowskie. Wiedziano też, że Polska skorzystała z okazji i również powiększyła swój obszar, przyłączając Śląsk Cieszyński. O to ostatnie wydarzenie otarły się również dzieje rodziny Anastazji².

Powszechnie przepowiadano więc rychłą wojnę. Powstał problem przyspieszenia wyjazdu za ocean – w ślad za swoimi braćmi – dziewiętnastoletniej wówczas Hani, córki Andrzeja z pierwszego małżeństwa. Ona, mimo że dorastała wśród przybranego rodzeństwa, niezupełnie wpasowała się w tę rodzinę. Zawsze i we wszystkim prezentowała swoje odrębne zdanie i ciągle miała pretensje o niewłaściwe jej traktowanie, chociaż faktycznie Anastazja, wiedząc, że Hania nie ma swojej matki, okazywała jej więcej serca, aniżeli własnym dzieciom. Ponadto po wyjeździe najpierw Pawła, a potem brata Andrzeja, tęskniła za nimi i mówiła, że jej miejsce jest w Ameryce. W wyniku wcześniej prowadzonej korespondencji z jej starszą siostrą, Marysią, na początku wiosny przyszedł list z paszportem amerykańskim i dowodem opłaty podróży.

¹ Po wielu latach opowiadano o zajściu, kiedy to Andrzej poprosił o przyniesienie gipsu, znajdującego się na strychu. Pobiegli oboje, tzn. Oleńka i Michał, nie w wyniku posłuszeństwa, a dla wykazania, że jest się lepszym. Oboje wydzielali sobie z rąk alabaster, jak tu nazywano gips, tak długo, aż w końcu Michał rzucił woreczkiem Oleńce w twarz, zasypując jej oczy. Po wypadku tym było tyle samo płaczu ze strony obsypanej Oleńki, co krzyku w wykonaniu najstarszej siostry Michała – Anastazji. Andrzej natomiast, widząc to wszystko, użył tylko angielskiego przekleństwa, jakie zawsze trzymał na podorędziu na szczególne okazje.

² Brat Anastazji, Teodor, w tym czasie odbywał służbę wojskową. Jego jednostka po powrocie z manewrów pod koniec września 1938 roku otrzymała nowe wyekwipowanie i skierowana została na Zaolzie, biorąc czynny udział w przyłączeniu części Czechosłowacji do Polski.

Odjazd Hani za ocean nastąpił na początku lata. Już same przygotowania do podróży spowodowały narastanie w domu przygnębiającej atmosfery. Tak samo, jak w przypadku starszych braci, którzy powrócili do Ameryki już wcześniej i tym razem nie było dobrego wyjścia. Wprawdzie tu, w Polsce, Hania w zasadzie wychowała się, ale miała jeszcze w pamięci kraj, w którym się urodziła. Tu było przyrodnie rodzeństwo, ale tam teraz żyła jej rodzona siostra i trzech braci. Wiedziała, że tam pozostała na zawsze od dawna nie żyjąca już mama (która nigdy nie miała zamiaru pozostawać na zawsze w Ameryce), a tu musiałaby opuścić żyjącego ojca i przybraną matkę, od której doznała tyle troski i miłości. Wiedziała, że tam, chociaż chwilami bywa też ciężko, można łatwiej ułożyć sobie życie, a tu czekałaby ją same trudy i poniewierka. Nie mogła przecież liczyć na większą pomoc ze strony ojca, bo jemu, pomimo zaawansowanego już wieku, ciągle jeszcze rodziły się nowe dzieci.

Rozmyślania takie niewiele mogły wnieść, bo w zasadzie wszystko było już postanowione – posiadała ważne dokumenty podrózne i czekało tam już na nią rodzeństwo, a może bardziej ciocia, do której miała na początek się udać. Z ustaleniem daty wyjazdu należało się również spieszyć, bo w powietrzu mocno pachniało już wojną. W końcu nastał czas na wyruszenie w podróż. Zapakowano niewielki bagaż na wóz. Hania pożegnała się czule z macochą, dwoma Michałami (synem i bratem Anastazji) i pięcioletnią siostrą Marysią. Mała Olga raczkowała sobie spokojnie po podłodze i wcale nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej siostra opuszcza ją na zawsze. Za to Hania przeczuwała to doskonale, podniosła dziecko na ręce i mocno przycisnęła do serca.

– Olu, chowaj się zdrowo i rośnij na dużą, mądrą dziewczynkę – powiedziała młodszej siostrzyczce, po czym jeszcze raz spojrzała na Anastazję i wyszła z domu. Na wozie czekał już na nią ojciec z dziesięcioletnią Oleńką. Konie ruszyły z miejsca. Hania smętnie spoglądała na cerkiew, budynek szkolny, a potem na cmentarz, na którym spoczywało już czworo młodszego rodzeństwa. Nie mówiła nic, tylko żal ścisnął jej serce. Pomyślała sobie tylko: *„Boże, dlaczego oni tu leżą? Przecież ich miejsce powinno być w tym pięknym domu, przy ojcu i matce. Ile ich jeszcze tu będzie?”* Nagle jakby chciała ocknąć się z tych ponurych myśli i, aby nie sprawdziły się, splunęła, po czym spokojnie odezwała się do ojca:

– Papo, ładnie i dobrze jest tu w Płonnej i szkoda stąd odjeżdżać. Czy ja będę umiała teraz żyć w Ameryce? Przecież nawet mowy angielskiej już nie pamiętam. Czy ja wrócę do Monongah w West Virginia?

Strapiony ojciec nie wiedział co odpowiedzieć, ale rozumiał, że należy przerwać to milczenie.

– Tam też, córeczko, jest ładnie i może będzie ci dobrze, ale czy wrócisz do Zachodniej Wirginii, to nie wiem. Na razie zatrzymasz się u ciotki w

Pensylwanii. Na pewno przypomnisz sobie tamtejszą mowę, a potem sama zobaczysz, co zrobisz.

Niewiele było tych rad, ale też i nie można było ich więcej wymyślić na poczekaniu. Wiedział, że obecni już w Ameryce Paweł i Andrzej zaopiekują się siostrą, a przecież są tam jeszcze starsi: Marysia z Jankiem. Na pewno nie pozwolą jej zginąć.

Odwieźli nieszczęsną podróżniczkę do Sanoka, skąd już sama pojechała pociągiem do Warszawy, a następnie utartym już przez rodzinę szlakiem do Hamburga i dalej – po wodzie – za ocean.

Nie upłynęło zbyt wiele czasu od odjazdu Hani i nie ustała jeszcze nostalgia po niej, a w domu wydarzył się następny dramat. Otóż malutka Olga nabawiła się stanu zapalnego dróg oddechowych i dostała wysokiej gorączki, a po dwóch dniach opanowała ją silna dusznica. Pomimo podjętych prób ratowania, dziewczynka nie wytrzymała tych dolegliwości i po niedługim czasie odeszła z tego świata.

W domu zapanowała ponownie wielka pustka i żal. To już piąte dziecko w ciągu dziesięciu lat trzeba było odprowadzić na wiejski cmentarz, gdzie wszystkie te nieszczęsne maleństwa zgromadziły się w jednym miejscu, jakby u podnóżka grobu starego księdza, który pożegnał się z tym światem przed dwoma laty. Żal Andrzeja była jeszcze tym większa, że po raz drugi śmierć małego dziecka zbiegła się z wyjazdem dziecka dorosłego za ocean. Kolejny raz rozmyślał więc nad tym, dlaczego to w życiu tak bywa, że jakby jednego nieszczęścia było mało i zaraz po nim przychodzi następne. „*Ile tego można wytrzymać?*” – powtarzał nieraz w pamięci. Na pytania takie, oczywiście, nie mógł uzyskać znikąd odpowiedzi i musiał sam pozostawać w tej niedoli. Tylko niekiedy późnym wieczorem, kiedy z małżonką, srodze umęczeni, znaleźli chwilę czasu na wspólną rozmowę, wzajemnie pocieszali się, że widocznie wszystko znajduje się poza ich możliwością działania i nie mają innego wyjścia niż pogodzenie się z takim losem.

W sierpniu wszyscy zauważyli wzmożony ruch oddziałów wojskowych. Wielu chłopców z okolicznych wsi wcześniej już wcielono do armii. W tym czasie służbę wojskową odbywał już Stefan¹, dwudziestoletni brat Anastazji. W całej okolicy wykonywano wzmocnienia obronne, do których to prac angażowano miejscową ludność. W pierwszym dniu września nadeszła wiadomość, że zaczęła się wojna pomiędzy Niemcami i Polską. Rozgłaszano wkoło, że wojna nie potrwa długo, bo Polska jest dobrze do niej przygotowana i nikomu nie odda nawet guzika od munduru. Tymczasem, już wieczorem drugiego września, do okolicznych wiosek od strony południowej

¹ Stefan nie powrócił z wojny. Zaginął jakikolwiek ślad po nim. Po zakończeniu działań frontowych pojawił się ocalały syn sąsiadów z Przybyszowa, który opowiadał, że Stefan był adiutantem oficera i w połowie września widzieli się w Przemyślu. Istnieje przypuszczenie, że trafił on do jenieckich obozów zagłady na terenie Związku Radzieckiego.

wkroczyły oddziały armii słowackiej z zadaniem blokowania jakichkolwiek ruchów obronnych ze strony polskiej. Niemcy pojawili się w Płonnej dopiero po upływie tygodnia od wybuchu wojny. Wśród ludności rozsiewano wieści, że Niemcy z pewnością w przyszłości utworzą państwo ukraińskie, wobec czego niektórzy traktowali ich jak wyzwoliciele. Dlatego, gdy Słowacy wjeżdżali do wsi, to czekała na nich brama powitalna, przystrojona kwiatami i niebiesko-żółtymi flagami. Gdy po kilku dniach Słowacy powrócili, to zachowywali się już inaczej. Wszystkim bardzo nie spodobało się, gdy podarli oni flagi umieszczone na bramie, a następnie zrobili sobie z nich onuce.

Słowacy jednak na ogół nie odnosili się wrogo do miejscowej ludności. Rozlokowali się w całej Płonnej, a na podwórku, w gospodarstwie Andrzeja i Anastazji usadowił się pododdział kwatermistrzowski z kuchniami polowymi i punktem obsługi koni. Tak się akurat złożyło, że obecność w zagrodzie wojskowych oddziałów konnych dobrze przysłużyła się Andrzejowi. Miało miejsce takie zdarzenie, że w popłochu wybiegła ze stajni klacz, fatalnie rozcinając sobie nogę w okolicy kopyta na leżącej na podwórku kosie. Rannym koniem zajął się weterynarz słowacki, opatrzył i unieruchomił nogę, a następnie zostawił wskazówki co do dalszego postępowania. W ten sposób udało się uratować zwierzę, które przez wiele jeszcze lat z powodzeniem pełniło służbę w gospodarstwie.

Wojska słowackie nie okupowały długo tych okolic. Po kilku dniach wycofały się do swojego kraju, a ich miejsce zajęły oddziały niemieckie, które już w tych okolicach nie prowadziły żadnych działań wojennych, a jedynie wprowadziły swoją administrację, jaka obowiązywała tu przez pięć lat. Natomiast tereny znajdujące się na wschód od Sanu znalazły się pod okupacją rosyjską.

Teraz ponownie, po upływie nieco więcej niż dwadzieścia lat, na wszystkich urzędowych i publicznych budynkach pojawiły się napisy w języku niemieckim – podobne do tych, jakie Andrzej i Anastazja pamiętali ze swoich lat dzieciennych. Różnica polegała jednak na tym, że w tamtym, odległym czasie, napisy te traktowane były już jak swoje i brzmienie niemieckiej mowy nie musiało zaraz oznaczać czegoś niedobrego. Teraz ta mowa miała znacznie bardziej złowrogi wydźwięk i należało nań reagować z wielkim posłuszeństwem. Wszędzie wprowadzony został nowy *ordnung*¹, któremu wszyscy musieli podporządkować się pod groźbą najsrozszej kary. Nałożono nowe, jeszcze wyższe niż dotychczas, podatki, a dodatkowo wprowadzono również wysokie kontyngenty². Wśród wszystkich tych uciążliwości dawało się jednak zauważyć, że nowi okupanci w zasadzie nie mieli intencji wyniszczenia gospodarstw, a nawet przymuszali rolników do

¹ Porządek (niem.)

² Tu chodzi o obowiązkowe, nieodpłatne odstawy produktów rolnych.

pewnych usprawnień i większej jeszcze gospodarności¹. Natomiast w szkołach obowiązkowo wprowadzano do nauczania język niemiecki, ale pozwalano również kultywować własne zwyczaje, a nawet urządzać imprezy kulturalne.

Pierwsze odczucia zgromy przeżyto na wieść o zastrzeleniu przez Niemca, bez żadnego powodu, Żyda, właściciela tartaku w Szczawnem. Następnie niedługo we dworze w Płonnej urządzono punkt zborny dla okolicznych Żydów. Początkowo wyprowadzani byli stąd do przymusowych prac przy budowie dróg, a potem wywieziono ich w nieznanym kierunku. Kilku z tych nieszczęśników zdołało się ukryć u miejscowych rodzin.

Powoli wszyscy musieli dostosować się do nowych warunków życiowych. Każdy za najważniejsze zadanie przyjął konieczność przetrwania tej uciążliwej sytuacji, którą, mimo wszystkich niepowodzeń, cały czas uważano za przejściową. Mądrzy ludzie przypominali starą maksymę, że wszystko ma swój koniec, a więc i ta nawałnica przeminie. Problem był tylko w tym, kiedy to nastąpi. Później, po okresie pewnej stabilizacji, zaczęto spekulować na temat, jakie zmiany przyniesie zakończenie wojny, bowiem wiadano z historii, że po każdym końcu zawieruchy dziejowej nigdy nie wracają te same porządki. Zawsze któreś narody traciły samodzielność, a inne doczekały się sprawiedliwości. Ale to były tylko ogólne rozważania, z którymi nie wolno było się obnosić, a tymczasem należało ciężko pracować na przetrwanie własne i – niestety – również na utrzymanie zaborcy.

Wspomnieć należałoby jeszcze o trzech wydarzeniach, które otarły się o tutejsze tereny. Pierwszym z nich był wymarsz wielu ochotników z Płonnej i z okolic do Użhorodu w celu obrony Ukrainy Zakrapackiej, która w 1939 roku została zaatakowana i zaanektowana przez Węgry. Przez Płonnę prowadził wtedy szlak na południowy wschód. Ponieważ młodzi chłopcy nie znali drogi, to przekazywano ich sobie od wioski do wioski.

Drugim ważnym wydarzeniem był niemal masowy, chociaż konspiracyjny, przemarsz zdemobilizowanych żołnierzy polskich, którzy po klęsce wrześniowej przedostawali się tędy na Węgry od jesieni 1939 do wiosny 1940 roku. Trzecim natomiast wydarzeniem był powrót do swoich domów ludzi więzionych przez władze polskie w obozie koncentracyjnym w Berezie Kartuskiej.

W naszej rodzinie wraz z nastaniem wojny pojawiła się jednak bardziej budująca nowina, a mianowicie Anastazja uświadomiła sobie, że ponownie znajduje się w stanie błogosławionym. Narodziny nastąpiły na wiosnę 1940 roku, w trzecim dniu kwietnia. Na świat przyszła trzecia, nie licząc tych, które odeszły, córeczka. Nadano jej imię Zofia.

¹ W okresie okupacji na Podkarpaciu podejmowano nawet próby uprawy drzew kuczukowych.

Ponieważ dziecko od pierwszych dni było dosyć rozkrzyczane, to chrzciny musiały być również głośne. Dla godnego przyjęcia sporej liczby gości – oprócz odpowiedniej ilości jedła – należało zapewnić również dostateczną ilość rozmownych trunków. Z nabyciem ich wiązały się jednak większe problemy – zarówno finansowe jak i zaopatrzeniowe. Andrzej miał już poza sobą doświadczenia życiowe jak w tym zakresie ominąć monopol. Dlatego też i tym razem postanowił rozwiązać ten problem we własnym zakresie. Zatem odpowiednio wcześniej nastawił zaczyn z żyta i cukru, a jego destylacja miała odbyć się w odpowiednim czasie. Wcześniej jednak uczynni ludzie donieśli do granatowej policji, że w domu gospodarza znajduje się nielegalna wytwórnia spirytusu.



Młodzież z Płonnej w czasie uroczystości zorganizowanej na cześć Tarasa Szewczenki. Stojąca po środku, za chłopcem trzymającym obraz dziewczyna, to Oleńka, a przy jej prawym ramieniu – Marysia. Spośród stojących u góry chłopców czwarty od lewej: Michał, a ósmy od lewej: Grzegorz Warcholak. Zdjęcie wykonane w 1940 roku przy budynku dworskim.

W niedzielny poranek w domu pojawiło się dwóch uzbrojonych, na granatowo ubranych ludzi i po przywitaniu kazali pokazać sobie destylatornię alkoholu.

- Pokażcie, ojciec, gdzie to wytwarzacie okowitę.
- Żadnej okowity nie wytwarzam – odpowiedział Andrzej, starając się zachować spokój.
- No to zobaczymy – odpowiedzieli mundurowi i przystąpili do szczegółowego przeszukania domu.

Nie natrafili jednak na żadne dowody w tym zakresie, oprócz rozczynu, który był już prawie do końca przefermentowany.

– A to co, jeżeli nie produkcja okowity?

– To jest nastawione na wino, bo dziecko muszę ochrzcić.

– No to zaraz zbadamy co tu jest – odrzekł policjant, spodziewając się, że w naczyniu znajduje się okowita.

Po posmakowaniu przekonał się, że nie jest to wysokoprocentowy alkohol, lecz zaczyn na bimber. Uśmiechnął się więc szyderczo, mówiąc:

– Oj, ojczulku, widzimy, że gorzkie to wino wam wyjdzie.

– Ano, gorzkie – odpowiedział Andrzej. – Takie już mamy czasy, że na cukier nie stać, ale widzę, że dobrzy z was ludzie. Poczekajcie więc trochę.

Zeszedł do piwnicy, gdzie trzymał już gotowe produkty, odlał kwartę trunku do blaszanego naczynia i wręczył przybyszom. Ci z kolei nie pogardzili podarkiem i rzekli przy odejściu:

– Doceniamy to, że odważny z was człowiek. Miejcie się jednak na bacności, bo następnym razem będziemy szukać dokładniej i pewnie już nie będziemy zważać, czy w domu będą chrzciny, czy też inne uroczystości. Wytwarzanie mocnego alkoholu na własną rękę jest zabronione. Pewnie zrozumieliście, gospodarzu. Czy tak?

– Tak, wszystko zrozumiałem dokładnie – odpowiedział Andrzej, zamykając drzwi za nieproszonymi gośćmi.

* * *

Życie w wojennym czasie nacechowane było wielkim reżimem. Nałożono nie tylko wiele obowiązków w zakresie podwyższonych podatków i oddawania produktów rolnych, ale wprowadzone zostały też liczne ograniczenia w codziennym życiu. Nie wolno było gromadzić się w dużych grupach, ograniczono spożycie niektórych wyrobów. Przykładowo zakazany został całkowicie ubój zwierząt na własne potrzeby. Jeżeli ktoś chciałby na jakąś okoliczność zjeść mięso we własnym domu, to za każdym razem należało zwracać się o pozwolenie do władz. Nawet posiadanie w domu ręcznych żaren do wyrabiania razowej mąki karane było śmiercią. Ludzie jednak nauczyli się z tym żyć. Wiedzieli jak obejść zakazy, gdzie pochować zakazane przedmioty, albo jak oszukać, czy też przekupić przeprowadzane inspekcje. Zdawali sobie jednak sprawę z występujących zagrożeń za nieprzestrzeganie zakazów. Opowiadano o zdarzeniu, gdy to Niemiec pod dworcem kolejowym w Sanoku zawołał do siebie dziecko proszące o kawałek chleba. Gdy podeszło bliżej z nadzieją, że dostanie jakąś kromkę, wyjął pistolet i zastrzelił je. Znane były również przypadki wyniszczania rodzin żydowskich, które mieszkaly od wieków w tamtych okolicach. Wydarzenia te siały powszechne zastraszenie wśród ludności.

Na początku 1941 roku zauważało się wzmożony ruch wojsk niemieckich. Ludzie miarkowali, że zaborca szykuje się do inwazji na kolejne kraje. O zapotrzebowaniu na wzmożoną produkcję broni świadczyć mogły akcje pozyskiwania cenniejszych metali. Ogołocono z dzwonów prawie wszystkie okoliczne świątynie. Wiedzano, że podobny los nie ominie i cerkwi w Płonnej. Nie czekając aż to nastąpi, pewnego dnia o późnej porze zebrano się kilku chłopów, zdemonstrowali dzwon z cerkiewnej dzwonnicy i ukryli go starannie w miejsce znane tylko kilku osobom. Gdy później przyszli Niemcy z nakazem zdemonstrowania dzwonu, okazało się, że nie ma go na miejscu. Każdy z pytanym ścisnął ramionami i odpowiadał:

– Nic o tym nie wiem. Już wcześniej brali wszędzie dzwony, to pewnie i ten zabrali.

Faktycznie, prawie nikt nie wiedział co z nim się stało, bo też rozmawiać o tym zdarzeniu, mając przed oczyma niechybną karę śmierci, nikt nie miał ochoty. Potem nastąpiły dla świątyni w Płonnej czasy jeszcze gorsze i nikt nie pamięta, aby dzwon ten został wydobyty z kryjówek. Nie było też i po co go wyciągać, bo niby gdzie miałby być zamontowany...?

W czerwcu zaś nastąpił kolejny przełom w dziejach drugiej wojny światowej. Otóż w tym czasie został złamany pakt o nieagresji, zawarty wcześniej pomiędzy Niemcami i Związkiem Radzieckim i cała wojenna pożoga ruszyła na wschód. W tych okolicach zdarzenie to wyrażało się w przełamaniu dwuletniej granicy na Sanie. Nikt może w tamtym czasie nie zastanawiał się nad tym, co ta kolejna agresja może oznaczać pod względem politycznym, ale miejscowa ludność odczuła to w inny sposób.

W tym miejscu należałoby przypomnieć, że ludność na tak zwanych kresach wschodnich, po przyłączeniu tych ziem do najbardziej „sprawiedliwego” państwa na świecie, została poddana wielkiej eksterminacji. Oprócz szybkiego wyniszczenia inteligencji i miejscowej arystokracji, przystąpiono do rozkułaczania¹ gospodarzy i przymusowej kolektywizacji całego rolnictwa. O efektywności takiej formy gospodarowania może świadczyć poziom rolnictwa w całym Związku Radzieckim w okresie porewolucyjnym². Po dwuletnich rządach władzy radzieckiej na opisywanych terenach nie tylko nie było żadnych zapasów żywności, ale ogołocone zostały wszystkie miedze, rowy i tereny leśne z lebiody, pokrzywy i innych roślin mogących służyć za pożywienie. Otwarcie więc tej przejściowej granicy pozwoliło wygłodzonym ludziom na masowe wyruszenie na żebry na tereny, chociaż administrowane przez zaborcę, ale nie poddane celowemu wyniszczaniu gospodarki. Wyruszyły przeto latem 1941 roku potężne wędrowki ludzi z ziem

¹ Słowem „kułak” określano zamożniejszych (co wcale nie oznacza bogatych) gospodarzy, a „rozkułaczanie” oznaczało wyniszczanie kułaków.

² Efektem takiej polityki był m.in. masowy głód na Ukrainie w latach trzydziestych XX wieku, podczas którego z głodu zmarło znacznie więcej niż 8 mln ludności.

dotychczas administrowanych przez Rosjan, w kierunku na zachód od Sanu. Przybywający tu masowo ludzie, nawet po kilkadziesiąt dziennie do jednego gospodarstwa, nie prosili o wiele.

– Dajcie, gospodyni – błagali wynędzniali przybysze, – chociaż jednego kartofla, buraka, czy kawałek chleba. Albo chociaż kilogram ziarna na chleb dla dzieci dajcie.

– U nas nie ma nic – mówili inni. – Pola nieobsiane, bo ziarno wcześniej zrabowali. Na polach nic zielonego nie znajdziecie, co można byłoby zjeść. Niektóre dzieci leżą w domu i po kilka dni nic w ustach nie miały. Zlitujcie się dobrzy ludzie...

Lamenty takie nie ustawały. Chociaż każdy litował się nad biednymi i zdesperowanymi ludźmi, to zaspokoić, chociaż po trosze, wszystkich nie było możliwe. Ale odprawić głodnych ludzi z niczym też było ciężko. Pielgrzymki takie trwały przez długie tygodnie. Potem już niektórzy mogli korzystać z nowych, chociaż marnych plonów, a i władza niemiecka też zakazywała dalszego żebrania.

W roku następnym znów w rodzinie Andrzeja i Anastazji miały miejsce ważne wydarzenia. Drugiego kwietnia 1942 roku nastąpiło kolejne powiększenie rodziny i to znaczniejsze, niż zdarzało się to dotychczas. Anastazja jednocześnie powiła dwóch ładnych chłopców. Nadano im imiona Stefan i Mikołaj. Zdrobniale zwracano się do nich *Sztesio* i *Kolo*. Chłopcami cieszą się mocno w całej rodzinie. Z licznych dotąd narodzonych, wspólnych dzieci, żyły tylko trzy dziewczynki. Teraz Opatrzność jakby chciała wynagrodzić ciężko wypróbowaną rodzinę i obdarzyła ją dwoma małymi mężczyznami. Ochrzczono ich uroczyście podczas świąt Wielkanocnych. Radowała się dusza troskliwej matki, gdy po odbytej ceremonii w całej cerkwi rozbrzmiewały doniosłe słowa „*Chrystos wskres*”.

Chłopcy rośli ładnie, rozglądając się wkoło z zaciekawieniem na otaczających ich ludzi i zadziwiający świat. Napawało to wielką radością rodziców i wszystkich domowników. Niestety i tym razem radość wkrótce przemieniła się w bezgraniczny ból i smutek. W połowie sierpnia, po ukończeniu zaledwie czterech miesięcy życia, nieco starszy z bliźniaków, Stefan, dostał silnej gorączki, mocno osłabł i przestał jeść. W tych trudnych, wojennych czasach nie było skąd poprosić jakiegś skutecznej pomocy. I tym razem na nic nie zdały się domowe metody, przeprowadzane przez miejscowe kobiety. Po czterech dniach chuchania, robienia różnych okładów i stosowania innych zabiegów, jak masaże brzuszka, okłady z siemienia lnianego, a nawet zaklinanie, chłopiec zeszedł z tego świata. W całym domu ponownie zapanowało wielkie rozgoryczenie.

Stare przysłowie mówi, że nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być jeszcze gorzej. Niestety i tym razem ta fatalna, ludowa mądrość sprawdziła się. Zaraz po śmierci swojego braciszka Stefana zachorował również mały

Mikołajek. Przygotowania do pogrzebu odbywały się w atmosferze lęku i niepokoju o drugie dziecko. Bezsilność jednak była taka sama jak i przed kilkoma dniami. Nieszczęsne dziecko nie doczekało nawet momentu, wyprowadzenia z domu brata i też oddało życie. Czy można wyobrazić sobie bardziej strapionych rodziców, niż tych, którzy wyprowadzając z domu na zawsze jedno dziecko, pozostawiają w nim nieżywe ciało innego maleństwa. Po niedługim czasie wyprowadzono więc na cmentarz również i drugiego bliźniaka.

W ten sposób na cmentarzu, u podnóża grobu miejscowego kapłana, znalazło się na wiecznym odpoczynku aż siedmioro maleństw z jednej rodziny. Nikt nie śmiał wypowiadać takiej kwestii, ale niejednemu cisnęło się na usta pytanie: „Boże, czy to już nie wystarczy? Czy masz jeszcze w zanadrzu kolejne nieszczęścia, jakimi chciałbyś doświadczyć tę nieszczęsną matkę i strapionego ojca? Jakie jeszcze cierpienia czekają tę rodzinę?” Pytaniom takim nie byłoby końca, ale nikt nie śmiał ich głośno wypowiadać. Zawsze mówili ludzie, aby nie ściągać wokół siebie złych myśli. Bóg na pewno musi być miłosierny...

Życie potrafi czynić różne złożoności. Tak i tym razem działo się w opisywanej rodzinie. Anastazja nie wiedziała, że w czasie, kiedy bezskutecznie próbowała ratować swoje najmniejsze pociechy, a potem w bólu odprowadzała je na miejsce wiecznego spoczynku, w jej łonie ponownie zakwitło nowe życie. Przekonała się o tym, gdy zmałało już największe nasilenie cierpienia, a czas, ten odwieczny lekarz na strapienie ludzkich dusz, pozwalał już spojrzeć na niedawną tragedię z nieco mniejszym cierpieniem. Ponownie zaczęła więc myśleć z nadzieją na lepszy przyszły los. Obydwoje pragnęli mieć jeszcze syna, więc wiadomość o mającym narodzić się dziecku Anastazja przyjęła z otuchą, ale też i nie bez obaw co do prawdopodobieństwa kolejnych niepowodzeń.. Co prawda, Andrzej miał trzech żyjących synów z pierwszego małżeństwa, ale wszyscy oni przebywali za oceanem i w obliczu zawieruchy wojennej tracił nadzieję na ich ponowne ujście. Również Anastazja z nadzieją spoglądała na dorosłego, już osiemnastoletniego, Michała z jej małżeństwa w Karlikowie. Jednak oboje uradowani byłiby, gdyby – obok trzech wspólnych córek – w rodzinie pojawił się jeszcze również wspólny syn. W rozmowach jednak zawsze wspominali, że najważniejsze jest, aby wszystko ułożyło się szczęśliwie. Z taką też nadzieją oczekiwali tego, co czas pokaże.

A czasy nie były spokojne. Toczyła się największa wojna w dziejach ludzkości. Do tej pory najczęściej mówiło się, że Niemcy pokonają Rosję i zapanują tu na czas trudny do określenia lub może nawet na zawsze. Teraz jednak zaczynały dochodzić słuchy, że na froncie wschodnim armia faszystowska napotyka na realny opór, a nawet losy wojny odwracają się. Ludzie opowiadali, że również Ameryka przystąpiła do wojny i wspólnie z Anglią

podejmuje działania przeciw Niemcom. Losy wojny mogły się więc potoczyć w różny sposób, a to już nie byłoby obojętne dla tutejszych mieszkańców, bowiem oni w ciągu jednego ćwierćwiecza, nie zmieniając miejsca zamieszkania, znaleźli się pod rządami trzeciego już państwa. Pod kogo więc będą podlegać teraz, po zakończeniu tej wojennej awantury i jak potoczą się ich losy? Możliwe były różne rozwiązania, w tym nie wykluczano, że ziemie te przejdą pod władanie państwa ukraińskiego, ponieważ dochodziły ich wieści o powstających na terenie Galicji Wschodniej ukraińskich organizacjach niepodległościowych. Pamiętano jeszcze jak po pierwszej wojnie światowej istniało już państwo ukraińskie, ale padło na skutek knowań krajów ościennych i na długie lata pogrążyło się w niewoli rosyjskiej, a po części przeszło we władanie państwa polskiego.

Wszystkie te problemy były nieraz przedmiotem potajemnych rozmów międzysąsiedzkich, ale tak naprawdę ludzie mieli inne problemy. Przede wszystkim należało tak żyć, aby przetrwać te ciężkie czasy. Nie wystarczyło więc zarobić na chleb, ale należało też ustrzec się od wszelkich innych niepowodzeń, a przede wszystkim trzeba było unikać narażania się Niemcom, którzy za najmniejsze nawet wykroczenia przeciwko nowemu porządkowi karali niemiłosiernie, włącznie z natychmiastową egzekucją. Wszyscy przeto starali się być solidarni, aby wiedzieć skąd idzie niebezpieczeństwo. Ale trzeba było też umieć wyczuć wroga wewnętrznego, bo wkoło nie brakowało kolaborantów i wiadomości o wielu sprawach docierały zbyt szybko do okupanta. W całej zniewolonej społeczności Niemcy po swojemu ustalili, kto jest ich największym wrogiem. Bardzo więc szybko całkowicie wyniszczono rodziny żydowskie i przetrzebiono Cyganów. Kary można było „dopracować” się nie tylko za pochodzenie, ale również za posiadanie zakazanych urządzeń (żarna do zboża, aparaty destylacyjne itp.), niewywiązanie się z nałożonych kontrybucji, lub ubój zwierzęcia na własne potrzeby.

Nastała kolejna wiosna. Coraz częściej donoszono, że Niemcy na terenie Związku Radzieckiego znajdują się już w odwrocie. Szale wojny przechylały się wyraźnie. Potwierdzały się wiadomości, że Ameryka na pewno jest zaangażowana w działania wojenne. Andrzej wiadomości te interesowały nie tylko ze względu na przebieg wojny, ale również wiedział, że w dzieje te są wplecione losy jego rodziny. W Stanach Zjednoczonych mieszkało teraz jego trzech dorosłych synów, dwaj bracia i dzieci jednego z nich. Był przekonany, że niektórzy, a może nawet wszyscy, zostali powołani do armii, ale wiadomości na ten temat nie mógł pozyskać żadnych, bo korespondencja z rodziną urwała się na samym początku wojny. Przypomniawszy sobie, że on sam ledwo uniknął powołania do armii amerykańskiej podczas pierwszej wojny światowej. Uratowało go wtedy jego pochodzenie. Wyjechał przecież do Ameryki jako obywatel austriacki, a więc z kraju, który stanowił wroga Stanów Zjednoczonych. Teraz było jednak inaczej – synowie jego byli pełno-

prawnymi obywatelami amerykańskimi, a tylko okresowo przebywali w Polsce, która sama padła ofiarą najeźdźcy niemieckiego. Rozmyślał więc nad tym jak potoczą się losy jego synów, jeżeli walczą teraz po stronie alianckiej. Wiedział, że kule nie wybierają i wszystko może się zdarzyć.

Niedziela w dniu dziewiątego maja 1943 roku była piękna od samego rana. Po wykonaniu najważniejszych prac przy inwentarzu rodzina przygotowywała się do porannego posiłku. Anastazja tego dnia poczuła się niespokojnie. W pewnym momencie zwróciła się do kucharki:

– Haniu przypilnuj wszystkiego przy śniadaniu, a ja pójdę i położę się na chwilę w stancji.

Po upływie pewnego czasu przywołała do siebie najstarszą córkę, aby pobiegła po miejscową akuszerkę. W domu rozeszła się wiadomość, że wkrótce nastąpi rozwiązanie. Gdy przybiegła przywołana niewiasta, która umiała zaradzić na wszelkie boleści, przygotowane już były niezbędne rzeczy do przyjęcia porodu. Przez jakiś czas dochodziły ze stancji różne odgłosy, podczas gdy reszta rodziny przebywała w izbie ogólnej. Wtem z sąsiedniego pomieszczenia rozległ się płacz niemowlęcia. Krzątająca się przy garnkach kucharka zareagowała na to okrzykiem:

– Chłop, chłop! Chłop się urodził! Słuchajcie, jakim grubym głosem się drze!

Tak naprawdę to grubym głosem darła się kucharka, ale niemowlę faktycznie było płci męskiej, choć nie wyglądało na takiego znów chłopca. Uradowani byli wszyscy, a najważniejsze, że dziecko i mama byli zdrowi. Oboje rodziców z uśmiechem spoglądali na nowego członka rodziny.

– Dałby Bóg, żeby dobrze się chował ten chłopiec – powiedziała cicho zmęczona Anastazja do męża.

– Cicho, Nastio, odpocznij teraz. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Myślę, że będzie dobrze, bo... – przerwał jednak dalszą wypowiedź, ucisnął żonę za rękę i wyszedł z izby.

Narodziło się właśnie siedemnaste z kolei dziecko Andrzeja i dwunaste Anastazji...

Chłopiec chował się dobrze. Szybko nabierał ciała i z zaciekawieniem spoglądał się na domowników oraz na otaczające go przedmioty. Chrzcziny przygotowano na dzień Zesłania Ducha Świętego, powszechnie zwanym zielonymi świątkami. W domu wszyscy zwracali się do niego imieniem Wasyl¹, ale w księgach zapisano go jako Andrzej (teraz nie wiadomo dokładnie skąd się wzięła ta rozbieżność). Dzień ten obchodzono hucznie – przy obecności całej rodziny i wielu sąsiadów. Oczywiście, ojciec, chociaż sam stronił od mocniejszych trunków, przygotował dla gości nie tylko jadła pod dostatkiem, ale również zadbał o to, aby było czym się rozweselić. Weselono się więc pospół. Rozmawiano na przemian to o małym Andrzeju, o gospo-

¹ W nomenklaturze polskiej imię to zapisywane było też jako Bazyli.

darstwie, w którym się goszczono, o zapowiedzi rychłego końca wojny i o czasach jakie nastaną po jej zakończeniu. Jak to zawsze bywa, najłatwiej mówić o czasach minionych, chociaż i w tym zakresie bywają rozbieżne zdania, ale trudniej już cokolwiek prorokować jak to będzie w przyszłości, a w szczególności przewidywać jakieś perspektywy w obliczu takich wielkich zmian, jakie wkrótce miały nastąpić.

Chrzcziny, chociaż odbyte w fatalnych czasach, wszyscy wspominali długo. Podczas przypadkowych spotkań znajomi dopytywali o zdrowie małego chłopca. Ze zdrowiem jednak bywa różnie. Mały Andrzejek chował się pomyślnie aż do skończenia piątego miesiąca życia. W październiku natomiast niespodziewanie zaczął nedomagać. Zaczęło się niegroźnie: mały katar, podwyższona gorączka i niewielki kaszel. Chłopiec słabość swą pokonywał dzielnie. Dalej chętnie bawił się i dokazywał. Choroba jednak nie ustępowała i po tygodniu jego stan znacznie pogorszył się. Mocno podwyższyła się gorączka i często omdlewał. Zmiana ta mocno zaniepokoiła rodziców. Zrozpaczona matka – w obliczu już tylu tragicznych doświadczeń z dziećmi – znalazła się w silnej desperacji. W czasie tym trudno było o jakąkolwiek pomoc lekarską. Podobnie, jak w poprzednich przypadkach i tym razem uciekano się do ludowych metod leczniczych. Okłady, masaże i zioła z początku przynosiły nawet lekką poprawę, ale po pewnym czasie następowało ponowne pogorszenie stanu dziecka. Aż nastąpiło położenie krytyczne. Chłopiec przestał całkowicie przyjmować jakikolwiek pokarmy i napoje. Przez dwa dni leżał niemal w agonii.

– Nastio, nie ma tu już żadnej nadziei. Musisz pogodzić się z losem – mówili miejscowi znawcy od chorób. – Dziecko nie wyżyje.

– Nawet tak nie mówcie – lamentowała zrozpaczona matka. – *Wasyлко* musi żyć.

– Każda matka chciałaby, aby jej dziecko żyło – mówiły kobiety. – Tu jednak nie ma już żadnej nadziei. Teraz raczej trzeba myśleć o modlitwie i pogrzebie. Należy przygotować ubranie na śmierć, bo potem nie będzie może już czasu.

Wyrocznie były posępne, ale wydawały się prawdziwe. Patrząc na omdlałe i wyblakłe dziecko, nikt nie miał nadziei na jego przeżycie. Dziwowano się nawet, że tak długo nie schodzi z tego świata. Wydobyto zatem z zapasu kawałek płótna atlasowego w kolorze niebieskim i pospiesznie sfastrygowano zgrabną sukieneczkę z długimi rękawkami i przyozdobioną żółtymi krajkami. Niektóre z obecnych kobiet przynaglały, aźby dziecko już ubrać w ten mroczny strój.

– Niech chłopiec ładnie wygląda przed śmiercią! – mówiły złowieszcze baby.

Zrozpaczona matka nie pozwalała jednak na takie posunięcie, oczekując chyba na cud.

Na taki płacz i lament do izby wszedł właśnie sąsiad o nazwisku Kwarciński. Widząc przynębiającą sytuację, nie trudno było mu odgadnąć skąd taki nastrój. Zwrócił się jednak z zapytaniem:

– Dlaczego tak lamentujecie, pani Priadkowa?

– Jak tu nie lamentować, panie Kwarciński? Widzicie przecież, że dziecko mi umiera. Nigdzie w okolicy nie ma lekarza i ratunku żadnego.

Przybyły mężczyzna spojrzął na dziecko oraz na zrozpaczoną matkę i oświadczył :

– Dziecko jeszcze nie umarło i trzeba go ratować. Posłuchajcie: w Bukowsku jest teraz stary lekarz, na nazwisko ma Czech. Trzeba szybko zaprzęgać konie i jechać z dzieckiem do lekarza, a nie lamentować tu po próżnicy.

Powiedział swoje i wyszedł na podwórko. Przed domem to samo powtórzył gospodarzowi i odszedł.

Posłuchano rady dobrego człowieka, chociaż czyniono to już w desperacji i bez jakiegokolwiek nadziei.

W Bukowsku lekarz obejrzał dziecko i nakrzyczał na załamanych rodziców:

– To teraz przyjeżdżacie, kiedy dziecko jest nieprzytomne?

– Wybaczcie, panie doktorze, ale nie wiedzieliśmy, że w Bukowsku teraz jest lekarz. Powiedział nam o tym jeden z sąsiadów, więc od razu przyjechaliśmy, ale wiem, że za późno. Dziecko na pewno już umrze...

Lekarz spojrzął na nieszczęsnego chłopca, kazał go rozebrać i opukał palcami. W izbie lekarskiej było chłodno i wystraszona matka zapytała, czy nie przeziębili się jeszcze mocniej.

– Dziecko przeziębilo się wcześniej, a teraz już nic mu bardziej nie poszkodzi. I proszę nie mówić, że umrze, bo dziecko będzie żyło.

Lekarz natychmiast przystąpił do dzieła. Postawił mu ponad czterdzieści baniek, na każde możliwe z miejsc. Na siłę wcisnął do ust jakiś proszek rozpuszczony w wodzie, kazał zawinąć w odzienie i poczekać godzinę. Po odczekaniu określonego czasu rodzice zawinęli dziecko w płachtę i odjechali w drogę powrotną. Jechali w milczeniu, rozmyślając nad swoją niedolą i modląc się w myślach – każdy z osobna. Minęli tak Wolę Piotrową i Karlików. Gdy mieli zbliżyć się do Płonnej, wóz drgnął na nierówności mostu nad potokiem Wyszbor i w tym czasie dziecko, trzymane na rękach matki, poruszyło się. Po odgarnięciu chusty Nastia zauważyła, że chłopiec spogląda na nią otwartymi oczkami. Niemal odruchowo rozpięła swoją koszulę, wydobyla z niej pierś i przystawiła dziecku do ust. Jakaż radość i nadzieja zapanowała na jej obliczu gdy poczuła ssanie małych warg i spływające z piersi mleko.

– Zobacz, on ssie, on żyje! – wykrzyknęła do siedzącego obok niej męża. – On będzie żył.

Obojgu spływały po policzkach gorące łzy. Tym razem nie oznaczały one jednak rozpacz, a były przejawem wielkiej nadziei na odwrócenie się fatalnych kolei losu.

Chłopiec słaby był jeszcze przez dłuższy czas, ale z dnia na dzień czuł się lepiej. W połowie października Andrzejek zupełnie już wzmocnił się na zdrowiu, wyglądał dobrze, nabrał rumieńców i ponownie zaokrągliło się jego ciało. W rodziców natomiast na nowo powróciła otucha i nadzieja, że życie może przestało już ich ciężko doświadczać.

* * *

Na wiosnę 1944 roku coraz częściej mówiło się, że wojna ma się ku końcowi i że wkrótce nadciągną tu Rosjanie. Wśród Niemców dało się zauważyć wielkie zaniepokojenie. Koleją i drogami często przemieszczały się w różne strony oddziały wojskowe. Dla ludności czasy stawały się coraz cięższe. Okupant zabierał niemal cały dobytek, a jakiegokolwiek niepodporządkowanie się poleceniom karane było bardzo srogo. Każdy więc zapobiegliwy rolnik wiedział, że aby przeżyć, należy odpowiednio zabezpieczyć przynajmniej część zasobów na wyżywienie rodziny. Ukrywano co kto mógł, ale też należało mieć pewne produkty „pod ręką”, aby wykupić się, gdy przyjdzie polecenie dokonania dodatkowych dostaw. Już wcześniej największy ciężar dla wielu rodzin stanowiła wywózka ludzi na przymusowe roboty na teren Rzeszy Niemieckiej. Z wielu rodzin zabierano młodych ludzi i zesłano w nieznane tereny. Procedura była zawsze prosta. Sołtys otrzymywał od władz zwierzchnich polecenie ile osób i na kiedy powinny być gotowe do wyjazdu. Następnie jego zadaniem było wyznaczenie z której rodziny ktoś powinno się stawić w określone miejsce. Jeżeli któraś z rodzin nie wypełniła otrzymanego rozkazu, to kara była prosta: jeden z tej rodziny powinien być zabity. Opory więc w tym zakresie były rzadkie. Wywózki te dotknęły również bliską rodzinę Anastazji: do prac na terenie Dolnej Saksonii wywieziona została jej siedemnastoletnia siostra Pelagia, a na teren Austrii zaledwie szesnastoletni brat Michał. Ponadto ludzie często zabierani byli do wykonywania dodatkowych prac w zakresie umocnień obronnych i do świadczenia różnych usług na rzecz wojska. Wśród tych prześladowań trzeba było też dbać o utrzymanie rodziny, a przede wszystkim aby całe pole było uprawione i zasiane, bo gdy wojna się skończy, to z pewnością też nie będzie lekko, a przecież trzeba wyżywić rodzinę i koniecznie należy przeczekać tę piekielną awanturę. A potem może nastaną już normalne, lepsze czasy...

Tak więc, czekając na normalne, lepsze czasy, życie toczyło się dalej w atmosferze ciszy przed burzą. Niby było spokojnie, ale wszyscy wiedzieli, że niedługo będzie inaczej. Nie wiedzieli tylko jak bardzo to „inaczej” bę-

dzie różnić się od tego, co do tej pory przeżywali i jak zaciąży ono na ich losach. Obawy związane były również z wcześniej już powstającymi ukraińskimi organizacjami niepodległościowymi, które swoją działalnością zaczęły obejmować całą Galicję.

W połowie sierpnia 1944 roku odczuwało się poważne napięcie związane ze zbliżającym się frontem działań wojennych. Wojska radzieckie po zdobyciu Przemyśla kierowały się dalej w stronę południowego zachodu, idąc w sukurs swoim oddziałom walczącym o opanowanie Bałkanów. Niemcy natomiast wycofywali się pod naporem sił ze wschodu, starając się za wszelką cenę powstrzymać wojska wyzwolenicze. Stawiali więc zacięty opór w każdej miejscowości, na każdym pagórku, czy przełęczy.

W Płonnej zacięte walki trwały już kilka dni. Ludzie ukrywali się przed gradem kul gdzie kto mógł – przeważnie w piwnicach, w zagłębieniach i innych miejscach, w których mogli znaleźć choć trochę schronienia. Ponieważ najważniejsza w tych okolicach droga, prowadząca z Kulasznego do Bukowska, silnie była broniona przez oddziały niemieckie, wojska radzieckie starały się zdobyć wioskę od strony południowej, nacierając od góry Rzepedki i dalej poprzez dolinę potoku płynącego przez Płonną. Życie we wsi było całkowicie sparaliżowane. Ludzie byli wystraszeni, wiele z nich padło ofiarą walk, liczne domy były uszkodzone lub spalone, zaniedbany inwentarz rykiem i kwikiem upominał się o pożywienie. Po pięciu dniach naporu cała górna część wioski została zdobyta przez wojska radzieckie. Musiały one jednak zatrzymać się w połowie miejscowości z powodu okopanego gniazda niemieckich karabinów maszynowych, które usadowiło się na wzgórzu za kapliczką, w pobliżu cmentarza. Ogień z tych karabinów kładł z nóg licznych żołnierzy napierających oddziałów.

Sytuacja taka przedłużała się niemiłosiernie długo. Wszyscy z domowników naszej rodziny ukrywali się w piwnicy pod budynkiem mieszkalnym, który znajdował się właśnie w polu rażenia wrogich karabinów. Gdy w kolejnym dniu zapanowała na jakiś czas cisza, Andrzej wyszedł na podwórko, rozejrzał się i postanowił zająć się wygłodniałym inwentarzem. Wypuścił z kopców owce i poprowadził je na wygon, zwany jako *pastiwnyk*.

– Nie idź tam z owcami! – przestrzegała go Anastazja. – Wiesz przecież że tam siekają niemieckie kulomioty. Jeszcze cię zabiją.

– Kulomioty teraz nie strzelają. Pewnie już ich tam nie ma – odrzekł Andrzej, – a owce muszę wypuścić, bo już dwa dni nic nie jadły.

Nie uszedł zbyt daleko, gdy nagle znów rozległ się głuchy terkot karabinu: „ta-ta-ta-ta”. Wyglądająca z piwnicy Anastazja spostrzegła, jak nagle Andrzej zwałił się z nóg, a idące za nim owce zasłoniły jego ciało.

– Boże, Boże, postrzelili go! – lamentowała Anastazja. – Idź no zobacz, Michalu, co się stało z ojcem, może jeszcze żyje. Tylko uważaj...

Michał wyszedł z piwnicy, pochylony przesuwiał się do przodu, starając się być jak najbliżej ziemi. Nagle zaczął krzyczeć:

– Mamo, mamo, tato jest ranny.

Z piwnicy wybiegła wylękniona matka, a za nią piętnastoletnia Oleńka. Ujrzeni ojca leżącego na boku z podkurczonymi kolanami, a pod nim rozlana była kałuża krwi.

– Zabili go, zabili! – zawodziła Anastazja. – Mówiłam, żeby nie wychodził.

– Mamo, nie zabili ojca. On jeszcze żyje – pocieszał matkę Michał, po czym podniósł ojczyzna z łąki, jedną jego rękę zarzucił na swoje ramię, a drugą ujął go pod pachę.

Przerażone matka z córką pomagały jak mogły w przetransportowaniu ojca do mieszkania, a właściwie to do piwnicy. Tam ułożyły go na prowizorycznym posłaniu, ostrożnie rozebrały i obmyły. Okazało się, że zranienie było bardzo groźne – kula trafiła go od przodu w prawą stronę klatki piersiowej i na wylot przeszła w pobliżu łopatki.

Andrzej krwawił przez jakiś czas, a potem na ranie zaczęła zasychać szerniała krew.

– Pić, dajcie mi pić... – prosił ranny w wielkim osłabieniu, zamykając co chwilę oczy.

– Nie umieraj, nie umieraj, *Andrijku!* – wołała zdesperowana żona.

Oleńka jak mogła pomagała matce w opatrywaniu ojca. Marysia siedziała przestraszona w rogu piwnicy, a Zosia trzymała kurczowo małego Andrzejkę, popłakując co chwilę. Andrzej to mdlał, to znów odzyskiwał przytomność. Tak zakończył się dzień i zaczęło się zmierzchać.

Noc była ciężka dla wszystkich. Ciężko było rannemu, który leżał w wielkim osłabieniu, co chwilę tracąc przytomność. Ciężko było też rodzinie, która przez cały czas nasłuchiwała, czy ojciec jeszcze żyje. Rano ranny Andrzej dostał silnej gorączki i zaczął majaczyć. Starsze córki na przemian chłodziły mu czoło wilgotnym ręcznikiem i dopytywały się, czy czegoś mu nie potrzeba. Pod wieczór gorączka nadal była silna, ale chory jakby uzyskiwał kontakt ze światem.

– Papo, papo, nie umierajcie – błagała ojca wyczerpana Marysia, gdy ten na chwilę odzyskiwał przytomność.

Zdając sobie sprawę z ciężkiego położenia i widząc rozpacz całej rodziny, Andrzej zmobilizował resztkę swoich sił, uścisnął zrozpaczoną córeczkę i przemówił, niby to do niej, ale tak, aby słyszało go jak najwięcej osób:

– Nie płaczcie za mną. Nie płaczcie. Nic mi nie będzie... Będę żył...

– Boimy się mocno o papę. Papa jest taki słaby. Co my teraz sami będziemy robić?

– Musicie teraz sobie radzić beze mnie. Michał jest już dorosły i on wie, co trzeba robić w gospodarstwie. Uważajcie na siebie, a o mnie się nie bój-

cie. Ja nie umrę teraz. Gdybym miał umrzeć, to bym wam powiedział... Jestem bardzo słaby, ale wiem, że nie umrę teraz...

Po wypowiedzeniu tych słów głowa obsunęła się mu na poduszkę i zasnął. Sen miał niespokojny, często przebudzał się i wypowiadał niezrozumiałe słowa. Anastazja, obcierając pot z twarzy nieszczęsnego męża, mówiła do dzieci:

– Nie płaczcie, dzieci. Ojciec powiedział, że nie umrze. Jeżeli tak powiedział, to pewnie wie, że teraz nie umrze...

Nastaly ciężkie dni dla chorego, który przez dłuższy czas znajdował się na pograniczu życia i agonii. Ciężko było też żonie, która teraz miała na głowie gospodarstwo, wyniszczone mocno przez działania wojenne, walczącego ze śmiercią męża i czworo dzieci. Ciężko było dzieciom, które – pozbawione ciepłej strawy, w ciasnej piwnicy, pod terkoczącymi karabinami – musiały spoglądać na wyniszczonego ojca i nieustannie lękały się, czy rano zobaczą go żywego. Ale taki wtedy był ten świat – ludzie głównie chcieli przetrwać tę gehennę i za wszelką cenę doczekać lepszych czasów.

Tak minął niemal tydzień. Front przesunął się dalej. Powoli ucichało już terkotanie karabinów i huk dział. W życiu ludzi nie zapanował jednak spokój. Do wsi wtoczyło się mrowie innego wojska ze swoimi rannymi, szpitalem polowym i całym wyposażeniem, jakie zawsze towarzyszy przesuwałcej się armii. Ludzie powychodzili ze swoich kryjówek i próbowali ponownie prowadzić normalne życie. Wiele domów zostało uszkodzonych przez wystrzały armatnie i wzniecone pożary. Niektórzy musieli więc koczować w budynkach gospodarczych lub szukać schronienia u sąsiadów albo u rodziny. Andrzej przezwyciężył największy kryzys w chorobie. Rana przestała krwawić i opadła gorączka. Nadal jednak czuł się mocno osłabiony, oddech miał krótki i męczył go bolący i duszący kaszel. Przeniesiono go z piwnicy do izby i ułożono w czystej pościeli.

– Teraz tu już będzie mi dobrze. Szybko wrócę do zdrowia, a wy pilnujcie gospodarstwa.

– O gospodarstwo się nie martw – odpowiadała mu żona, – tylko uważaj, żeby ci się nie pogorszyło. Leż spokojnie i nie próbuj wstawać z łóżka.

Mijały tygodnie, a ze zdrowiem nie było wcale lepiej. Andrzej pogrążony był nadal w wielkim osłabieniu, a rana postrzałowa zaczęła niepokojąco jątrzyć się. Po pewnym czasie na zaognionej ranie pojawiły się brzydkie wycieki, a z kaszlem wydzielala się czarna krew. Stan chorego napawał wielkim niepokojem całą rodzinę. Pytano nawet o poradę lekarzy wojskowych. Ci jednak mieli dosyć kłopotu ze swoimi rannymi i nie mieli czasu zajmować się chorym gospodarzem.

– Nic tu nie możemy zrobić – odpowiadali. – W czasie postrzelenia do opłucnej przedostało się dużo krwi, której organizm nie jest w stanie wyda-

lić. Nie pozostało nic innego, niż czekanie na wchłonięcie wycieków przez organizm i na samoczynne ustąpienie stanu zapalnego.

Czekano więc na nadejście poprawy i cudowne wyzdrowienie. Nie następowało to jednak zbyt szybko, ale stabilizacja stanu chorego dawała nadzieję, że nie powinno się to skończyć tragicznie.

Często tak bywa w życiu, że nieszczęścia chodzą parami lub nawet we większych gromadach. Lato 1944 roku było ciężkie nie tylko z powodu obłożnej choroby Andrzeja, spowodowanej postrzeleniem w czasie walk frontowych, ale także z powodu obecności we wsi radzieckich oddziałów wojskowych, które w domu urządziły sobie kwaterę dla swoich dowódców. W mieszkaniu więc nieustannie przebywało wiele ludzi w mundurach, którzy nie tylko zajmowali miejsce, ale powodowali ciągły niepokój i zamieszanie. Często wymagali także troszczenia się o nich, łącznie z wyżywieniem. Gdy tylko uporano się z najpilniejszymi pracami polowymi, jakie przypadają do wykonania w porze jesiennej, przyszła kolejna przygnębiająca wiadomość. Otóż wraz z przesuwającym się na zachód frontem nieustannie szeregi armii uzupełniano nowymi zasobami ludzkimi. Nabór nowych rekrutów nie ominął również Michała, dwudziestoletniego syna Anastazji z pierwszego małżeństwa. Podczas wręczania nakazu wcielenia do radzieckiej jednostki wojskowej zrozpaczona matka błagała stacjonującego u niej oficera:

– Panie kapitanie...

– *Żeńszczina, pomnij, szto u nas niet panow. U nas wsie ludi rawnyje* – przerwał kapitan. – *K mienja nada obraszczatsja: tawariszcz kapitan*¹.

– Towarzyszu kapitanie – poprawiła się Anastazja, ponawiając prośbę, – łaskawie proszę, aby nie wcielać syna do armii. Widzicie przecież, że u nas jest ciężko. Mąż jest bardzo chory i nie wiadomo, czy przeżyje, a w domu są małe dzieci. Bez syna nie damy sobie rady w gospodarstwie i wszystkim przyjdzie nam głodować. Zginiemy marnie. Jaki z niego żołnierz? Jest jeszcze młody, od dziecka harował w gospodarstwie i do czego on może wam się przydać?

– *Nie bojsja, mat', ucit' jewo budiem. Z niewo zdielajem nastojszcziewo saldata*².

Żadne prośby ani błagania nie odnosiły skutków. Nazajutrz Michał musiał stawić się na punkt zborny, jaki mieścił się w miejscowej szkole. Niebiorak wstał rano, pomógł jeszcze matce przy wykonywaniu prac przy inwentarzu, obejrzał wszystko dokoła, pożegnał się z siostrami, uściśnął leżącego ojczyrna, a na koniec wziął na ręce malutkiego Andrzeja, uniósł go pod sufit, mówiąc:

¹ Niewiasto, zapamiętaj, że u nas nie ma panów. U nas wszyscy ludzie są równi. Do mnie należy zwracać się: towarzyszu kapitanie (ros.)

² Nie bój się matko, uczyc go będziemy. Zrobimy z niego prawdziwego żołnierza.

– Rośnij duży i zdrowy, kochany braciszku. Mamie na pociechę. Ja odchodzę, a ty teraz będziesz tu gospodarzem...

Położył chłopca na posłanie i na koniec uściśnął matkę.

– Mamo, trzymajcie się i nie płaczcie. Wojna niedługo zakończy się i jeżeli Bóg pozwoli, to wrócę i weźmiemy się za gospodarstwo. Nie martwcie się, ojciec na pewno wyzdrowieje i wszystko będzie dobrze.

Anastazji pociekły rześiste łzy po policzkach. Aby jednak nie wzmaczać żalu u odchodzącego na wojnę syna, obtarła szybko twarz zapaską, uściśnęła go i pożegnała słowami:

– Niech cię Bóg prowadzi, kochany synu. Uważaj na siebie i pamiętaj o nas.

Michał uściśkał matkę, po czym na znak szacunku ucałował ją w rękę.

– Dziękuję wam za wszystko. Zostańcie z Bogiem – odrzekł na pożegnanie, odwrócił się w stronę czekającego już na niego żołnierskiego patrolu i odszedł.

W domu ponownie, pomimo, że pełno w nim było ludzi, zapanowała przenikająca pustka. Znowu rodzinne gniazdo opuściła kolejna osoba. Tym razem jednak rozstanie połączone było z nieokreślonym przeczuciem zagrożenia. Zagrożenie to było podwójne: obawiano się nie tylko o losy Michała, ale również o dalsze położenie rodziny. Nurtowało wszystkich pytanie jak żyć dalej, kiedy to na głowie nieszczęsnej Anastazji pozostało duże, ale podupadające już gospodarstwo, a na utrzymaniu jest cała rodzina: dwoje małych dzieci, dwie podrastające córki, a do tego leciwy już mąż, złożony ciężką chorobą. A czasy nadal były niespokojne. Wkoło obowiązywały porządki, a raczej nieporządki wojenne: ciągle nakładano nowe zobowiązania, wszystko nieustannie narażone było na rabunek, wkoło mnóstwo żebrzących i proszących o pomoc ludzi. Z wszystkim tym należało się uporać w nadziei, że ten okropny czas musi kiedyś przeminąć.

Normalne czasy jednak nie chciały nadchodzić. Choroba Andrzeja przewlekała się w nieskończoność. Powoli zaczynały zanikać zewnętrzne jej objawy. Rana przestała jęczyć się, a jedynie pozostał przykry, męczący kaszel i wielkie osłabienie. Chociaż całą niemal jesień przeleżał w łóżku, to jednak postępująca powoli poprawa nieśmiało utwierdzała w przekonaniu, że życiu jego już nie zagraża niebezpieczeństwo. Nachodziła więc refleksja: czyżby rzeczywiście on sam wiedział, że naprawdę pokona tę okropną kontuzję? Czyżby faktycznie pisane było mu przeżycie tego koszmarnego czasu i co takiego jeszcze dowiedział się podczas tamtej wizji w sadzie, o której już nigdy chętnie nie chciał więcej rozmawiać, a rzekomo odwiedził go w niej dawno zmarły synek, Piotruś?

Po upływie około dwóch miesięcy niespodziewanie do domu przyszedł list od Michała z wojska. Anastazja więc pilnie przywołała Oleńkę.

– Córeczko, weź i przeczytaj ten list od Michała.

Oleńka wzięła list, obejrzała pieczęcie, ostrożnie otworzyła kopertę i zabrała się do czytania:

Droga rodzino. Pozdrawiam was serdecznie i chcę wam donieść, że jestem zdrowy i cały. Trafiłem do oddziału sanitarnego i zajmuję się opatrywaniem rannych. Teraz jestem niedaleko od was, bo na Słowacji, w mieście Michalovce. Nie jest tu lekko, bo codziennie przywożą z frontu dużo rannych i trzeba koło nich chodzić. Ja też często przebywam w miejscu bitew i muszę ściągać rannych z pola, ale dajemy sobie radę. Nie jest mi tu bardzo źle, mamy dosyć jedzenia, ciepłe ubrania i czasem możemy odpocząć. Myślę, że wojna nie będzie trwała długo i jak się skończy, to wtedy wrócę do domu. Ciekawy jestem jak wy sobie dajecie radę ze wszystkim. Czy ojciec już wyzdrowiał? Do mnie nie piszcie, bo nie wiem jak długo tu będziemy stali i czy list by mnie znalazł. Wszystkich was mocno pozdrawiam i niech Bóg ma was w swojej opiece. Proszę uważajcie na wszystko, a jak wrócę to razem z ojcem uporządkujemy całą gospodarkę. Wasz syn i brat Michał.

Anastazja wysłuchiwała czytanie listu z wielką uwagą, a oczy jej zaszkliły się od łez. Były to jednak łzy przeżywanej otuchy i wielkiej nadziei, że wszystko ułoży się szczęśliwie. Wzięła list od córki, raz jeszcze dokładnie go obejrzała i włożyła za święty obraz, który wisiał nad stołem.

– Bogu dzięki, że żyje – westchnęła cicho. – Matko Boża, miej go w swojej opiece.

Pomimo ciężkich czasów, w domu zapanowała wiara, że nie wszystko jeszcze stracone i, być może, dzieje potoczą się bardziej szczęśliwie.

We wsi trwały, jak co roku, przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia. Jednak nie w każdym domu zanosilo się na wielką radość. Wiele domów było spalonych lub zburzonych. Ludzie z tych rodzin musieli koczować w budynkach gospodarczych, co w obliczu srogiej zimy stanowiło sytuację trudną do zniesienia. Niektórzy zaś przebywali na komornym u sąsiadów lub u dalszych krewnych. W wielu rodzinach przy stole wigilijnym brakował synów lub mężów, którzy walczyli o wolność „naszą i waszą” w nieznanym bliżej miejscu. Były też obawy, czy w ogóle oni jeszcze żyją. Nadal wszędzie obowiązywały rygory wojenne i występowały wszelkie uciążliwości z tym związane. Nastąpiły więc najtrudniejsze czasy od niepamiętnych lat. Wszędzie oczekiwano poprawy i normalizacji życia, nie wiedząc, że prawdziwa gehenna i upokorzenie mają dopiero nadejść...

W rodzinie Andrzeja i Anastazji sytuacja również była mocno przygnębiająca. Gospodarz nadal pogrążony był w słabości, trwającej od czasu frontowego postrzelenia. Dorosły syn przebywał na wojnie, a jego losy cały czas były niepewne. Dwoje małych dzieci i gospodarstwo wymagały ciągłej troski, a wszystko to było na głowie stroskanej i wymęczonej Anastazji, której jak mogły, pomagały dwie dziewczynki – piętnastoletnia Helena i dziesięcioletnia Marysia. W tej całej niedoli często przychodziło jeszcze udzielać

pomocy ludziom znajdującym się w gorszym położeniu – bezdomnym i biednym. Nie było więc czasu, ani sposobności na wielkie świętowanie, ale tradycja musiała być zachowana. Przygotowywano zatem wieczerzę wigilijną, chociaż nikt już nie śmiał liczyć, czy na stole będzie dwanaście straw. Nie starczyło też nikomu sił na postawienie w izbie świątecznego drzewka.

Podczas krzątania nad przygotowywaniem do tych, niezbyt tym razem wesołych świąt, wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Gdy zimowe słońce już mocno przechyliło się ku zachodowi, spoglądająca przez okno Marysia spostrzegła, że uwiązany na łańcuchu Breško radośnie ujada, szarpiąc się, jakby natychmiast chciał do kogoś pobiec.

– Mamo, mamo, Michał jest w domu! – wykrzyknęła nagle.

– Co ty dziecko powiadasz? Przecież Michał jest na wojnie...

– Mamo, mówię, że Michał przyszedł – podtrzymywała nadal Marysia.

Zdziwiona Anastazja sama wyjrzała przez zamrożone okno i w tym momencie rzuciła wszystko z rąk, wybiegając na powitanie niespodziewanie przybyłego syna. Po chwili oboje byli już w izbie. Michał położył niewielki tobołek, który dotąd trzymał w ręce i radośnie witał się ze wszystkimi. Następnie domownicy oglądali go jak poważnie wygląda w mundurze żołnierza Armii Czerwonej. Uradowana matka nie czekając, aż pojawi się pierwsza gwiazdka, nałożyła na miskę trochę przygotowanych już na wigilię potraw i podsunęła synowi.

– Masz, posil się nieco, bo pewnie jesteś mocno wygłodniały.

– Wygłodniały mocno nie jestem, bo miałem kawałek chleba na drogę, ale chętnie spróbuję domowego jedzenia.

– Opowiadaj jak tam jest – odezwał się siedzący pod piecem i milczący dotąd Andrzej. – Gdzie przebywasz, i skąd się wziąłeś w domu?

– Przez cały czas byłem na Słowacji, niedaleko stąd. Tam były silne walki z Niemcami. Przez tydzień szkolili mnie na sanitariusza, a potem już byłem w pobliżu frontu pod Michalovcami. Służę w oddziale lekarskim. Ściągamy z pola bitew rannych, opatrujemy ich i leczymy. Bardziej okaleczonych trzeba odstawić do szpitala.

– Ale skąd się wziąłeś w domu? – ponaglał go ojciec.

– Jak już mówiłem, w samych walkach udziału nie brałem, ale miałem trochę pecha. Podczas ściągania z okopów rannych chłopaków popadłem pod niemiecki ogień i sam zostałem postrzelony. Kula trafiła mnie, przelatując po żebrach. Upadłem zakrwawiony, ale po chwili samodzielnie wstałem i okazało się, że mogę chodzić. Razem więc z innymi rannymi trafiłem do szpitala w Užhorodzie. To jest na Zakarpackiej Ukrainie. Rana nie była bardzo groźna i trzymali mnie tam tylko dwa tygodnie, ale nie wróciłem z powrotem do swojej jednostki, a kazali mi odstawić, razem z kobietą sierżantem, do szpitala w Sanoku kilku innych rannych, którzy wymagali dłuższego leczenia. Gdy powiedziałem jej, że to jest blisko mojego domu, to zgo-

dziła się abym w drodze powrotnej dostał trzy dni przepustki. I oto jestem tutaj. Przyjechałem na parę dni i przez święta będę z wami. Bardzo się cieszę z tego. Ale potem, niestety, muszę jeszcze pojechać do swojej jednostki.

– My też się bardzo cieszymy – odpowiedział mu ojczym. – Widzisz, Michałku, ja dalej jestem słaby i nie wiem, czy do wiosny całkiem wydobrzeję. Bardzo byłbyś potrzebny w domu. Ale jak wojna, to wojna. Musimy się z tym pogodzić.

– Ano musimy się pogodzić – przytaknął mu Michał. – Ale dlaczego nie macie w domu choinki? Pewnie nie było komu przynieść. Zaraz to zrobimy.

Wstał więc Michał od stołu, ubrał się w wojskowy szynel, przepasał i poszedł z siekierą w stronę lasu. Po godzinie wrócił z niewielkim drzewkiem, osadził go w stojaku i ustawił w kącie.

– Teraz święta już będą inne. Jak zawsze, będzie choinka – powiedział, spoglądając czy drzewko stoi prosto.

– Będą święta weselsze – zauważyła Anastazja, – ale nie z powodu drzewka, a dlatego, że ty, synku, jesteś z nami.

– Ja też się cieszę – odpowiedział Michał. – Przypomniałem sobie, że mam jeden problem. Jak wysiadałem z pociągu w Kulasznie, to zapomniałem zabrać przepustki. Chodzi o taki papier, że mogę pojechać do domu. Sierżant zauważyła to i chciała mi podać przepustkę przez okno, ale pociąg już szybko jechał i tak już pozostało.

– To nic – pocieszał go Andrzej. – Przecież nikt tu nie będzie ciebie sprawdzać. Potem pojedziesz i będzie po wszystkim.

Święta przemijały w rodzinnej atmosferze. Choć było ciężko, wszyscy byli pewni otuchy i nadziei, że zły los może odwróci się i wszystko będzie jak dawniej. Po wspólnym śniadaniu, w trzeci dzień świąt, Michał wstał od stołu i zwrócił się do matki:

– Było fajnie w domu, ale jutro muszę już odjeżdżać. Pójdę jeszcze do Przybyszowa odwiedzić babcię z dziadkiem. Już dawno ich nie widziałem i nie wiadomo, kiedy następnym razem tu przyjadę.

– Idź synu, tylko nie bądź tam długo.

Mijało już południe i zbliżał się wieczór, a Michał ciągle nie wracał. Wieczorem przybiegł z Przybyszowa Piotr, najstarszy syn Mikołaja, z nie dobrą wiadomością.

– Ciociu – zawołał od progu, – w Przybyszowie była obława na dezertorów. Schwytali Michała, a on nie miał przepustki i od razu zabrali go ze sobą. Chyba został zaaresztowany, bo poprowadzili go pod karabinem, nawet nie pozwolili mu z nikim się pożegnać. Kazał powiadomić was o tym.

– A dokąd go poprowadzili? – zapytała strwożona Anastazja.

– Dokładnie nie wiem. Mieli więcej chłopaków. We wsi był samochód. Zapakowali ich do środka i odjechali.

Wiadomość była przygnębiająca. Z uciekinierami z armii rozprawiano się srogo. Nie było dokąd pójść i kogo prosić o pomoc. Wszystkich nurto-
wało pytanie jak wyjaśnić, że Michał nie był dezerterem, a tylko omyłkowo
nie zabrał ze sobą przepustki. Jeszcze kilka tygodni wcześniej we wsi stało
wojsko rosyjskie, a w domu Priadków kwaterowali dowódcy. Ponieważ
front przesunął się dalej, to ich teraz już tu nie było. Anastazja próbowała
dowiadzać się czegoś na Milicji w Bukowsku, ale tam wiedzieli tylko tyle,
że schwytanych dezerterów zabrano na miejsce zgrupowania i mieli odsta-
wić ich do kompanii karnej przy polskich oddziałach wojskowych. Pozosta-
ło więc tylko bezowocne oczekiwanie, że może jeszcze nadarzy się sposob-
ność do załagodzenia sprawy.

Na trzeci dzień niespodziewanie w domu pojawił się oficer Armii Ra-
dzieckiej w stopniu lejtnanta¹, który wcześniej przez jakiś czas zamieszki-
wał w tym domu. Widząc posępne miny domowników, a zwłaszcza zapła-
kane oblicze Anastazji, zapytał:

– *Szto słuczilos*²?

– A stało się coś strasznego – odrzekła Anastazja, obcierając łzy. – Nasz
syn dostał przepustkę z wojska za dobre sprawowanie się. Był tu przez całe
święta, ale potem była obława na dezerterów, a on nie miał papieru, że może
tu być, bo jego sierżant zapomniała mu oddać, gdy wysiadał z pociągu. Za-
brali go w niewiadomym kierunku i nie wiem co z nim teraz będzie. Mówią,
że popadnie do karnej kompanii. A on przecież był wzorowym żołnierzem.

– Nie płacz, matka – odrzekł rosyjski porucznik. – Zaraz dowiem się do-
kąd go zabrali i sprawę wyjaśnimy.

Oficer posilił się, porozmawiał jeszcze przez chwilę i odjechał samo-
chodem, mówiąc, że gdy się czegoś dowie to zrobi co będzie mógł i da znać.
Na drugi dzień pojawił się ponownie, ale niestety, nie miał pomyślnej wia-
domości.

– Byłem w sztabie dowództwa polskiego w Dukli i pytałem o schwyta-
nych dezerterów, ale było już za późno. Dzień wcześniej zabrali ich wszyst-
kich z miejscowego aresztu i odwieźli w pobliże frontu, w stronę Krakowa.
Wszyscy mieli trafić do kompanii karnej. Już niczego nie mogłem zrobić i
jest mi przykro z tego powodu.

– A jak tam jest w tej kompanii karnej? – zapytał Andrzej. – Czy oni tra-
fią pod sąd, czy też będą ich karać w inny sposób.

– Jeżeli dostali się do kompanii karnej – wyjaśniał oficer, – to już zostali
ukarani. Inaczej ich nie będą sądzić, bo ludzie na wojnie są potrzebni, a
kompaniom karnym przydziela się najtrudniejsze zadania. Nie będę was
kłamać, że tam jest ciężko, ale jeszcze nic nie jest stracone. Tam też żołnie-
rze żyją.

¹ Odpowiednik porucznika w wojsku polskim (ros.)

² Co się wydarzyło (ros.)

Wyjaśnienie dla strapionych rodziców nie było pocieszające, ale zawsze to istniała jeszcze nić nadziei, że nie wszystko stracone. Przecież wojna nie będzie wiecznie trwać i kiedyś skończy się ta gehenna. Nie pozostało nic innego, jak tylko cierpliwie czekać i prosić Boga o łaskawe pokierowanie losami nieszczęsnego syna. Pozostawała tylko gorycz, że ślepa dola tak okrutnie obchodzi się z ludźmi i wszyscy są bezsilni w obliczu jej wyroków. Dlaczego ci, od których zależy los innych osób, są tacy bezduszni i nie chcą dać wiary zeznaniom ludzi uczciwych? Dlaczego tak się stało?

* * *

Zima w 1945 roku była mroźna, jak wszystkie zimy w tej okolicy. Wszyscy oczekiwali na jej zakończenie. Spodziewano, się, że jeżeli przeminie chociaż ta uciążliwość, to może powoli zaczną znikać i inne kłopoty. W wielu domach oczekiwano na powrót najbliższych z wojny. Niektórzy myśleli o tym, w jaki sposób odbudować swoje zabudowy, zniszczone w wyniku działań wojennych. Andrzej Priadka powoli wracał do zdrowia. Był, co prawda jeszcze mocno słaby, ale jego zdrowie ustabilizowało się. Nie leżał już w łóżku, a nawet zaczął wykonywać lżejsze prace. Wszyscy żywili nadzieję na lepsze czasy i bardzo oczekiwano zakończenia wojny.

Mrozy już powoli ustawały, dzień robił się dłuższy, a słońce wspinało się coraz wyżej na firmamencie. Zaczęły ukazywać się pierwsze symptomy zbliżającej się wiosny. Myślano już więc w jaki to sposób niedługo zabrać się do prac polowych. We wszystkich wstępowała nowa nadzieja.

Nadzieję tę jednak niespodziewanie przerwał złowieszczy list, jaki nadszedł w połowie marca. Na kopercie były stemple urzędowe, a wewnątrz pisemko wykonane na maszynie i opatrzone pieczęciami z orłem. Treść jego była równie krótka, co posępna:

Wojskowa Komenda Uzupełnień w Przemyśle zawiadamia Anastazję Priadka vel Zachar, że syn Michał Zachar, urodzony w 1924 roku zginął śmiercią żołnierską na froncie wojennym w dniu 17 lutego 1945 roku i został pochowany w mogile żołnierskiej Nr 2 we wsi Zaldzebratnia¹.

Wiadomość ta raniła serce i tak już ciężko doświadczonej przez życie Anastazji. Wyszukiwanie słów dla opisanie nowej goryczy i żalu byłoby

¹ W nazwie miejscowości zakradł się błąd i z jej brzmienia nie można ustalić faktycznego miejsca pochówku Michała; próby w tym zakresie zostały podjęte dopiero w czasie pisanie tej opowieści. Z otrzymanej później z Centralnego Archiwum Wojskowego kopii dokumentu sporządzonego na froncie wynikało, że nazwy miejscowości w dokumencie wcale nie wymieniono, a jedynie była zmianka o treści: "pochowany w mogile bratniej naprzeciw zawoda". W terminie „naprzeciw zawoda” widoczny jest rusycyzm, a oznaczać miał on „w mogile naprzeciwko fabryki”.

daremne, aby choć w przybliżeniu przedstawić cierpienie, jakiemu poddana została biedna matka. W jednej chwili przepadło dwadzieścia jeden lat matczynej troski o wychowanie syna. W gruzach legł cały świat i nadzieja na lepszy los w przyszłości. Rodziło się wiele pytań, jak żyć dalej z dziećmi i chorym mężem. Chciałaby wiedzieć, co tak naprawdę stało się z Michałem, jak wyglądała jego śmierć i kto był przy jego umieraniu. Niewiadomym było, czy umarł od razu od złowrogiej kuli, czy też męczył się nieborak w ciężkiej chorobie.

KARTA EWIDENCYJNA Nr 456		Rok
zabitego, zmarłego lub zaginionego bez wieści		Nr teczki Nr rej.
Podstawa: stara karta ekw. m. Spis 318 Dyw. Armii Czerw. Nr. 0300 z dnia 6.5.45r.		Strona poz.
1. Nazwisko	Lachar	
2. Imię i imię ojca względnie matki	Michał	Stefan
3. Stopień wojskowy stanowisko i specjalność	szereg.	
4. Data i miejsce urodzenia	1924	Sanok
5. Wyznanie		
6. Kiedy i przez jakie RKU został powołany	Sanok	
7. Jednostka wojskowa	1331 Strzel. P. 318 Dyw. Arm. Czerw.	
8. Przyczyna i data śmierci	zabity	23.2.45r.
Zam. Nr 175. — II. 1949.		
		
9. Miejsce pochowania (dokładne położenie mogiły)	Brzoška mogiła Nr. 1. cmentarz drogi przebieg Zawady	
10. Dokładne określenie mogiły na mapie		
11. Uwagi o przeniesieniu mogiły		
12. Stosunek pokrewieństwa, oraz nazwisko imię i imię ojca	matka Anastazja	
13. Adres rodziny	m. Potonna, pow. Sanok, woj. Krakowskie	
14. Data i Nr pisma za jakim wysłano zawiadomienie do RKU		
15. Wydano zaświadczenie o śmierci, data i Nr zaświadczenia		
<i>Anastazja</i> 1.12.49r. Kierownik sekcji podpis wyznającego kartę data		

Karta ewidencyjna w sprawie śmierci Michała, syna Anastazji, jaka znajduje się w Centralnym Archiwum Wojskowym. Z dokumentu wynika, że nie zostało odnotowane miejsce śmierci ani pochówku..

Rozmyślania te nie przynosiły żadnego efektu, ale życie jest twarde i należało oprzeć się cierpieniom. Należało żyć dalej i troszczyć się o najbliższych. Rodziło się jednak pytanie jak temu wszystkiemu podolać. A może to tylko jakaś pomyłka i syn lada dzień zakołacze do drzwi? Wątpliwości narastały, a w jaki sposób to wszystko sprawdzić, nie było żadnej porady. Przypomniła sobie więc Anastazja, że w Wisłoku jest wróżka, co umie odgadnąć i przepowiadać losy ludzkie. Może by tak ją zapytać? Postanowiła więc nieszczęsna kobieta wybrać się do jasnowidzki, aby potwierdzić tę złą wiadomość, a może powrócić jeszcze z nadzieją, że syn żyje.

Po upływie kilkunastu dni od otrzymania tragicznej wiadomości, w niedzielny poranek, po wykonaniu najpilniejszych prac, przyodziła się Anastazja w cieplejsze ubranie i pieszo wybrała do Wisłoka Górnego. Droga miała prowadzić przez las i wysokie wzgórza. Miała zamiar dojść tam przed południem, dowiedzieć się co będzie można, odpocząć nieco u Katarzyny Matejko, bratanicy Andrzeja, i powrócić na wieczór. Andrzej odradzał jej podejmowanie takiej wyprawy, bowiem sam był jeszcze słaby i nie chciał, aby przysparzać sobie nowych kłopotów. Postanowienie żony było jednak zdecydowane i nikt nie był w stanie odwieść jej od tego zamiaru.

Wszyscy domownicy oczekiwali z niepokojem na jej powrót. Oczekiwanie to nie było jednak tak długie, jak to przewidywano, bo już około południa Anastazja powróciła do domu.

– Jak ty tak szybko mogłaś powrócić z Wisłoka? – zapytał żonę zdziwiony Andrzej.

– Nic nie wyszło z mojej wyprawy. Nie doszłam do Wisłoka, bo w lesie pod Kamieniem stoi partyzantka ukraińska i nikogo nie przepuszczają. Już napotkani ludzie mówili mi, abym tam nie szła. Ja jednak chciałam dopiąć swego, ale gdy uszłam jeszcze z milę to sama ujrzałam pod lasem mnóstwo mężczyzn z karabinami. Niektórzy mieli konie. Stali tam w dużych gromadach i bardzo głośno o czymś rozprawiali. Pomyślałam, że lepiej tam nie iść, ażeby nowej biedy sobie nie napytać.

– Bóg ci dał rozum, kobieto – pochwalił ją Andrzej. – Dobrze zrobiłaś, że nie poszłaś dalej. Oni nie chcą, żeby ktoś przypatrywał się ich kryjówkom, a poza tym naprawdę mogliby zrobić ci krzywdę. Mamy dosyć biedy i nie trzeba szukać sobie innej.

– No tak, mamy dosyć biedy – przytaknęła mu Anastazja. – Teraz już nie pozostało nic innego, tylko czekać. Może ktoś powróci z wojny i opowie co stało się z Michałem.

– Nic nie poradzimy na losy wojny. Żal chłopaka, ale musimy pamiętać się, że nie on jeden zginął. Widocznie już tak musiało być – pocieszał Andrzej borykającą się ze zgryzotą żonę¹.

* * *

Stan zdrowia Andrzeja powoli poprawiał się. Nie był jeszcze tak mocny jak przed zranieniem, ale siłą woli wracał do zdrowia. Pewnie wiedział, że nie nadszedł dla niego jeszcze czas ostateczny i musi spełniać nadal swoje powinności. Przeświadczenie takie podtrzymywało go na duchu i dodawało sił do dalszego zachowania. Z wiosną działania wojenne odsunęły się w dalekie strony, a potem nadeszła wiadomość o całkowitym zakończeniu tej okrutnej wojny. Ludzie mieli wreszcie nadzieję na powrót do normalnego życia i ostrożnie snuli plany co do swojej przyszłości. Wojna poważnie nadwyreżyła kondycję wszystkich gospodarstw, spowodowała dużo cierpień i strat w ludziach. Wiele rodzin oczekiwało powrotu swoich bliskich z armii oraz z prac przymusowych, na jakie byli wywiezieni przez Niemców. Wyglądano nawet tych, o których oficjalnie było wiadomo, że nigdy nie powrócą. Mówiono, że pomyłki trafiają się wszędzie i może otrzymane zawiadomienia o śmierci żołnierskiej nie były prawdziwe. Cuda takie zdarzały się jednak niezwykle rzadko, chociaż opowiadano, że tu i ówdzie powrócił czyjś syn, czy mąż, którego uznano wcześniej za poległego.

Niestety, taka stabilizacja, jakiej wszędzie oczekuje się po przejściu nawałnicy wojennej, nie była przeznaczona dla ludności zamieszkującej od wieków tereny Bieszczad i Beskidu Niskiego. Teraz miało okazać się, że miniona wojna, chociaż okrutna i wycieńczająca, stanowiła tylko łagodny wstęp do tego, co wkrótce miało nastąpić. Już samo wycofywanie się wojsk niemieckich i przemarsz przez te tereny Armii Czerwonej, pomijając działania frontowe, były wydarzeniami nadzwyczaj uciążliwymi dla biednych na ogół łemkowskich gospodarstw. Reguły wojny, chociaż srogie, były jednak przejrzyste. Było wiadomo gdzie jest wróg i czego należy się wystrzegać. Była też nadzieja, że każdy dzień przybliża rozstrzygnięcie sytuacji. Teraz jednak nadchodziło położenie o wiele straszniejsze. Wróg nie pochodził z zewnątrz i nie nosił wrogich emblematów. Był na miejscu i przychodził znienacka.

¹ Kilka miesięcy po zakończeniu wojny, gdy do domu powrócił jeden z towarzyszy broni, wyjaśniły się okoliczności śmierci Michała. Zdarzenie miało miejsce niedaleko od Krakowa (dokładnie miejscowości dotychczas nie ustalono). Oddziały polskie i niemieckie rozdzielała rzeka. Michał utrzymywał zajęty budynek (chyba szkolny). Niemiecki żołnierz puścił serię wystrzałów po oknach i Michał został śmiertelnie trafiony w brzuch. Agonia trwała ponad dwie godziny, podczas której nieszczęśnik przywoływał najbliższych spośród rodziny, a najczęściej przy tym wspominał siostrę Marysię.

Rozpoczęta przez organizacje ukraińskie na terenach Galicji, jeszcze w czasie trwania drugiej wojny światowej, walka narodowo-wyzwoleńcza godziła w interesy ówczesnego państwa polskiego i była również zwalczana przez czerwonego „brata” ze wschodu, któremu także nie odpowiadała idea powstania niezależnego państwa ukraińskiego. W te zwalczające się ideologie państwowe szybko wplątano interesy społeczeństw żyjących od wieków na terenach Podkarpacia. Wszczyniane walki i różnego rodzaju prowokacje czyniły z dotychczasowych sąsiadów zaciętych wrogów, zmuszonych z konieczności bronić swych interesów życiowych. Pomimo różnych poglądów na ten temat, opisanych w wielu mniej lub bardziej obiektywnych opracowaniach, należy jedno stwierdzić z całym przekonaniem, a mianowicie to, że ludzie z żadnych zwaśnionych stron – pomijając przywódców na wyższych szczeblach – nie mieli swojego przekonania co do słuszności jakichkolwiek działań. Po prostu byli wprowadzani w błąd i zmuszani do przyjmowania reakcji obronnych. Stwierdzenie to należałoby dodatkowo uzupełnić, że również i większość przywódców z obydwu stron opierała się na fałszywych przesłankach, przedkładanych im przez ludzi o złej woli.

Miejscowej ludności nie było dane dokonywanie jakichkolwiek ocen politycznych w tym zakresie. Oni po prostu przeżywali swoją hekatombę, na jaką w żaden sposób nie zasłużyli. Tu nie było polityki, lecz z dnia na dzień zmagano się ze śmiertelnymi zagrożeniami i znoszono najrozmaitsze upokorzenia. Z jednej strony nieustanne żądania pomocy dla podziemnych oddziałów partyzantki ukraińskiej, a z drugiej ciągłe restrykcje urządzone przez regularne oddziały wojskowe państwa polskiego. Państwa, które według wszelkich prawideł powinno zapewnić bezpieczeństwo swojemu narodowi, a tymczasem zgotowywało piekło nie do zniesienia. Dodać do tego należałoby, że w ramach działań podejmowanych przez oddziały wojskowe do głosu dochodzili ludzie z marginesu moralnego, którzy po prostu wiedzieli, że muszą nienawidzić, a żadne uzasadnienie do tego nie było im konieczne. Bywało i odwrotnie: w ramach tych samych grup operacyjnych trafiali się żołnierze, którzy nie kierowali się ślepą nienawiścią, a mieli w sobie coś z człowieczeństwa i człowieka widzieli również w innych ludziach, niezależnie jakim językiem się posługują.

Tak więc już od lata w 1945 roku nastąpiło wielkie nasilenie w zwalczaniu się dwóch sił politycznych i militarnych, w wyniku których największe cierpienia odnosili mieszkańcy podkarpackich wsi. Skłócono skutecznie również dotychczasowych sąsiadów, którym wcześniej do głowy nie przychodziło, że należy patrzeć na siebie jak na wrogów. Jesienią tego roku zaczęły nasilać się zwykle rabunki, przeprowadzane przez polskich sąsiadów z Bukowska i Niebieszczan. Bywało też, że pod osłoną nocy w rabunkach tych brali również polscy żołnierze. Dla przeciwdziałania temu miejscowa ludność zorganizowała we własnym zakresie samoobronę. Organi-
za-

cja ta głównie miała za zadanie niedopuszczenie do nocnych napadów, a dla odstraszenia służyła broń palna, ściągana jeszcze w czasie wojny ze Słowacji. Potem część ludzi z samoobrony przeszła do zbrojnych organizacji podziemnych.

Następnie niemal codziennie miały miejsce nocne wizyty ludzi z oddziałów podziemnej armii ukraińskiej, nazywanych przez stronę polską bandami. Przychodzili dużymi grupami, każąc przygotowywać sobie posiłki i wspomagać różnym wyposażeniem. Były też przypadki, że siłą wciągano dorastających synów do swoich oddziałów¹. Aby tego uniknąć często wizyty takie łączyły się z ucieczką z domu młodych mężczyzn, a niekiedy również dziewczyn, które były narażane na inne niebezpieczeństwo. Po odejściu oddziałów partyzanckich w dzień odbywały się naloty, przeszukiwania i rewizje, przeprowadzone przez wojsko polskie. Wizyty te były często połączone z szykanami, chłostami oraz z rabunkiem. Pod byle pretekstem wymierzano kary cielesne, zabierano mienie, inwentarz i nakazywano różne dodatkowe świadczenia. Za najmniejszą odmowę, lub posądzenie o odmowę, groziły straszliwe kary, często połączone z wynaturzeniem.

Jak to zawsze bywa w przypadkach takiej nieczystej wojny, największe restrykcje skierowane były w pierwszym rzędzie w inteligencję. Wyniszczono więc najpierw niemal wszystkich księży grekokatolickich, nauczycieli i inne osoby wyżej postawione. Eksterminacja taka połączona była nierzadko z wielkimi okrucieństwami, których nie da się uzasadnić jakimikolwiek racjami państwowymi. Znane są więc przypadki wyrwania księżom paznokci, przyciskania dłoni domykanyymi drzwiami i inne nieludzkie tortury, o których trudno wspominać bez popadnięcia w stan wielkiego przygnębienia.

Różne przykre zdarzenia dotyczyły niemal każdej rodziny, a w miarę upływu czasu ta powszechna, zbrodnicza psychoza nie zmniejszała się, a wręcz przeciwnie: ciągle przybierała na siłach. Jednym z pierwszych takich

¹ Przykładowo jeden z siostrzeńców Andrzeja, Michał Birosz, został wcielony do oddziałów UPA, a gdy starał się stamtąd uciec, został skazany na śmierć. Czekał na egzekucję, przywiązany przez noc do drzewa, przy pomocy innych ludzi uwolnił się i uciekł ponownie. Tym razem wyjechał do pracy w kopalni na Śląsku, a potem na ziemie zachodnie. W odwecie mocno pobito jego matkę.

Innym, bardziej drastycznym, przykładem złego traktowania przez przywódców podziemia zbrojnego swoich ludzi było najście na zabawę taneczną w Woli Piotrowej przez oddziały Chrina. Porwano tam i wcielono siłą do UPA jedenastu młodzieńców w wieku od 17 do 20 lat. Chłopcy ci po kilku tygodniach porzucili swoje oddziały i puciekali do domów. Jednak jednoręki przywódca odnalazł ich wszystkich, a następnie wykonał na nich wyrok śmierci, wieszając na kablach telefonicznych w pobliskim lesie.

W Płonnej zdarzyło się natomiast, że do jednego z domów przyszła bojówka UPA w celu rozliczenia się z gospodynią posądzoną, że donosi na nich do władz polskich. Kobietę w tym czasie akurat gliną uszczelniała wewnątrz piec chlebowy. Siłą wyciągnięto ją z pieca za nogi i na oczach siedmiorga dzieci rozstrzelano bez jakiegokolwiek sądu.

przykrych zdarzeń, jakie dotknęły rodzinę Anastazji, było okrutne zabójstwo jej bratanka – Piotra, syna Mikołaja, zamieszkałego na ojcowiznie w Przybyszowie. Otóż po jednej z rewizji we wsi, przeprowadzanej przez polskich żołnierzy, kazali oni odwiedzić się do pobliskiego Bukowska. Dziewiętnastoletni Piotr zaprzągnął więc do wozu parę koni i pojechał z żołnierzami do wskazanej miejscowości. Było duże zaniepokojenie w domu, gdy pomimo upływu niemal całego dnia, chłopak nie wracał. Domownicy wyruszyli więc na poszukiwania. Doznano wielkiego szoku, gdy w krzakach łożowych znaleziono zaprzęg konny, a na nim okrutnie zmasakrowane ciało Piotra. Była to zbrodnia niczym nieuzasadniona, ponieważ wcześniej żołnierze nie mieli do nikogo z tej rodziny żadnych pretensji, a sama ofiara również niczego zakazanego nie uczyniła. Wydarzenie to ugruntowało poczucie wielkiego żalu i niesprawiedliwości.

Pod koniec 1945 roku udało się ponownie Andrzejowi nawiązać kontakt ze swoimi dziećmi zamieszkałymi w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Pierwszy list przyszedł od Marysi, która pisała, że cała piątka utrzymuje ze sobą kontakty i że dwaj bracia – Paweł i Andrzej szczęśliwie powrócili z wojny. Paweł ma się dobrze, natomiast Andrzej, który walczył na Oceanii z Japończykami, powrócił mocno osłabiony przez malarię, jakiej nabawił się w tropikalnym klimacie. W kilka tygodni później list przyszedł również od Pawła. List był długi i wzruszający. Na uwagę zasługuje fragment, w którym opisywał on pobieżnie przebieg swoich frontowych dziejów:

...I chcę was, kochany papo, poinformować, że przez ponad półtora roku służyłem w armii amerykańskiej. Wcielono mnie na początku 1944 roku i po przeszkoleniu w Wirginii zostaliśmy przetransportowani do Anglii. Tam czekaliśmy dwa miesiące, aż wreszcie przerzucono nas do Normandii we Francji. Tam było bardzo ciężko. Przez morze przeprawiało się tak dużo wojska, że nie sposób opisać. Żołnierze płynęli na wszystkich, co mogło utrzymać się na wodzie – na dużych okrętach wojennych, handlowych, na łodziach rybackich, a nawet na jachtach żaglowych. Niemcy mocno strzelali do nas z czego tylko się dało. Potem przeszedłem z armią przez całą Francję i Niemcy, aż do Austrii i dalej do Czech. Bywało różnie, nieraz bardzo ciężko, ale najważniejsze, że przeżyłem...

...Chcę jeszcze, papo, napisać wam, że mało co, a po zakończeniu wojny odwiedziłem was w Polsce. Otóż po przejściu Austrii staliśmy w czeskim mieście Pilzen, gdzie nasze wojska spotkały się z wojskami rosyjskimi. Potem ogłoszono, że wojna jest zakończona. Ponieważ umiem rozmawiać po ukraińsku i po polsku, to dowódca wziął mnie na tłumacza i pomagałem przeprowadzać rozmowy pomiędzy Amerykanami i Rosjanami. Za pomoc taką dowódca mnie polubił, więc poprosiłem, czy nie pomógłby mi odwiedzić swojego ojca, bo mieszka blisko naszego miejsca postoju. Dowódca zgodził się, dał mi dwa tygodnie urlopu i jeszcze samochód, żebym miał czym do was przyje-

chać. Niestety, nie udał mi się ten wyjazd, bo Rosjanie mnie nie wpuścili dalej. Bardzo się zdziwiłem, gdyż myślałem, że jak razem walczyliśmy przeciwko Niemcom, to oni są naszymi sojusznikami. Rosyjski oficer powiedział mi, że nie może mnie puścić, bo u was jest bardzo niespokojnie i jeszcze mogliby mnie tam zabić, a samochód zabraliby. Bardzo mi tego szkoda, ale mam nadzieję, że jak wszystko się uspokoi, to do was jeszcze przyjadę. Teraz pracuję w marynarce handlowej i pływam statkiem do Anglii...

Andrzej przerwał na chwilę czytanie listu i zwrócił się do żony:

– Dobrze zrobili Rosjanie, że go tu nie puścili, bo na pewno żywy stąd by nie wyjechał. Dobrze, że zakończyła się dla nich ta wojna. Może i tu niedługo będzie spokój. Wiecznie przecież tak nie może być.

– Biedak nie wie, że Michałowi nie udało się tej wojny przeżyć. Napisz mu o wszystkim. On tak bardzo lubił Michała, a Michał tęsknił po jego wyjeździe. Nie wiedzieli wtedy, że żegnają się na zawsze.

– Tak, nie wiedzieli... Nikt nigdy nie wie co go czeka w przyszłości.

Rzeczywiście nikt nie wie co go czeka w przyszłości. Nie wiedzieli też i mieszkańcy Płonnej, kiedy zakończy się to ich nękanie. Wszyscy oczekiwali spokoju, gdyż dalej tak żyć się nie dawało. Tymczasem upragniony spokój nie nadchodził. Wręcz odwrotnie: prześladowania nabierały na sile. Przez cały czas dochodziły wieści o nowych zbrodniach, popełnionych w różnych miejscach, a których nie dało się niczym wytłumaczyć. Czyż uciążliwością, jakie dla państwa polskiego stanowiło ukraińskie podziemie zbrojne, można usprawiedliwić przeprowadzane eksterminacje na ludności cywilnej? Widocznie przyjęto bardzo prostą, chociaż okrutną strategię: pozbyć się lub wyniszczyć ludność ukraińską, a partyzanckie oddziały nie będą miały swojego naturalnego wsparcia i po jakimś czasie zmuszone zostaną do zaprzestania swojej działalności. Palono więc całe wsie. Kładąc się spać nikt nie był pewien, czy ze snu nie obudzi go trzaskanie płomieni, wydobywających się z własnego zabudowania. Co noc widoczne były łuny z palonych wsi w różnych kierunkach.

Pamiętnym wydarzeniem było palenie się pobliskiego Karlikowa, jak to niemal przez całą noc – oprócz wrzasków, zawodzenia i jęków ludzkich – na okolicę rozlegał się przeraźliwy ryk spalanych żywcem w oborach zwierząt, a dymy zasłały całą okolicę. Innym przerażającym wydarzeniem było wymordowanie wszystkich ludzi w Zawadce Morochowskiej – wiosce położonej w pobliżu Mokrego, pomiędzy Płonną a Zagórzem. Ocalało w niej tylko kilka osób. Nie da się opisać bólu człowieka, który przez przypadek ominął tej rzezi, gdy powracając z lasu, gdzie rąbał drewno na opał, ujrzał leżącą na gnojowniku swoją całą rodzinę, w tym żonę w ciąży. Przykłady takich okrucieństw można byłoby mnożyć, ale dla ich przedstawienia konieczne byłoby oddzielne opracowanie.

Płonę przez jakiś czas szczęśliwym trafem omijały zdarzenia o szczególnie tragicznym wydźwięku. Nie miało to jednak trwać zbyt długo. W wyniku wzajemnych utarczek, może nieco dla ochrony własnej ludności, a może też w odwecie, w górnym końcu wioski pod koniec lutego 1946 roku nieznani sprawcy zabili trzech polskich żołnierzy. Wydarzenie to napęliło trwogą wszystkich mieszkańców. Wiedziano, że władza nie będzie ścigać konkretnych sprawców tego mordu, a zostaną podjęte środki odwetowe na większej grupie ludzi. Kwaterujący w tym czasie w mieszkaniu Anastazji i Andrzeja żołnierz polski o wyższej randze przestrzegali:

– Panie Priadka, źle zrobiono, zabijając tych chłopców. Szkoda ich, ale w skali dużego państwa, jak na działania wojenne, to jest strata niezauważalna. Władza nie podaruje jednak takich postępków i zobaczycie, że na pewno Płonna na tym srodze ucierpi.

– Dlaczego, panie oficerze – dopytywał się zatrwożony Andrzej – mieliby cierpieć wszyscy ludzie? Przecież my temu nie jesteśmy winni. Trzeba ukarać tych, co to zrobili.

– Słusznie mówicie, ale tak nie będzie. Władza nie lubi, ażeby przeciwko niej występować i na pewno zemsta dotyczyć będzie całej wioski. Ja tego nie pochwalam, ale zobaczycie, że tak się stanie. Nie wiem kiedy i w jaki sposób, ale tak będzie, bo znam takie przykłady.

Oficer pewnie wiedział co mówi, a na sprawdzenie się tych kasandrycznych słów nie trzeba było czekać zbyt długo. W pierwszym dniu marca od samego rana do wsi zjechało mnóstwo samochodów z uzbrojonymi żołnierzami. Rozprowadzano wojsko po wsi i wydawano rozkazy. Niczego dobrego to nie wróżyło, ale ludzie nie wiedzieli na co się zanoszą. Przed samym południem mieszkańcy wszystkich domów otrzymali polecenie pod groźbą śmiertelnej kary, aby natychmiast spakować się i opuścić wioskę. Andrzej w tym czasie akurat był obłożnie chory i, nękany wysoką gorączką, oświadczył, że choćby go zabili, to nigdzie się z domu się nie ruszy, bo wyjście z pościeli na zamrożoną i pokrytą jeszcze śniegiem ziemię dla niego tak samo oznaczałoby śmierć. Wobec tego woli umierać bez zbędnych, dodatkowych cierpień. Taką kategoryczną odmowę, dobrze i stanowczo umotywowaną, uwzględnili żołdacy i pozostawili w domu człowieka schorowanego, w podeszłym już wieku. Niestety kara za nieswoje grzechy nie ominęła Anastazji i gromadki jej dzieci. Zawinęła więc w płachtę niespełna trzyletniego Andrzejka, wzięła za rękę sześciolletnią Zosię, obutą w dziurawe chodaki, i razem z dwoma starszymi córkami wyruszyła przed siebie.

Szli tak biedni ludziska po zamrożonej i ośnieżonej drodze w stronę Kulasznego, lżeni i popędzani przez rozjuszonych żołnierzy. Krajało się z żalu matczyne serce, gdy zmęczona, rozżalona i wystraszona musiała spoglądać, jak córki co chwilę przystają i starają się onucami zatykać dziury w zniszczonych i przemoczonych chodakach. W Kulasznem zebrano wszyst-

kich pod gołym niebem na polanie w pobliżu stacji kolejowej i kazano czekać nie wiadomo na co. Nikogo nie obchodziło, że ludzie z małymi dziećmi są zziębnięci i głodni. Nie było u kogo poprosić pomocy, ani gdzie poskarżyć się. Anastazja w desperacji, a głównie w trosce o dzieci, w nocy dopatrzyła się nieuwagi pilnujących ich żołnierzy i chyłkiem przedostała się przez ogrodzenie, przeszła obok kilku zabudowań i poprosiła o pomoc u znanej wcześniej polskiej rodziny. Dobrzy ludzie, z własnym narażaniem się, pomocy takiej nie odmówili. Otulili dzieci i nawet nakarmili resztką strawy, pozostałą z dnia wczorajszego. Pod osłoną kolejnej nocy Anastazja okrężną drogą, poprzez pola i lasy, chyłkiem powróciła do domu, nie wiedząc, czy zaraz nie spotka ją jeszcze większa kara za sprzeniewierzenie się otrzymanym rozkazom wszechmogącej władzy.

Pojawieniem się w domu żony z dziećmi bardzo zdziwiony i uradowany był Andrzej. Kazał sobie w szczegółach przedstawić całe zajście, a następnie, bezradny przez dłuższy czas nic nie mówił, tylko żałośnie wzdychał. Po dłuższej chwili odezwał się:

– Wiesz Nastio, jak was wygnali, to na drugi dzień pojawił się u mnie Jędrzek Kamiński i, bardzo uradowany, opowiadał różne niestworzone rzeczy.

– A co takiego Jędrzek, ten powsinoga, mógł opowiadać?

– A mówił, że od dawna było wiadomo, że my tu życia nie będziemy mieli. Mówił tak: *wiecie Priadka, i tak was tu wszystkich nie będzie. Niedługo przyjdzie czas, że ja na waszej ziemi będę gospodarzyć, a o was nikt tu nawet nie wspomni.*

– I co, mogłeś tego słuchać? Trzeba było dziada wygonić.

– Tak, trzeba było go wygonić. Tylko jak ja, chory mogłem to zrobić? A po drugie, to nie wiem, czy on prawdy nie mówił. Musiał to wszystko gdzieś słyszeć, przecież chodzi po różnych miejscach. Myślę, Nastio, że dla nas ciężkie czasy nadchodzą...

Na jeszcze cięższe czasy faktycznie nie trzeba było czekać zbyt długo. Przez cały marzec ludzie nękani byli w dzień i w nocy. Jedna siła militarna ścigała drugą, a wszystko odbijało się uderką na biednych ludziach. Nie było dokąd przed tym uciec. Wydawało się, że nie może już być gorzej, gdy tymczasem nastał koniec marca. Ledwie śniegi znikły z pól i czas był myśleć o pracach wiosennych, a do wioski ponownie wtargnął większy niż zazwyczaj oddział wojska polskiego. Ponownie obstawiono wszystkie domostwa i sterroryzowano mieszkańców. Niektórzy przygotowywali się już nawet na nowe wygnanie, gdy tymczasem w wielu miejscach zaczęły pojawiać się pożary. Najpierw zapalano zabudowania w górnym końcu wioski, a potem podpalacze przenosili tę straszliwą falę zniszczenia do części środkowej i aż do dolnego końca. Podpalano co się dało, a ponieważ w większo-

ści zagród wszystkie budynki, to znaczy mieszkanie, stodoła i obora, stanowiły jedną całość, paliły się całe domostwa.

W gospodarstwie Andrzeja i Anastazji ogień podłożono w budynku mieszkalnym i nie pozwolono na podejmowanie próby gaszenia, aż nastąpiło rozgorzenie całego domu. Przerażone dzieci stały na podwórku i wrzeszczały z rozpacz. Dorośli natomiast starali się wydobyć z płonącego domu to, co było ważniejsze. Niewiele jednak udało się wynieść z pożogi oprócz części ubrań, niektórych dokumentów, skromnych zasobów gotówki, jaka ukrywana była dotychczas na czarną godzinę i kilku przedmiotów codziennego użytku. Co się zaś tyczy wspomnianej czarnej godziny, to nikt wcześniej nie spodziewał się, że będzie ona rozjaśniona płomieniami z własnego domu.

Gdy Andrzej podejmował budowę gospodarstwa niemal dwadzieścia lat wcześniej, to wbrew ogólnym zwyczajom tu panującym, oddzielił on budynek mieszkalny od budynków gospodarczych. W sąsiedztwie domu mieszkalnego, w oddaleniu o kilka metrów, niemal w jednym rzędzie stał budynek inwentarski, a za nim stodoła. Podpalacze nie odrobili dokładnie swojego zadania, ponieważ przekonani byli, że wszystko pójdzie z dymem od jednej zapalki. Tymczasem murowana ściana obory nie chciała od razu zająć się od płomieni wydobywających się z mieszkania. Kto tylko mógł, starał się ochronić resztę zabudowań przed pożarem. Polewano więc wodą z wiader drewniany szczyt obory, wystający ponad mur. Kilkakrotnie pojawiały się już na nim płomienie, ale za każdym razem udawało się je zdławić. Paradoksalnie oczekiwano więc na czas, kiedy to nieszczęsny dom, któremu już nic nie można było pomóc, spłonie zupełnie, aby już nie istniało zagrożenie dla reszty zabudowań. Ciemno już było na niebie, gdy wreszcie płomienie przytłumiły się, a ze zgłiszcz wydobywał się tylko czarny dym. Była nadzieja, że – przynajmniej na razie – na tym się zakończy. Pomimo czarnego nieba, na ziemi i tak było widno, bo rozjaśniały ją żałosne stosy ognia, zgotowane przez dzielne, zwycięskie wojsko...

Właściwie nikt nie był w stanie dokładnie opisać co się jeszcze działo w tę piekielną noc – ile było jęków ludzkich, płaczu dzieci, zawodzenia starców, załamywania rąk i ryków żywem spalanej zwierzyny. Nikt też nie jest w stanie przedstawić rozpacz, jaka nazajutrz zapanowała na ogromnym pogorzelsku, w miejscu, w którym jeszcze do wczoraj stała jedna z piękniejszych wiosek na Pogórzu Karpackim. Za jednym, „arcymądrym” rozkazem poszło z dymem więcej niż sto pięćdziesiąt zabudowań (!).

Tak zatroszczyli się o część swojego kraju ci, którzy mienili się prawowitymi władcami tej ziemi. Ciśnie się na usta żałosne pytanie: jak zły to musi być gospodarz, który wyniszcza swoje własne siedlisko? Już przed wiekami grecki mędrzec, Pitagoras, zapytał rzymskiego żołdaka: dlaczego

niszczysz moje figury?¹ Widocznie przez te dwa i pół tysiąca lat nie wszyscy ludzie zdołali wyzbyć się barbarzyńskiego charakteru, a panujące zło nic nie straciło na swojej sile...

Teraz wszystkim przyszło żyć w bardzo trudnych warunkach. W bogatej wcześniej wiosce zapanowała okrutna bieda. Zbliżał się przednówek, a tymczasem i tak już skromne zapasy zostały niemal doszczętnie zniszczone. Ludzie nie mieli się gdzie podziąć. Dużo było chorych, rannych i poparzonych, a przede wszystkim wygłodniałych. Rodzina nasza znalazła schronienie w niewielkim murowanym budyneczku, użytkowanym wcześniej jako spichlerz na zboże. Przyzwyczajeni wcześniej do ładnych i widnych izb, teraz wszyscy musieli się zmieścić na dwudziestu metrach kwadratowych o surowych ścianach i małych okienkach, z za łóża musiały wystarczyć drewniane zagrody na ziarno. Dla stworzenia warunków do przygotowywania skromnych straw, na początek odkopano ze zgliszczy piec w dawnym pomieszczeniu kuchennym, naprawiono palenisko i wydobyto kilka pogiętych i popalonych żeliwnych baniaków. Zadaszenie nad tą prowizoryczną kuchnią stanowiły resztki blachy, jakie obsunęły się ze spalonego dachu. W uratowanej oborze i stodole schronienie znalazło kilka rodzin, którym nie było dane uratowanie u siebie najmniejszego nawet kąta do życia.

Żal po straconym dobytku był okropny, ale nie pozostało nic do wyboru, jak tylko przetrwanie w tych ascetycznych warunkach. Płakali wszyscy: ojciec, matka, a przede wszystkim dzieci. Andrzej, widząc zrozpaczoną najstarszą córkę, przytulił ją do piersi, otarł łzy z jej policzków i pocieszał:

– Nie płacz, *Oleniu*, to nic, że oni tak zrobili. Te złe dni przeminą, a ja wybuduję wam jeszcze ładniejszy dom. Napiszę do Marysi w Ameryce i oni wszyscy nam pomogą. Zobaczysz, wybudujemy nowy dom...

– Naprawdę, papo, będziemy mieli jeszcze swój dom?

– Tak, córeczko, będziemy mieli swój dom.

Obserwując jednak dalszy rozwój wydarzeń, nie można było powiedzieć, aby wkrótce mogło zanosić się na wybudowanie domu. Prześladowania ludności ukraińskiej, zwane przez miejscowych ludzi jako „akcje”, zamiast łagodnieć, nadal przybierały na sile. W dalszym ciągu po nocach widoczne były łuny palonych wiosek i dochodziły smutne odgłosy konających w płonących oborach zwierząt. Trwały również indywidualne prześladowania ludzi, zwłaszcza miejscowej inteligencji. Na początku kwietnia cudem z życiem uszedł miejscowy proboszcz parafii greckokatolickiej – ksiądz Jan Ferenc. Ludzie opowiadali, że w ostatnim momencie przed pojmaniem, cała rodzina po środku nocy wybiegła z plebanii w nocnej bieliźnie i skryła się w

¹ Pitagoras, filozof i matematyk w starożytnej Grecji, dokonywał właśnie swoich obliczeń na figurach geometrycznych, narysowanych na ubitej ziemi, gdy rzymscy żołnierze wkroczyli do miasta i wszystko niszczyli. Za poczynione zapytanie „dlaczego niszczysz moje figury?” mędrzec został zaszytyetowany.

niewiadomym miejscu¹. Tak więc od tego czasu mieszkańcy Płonnej, podobnie jak i innych miejscowości, pozbawieni zostali nie tylko dachu nad głową, ale również opieki duchowej. Od teraz musieli sobie radzić sami w różnych życiowych zdarzeniach.

Kwiecień był miesiącem mocno niespokojnym, bowiem rozpoczęły się masowe wywózki ludności do Związku Radzieckiego. Obydwa państwa realizowały teraz swoje kolejne posłannictwo, jakim było przemieszczanie społeczeństwa. Ludzie pochodzenia polskiego, zamieszkali na tak zwanych kresach wschodnich, a obecnie włączonych do republik Ukrainiejskiej, Białoruskiej i Litewskiej, przemieszczani zostali na tereny zachodniej i północnej Polski, a w ich domach, zwłaszcza na terenie Ukrainy, umieszczano Ukraińców przesiedlanych z terenów polskich. W jednym z pierwszych transportów wywieziona została w nieznane cała rodzina Anastazji (matka, ojciec, siostry, bracia i ich dzieci), zamieszkała w Przybyszowie². W ten sposób, pomimo już bardzo dorosłego wieku, poczuła się ona wielce osierocona i przygnębiona. Częściowo wywieziona została również rodzina Andrzeja.

Po jakimś czasie rozeszła się pogłoska, że niektórym z deportowanych ludzi udało się zbiec i chcieli powrócić na swoje ziemie. Z wiadomością taką przyszła jedna z sąsiadek, która rzekomo zasłyszała, że wielu z tych „uciekierów” schwytano, a wśród nich jest Michał, jeden z braci Anastazji. Brat ten miał być osadzony w sanockim więzieniu i przez kogoś ze znajomych prosi, aby siostra przyniosła mu coś do zjedzenia.

Na wieść taką Anastazja wieczorem przygotowała skromny prowiant, a przed wschodem słońca wyruszyła piechotą do Sanoka. Minął cały dzień, minął wieczór, a domownicy nie mogli doczekać się powrotu matki i żony. Spowodowało to wielkie zaniepokojenie, zwłaszcza, że czasy były nader niespokojne i wszystko mogło się wydarzyć. W sytuacji takiej daremne byłoby jakiegokolwiek próby poszukiwania, bo nie było nawet wiadomo, w jaki sposób i gdzie szukać zagubionej. Dopiero już późną porą po północy dało się słyszeć stukanie do drzwi spiżarni, a po otwarciu ich ukazała się cała i zdrowa, chociaż srodze wymęczona, a jeszcze bardziej wylękniona niewiasta. Dzieci dla przywitania matki zerwały się na równe nogi, a zdenerwowany nieco mąż zapytał co się z nią działo i dlaczego tak długo nie wracała.

– Po dojściu do Sanoka udałam się pod budynek więzienny. Obeszłam go kilkakrotnie wkoło z myślą, że może ujrzę uwięzionego tam brata. W

¹ Znana jest relacja jednego z dawnych mieszkańców Płonnej, zamieszkałego później w Kanadzie, że pod koniec lat pięćdziesiątych spotkał w Słowacji syna wspomnianego księdza. Z opowiadania czternastoletniego chłopca wynikało, że ojciec przeżył i zmarł później śmiercią naturalną.

² Ojciec Anastazji, Iwan, pełnił funkcję diaka, czyli kościelnego, w cerkwi. Wiedząc, że życie we wsi jest kompletnie wyniszczane, postanowił ratować, co można, ze świątyni. Po latach brat Anastazji, Andrzej, opowiadał autorowi tej powieści, w jaki sposób i gdzie ukrył kielich liturgiczny. Dotychczas nikt nie podjął próby jego odnalezienia.

niektórych oknach ukazywali się uwięzieni ludzie i ich dopytywałam, czy nie widzieli kogoś o nazwisku Chyr. Żadnych jednak wiadomości nie mogłam uzyskać. W końcu przyszedł strażnik i kazał mi odejść od ścian więziennych. Usłuchałam go, ale po chwili znów powróciłam na to samo miejsce. Po jakimś czasie podeszłam do strażnika stojącego w bramie i wypytywałam o Chyra. Ten odszedł na chwilę i powrócił z wiadomością, że takiego w więzieniu nie ma. Nie dałam jednak za wygraną i znów poszłam wypytywać ludzi wyglądających przez okna. W tym czasie ponownie podeszedł do mnie strażnik, zabrał mi koszyk i osadził w celi więziennej. *Jeżeli nie chcesz odejść dobrowolnie – powiedział – i podoba się tu tobie, to pomożemy ci, abyś tu została na dłużej.* Wtedy na dobre wystraszyłam się i zaczęłam prosić się o łaskę. Nic jednak nie pomogło. Tak mijały godziny, a słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Zobaczyłam, że to już nie są żarty. Po jakimś czasie zazgrzytały żelazne sztaby w drzwiach, a ja ucieszyłam się, że w końcu mnie wypuszczą. Była to przedwczesna radość. W drzwiach pojawił się inny strażnik, a w rękach trzymał blaszany kubek z kawą i kawałek chleba. *Masz, posil się – powiedział, – bo jeszcze nam tu zemdlejesz!* Drzwi z łoskotem znów się zamknęły. Gdy już nastawał zmierzch, drzwi znów się otworzyły, a w nich stanął człowiek bez munduru. Wypytywał mnie skąd i po co przyszłam, jak się nazywam i czy chcę wrócić teraz do domu, czy może jeszcze trochę pobędę, aż dopóki nie rozwidni się. Pomimo nastającej nocy, wołałam jednak już iść. Na odchodne człowiek ten nakazał mi, abym więcej razy tu nie przychodziła, bo wtedy już tak szybko mnie nie wypuszczą. Szłam więc po nocy i, jak widzicie, szczęśliwie dotarłam do domu.

– No to dobrze ci się skończyło – rzekł Andrzej. – Następnym razem będziesz ostrożniejsza. Widzisz przecież, co się dzieje i nie trzeba ich drażnić.

Nie było jednak zbyt wiele czasu do rozmyślenia nad rozłąką z najbliższymi, wywiezionymi za wschodnią granicę. Pod koniec kwietnia, a więc przed upływem jeszcze niecałego miesiąca od spalenia wioski, znów zajęchało wojsko do Płonnej z nowym posłannictwem od swoich mocodawców. Ponownie realizowano akcję wysiedlenia do Rosji¹. Tym razem miało to również dotyczyć rodziny Andrzeja i Anastazji. Tymczasem dwoje tych nieszczęsnych ludzi, pomimo wielkich strat i nieustannego nękania, nadal pragnęło za wszelką cenę zamieszkiwać w rodzinnych stronach i uprawiać ziemię, którą Andrzej wymarzył sobie od dzieciństwa i na którą to tak ciężko pracował przez dwadzieścia sześć lat za oceanem. Ponadto dokładnie zdawali sobie sprawę z tego, jakie stosunki panują za wschodnią granicą. Zнали to wszystko chociażby z relacji ludzi, którzy po 1939 roku zmuszeni byli żyć pod władzą radziecką, za linią demarkacyjną, jaką stanowiła oneg-

¹ Mówiono, że wywózka jest do Rosji, ponieważ wtedy nie należało wymawiać słowa „Ukraina”. Ponadto określenie „Rosja” było może bardziej odpowiednie, gdyż całe zamieszanie zaplanowane było i realizowane przez Rosjan i ich sługusów.

daj rzeka San. Te dwa lata „sprawiedliwych” rządów na tamtym terenie całkowicie wystarczyły do wyniszczenia wsi do tego stopnia, aby następnie – po wycofaniu się Armii Czerwonej – ruszyła w stronę zachodnią fala ludzi proszących o chleb.

Wojsko chodziło teraz od posesji do posesji (nie można powiedzieć, że od domu do domu, bo one już od miesiąca były spalone), robiło listy osób i ustalało datę wyjazdu. Żołnierz w randze porucznika przywołał do siebie Anastazję, wypytał o imię i nazwisko, a następnie polecił:

– No, matka, a teraz podajcie imiona wszystkich waszych dzieci i męża. Musimy zrobić dokładną listę osób repatriowanych do Związku Radzieckiego.

– A co to oznacza, proszę oficera, osoba repatriowana? – zapytała nieśmiało Anastazja.

– To taka osoba, co teraz ma wyjechać do swojego kraju. Mówicie, że jesteście Ukraińcami, to pojedziecie tam, gdzie żyją tacy ludzie jak wy. Czy zrozumieliście?

– Ano, niby słyszę co pan oficer mówi, ale nie bardzo to rozumiem. Bo przecież ja żyję w swoim kraju. Tu się urodziłam, tu zawsze żyli moi rodzice i rodzice ich rodziców. Żadnego innego kraju mi nie trzeba. Tu chcę żyć i tu umrzeć. Jeżeli ja jestem Ukrainką i tu nie jest moja ojczyzna, to dlaczego mój syn służył w wojsku polskim i został zabity w walce przeciwko Niemcom za polski kraj?

– Jak to, wasz syn służył w wojsku polskim i zginął na wojnie?

– Tak, proszę pana oficera. Zginął za Polskę, a Polska teraz mnie wygania z tego kraju. To jaka to jest sprawiedliwość?

– O sprawiedliwości to proszę teraz nie mówić – szorstko odpowiedział porucznik. – A czy macie jakieś dokumenty, że wasz syn służył w wojsku polskim?

– Mam papiery, proszę pana. Przysłali mi metrykę o jego śmierci. Proszę poczekać, zaraz pokażę.

Anastazja odwróciła się, weszła do spichrza, pogrzebała w tobołku, w jakim znajdowało się kilka rzeczy uratowanych podczas pożaru, wyjęła kopertę z dokumentem i pokazała go żołnierzowi.

– Proszę, to wszystko, co mi pozostało po synu. Nawet jego stare ubrania spaliły się razem z domem.

Ten obejrzał kopertę i znajdujący się w nim dokument, przeczytał treść, a następnie zwrócił się do wyleknionej Anastazji:

– Hm, niby tak z papierów wynika, tylko tu jest napisane Michał Zachar, a wasze nazwisko brzmi inaczej. To jak to jest naprawdę?

Anastazja wytłumaczyła, że to był syn z pierwszego małżeństwa i stąd wzięła się różnica w nazwisku. Porucznik jeszcze raz obejrzał dokument, oddał go swojej rozmówczyni i oświadczył:

– Wszystko w porządku. Wygląda na to, biedna matko, że kraj nasz powinien wam podziękować za syna, który zginął w walce o wyzwolenie. Wobec tego skreślamy pani rodzinę z listy osób przewidzianych do wywózki i możecie spokojnie gospodarzyć na swojej ziemi. Gdyby ktoś jeszcze miał do was pretensję, to proszę pokazać mu ten papier i wszystko będzie w porządku.

Dokument zwany przez Anastazję metryką śmierci Michała.

Gdy powrócił mąż z pola, o wszystkim mu opowiedziała i razem cieszyli się, że chociaż jedna klęska ich ominie.

Bez szczególnych wydarzeń – nie licząc kilku epizodów z nocnymi najściami ludzi ze zbrojnego podziemia ukraińskiego i dziennego ścigania ich przez oddziały polskie – przeminął kolejny miesiąc. Pomimo wielkich kłopotów, Andrzej postarał się o drugiego konia do pary i w ten sposób zdołał uporać się z pracami wiosennymi. Całkowitego spokoju jednak nie było. Przez zagrodę przewijało cię ciągle dużo ludzi szukających schronienia na noc i proszących o skromne pożywienie. Niektórzy nawet ukrywali się przed wcieleniem ich do partyzantki ukraińskiej lub przed wywózką na

wschód. Wśród nich pojawiał się niekiedy dwudziestodwuletni Grzegorz Warcholak, mieszkający w górnej części wioski. Jego obecność nie mijała bez uwagi ze strony siedemnastoletniej Heleny. Oboje spoglądali na siebie z zaciekawieniem, ale na nawiązanie bliższej znajomości nie było sposobności. Grzegorz przez cztery niemal lata przebywał na przymusowych robotach na terenie Austrii, skąd uciekł i – po różnych przejściach – znalazł się w Armii Czerwonej. Tam, po kilku miesiącach wojaczki, został ranny, a następnie zwolniony do cywila. Gdy powrócił do domu, to czekało na niego nowe niebezpieczeństwo. Ponieważ nie chciał ponownie nadstawiać głowy nie wiadomo w czyjej sprawie, to zmuszony został do ukrywania się.

Ukrywali się również inni ludzie; jedni z nich byli znajomymi i prosili o przysługę, a drudzy siłą wymuszali gościnność. Jednych i drugich należało więc pokornie znosić. W ten sposób pojawił się pewnego razu młody mężczyzna, który narzekał, że jest w drodze, a koń jego okaleczył się i musi przeczekać, aż zagoją mu się rany. Siedział więc przez kilka dni w stodole, nakazując pod groźbą, aby nikomu o tym nie mówić. Potem podziękował za gościnę i odjechał w nieznane. W pośpiechu jednak pozostawił w stodole jakieś przedmioty, których teraz nikt nie zauważył, ale później miały wpływ na bardzo tragiczne zajście.

W tym smutnym okresie bywały różne zdarzenia. Był czas na płacz i żal, ale też chwilami ludzie zapominali o swojej udręce. Bywały też sytuacje tragicomiczne. Przykładowo pojawiła się we wsi nieszczęsna kobieta, która w tych zamieszkach straciła wszystko. Razem z domem, dobytkiem i rodziną postradała też zmysły. Po prostu – biedna głowa nie wytrzymała tego wszystkiego. Chodziła przeto po wsi, czasem prosiła o przytułek i pożywienie, ale najczęściej błagała ludzi, aby „zrobili ją bożą”. Podeszła więc kiedyś do Andrzeja i molestowała go:

– Dobry gospodarzu, zlitujcie się nad biedną kobietą i zróbcie mnie bożą.

Andrzej z politowaniem spojrzał na biedaczkę i, nie mogąc spełnić jej życzenia, odrzekł:

– Jak ja ciebie, Fenno, mogę zrobić bożą, skoro ja sam jestem grzesznym człowiekiem.

– Nie mówcie tak, Andrzeju – odpowiedziała biedna kobieta. – Jak wy możecie być grzesznym, jeżeli wszyscy wiedzą, że dobry z was człowiek?

– Oj grzeszny jestem, grzeszny – odpowiedział. Widząc jednak jej zdziwienie dodał: – Bo widzisz, Fenno, mnie za młodych lat bardzo podobały się wszystkie kobiety. Więc grzeszny ze mnie człowiek.

– Jaki to grzech! – zaśmiała się, po czym dodała: – Pamiętaj: gdy ją cieśzysz, to nie grzeszysz!

Andrzej uśmiechnął się na taką filozofię i zdziwił się, że ta kobieta ma podobne zapatrywania na niektóre sprawy, jak on sam.

Czas biegł do przodu, a myślami o życiu należało wyprzedzać fakty. Andrzej wiedział, że lato szybko przeminie i nie sposób będzie przetrwać z rodziną przez zimę w spichrzu zbożowym. Zaczął więc przygotowywać się do budowy nowego domu. Rozglądał się za niezbędnymi materiałami i myślał jakby to zgromadzić gotówkę na to zadanie. Zamówił nawet blachę ocynkowaną na pokrycie, aby potem nie szukać jej w pośpiechu. I tak przeminął maj 1946 roku.

Sobota, pierwszy dzień czerwca zaczął się podobnie jak poprzednie w ostatnim okresie. Wszyscy zajęci byli swoimi pracami. Około południa pojawiło się kilka żołnierzy na przeszukanie obejścia. Zdarzenie takie już od dłuższego czasu stanowiło niemal powszechność i nie koniecznie musiało zapowiadać nadzwyczajne problemy. W pewnym momencie żołnierz odpiął jedyną krowę z uwięzi i zaczął oddalać się z nią. Anastazja zastąpiła mu drogę prosząc:

– Proszę nie zabierać mi ostatniej krowy, bo widzisz, że więcej bydła nie mam i co potem dam dzieciom jeść.

– Krowa i tak ci nie będzie potrzebna – odparł stanowczo żołnierz, – bo niedługo wywiozą was do Rosji, a tam krowy nie zabierzesz. Zresztą ci, którzy tam wyjeżdżają, to też jest bydło, tylko że na dwóch nogach i takiego stworzenia, jak to, na czterech nogach, już więcej tam nie potrzeba.

– Nigdzie, do żadnej Rosji nie wyjeżdżamy, bo mam takie samo prawo mieszkać w Polsce, jak i ty! Mój syn zginął w polskiej armii i jestem może lepszą Polką niż ty Polakiem.

Pobiegła potem do spichrza, przyniosła metrykę żołnierskiej śmierci syna i pokazała ją żołdakowi.

– Był tu porucznik – dodała Anastazja – i powiedział, że nigdzie nie będziemy wysiedleni.

Żołnierz spojrzał na dokument, wypuścił krowę z rąk i zaczął wołać do drugiego:

– Chodź, idziemy stąd. Trzeba dać spokój tej kobiecie. Oni mają prawo zostać w Polsce i nie wyjeżdżają do Rosji.

Ten drugi akurat wychodził ze stodoły, a w ręce trzymał jakąś część ubrania męskiego i dokument tożsamości konia, zwany kenkartą. Ze złością zwrócił się do Anastazji:

– Widzę, że banderowców przetrzymuje się u was. Powiedz, dokąd oni poszli?

– Nic nie wiem o żadnych banderowcach – odpowiedziała nękana kobieta.

– Nie wiesz? – wrzasnął, wpadając w furję. – A co tu robi to ubranie i kenkarta? – Krzycząc dalej, podniósł karabin i wprowadził nabój do lufy. – Albo powiesz, albo zaraz cię tu zastrzelę.

Anastazja, widząc rozjuszonego żołdaka, złękła się i zaczęła uciekać w stronę pola. Gdy znikła za ścianą obory, żołnierz pobiegł za nią i po chwili rozległ się strzał. Drugi jego kompan, który przed chwilą trzymał krowę, krzyknął na niego:

– Po co strzelałeś?

– Bo uciekała do lasu. Pewnie chciała banderowcom donieść, że tu jesteśmy.

Po chwili Anastazja, słaniając się, przybiegła ostatkiem sił na podwórko i zwała się z nóg. Leżała na plecach, a z piersi strugą wylały krew. Biedna kobieta, chcąc ratować się przytrzymała krew ręką, w której trzymała urzędowy dokument, świadczący, że jej syn poległ na wojnie w mundurze polskiego żołnierza¹. Poległ w takim samym mundurze, w jaki przystrojony był zbrodniarz, który po roku od ofiarnej śmierci syna, strzelił do jego matki. Takie bywają przekory losu...

Do leżącej, półprzytomnej i zakrwawionej żony podbiegł zrozpaczony Andrzej z zamiarem ratowania, chociaż nie wiedział co może w tej sytuacji zrobić. Uniósł jej głowę z ziemi i ułożył na swoich kolanach. Wtem poczuł w głowie wielki wstrząs, a na twarzy ciepło spływającej krwi. To właśnie rozwścieczony oprawca, który przed chwilą „bohatersko” strzelił do bezbronnej kobiety, odciągniętą kolbą karabinu zadał cios w głowę ratującemu ją mężowi. Po chwili Andrzej również zwał się i osunął na ziemię.

– Co ty robisz człowieku? – ozwał się pierwszy żołnierz. – Ci ludzie nic ci przecież nie zawinili. Idziemy stąd.

Zarzucili karabiny na plecy i przed oddaleniem się zabrali jeszcze ze sobą „dzielnie” wywalczone łupy. Dumnie odjechali parą koni i z uwiązaną do wozu jedyną krową. Siedząc już na wozie, podzielili się zakrwawionymi pieniędzmi, które Anastazja jeszcze przed kwadransem trzymała za pazuchą podczas otrzymanego strzału. Włożyli więc pieniądze do kieszeni żołnierskiego munduru i, nie powstrzymywani przez nikogo, oddalili się w kierunku drogi.

Na podwórzu widok był straszliwy: na murawie leżało dwoje zakrwawionych ludzi, a stojące obok bezradne i przestraszone dzieci zanosili się od płaczu. Pierwsza zreflektowała się Oleńka wiedząc, że należy podjąć jakieś działania. Ocuciła najpierw ojca, który po upływie jakiegoś czasu ocknął się i wstał, słaniając się na nogach. Ranną matkę okryli płachtą i podłożyli jej coś pod głowę. Chyba nikt z tam obecnych nie byłby w stanie określić jak długo trwała ta chwila, całkowicie pogrążona w rozpacz i bezradności. Na moment ten nadszedł akurat Grzegorz, który – jak już wspo-

¹ Metryka stanowiąca o śmierci syna, Michała, z powodu całkowitego zalania krwią Anastazji była odtąd nieczytelna. W wyniku podjętych starań Sąd Grodzki w Sanoku w dniu 5 października 1946 wydał nowy dokument, stanowiący obecnie jedną z nielicznych pamiątek rodzinnych. Oryginalny dokument pozostał w aktach sądu.

mniano – niekiedy korzystał w tej zagrodzie z kryjówki, a ponadto interesował się młodą Oleńką. Chłopak ten, pomimo młodego wieku, miał już duże doświadczenie w postępowaniu z rannymi, bo widział na froncie niejedną śmierć, a później sam też był ranny. Nie musiał pytać co tu się stało, bo wszystko było oczywiste, a poza tym zgromadzeni tam w grupce ludzie opowiadali o zajściu – jeden poprzez drugiego.

Oleńka, najstarsza córka postrzelonej kobiety, widząc Grzegorza rozplakała się i, zanosząc się z żalu, wyjąknęła:

– Już nie ma ratunku, Grzesiu, dla naszej mamy. Ona umrze, prawda?

Grzegorz przyjrzał się biedaczce, pottrzymał przez chwilę nadgarstek jej ręki, przyłożył dłoń do twarzy i, nic nie mówiąc, ostrożnie wziął ranną niewiastę na ręce i zaniósł na posłanie w spichlerzu. Tej nocy już nie ukrywał się w zasieku w stodole, ale siedział przy Anastazji przez cały czas, opatrując ją i podając małymi porcjami wodę do ust.

W nocy Grzegorz zwrócił się do zakrwawionego i obolałego Andrzeja:

– Nie możemy tak czekać beczynn timer. Ona jeszcze nie umiera i musimy ją ratować. Trzeba coś zrobić, ażeby zawieźć ją do szpitala.

– A, czym, Grzesiu, my ją możemy zawieźć, jak wszystko mi zabrali? Nie mam ani konia, ani wozu. Na rękach jej przecież nie zaniosę.

– Musimy coś poradzić – odrzekł smętnie Grzegorz i wyszedł na zewnątrz.

Po pewnym czasie wrócił z wiadomością, że postarał się o konia, a wóz muszą do rana złożyć ze starych części.

Na rano gotowy był prowizoryczny zaprzęg, który natenczas ceniony był wyżej niż niejedna dworska kareta. Andrzej wymościł wóz słomą, a następnie Oleńka z Marysią ułożyły na niej pierzynę. Grzegorz ponownie wziął ranną na ręce i ostrożnie umieścił ją w tym prowizorycznym pośnaniu.

– Jedźcie sami – zwrócił się Grzegorz do nieszczęsnego gospodarza. – Ja nie mogę z wami pojechać, bo po drodze złapią mnie jedni albo drudzy, a potem i tak wam nie pomogę, a będzie tylko nowy kłopot przeze mnie.

Odjechali we trójkę: Andrzej, ledwo co żywa Anastazja i wymęczona Marysia. W domu teraz nad wszystkim, czyli nad młodszym rodzeństwem i niewielkim już dobytkiem, pieczę sprawowała siedemnastoletnia Oleńka. Dodatkowy w tym ciężkim czasie kłopot stanowiła jeszcze kobieta, która była samotna i wcześniej została przysgarbnięta do tego domu. Mało kto wiedział jak się naprawdę nazywa, bo wszyscy wołali na nią po prostu Muzykanki. Otóż owa Muzykanki od dawna miała problemy ze swoim zdrowiem umysłowym, a całe zajście spowodowało jeszcze większe nasilenie jej choroby.

Droga do Sanoka trwała dosyć długo, a chora niekiedy prawie w ogóle nie przejawiała oznak życia. Przez cały czas modlono się, ażeby zdążyć na

czas. W szpitalu po wielkich prośbach przyjęto ranną, a dwoje wylęknionych ludzi chwilę powstało przy łóżku i udali się w drogę powrotną do domu.

Wieczorem w niedzielę w domu panowało wielkie przygnębienie. Andrzej po powrocie z Sanoka niemal nic nie mówił, a tylko smętnie spoglądał na wystraszone i zapłakane dzieci. W końcu odezwał się do nich:

– Słuchajcie dzieci. Tak dalej nie może być. Albo wszyscy zginiemy, jak nie od kul bandytów, to wymrzemy z głodu, albo też trzeba szukać prawdy. Prawda gdzieś musi przecież być. Ja postanowiłem właśnie szukać prawdy i dlatego, gdy rano zobaczycie, że mnie nie ma to się nie martwcie. Muszę wrócić z krową i końmi, bo jak dalej damy sobie radę?

– Papo, nigdzie nie idźcie – błagała go Oleńka. – Oni jeszcze i was zabiją i co my wtedy sami tu zrobimy.

– Innej rady nie ma, moje dziecko. Trzeba to wszystko wyjaśnić. Musicie sami dać sobie radę. Ja muszę wrócić z krową i końmi, albo nie wiem co będzie dalej...

Teraz wybredzona Oleńka spełniała rolę gospodyni, gospodarza i zastępowała matkę i ojca młodszemu rodzeństwu. Czas był smutny nie do opisania. Spichrz, który spełniał rolę mieszkania, chociaż zapełniony czwórka dzieci i odmienioną służącą, wydawał się przerażająco pusty. Nie było już rodziców: matka dogorywała w szpitalu, a ojciec zdesperowany wyruszył, jak sam określił, na poszukiwanie prawdy. Jakiej prawdy? Gdzie ją teraz można znaleźć? W całej zagrodzie najbardziej w oczy rzucały się zgliszcza spalonego i wydzielającego przykrą woń, domu mieszkalnego, a przed progiem tych zgliszczy jeszcze czerwieniła się rozległa plama matczynej krwi. Budynki gospodarskie całkowicie ogołocone z inwentarza. Jedyne przy budzie pozostał żałośnie wyjący po nocach pies.

Cała niemal Płonna też wydawała się pusta. Ludzie w większości zostali wcześniej już wywiezieni za wschodnią granicę, a ci, co jeszcze pozostali, też woleli nie pokazywać się i każdy krył się jak mógł. Aby nie patrzeć na tę przygnębiającą scenę, zrozpaczona Marysia wzięła za rączkę trzyletniego braciszka, wyszła poza ogrodzenie i poprzez pole, zwane *ruskim*, spoglądała w stronę Przybyszowa... Tam też teraz nie było nikogo. Jeszcze do niedawna pobiegłaby do babci i dziadka i pożałowałyby się na to wszystko. Ale teraz tam jest tylko pustka; nie ma babci i dziadka, nie ma wujków. Nie ma niemalże nikogo. Tylko skowronki nad polem, które ładnie zazieleniło się zbożem, jakby nie wiedziały o rozgrywających się tragediach i wesoło uciwały swoje trele.

– Wam, ptaszynki, jest wesoło – mówiła do stworzonek siedząca na trawie trzynastoletnia dziewczyna. – Wy nie wiecie, co to jest smutek, macie przecież swoje lasy i pola. Dlaczego ja nie jestem ptaszkiem? Śpiewałabym może razem z wami...

Wróciła więc Marysia z bratem do zagrody i razem z pozostałymi dwiema siostrami wyglądała, czy ojciec nie nadchodzi.

Ojca jednak nie było. Cały dzień, noc, następny dzień i ponownie noc przyszło wystraszonym dzieciom spędzać w samotności. Trzeci dzień był równie smutny, jak i poprzednie. Wszystkim wzrok bez przerwy odwracał się na drogę, którą chodziło się pieszo do Sanoka, bowiem spodziewano się, że właśnie tam ojciec poszedł szukać prawdy. Słońce chyliło się już wyraźnie ku zachodowi, gdy Zosia zawołała:

– Oleńko, Marysiu, chodźcie szybko. Papa idą...

Starsze siostry wybiegły na podwórko i ujrzały, jak na wzgórzu, w pobliżu cmentarza drogę przemierza ojciec siedzący na koniu, przy którym przypięty był drugi koń, a z tyłu idzie uwiązana krowa, nazywana Irką. Wśród biednych dzieci zapanowała radość nie do opisania. Wszystkie czworo wybiegły na dziedziniec, tylko mały Andrzejek nie mógł nadążyć za siostrami. Biegli tak wszyscy razem, zziajani, aż poza cerkiew i tam spotkały się z uradowanym, chociaż potwornie umęczonym ojcem.

– Jestem, kochane dzieci. Już jestem i prowadzę nasze zwierzaki. Teraz wiem, że na pewno przeżyjemy. Oby tylko matce Bóg pozwolił wyzdrowieć.

– Gdzie papa był i czy widział mamę? Jak udało się papie odzyskać krowę i konie? – pytały córki, jedna przez drugą.

– Wszystko wam opowiem w domu, tylko kości trochę wyprostuję – odpowiedział wyraźnie uradowany ojciec, a następnie zsiadł z konia, a na swoje miejsce posadził małego Andrzejkę. – Ucz się, synu, jeździć konno! Przecież będziesz musiał zastąpić kiedyś w gospodarowaniu starego ojca.

Gdy przybyli do zagrody, Andrzej uwiązał bydłęta na swoje miejsca, a sam poprosił, aby córki podały mu coś do picia i jedzenia.

– Opowiadajcie, tato gdzie byliście i jak zdobyliście z powrotem nasze zwierzęta – poprosiła Oleńka.

– Pomyślałem sobie, kochane dzieci, że tak dalej być nie może. Gdzieś musi być prawda i sprawiedliwość. Przecież oni nie mogą cały czas uprawiać na nas rozboju. Co to za rząd, jeżeli na to pozwala własnemu wojsku? – opowiadał Andrzej. – Poszedłem więc do Sanoka i poprosiłem, żeby mnie wpuścili do samego starosty. Najpierw mnie wypytywali urzędnicy kim jestem, skąd i w jakiej sprawie przychodzę. *Jak się nazywam i skąd pochodzę powiem. Ale w jakiej sprawie przychodzę, to nie powiem, bo z tym idę właśnie do starosty.* Oświadczyłem, że dzieje mi się krzywda i ktoś musi mi w tym pomóc. Starosta kazał mnie wpuścić do swojego pokoju i cierpliwie mnie wysłuchał. Opowiedziałem mu o wszystkim: jak cały czas wojsko nas rabuje, że postrzelili matkę i mnie pobili, że ukradli pieniądze, konie i ostatnią krowę, a teraz dzieci będą musiały głodem przymierać. *Panie starosto – powiedziałem na koniec, - tak nie może być dalej. Jeżeli rząd ma pretensje*

do ukraińskiej partyzantki, to niech z nią walczy, ale niech nie morduje i nie okrada prostych, nic nie winnych ludzi. Uniżenie proszę o udzielenie pomocy. Jeżeli nie oddacie mi koni i krowy, to jak dzieciom dam jeść i dalej będę pracować na gospodarce? Nie ruszę się stąd, choćbyście mnie zabili, jeżeli nie znajdę prawdy. Prawda musi gdzieś być...

– I co, co było dalej? – pytały dzieci.

– Dalej starosta wypytywał mnie dokładnie, jak to było z tym rabunkiem i kto to wszystko zrobił. Opowiedziałem jeszcze raz jak to było, a na koniec dodałem: *Pyta pan starosta kto to zrobił? To mówię, że zrobiło to wojsko polskie. Przyszli w mundurach i z karabinami i nic nie mogłem na to poradzić.* Starosta wziął za telefon i z kimś rozmawiał, a potem zawołał jakiegoś wojskowego i kazał mu udzielić mi pomocy. *Najpierw – polecił wojskowemu – proszę tego człowieka ogolić i nakarmić, a potem zróbcie co należy.* Wojskowy zaprowadził mnie do innego pokoju, przysłał żołnierza, który mnie ogolił i dał wody do umycia się. Następnie zabandażowali mi okrwawioną głowę i kazali oddać pasek i sznurowadła z butów. *Teraz już będzie po mnie* – pomyślałem. Za chwilę jednak przyszedł inny żołnierz i przyniósł mi jedzenie i picie, a potem zamknęli mnie w pokoju na klucz i kazali czekać.

W tym momencie Andrzej przerwał na chwilę swoje opowiadanie, wypił łyk wody i kontynuował dalej.

– Czekałem tak, zamknięty w pokoju, przez cały wieczór i całą noc. Rano przyszedł oficer, a za nim żołnierz ze śniadaniem i kawą. Gdy się już najadłem i napiłem, oddali mi pasek i sznurowadła i powiedzieli, że pojedziemy do sztabu wojskowego, który mieścił się w domu położonym dwie ulice dalej. Tam ponownie kazali mi opowiadać o wszystkim. Gdy skończyłem, major zapytał czy poznałbym sprawców. *Poznałbym, panie majorze* – odpowiedziałem. *No to dobrze* – mówił major, - *a teraz proszę ukryć się w szafie, a ja z nimi porozmawiam.* Nie wiedziałem, co się ze mną teraz stanie. Podejrzewałem nawet, że mogą mnie próbować udusić w tej szafie, ale na szczęście stało się inaczej. Przyprowadzili dziesięciu może żołnierzy i dowódca wypytywał każdego z nich, gdzie był w sobotę i co tam robił. Przez szparkę w drzwiach poznałem tych dwóch oprawców. Następnie kazali mi wyjść z szafy i pytali czy któregoś z nich poznaję. Wskazałem od razu tych dwóch.

– I co, przyznali się do wszystkiego? – zapytała niecierpliwie Marysia.

– Z początku nie chcieli się przyznać. Mówili, że w sobotę byli w Dąbrówce i nic o zajściu w Płonnej nie wiedzą. Gdy jednak major zagroził im więzieniem, to powiedzieli, że to oni są sprawcami wszystkiego. *A gdzie są konie i krowa* – zapytał major. - *Nie mamy tych zwierząt, bo je sprzedaliśmy* – odpowiadali szubrawcy. - *No to natychmiast proszę pójść tam, gdzie je sprzedaliście i wszystko trzeba zwrócić temu człowiekowi, bo inaczej czeka*

was sąd za napady i morderstwa. Czy zrozumieliście? Do rana wszystko ma być zwrócone! – krzyczał na nich major. Mnie kazali zostać w pokoju i czekać, a oni poszli szukać zwierząt. Dawali mi też jeść i pić. Po południu poszedłem do szpitala zobaczyć się z matką.

– I co, papo, jak mama się czują? – pytały córki.

– Mam czuje się mocno słaba, ale najważniejsze, że żyje i jest nadzieja, że z tego wyjdzie.

– I co dalej? Gdzie znaleźliście konie i krowę?

– Dzisiaj rano znów zawołał mnie major ze sztabu wojskowego. Tam już czekali na mnie inni wojskowi. *Wszystko się znalazło – mówił major. – Konie i krowa będzie wam zwrócona. Wszystko jest w Pobiednem i tam niech pan pójdzie. A wy –* zwrócił się major do stojących obok wojskowych *- dajcie temu człowiekowi ochronę i przeprowadźcie go przez Niebieszczany i Poraz, bo tam znów mogą mu zrobić krzywdę.* I tak się skończyło – kontynuował swoje opowiadanie Andrzej. – Oddali mi krowę i konie, ale pieniędzy nie zwrócili. Potem dwóch uzbrojonych żołnierzy odprowadziło mnie dalej niż połowę drogi. Przed Mokrem zostawili mnie, bo tam już nie było niebezpiecznie. I oto jestem, kochane dzieci i musimy jakoś dawać sobie radę – zakończył opowiadanie zmęczony, ale podtrzymany na duchu ojciec.

Tymczasem Anastazja leżała w szpitalu. Korzyść z samego leżenia może była niewielka, bo i możliwości szpitalne w tamtym czasie też były nie duże. Otrzymywała natomiast niezbędną opiekę w zakresie higienicznym i minimum pożywienia, którego i tak w większości nie była w stanie przyjmować. Otuchy dodawała jej sama obecność przy niej sióstr zakonnych, które, oprócz opatrywania, modliły się razem z nią i wspierały ją na duchu. Gdy w wielkim osłabieniu traciła wiarę i mówiła, że pewnie i tak niedługo umrze, one odводziły ją od takich myśli.

– Nie możesz umrzeć – mówiły. – Masz przecież małe dzieci, a im jest bardzo mama potrzebna. Ponadto jesteś jeszcze młoda i masz życie przed sobą. Modlimy się za ciebie i dobry Bóg pozwoli, że na pewno będziesz żyła.

Anastazja chciała mocno w to wierzyć i starała się nie załamywać. Po kilku dniach na wizycie pojawił się nowy lekarz w mundurze wojskowym. Wyglądało na to, że był on zwierzchnikiem nad tym szpitalem. Lekarz dyżurny, wskazując na Anastazję, gestem dał do zrozumienia, że przypadek ten jest w zasadzie beznadziejny i chyba przychodzi czekać tylko na jedno.

– Kula przeszła od tyłu przez całą klatkę piersiową. Oprócz płuca uszkodzone są także inne organy wewnętrzne. Stan jest ciężki – wywodził lekarz.

– Przecież widzicie, że ona jeszcze nie umiera – przerwał mu ten w mundurze. – Musimy ją ratować. Trzeba natychmiast podać jej krew.

– Panie kapitanie – powiedział pierwszy lekarz, – jak możemy jej dać krew, jeżeli jej nie mamy?

– Proszę dać jej krew z puli przeznaczonej dla wojska. Wydam polecenie, aby dowieźli wam nowy zapas.

Po godzinie stały przy łóżku Anastazji urządzenia do transfuzji krwi i kilka razy zmieniono butelkę z tym życiodajnym płynem. Po pewnym czasie poczuła w całym ciele przyływające ciepło, ale nadal była mocno słaba. Wieczorem zasnęła twardym snem, a gdy przebudziła się rano, to ujrzała siedzącą przy niej pielęgniarkę w ubiorze siostry zakonnej. Siostra obtarła jej pot z twarzy, po czym zapytała, czy czegoś nie chciałyby.

– Proszę siostry, chciałabym, jeżeli można prosić, aby umyć mi głowę, bo już pewnie wyglądam jak straszidło.

– Pewnie, że umyjemy. Musisz przecież ładnie wyglądać, bo pewnie znowu przyjdzie tu córka i jeszcze się wystraszy takiej Baby Jagi.

Umyto jej głowę, podano coś do zjedzenia, a potem ponownie ustawiono stojaki, ale tym razem z butli nie spływała krew, a jakiś inny płyn, zawierający substancje wzmacniające. Jakże wielkie było zdziwienie przybyłej w południe Oleńki, gdy matka, kiedy ujrzała córkę, sama usiadła na łóżku.

– Po co tu, dziecko, przychodzisz? – zwróciła się do uradowanej, ale wymęczonej córki. – Mnie tu nic nie pomożesz, a w domu dziećmi trzeba się opiekować. A po drugie, to niebezpiecznie chodzić ci samej taki szmat drogi. Jeszcze źli ludzie krzywdę ci zrobią. Widzisz, co teraz się dzieje na świecie.

– Widzę, mamó, widzę. W domu musimy jakoś sobie dawać radę. Marysia też mi pomaga. Przyniosłam wam coś do zjedzenia. Jak w domu powiem, że wam już lepiej, to papa mocno się ucieszą.

– A jak tam mały Andrzejek – zapytała Anastazja. – Czy jest zdrowy i nie płacze za mną.

– Nie martwcie się, mamó. Wszyscy są zdrowi, a we wsi teraz jest bezpiecznie. Partyzantka i wojsko mniej nam dokuczają. Może już w końcu będzie spokojnie.

Zranienie Anastazji i widok odwożonej na wpół żywej do szpitala odbiło się przynębiająco na samopoczuciu mieszkańców Płonnej. Ludzie teraz widzieli, że władza nie przebiera już w swoich środkach przymusu. Wszyscy byli mocno wylęknieni i nie traktowali tego zajścia w kategoriach wybryku rozwydrzonych żołdaków, a przyjmowali to jako nową metodę straszenia zniewolonych ludzi. Wiele osób przestało więc stawiać opór przy próbach wywózki na wschód i już nazajutrz od postrzelenie sąsiadki osiemnaście wystraszonych rodzin dobrowolnie wpisało się na listę do „repatriacji”.

Po powrocie Anastazji ze szpitala w rodzinę ponownie wstąpiła otucha. Mieli już w domu matkę i żonę, chociaż przez dłuższy czas była jeszcze

bardzo słaba, ale za to służyła poradą w każdym problemie. Po jakimś czasie nadszedł transport zamówionej blachy, która miała być przeznaczona na pokrycie nowego domu. O jego budowie jednak jakoś nikt realnie nie chciał teraz rozmawiać, bo nie było na to wystarczających zasobów pieniężnych, a ponadto na podejmowanie działań dla zrealizowania jakże ważnego zamiaru – w obliczu przedłużających się niepokojów – nikt na razie nie miał ani odwagi, ani dość sił. W prowadzeniu gospodarstwa skupiono się więc na tym, aby nie zaniedbać ziemi, a budowę mieszkania odłożono na lepsze czasy, o ile w ogóle miały one nadejść...



Zdjęcie Anastazji wykonane do wyrabianego dowodu osobistego w 1946 r., krótko po powrocie ze szpitala.

* * *

Lato 1946 roku dla mieszkańców Płonnej było równie niebezpieczne jak cały okres po przejściu frontu. Wioska była nie tylko wypalona, ale do tego mocno zdziesiątkowana przez dokonywane wywózki na wschód. Nadal niemal bez przerwy powtarzały się nocne i dzienne najścia. Mało kto już miał siłę na ciągle tłumaczenie się, że jest niewinnym, albo na odmawianie świadczenia dalszej pomocy dla oddziałów zbrojnych z obydwu stron. Po prostu, nie było już czym dalej dzielić się. Dręczycieli jednak niewiele to obchodziło. Chętnie więc uciekali się do kolejnych aktów przemocy i jedni przed drugimi demonstrowali swoją siłę. A tak naprawdę, to poczynania te nie świadczyły o sile żadnej ze stron, a raczej o bezsilności w rozwiązywaniu nabrzmiałego konfliktu. Jedna strona powinna wiedzieć, że nie da się wywalczyć wolności politycznej na terytorium, które znajduje się w dominacji innego państwa, sprzymierzonego ze zwycięską armią, jaka miała decydujący udział w pokonaniu innego, potężnego wroga. Druga zaś strona, jeżeli rościła pretensje, że chce być suwerenem na tych ziemiach, to nie powinna dążyć do uciemiania – swoich przecież – obywateli i jednocześnie prawowitych gospodarzy tych ziem. Nikt mądry przecież sam nie wyniszcza domu, w którym żyje. Widocznie żadna mądrość nie wchodziła tu w grę...

Nie sposób – bez narażania cierpliwości czytelnika – wymienić wszystkich przykrych incydentów, jakie nadal zdarzały się w tym okresie. O niektórych z nich jednak należałoby jeszcze wspomnieć dla podkreślenia atmosfery tamtych dni.

Zdarzyło się w pewien letni dzień, że przybyły do wsi patrol wojskowy ponownie rozpytywał czy przychodzą tu banderowcy i kto udziela im schronienia. Źle było, jeżeli rozmówca był mało poinformowany i nie miał w zanadru jakiegokolwiek informacji. Tym razem wziął żołdak na spytki niespełna siedemnastoletnią Helenę, najstarszą córkę Anastazji i Andrzeja i – dla wyciągnięcia potrzebnych mu informacji – ćwiczył ją na różne sposoby. Wywijając trzymanym w ręce batogiem na wysokości stóp dziewczyny, wykrzykiwał:

– Pokaż no, k.... ukraińska, jak się tańczy kozaka!

Gdy Oleńka nie miała już sił na dalsze podskoki i ramię niejeden raz owinał się naokoło jej pokrwawionych kostek, rzucił bat i kazał jej wejść do bunkra, w którym zimą przechowywano ziemniaki.

– Nie wchodź tam, Oleńko, bo on cię zabije – błagała przyglądająca się temu zającui sześcioletnia siostra, Zosia.

– Już mi wszystko jedno, niech zabija – jęczała zmaltretowana dziewczyna, po czym weszła do bunkra, popychana przez „bohatera” w państwowym mundurze.

Żołnierz następnie wyjął z zanadru granat i odbezpieczył go, wyciągając zawleczkę.

– Albo powiesz, albo zostanie tam z ciebie sama miazga! – wrzeszczał rozjuszony.

Na moment ten nadbiegł inny żołnierz, który chyba był dowódcą tego patrolu.

– Co wyprawiasz, głupi człowieku? – wrzasnął na tego pierwszego.

– Albo wszystko wyśpiewa, albo zostanie tam k.... na zawsze!.

– Nie widzisz, że to jeszcze dziecko? Przestań się nad nią znęcać, ty bydlaku! – krzyczał przybyły żołnierz do swojego kamrata.

W tym momencie wyrwał mu z ręki odbezpieczony granat i odrzucił go w stronę pobliskiego jaru, w którym płynął potok. Rozległ się potężny huk, po czym przybyły dowódca kazał dziewczynie wyjść z bunkra i puścił ją wolną.

Innym wydarzeniem, ściągającym złą opinię na ludzi z Płonnej, było powieszenie w nocy przez nieznaną sprawców, na kasztanowcu rosnącym w pobliżu dworu, trzech mężczyzn narodowości polskiej. Wśród nich był wspomniany już wcześniej Jędrzek Kamiński. Oficjalnie przyjęto, że była to zemsta podziemia ukraińskiego za udzielanie informacji o ludziach z ich oddziałów. Taka wersja stanowiła dobre uzasadnienie do przeprowadzania dalszych ekscesów. Miejscowi ludzie mówili jednak inaczej, a mianowicie,

że zbrojne podziemie niewiele miało z tym do czynienia, a dopełniły się porachunki sąsiedzkie. Rzekomo władza została o tym poinformowana i sprawcy zostali ukarani, ale nadal utrzymywano wersję pierwotną, bo mogła ona stanowić podstawę do dalszej eskalacji prowadzonych prześladowań.

Ekscesów takich, popełnianych przez obie strony, było więcej, a wszystko odbijało się to na biednych i wymęczonych już do granic wytrzymałości ludziach. Jednak ci z nich, którzy zostali przy życiu i nie wywieziono ich w ramach tak zwanej „repatriacji” musieli myśleć o swojej przyszłości. Przez cały czas mieli nadzieję na ustabilizowanie się sytuacji, co jednak uporczywie nie następowało.

Po powrocie ze szpitala, Anastazja, pomimo wielkiego osłabienia, czuła się względnie, zważywszy na fakt, jak ciężkie było zranienie. Przez dłuższy czas nie mogła chodzić i leżała na posłaniu, prowizorycznie urządzone w spichrzu pomiędzy zasiekami na ziarno. Po kilkunastu dniach powoli zaczęła wstawać i przechadzać się po obejściu. Wszystko w tym czasie wyglądało żałośnie, a po dawnej świetności gospodarstwa pozostały w zasadzie tylko wspomnienia. Wszyscy mieli jednak nadzieję, że tamte, dobre czasy jeszcze powrócą; wystarczyłoby tylko rok, czy dwa lata spokoju, a zagroda została by doprowadzona do należytego porządku. Na razie nie myślano więc o dokonywaniu większych przedsięwzięć, a starano się wykonywać to, co było konieczne dla przetrwania. Najważniejsze było, aby wejść w okres zimowy względnie przygotowanym na wielkie mrozy i śniegi i być zaopatrzonym w zapasy żywnościowe. Z zapasami tymi jednak sprawa nie była prosta, bo nadal wiele było chętnych do dzielenia się – i to nie koniecznie musieli prosić się w tej mierze, a zazwyczaj kazali oddać sobie taką część, jaką sami uważali za słuszną.

Częste też bywały wizyty ludzi, szczególnie młodych mężczyzn, proszących o schronienie. Ukrywano się głównie przed pojmaniem za niepopołnione czyny lub przed wcieleniem do zbrojnego podziemia. Za odmowę służby w tych formacjach zawsze groził tylko jeden wymiar kary. *My nie mamy swoich więzień i nie stać nas na przetrzymywanie aresztantów* – objaśniali w takich przypadkach przywódcy.

Wśród osób ukrywających się w obejściu rodziny Priadków nadal częstym gościem był Grzegorz Warcholak, pochodzący z górnego końca Płonnej. Tutejszym zwyczajem używania przydomków, mówiło się, że pochodzi on z domu *Jurciów*. Grześ był młodzieńcem przystojnym i, pomimo młodego wieku, wielce doświadczonym przez życie. Jako szesnastoletni chłopak popadł na prace przymusowe w Trzeciej Rzeszy, gdzie przebywał niemal cztery lata. Stamtąd zbiegł, popadając nie ze swojej woli na służbę w policji. Gdy już się uwolnił od tej przynależności, znalazł się w szeregach Armii Czerwonej. Po kilku miesiącach walk popadł pod niemieckie kule, a po pobycie w szpitalu został zdemobilizowany. Po powrocie do domu nie był mu

jednak pisany odpoczynek, a cały czas groziło mu wcielenie do ukraińskiego podziemia. Nie chciał jednak kolejny raz nadstawiać głowy, tym razem za sprawę, która nie miała szans na powodzenie i w związku z tym musiał ukrywać się przed kolejnym wcieleniem do sił zbrojnych.

Takie, częste przebywanie młodego mężczyzny w rodzinie, w której znajdowała się młoda dziewczyna, nie odbyło się bez konsekwencji. Helena też nie patrzyła na Grzesia obojętnie, a ponieważ miał on już swoje zasługi w udzielaniu różnej pomocy, a głównie przy ratowaniu Anastazji podczas fatalnego poranienia, ojciec Heleny również patrzył przychylnie na częstego gościa. Wspólnie więc uradzono, że będzie wygodniej i bezpieczniej, jeżeli tych dwoje ludzi związałoby się węzłem małżeńskim. Czasy nadal były niepewne i wydawało się, że wydanie córki będzie dla niej korzystne, ponieważ w razie jakiegś kolejnej katastrofy miałyby ona od kogo oczekiwać opieki.

Problemem okazało się jednak znalezienie miejsca, gdzie mogliby wziąć ślub i kapłana, który mógłby udzielić takiego sakramentu, bowiem w Płonnej od ponad pół roku nie było już proboszcza, który niemal cudem uszedł sam z życiem i uratował przed zagładą swoją najbliższą rodzinę. Wypytywano więc ludzi o to, gdzie w cerkwi jeszcze znajduje się kapłan, który mógłby pobłogosławić młodej parze. Okazało się, że jedyną taką wioską w okolicy ostał się Jawornik – wieś położona na południe od Płonnej – za Kulaszmem, Szczawnem i Rzepedzią; razem tej drogi było niemal piętnaście kilometrów. I mniejszym problemem w tej wyprawie była sama odległość, a głównie chodziło o to, jak bezpiecznie pokonać ją bez narażenia się na nieprzyjemne przygody, o które w tym czasie nie było trudno.

Ślub odbył się rano w środę, dziewiątego listopada 1946 roku. Z konieczności uroczystość była skromna. W Jaworniku, podobnie jak w innych łemkowskich wioskach w tamtym czasie, bardzo wiele domów również było zniszczonych, a ludzie częściowo wysiedleni na wschód. Zaślubiny odbyły się według ceremonii wschodniego kościoła, chociaż w bardzo okrojonej oprawie. Świadków tego wydarzenia – oprócz kilku osób z rodziny panny młodej – było niewiele, a po nałożeniu obrączek i pobłogosławieniu przez kapłana nie było nawet chóru, który zaśpiewałby młodej parze nieodłączne przy takiej okazji *mnohaja lita*. Powrót do domu odbył się w tak krótkim czasie, na ile pozwalały siły niewielkich huculów¹. Skrócenie czasu podróży było jedynym rozsądnym wyjściem, jeżeli ktoś chciał zachować maksimum bezpieczeństwa w tych niespokojnych czasach.

Uroczystości weselnych nie planowano z wielu oczywistych powodów, ale nawet skromny obiad dla domowników został przerwany wiadomością, że do wioski zbliżają się oddziały wojskowe i znów będzie miało miejsce przeczesywanie zagród w poszukiwaniu domniemanych wrogów. Młody

¹ Tu: rasa koni, jakie w większości hodowano na Podkarpaciu. Konie te, choć wytrzymałe, były drobnej budowy i nie tak silne, jak konie pochodzące z innych regionów Polski.

małżonek, nie chcąc się więc narażać na jakiegokolwiek niebezpieczne dla niego sytuacje, ponownie musiał ratować się ucieczką, a powrócić mógł dopiero po kilku dniach. Pani młoda zaś zdjęła odświętną suknię i zajęła się codziennymi czynnościami, jakich nigdy nie brakowało w domu i zagrodzie. Takie bywały początki życia w nowym związku małżeńskim dwojga młodych ludzi w tamtych, niespokojnych czasach.

* * *

Zima 1947 roku niczym specjalnym nie wyróżniała się pod względem pogodowym od wielu innych. Odmierna natomiast była sytuacja ludzi mieszkających w Płonnej (a także w dziesiątkach innych wiosek). Niemal wszyscy z nich od ostatniej wiosny, to znaczy od czasu straszliwej pożogi, jaką zgotowało wojsko, pozbawieni byli swoich mieszkań i znikąd nie mieli jakiegokolwiek wsparcia. Niewielu było takich szczęśliwców, którym ocalała chociaż obora i stodoła, jak to się właśnie stało w rodzinie Andrzeja i Anastazji. Tu zresztą też sytuacja nie była łatwa. Siedem osób stłoczonych było na niewielkiej przestrzeni spichlerza zbożowego, w którym nie było podstawowych wygod, jakie należały się istotom ludzkim w połowie dwudziestego wieku. Najbardziej – obok wielkiej ciasnoty – dokuczliwy był chłód i głęboka ciemność, panująca tu niemal całą dobę.

We wsi nadal zdarzały się eksterminacje upokorzonej już ludności. Jedną z nich była okrutna zbrodnia popełniona na chorym człowieku. Otóż niemal w sąsiedztwie, w zgłiszczach spalonego domu, na posadzce zasłanej starymi szmatami, leżał, złożony chorobą starszy człowiek, na którego wołano *Lenio Hawryła*. Cała jego rodzina została wcześniej wywieziona na wschód. Podczas jednego z rajdów, wykonywanych przez oddziały wojskowe, splądrowano zgłiszczu w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Z zemsty, że nie ma efektów tego nalotu i nie było nawet czego podpalić, podłano wodą to biedacze posłanie. Tak pozostawiony, nieszczęsny starzec skończył przez noc, a gdy rano znaleźli go sąsiedzi, to ciało jego, wspólnie z łóżkiem, stanowiło jedną bryłę lodu.

Wszyscy jednak przywykli już do takiego upokorzenia i z tęsknotą oczekiwali lepszych dni, jakie mogłyby nastąpić wraz z nastaniem wiosny.

Wiosna, na pocieszenie przysłała dosyć wcześniej i wszystkie prace przy uprawie pól i zasiewach odbyły się zgodnie z przewidywaniami, a nawet znacznie sprawniej. W międzyczasie wydarzył się jeszcze jeden incydent z sekwestracją, a raczej grabieżą, przez wojsko koni, co ponownie kosztowało Andrzeja wiele nerwów, ponieważ i utraconego czasu. Jednak po kilku dniach sterany gospodarz powrócił do domu, prowadząc za sobą Karego i Gniadę. Odtąd *jarowanie*¹ odbyło się niemal bez przeszkód.

¹ Jarowanie (od słowa „jar”, czyli „wiosna” – łemk.) oznacza tu prace wiosenne.

W połowie kwietnia wszystkie jare zboża ładnie się już zazieleniły i przygotowywano pole do sadzenia ziemniaków. Patrząc, jak przyroda budzi się do życia, we wszystkich wstępowała otucha do podejmowania działań i nowa nadzieja na normalny byt. W czasie tym Andrzej coraz częściej powtarzał do żony:

– Uporam się ze wszystkimi pracami polowymi, a potem, przed żniwami podejmę przygotowania do budowy domu. Nie może przecież tak być, aby rodzina jeszcze jedną zimę koczowała w tej zimnicy.

– Dobrze mówisz, Andrzej – potakiwała mu małżonka, – ale czy ty naprawdę myślisz, że już nadszedł taki czas, że można dom budować? Przecież mogą przyjść i znów wszystko spalić.

– Kto wie, zapewne może się to jeszcze zdarzyć. Prawdę mówisz – Andrzej smętnie przyznawał rację żonie. – Pewnie przyjdzie jeszcze poczekać, aż całkowicie zapanuje spokój.

Zabrał się więc zafrasowany gospodarz do przygotowywania pola pod sadzenie ziemniaków. *Dom pewnie jeszcze poczeka, ale pole musi być zadbane* – myślał sobie, zawracając końmi na końcu zagonu.

Tymczasem do wsi ponownie zawitały nowe oddziały wojska. Tym razem były one znacznie liczniejsze niż kiedykolwiek, a sposób ich urządzania się świadczył, że zamierzają pozostać tu na dłużej. Dowództwo na swoją siedzibę wybrało zagrodę Andrzeja i Anastazji. Żołnierze często nawiązywali kontakty z napotykanymi ludźmi i wypytywali ich o wiele spraw: nazwiska, gdzie mieszkają i jak im się wiedzie, przy czym wykazywali nadzwyczaj przyjazny stosunek do wszystkich mieszkańców. Często były nawet przypadki udzielania pomocy w pracach wiosennych i przy dźwiganiu z ruin poniszczonych domostw. Kilku żołnierzy ze sztabu dowództwa wykazywało szczególnie przyjazny stosunek do Andrzeja oraz pozostałych domowników, a wśród nich wyróżniał się młody plutonowy, który przy każdej okazji chętnie przystawał do rozmowy.

Po tygodniu, w niedzielne popołudnie, potajemnie przywołał on Helenę w ustronne miejsce i poradził, ażeby nikt z rodziny nie oddalał się z wioski, bo czasy są bardzo niespokojne.

– Czy coś się stało? Co to, znowu będą nasilone kontrole? – zapytała za-intrygowana Oleńka.

– A nic nowego się nie stało, tylko dogłębamy, aby we wsi był spokój – odpowiedział wojskowy.

Na rozmowę tę naszła Anastazja.

– Przecież tu zawsze jest spokój – wtrąciła się do rozmowy gospodyni. – Tutejsi ludzie niczego złego nie robią, a spokoju nie ma, gdy ktoś nieproszony w gościnę tu zawita.

– Matko, nie gadajcie za dużo – uspokajał ją podoficer. – Od pustego gadania większego spokoju nie będzie. Niestety, musimy wszyscy tak robić, jak nam władza każe...

Potem odesłał towarzyszącego mu żołnierza, aby wyszedł na drogę i popatrzył, czy tam nic szczególnego nie dzieje się. Gdy plutonowy został sam, rozejrzał się dokładnie wkoło, po czym skinął na Anastazję, aby przybliżyła się do niego.

– A gdzie jest wasz mąż, gospodyni?

– A czego wy od męża możecie chcieć? On jest już stary i nic wam po nim. Ale jak się pan pyta, to powiem, że jest na polu. Poszedł tam, aby rozplanować pracę na jutro.

– My nic od męża nie potrzebujemy. Chcę wam tylko powiedzieć coś bardzo ważnego, tylko proszę, aby nikomu o naszej rozmowie nie mówić. Poślijcie jakieś dziecko na pole, niech mąż natychmiast wraca. To, co on tam chce jutro robić, już nikomu się na nic nie przyda. Wy już nigdy tu gospodarzyć nie będziecie! Nie wolno mi o tym mówić, ale mi was szkoda...

Anastazja przeczuwała, że ma się wydarzyć coś strasznego. Na całym ciele poczuła dreszcze, a nogi zaczęły się jej uginać.

– Nie mogę tu dłużej z wami rozmawiać – kontynuował podoficer, – ale to, co mówię, jest bardzo ważne. Tu, wkoło stoi dużo wojska. Jutro z rana mają wszystkich zebrać i powiedzieć, że będziecie stąd wysiedleni. Pojedziecie na ziemie zachodnie, tam są wolne gospodarstwa po rodzinach niemieckich i każdy dostanie swój dom. Wioskę będziecie musieli opuścić w ciągu dwóch godzin, a zabierzecie tylko tyle, ile zdołacie spakować i załadować na wóz. Dlatego trzeba zaniechać wszystkich innych czynności i przygotowywać się do wyjazdu. Nic więcej nie mogę wam pomóc.

Te ostatnie słowa wydawały się biednej kobiecie tak, jakby pochodziły skądś z daleka i mało co już z tego do niej docierało. Poczuła, że cały świat zwałił się jej na głowę. Nie mogła tego wszystkiego pojąć, ale po dotychczasowych przeżyciach wiedziała, że to wszystko może być prawdopodobne. Zaczęła się jeszcze dopytywać, jak to tak można z ludźmi postępować i kogo by prosić o zgodę na pozostanie. Już raz się wyprosiła od wywózki na wschód, to pewnie i tym razem ktoś jej pomoże. Przecież jej syn walczył w wojsku polskim i tam stracił życie, a ona teraz ma być wygnana z własnego domu?

– Naprawdę nic więcej nie mogę wam pomóc. A najlepiej będzie, jeżeli zapomnicie, że to ja wam o tym powiedziałem. Jakby się to wydało, to czeka mnie kula w łeb. Na mnie już czas – dokończył żołnierz, odwrócił się i odszedł.

Którś z dzieci pobiegło po ojca na pole, aby natychmiast wracał do domu. Ten zaś, jakby nie dowierzając, że sprawa jest ważna, powrócił do-

piero po dłuższej chwili. Gdy Anastazja powtórzyła mu całą rozmowę z wojskowym, załamał ręce i głośno zapłakał.

- Jak ja teraz mam to wszystko zostawić? Przecież całe życie na to pracowałem! Wszystkie moje młode lata mają pójść na darmo? Za co, Boże, tak mnie ukarałeś?

Nie było jednak czasu na zbyt długie użalanie się nad swoim losem. Czasu tego pewnie było mniej, niż trzeba, aby skarga taka dotarła do Najwyższego. Wątpiono jeszcze przez chwilę, czy może być prawdą ta straszna wiadomość, w zaufaniu przekazana przez dobrego człowieka. Nie było jednak już kiedy weryfikować jej autentyczności. Czuło się w powietrzu, że zanośsi się na coś niezwykłego. Przypuszczenia te potwierdzały się przez wzmożone ruchy wojsk, przejeżdżających co chwilę w różne strony drogą prowadzącą z Kulasznego do Bukowska. Jakże trudno było pogodzić się, że naprawdę wszystko jest już nieważne: i zamiary odbudowy domu, i wiosenne zasiewy, które tak ładnie wzeszły, i wyjątkowo wcześniej i obficie kwitnące sady, i te łąki i połoniny, co mieniały się milionami kwiatów i rozbrzmiewają brzęczeniem miododajnych pszczoł, i te dorodne lasy z dzieśiątkami ścieżek, które od dziecka przemierzało się w różne strony. Wszystkie minione dobre i złe dni, które przyszło tu spędzić w radości i smutku, a nawet groby najbliższych, pozostawiane na zawsze na zdewastowanych cmentarzach – wszystko miało być odtąd nieważne. Jedyna rzecz, o której teraz należało myśleć, to ratowanie wszystkiego, co mogłoby pozwolić rodzinie na przeżycie w cudzej ziemi. Jest jednak jeden wielki problem: jak to wszystko zabrać ze sobą, kiedy nie jest wiadomo na ile pozwolą i jakie będą ku temu środki?

Nie jest rzeczą możliwą, aby opisać wszystkie przeżycia i cierpienia, jakie towarzyszyły tej nocy biednym ludziom, skazanym na wygnanie. Nawet te odczucia sprzed roku, kiedy to w ogniu, razem z całą wioską, stanął rodzinny dom, wydawały się tylko namiastką tych, jakie trzeba było przeżywać obecnie. Wtedy palił się dom, ale pozostawało to, co jest najważniejsze – rodzinna ziemia, która dawała byt i wyżywienie. Chociaż bez dachu nad głową, ale było się u siebie. Teraz należało odciąć korzenie od macierzy i udać się na nie wiadomo jaką poniewierkę.

Rozsądek nakazywał jednak, aby nie tracić czasu na wylewanie żalów i zbędne rozmyślanie. Posłano któreś z dzieci do rodziny Grzegorza, w górnym końcu wioski, aby również uprzedzić ich o tej strasznej wiadomości. Następnie każdy, kto mógł, zabrał się do czynu. Szyto więc worki z resztek lnianych płócien, przeglądano i tak już zniszczony dobytek i pakowano rzeczy – coś do przyodziewku, coś do jedzenia i coś na przyszłe gospodarstwo. Pospiesznie mielono więc na żarnach resztki pszenicy, aby mieć mąkę, jako niewielki zapas na trudne dni. Cała noc zeszła na ciężkiej pracy, przepełnionej żalem i rozpaczą.

W końcu nastał ranek, dwudziesty siódmy dzień kwietnia 1947 roku. Dzień ostateczny na ziemi rodzimej! Gdy słońce już wyraźnie świeciło nad horyzontem, po wsi przetaczały się ze złowrogim warkotem silników wojskowe ciężarówki. Żołnierze porozstawiali się w różnych, ważnych dla nich miejscach, a starszyzna chodziła od domu do domu, a raczej od ruin do ruin, i rozgłaszała krótkie, ale stanowcze polecenie, aby z każdej rodziny najważniejsza osoba natychmiast przybyła do cerkwi. Tu przykazano im stanowcze polecenie władzy mieniającej się, że to niby od ludu pochodzi i ludowi służy. Brzmiało ono krótko: *Wszyscy zostaną wywiezieni na tereny ziem zachodnich. Należy zbierać się, jak kto może. Brać tylko rzeczy najbardziej potrzebne. Zezwala się na wywiezienie po jednej sztuce większego inwentarza (konie, krowy) i przydatne przedmioty ruchome. Za dwie godziny¹ wszyscy mają być gotowi do wymarszu na stację kolejową w Kulasznie, a dobytek należy złożyć na wóz konny, jeżeli ktoś jeszcze taki posiada. Nie zastosowanie się do rozkazów będzie srogo karane.*

Wszędzie było słychać płacz, lament i pokrzykiwanie żołnierzy, którzy w danym na spakowanie się czasie, chodzili i sporządzali listy nieszczęśników, mających wynieść się z ziemi rodzimej. Andrzej uzyskał wiadomość, że każdej rodzinie zostanie przydzielony wagon na czas podróży, w którym należy zmieścić inwentarz żywy, narzędzia rolnicze, rzeczy osobiste, no i oczywiście, znaleźć sobie przy tym własny kąt na czas nie wiadomo jak długo mającej trwać podróży. W uznaniu dotychczasowych dobrych stosunków ze stojącym we wsi dowództwem wojskowym w drodze wyjątku Andrzejowi i Anastazji przyznano ciężarówkę do wywiezienia zdziesiątkowanego już mienia. Na podstawiony z opóźnieniem samochód upchano co tylko było możliwe, w tym również trzy ule z pszczołami. Niektóre rzeczy spakowano na wóz konny, przywiązano do niego krowę, której na imię było Irka i nadszedł już czas na wyruszenie w tę nieszczęsną podróż.

W całej tej krzątaninie brali udział wszyscy domownicy, nie wyłączając najmniejszych dzieci. Najmniej z tego rozumiał może czteroletni Andrzejek. Wiedział tylko, że za chwilę pojedzie pierwszy raz w życiu samochodem, chociaż nie wiedział dokąd ta droga ma prowadzić. Inaczej natomiast przeżywała to wszystko starsza od niego o trzy lata siostra, Zosia. Ona zdawała już sobie sprawę z tego, że coś ważnego runęło na wszystkich i przycisnęło ich niepojętym ciężarem. Wiedziała też, że to już ostatni raz patrzy na podwórko, na którym – chociaż w ciężkich czasach – spędziła swoje dzieciństwo. Przysiadła więc na progu w wejściu do obory, ujęła w rękę drewniany drzązek, na końcu którego osadzona była motyka, i zawodząc żałośnie, tłukła

¹ Wspomnieć tu należy, że przypadki wcześniejszego poinformowania o wysiedleniu w ogóle nie występowały. Przykładowo bratanica Andrzejka, Katarzyna Matejko z Wiśłoka, do końca swoich dni (przeżyła 94 lata) skarżyła się, że podczas opuszczania domu pozostały na zapiecku garnki z gorącą strawą, a pod płytą pieca żarzył się jeszcze ogień.

nim z rozpaczy o własne czoło. Stojący obok żołnierz spojrzał na lamentującą dziewczynkę i odezwał się do swojego kolegi:

– Zobacz jak to dziecko cierpi. Pomyśl, co my do licha wyprawiamy!

– Kolego, nic na to nie poradzimy. Taki rozkaz. Ci ludzie naprawdę nie zasłużyli na takie cierpienia i poniżenia, ale my musimy robić swoje.

– Chodźmy stąd, bo już nie mogę na to patrzeć – powiedział pierwszy z nich i przeszli na drugą stronę ciężarówki.

Nadszedł czas na wymarsz. Grzegorz, zięć gospodarzy, sprawdził ułożenie przedmiotów na wozie, raz jeszcze spojrzał na obejście i w milczeniu zaciął batem niewinne konie. Wóz ruszył, a za nim poczłapała czerwona krowa z długimi, prosto odstającymi rogami. Za tym żalosnym konwojem wyruszyły z tobołkami kobiety: Anastazja, Helena i dorastająca Marysia. Szli tak w milczeniu i wielkim skupieniu. Żal ścisnął im gardło. Chciały coś powiedzieć, ale żadne słowo, jakie mogło wydobyć się w tym czasie z ust, nie wydawało się stosowne na taką okazję. Szli więc tak wszyscy bez słowa. Ta żalosna cisza rozrywała ich serca i jeszcze bardziej potęgowała rozpacz.

Ostatni raz przemierzali więc wiejski trakt. Następnie powóz skręcił w prawo na drogę publiczną, zostawiając po tej samej stronie cerkiew, w której już od ponad roku nie były odprawiane nabożeństwa. Z wielkiego szacunku dla tego świętego przybytku, przeżegnali się wszyscy po trzykroć, w pamięci zmówili pacierz i ruszyli dalej. Od tego miejsca droga zaczęła wznosić się do góry. Gdy mijali leżący po lewej stronie cmentarz, zmęczona do granic wytrzymałości Anastazja, z wielkim wysiłkiem wdrapała się na skarpe i pobiegła do miejsca, gdzie znajdowało się siedem grobów jej przedwcześnie zmarłych dzieci.

– Żegnam was raz jeszcze, moje maleństwa, i pewnie po raz ostatni widzę wasze mogiły – wyjąknęła cicho, po czym zaniósła się gorzkim płaczem. – Niech wam ziemia lekką będzie!

Przy ogrodzeniu odwróciła się raz jeszcze, spojrzała na środek cmentarza i otarła ściekające po policzkach gorzkie łzy.

Żałowany samochód, który również miał udać się w tę samą podróż z Andrzejem i dwójką młodszych dzieci, z powodu awarii długo nie wyruszał z podwórka. W ciągu tego, przedłużającego się pożegnania nieszczęsny gospodarz ze ściśniętym gardłem, rozdygotanym sercem i poczuciem bezsilności spoglądał na resztę pozostawionej pasieki pszczelej, stojącej w kwitnącym sadzie, która nie znalazła miejsca w tym żalosnym konwoju oraz na budę psa, którego już od kilku dni nikt nie widział w zagrodzie. Jeżeli się odnajdzie to nie zastanie już nikogo z domowników i teraz pewnie on będzie pełnić rolę ostatniego gospodarza... A może przygarną go rabusie, jacy już jutro będą tu ściągać gromadnie – jak hieny cmentarne...

Nieoczekiwanie przedłużało się to tragiczne pożegnanie gospodarza ze swoją sadybą. Po upływie około trzech kwadransów silnik w końcu zasko-

czył i cały dorobek życiowy, wszystkie minione dzieje, zaczęły stawać się tylko wspomnieniem. Podróż ta jednak nadal nie była zbyt szczęśliwa. Gdy samochód minął wzgórze obok cmentarza i zjeżdżał z niewielkiego wzniesienia, podczas mijania się z innym pojazdem, niespodziewanie zaczął się obsuwać z drogi i dalej przemieszczał się już po grząskim poboczu. Sytuacja zaczęła robić się niebezpieczna. Wyczuwając zagrożenie mały Andrzejek krzyknął z przestrawą:

– Papo, przewracamy się! – i gdy już samochód był w wielkim przechyśle, wyskoczył z kolan ojca i z impetem znalazł się poza rowem.

Sprytem takim nie wykazała się jednak siostra i w czasie wywrotki, jaka za chwilę nastąpiła, została poturbowana, ale na szczęście zakończyło się to bez większych okaleczeń. Za to wystąpił kolejny, nieoczekiwany przestój w podróży, co mocno zaniepokoiło wcześniej przybyłą na punkt zborny rodzinę.

Po upływie kilku godzin wszyscy znów byli razem. Stali teraz w Kulasznie, na zatłoczonym placu naprzeciw stacji kolejowej. Panował tu powszechny rozgardiasz, bowiem nikt z prowadzących nie był przygotowany na opanowanie tego całego zamieszania. Na niewielkiej przestrzeni ściśnięto setki rodzin ze skromnym, ale jeżeli patrzeć na każdą z nich, to w sumie z licznym dobytkiem. Tylko niektórym udało się skorzystać z ustawionych namiotów wojskowych. Większość pozostała pod gołym niebem. Wygłodniałe i niewydojone bydło ryczało wniebogłosy, dzieci płakały, a osoby starsze lamentowały. Mężczyźni wyrażali swoje niezadowolenie, a odważniejsi spośród nich odgrążali się, że nigdy tego nie zapomną. Transportu kolejowego nie było widać i nie było też wiadomym, kiedy wagony zostaną podstawione. Dla wojskowych dowódców natomiast najważniejszym na tamten czas zadaniem nie było zapewnienie opieki nad stłamszonymi ludźmi, lecz takie rozstawienie uzbrojonych wart, aby nikt żywy nie mógł przedostać się na zewnątrz tego obozowiska. Brakowało wszystkiego – żywności, wody do picia, ciepłego przykrycia w chłodne noce, warunków sanitarnych i wielu innych rzeczy, przynależnych istotom ludzkim. Tak trwało to ponad dwa dni.

Kolejne nasilenie zamieszania powstało po podstawieniu pociągu z wagonami towarowymi. Każdej rodzinie starano się przydzielić po jednym z nich. Wkrótce jednak okazało się, że wagonów jest znacznie mniej od deportowanych rodzin. Powstał więc ogólny zgielk i przepychanie się. Po zajęciu wszystkich wagonów wiele rodzin pozostało na zdeptanej ziemi i skazanych na oczekiwanie na kolejny transport, o którym na razie nic nie było wiadomo. Przywódcy tej wyprawy przeglądali więc poszczególne wagony jak mocno są zatłoczone i zaczęli dokooptowywać do nich mniejsze rodziny lub osoby samotne.

Wreszcie cały ten żaloszny eszelon wyruszył w swoją sławetną podróż. Kilkadziesiąt wagonów, złączonych ze sobą żelaznymi hakami i ciągnionych zziąjaną lokomotywą, niczym wielka, złowroga gadzina, wiło się teraz pośród wzgórz, dolin i potoków na pograniczu Beskidu Niskiego i Bieszczad. Ludzie nie mogli jednak nawet wzrokiem pożegnać swojej macierzy, bo wagony były bez okien, szczelnie pozamykane i pozabijane od zewnątrz, aby nikomu z tych nieszczęśników nie przyszła do głowy myśl o ucieczce i powrót do swoich zgłiszczy. Pierwszy odcinek drogi nie trwał długo, bo już w Zagórzcu cały transport przetaczano z toru na tor, aż wreszcie dołączono do niego wagony z takimi samymi nieszczęśnikami, a przywiezione tu z okolic Leska. W wagonach tych w większości znajdowali się ludzie z Paszowej – dużej wioski położonej za Olszanicą.

Minęli Zagórz, Sanok, a dalej pociąg zaczął kierować się na zachód. Transport przemieszczał się wolno i nieustannie był zatrzymywany dla przepuszczenia innych pociągów. Kończyła się pierwsza noc, gdy ujechali zaledwie do Krosna i zostali zatrzymani na bocznicę na dłuższy postój. Wszystkich powiadomiono, że po kolei, poszczególnymi wagonami będą mogli podchodzić pod strażą wojaków do pompy i nabrać sobie wody na zapas, aby wystarczyło do następnego postoju. Nieoczekiwanie przerwa w podróży przedłużyła się, bo podjechał do nich oddział wojska z milicją i poczęto przeszukiwanie wagonów. Przegląd ten zakończył się wywleczeniem z wagonów i aresztowaniem kilku mężczyzn, których posądzono, że sprzeniewierzyli się ludowemu państwu polskiemu.

– Co teraz z nimi? – pytali jedni.

– Będzie to samo, co z innymi naszymi braćmi – odpowiadali drudzy. – Będą ich przesłuchiwać, a potem pojedą do Jaworzna¹.

Po odjeździe tej karnej brygady, transport powoli wyruszył w dalszą podróż. Nie minęło jeszcze Jasła, kiedy zatrzymali się ponownie na niewielkiej stacji. Gdy postój przedłużał się, pozwolono na rozsuniecie drzwi, aby ludzie mogli pooddychać świeżym powietrzem. W powietrzu jednak, zamiast orzeźwiającej woni wiosny, zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Otóż okazało się, że do pobliskiej miejscowości szybko dotarła wieść, iż na stacji stoi transport Ukraińców. Przez dwa lata prowadzonych przez władzę ludową działań, zwanych „akcjami”, w tym również wrogiej propagandy przeciwko rodzimej ludności zamieszkującej południowo-wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, w społeczeństwie polskim zaszczerpiono dostatecznie dużo nienawiści, aby było ono gotowe na wszystko, nawet do wykonywania samosądów. Nieświadomi ludzie uważali widocznie, że trudno będzie znaleźć drugą taką okazję, aby w jednym miejscu zgromadzonych było tyle

¹ W Jaworznie, po zakończeniu II wojny światowej, w byłym niemieckim obozie jenieckim utworzony został obóz koncentracyjny dla więźniów politycznych. Przetrzymywano tu i torturowano kilka tysięcy więźniów narodowości ukraińskiej, z których wiele zginęło.

obezwładnionych i pozamykanych w klatkach „stworów z czarnym podniebieniem”. Postanowili zatem rozprawić się z nimi na własną rękę. Biegli więc ludziska, uzbrojeni w kosy, motyki, siekiery i inne niebezpieczne narzędzia – jak dziwaczne pospolite ruszenie – na bój za własną ojczyznę z tymi, co też niby chcieli swojej ojczyzny, ale nie jakiejś tam niepodległej, tylko *samostijnej*¹. Słowa tego nie wszyscy rozumieli, zwłaszcza ci, którzy nigdy nie widzieli na oczy ludzi mówiących językiem Tarasa Szewczenki, ale za to działało ono na nich jak płachta na byka podczas corridy. Z oddala rozlegały się więc wrogie okrzyki:

– Bić Ukraińców! Bić banderowców! Koniec z nimi! Nigdzie już stąd nie odjadą!

Hałastrą biegła dalej z nastroszonymi narzędziami. Ludzie z transportu pozamykali się w swoich wagonach i z trwogą spoglądali co będzie dalej. Odważniejsi zaś odgrzebywali spod rupieci przedmioty, którymi mogliby się bronić. Sytuacja stawała się bardzo niebezpieczna. Wojsko starało się powstrzymać rozwścieczony tłum, ale nie odnosiło to żadnych efektów.

Żołnierze z ochrony transportu ustawili się przed wagonami w szeregu.

– Stać! – krzyczeli. – Stać, bo będziemy strzelać!

Tłum jednak napierał dalej. Wtem rozległo się kilka głośnych wystrzałów i ponowne nawoływanie żołnierzy. Tłum na moment zatrzymał się w miejscu.

– Stać natychmiast! – krzyczał dalej dowódca. – Ani kroku do przodu, bo następne strzały już nie będą skierowane w powietrze!

Tłum znieruchomiał.

– A teraz natychmiast odwrócić się i biegiem marsz do wioski! – rozbrzmiewało polecenie. – Jeżeli ktoś będzie się ociągał, to otrzyma serię z karabinu po nogach!

Wobec takiej, zdecydowanej postawy żołnierzy rozwydrzona zgraja odwróciła się i zaczęła oddalać się od stacji kolejowej, a wystraszeni ludzie z ulgą odetchnęli.

Później okazało się, że było to już ostatnie zagrożenie, jakie przychodziło im przeżywać. Od tej chwili zdarzały się jeszcze różne incydenty obcesowego traktowania wygnańców, ale nikt już nie groził samosądem, śmiercią, czy innymi formami przemocy. Pozostało tylko znoszenie nostalgii za tym, co utracono i wielu niewygód związanych z przedłużającą się bez miary podróżą.

Podróżowali tak biedni ludziska dzień i noc, z czego więcej było stania na stacjach i przetaczania wagonów na bocznicach, niż samej jazdy. Transport ten nie pokonywał nawet stu kilometrów na dobę. Nie jest tylko wia-

¹ Niezależnej (ukr.); Termin ten, pomimo, że mało kto rozumiał jego polskie znaczenie, stał się w niektórych kręgach synonimem rzekomego nacjonalizmu ukraińskiego i powodował wielką pogardę.

domym, czy opieszałość ta stanowiła jeszcze dodatkową formę zemsty na tym narodzie, czy też była wynikiem powszechnie panującego bałaganu i braku informacji na temat, kto i dokąd ma być zawieziony. Pomimo otrzymywanej minimalnej pomocy w postaci gorących zup na większych stacjach, a niekiedy nawet podstawowych środków czystości, wszystko to wpływało bardzo źle na samopoczucie i zdrowie wielu osób, a szczególnie niemowląt i niewiast w ciąży. Występowały też przypadki sztychów, przebiegających się, a nawet poniżania. Nic jednak nie mogło już zaskoczyć ludzi poniewieranych od kilku lat. Byli wśród nich i tacy, którzy w desperacji z ulgą przyjmowali fakt deportacji.

– Nikt nas już nie będzie mordował i okradał – mówili, – a pracować wszędzie trzeba. Tam, gdzie jedziemy, też ludzie żyją, to i my damy sobie radę.

Na jednej ze stacji podszedł do Andrzeja porucznik, który spełniał rolę dowódcy ochrony całego transportu i wdał się w rozmowę.

– Widzicie, gospodarzu, teraz już banderowcy nie będą was atakować.

– Panie poruczniku – przerwał mu Andrzej, – dlaczego pan w ten sposób zaczyna ze mną znów rozmawiać? Przecież i ja i pan dobrze wiemy, kto i kiedy nam dokuczał. Wiemy kto spalił wioskę, kto postrzelił moją żonę i kto nas okradał. Dostatek już nam wszyscy nadokuczali: przede wszystkim wojsko polskie, a i banderowcy też nie byli święci. Jeżeli pan chce ze mną rozmawiać, to mówmy prawdę.

– No dobrze, dobrze – kontynuował oficer, – nie chcę się z wami przebiegać. Chcę wam tylko powiedzieć, że skończyła się wasza udręka. Na ziemiach zachodnich dostaniecie gospodarstwo niemieckie i będziecie żyć sobie spokojnie. A o *samostijnej* Ukrainie trzeba zapomnieć. Słyszałem, że jeździł pan po świecie i mądry z was człowiek. Dlatego powinien pan wiedzieć, że nigdy Ukraina nie będzie *samostijną*, bo po prostu takiego państwa nie było i nie będzie. Zgadza się ze mną?

– Panie oficerze – odpowiedział na to prowokacyjne pytanie Andrzej, – ja jeździłem po świecie, to prawda, ale do szkół nigdy nie chodziłem, bo gdy byłem dzieckiem, to nikt nie dbał o to, ażeby we wsi była szkoła. Pisać i czytać sam się nauczyłem, a z pana to pewnie wykształcony człowiek. Dlatego na pana miejscu nie opowiadałbym takich głupot. Przecież pan dobrze wie, że to niedorzeczności. Natomiast, co do przyszłości, to nikt nie wie jak potoczy się dalej historia i wszystko się może zdarzyć.

– Tak, ma pan rację – kontynuował porucznik. – Wszystko się może zdarzyć, ale na pewno nie będzie samodzielnej Ukrainy. Ten kraj nie może sam istnieć, zresztą nikt na to nie pozwoli.

– Jeszcze raz powiadam panu, panie poruczniku, że na pana miejscu nie opowiadałbym takich rzeczy, bo to nawet nie przystoi człowiekowi z taką rangą. Jeżeli chociaż trochę uczył się pan historii, to powinien pan wiedzieć,

że nie tak dawno, bo jeszcze czterdzieści lat nie minęło, a w Warszawie na ulicy nie wolno było mówić po polsku, a teraz nadal jest to stolica samodzielnego i niemałego kraju. Przyjdzie czas, że tak samo będzie z Ukrainą.

– Widzę – odpowiedział po namyśle wojskowy, – że mądry z was człowiek i trudno pana przegadać.

Oficer odwrócił się i zmieszany poszedł do swojego wagonu.

Droga dłużyła się niesamowicie, a ludzie stawali się wyczerpani do granic wytrzymałości. Nikt nie informował ich gdzie się znajdują, o miejscu, do którego udają się, ani o terminie zakończenia tej nieszczęsnej podróży. Przetaczano ich z torów na tory, od czasu do czasu posuwali się o kilkadziesiąt kilometrów dalej, ale najczęściej stali na małych stacyjkach, na których niekiedy czekała na nich przygotowana przez wojsko ciepła zupa, była możliwość nabrania wody i wyrzucenia nieczystości. Wszystkim kończyły się zapasy żywności i paszy dla zwierząt. W nocy dokuczał przenikliwy chłód, a w dzień duszność. Powszechnie w wagonach panował zaduch i niemiłe zapachy, wydzielane przez zwierzęta i niemyte ciała ludzkie. Nie było jednak na to żadnej rady – wszystko należało ścierpieć i czekać na zakończenie tej udręki.

Po jednym z dłuższych przejazdów miarowy stukot kół o złącza szynowe ponownie zamienił się w zgrzyty i piski, którym towarzyszyło szarpanie wagonami na różne strony.

– Pewnie znów przejeżdżamy przez jakąś dużą stację – poinformował Andrzej swoją rodzinę i zaczął spoglądać przez szparkę pomiędzy deskami wagonu, a następnie niespodziewanie wykrzyknął: - Poznaję! To *Bresslau!*. Po polsku to miasto nazywa się Wrocław. Tak, to na pewno Wrocław. Poznaję po tym, że cała stacja jest tu pod dachem. Jeszcze, gdy jechałem za młodu do Ameryki, to ta stacja odróżniała się od innych. Takiej drugiej tu w okolicy nie ma. To znaczy, że jesteśmy już na ziemiach niemieckich, które po wojnie przyłączone zostały do Polski. Może gdzieś tu niedaleko nas wysadzą i skończy się ta męczarnia.

Tak się jednak nie stało. Pociąg tłukł się o szyny na rozjazdach i jechał dalej. Teraz przemieszczali się w stronę północno-zachodnią, w czym można było się zorientować po miejscu, w którym zachodziło słońce. W godzinę od czasu, kiedy minęli miasto, transport znów się zatrzymał na kilka godzin, po czym leniwie wyruszył w dalszą podróż. Po jakimś czasie ponownie jechali w kierunku północnym, a gdy upłynęło chyba osiem dni od czasu wyjazdu ze swoich rodzinnych stron, zatrzymali się ponownie na bocznicy towarowej. Tym razem wyraźnie było widać napisy stacyjne. Było to miasto Krzyż. Tu odbyło się coś w rodzaju okresowego przeglądu. Szczegółowo sprawdzano wagony i obecność wszystkich „podróżnych”. Po rozdaniu przydzielowej zupy i nowych zapasów chleba, rozdzielano mydło i nakaza-

no, aby w miarę możliwości doprowadzić się do porządku, bo podróż zmierza już ku końcowi.

Zapanowało wyraźne ożywienie. Wszyscy mieli już dosyć tej poniewierki i wydawało się, że każde już stabilne miejsce na ziemi – zamiast terkoczących i chyboczących się wagonów – stanowiłoby wybawienie. Po upływie pół dnia nakazano ponowne wejście do swoich wagonów i transport leniwie wyruszył w dalszą drogę. Jechali teraz w kierunku północno-wschodnim – jak zwykle z częstymi i długimi przerwami. Pod wieczór następnego dnia znaleźli się na dosyć dużej stacji, położonej wśród lasów, przy której nie było widać większej miejscowości. Rozeszła się wiadomość, że podróż prawdopodobnie dobiegła końca. Jednak po upływie około dwóch godzin cały pociąg wyruszył w dalszą podróż i, po pokonaniu ze zgrzytem ostrego zakrętu, udawali się teraz w kierunku północno-zachodnim. Po upływie trzech kwadransów ponownie zatrzymali się na sporej stacji.

– To miasto nazywa się Sławno – jedni drugim podawali wiadomość. – Pewnie tutaj nas wysadzą.

Tu spędzili całą noc, ale wiadomość o końcu podróży nie potwierdzała się. Ponownie kazali im wsiadać do wagonów, a pociąg ruszył w drogę powrotną. Po niedługim czasie znaleźli się na tej samej stacji, co poprzedniego dnia.

– Ta stacja nazywa się Korzybie – teraz już głośno oznajmiano wszystkim podróżnikom mimo woli. – Tutaj będziecie wysadzeni. Zaraz będą podstawione furmanki, które was zawiozą na nowe miejsce i każdy powinien czekać na swoją kolej.

* * *

Dalsza droga odbywała się już podstawionymi furmankami. Wszystkie przywiezione rzeczy załadowano na trzy zaprzęgi, w tym również własny wóz Andrzeja z końmi, przywiezionymi z Płonnej. Podróż ta trwała blisko czterech godzin. Teraz już nie było widać eskorty wojskowej, a pieczę nad przybyszami sprawowali członkowie miejscowych władz gminnych i kilka innych osób – również ubranych po cywilnemu. Wszystko odbywało się według tajnych instrukcji, które towarzyszyły wygnańcom od samego początku podróży. Z dokumentów tych wynikały zasady lokowania przybyszy w ich nowych miejscach zamieszkania i sposobu prowadzenia nad nimi nadzoru w okresie późniejszym.

Przede wszystkim – dla zapewnienia jak najdalej idącego rozproszenia – należało unikać umieszczania w tych samych miejscowościach większej liczby rodzin ukraińskich. Dlatego już wcześniej wytypowano do tego celu w każdej wsi od jednego do czterech albo pięciu gospodarstw, do których – często obok mieszkających tu jeszcze Niemców – mieli trafiać przesiedleń-

cy z akcji „Wisła”. Ponadto wielu rodzinom przypisany był tajny dokument, w którym nakazywano, jak powinna być ona traktowana. Przede wszystkim gospodarze, którzy w rodowitych stronach posiadali znacznie większe gospodarstwa, powinni trafić do gospodarstw zaniedbanych lub wręcz zdewastowanych. Podobnie w przypadku jakiegokolwiek posądzenia o współpracę z ukraińskim podziemiem, co wcale nie wymagało udowodnienia, nowe miejsce powinno stanowić coś w rodzaju czyśćca. Do tego należy przypomnieć, że przesiedlenie w ramach akcji „Wisła” odbywało się już po upływie dwóch lat od czasu przejścia tych ziem pod zarząd polski. Znaczną część prawowitych gospodarzy w tym czasie wywieziono już „za Odrę”¹, a na zwolnionych w ten sposób gospodarstwach osadzali się przybysze z ziem wschodnich, które w nowej rzeczywistości znalazły się poza granicami państwa polskiego oraz osadnicy z tak zwanej Polski Centralnej. Większość domostw niemieckich przez minione dwa lata było znacznie splądrowanych. Wszystkie więc lepsze i normalnie funkcjonujące gospodarstwa były już zajęte.

W trakcie pokonywania ostatniego odcinka drogi, prowadzącej w nieznane, z jadącego konwoju odłączyło się już wiele rodzin, które osiedlone zostały w mijanych miejscowościach. Wozy jadące z rodziną Andrzeja i Anastazji i ich dobytkiem przemieszczały się już teraz w odosobnieniu. Jechały wąską szosą prowadzącą ze Sławna w kierunku Miastka. Po minięciu Ciecholubia i po przejechaniu toru kolejowego, jadące obok siebie trzy furmanki dogonił na rowerze mężczyzna w średnim wieku i wdał się w rozmowę z podróżnikami:

– Widzę po ilości rzeczy, że wieziecie zanego gospodarza – mówił do wynajętych woźniców. – Panie Lubaczewski, proszę go zawieźć do Bauera. Tamte gospodarstwo powinno im odpowiadać.

– Dobrze, panie Foltiński – odpowiedział gospodarz powożący pierwszą furmanką.

Porozmawiali jeszcze chwilę i mężczyzna na rowerze przestał trzymać się wozu i pojechał przed siebie.

Gdy skończył się las, przed wiezioną rodziną pojawiła się niewielka wioska o nazwie Darnowo (na tablicy widniał jeszcze niemiecki napis *Bor-row*). Bezpośrednio za budynkiem szkolnym wozy skręciły w prawo i po ujechaniu kilkuset metrów po bruku zjechały na piaszczystą drogę. Za niewielkim laskiem, po prawej stronie ukazały się wiejskie zabudowania.

¹ W pierwszych okresach po wojnie w potocznych rozmowach nie uwzględniany był przebieg nowej granicy zachodniej. Powszechnie ludzie traktowali, że wszędzie są to tereny niemieckie, a rodowita ludność po prostu wywożona była „za Odrę”, czyli dalej w głąb Niemiec.

– To jest Węgorzyno – rzekł mężczyzna, zwany panem Lubaczewskim.
– Tu będziecie teraz żyć. Zaraz przydzielony wam będzie dom do zamieszkania i wszystko tam rozładujecie.

Widok nie był zachęcający. Wioska była niewielka – zaledwie chyba dziesięć zabudowań. Wkoło było widać piaszczyste pola, w znacznej części nie uprawiane. Na obrzeżach pól na nędznych glebach porastały same sosny. Nieliczne drzewa liściaste, wśród których przeważały olchy i wierzby oraz rachityczne, pojedyncze drzewa owocowe przy zabudowaniach, ledwo co zaczynały wypuszczać zielone pąki. Niektóre domy kryte były strzechą, co w tych okolicach należało do wielkiej rzadkości i świadczyło o ubóstwie miejscowości. Słyszając jadące furmanki ludzie zaczęli leniwie wyglądać ze swoich domów, a wkoło biegali umorusane dzieci.

Na wymęczoną długą i wyczerpującą podróżą rodzinę napłynęło wielkie przygnębienie. Tam pozostawiono piękne, zieleniące się pola, kwitnące sady i łąki, a tu przyjdzie żyć w tej piaszczystej pustyni. Jak podołać temu wszystkiemu? Prawdziwy jednak smutek nadszedł dopiero, gdy wozy zatrzymały się przy zabudowaniu, leżącym po lewej stronie drogi, na początku wioski. Stojący tu dom, wykonany z muru pruskiego, straszył powybijanymi oknami, wyglądającymi niczym jak oczodoły oślepionego starca. Na popękanych ścianach wsparty był uginający się i podziurawiony, trzcinyowy dach, opadający niemal do samej ziemi i wyglądający jakby miał za chwilę runąć. Podwórko, od dawna nie używane, porastało kępami traw i liśćmi łopianu, a przy chylącym się ogrodzeniu falowały odrośnięte już pokrzywy. Na niewielkim budynku gospodarczym, z powyłamywanymi drzwiami, skrzypiały na wietrze poodrywane deski. Wszystko to bardziej przypominało upiора z koszmarniej opowieści, niż siedlisko, w którym miałyby żyć siedmioosobowa rodzina z małymi jeszcze dziećmi.

– Jesteście przydzieleni do tego zabudowania. Proszę wyładowywać swoje rzeczy, bo wynajęte wozy muszą już odjeżdżać – polecił stanowczo mężczyzna, który chyba reprezentował wójta.

Anastazję ścisnął za gardło wielki żal i opanowało przerażenie. Pociąg, który ich tu przywiózł, od kilku dni przemierzał ziemie poniemieckie i od czasu do czasu, jeżeli pozwalano w dzień uchylić nieco drzwi wagonu, widać było duże wioski z pięknymi i bogatymi zabudowaniami. Nie we wszystkich z nich mieszkali teraz ludzie. Dlaczego więc po tylu udrękach, ona i jej rodzina miałyby skończyć w tak marnym grajdołku? Przecież tej rudery nie da się już naprawić, a przy silniejszym wietrze przywali wszystkich gruzami. A co tu począć, gdy nadejdzie zima, mrozy i wielkie śniegi? Takie więc miało czekać ich wybawienie stworzone przez rząd...

– Proszę pana – odezwała się po dłuższej chwili, gdy pokonała już skurcz krtani, wywołany żalem i bezsilnością, – nasza noga w tej ruderze

nigdy nie postanie. Możecie zrobić z nami, co tylko chcecie. Tyle już wycierpieliśmy ponieważ i udręczenia, że nic nas już nie zastraszy.

– Nie ma innej rady – oświadczył urzędnik z gminy. – To zabudowanie wam zostało przydzielone i musicie w nim pozostać.

– To lepiej zaraz nas tu rozstrzelajcie – rozpląkała się Anastazja. – Już raz do mnie strzelało wojsko polskie i męża też mało co nie zamordowali. Syn mój zginął na wojnie po to, żebyście mogli rządzić się teraz w tych niemieckich domach, a wy dalej chcecie mną poniewierać? Za co taka kara? To tak się postępuje z ludźmi? – szlochała i wykrzykiwała z rozpaczyny Anastazja. – Jeszcze raz wam mówię, że nikt z mojej rodziny do tego domu nie wejdzie. W nim przecież nie da się żyć, to jaka to różnica, jeżeli zaraz pozdychamy tu, na tym piasku.

Teraz do rozmowy włączył się mężczyzna, który przybył na miejsce zdarzenia i podawał się za sołtysa, a dotąd niewiele mówił, a przede wszystkim obserwował przebieg zdarzeń:

– Proszę nie płakać, kobieto. Nikt nie chce waszej krzywdy i nie będziecie zdychać na piasku. Pomieszkacie tu przez jakiś czas, a potem zobaczymy, czy coś da się zrobić.

Mówiąc to, sołtys odciągnął na bok przedstawiciela gminy i po chwili oddalili się z tego miejsca. Na miejscu pozostali natomiast inni ludzie, którzy przyszli obejrzeć nowych przybyszy. Po chwili kobieta w starszym wieku podeszła do Anastazji i, mazurząc, zwróciła się do niej:

– *Nie płac, kobiecino. Wsyscy tu zyjemy, to i ty musis żyć.*

– Proszę pani – przerwała jej Anastazja, – my na pewno nie będziemy tu żyć, bo tu nie da się mieszkać. My na swoim mieliśmy wygodne zabudowania i piękną, dużą gospodarkę i wszystko nam zniszczono, a teraz każą zdychać w tych piaskach.

– *Tseba było generała¹ nie zabijać, to by was tutaj nie psywozili.*

– Myśmy żadnego generała nie zabijali i nie wiem kto go zabił, a pani jeszcze raz powiadam, że my tu nie będziemy żyć i stąd na pewno gdzieś wyjedziemy.

– *A dokąd ty chcesz pojechać?*

– Nie wiem dokąd, jak będzie trzeba to nawet do Ameryki pojadę, a tu nie będę żyć.

– *Na pewno nigdzie nie pojedziesz i tu będziesz żyć, a potem pochowają cię w tych piaskach* – kontynuowała kobieta, którą nazywali Rzeszotkowa.

Dzień chylił się już ku zachodowi. W powietrzu czuło się przenikliwy chłód. Wokół nie było widać już żadnych ludzi. Z wynajętych obcych fur-

¹ Chodzi o Karola Świerczewskiego, który w marcu 1947 r. został zabity pod Baligrodem. Sprawstwo tego czynu zostało przypisane oddziałom UPA, co posłużyło m.in. za pretekst do przeprowadzenia akcji „Wisła”, faktycznie już znacznie wcześniej zaplanowanej i rozpracowanej.

manek wyładowano rzeczy i nowo przywiezieni nieszczęśnicy pozostawieni zostali sami sobie.

– Co teraz mamy począć? – zwróciła się do męża Anastazja. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni, a dzieci pomarzną nam tu na nocnym chłodzie.

– Nie możemy wejść do tego domu, bo potem nikt nam już nie pomoże i będziemy musieli w nim pozostać – odrzekł stanowczo Andrzej.

– To chociaż skryjmy w nim dzieci – zaproponowała troskliwa matka.

Tak też zrobiono. Odszukano w ruderze najmniej zabrudzony kąt, w którym jeszcze nie pozrywano wszystkich podłóg, ze stodoły przyniesiono wiecheć starej słomy i na tym, prowizorycznym posłaniu ułożono udęczone dzieci. Dorośli natomiast przez całą noc koczowali na wozie. Rano, skoro nastał świt, Andrzej udał się do sołtysa i jeszcze raz przedstawił swoje zdanie, że nie może zamieszkać z rodziną w budynku, który lada chwila może się zawalić. Sołtys, początkowo mało przychylny prośbom przesiedleńca, w końcu dał się ubłagać i obiecał udzielenie pomocy w tym zakresie.

– Ja sam niczego nie mogę zrobić – oznajmił, – bo takie zabudowanie zostało przydzielone dla was odgórnie, ale tak się składa, że w sąsiedniej wiosce mieszka wójt, pan Foltyński, i może go jeszcze zastaniemy w domu przed wyjściem do pracy.

Udali się więc razem do pobliskiego Darnowa, przez którą to wioskę przejeżdżali poprzedniego popołudnia. Szczęśliwie zastali jeszcze wójta w domu i Andrzej mógł mu przedstawić swoją skargę.

– Panie wójcie – mówił, – nie poniewierajcie już nami dalej. Dosyć już wycierpieliśmy się biedy i teraz dajcie nam trochę odetchnąć. Przecież pan wie, że tam nie da się żyć i prowadzić gospodarstwa. Proszę uniżenie o poszukanie innego zabudowania.

Wójt cierpliwie wysłuchał racji przybysza i kazał mu chwilę poczekać, po czym odciągnął sołtysa na bok w celu odbycia z nim rozmowy. Teraz dwaj urzędnicy przez dłuższą chwilę rozmawiali ze sobą, a nawet spierali się, wymachując rękoma. Wreszcie do zdesperowanego już Andrzeja podszedł wójt i oświadczył:

– Nie będziecie mieszkąć w tamtej ruderze. Już wczoraj mówiłem, żeby was przydzielić do Bauera. Tam więc pójdziecie.

– Proszę, zbieramy się stąd – oznajmił Andrzejowi sołtys. – Zostaniecie przydzieleni do innego gospodarstwa.

Po powrocie do Węgorzyna sołtys powtórzył swoje oświadczenie przed zrozpaczoną rodziną:

– Pojedziemy w inne miejsce. To niedaleko stąd. Nie musicie nawet wsiadać na wóz. Chodźcie za mną.

Wyruszył teraz przed wszystkimi przez wioskę, a za nim jechał Andrzej na furmance z dziećmi. Jedna osoba pozostała do pilnowania rzeczy rozładowanych poprzedniego dnia na ziemię. Za ostatnim zabudowaniem skręcili

w prawo, w boczną drogę. Przez około sto metrów polna droga schodziła w dół koło niewielkiego stawu, a potem zaczęła wznosić się nieco wyżej. Teraz z prawej strony odsłoniła się otwarta przestrzeń, a z lewej ku drodze schodziła niewielka skarpa. Po pokonaniu jeszcze jednego, małego zakrętu przed oczyma ukazało się samotnie stojące zabudowanie. Z lewej strony drogi, na zboczu pagórka stał budynek gospodarczy i stodoła, po prawej niewielki warsztat, a na wprost usytuowany był całkiem niebrzydki, murywany dom, kryty dachówką. Po wjechaniu wozu na podwórko sołtys nakazał zatrzymać się na chwilę, po czym sam wszedł do mieszkania. Przed dom w tym czasie wybiegł kilkunastoletni chłopiec z młodszym bratem. Ubrani byli schludnie, chociaż dosyć skromnie. Po paru minutach z mieszkania wyszedł sołtys, a za nim kilka dorosłych ludzi. Wszyscy żywo gestykulowali i rozmawiali po niemiecku. W końcu gospodarze domu stanęli z opuszczonymi rękoma, a sołtys zwrócił się do Andrzeja:

– Zostajecie tutaj, w tym domu. Wyładowujcie wszystkie rzeczy i wracajcie po tamte, pozostawione na drodze.

– Ale jak my tu zostaniemy, proszę sołtysa? Przecież tu mieszkają ludzie, a nas też jest siedmioro – zapytał Andrzej.

– Oni tu nie będą długo mieszkać. Wszyscy wkrótce wyjadą za Odrę.

Jak to się lubi historia powtarzać – pomyślał Andrzej. – *Przed dwoma tygodniami nas wyrzucili z własnego domostwa, a teraz widzimy jak wyrzucają innych ludzi.* Rozmyślenia takie nie miały tu jednak żadnego znaczenia. Wszystko i tak było już z góry ukartowane, a wykazywanie się własnymi skrupułami niczego by nie zmieniło. Teraz należało myśleć o własnym bycie, a los tamtych ludzi i tak był przesądzony.

Niemców łącznie mieszkało tu sześcioro, w tym dwoje starych ludzi oraz samotna matka, której mąż zaginął na wojnie. Miała ona na wychowaniu troje dzieci w różnym wieku. Pozostawało tylko pytanie, w jaki sposób może pomieścić się w jednym domu trzynaścioro ludzi, stanowiących razem cztery rodziny. Ale i w tym zakresie rozmyślenia niczego nie mogły przynieść i trzeba było dostosować się do zaistniałych warunków. W sytuacji takiej bardzo przydatna była znajomość języka niemieckiego, jaką Grzegorz, mąż Heleny, wyniósł z pobytu na pracach przymusowych w Austrii. Wspólne porozumiewanie ułatwione było również niewielką znajomością języka polskiego, jaką wykazywał się senior rodziny o nazwisku Bauer. Niemcy nie czynili więc specjalnych trudności z powodu zaistniałej konieczności wspólnego zamieszkiwania, bowiem zdawali sobie sprawę ze swojego położenia i z tego, że nie mogli nic w tym kierunku zaradzić.

Ułożono się więc jak wspólnie można dzielić ten dom, który posiadał przecież trzy ładne pokoje na dole, jeden na poddaszu oraz całkiem wygodną kuchnię. Zasadniczego problemu wobec tego nie stanowiła przestrzeń do życia, a przede wszystkim pytanie, jak wyżywić się w tym ciężkim czasie.

Szybko okazało się, że położenie pod tym względem nowo przybyłej rodziny było tak samo trudne jak zamieszkującej tu od zawsze niemieckich domowników. W gospodarstwie tym w owym czasie nie było dosłownie żadnych zapasów żywnościowych. Było ono doszczętnie zrujnowane – najpierw poprzez działania wojenne, a potem w wyniku kwitnącego tu szabrownictwa i beznadziejną sytuacją w obliczu mającego rychło nastąpić wysiedlenia. Nie było więc już żadnych zwierząt domowych, ani zapasów w produktach rolnych. Marta, matka trojga dzieci, znalazła możliwość pracy w majątku w Ciecholubiu, zarządzanym w tamtym czasie przez Rosjan. Pracowała tam w zasadzie przez cały tydzień, a gdy wracała w sobotę – dla skrócenia drogi – torem kolejowym do domu, to taszczyła ze sobą znaczne ilości zapasów, głównie ziemniaki i ser. Potem w niedzielę obie kobiety, to znaczy Marta i *Frau Bauer*, przygotowywały całe wiadro pyz ziemniaczanych, które następnie rodzina jadła do następnej soboty.

Nowi osiedleńcy natomiast posiadali niewielki zapas mąki, ziarna pszenicznego i jedyną krowę-żywicielkę. Z zawiścią więc przyglądali się Niemcy jak Anastazja coraz przygotowuje dla swojej rodziny pierogi z twarogiem, okraszane masłem i jak dzieciom podaje mleko z chlebem. Znaczącą dobroczynnością była niewielka pomoc w postaci paczek prowiantowych, jaką kilka razy otrzymano ze strony rządowej, prawdopodobnie z dostaw amerykańskich organizacji charytatywnych.

Pierwszym zadaniem w owym czasie było zapoczątkowanie gospodarowania w tej obcej i nieprzyjaznej ziemi. Stary Bauer¹ był na tyle uprzejmy dla przybyszy, a jednocześnie podchodził ze zrozumieniem do ich przymusowej sytuacji, że na drugi dzień po ich przybyciu wybrał się z Andrzejem w obchód po okolicy i pokazywał wszystkie kawałki pól i łąki należące do gospodarstwa, aby ten wiedział czym dysponuje i nie dał się oszukiwać sąsiadom. Na wyprawę tę wybrał się również Grzegorz, głównie jako tłumacz. Chodzili więc we trzech, najpierw w pobliżu domu, gdzie po jego zachodniej stronie na znacznym wzniesieniu znajdował się pokaźny, chociaż marnej jakości zagon, a następnie udali się piaszczystą drogą w kierunku północnym. Po minięciu stojącego na wzgórzu zbudowania, w którym zamieszkiwał od kilku miesięcy również nowy przesiedleńiec o nazwisku Dziurhaluk, zeszli w dół, w kierunku rzeki, noszącej już teraz polską nazwę Bystrzyca. Po przejściu przez most obejrzeli ładny kawałek łąki.

– To nie wszystko – tłumaczył stary Bauer, – aby zobaczyć dalsze kawałki pola musimy udać się przez las.

Szli tak ponad kilometr drogą prowadzącą równolegle do łąki, a następnie skręcającą w las. Po pewnym czasie dotychczasowy gospodarz zaczął opowiadać o sobie.

¹ Słowo to w języku niemieckim oznacza gospodarza, a jednocześnie stanowiło nazwisko poprzedniego właściciela.

– My do czasu wojny nie mieszkaliśmy tu wszyscy razem – mówił. – Ja przed wojną gospodarzyłem na tej ziemi już tylko z żoną. Natomiast Marta jest moją synową i oni mieszkali wszyscy w *Stolp*, to znaczy w Słupsku. Mojego syna zabrali do Wermachtu i zginął na wojnie. Potem, gdy zbliżali się Rosjanie, to synowa z dziećmi musiała uciekać z miasta i schronili się u mnie. Teraz nie mają już gdzie wracać, bo ich mieszkanie jest zajęte przez Polaków i musimy żyć razem. Zresztą i tak niedługo nas wywiozą za Od-rę...

Następnie przeszli tunelem pod torami kolejowymi, tymi samymi, którymi przed dwoma dniami tu przyjechali. Szli tak w milczeniu aż do miejsca zwanego po niemiecku *Gersing*. Tu, na dużej polanie odsłonił się przed nimi szmat pola oddzielony od lasu mocno już sfatygowanym, wysokim ogrodzeniem drucianym.

– *Hier ist auch dein das Acker*¹ – powiedział zasmucony Niemiec.

Miejsce to osobom szukającym przygód wydawałoby się może nawet trochę romantyczne, ale nie mogło stanowić powodu do zadowolenia dla człowieka w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, który przed dwoma tygodniami stracił nagle dorobek swojego całego życia, a teraz zmuszony był do stworzenia z niczego gospodarstwa mogącego wyżywić pokątną rodzinę. Był jednak nauczony, że na wszystko należy patrzeć realnie i, pomimo wielkiego żalu, starał się stworzyć w sobie wizję przyszłego życia.

– Nie ma innej rady, Grzesiu – odezwał się po namyśle Andrzej, – musimy zabrać się od jutra do roboty. Wiosna posunęła się daleko i pewnie już nic nam nie urośnie, ale próbować musimy.

– Tak, musimy próbować – przytaknął Grzegorz. – Nie ma innej rady.

Drogę powrotną przebyli niemal w milczeniu. Stary Bauer pewnie rozmyślał nad swoją dolą: że musi teraz opuścić miejsce swojego całego życia, że utracił wszystko, czego się dorobił ciężką pracą i nie wiadomo, co z nim będzie. Nie miał chyba żalu do tych nieszczęsnych ludzi, których tu oprowadzał, a którym teraz przyszło kontynuować jego dzieło i zmuszeni byli wszystko odtwarzać niemal z popiołu. Oni natomiast mieli głowę pełną obaw, bo nie bardzo wiedzieli jak z tych piasków można wyciągnąć plony, które byłyby wystarczające dla utrzymania całej rodziny. Szli więc wszyscy w milczeniu. Gdy zbliżali się ponownie do tunelu pod torem kolejowym, Niemiec przerwał milczenie i wskazując ręką w lewą stronę, odezwał się słowami:

– *Dieses Wald heißen Fonzig*². Tu możecie *aufhaben*, to znaczy nazbierać, grzybów i jagód – dodał łamaną polszczyzną.

Potem, gdy pojawiły się problemy związane z brakiem żywności, okazało się, że informacja ta była prawdziwa i bardzo przydatna.

¹ Jeszcze tu jest twoje pole (niem.)

² Ten las nazywa się *Fonzig* (niem.)

Początki gospodarowania i życia na nowym miejscu były bardzo trudne. Wkrótce zaczęły się kończyć przywiezione zapasy żywności, a nowe plony nie zapowiadały się obficie i czas do ich zbiorów był odległy. Brakowało wszystkiego, ale jeżeli chciało się przetrwać, to nie mogło brakować zapалу do pracy. Przydzielone gospodarstwo było całkowicie zdewastowane. Jedyne sam budynek mieszkalny, zwłaszcza po ponad rocznym okresie koczowania w spichrzu zbożowym po spaleniu Płonnej, mógł dawać ukojenie. Zauważył to nawet czteroletni Andrzejek, który widząc płaczącą nieraz nad swoją dolą matkę, pocieszał ją słowami:

– Nie płaczcie mamo. To dobrze, że nas tu przywieźli. Patrzcie, jakie tu mamy duże okna, a tam, w Płonnej, w domu było ciemno i tylko malutkie szyby były w mieszkaniu.

Tak mówił, bo nie mógł biedaczek pamiętać, że w Płonnej też kiedyś stał piękny, duży i widny dom. Widać było teraz, że w jego pamięci życie zaczęło się właśnie od tamtych, tragicznych dni, od których to musieli mieszkać w zbożowym magazynie. Może tak lepiej jest dla niego, bo koszty tamtych czasów będzie znał tylko z opowiadania starszych.

Swoją gehennę przechodziły również rodziny niemieckie, czekające na swoją kolej do wywiezienia gdzieś „za Odrę”. Ludziom tym od dawna kończyły się zapasy żywności, a pomocy żadnej znikąd nie otrzymywali. Dlatego zmuszeni byli do ratowania się wyprzedając swojego wyposażenia, a raczej do jego zamiany na jakiegokolwiek produkty żywnościowe. Przymusową sytuację Niemców skrupulatnie wykorzystywali polscy cwaniacy i szabrownicy. Za drogie przedmioty, jak zegary, zastawy stołowe, maszyny do szycia, narzędzia rolnicze, rowery, biżuterię, płacili lichwiarskie ceny, a jeżeli nie dochodziło do ugody, to nieraz przychodzili po te cenneści w przebraniu, pod osłoną nocy. Dlatego wśród autochtonów panował nastrój zastraszenia i wielkiego przynębienia.

Rodziny Vogel i Bauer (pierwsze to nazwisko Marty i jej dzieci), z którymi to z przymusu zamieszkiwali nowi osiedleńcy, również ratowały się jak mogły. Andrzej nie mógł jednak ścierpieć, widząc jak codziennie wielu ludzi wynosi wartościowe przedmioty za marną oselkę masła lub parę kilogramów mąki. Wynoszone rzeczy w zasadzie pochodziły z gospodarstwa, które on teraz z nadania państwowego miał dalej podtrzymywać swoją pracę. Z dnia na dzień ubywało różnego wyposażenia, a on – sam wcześniej ograbiony i pozbawiony pieniędzy – nie mógł uczestniczyć w tym haniebnym procederze. Dlatego w pewnym momencie, gdy niemal wszystko już wyniesiono i znów przyjechało dwóch cwaniaczków po maszynę do szycia w zamian za niewielki mieszek czarnej mąki, sprzeciwił się temu wyraźnie.

– Nie pozwolę już dalej ograbiać mojego gospodarstwa! – krzyczał rozwścieczony.

– Ale my, *herr* Priadka – wyjaśniał stary Bauer, który był jedynym dorosłym mężczyzną w tym stadle, – nie możemy tego zabrać za Odrę, a tu nam jest bardzo przydatne chociaż parę kilogramów pożywienia.

– Wiem, że jest wam potrzebne pożywienie, panie Bauer – kontynuował Andrzej swoje pretensje, – ale czy pan nie widzi, że oni was okradają i nie płacą wam ani dziesiątej części ceny tych przedmiotów? Wy wyjeżdżacie pod przymusem, ale ja tu ze swoją rodziną też nie przyjechałem dobrowolnie. Wszystko, co nam nie spalono, to później też nam wyszabrowano, a resztę musiałem pozostawić na gruzowisku. Z całego gospodarstwa przywiozłem tylko tyle, co na trzy furmanki mogło się zmieścić, a teraz wszystko, co tu jeszcze zostało, chcecie oddać za ćwiartkę masła, czy mieszek mąki? Nie pozwolę już niczego więcej stąd wynosić, a jeżeli się pan nie zgadza, to proszę naskarżyć na mnie do gminy!

Mówiąc to, Andrzej odsypał nieco mąki ze swoich skromnych zapasów i oddał staremu Niemcowi.

– Proszę to wziąć. Wystarczy tego na kilka posiłków, a rzeczy już nie pozwolę wynosić.

Wybronionych przedmiotów było już naprawdę niewiele i chyba nie warto było o nie spierać się więcej, a uratowana maszyna do szycia w przyszłości bardzo przydatna była córce Marysi, która próbowała później swoich sił w krawiectwie.

W niedługim czasie nie było już z kim się spierać. Pod koniec sierpnia oznajmiono zamieszkałym jeszcze we wsi Niemcom, że nadszedł ich termin wyjazdu. W ostatni dzień pobytu na swoich rodzinnych ziemiach miejscowa młodzież zebrała się w zakolu rzeki i odbywając ostatnią wspólną kąpiel, pożegnała się z miejscem swojego urodzenia i dorastania. Ostatnim akcentem obcowania z tym kąpieliskiem była kolejka oddanych skoków do wody z prowizorycznej trampoliny, po czym ktoś z nich zarządził jej rozebranie.

Wysiedlanym za Odrę ludziom nie pozwalano zabierać ze sobą żadnego dobytku. Zresztą nie mieliby ku temu sposobności; nie wyjeżdżali do konkretnych miejsc, lecz do obozów przejściowych i nie przydzielano im wagonów, tak jak tym z akcji „Wisła”. Zabierali ze sobą tyle, ile mogli unieść w rękach, a najważniejszym wtedy dla nich bagażem była odzież i skromne racje żywnościowe na drogę, nie wiadomo dokąd prowadzącą i jak długą. Widząc ciężkie położenie współmieszkańców, a mając jeszcze żywo w pamięci swoją niedolę, Andrzej z Anastazją chcieli w jakiś sposób dopomóc im. Wydzielili więc część ze swoich skromnych zapasów, głównie mąki i miodu (już z tutejszych zbiorów), z których Marta nasmażyła sporą ilość placków, jakie miały im służyć za pożywienie w ciężkich chwilach.

Rzecznie rozstanie ze swoimi domostwami przeżywali wszyscy, ale przede wszystkim dorośli. *Frau* Bauer, żegnając się z domem, zwróciła się do pozostających w nim nowych mieszkańców:

– My odjeżdżamy i chyba już tu nigdy nie powrócimy. Chciałabym wam życzyć wszystkiego dobrego, ale pamiętajcie, że nigdy w tym domu nie będziecie mieli spokoju. *Auf Wiedersehn!*

– *Auf Wiedersehn!* – powtórzyli nowi gospodarze domu. Andrzej znał bowiem ten zwrot jeszcze z czasów austriackich, a pozostali nauczyli się go z okresu okupacji niemieckiej. A tej osobliwej przepowiedni nikt nie brał sobie do serca, starając się rozumieć rozgoryczenie starej niewiasty.

W pierwszych dniach po wyjeździe Niemców, pomimo, że w domu pozostało siedem osób, odczuwało się pewną pustkę. Przez kilka miesięcy zamieszkujący pod wspólnym dachem, z początku obcy sobie, a niekiedy nawet nieufnie nastawieni do siebie ludzie, zdążyli poznać się, a nawet polubić. Szczególnie szybko przyjaźń nawiązała się pomiędzy młodymi. Mały Andrzejek, bawiąc się ze starszym od siebie o kilka lat *Wolfgangem*, nazywanym jako *Wolfi*, zdążył nawet nauczyć się nieźle rozmawiać po niemiecku. Podobnie starsze od niego siostry zaprzyjaźniły się z *Eckertem* oraz z niemal dorosłą już *Ingrid*. Teraz pozostało po tamtych ludziach tylko mgliste wspomnienie, podobnie zapewne, jak w ich pamięci, Węgorzyno zachowało się jako niewyraźne echo¹.

Lato szybko przeminęło. Życie, chociaż przy wielu niedostatkach, toczyło się we względnym spokoju. Nie było już obaw o ciągłe rewizje, najazdy i prześladowania. Od czasu do czasu pojawiały się wieści o dokonywanych kradzieżach, ale o te obawiać się powinni raczej bardziej zamożni, niż ludzie już wcześniej ograbieni niemal ze wszystkiego. Pozacierały się nawet nieco bolesne wspomnienia z przeżytych wydarzeń ostatnich miesięcy. Różnica jednak w bytowaniu polegała na tym, że o ile w terenach Beskidu Niskiego ludzie ci czuli się w pełni na swoim i dumni z tego, kim są, to tutaj często traktowani byli jak obcy, podejrzanego pochodzenia i nie zawsze godni zaufania. Niekiedy we wspólnym obcowaniu powstawały nawet pewne bariery, które należało codziennie przezwyciężać. Nieraz miała tu odniesienie stara maksyma, według której należy udowadniać, że nie jest się wielbłądem...

Nadszedł więc czas, aby jeszcze kolejny raz pomyśleć o rozpoczynaniu życia od nowa. Myślenie takie zresztą wymuszane było przez sam bieg wydarzeń. Wkrótce nastał wrzesień, początek roku szkolnego. Wraz z innymi dziećmi przyszła kolej również na naukę dla młodszych córek. Marysia, która skończyła już czternaście lat, już wcześniej chodziła do szkoły w Płonnej, ale tam nauka zakłócona była działaniami wojennymi, a potem wewnętrznym niepokojem i nie zdołała nawet ukończyć przypisanej czwar-

¹ Gdy w 1993 roku pięćdziesięcioletni wówczas Andrzej napisał po raz pierwszy list do Wolfganga, ten nie mógł sobie przypomnieć tej znajomości i odpisał, że mało pamięta tamte czasy oraz, że pewnie chodzi o jego pobyt po wojnie w domu swoich dziadków.

tej klasy¹. Przyszło jej więc uzupełniać nauczanie w zakresie czwartej klasy, bo zresztą tylko na takim poziomie prowadzono nauczanie w szkole w sąsiednim Darnowie. Po raz pierwszy do szkoły poszła też siedmioletnia Zosia, dla której rozpoczynał się normalny w tym czasie tryb nauczania.

Gospodarowanie, chociaż w bardzo trudnych warunkach, zaczynało przynosić zauważalne efekty. Na początku trudno było o wszystko: o żywność, o paszę dla zwierząt i jakiegokolwiek pieniądze. Nie mogąc od razu wypracować niezbędnych środków do życia, podejmowano się wszelakich prac zarobkowych u innych gospodarzy, często nawet w sąsiednich wioskach. Najszybciej doprowadzono do powiększenia pasieki pszczelej. Były ku temu sprzyjające warunki: pobliskie lasy i łąki obfitowały w pożytek, a w zagrodzie pozostał po poprzednikach znaczny zestaw narzędzi warsztatowych i trochę tarcicy drzewnej, za pomocą których znający się na rzeczy Andrzej szybko mógł we własnym zakresie wytwarzać nowe ule i inne wyposażenie, niezbędne przy pracach pasiecznych. Powiększono nieco również stado zwierząt domowych, a największą przeszkodę w rozwoju gospodarstwa było bardzo niska jakość tutejszych gleb, głównie piaszczystych i zagrożonych na niszczenie przez zwierzynę leśną.

Niepokój w tamtych czasach wynikał również ze złych nastrojów społecznych, jakie przez dłuższy czas panowały w społeczeństwie po zakończeniu drugiej wojny światowej. Do ludzi dochodziły wieści o zagrożeniach politycznych, podsycane przez różnych malkontentów. Szerzyła się psychoza niepewności granic zachodnich i problem, czy Niemcy znów tu powrócą. Wśród ludzi przesiedlonych w ramach akcji „Wisła” krążyła nutka nadziei, że, być może, w niedługim czasie, gdy już ustaną niepokoje społeczne, powrócą do swoich rodzinnych ziem. Możliwości takie jednak wtedy nie powstały, ani nie mogło to wydarzyć się jeszcze przez długie, długie lata, chyba, że ktoś odważyłby się na czyn, jakiego dokonał Nikifor Krynicki².

Potwierdzenia wieści o możliwościach powrotu szukano na różne sposoby, niekiedy zupełnie zaskakujące swoją formą. Na przykład Andrzej przypominał sobie, że przed wyjazdem *herr* Bauer pewnego razu w tajemni-

¹ Już wcześniej wspomniano w tym opowiadaniu, że władze przedwojenne nie pozwalały na zdobycie przez dzieci ukraińskie wykształcenia powyżej czterech klas. Dlatego miały one z góry przypisane powtarzanie nauki w poszczególnych klasach, aby wypełnić siedmioletni cykl nauczania.

² Właściwie: Epifaniusz Drowniak – człowiek ułomny fizycznie i intelektualnie, światowej sławy artysta-malarz pochodzenia łemkowskiego, reprezentujący kierunek malarstwa naiwnego (nazwisko Krynicki nadano mu nieprawnie dla zatuszowania jego pochodzenia). W 1946 r., gdy malował, siedząc na murku w Krynicy, został schwytany i wywieziony na Pomorze, absurdalnie posądzony za szpiega robiącego szkice okolic na potrzeby UPA. Nie godząc się ze swoim zesłaniem, pieszko, idąc przez 30 dni, powrócił do swojej rodzinnej Krynicy. Następnie w 1947 r. wywieziony został, już jako Ukraińiec, w ramach akcji „Wisła”, w okolice Piły. Z tej wywózki też uciekł. Za trzecim razem zlikwidowano mu mieszkanie i osadzono w domu starców (miał wtedy dopiero 53 lata).

cy zawołał go na strych i pokazał drewniany stolik z małym, okrągłym blatem, osadzonym na sześciokątnej kolumnie, podpartej u dołu trzema nóżkami. Stolik ów miał mieć tajemną moc. Wystarczyło, aby w skupieniu oprzeć na nim dłonie, a następnie postawić mu pytanie. Jeżeli odpowiedź miała być pozytywna, to stolik sam przechylał się i stukał nogą o podłogę jeden raz, a jeżeli odpowiedź miała być przecząca, to odzywało się podwójne stuknięcie. Pewnego wieczoru przypomniano sobie o tym i zapytano stolik w jakichś bagatelnych, ale oczywistych sprawach. Jakież było zdumienie domowników, gdy w większości przypadków uzyskiwana odpowiedź była poprawna. Postanowiono więc zadawać stolikowi pytania coraz to poważniejsze, na które on udzielał odpowiedzi. Wieść o tym rozeszła się szybko po okolicy i do domu zaczęli schodzić się liczni ludzie. Pytano go o wszystko: dla sprawdzenia wiarygodności – o imiona, czy są w kieszeni pieniądze, ale również w sprawach poważnych, jak o życie zaginionych bliskich, czy ktoś wyjdzie za mąż w danym roku, czy ludzie powrócą „do domu”, czy znów będzie wojna i o inne tego rodzaju problemy. Schodzili się coraz to nowi ludzie i z bardziej odległych miejsc, a biedny stolik pracował do utraty sił, co pewnie musiało się również niekorzystnie odbijać na poprawności udzielanych odpowiedzi.

Sytuacja taka zaczęła być dokuczliwa dla domowników. Andrzej nie mógł już znieść ciągle napierających, nieproszonych przybyszy i często robił z tego powodu awantury bogu ducha winnej małżonce. W końcu proceder ten został przerwany w brutalny sposób. Niepokojona przez licznych gości i karcona za to przez męża, gospodyni wzięła do rąk siekierę i po wydaniu wyroku na ten osobliwy przedmiot, przeznaczyła go na opał podczas przygotowywania obiadu. Jednak Andrzej nie docenił panującego od tej chwili spokoju i utrata tak tajemniczego eksponatu na dobre wprowadziła go w furję, co skończyło się poważnym zamieszaniem.

Spalenie wróżącego stolika nie spowodowało jednak ustania w tym domu tajemniczych zjawisk. Po pewnym czasie zauważono, że dosyć często samoczynnie otwierają się drzwi od niektórych pomieszczeń. Początkowo przypisywano to niesprawności zamków, przeciągom lub innym naturalnym czynnikom. Zjawisko to jednak zaczęło się nasilać, co mocno niepokoiło domowników. Sprawdzano więc stan zamków i poprawność zamknięcia okien. Tymczasem samoczynne otwieranie się drzwi stawało się coraz bardziej natarczywe.

– *Godam!* – zaklął pewnego razu, swoim zwyczajem po angielsku, Andrzej, gdy podczas spożywanego obiadu znów same otwarły się drzwi do sąsiedniego pokoju.

Zamknął je ponownie i – dla sprawdzenia sprawności zamka – wałnął w nie potężnym kopniakiem. Drzwi jednak pod ciosem nie ustąpiły i pozostały

w pozycji zamkniętej. Usiadł więc Andrzej za stołem w celu dokończenia posiłku, a w tym momencie drzwi ponownie otworzyły się na oścież.

– Daj spokój – uspokajała go żona. – Przecież „to coś” nic ci nie robi, pootwiera sobie te drzwi i przestanie.

Zjawisko to z przerwami miało miejsce niemal przez cały czas zamieszkiwania w tym tajemniczym domu w Węgorzynie. Bywały przypadki, że w czasie, kiedy cała rodzina przebywała w mieszkaniu, drzwi otwierały się po kolei, tak jakby ktoś obchodził wszystkie pomieszczenia (dom miał taki układ, że można było obejść przez wszystkie pomieszczenia dookoła), w odstępach czasowych jakby potrzebnych na przejście przez pokój, czy kuchnię. Po pewnym czasie zjawisko to stało się tak powszechne, że już nikogo z domowników nie dziwiło. Nawet pięcioletni Andrzejek, pozostawiany bardzo często sam w domu podczas prac polowych, nie był zdziwiony na ten widok, a zwyczajnie wielokrotnie wstawał od swoich zabawek, jakie stanowiły polana porąbanego drewna i z całkowitym spokojem domykał drzwi, po czym wracał do układania ulubionych domków, drabinek czy ścieżek wykonanych z drewnianych szczap.



Zdjęcie, wykonane w 1948 roku, przedstawia czwórkę dzieci Andrzeja i Anastazji. Od lewej strony: wyższe osoby: Maria i Helena, niższe osoby: Zofia i Andrzej.

Innym tajemniczym zjawiskiem, występującym w tym domu, był ledwo słyszalny odgłos jakby cykającego w ścianie zegara, którego nie dało się nigdy bliżej zlokalizować. Występowało również dziwne zjawisko skomplikowanego zaplataania koniom grzyw przez nieokreśloną istotę. Upiorny nastrój tego miejsca potęgowany był samym położeniem domu: z dwóch stron otoczony był on wysokim, przewyższającym budynek, wzgórzem, z trzeciej strony odsłaniał się płaski widok na łąki i mokradła, na których to podczas wilgotnej pogody gęsto ścieliła się mgła, przysparzająca kabalistycznego nastroju, a z czwartej strony do domu prowadziła kręta droga, otoczona wierzby i osikami.

Po pewnym czasie wszyscy powoli przywykali do tego, tajemniczego miejsca i – pochłonięci pracą – coraz mniej rozmyślali nad rzekomo zapowiadającymi się zmianami...

Chyba, że czasem, w przypływie nostalgii, nieśmiało zadawano sobie nawzajem retoryczne pytania:

– Czy my jeszcze kiedyś wrócimy do domu?...

Odpowiedzi, oczywiście nikt nie znał, ale też – aby nie zapeszyć – nikt nie śmiał temu zaprzeczać.

* * *

Mijały długie, smętne miesiące, przechodzące już w lata. Życie posuwało się dalej. Po mieszkających tu niegdyś Niemcach niemal całkowicie pozacierały się ślady. Zacierały się także uprzedzenia panujące wcześniej pomiędzy poszczególnymi rodzinami, a wynikające z różnego ich pochodzenia. Gospodarstwo doprowadzono do, rzecz by można, stanu używalności. Rozmnożył się inwentarz żywy, a wśród niego najwięcej przybyło rodzin pszczelich. Jednak praca na tym gospodarstwie była ciężka i nie przynosiła oczekiwanych korzyści. W efekcie nie dopracowano się również żadnego dostatku. Ziemie tutejsze były mało wartościowe, a położenie wśród potężnych lasów nieustannie narażało plony na zniszczenia przez dziką zwierzynę. Część pól leżała w lesie, w oddaleniu trzech kilometrów, co zabierało dużo czasu na dojazdy. Z osiąganых plonów nie mogła się utrzymać cała rodzina. Niedługo więc od czasu osiedlenia Grzegorz, mąż Heleny, nazywanej Oleńką, rozpoczął pracę zarobkową na składnicy drewna w Ciecholubiu. Młodzi rozważali więc możliwość samodzielnego zamieszkania w pobliżu miejsca pracy męża.

Podczas jednego z wyjazdów Heleny na rowerze w tamto miejsce zabrała ze sobą sześciolatniego braciszka. Po drodze okazało się jednak, że taka podróż we dwójkę jest dla niej za ciężka, tym bardziej, że była już w brzemiennym stanie i przejeżdżając obok szkoły w Darnowie, postanowiła pozostawić go na przeczekanie, do czasu jej drogi powrotnej, pod okiem znajomego nauczyciela, pana Brzezińskiego. Posadzono więc małego Andrzejka w ławce, razem z uczniami pierwszej klasy. Gdy Helena wracała po południu, to nauczyciel zaproponował jej, aby chłopca częściej przysyłać do szkoły, a jeżeliby chciał, to może na dobre rozpocząć naukę. Tak też się stało. Przez kilka dni Andrzejek przychodził do szkoły dla spędzenia czasu, a potem kupiono mu elementarz oraz dwa zeszyty i w ten sposób przedwcześnie stał się jednym z pięciu uczniów pierwszej klasy, w skład której wchodziłi sami chłopcy.

W tym samym czasie Grzegorz znalazł wolne mieszkanie w pobliskich Biesowickach, gdzie wkrótce zamieszkał ze swoją małżonką.

Po kilku latach braku rozłąki, spowodowanej wywózką na roboty przymusowe, dała znać o sobie siostra Anastazji, Pelagia. Okazało się, że w roku 1946 powróciła z Niemiec i wspólnie z poznanym w niewoli Witoldem Mazgiel, pochodzącym z Wilna, osiedliła się w Szczecinie. Wkrótce pobrali się i doczekali córeczki, Tereski. Po wymianie kilku listów Pelagia odwiedziła w Węgorzynie swoją siostrę Anastazję.

Prowadzenie gospodarstwa i życie w Węgorzynie było mocno uciążliwe z powodów już wyżej opisanych. Niezadowolony więc ze swojego położenia Andrzej, widząc zwłaszcza, że inne rodziny z akcji „Wisła” osiadły w całkiem korzystnych gospodarstwach, zaczął stukać do drzwi w gminie i urzędach powiatowych z prośbą o umożliwienie poprawy położenia jego rodziny. W końcu jego racje zostały wysłuchane i Państwowy Urząd Repatriacyjny wyraził zgodę na zmianę gospodarstwa. Postawiono mu zadanie, aby sam odszukał miejsce, gdzie mógłby się osiedlić, a nawet przedstawiono mu kilka możliwości do wyboru na terenie powiatu miastecckiego. Wybór nie był jednak prosty, bo lepsze gospodarstwa były już dawno zajęte, a każde wśród pozostających do dyspozycji miało pewne mankamenty lub utrudnienia: zły stan zabudowań, zbyt górzyste pole, albo oddalenie od miejscowości. Odżyły również i inne przeszkody, wyimaginowane przez samego zainteresowanego. Mianowicie, w psychice Andrzeja odnowiły się, występujące jeszcze w Ameryce, a potem w Płonnej, iluzje o rzekomej możliwości uwodzenia młodszej przecież o dwadzieścia trzy lata małżonki przez domniemanych amantów. Przypomniawszy więc sobie, kto z mężczyzn mieszkających w Płonnej był wtedy brany przez niego pod uwagę jako rywal i w przypadku stwierdzenia, że w pobliżu rozpatrywanego gospodarstwa mieszka któryś z nich, propozycja taka bywała odrzucana.

Wreszcie padł wybór na gospodarstwo jedenastohektarowe w niewielkiej wsi Miszewo, położonej w połowie drogi pomiędzy Miastkiem i Słupskiem. Rozpoczęto więc przygotowania do zamiany gospodarstwa – te formalne, jak również w zakresie takiego porządkowania nowego miejsca, aby doprowadzić je do stanu użytkowania i nie ponieść strat na starym.

W tym czasie zaszła oczekiwana zmiana w stanie rodzinnym. Zimą 1950 roku z Biesowiczek powróciła na wspólne zamieszkanie z rodzicami najstarsza córka – Helena. Powodem powrotu był jej stan błogosławiony, który w pierwszy dzień wiosny zaowocował powiciem pierwszego ich wnuka. Chłopcu na imię dano też Andrzej. Tak więc Andrzej-senior w wieku niemal sześćdziesięciu dziewięciu lat został wreszcie dziadkiem (babcia Anastazja w tym czasie skończonych miała tylko czterdzieści sześć lat). Chrzest odbył się w kościele rzymskokatolickim w Biesowicach, a ucztowano uroczyście z licznymi gośćmi, przy wcześniej nastawionym winie z żyta. O przeżywaniu przez Andrzeja przy tej okazji wielkiej radości mogłoby świadczyć to, że popołgował sobie nieco w tym dniu i domownicy po raz

pierwszy od wielu lat mogli go ujrzeć w radosnym stanie, wywołanym spożyciem napoju bogów, jeżeli w ogóle żytni zaczyn dałoby się nazywać winem. Można byłoby rzec, że narodzenie wnuka w pewnym sensie spowodowało zawiązanie więzi z tą, obcą dotychczas i siłą przypisaną ziemią, oddaloną o setki kilometrów od rodzinnych stron.

* * *

Wiosna 1950 roku upłynęła na przygotowaniach do zamieszkania w nowym miejscu. W Miszewie prowadził już Andrzej, czasem również z żoną, całą parą prace polowe, podczas gdy rodzina zamieszkiwała jeszcze w starym miejscu. Para gospodarzy pokonywała więc wiele razy ponad dwudziestokilometrową trasę w celu przygotowania nowych zasiewów. Wreszcie pod koniec czerwca nastąpiła całkowita przeprowadzka. Po trzech latach mało efektywnego zmagania się z niewdzięcznymi i rozrzuconymi pomiędzy lasami, gruntami w Węgorzynie, powstała nowa możliwość urządzenia bardziej normalnie funkcjonującego gospodarstwa.

Przeprowadzka nie była nadto skomplikowana. Okres spędzony na Pomorzu od czasu przymusowego wysiedlenia nie przysporzył zbyt wiele majątku. Przybyło kilka sztuk w inwentarzu żywym i poszerzyła się nieco pasieka pszczoła. Po poprzednich właścicielach pozostało natomiast nieco wyposażenia domowego, które podzielono już na dwie rodziny, ponieważ Helena pozostała z Grzegorzem i małym synkiem w Węgorzynie. Przejęte natomiast na nowo gospodarstwo w Miszewie również znajdowało się w opłakanym stanie, gdyż zamieszkujący tu dotychczas ludzie¹ nie byli dobrymi rolnikami i dopuścili do wielkiego zaniedbania pól i dewastacji zabudowań. W porównaniu z innymi gospodarstwami w tej wiosce, w przejętym gospodarstwie praktycznie nie było niczego, co mogłoby ułatwiać pracę². Więcej nadziei natomiast dawała jakość pól³ wchodzących w skład gospodarstwa, zwłaszcza w porównaniu z tymi, które porzucono w Węgorzynie.

¹ Wcześniej mieszkali tu dwie rodziny o nazwiskach: Koniuszek i Stoś. Spotkanie z pierwszym człowiekiem nie było sympatyczne, ponieważ z jego zachowania wynikało, że prawdopodobnie był on bojownikiem w akcjach przeprowadzanych na Łemkowszczyźnie, co po przebytych przeżyciach, zwłaszcza Anastazji, powodowało złe skojarzenia.

² W większości znajdujących się tu gospodarstw pozostało po Niemcach bogate wyposażenie w maszyny niezbędne do prac polowych i przydomowych. Natomiast w przyjętym gospodarstwie przez Andrzeja i Anastazję nie było już takiego wyposażenia, w tym również budynki pozbawione były nawet instalacji elektrycznej na tzw. siłę. W razie potrzeby wykonania cięższych prac pożyczano od sąsiadów nie tylko silnik, ale nawet prąd elektryczny. W pierwszym roku nie było też oświetlenia elektrycznego.

³ Pomijając zachwaszczenie, pola w Miszewie znajdowały się w średnich klasach jakościowych, były równe, w małym oddaleniu i nie były narażone na szkody wyrządzane przez zwierzyne leśną. Do gospodarstwa należało 11,5 ha ziemi ornej i 0,8 ha niezłej łąki.

Wszystkiego więc należało dorabiać się od nowa. W sytuacji Andrzeja było to już czwarte z kolei urządzenie się na nowym miejscu, nie wliczając w to pobytu w Płonnej, gdzie w latach młodości przebywał na wychowaniu u swojej siostry. Podejmowanie się takiego wyzwania przez człowieka niemal siedemdziesięcioletniego było zadaniem wymagającym nie tylko dużego wysiłku, ale i wielkiej odwagi. Innego wyjścia chyba jednak nie było, gdyż należało przecież starać się o zapewnienie bytu pięcioosobowej rodziny.

Wraz z objęciem nowego gospodarstwa, rodzina znalazła się również w nowych uwarunkowaniach społecznych. W niewielkiej wiosce (Miszewo liczyło dwadzieścia siedem zabudowań) zamieszkiwali ludzie o bardzo zróżnicowanym pochodzeniu. Niemal połowę stanowili Kaszubi, którzy dobrowolnie przybyli tu rok po zakończeniu działań wojennych z przeludnionych i ubogich terenów położonych na wschód od Chojnic¹, w poszukiwaniu lepszych warunków do życia. Ludzie ci stanowili dosyć hermetyczną grupę, bowiem dotychczas żyli oni na terenach jednorodnych pod względem etnicznym, posiadali niemal odrębny język i własną, dosyć bogatą tradycję. Jednak można byłoby powiedzieć, że kulturowo raczej bardziej powiązani byli z Niemcami, niż z Polakami z innych regionów. Z pewnością jednak dotychczas nigdy nie spotkali się ze społeczeństwem wywodzącym się ze wschodnich regionów Polski. Dlatego dziwili się nie tylko odmiennej mowie, jaką posługiwały się w domach rodziny wywodzące się z akcji „Wisła”, ale często z rezerwą obserwowali ich zwyczaje, sposób bycia, czy nawet odżywiania się. Przyznać jednak należy, że nie byli oni obciążeni kompleksem uprzedzeń do tych ludzi i rzadkie były przypadki niechętnego odnoszenia się do nich.

Inna zamieszkująca tu grupa społeczna to ludzie przybyli tu z województwa kieleckiego, którzy również przywędrowali w to miejsce w poszukiwaniu łatwiejszego chleba. Ich usposobienie na ogół było dosyć życzliwe, ale można było wśród nich spotkać i takich, co to wiedzieli, że Ukraińcy mają „czarne podniebienia”, zabili generała i nic dobrego od nich nie można się spodziewać, chociaż w zasadzie ich wiedza o wcześniej występujących konfliktach była prawie nijaka, a już na pewno nie mieli żadnego pojęcia o powiązaniach historycznych obydwu narodów.

Kolejną grupę stanowili wygnańcy z byłych polskich ziem wschodnich, które po zakończeniu drugiej wojny światowej przyłączone zostały do Białorusi. Ich świadomość w zakresie swojej przynależności narodowej była dosyć luźna, a język, jakim posługiwali się, też znacznie różnił się od powszechnie używanego w Polsce. Można by rzec, że czuli się oni raczej po

¹ Większość zamieszkałych tu rodzin kaszubskich stanowili ludzie przybyli ze wsi Wiele.

prostu „swoimi”, podobnie jak ludzie z Taplar¹. Ponieważ pochodzili oni z ziem położonych za Bugiem to pospolicie mówiono na nich „Zabugowcy”. W odróżnieniu od poprzednich, nie znaleźli się oni na tych terenach, nazywanych w tamtym czasie Ziemią Odzyskaną, dobrowolnie, ale również wydaleniu zostali ze swoich skromnych na ogół domostw i przywiezieni tu siłą. Położenie ich nie było jednak całkowicie przegrane, bo, chociaż pozbawieni swoich rodzinnych stron, znaleźli się w znośnych warunkach życiowych i nie byli przez nikogo traktowani jako intruzi i wrogowie narodu.

Wśród takiej mieszaniny etnicznej znalazło się we wsi również pięć rodzin ukraińskich, wywodzących się z Zachodniej Galicji. Rodzin, które niby od zawsze były pełnoprawnymi obywatelami polskimi, a jednak traktowanych – nie tylko zresztą przez współmieszkańców – z wielką rezerwą, a niekiedy również z uprzedzeniami. Takie położenie budziło wśród tych nieszczęsnych ludzi poczucie zagrożenia i związaną z tym nieufność. Byli wobec tego bezsilni i w milczeniu znosili poniżenia, z jakimi spotykali się niekiedy w szkołach, podczas zabaw, w trakcie niewinnych sprzeczek i w innych życiowych sytuacjach. Z biegiem czasu lody te bywały przełamywane. Sąsiedzi ujrzeni, że ludzie ci są pracowici, uczynni, towarzyscy, również wierzą w Boga, modlą się i uczestniczą w nabożeństwach.

Z kultywowaniem religii związane były jednak niekiedy dziwne przypadki. Sąsiedzi, zwłaszcza ci z Pomorza, traktujący wiarę w Boga raczej w sposób prosty i najczęściej według zewnętrznych atrybutów, nijak nie mogli pojąć odrębnych zwyczajów i zachowań.

– Jak można obchodzić drugi raz święta Bożego Narodzenia? – pytał często Anastazję sąsiad o nazwisku Kosikowski, widząc przygotowania do wigilii, przypadającej według obrządku wschodniego w łacińskie święto dzień Trzech Króli. – Przecież Jezus urodził się tylko raz. A może wy macie innego Jezusa? – dodawał wielce zdziwiony.

– Kosikowski – odpowiadała mu Anastazja, – a czy wy wiecie kiedy naprawdę urodził się Pan Jezus? Przecież my obchodzimy te same święta, co wy, a tylko kalendarz jest u nas inny.

– Jo, Priadkowa – zaczynał na nowo z kaszubska, uparty sąsiad, – *a może bandzece jeszcze mówić, że Pan Jezus tyż trzy razy żegnoł'sa, tak jak to robiou was'i ludze, a nie jeden raz, tak jak wszyscy katolicy?*

– A powiem wam, Kosikowski, że my też jesteśmy katolikami, tylko modlimy się w swoim języku i według obrządku greckiego, a nie tak, jak wy, po łacinie². A Pan Jezus, jeżeli chcecie wiedzieć, nie był katolikiem,

¹ Taplary – wioska opisana przez Edwarda Redlińskiego w powieści „Konopielka”. Tamtejsi ludzie, zapytani kim są: czy Polakami, Ruskimi, czy może Niemcami, odpowiedzieli po prostu: „my są tutejsi”.

² W tym czasie w kościołach rzymskokatolickich msze odprawiane były w języku łacińskim.

tylko Żydem i wcale się nie zęgnął. Przecież to później, po jego śmierci, ludzie ustanowili ten znak na jego pamiątkę – objaśniała mu Anastazja.

– *Widza, że wos jeschc nik nie przegodoł, tedy i ja nie banda tego robic. Ostance z Bodzem* – odpowiadał, mało przekonany i wychodził do domu.

Z przejawami pewnej niezręczności w kultywowaniu religii spotykali się więc ludzie wyznania greckokatolickiego. Pozbawieni swoich świątyń, uczestniczyli oni w nabożeństwach odbywających się w kościołach rzymskokatolickich. Starsi ludzie, wychowani w bogatej, bizantyjskiej oprawie wszystkich ceremonii, w pierwszych okresach pobytu na tych ziemiach zszokowani byli krótkim czasem odprawiania mszy, a do tego z wielkim zdziwieniem przyjmowali ten niezrozumiały język łaciński, w jakim modlono się w kościołach. W mających niekiedy miejsce przekomarzaniach się na temat wyższości któregoś z obrządków, zawsze na przebitkę w dyskusji w zanadrzu mieli powiedzenie:

– Wszystko byłoby dobrze z tymi modlitwami, gdyby wasi ludzie w kościele nie wołali ciągle: „spirytusu-u!”¹.

Uczestniczenie we wspólnych modlitwach nikomu na ogół nie sprawiało trudności, ale problemy powstawały niekiedy w indywidualnym podchodzeniu do niektórych rytuałów. Przykładowo, Anastazja podczas odbywania pierwszej swojej na tych ziemiach spowiedzi, zwróciła się do proboszcza:

– Proszę ojca, chciałabym się wypowiadać, ale nie wiem jak się zwracać, bo jestem grekokatoliczką i znam tylko ukraińskie modlitwy.

– Nic nie szkodzi, córko – odpowiedział zacny ksiądz kanonik Edward Korecki, – proszę do mnie mówić w swoim języku, ja wszystko zrozumiem. A modlić się masz zawsze w swoim obrządku, tak jak się nauczyłaś od dziecka. Dla Boga wszyscy jesteśmy równi i on na pewno cię wysłucha.

Podobne problemy miały też niekiedy dzieci, które od małego nauczyły się w domu modlić po ukraińsku, a gdy zapytane podczas pierwszej lekcji religii o znajomość pacierza, jednym tchem wypowiadały: *Otcze nasz, szczo ty jesy na nebesach, nechaj swjaty t'sja imja twoje, nechaj bude wola twoja, nechaj pryjde carstwo twoje*²..., to narażały się na śmiech całej grupy.

– Mamo, ja nie chcę więcej iść na religię – skarżył się Andrzejek.

– A dlaczego to nie chcesz iść? – pytała zdziwiona mama.

– Bo wszyscy śmieli się, jak mówiłem pacierz po ukraińsku.

– A co powiedział na to ksiądz?

– Ksiądz nakrzyczał na dzieci i kazał im, aby się ze mnie nie śmiały.

– No to widzisz – uspokajała go mama, – że nic w tym złego. Nauczysz się modlić po polsku i będzie dobrze.

Wszyscy uczyli się żyć od nowa: jedni rozmawiać i modlić się po polsku, a inni żyć razem z ludźmi innego pochodzenia. Integracja nie następowała.

¹ Chodzi tu o łaciński zwrot „*et cum spiritu tuo*”, co oznacza: i z duchem twoim.

² Pierwsze słowa modlitwy „Ojcze nasz” (ukr.)

wała jednak zbyt szybko, a tak naprawdę, być może, do końca nigdy nie nastąpiło zawiązanie pełnej więzi. Jednak wzajemne uprzedzenia ustępowały w nawiązywaniu kontaktów dobrosąsiedzkich, przyjaźni a nieraz i uczuć wyższego rzędu. Z biegiem czasu życie stawało się coraz znośniejsze.

Niebawem z wielkim zainteresowaniem rozeszła się wieść, że w Bytowie odprawiona zostanie msza w obrządku greckokatolickim¹. W wyznaczoną niedzielę obleżone były wszystkie środki komunikacji, prowadzące do tego miasta. Pociąg trzeszczał w szwach, a konduktorzy nie nadążali ze sprzedawaniem biletów. W gościnnym kościele rzymskokatolickim zgromadziły się tłumy wiernych obrządku wschodniego, którzy – po raz pierwszy od wielu lat – mogli pomodlić się według zwyczajów swoich praojców. A gdy kapłan na rozpoczęcie mszy, stojąc frontem do ołtarza, oboma rękoma uniósł biblię ponad głowę i doniosłym głosem zaśpiewał: *Błogosławne carstwo otc'ja, i syna i sw'jatoho ducha*², a chór odpowiedział: *amin*, ze wszystkich oczu popłynęły łzy, a gardło ścisnęło dziwne uczucie, łączące w sobie żal, rozgoryczenie i zarazem wielką radość i nadzieję na przyszłość. Przecież tak wiele zrobiono, aby już nigdy więcej na polskiej ziemi nie miały miejsca takie właśnie śpiewy, a tymczasem okazało się, że nie wszystko jeszcze stracone i wiele może odrodzić się od nowa...

* * *

Doprowadzenie gospodarstwa w Miszewie do normalnego stanu wymagało troski, poświęcenia oraz znacznego wysiłku fizycznego. W pracy zaangażowana została cała rodzina, łącznie z najmniejszymi dziećmi. Po roku najstarsza córka, Helena, wraz mężem i synkiem opuścili swoją siedzibę w Węgorzynie i zamieszkali wspólnie z rodzicami w Miszewie. Od teraz w domu mieszkano już osiem osób. Przybyło więc ludzi do utrzymania, ale nie miało to znacznego odbicia w sile roboczej, na jaką gospodarz mógłby liczyć. Zięć wkrótce zatrudnił się do pracy na składnicy drewna³ w pobliskim Zieliniu, a najstarsza córka zajęta była wychowywaniem małego synka.

Helena wkrótce ponownie znalazła się w stanie błogosławionym i w dziewiątym dniu stycznia 1952 roku powiła drugiego syna, któremu na imię dano Stefan⁴. Od tego czasu rodzina liczyła już dziewięć osób.

¹ Wiele lat później w Bytowie została utworzona druga na Pomorzu, po Białym Borze, cerkiew greckokatolicka, a jej otwarcie odbyło się przy obecności dostojników kościoła rzymskokatolickiego i wielu przedstawicieli władz.

² Błogosławione królestwo ojca i syna i świętego ducha (ukr.)

³ W tamtym okresie niemal na każdej stacji kolejowej znajdowała się duża składnica drewna, które pozyskiwane było w miejscowych lasach i ekspediowane do fabryk i ko-

⁴ W dokumentach jako miejsce narodzin Stefana zapisano Miastko, a faktycznie urodził się w karetce pogotowia ratunkowego w drodze do szpitala, koło miejscowości Dretyń. Ta-

Porządkowanie gospodarstwa było nadal bardzo pracochłonne i wymagające wielu zabiegów. Ciężka praca wkrótce zaczynała przynosić oczekiwane rezultaty. Przywrócona do należytego stanu ziemia odwdzięczała się wyższymi plonami. Zwyczajowo już najszybciej rozrastała się hodowla pszczół. Już w drugim roku gospodarowania w Miszewie w sadzie stało ponad dwadzieścia uli, wytworzonych we własnym zakresie przez Andrzeja. Z pewnością była to jedna z większych pasiek nie tylko we wsi¹, ale również w okolicy. Świetne miody stanowiły nie tylko źródło dodatkowego dochodu, ale urozmaicały stół, z czego najbardziej zadowolone były dzieci, zwłaszcza, że na ogół kupowanie innych słodczych należało do wielkiej rzadkości. Z powodu podjadania miodu nieraz powstawały również pewne zadrażnienia, ponieważ Andrzej, człowiek nadzwyczaj oszczędny, chciałby jak największą ilość tego słodkiego wytworu pracowitych owadów przeznaczyć na sprzedaż, a Anastazja za wszelką cenę starała się jak najwięcej uszczuplić jego zbyt i pozwolić na nasycenie apetytów dosyć licznej rodziny. Nierzadkie więc były widoki pozamykanych na klucze, a nawet pozabijanych listwami szaf, w których okresowo chroniony był towar przeznaczony na sprzedaż. Z wosku natomiast, który był traktowany jako produkt uboczny, wytwarzana była węża² oraz lepienie prawdziwe świece, których zapach, podczas ich spalania, rozchodził się zawsze po mieszkaniu podczas uroczystej wieczery wigilijnej, co wzbogacało nastrój tego szczególnego wieczoru. Później, w czasach, gdy na dobre zadomowiły się na wigilijnych stołach sztuczne świece z parafiny, czy stearyny, wspomnienia o tym nastroju pozostały na zawsze w pamięci wszystkich członków rodziny.

Pomimo osiągnięć, niełatwo ustępowała nostalgia za rodzinnymi stronami. Gdy kiedykolwiek wspominano minione czasy i gospodarstwo sprzed wojennej zawieruchy, zawsze mówiono „gdy byliśmy w domu”. Utwierdzenie poczucie pewności przyniosło prawne uregulowanie własności posiadanego gospodarstwa, jakie wyrażało się w otrzymanym dokumencie, nazywanym „aktem nadania”.

Zauważalny postęp w prowadzeniu gospodarstwa nie koniecznie oznaczał poprawę sytuacji bytowej rodziny. Działo się tak z powodu nadmiernych obciążeń, jakie nakładane były na gospodarzy przez państwo. Obciążenia te były wielorakie. Płacono, jak w każdym kraju, wysokie pieniężne podatki. Następnym obciążeniem, może jeszcze bardziej uciążliwym, były

kie narodziny w ruchu odbiły się zapewne na jego charakterze, ponieważ do obecnych czasów wyróżnia się on wielką ruchliwością i energią do działania.

¹ Znamienным zjawiskiem było, że staropolską tradycję hodowli pszczół kultywowali tylko gospodarze przybyli tu z Podkarpacia. Wśród ludzi natomiast wywodzących się z Kaszub i z tzw. Polski Centralnej nie było takiego zwyczaju.

² Cienkie płytki woskowe z zaznaczonymi komórkami, które wkleja się do ramek. Na materiale tym pszczoły następnie budują plastry, w których gromadzony jest miód oraz odbywa się hodowla larw pszczelich.

tak zwane obowiązkowe dostawy produktów rolnych. W minionych czasach zobowiązania takie były już nakładane przez Niemców w czasie okupacji, jako tak zwane kontyngenty. Teraz obowiązkowo należało odstawić państwu w wyznaczonych terminach i po cenach mocno paskarskich¹ zboże, ziemniaki, mięso i mleko. Niewywiązywanie się natomiast z tego obowiązku było bardzo srogo karane i przeważnie kończyło się najściem komornika, który nie miał żadnej litości w dokonywaniu sekwestracji i nigdy nie zważał na przyczyny zaistniałych trudności – chociaż byłaby to ciężka choroba gospodarzy, albo nawet śmierć jednego z nich. Konfiskata mienia nie była jedyną karą za zaniedbania wobec wszechmogącego państwa. Rolnik, który nie zrealizował w terminie planu, jak właśnie nazywano kontyngenty, automatycznie stawał się wrogiem narodu i władzy ludowej, pomiotkiem kapitalizmu, kułakiem lub jeszcze nie wiadomo jakim draniem. Nie mógł on też w takim przypadku liczyć na jakikolwiek przydział nawozu sztucznego, opału lub materiałów budowlanych.

Kolejne obciążenie stanowiły tak zwane szarwarki, czyli przymusowa bezpłatna praca na rzecz wsi, jak naprawa dróg, czyszczenie rowów melioracyjnych, rozbiórka starych budynków i wiele innych, podobnych czynności.

Za wiele produktów rolnych w ogóle nie płacono pieniędzmi. Tak było przeważnie z kontraktowanymi uprawami buraków cukrowych i lnu. Do kontraktacji takiej wszyscy byli „dobrowolnie” przymuszani. Za odstawiony do skupu len rolnicy otrzymywali jedynie kupony na nędzne tkaniny, które można było zrealizować bez możliwości jakiegokolwiek wyboru. Natomiast za kilka ton buraków cukrowych można było otrzymać dwa worki cukru i prawo do odbioru wysłodków² buraczanych lub wywaru³ gorzelnianego.

Pomimo upływu już wielu lat od zakończenia wojny, czasy pod względem politycznym były wielce niespokojne. Była to konsekwencja ustanowionego na świecie podziału na dwa obozy. Wszędzie władza dopatrywała się wrogów socjalizmu i oskarżała wszystkich wkoło o naruszenia istniejącego porządku. Właściwie podejrzanym mógł być każdy, kto nie udowodnił, że jest lojalnym obywatelem, a społeczeństwo było tak zorganizowane, że ludzie pilnowali się nawzajem. Pełno było wtyczek i kapusiów – byli nimi niektórzy sąsiedzi, urzędnicy, a nawet dzieci. Nie wolno było mówić tego, co się myślało, bo szybko o tym wiedzieli tam, gdzie trzeba, a dawanie wyrazów jakiegokolwiek niezadowolenia było traktowane jako bunt przeciwko władzy ludowej. Takie zdarzenie dotknęło również Andrzeja.

¹ Ceny te stanowiły nie więcej niż 20 – 25 % cen obowiązujących w wolnej sprzedaży, również znacznie obniżanych przez państwo.

² Suche wiórki, jakie pozostają po oddzieleniu od buraków tzw. melasy.

³ Pozostałość sfermentowanego moszczu ziemniaczanego, po oddestylowaniu alkoholu.

Pewnego razu usiłował on nabyć w najbliższym punkcie zaopatrzenia konieczne do upraw nawozy sztuczne. Bezskutecznie oczekiwał w kolejce długie godziny na rozpoczęcie sprzedaży. Gdy jednak zmitrzął bezowocnie cały dzień, mocno zdenerwowany, poszedł do prezesa upominać się o swoje prawa.

– To ja zostawiłem pracę w gospodarstwie, stoję tu, panie prezesie, cały dzień i czekam, kiedy łaskawie zaczniecie sprzedawać, a wy bawicie się tu jakimiś tam papierkami. Jak to tak może być?

– Proszę się nie denerwować – odparł prezes, mocno zdziwiony, że ktoś śmie zwracać mu uwagę. – Widzi pan, że czekamy na rozdzielniki. Załatwimy wszystko, co trzeba, to zaczniemy sprzedawać.

– A co mnie obchodzą wasze jakieś rozdzielniki. Sami marnujecie czas i nie szanujecie czasu innych ludzi – kontynuował dalej Andrzej swoje pretensje. – Wie pan, co panu jeszcze powiem?

– Ano, co takiego jeszcze powiecie, gospodarzu?

– A powiem wam, że nie jesteście żadna „samopomoc chłopska”¹, a raczej „niemoc chłopska”! Nic nie pomagacie gospodarzom, a tylko utrudniamie im życie. Jak dla was, to trzeba zboże na plan odstawić natychmiast, a od was pomocy nie można doczekać się żadnej. Powiem panu jeszcze, że jak przed wojną zamówiłem wagon nawozu sztucznego, to za pięć dni był już na stacji, a teraz tylko czas ludzie mitrzą, a wy obracacie sobie papierami.

– Panie Priadka – przerwał mu prezes, – uważajcie, co mówicie! Mnie się wydaje, że powiedzieliście już za dużo i możecie tego pożałować.

– Już żałuję, że tu przyjechałem, ale innego wyjścia nie miałem – odpowiedział Andrzej, wcisnął czapkę na głowę i wyszedł.

Po powrocie do domu Andrzej wszystko opowiedział Anastazji, a ta uspakajała go, aby się nie złościł, bo i tak niczego to nie zmieni.

– Nie mów wszędzie wszystkiego, co myślisz, bo jeszcze narobisz nam jakiego kłopotu. Widzisz przecież, co się wkoło dzieje, że prawdy nie ma gdzie znaleźć.

Nazajutrz, gdy w przerwie obiadowej wszyscy spożywali posiłek, niespodziewanie na podwórko zajechał samochód osobowy, a z niego wysiadło kilku jegomości ubranych w ciemne garnitury. W tamtych czasach używanie samochodów nie było powszechne, a ich pojawienie się na wiejskim podwórku nie zwiastowało niczego dobrego.

– Zobacz, pewnie przyjechali po ciebie – zaniepokojona Anastazja zaalarmowała męża. – Szybko uciekaj przez okno.

Andrzej nie miał chwili do stracenia i, rzucając na stół łyżkę, którą przed chwilą jadł strawę, pospiesznie chwycił za żakiet i udał się do pokoju położonego po drugiej stronie domu, a stamtąd przez okno czmychnął na ulicę.

¹ Placówka handlowa nazywała się Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”.

Anastazja domknęła za nim okno i powróciła do kuchni. Dwóch jegomości weszło do środka, a trzeci pozostał przy samochodzie.

– Dzień dobry. Czy tu mieszka Andrzej Priadka? – zapytał jeden z nich, a drugi bez zezwolenia zaczął myszkować po całym mieszkaniu.

– Tak, mieszka tu, proszę pana – odpowiedziała wystraszona Anastazja.

– A panowie w jakiej sprawie, jeżeli można spytać?

– My mamy sprawę do gospodarza. Gdzie on jest?

– Męża nie ma w domu. Rano pojechał załatwiać sprawy w powiecie.

– A kiedy wróci? – zapytał człowiek wyglądający na ważnego urzędnika.

– Nie wiem, proszę pana. Autobus przyjeżdża wieczorem, a pociąg jeszcze później.

Dwaj mężczyźni naradzili się przez chwilę pomiędzy sobą, a potem jeden z nich ponownie zapytał:

– A ile mąż ma lat?

– Proszę pana, niedługo będzie miał siedemdziesiąt jeden. A dlaczego pan pyta?

Przybysze znowu naradzili się a potem zwrócili się do gospodyni:

– My przyjechaliśmy po męża, bo słyszeliśmy, że mu się wiele rzeczy nie podoba. Mówił, że przed wojną to był porządek, a teraz tylko niemoc chłopska panuje. No to przyjechaliśmy po niego, ażeby nam to wszystko wytłumaczył, ale nie tu, a w Urzędzie Bezpieczeństwa. Tylko, że my tam starców nie potrzebujemy. I tak za dużo mamy tam motłochu. Proszę mu więc powiedzieć, że niech czasem zastanawia się, co mówi. Jeżeli się to powtórzy, to następnym razem nie będziemy zważać na jego wiek.

– Dobrze, proszę pana. Wszystko mu powiem. Dokładnie powtórzę.

– No to dobrze. My już odjeżdżamy i niech mąż uważa. Wszyscy powinniście uważać... Zrozumiano?

– Tak, proszę pana.

Andrzej powrócił do domu dopiero późnym wieczorem. Co prawda, z oddala widział jak złowrogi samochód odjechał, ale niedowierzał, że to nie jest pułapka i agenci mogą powrócić. Wolał więc cały czas przesiedzieć w pobliskich zaroślach.

W tym samym czasie trwała intensywna agitacja na rzecz wstępowania rolników i przekazywania gospodarstw do spółdzielni produkcyjnych. W okolicy pełno było już tych tworów gospodarki socjalistycznej, a pojawianie się każdego nowego szumnie było ogłaszane na zebraniach wiejskich i za pomocą plakatów, opatrzonych znakiem błyskawicy. Agitatorom bardzo zależało na tym, ażeby błyskawice takie jak najczęściej rozbłyskiwały, ale niektórzy chłopci byli bardzo krnąbrni i nijak nie chcieli zrozumieć, że dopiero teraz czeka ich prawdziwa szczęśliwość. Wszyscy więc musieli nieustannie wysłuchiwać – na wiejskich zbiórkach i podczas rozmów indywidual-

nych – przekonywań, czynionych przez aktywistów partyjnych, o wyższości gospodarki socjalistycznej.

Andrzej jeszcze świeżo miał w pamięci falę udręczonych ludzi, jaka ruszyła na zachód z wyciągniętą o pomoc ręką, po tym jak Niemcy złamali pakt, wyruszyli na Związek Radziecki i zlikwidowali granicę na Sanie. Pamiętał więc, jak dorobili się owi ludzie podczas dwu lat kolektywnej gospodarki i jaka to naprawdę była ta wyższość socjalizmu. A ponadto zbyt wiele przez całe swoje życie poniósł znoju i przelał potu, aby zdobyć prawo do posiadania swojej własnej ziemi i nie mógł teraz dobrowolnie zrzec się jej dla jakiejś tam idei. Pamiętając jednak niedawne ratowanie się przed agentami bezpieki ucieczką przez okno, Andrzej nie przekonywał już nikogo, a własną świadomość zachował dla siebie. Tak więc, wśród nielicznych, nadal pozostał jako gospodarz indywidualny, jako enklawa w „nowoczesnej” gospodarce socjalistycznej.

Pomimo trwającego od wielu lat pokoju, czasy były dosyć napięte i ludzie nadal nie mieli swobody myślowej i niepewni byli dnia jutrzejszego. Często mówiło się o możliwości nadejścia kolejnej wojny i że, być może, nastąpią kolejne zmiany. Dlatego wszyscy żądni byli jakiejkolwiek wiedzy o wydarzeniach na świecie i dręczyła ich myśl, czy są możliwe dalsze zachwiania w układach pomiędzy państwami. Jednak dostęp do rzetelnych źródeł informacyjnych był mocno ograniczony. Jeden z sąsiadów, o nazwisku Drobiński, posiadał stary odbiornik radiowy. Andrzej często korzystał więc z jego uprzejmości i chadzał tam w celu wysłuchiwania zakazanych radiostacji, wywodzących się z zachodnich ośrodków propagandowych. Ułatwienie w słuchaniu radia stanowiła dla niego dobra znajomość języka angielskiego i często mógł tłumaczyć sąsiadowi o czym mówią na świecie, zdobywając przez to jego uznanie, jako człowieka znającego się na wielu sprawach. Wszystko to musiało odbywać się w głębokiej konspiracji, bo organy bezpieczeństwa srogo śledziły wszystkich tych, którzy słuchali „szczekaczek imperialistycznych” i szerzyli wrogą propagandę. Do tropienia takich ludzi wykorzystywano wszystkie możliwości, a – jak to zwykle bywa – najlepsze źródło informacji stanowili donosiciele zwerbowani spośród sąsiadów¹ i przyjaciół.

Niespokojnych wydarzeń przytrafiało się znacznie więcej. Wszyscy rolnicy w tym czasie zastraszani byli na różne sposoby, a najczęstszym z nich było wyciąganie na siłę i pod groźbą wielkich kar wszystkich należności wobec państwa w ramach obowiązkowych dostaw. Nigdy nie były przyjmowane tłumaczenia, że nie zdążono dokonać omłotów, bo mokre żniwa

¹ Znany był przypadek, gdy na donosiciela zwerbowany był człowiek niezupełnie rozwinięty intelektualnie, korzystający z przytułku u jednego z sąsiadów, o imieniu Tomek. Człowieka tego, przyłapanego na podsłuchiwanie pod oknem jednego z domów, ukarali sąsiedzi przez nałożenie aresztu. Miejscem jego odosobnienia była wędzarnia na strychu.

przeciągnęły się, lub że padło kilka sztuk trzody i nie ma jak zrealizować nakazanych dostaw mięsa, albo że krowy w dojeniu są mniej wydajne niż przewidywały to państwowe plany. Chłop zawsze musiał być gotowy na terminowe realizowanie swoich zobowiązań.

Wkrótce zaczęło nasilać się jeszcze inne zagrożenie. W czasie zamieszkiwania jeszcze w poprzednim miejscu rodzinę Andrzeja zaczęli nawiedzać nieproszeni, tak samo tajemniczy jak i niebezpieczni, goście. Byli nimi ludzie wywodzący się z rozbitego już zbrojnego podziemia ukraińskiego, działającego wcześniej na południowo-wschodnich rubieżach Polski. Część z nich przedostała się na zachód, głównie do Anglii, gdzie przygotowywani byli na agentów organizowanej siatki wywiadowczej. Podstępność sytuacji polegała na tym, że wśród ludzi tych byli również dawni znajomi, a nawet sąsiedzi z lat przedwojennych i nie przychodzili oni jako przedstawiciele nowego podziemia, lecz jako prześladowani bliźni i potrzebujący pomocy. Przedstawiali się, że są ścigani za wcześniejsze dokonania patriotyczne na rzecz (niewywalczonej, oczywiście) niepodległej Ukrainy. Prośba ich nie była zazwyczaj wielka – chcieli tylko przenocować pod dachem, obmyć się i chętnie zjedliby miskę ciepłej strawy. A potem na pewno sobie pójdą. Niezręcznie było odmówić strapionym wędrowcom jedno lub kilkudniowej gościny. Czynem bardzo niepopularnym byłoby również wydanie ich w ręce władz. Wizyty te jednak nasilały się i stawały dokuczliwe, a zarazem stwarzające wielkie zagrożenie.

Po zamieszkaniu w Miszewie przez jakiś czas był spokój, a potem utajnione odwiedziny ponownie wznowiły się. Jedni odchodzili, a pojawiali się nowi goście, a wszyscy tylko doraźnie i na chwilę. Dla zachowania dyskrecji w tym przedmiocie udzielano dzieciom różnych instrukcji jak mają odpowiadać, gdyby ktoś je zapytał o elegancko ubranych gości. Dzieci miały więc mówić, że to wujek z miasta, albo jakiś urzędnik chciał przenocować lub kazano im zmyślać podobne bajeczki. Wszyscy wprowadzili się w stan samouspokojenia. Sądziли, że jest tak doskonała konspiracja, iż zajścia te nie powinny zwracać niczyjej uwagi, a na pewno już nie powinna nic o tym wiedzieć „bezpieka”.

Andrzej miał z tych wizyt niekiedy taką korzyść, że gdy przychodził Genek, to czasem mógł z nim sobie porozmawiać po angielsku. Jednak, jako człowiek już leciwy i doświadczony, a ponadto troszczący się o rodzinę, był mocno zaniepokojony takim procederem, ale nie bardzo wiedział jak mógłby temu zaradzić. Pewnego dnia, gdy na nocleg przybyło dwóch mężczyzn: jednym z nich był człowiek o nazwisku Piotr Hojsan, niedaleki sąsiad z Płonnej, a drugi to młodszy od niego o imieniu Włodek, Andrzej zdobył się na odwagę i wszczął taką rozmowę:

– Piotrusiu, usiądź tutaj, przy mnie, bo chciałbym z tobą bardzo poważnie porozmawiać.

– Słucham was, Andrzej.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę i mogę z tobą porozmawiać. Ty też mnie wysłuchaj – zwrócił się w stronę Włodka. – My tu wszyscy jesteśmy rozproszeni, daleko jeden od drugiego i każdy z nas łaknie swojego człowieka, jak kania dżdżu. Tylko, że to, co wy robicie, jest wielce niebezpieczne i nic dobrego z tego wyniknąć nie może.

– Tu nic złego się nie dzieje, a to co my robimy jest bardzo potrzebne – odpowiedział przybysz. – My już o tym najlepiej wiemy.

– Komu to jest potrzebne? – kontynuował Andrzej. – Powiadam ci, że to nikomu na dobre nie wyjdzie, a pożytku z tego nikt i nigdy mieć nie będzie. Już raz chcieliście wywalczyć niepodległą Ukrainę, tylko zapomnieli wasi szefowie, że Rosja i Polska są w komitywie i garstka ludzi nie pokona takich armii, które wygrały wojnę z potężnymi Niemcami. I co z tego wyszło? Ucierpiały setki tysięcy niewinnych ludzi i teraz przez to przyszło nam żyć tu, na obczyźnie. Teraz też powinniście wiedzieć, że Rosja nie tak łatwo pozwoli na oderwanie się od niej Ukrainy, a Ameryka, ta k... zza wielkiego błota, ma ważniejsze dla niej sprawy i palcem w bucie nie kiwnie, aby coś zmienić.

– Mądry z was człowiek, Andrzej – przerwał mu Hojsan, – ale ja z wami się nie zgadzam. My musimy walczyć, bo kto inny za nas to robi?

– Tak, panie Priadka – wtrącił się do rozmowy Włodek, – Piotr ma rację. Ktoś musi podjąć tę walkę.

– A walczcie sobie, jeżeli tego chcecie, ale ja wam powiadam, że to nie jest żadna walka, a niebezpieczna zabawa dorosłych dzieci. Z tego nie będzie żadnego pożytku, a wyjdzie tylko wielka bieda. Wierzcie mi, staremu człowiekowi. Zobaczycie kiedyś, czy nie mówiłem wam prawdy, ale wtedy to już może być za późno.

Przybysze pospuszczali głowy i zamyślili się głęboko. Może nie byli przekonani, że stary człowiek dobrze im mówi, ale też nie chcieli przekomarać się ze starszym od siebie niemal o pół wieku mężczyzną, który wiele widział na świecie i wiele ucierpiał. Nie chcieli też pewnie nadużywać cierpliwości gospodarza, z której przyszło im korzystać. A może nie mieli już teraz innego wyjścia – zapewne, co by nie zrobili, musieliby narazić się kórejś ze stron.

Andrzej natomiast kontynuował dalej swoją wypowiedź.

– Mało znam tego pana – wskazał na młodego człowieka, niskiego wzrostu ze starannie przyczesanymi włosami i wysokim czołem, – ale tobie mogę powiedzieć jak synowi, bo przecież ojca uważałem za swojego przyjaciela. Powiadam ci jeszcze raz, Piotrusiu, z tego spadnie na was i na wszystkich wielka bieda. Ja już jestem stary i może nikt mi już nic nie robi. Ale Grzegorz ma żonę i dwoje małych dzieci. On musi je wychowywać, bo kto im da potem chleba jak ojca zabraknie? Ja muszę dbać o losy swojej

córki. Dlatego mówię ci, że nie wolno wam narażać ludzi, którzy tylko z umiłowania do swoich bliźnich udzielają wam gościny. Nie powinniście narażać ani mojej rodziny, ani tych sąsiadów z okolicy, którzy przyjmują was w swoich domach. Nikogo z tych ludzi nie interesuje polityka. Proszę, nie gniewaj się na mnie. Bardzo szanowałem twojego ojca, ale nie powinniście tu więcej przychodzić, ani do innych, bogu ducha winnych, gospodarzy.

Rozmowy takie powtarzały się wielokrotnie, ale nie odnosiły żadnego oddźwięku. Dziwne wizyty odbywały się nadal z różną częstotliwością i wydawało się, że wszyscy już do nich przywykli – i przybysze, i domownicy, a nawet sąsiedzi nie dziwili się już na widok wujków z miasta. A może to tylko tak wydawało się, że wizyty te nie dziwią nikogo...

* * *

Minął już trzeci rok gospodarzenia na nowym miejscu oraz szósty rok pobytu na wysiedleniu. Przez ten czas przymusowo zesłani tu ludzie powoli przyzwyczaili się do swojego losu. Wszyscy zajęci byli ciężką pracą, a tylko niekiedy, w wolniejszych chwilach, z nostalgią wspominali dawne czasy i pozostawione na zawsze tereny. Wtedy budziła się tęsknota za tamtymi miejscami, gdzie spędzano młode, piękne lata, za swoimi ludźmi, za świątyniami po brzegi zapełnionymi wiernymi i rozbrzmiewającymi pięknymi, gorliwymi modlitwami, za śpiewami młodych ludzi, dźwięczącymi wieczorami w świetlicach i w wielu domach we wsi, za wieczornymi pogawędkami przy wspólnie wykonywanych pracach. Tęskniono też za tamtym krajobrazem, za łąkami zielonymi, mieniącymi się paletą kwiatowych barw, stosowaną do pory roku, za śpiewami słowików i *żajworonków*¹ i za niebem pełnym gwiazd, które, gdy masowo spadały w sierpniu, niosły ze sobą tajemniczość i refleksję nad wielkością tego świata.

Wszystko to jednak przeminęło i teraz nie pozostało nic innego niż myślenie nad tym, jak dalej prowadzić żywot w na nowo naznaczonym przez bieg wydarzeń miejscu. I oby tylko Bóg dał zdrowie...

Nostalgie te mniej już dręczyły ludzi młodych. Oni szybko znaleźli wiele wspólnych powiązań z całym otoczeniem. Przez sześć lat zaczęło dorastać kolejne pokolenie, i – tak, jak u wszystkich w tamtym czasie – w rodzinach łemkowskich przybywały również licznie, nowe dzieci, dla których te ziemie stanowiły już własną ojczyznę, a tylko potem przez opowieści swoich ojców dowiadywały się o innym, minionym już świecie.

Żyjąc na Pomorzu, Andrzej niemal w całości został oddzielony od swojego rodzeństwa. Dwóch z żyjących braci przebywało w Stanach Zjednoczonych, a pozostała rodzina wywieziona została za wschodnią granicę. Po dwóch latach otrzymał wiadomość, że w pobliżu Człuchowa, w odległości

¹ Skowronków (ukr.)

około stu kilometrów, żyje jego młodsza siostra, Maria Birosz. Wiadomość ta zbiegła się z zaproszeniem na ślub jej syna. Pomimo wielu niedogodności, doszło więc do spotkania rodzeństwa. Radość jego z tego powodu była wielka. Widzieli, że życie nabiera normalnego trybu i nie jest wszystko stracone do tego stopnia, jak wcześniej się tego obawiali. Siostra weszła w posiadanie ładnego gospodarstwa, a jej synowie powoli również podejmowali samodzielne życie.

Niestety, te rodzinne kontakty nie powtarzały się już zbyt często. Jeden tylko raz odwiedził Andrzeja siostrzeniec o imieniu Michał, a potem w styczniu 1953 roku przysłała smętna wiadomość, że Maria nie żyje. Pomimo nienajlepszego samopoczucia, Andrzej zebrał siły i udał się do Biernatki, aby towarzyszyć siostrze na ostatniej drodze na tym ziemskim padole. Po powrocie dzielił się z małżonką swoimi przeżyciami, związanymi z utratą tak bliskiej osoby, a jednocześnie był pełen wrażeń i zachwyty nad sposobem prowadzenia gospodarstwa przez siostrzeńca, wielką gościnnością i pracowitością tamtych ludzi.

Życie posuwało się do przodu. Dzieci wchodziły powoli w dorosłe życie. Helena, która nadal mieszkała razem z rodzicami, chowała swoich dwóch synów – ku radości dziadków. Szczególnie Stefan, który jako niemal dwuletni chłopak, wykazywał się wielką energią życiową, cieszył oko Andrzeja. Gdy niektórzy zaniepokojeni byli nadmierną żywiołowością malca, on uspokajał wszystkich, mówiąc:

– Tym dzieckiem wcale się nie martwię. Zobaczycie, że on sobie łatwo da radę w życiu. Gorzej może mieć ten starszy. *Andrijcio* to spokojny i mądry chłopiec, ale teraz takie czasy, że ludzie nie zawsze dostrzegą i docenią człowieka spokojnego. Ja już chyba tego nie doczekam, ale wszystko zależy od łaski Boga...

Młodsza córka, Marysia skończyła dwadzieścia lat i miała już za sobą poważne doświadczenie życiowe, które nie wszystkim dziewczynom było przypisane do przeżywania. Nadgorliwi działacze społeczni, jak nazywano aktywnych sługusów tamtego systemu politycznego, wyznaczyli ją do dwumiesięcznej służby w formacji paramilitarnej, zwanej dumnie „Służbą Polsce”. Ponieważ nie wszystkie dziewczyny przymuszano do służby „w brygadach”, posunięcie takie odczuwane było jako jeszcze dodatkowy przejaw represji za pochodzenie. To już druga osoba z tej rodziny przechodziła taką szkołę życia – pierwszy doświadczenie takie miał Michał, syn Anastazji z pierwszego małżeństwa, który też w wieku osiemnastu lat powołany był „do junaków”.

Teraz, po powrocie z zaszczytnej służby ojczyźnie, pomyślano dla niej o nauce jakiegoś zawodu. Co mogłaby robić dziewczyna posiadająca cztery klasy szkoły podstawowej? Uradzono, że najlepszym wyjściem byłoby przysposobienie jej do krawiectwa damskiego. Warsztat do wykonywania

takiego rzemiosła, w postaci uratowanej przed rabunkiem ponemieckiej maszyny do szycia marki *Gritzner*, dotychczas poniewierał się po domu bezużytecznie. Teraz wynaleziono krawcową w odległych o dziesięć kilometrów Kołczygłowach, zgotowano Marysi niewielką wyprawkę i odwiedziono ją na kilkumiesięczne terminowanie. Tam dziewczyna przechodziła przede wszystkim praktykę w... sprawowaniu opieki nad małymi dziećmi, sprzątaniu mieszkania i gotowaniu obiadów. A gdy już wywiązała się z takich obowiązków, to wolno jej było też pomagać w zdejmowaniu miary, krojeniu płótna, fastrygowaniu i zszywaniu kawałków w pożądaną całość. Uczennicą była chyba dosyć pojętą, skoro już po kilku miesiącach mogła samodzielnie świadczyć usługi dla sąsiadek i znajomych, co niekiedy przynosiło jej nawet niewielkiego dochodu.

Zosia powoli przechodziła z okresu dziecięcego w panienkę. Niedługo miała już skończyć naukę w szkole podstawowej, a od kilku już lat była najbardziej wykształconym dzieckiem, bowiem nikomu dotąd nie było dane przejść do siódmej klasy.

Najmłodszy z rodzeństwa, Andrzej, wyrastał powoli na młodego chłopca, chodząc do szkoły i bawiąc się z kolegami w przerwach pomiędzy wykonywaniem swoich obowiązków w gospodarstwie. Jak przystało na młodzieniaszka, powoli zaczynał przejawiać różne zamiłowania, takie jak hodowla królików, gołębi, łowienie ryb w okolicznych stawach, czy ganiecie za piłką. Najbardziej ulubionym jego zajęciem była jazda na traktorach pracujących w miejscowym kołchozie, co nie zawsze podobało się matce, która nieraz po takiej wyprawie witała go serią kuksańców. Lubił też przyglądać się samochodom osobowym, jeżeli trafiło się, że taki pojawił się we wsi z jakimś wysokim urzędnikiem.

– A ty czego przylepiłeś nos do szyby? – pytała go sąsiadka, Lewczakowa, widząc jak umorusany zagląda do urzędowej „Warszawy”. – Wiesz przecież, że samochody to nie dla takich jak ty, musisz jeden.

– Dlaczego nie dla takich jak ja? – zapytał urażony chłopiec. – Jak dorosnę to jeszcze ładniejszym będę jeździł.

– Ty będziesz jeździł samochodem?! – kpiła sobie dalej z niego kobieta. – Jeszcze takich, jak ty, w samochodach nikt nie widział.

– Ja nie tylko będę jeździć w samochodzie, ale jeszcze do tego będę miał swojego szofera!

– Tego już za wiele. Zmykaj no stąd, brudasie! – wrzasnęła wzburzona niewiasta.

A potem, gdy spotkała inną sąsiadkę, zirytowana opowiadała o niewinnym przecież zajściu:

– Temu chłopakowi od Priadków coś w głowie się chyba pomieszało! Przed chwilą, gdy go odganiałam od samochodu, który przyjechał z powia-

tu, powiedział, że on też będzie jeździć takim, a jeszcze do tego będzie miał własnego szofera. Jak on się nie wstydzi takich głupstw opowiadać!

– Oj, tak, tak, sąsiadko. Te dzieci już nie wiedzą, co wygadują. Takie to mają teraz wychowanie! – odpowiedziała tamta.

Pod względem plonów lato 1953 roku było dla gospodarstwa prowadzonego przez Andrzeja i Anastazję zaskakująco korzystne. Ciężka i znojna praca, ku zdziwieniu sceptycznych dotąd sąsiadów, została wynagrodzona przez naturę pełnym spichrzem i zapchanymi kopcami. Radowało się oko gospodarza, gdy nieustannie nawracał swoimi huculskimi konikami, aby zdążyć ze zwiezieniem tego, co tak obficie urosło. A wystarczyło wszystkiego nie tylko na zaspokojenie zawsze żadnego państwa, czekającego niecierpliwie na odstawienie kontyngentów, ale również przysporzyło nieco grosza w wolnej sprzedaży¹, a ponadto pozostał poważny zapas na rok następny. Po raz pierwszy od wielu lat wszystkiego wreszcie było pod dostatkiem dla domowników i inwentarza.

Radość z osiągniętych wyników, najlepszych od czasów międzywojennych, była wielka, ale gospodarz, znajdujący się już w podeszłym wieku, opłacił to wielkim przemęczeniem i nadwyrężeniem, steranego przez życie i nieustanne kłopoty, zdrowia. Już jesienią częściej lubił przebywać w domu, prosząc o napalenie w piecu, aby wygrzać zmęczone kości. Coraz rzadziej zaglądał też do inwentarza, a tylko czasem lubił jeszcze przejść się pośród pasieki i, przykładając ucho do ula i lekko uderzając weń pięścią, słuchał która z rodzin pszczelich jest najmocniejsza i na pewno przetrwa zimę. Potem spoglądał, czy wszystkie ule są dobrze zabezpieczone przed zaciekaniami i szkodnikami, a następnie szybko wracał do izby, aby odpocząć i nieco zagrzać się przy piecu.

– Słabym coraz mocniej, Nastio – mawiał do żony, wyraźnie zaniepokojony. – Ciężko będzie przetrzymać zimę, a szkoda, bo gospodarstwo zaczyna nabierać rumieńców...

– Nie mów tak – odpowiadała żona, ukrywając swoje zakłopotanie. – Miałeś dużo roboty latem i jesienią, toś słaby. Odpoczniesz sobie teraz przez zimę i dojdiesz do siebie.

– Oj, nie wiem, czy jeszcze będę mocniejszy – rzekł przyciszonym głosem i ucichł w zamyśleniu.

Z nastaniem zimy Andrzej coraz to później wstawał z łóżka, następnie pozostawał w nim pod rząd przez kilka dni, aż wreszcie zaczął leżeć na dobre. Pytany o dolegliwości, nie uskarżał się na nic konkretnego, tylko powtarzał, że jest słaby, trochę poleży i na pewno niedługo będzie mocniejszy. Najwyżej narzekał, że czuje się samotny, bo wszyscy rozchodzą się do swo-

¹ W zasadzie wolnej sprzedaży nie było. Jeżeli ktoś miał nadwyżki swoich produktów, to również mógł je sprzedać tylko w gminnej spółdzielni „samopomoc chłopska”, lecz po nieco już wyższych cenach.

ich zajęć, a on sam godzinami przebywa w sypialni. Często wypytywał dzieci powracające ze szkoły, aby powiedziały co słychać na świecie i jakie zmiany zachodzą w polityce. A zmian wtedy spodziewano się poważnych, bo niewiele czasu minęło od śmierci Stalina i wszyscy mieli nadzieję, że w końcu nastanie jakiś ludzki system. Chociaż w ucisku politycznym odczuwało się niewielką odwilż, to zmiany nie zachodziły jednak zbyt radykalnie, a co naprawdę działo się w tej materii, nikt z domowników nie umiał dokładnie wyjaśnić.

Ale najważniejszą Andrzejowi, złożonemu obłożną chorobą, wydawała się teraz troska o dalsze losy rodziny.

– Na mnie nadchodzi już chyba czas – mówił zasmucony, gdy zebrały się przy nim wszystkie dzieci. – Będę musiał odejść. Widzicie, kochane moje dzieci, jak w życiu ciężko przezwyciężyć własną biedę. Urodziłem się ubogi, potem przyszło mi jeszcze na większą biedę, gdy jako dziecko zostałem bez rodziców. Od małego musiałem pracować w obcym domu na kawałek chleba. Potem w poszukiwaniu lepszego, zdawałoby się, życia wyruszyłem na tułaczkę po świecie. I gdy już zaczynało być łatwiej, przyszła kolejna bieda. Umarła mi żona, zostałem na poniewierkę z sześciorgiem dzieci. Nie było tam już dla mnie nadziei i musiałem rozdzielić rodzinę. Do dzisiaj żal dusi mnie w gardle, gdy pomyślę, że zostawiłem w Ameryce troje dzieci bez żadnej opieki. Potem dorobiłem się z waszą matką najładniejszego gospodarstwa we wsi, ale wojna i źli ludzie zabrali wszystko. Tu, na zachodzie, dwa razy próbowałem dźwignąć się z ruiny. I co? Kiedy wszystko zaczęło się układać, złożyła mnie ta choroba. Nic nie miałem jako dziecko i biednemu przychodzi mi umierać. Mija niemal siedemdziesiąt lat ciężkiej pracy, a teraz podcięta została moja nadzieja. Tyle mordegi, tyle strat, utraczonych dziewięć dzieci... I wszystko się kończy...

– Papo – pocieszały go córki, tłumiąc w sobie wielki żal, – jeszcze nic się nie kończy. Niedługo wyzdrowiejecie, a potem zobaczycie jak wszystko rozwija się w naszym gospodarstwie.

– Dałby Bóg – odrzekł wymęczony ojciec, – aby tak się stało. Ale ja wiem, że muszę już odejść. Wy, *Oleniu* i *Marysiu* – zwrócił się do starszych córek, – pamiętacie, że już kilka razy obłożnie chorowałem i dwa razy byłem ciężko raniony. Płakaliście nade mną wszyscy, ale mówiłem wam wtedy, że jeszcze nie umrę, bo mój czas nie nadszedł. Teraz jest inaczej: moje dni dobiegły końca. Wiem to dokładnie. Od dawna o tym wiedziałam...

Na chwilę zamilkł, a z jednego oka, i z drugiego oczodołu, potoczyło się kilka obfitych łez. Przez dłuższy czas zapanowała dotkliwa cisza.

– Nie będę płakał nad sobą – kontynuował po chwili strapiiony ojciec. – Mój czas powoli wypełnia się. Martwię się tylko o was. Oleńka ma już męża i dzieci. Jest komu się nią opiekować. Marysia jest też dorosła, może trafi się dla niej jakiś porządny człowiek, a i sama już umie na siebie zapracować.

wać. Zosia jest już duża i może ktoś ją przyjmie do pracy, chociażby do pasienia bydła, ale obawiam się żeby jej nie skrzywdzili źli ludzie. Najbardziej jednak żał mi tego chłopaka – tu wskazał na stojącego przy łóżku Andrzejkę. – On zaledwie dziesięć lat skończył i kto mu jeść da, jak mnie za braknie i całe gospodarstwo pójdzie na marne? Przecież takie dziecko jeszcze nie zapracuje na siebie. Proszę was, opiekujcie się swoim bratem, a ja tam będę prosił Boga o łaskę dla was wszystkich.

Potem nastąpiły kolejne dni i tygodnie, mniej lub bardziej, nasilającej się słabości. Zaczynała się wiosna, a wraz z nią ponownie, jak to bywa w gospodarstwie, pojawiło się wiele pracy do wykonania. Grzegorz, mąż Heleny, nadal chodził do pracy w odległej o cztery kilometry składnicy drewna. Na pole wychodziły więc same kobiety, a Andrzejek pasał bydło lub poganiał konie. Coraz częściej z konieczności opuszczał naukę w szkole. Chory natomiast gospodarz, słabszy z dnia na dzień, przez niemal cały czas pozostawał sam na swoim łożu. Tylko kilka razy dziennie szosą przed jego oknem mignął samochód lub przejechała furmanka. Czasami też słychać było wypędzane na pastwisko i powracające zeń bydło. Miał więc nieborak wiele czasu do myślenia, a zastanawiał się nad wszystkim – swoją dolą, istotą bytu ludzkiego, nad przyszłością rodziny i nad wielu innymi problemami.

Leżę tutaj – rozmyślał nad sobą – sam i niby we własnym łóżku i we własnym domu, a jednocześnie jakby w obcym miejscu. Gdzie ja już nie byłem na tym świecie? Nic mi nie jest jednak droższe nad tamte łagodne pagórki i zielone łąki, z chłodnymi strumykami, w Płonnej. Nawet rodzimy Przybyszów nie jest tak drogi; tam po prostu tylko się urodziłem, a wszystko, co moje, pozostało w Płonnej. A teraz przyjdzie mi ostać się na zawsze w tej piaszczystej ziemi, na której przez wieki włodarzyli Niemcy.

Ale tak to już chyba na tym świecie miało być. Tyle ludzi teraz nie jest na swoim. Nasi bracia pozostawili na zawsze piękne wzgórza bieszczadzkie, Beskidu Niskiego i równiny Chełmszczyzny. Teraz pewnie kto inny tam gospodarzy, a może wszystko już zarasta lasem i tylko wilki wyją po nocach. Ale nie nas samych dotknęła taka dola. Niemcy przecież tak ładnie gospodarzyli się na tych ziemiach – jakie piękne musiały być te zabudowania, tyle maszyn w każdym gospodarstwie, pola i łąki były zadbane. Potem najpierw obrabowali ich niemal do cna, a następnie wszystkich wtłoczyli do wagonów i wywieźli na poniewierkę w nieznane. Nawet tyle nie pozwolili im zabrać, co nam. A weźmy nawet pod uwagę tych „Zabugowców”, których w Miszewie i po całej okolicy jest немало. Oni też chyba mieli tam, na wschodzie, domy i gospodarstwa, też musieli pozostawić swoje i tu ich przywieziono. Tak wymieszali ludzi na świecie, a ilu w ogóle nie doczekało tych zmian i poginęli niewinnie. Nie ja jeden jestem skrzywdzony...

Gdyby tak jeszcze choć raz powrócić do Płonnej na chwilę – rozmyślał dalej – i popatrzeć tak na tamte wzgórza, na plac swój, na cerkiew i chociaż

kawalek przejść się po swoich polach: po ruskim, po zagonach, po pastwisku, nabrać garść ziemi i powąchać jak pachnie wiosną...

Rozmyślania te nie kończyły się, a choroba nadal postępowała. Niewiele poprawy przynosiły wizyty u lekarza. Próbowano jeszcze różnych metod na zaradzenie chorobie: podawanie leków przysłanych przez dzieci z Ameryki, lepszego odżywiania, a nawet krótkotrwałego pobytu w szpitalu. Andrzej słabł z każdym dniem.

Pewnej majowej niedzieli poprosił, aby go dokładnie umyć, bo nie chciałby nieświeży przenosić się na tamten świat. Nagrzano więc wody i ułożono go w wannie. Kąpieli jednak nie dokończono, bo wysiłek poniesiony przez Andrzeja na przemieszczenie się z łóżka i ciepła woda spowodowały całkowite jego omdlenie. Przetaszczono go więc ponownie na pościel i próbowano cucić. Po dłuższym czasie otworzył oko i spojrzał z lubością na otaczającą go rodzinę.

– Dobrze, że widzę was tu zebranych... Ale czemu wszyscy jesteście tak wystraszeni?

– A, bo papa bardzo osłabł – wykrztusiła Marysia – i myśleliśmy..., myśleliśmy...

– O czym, dziecko, myśleliście? Pewnie, że umarłem? – uśmiechnął się kącikiem ust. – Jak widzicie, jeszcze nie umarłem, ale chyba niewiele mi już pozostało życia na tym świecie.

– Nie mów tak – odezwała się Anastazja. – Chwilę odpoczniesz i zaraz będziesz mocniejszy.

– Odpoczywam już dosyć długo, a mocniejszy już nie będę. I ja i wy o tym wiecie... Ale nie widzę wszystkich. Gdzie jest *Andrijcio*?

– On poszedł na pole z bydłem.

– Tak, poszedł z bydłem... To znaczy, że najmniejszego wysłaliście do pasienia krów. Biedny chłopak...

– Ale skoro już tu jesteście – kontynuował po chwili Andrzej, – to dobrze. Chcę wam powiedzieć, że ja niedługo odejdę, ale, jeżeli tylko będę mógł, to zawsze będę z wami.

Słowa te zabrzmiały równie tajemniczo jak i straszliwie. Pewnie wszyscy musieli mieć dziwaczne miny, skoro Andrzej zaraz po chwili uzupełnił swoją wypowiedź:

– Nie bójcie się tak. Ja nigdy i niczego złego wam nie zrobię. Na pewno nie będę tu przychodzić, ale, jeżeli tylko będę mógł, to będę starał się was chronić przed jakimkolwiek złym zdarzeniem. I nie płaczcie za mną...

Po wypowiedzi takiej o płacz nie trzeba było się starać; łzy same cisnęły się z oczu, a za gardło ścisnął głęboki żal. Nikt jednak nie chciał zasmucać chorego w obliczu jego śmierci i powoli wszyscy opuścili pokój. Przy Andrzeju pozostała tylko żona, pytając, czy aby nie życzy sobie czegoś.

– Tak, życzę sobie. Chciałbym poprosić o księdza, chociaż nie wiem z czego mam się spowiadać. Całe życie starałem się być uczciwym człowiekiem i wszystkim pomagałem jak tylko mogłem. Może ciebie czasem skrzywdziłem swoimi głupimi posądzeniami, ale myślę, że mi to już wybaczyłaś.

– Nie ma o czym mówić – odrzekła Anastazja, ściskając go za rękę. – Wiem, że nigdy nie chciałeś źle ani dla mnie, ani dla swoich dzieci. A to, co było niedobre, to teraz już nie jest ważne. Wszystko już przeminęło i proszę cię, abys o tym więcej już nie myślał.

Andrzej również lekko uściśnął ją za dłoń, a po chwili pogрузzył się we śnie.

Nazajutrz sprowadzono proboszcza z sąsiedniej parafii¹. W domu zapanał poważny, a zarazem przygnębiający nastrój. Rozmowa z księdzem, a potem spowiedź nie trwały zbyt długo, po czym odbyło się namaszczenie chorego. Kapłan pobrał należne mu honorarium, zawinął szkaplerzyk, w którym przywiózł hostię, zaciął konia batem i odjechał. Teraz domownicy odczuwali swojego rodzaju ulgę: skoro nie można było już odwrócić losu, to niech przynajmniej dzieje się to po chrześcijańsku. Chory, zaopatrzony na ostatnią drogę, od tej chwili też był nieco spokojniejszy. On już na dobre pogodził się ze wszystkim. Rozmawiał coraz to mniej – i to nie tylko z powodu nasilającej się słabości, lecz może dlatego, że bardziej oczekiwał już przejścia na tamtą stronę, niż kontaktów z żywymi.

Tak minęło kolejnych kilka dni. W środę wieczorem, gdy domownicy powrócili z nabożeństwa majowego², ku wielkiemu zaskoczeniu ujrzeni, że ojciec leży nieruchomo, bez żadnych oznak życia. Wszczęło się ogólne zamieszanie, w którym dominowały płacz i lament.

– Ojciec na pewno żyje – wołała najstarsza córka, – trzeba go tylko ocucić.

Zaczęła wołać ojca i tarmosić omdlałe ciało. Przez jakiś czas wydawało się, że to wszystko na nic, lecz po chwili dało się słyszeć głębokie sapnięcie, spowodowane wciąganiem na siłę powietrzem. Nieruchoma dotąd pierś staro-ego mężczyzny poruszyła się, a po chwili otworzyło się jedyne oko.

– Żyje, żyje! – wołała uradowana Anastazja

– Papa żyją, żyją! – powtarzały córki.

Andrzej poruszył się, nabrał kilkakrotnie powietrza, spojrzał na obecnych, odwrócił głowę na bok, a po chwili odezwał się:

¹ Miszewo w tamtym czasie należało do parafii w Biesowicach, odległej o 20 km. Księdza sprowadzono z bliższego Trzebielina.

² Był zwyczaj, że w wieczory majowe odbywały się wspólne modlitwy i śpiewy pod przydrożnym krzyżem.

– Coście wy wszyscy narobili? Mnie już tu nie było... Już mnie nic nie bolało. Było mi tak dobrze i byłem tam ze wszystkimi. Teraz jeszcze raz będę musiał to wszystko przechodzić od nowa.

– Papo, papo, wy żyjecie – wołały przez łyzy ucieszone córki. – Co wy opowiadacie? Przecież jesteście tu z nami.

– Tak, jestem tu z wami, ale nie trzeba było mnie niepokoić. Ja już byłem tam ze wszystkimi. Oni mnie stąd zabrali, byłem taki spokojny i szczęśliwy, a teraz jeszcze raz mnie czeka to ciężkie przejście. Po coście mnie ruszali?

Zapanowała konsternacja. Niemal cała rodzina, przed chwilą zakłopotana o życie ojca, cieszyła się przez łyzy, a tymczasem spotkało się to z jego niezadowoleniem. Wyglądało na to, że ojciec nie poczuwał się już domownikiem tego świata, a jedynie tylko przez lamente najbliższych został zawrócony z ostatecznej drogi. W pokoju zapanowała dziwna atmosfera. W momencie tym trudno było cokolwiek sensownego powiedzieć. Wszyscy poczuli się tak, jak gdyby wtargnęli w miejsce, w którym sami byliby obcymi przybyszami. I chociaż nikt niczego nie widział, każdy z obecnych wyczuwał jakby dziwne prądy i fluidy. Rzecz by można, że w tym czasie i w tym właśnie miejscu nastąpiło osobliwe przenikanie się dwóch bytów, a tylko niezręczne wtargnięcie zamieszało proces przeistoczenia... Nie mówiono więc już nic więcej i wszyscy, zachowując się jak najciszej, udali się na nocny spoczynek.

W noc tę, wymęczony wielomiesięczną chorobą, Andrzej zachowywał się niezwykle spokojnie. Nie wołał już co chwilę o pomoc w zmianie pozycji leżenia, nie prosił o picie i oddychał cicho i miarowo. Za oknem leciwe klony szumiały powiewem młodych liści, świadcząc o odradzającym się życiu przyrody i kojąc zmęczonych ludzi do snu. Anastazja, leżąca z jedenastoletnim synem na łóżku, odsuniętym na tę noc pod przeciwległą ścianę, długo nie mogła zasnąć, rozmyślając o swoim losie i przeczuwając nowe wydarzenie. Wreszcie, wymęczona ciężką pracą i wieloma troskami, przysnęła przy kolejnym już pianiu kogutów.

Niedługo jednak blady świt znów spędził sen z jej zmęczonych powiek. Ocknąwszy się po chwili z tej krótkiej drzemki, zauważyła, że od strony łóżka, na którym spoczywał mąż, dziwnie nie dochodzą już żadne odgłosy. Zerwała się więc na równe nogi, podeszła do niego i pochyliła nad ciepłym jeszcze ciałem. Wylękniona, odruchowo zamierzała jeszcze raz przywołać go, ale rychło stanęła jej przed oczyma scena z ledwo minionego wieczoru i zaniechała jakichkolwiek działań, które mogłyby ponownie niepokoić nieboszczyka.

Był to czwartek, dwudziesty dzień maja 1954 roku. Zakończył się okres dwudziestosiedmioletniego wspólnego pożycia z Andrzejem. Dobiegł końca kolejny okres życia, tak bardzo przepełniony licznymi wydarzeniami, któ-

rymi byłoby można obdarzyć kilka pokoleń, a jednocześnie ciężko by znaleźć w nim choć jeden rok bez szczególnych kłopotów, spędzony beztrudno i bez jakichkolwiek obaw o przyszłość.

Natomiast leżącemu na tej śmiertelnej pościeli swego kresu dobiegły wszelkie wzmaganie, dalekie podróże i ciągła walka, nie tylko o lepszy byt, ale często wręcz tylko o przetrwanie własne i swojej rodziny. Zakończyła się też jego nostalgia za rodzinnymi stronami, za mozolnie wypracowanym, a potem utraconym gospodarstwem. Zapewne w tym momencie, z pomocą aniołów, wśród których nie mogło zabraknąć jego własnych dzieci, kończąc swoją znojną wędrówkę po tej – nie zawsze mu przychylniej – ziemi, powrócił wreszcie na łono beskidzkich połonin i – podobnie jak Odys przed wiekami – po długiej tułaczce, dopłynął nareszcie do swojej Itaki.



Zdjęcie z pogrzebu Andrzeja, wykonane w dniu 22 maja 1954 r. Od lewej stoją osoby: pierwsza – Pelagia (siostra Anastazji), czwarta – Teresa (córką Pelagii), szósta – Andrzej (syn zmarłego), siódma – Anastazja (żona zmarłego), ósma – Zofia (córką), dziesiąta – Maria (córką), jedenasta – Grzegorz (zięć ze swoim synem Andrzejem, trzynasta – Helena (córką) z synem Stefanem. (Osoby: pierwsza od prawej i druga od lewej to małżeństwo Ławer, o którym wspominał wczęśniej, mówiąc o przypadku podmiiany oblubienic w czasie ślubu).

ROZDZIAŁ PIĄTY

Znów sama

Pięćdziesięcioletnia Anastazja rozmyślała teraz ponownie nad swoim nieszczęśliwym położeniem. Owdowiała przedwcześnie. Właściwie już wtenczas, przed dwudziestu siedmiu laty, kiedy to w rodzinnym Przybyszowie niemal z konieczności wychodziła za znacznie starszego od siebie mężczyznę, liczyła się z tym, że w przyszłości może zostać wdową i w pojedynkę doczekać reszty swoich dni. Miała jednak nadzieję, że nie nadejdzie to zbyt szybko, a tym bardziej, że nie stanie się to w tak nieprzyjaznych okolicznościach. Została na sporym gospodarstwie, wymagającym nieustannej harówki, z jedną dorosłą córką, nie mającą zresztą zbyt wielkich sił do pracy fizycznej, oraz z dwójką dorastających dzieci. Co prawda, w domu mieszkała jeszcze jedna, najstarsza córka, ale ona miała na wychowaniu dwóch małych chłopców, a mąż jej zajęty był swoją pracą w innej miejscowości. Jedynie wieczorami i w niedzielę mógł służyć pomocą w najcięższych pracach oraz swoją męską poradą, bo na większe wsparcie nie miał zbyt dużo czasu.

Wprawdzie, to i na rozmyślanie o swoim położeniu nie było zbyt wiele okoliczności – cały dzień naznaczony był z góry narzuconym porządkiem wykonywania obowiązków, jakie występują w każdym gospodarstwie wiejskim. Tu jednak pracy było więcej, niż w innych miejscach. Objęte przed czterema latami pole z zabudowaniami były znacznie zaniedbane i teraz jeszcze niezupełnie doprowadzane do należytego porządku, a ponadto brakowało wielu niezbędnych maszyn i urządzeń, jakie w tych okolicach mieli wszyscy inni rolnicy, którzy wcześniej przejęli swoje włości bezpośrednio od wysiedlanych właścicieli niemieckich. W tym natomiast gospodarstwie należało dodatkowo odrabiać ręczną pracę wynajem narzędzi od innych rolników lub od działającej we wsi od kilku lat spółdzielni produkcyjnej. Tak więc brakowało niekiedy dnia i styranego zdrowia na tę odróbkę i wykonywanie prac we własnym obejściu. Z konieczności do pracy takiej musieli być zaangażowani wszyscy, niezależnie od wieku i zasobów sił. Na szczęście ostatni rok prowadzenia gospodarstwa przez Andrzeja przysporzył znacznych zapasów, przewyższających nawet bieżące potrzeby, w związku z czym pierwszy okres pracy bez dawnego gospodarza bynajmniej nie był naznaczony większymi niedostatkami. Bywały nawet przypadki, że przychodzili lub przyjeżdżali tu inni gospodarze, aby wspomóc się materiałem siewnym lub sadzeniakami ziemniaków, co w tym smutnym okresie przysparzało samotną teraz gospodynię o poczucie dumy, że oto ona, pomimo swoich przeżyć, może być traktowana na równi z innymi, lub nieco nawet wyżej.

Czasy więc nadal były trudne. Ciężko było żyć i gospodarzyć wdowie bez należytego wsparcia ze strony męskiej ręki, tym bardziej, że nadal ludzie z tak zwanej akcji „W” niekiedy nie zawsze byli traktowani na równi z innymi i niełatwo było o uzyskanie większej pomocy w chwilach ciężkich. Trudniej też było żyć tym gospodarzom, którzy dotychczas nie uznali wyższości gospodarki socjalistycznej i nie przystąpili do kolektywnego gospodarowania. Podczas, gdy spółdzielnie produkcyjne spotykały się z wszelkimi ułatwieniami i pomocą materialną, to tak zwani kułacy, jak nazywano rolników indywidualnych, byli nader wyraźnie nękani wysokimi zobowiązaniami wobec państwa w postaci podatków i obowiązkowych dostaw produktów rolnych, opłacanych daleko poniżej kosztów wytwarzania. Zresztą do kosztów tych nigdy nie wliczano pracy ludzkiej – po prostu ciężka praca należała do psich obowiązków każdego chłopca. Pracować musieli wszyscy, niezależnie od wieku i stanu zdrowia. Ale to właśnie ciężka praca, wykonywana niemal bez wytchnienia, pozwalała na przetrwanie i utrzymanie się przy życiu. Na żadne wygody nikt nie mógł liczyć i nie oczekiwał tego nawet w marzeniach.

Wkrótce jednak miała jeszcze potwierdzić się słuszność ludowego przysłowia, mówiącego o tym, że nigdy nie jest tak źle, ażeby nie mogło być gorzej. Spełnić się miała również przestroga zmarłego przed trzema miesiącami ojca rodziny.

Lato było w pełni. We wsi rozpoczęto już koszenie dojrzałych zbóż. Ustawianiem snopków w sztygi¹ w miejscowej spółdzielni produkcyjnej Anastazja z dziećmi odrobiła już po części pracę traktora, który za kilka dni miał skosić również jej zboże. Wieczorem, po zakończeniu całodziennego ciężkiego harówki, cała rodzina, jak zwykle, zebrała się przy skromnej kolacji, porozmawiano o tym, jakby to przeprowadzić pierwsze żniwa po śmierci ojca i udano się na spoczynek. Anastazja z dwójką młodszych dzieci, Zosią i Andrzejkiem, ułożyła się w pokoju od strony szosy, a starsza córka, Marysia w pokoju od podwórka w tym samym skrzydle budynku. Pokój położony od drogi w drugim skrzydle zajmowała najstarsza córka, Helena, wraz ze swoim mężem, Grzegorzem i dwójką dzieci. Z nastaniem bladego świtu Anastazję przebudził niepokojący hałas, dochodzący z drugiego końca budynku. Nieraz zdarzało się, że odpoczynek nocny przerywany był płaczem któregoś z dzieci, ale tym razem dziwne dźwięki przechodziły w wyraźne i stanowcze rozmowy mężczyzn, pomiędzy którymi dało się słyszeć żeński płacz. Zaniepokojona tym niewiasta przebudziła się na dobre i postanowiła przejść do tamtej części budynku, aby sprawdzić co takiego mogło się tam wydarzyć.

Ledwie jednak usiadła na pościeli i postawiła nogi na podłodze, gdy z łoskotem otworzyły się drzwi do jej pokoju, w których pojawiło się kilku

¹ Nazwa zestawionych w szereg snopków zbożowych, używana przez Kaszubów.

umundurowanych i uzbrojonych mężczyzn. Jeden z żołnierzy stanął w progu ze zwróconym w jej stronę karabinem, a oficer ostro nakazał:

– Proszę natychmiast wstać i nie ruszać się!

Anastazja w jednym momencie poczuła na całym ciele wielkie odrętwienie, jakby przeszedł po niej cały rój mrówek. W tej samej chwili przed oczyma stanęła jej scena, gdy przed ośmioma laty człowiek w takim samym mundurze, z wężykami na kołnierzykach opiętych pod szyją¹, też wykierował w jej stronę karabin i, trzymając na powrozie zrabowaną krowę, kazał oddać pieniądze, a potem, gdy chciała uciekać, poczuła tylko przeszywający ból pod łopatką i ciepło wyciekającej strumieniem krwi. Czyżby znowu zdarzenie takie miało się powtórzyć?... Usiłowała wstać, ale nogi pod nią ugięły się i ponownie upadła na łóżko.

– Pa... panie oficerze – wyjąknęła przestraszona, – co... co się stało, panie oficerze? Chyba nie chcecie do mnie strzelać? Proszę pana....

Porucznik, widząc na dobre wylęknioną niewiastę, pospieszył z wyjaśnieniem:

– Nikt nie będzie strzelał, proszę się uspokoić. Niech pani się przyodzieje i stanie z boku. Musimy przeprowadzić rewizję.

Anastazja narzuciła na siebie fartuch i nieruchomo stanęła z boku. W tym momencie przebudziły się śpiące dzieci, po czym w drzwiach pojawił się kolejny żołnierz, a za nim ubrany już Grzegorz z rękoma skutymi kajdankami. Przez chwilę trwało wywracanie wszystkiego do góry nogami, a gdy jeden z intruzów natrafił na karton z rodzinnymi fotografiami, zapytał przełożonego:

– Obywatelu poruczniku, czy te zdjęcia będziemy zabierać?

– A po co komu te zdjęcia, głupcze? Nam nie o takie zdjęcia przecież chodzi.

– A czy łóżka też mamy przeszukać, obywatelu poruczniku?

– Daj spokój! Nie widzisz, że dzieci są przestraszone? I tak tam niczego nie znajdziemy. Wychodzimy stąd.

Żołnierze wyszli z pokoju, a Grzegorz podszedł do łóżka i pożegnał się z wylęknionymi Zosią i Andrzejkiem.

– Mnie zabierają do więzienia. Nie wiem kiedy powrócę do was. Teraz ty tu zostajesz najważniejszym gospodarzem. Musisz już być mężczyzną i opiekować się kobietami i moimi chłopcami – wypowiedział niby żartem i z małym uśmiechem, ściskając jedenastoletniego Andrzeja, w którym dostrzegał zadatek na mężczyznę. W głosie Grzegorza jednak można było poznać prawdziwe zaniepokojenie o losy rodziny i jakby rzeczywiste przesłanie dla podrastającego chłopca.

– A czemu ciebie, szwagier, zabierają? Kiedy wrócisz?

¹ Mundury takie nosili żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, powołanego do zwalczania „wroga wewnętrznego”. Korpus ten przeprowadzał również akcję „Wisła”.

Odpowiedzi jednak nie doczekał się, bo do pokoju powrócił żołnierz z długim karabinem i wypchnął aresztanta przed siebie. W całym domu teraz rozlegał się lament i zapytania, o to, co właściwie się stało oraz prośby o pozostawienie w domu ojca małych dzieci. Wszystko jednak na nic się zdało. Grzegorz poprosił jeszcze, aby na chwilę zdjęto mu kajdanki i pozwolono pożegnać się ze swoimi synkami. Następnie obydwu chłopców wyjął z łóżka, wziął na ręce i mocno przytulił do siebie, a po policzkach jego gorącym strumieniem spłynęły łzy. Następnie Helena przejęła od męża czteroletniego Andrzejka, siłą oderwała od niego niespełna trzyletniego Stefana i ucałowała męża na pożegnanie.

– Trzymajcie się zdrowi, wszystko się wyjaśni i na pewno niedługo powrócę – rzekł Grzegorz na pożegnanie, po czym, poszturchiwany przez żołnierzy, wyszedł na zewnątrz.

Przez chwilę jeszcze było słyhać rozgwar na ulicy, a następnie zgrzytanie startujących motorów i odjeżdżające samochody. Potem nastąpiła głęboka cisza, przerywana pojękiwaniem sówki, siedzącej na przydrożnym jaworze.



Zdjęcie ukazuje Helenę z dziećmi i Grzegorzem, na krótko przed jego aresztowaniem

Tej samej nocy samochody z niewinnymi chłopami odjechały jeszcze spod kilku innych domów w tej samej i kilku sąsiednich wsiach. Odjechali do aresztów zakuci w kajdanki ludzie tylko dlatego, że nie mieli dosyć siły i tupetu, aby odrzucić nieproszonych natrętów, którzy wykorzystywali ludzką słabość i powoływali się na plemienną solidarność.

Wystraszone i zaniepokojone kobiety w milczeniu starały się doprowadzić do porządku zdemolowane mieszkanie, a potem – nie kładąc się już na odpoczynek – czekały na pełny poranek, aby zająć się codziennymi obowiązkami i przygotowywaniem do nadchodzących żniw.

Nastąpiły kolejne dni, przepełnione ciężką pracą i narastającą trwogą o niepewną przyszłość. Tylko podczas wspólnych posiłków przez dłuższy czas jakoś markotnie stawało się przy rodzinnym stole na widok ciągle wolnego miejsca na jego końcu, które to dotychczas zwyczajowo było zajmowane przez Grzegorza. Nieraz też wspomniano zmarłego ojca i jego prorocze słowa, wypowiedziane do „złych duchów”, jak to niekiedy określano nieproszonych tu gości: ...*Powiadam ci jeszcze raz, Piotrusiu, z tego spad-*

nie na was i na wszystkich wielka bieda. Ja jestem stary i może nikt mi już nic nie robi. Ale Grzegorz ma żonę i dwoje małych dzieci...

Niestety, nikt z nich wtedy nie chciał usłuchać starego, ale mądrego człowieka. I oto teraz jego słowa sprawdzały się. Niewinni chłopci zostali postawieni w stan oskarżenia, niby to za współpracę z wrogim podziemiem, chociaż właściwie żadnej współpracy tu nie było, bo nikt z nich nawet nic nie wiedział o wykonywanych zadaniach przez rzekomych agentów¹, a teraz cierpieli wszyscy, a zwłaszcza pozostawione rodziny, narażone na dodatkowy stres, związany z przygotowywanym procesem i koszty wynajmowania obrońców, którzy – jak to jest w zwyczaju tej profesji – najlepiej żywią się przy nieustannie przedłużających się procedurach.

Lato 1954 roku było gorące nie tylko z uwagi na panujące temperatury, ale również ze względu na występujące napięcia w pracach przy zbiorce zbóż. Osamotnione kobiety z małymi dziećmi nie były w stanie poradzić sobie z nasilającymi się obowiązkami, które były daleko ponad ich wątłe siły. Część zboża została skoszona traktorem z miejscowego kołchozu. Na dalsze wynajmowanie takiej pomocy nie wystarczało ani pieniędzy na opłaty, ani sił na „odróbkę”. Zbieranie zboża za pomocą kos również nie wchodziło w rachubę, bo praca taka była zawsze wyczerpująca dla mężczyzn, a w ogóle nie była możliwa do wykonywania przez wymęczone i słabe kobiety. Pozostało tylko oczekiwanie na łaskawą pomoc nielicznych sąsiadów, którzy nie przystąpili do kolektywnego gospodarowania i dysponowali jeszcze własnymi zaprzęgami. Pomoc ta jednak mogła się urzeczywistnić dopiero po zakończeniu przez nich prac we własnych gospodarstwach, a do tego jednego z takich sąsiadów również spotkał ten sam los, co zięcia Anastazji i teraz razem gdzieś tam zastanawiali się nad swoją dolą i niedolą.

Zaistniałe opóźnienia w zbiorce zbóż nie miałyby jeszcze tak wielkiego wpływu na samopoczucie Anastazji i jej córek, gdyby nie gorączkowe pognaglenia ze strony władz państwowych odnośnie zachowania terminów obowiązkowych odstaw zbóż. Ktoś tam na samym wierzchołku jedynie słusznej i sprawiedliwej władzy „ludowej” z niepokojem czekał na ostateczny meldunek o wywiązaniu się chłopów z tego socjalistycznego obowiązku, pomimo tego, że magazyny i tak były przepełnione ziarnem i nikt nie umiał racjonalnie zagospodarować wciąż napływających nowych dostaw. Ten zaś, kto nie wywiązywał się z obowiązków w gorączkowo naznaczonym terminie, był największym wrogiem ojczyzny i całego ludu pracującego. W związku z tym władzy na równi zależało na pozyskaniu jak największej ilości skupionego ziarna, jak i na wyłuskaniu z tłumu tych, którzy „sypią piasek w tryby socjalizmu”. Dlatego na szczeblu województw i powiatów po-

¹ Z późniejszych informacji z przebiegów procesów karnych w ogóle można wątpić, czy mieli oni jakiegokolwiek zadania do wykonania, czy też była to organizacja powołana „na wszelki wypadek” lub jedynie dla podtrzymania napięcia związanego z „zimną wojną”.

wolowano spośród najwierniejszych aktywistów tak zwane trójki zbożowe, członkowie których mieli obowiązek zdjąć zarękawki i wyruszyć w teren, aby przekonywać krnąbrnych chłopów do wierności dla przyjętych idei i wypełniania ich czynami, w tym przyspieszoną sprzedażą, a raczej oddawaniem niemal za darmo, nowych plonów ze swoich pól. Pola te zapewne również powinny rozumieć, że są częścią wielkiej socjalistycznej rodziny.

Taka „trójka zbożowa”, rozdzielona już na swoje pierwotne elementy, pojawiła się również w Miszewie. Pracy nie miała tu zbyt wiele, bo miejscowa spółdzielnia produkcyjna i tak stanowiła część tego samego układu politycznego i nie podlegała restrykcjom, a większość z pozostałych jeszcze indywidualnych rolników zdołała wywiązać się ze swojego obywatelskiego obowiązku. Aktywiści swoje działania skupili więc na gospodarstwach biedniejszych lub na takich, które dopadła jakaś plaga. Do Anastazji przybył więc mężczyzna średniego wieku o dosyć wysmukłej budowie ciała. Ubrany był w schludny garnitur, a głowę jego przed promieniami słonecznymi chronił elegancki płócienny kapelusz. Właśnie z powodu tego nakrycia głowy nazwano go tu „Kapelusznikiem”.

– Kto tu jest gospodarzem? – zapytał po przywitaniu i przedstawieniu się.

– Gospodarza nie ma, proszę pana – odpowiedziała przekornie zdesperowana Anastazja.

– A dokąd poszedł, bo chciałem z nim porozmawiać?

– Sam nie poszedł, a wywieźli go na cmentarz, proszę pana – dalej podtrzymywała swój ironiczny ton wdowa.

– Jak to, gospodarz nie żyje? – dopytywał, jakby nie dowierzając, „Kapelusznik”.

– Ano tak. Nie żyje. Umarł trzy miesiące temu. A pan jaki ma interes do gospodarza? Pewnie zalega wam z kontygentami? Prawda?

Pocziwy urzędnik, któremu przyszło wypełniać idiotyczną misję, spostrzegł niezręczność sytuacji, ale jednocześnie czuł swoją powinność. Tam, na górze, nikt przecież nie będzie wysłuchiwał informacji o jakichś pojedynczych nieszczęściach biednych ludzi, a jedynie oczekują od niego meldunku, że wszystko jest zrealizowane w stu procentach, lub nawet lepiej.

– Proszę pani – kontynuował dalej, – jest mi bardzo nieprzyjemnie, że muszę panią niepokoić w takiej sytuacji. Mam jednak polecenie nie wracać do Koszalina dopóki w całości nie zbierzemy obowiązkowych dostaw zbóż w całej gminie. Musimy razem coś zaradzić. Rozumie pani?

– Rozumiem, proszę pana, ale co mam zrobić? Zostałam sama z dziećmi. Jak pogoda dopisze, to jutro zwieziemy z pola resztę zboża, ale kiedy zdążę go wymłócić, to nie wiem. Bez męskiej pomocy nie mogę tego zrobić teraz. Nikt mi z sąsiadów nie pomoże w omłotach, bo każdy jest zajęty swo-

imi pracami. Jesienią zboże wymłóczę i wszystko wam oddam. Przecież możecie poczekać. I tak nigdzie stąd nie ucieknę.

– Ja mogę poczekać, ale tamci, na górze, tego nie rozumieją – powiedział ściszym głosem „Kapelusznik”, a po chwili dodał:

– Musimy razem znaleźć jakieś wyjście z tego. – spojrzał na swój garnitur i po chwili zapytał: – Czy ma pani jakieś robocze ubranie po mężu? Nie mogę przecież w tym pracować przy żniwach...

Następnie przebrał się pocziwy urzędnik w dreluchy zmarłego niedawno gospodarza, założył ponownie kapelusz na głowę i poprosił o kubek kwaśnego mleka.

– Teraz, pani gospodyni, możemy już wyruszać do roboty!

Następnie wszyscy razem: przybrany w kapelusz członek „trójki zbożowej”, Anastazja i jej dzieci, najpierw zwieźli z pól pozostałość zboża, a następnie przystąpili do omłotów na pożyczonej młocarni. Trzeci dzień wytężonej pracy zaowocował tym, że należne zachłannemu państwu zboże czekało już na przewiezienie do gminnego punktu skupu. Gospodyni uwolniona została od przykrego zobowiązania, urzędnik szczęśliwy był z wypełnionej misji, a działaczom partyjnym poprawiły się procentowe wskaźniki, świadczące o poparciu chłopów i klasy robotniczej dla socjalistycznej ojczyzny. Tylko, że z całorocznych plonów niewiele już zostało na potrzeby gospodarstwa i wyżywienie rodziny. Dodać tu jeszcze należy, że nie zawsze udęczenie ludzie mogli na swojej drodze spotkać takich „Kapeluszników”. W wielu przypadkach podobne sprawy kończyły się zupełnie inaczej.

W czasie tym utrzymywane były drogą listowną kontakty z dziećmi Andrzeja z pierwszego małżeństwa, zamieszkałymi w Ameryce, a najczęściej z Pawłem i Hanią. Jeszcze za życia ojca niejednokrotnie starali się oni udzielić jakiejś pomocy rodzinie w Polsce. Jednak ówczesne władze czyniły wszystko, aby taka pomoc nie mogła być świadczona lub aby była nieopłacalna. Nie mogły przecież kraje ze „zgniłego kapitalizmu”, jak to wtedy przedstawiano państwa zachodnie, być stawiane za wzór gospodarności i dobrobytu. Tak i teraz, kiedy tamto rodzeństwo zza oceanu starało się pomóc swojej biedniejszej rodzinie z kraju, stosowane przez rząd zasady rozliczeń czyniły tę pomoc daleko nieopłacalną. Bywały nawet takie sytuacje, że próby udzielania pomocy doprowadzały nieszczęsnych beneficjentów do ruiny. Pamiętne jest takie wydarzenie, kiedy to otrzymano z poczty powiadomienie, że nadeszły z Ameryki trzy pokaźne paczki. Należy tylko opłacić cło i można je zabierać do domu. Problem jednak leżał w tym, że dla wykupienia jednej przesyłki należało z chlewu wyprowadzić i sprzedać dorodną świnię. Zakłopotana więc Anastazja wzięła z domu wszystkie uzbierane pieniądze i wykupiła jedną z paczek, a dwie pozostałe oddała jednemu z sąsiadów w zamian za uregulowanie od nich cła. Powstał tylko problem, kto zabiera którą z przesyłek. Sprawę rozstrzygnięto drogą losowania. Po roz-

pakowaniu okazało się, że nie było wygranych. Stara, używana odzież i częściowo zepsuta żywność swoją wartością daleko nie dorównywały naznaczonej opłacie celnej. Wywołało to rozpacz i wielkie poczucie krzywdy, wyrządzenia której dopuszczała się „władza ludowa”.

Innym niefortunnym przykładem niesienia pomocy były próby umieszczania w listach drobnych kwot w postaci zielonych banknotów. Wszystkie listy w tamtych czasach, zresztą tak samo działo się wiele, wiele lat później, były kontrolowane przez państwową bezpiekę. W przypadku stwierdzenia w liście dewiz, na które apetyt państwowy nigdy nie był zaspokojony, wkładano do niego polecenie natychmiastowej ich wymiany na rodzime złotówki. Naznaczony kurs przeliczeniowy był kilkakrotnie niższy od faktycznej wartości dolara, a do tego, aby je wymienić należało każdorazowo jechać do miasta wojewódzkiego. Koszty takiej wyprawy często kilkakrotnie przewyższały wartość otrzymanej darowizny.

W tym nieszczęśliwym roku, w którym zmarł ojciec rodziny, najmłodsza z córek, Zosia, zakończyła naukę w Szkole Podstawowej w Gumieńcu i przyszedł czas wyboru jej dalszych losów życiowych. Odbyla więc pomyślnie egzaminy wstępne do liceum pedagogicznego¹ w Bytowie, a pod koniec zniw przyszedł czas na pożegnanie się z pracą w gospodarstwie i zamieszkania w przyszkolnym internacie. Zatraskana matka skompletowała więc dla niej wyposażenie, składające się ze skromnego odzienia, dała parę złotych na drogę i w pierwszym dniu września, w środę rano, odprowadziła na poranny pociąg.

– Do widzenia, córeczko. Jakoś dawaj sobie tam radę, ale gdyby ci tam było źle, to wracaj do domu.

– Będę, mamó starać się, jak tylko potrafię, ale boję się, że tam przyjdzie za wiele rzeczy płacić, a mnie nie wystarczy pieniędzy.

– Sama widzisz, że pieniędzy nie ma i więcej nie mogę teraz ci dać. W sobotę wieczorem przyjedziesz i wszystko mi opowiesz jak tam jest. Wtedy zobaczymy, co będzie dalej.

Tydzień szybko się zakończył i w sobotę po południu Zosia pojawiła się w domu. Przedstawiła całą listę potrzeb finansowych, jak zakup podręczników, przyborów szkolnych, stroju gimnastycznego, a najważniejszą pozycję stanowiła opłata za wyżywienie w internacie.

– I jeszcze jedno, mamó – nieśmiało dodała zafrasowana dziewczyna. – Wszystkie dziewczyny są ładnie ubrane, a ja nie tylko, że źle się czuję w swoim ubraniu, ale jest mi zimno w tej kretonowej sukieneczce i tenisówkach.

– Wiem, wiem, Zosiu, ale co ja mogę poradzić. Pojedziesz w poniedziałek do szkoły i może jakoś tam przetrzymasz tydzień, a ja zobaczę, co moż-

¹ W tamtym czasie ukończenie takiego liceum dawało pełne kwalifikacje do wykonywania zawodu nauczycielskiego w szkołach podstawowych.

na zrobić... – uspokajała córkę biedna matka, a po części jakby mówiła sama do siebie lub tylko głośno myślała. – Przez tydzień zobaczę, co da się zrobić. Może ktoś mi pożyczy pieniędzy, a jesienią coś się sprzeda i będzie inaczej. Może jesienią dadzą jakieś tkaniny za len i wtedy uszyjemy ci lepsze ubranie. Zobaczymy, jak to będzie. Bardzo chciałabym, ażebyś ty skończyła tę szkołę i w przyszłości nie musiała tak ciężko pracować, jak ja.

Nie było to wielkie uspokojenie dla zabiedzonej dziewczyny, która stała się już panienką i nie chciała czuć się tak bardzo upokorzona wobec swoich rówieśniczek, ale nie molestowała już matki swoimi prośbami, bo nader dobrze знаła sytuację finansową w rodzinie. Pomogła więc w tym dniu jeszcze nieco w najpilniejszych pracach, a w niedzielę popędziła bydło na pastwisko, aby ulżyć w tych obowiązkach młodszemu o trzy lata bratu.

Następny tydzień szybko przeminął na wykonywaniu ciężkich prac gospodarskich, a w sobotę po południu znów do domu zawitała młoda adeptka zawodu pedagogicznego. Tym razem przedkładana relacja ze swojej sytuacji szkolnej była już całkowicie przeszycona żalem i rozgoryczeniem. Właściwie teraz Zosia nie tyle przybyła już dla odwiedzenia rodziny, co w celu ostatecznego rozwiania wątpliwości w zakresie możliwości dalszego kształcenia się.



Andrzej (trzyma psa) ze Stefkiem i Andrzejkiem, dziećmi swojej siostry, Heleny. Zdjęcie wykonane w 1954 r.

– Mamo, ja tam już nie mogę wrócić bez pieniędzy. Wszyscy, oprócz mnie, mają potrzebne książki i zeszyty. Tylko ja muszę wszystko pożyczać od innych. A dyrektor na zebraniu powiedział, że po niedzieli wszyscy musimy opłacić internat. Ten, kto nie zapłaci, nie dostanie więcej jeść. Mamo, ja nie mogę już

tam wrócić – powtarzała zapłakana dziewczyna.

Zatroskana matka nie mogła znaleźć żadnych słów na pocieszenie córki. W domu przecież było teraz na utrzymaniu sześcioro ludzi, a dochody z gospodarstwa, mocno uszczuplone kontyngentami i wysokimi podatkami, nie wystarczały nawet na skromne wyżywienie. Decyzja, chociaż smutna, była jednoznaczna:

– Trudno, Zosiu, ale nic więcej nie mogę teraz zrobić. Zostań w domu, a później zobaczymy jak będzie. Może za rok coś się odmieni i wrócisz do tej szkoły, a teraz będziesz pomagała mi w prowadzeniu gospodarstwa.

Oczywiście, przez rok nie mogło wydarzyć nic takiego, co odmieniłoby sytuację finansową tej rodziny. Tak więc, już druga z córek nie mogła podjąć dalszej nauki, ale za to pracy wystarczyło dla wszystkich – od najmniejszego do najstarszego. Tylko, że nie było widać z tego większego pożytku. Wykonywanie wszystkich obowiązków, jakie łączą się z prowadzeniem gospodarstwa, wymagało wielkiego wysiłku i często stanowiło trud ponad siły. Od jesieni konne prace polowe coraz częściej wykonywane były – wspólnie z matką lub zupełnie samodzielnie – przez najstarszego w domu mężczyznę, Andrzeja, który krótko przed śmiercią ojca ukończył już przecież jedenaście lat. Powodowało to jego częstą nieobecnością w szkole. Łącznie w roku szkolnym, w którym uczęszczał do szóstej klasy opuścił blisko stu dni nauki. Stan taki zaowocował nie tylko poważnymi zaniedbaniami w nauczaniu, ale również przyczynił się do opóźnienia rozwoju jego osobowości, o czym miał się przekonać w niedalekiej przyszłości – na drodze swojego dalszego kształcenia.

* * *

W życiu swoim Anastazja już niejednokrotnie zmuszana była do przechodzenia przez wiele trudności i niewygód. W myślach wspominała nieraz okres, kiedy to jej ojciec niepostrzeżenie udał się do Ameryki, a następnie, kiedy już też nieoczekiwanie wcześniej powrócił, poszedł – jak mówiono – „na austriacką wojnę” i wtedy jej matka, musiała dawać sobie radę z małymi dziećmi i zniedołężniałym ich dziadkiem. Pamiętała też o swoim upokorzeniu podczas pierwszego małżeństwa, o śmierci pierwszego męża, o umieraniu tyłu dzieci, o utracie syna na wojnie, o gehennie związanej z „akcjami”, o wysiedleniu i o wielu innych utrapieniach. Nauczyła się więc wytrwałości i nadziei na to, że każde nieszczęśliwe położenie musi kiedyś się odmienić. Wiedziała więc, że i obecna sytuacja nie może przecież trwać wiecznie. Wiedziała, że człowiek na pewno może znieść bardzo wiele – musi mu tylko wystarczyć wytrwałości i wiary, że nie wszystko jest utracone. Przypomniała sobie jak to ongiś, w równie trudnych czasach, w Sanoku przypadła do niej Cyganka ze swoją natarczywą posługą wróżenia i, kiedy już wyłudziła swoją zapłatę, prorokowała:

...Wiele już wycierpiałaś, ale będziesz cierpieć jeszcze więcej. Umarło ci kilkoro dzieci, ale umierać będą jeszcze następne. Koło ciebie kręci się dużo chorób, widzę nawet krew, ale pamiętaj, że wszystko jesteś w stanie przetrzymać. Jesteś panią na swoim, ale i to ci zabiorą. Potem znów osiądziesz na własnym, ale i potem nie będzie ci lekko. Nie będziesz jednak go-

spodynią do końca życia. Wszystko przetrzymasz i doczekasz się jeszcze czasów, że będzie ci dobrze i żyć będziesz w dostatku...

Tak prorokowała Cyganka i – nie wdając się w rozważania o prawdziwości wróżb – trzeba przyznać, że wiele tych przepowiedni, dotyczących fatalnych zająć, spełniło się. Dlaczego więc nie miałyby spełnić się wszystkie, nawet te dobre?... Tylko jak tu w tych, nakładających się na siebie nieszczeniach dopatrzeć się choćby najmniejszego światełka w tunelu?

Na rozmyślaniach takich niejednokrotnie schodziły bezsenne noce, a potem nastawał świt i trzeba było znów wstawać do znoonej, a niekiedy beznadziejnej pracy. Najważniejsze było, aby w tym wszystkim wytrwać i nie załamywać się do końca. Zresztą innego wyjścia Anastazja nie widziała – wszystkie dni naznaczone były pokonywaniem kolejnych kłopotów i stawianiem czoła codziennym obowiązkom. Mąż córki i zarazem ojciec dwóch wnuków przez cały czas przetrzymywany był w areszcie bez wyroku o jego winie i bez widoku na sprawiedliwy proces. Sytuacja taka stwarzała przynębiającą atmosferę. Małe dzieci nie miały ojca; nawet w sytuacjach trudnych i w ciężkiej chorobie¹ nie było komu podtrzymać rodziny na duchu i spieszyć z oczekiwaną pomocą. Więzienie Grzegorza miało jeszcze inny, niekorzystny aspekt: dla uniewinnienia lub nawet złagodzenia winy należało zadbać o odpowiednią pomoc prawną, a wynajmowanie ciągle zmieniających się adwokatów powodowało niemałe ssanie i tak skromnych zasobów finansowych.

W tych ciężkich czasach nie wszystkie jednak dni nacechowane były beznadziejnością i utrapieniem. W zadowalającym zdrowiu trzymały się dorosłe córki, dorastały młodsze dzieci, rosły wnuki i cały czas istniało gospodarstwo². Znajdowano również dosyć sił i usposobienia do podtrzymywania tradycji, szczególnie podczas obchodów dorocznych świąt. Nadal więc na swój sposób obchodzono święta Bożego Narodzenia, chociaż nie było gdzie uczestniczyć w liturgii według obrządku greckokatolickiego³. Wspólnie więc, z zaprzyjaźnioną rodziną Lewczaków, ojciec której również w tym czasie był więziony, urządzano skromne, ale uroczyste wieczerze wigilijne – z sianem pod obrusem, snopkiem zboża w kącie, dwunastoma daniami, podarkami i obowiązkowo ze śpiewaniem ukraińskich kolęd. Wy-

¹ Na przykład w grudniu 1954 roku starszy synek Heleny i Grzegorza, Andrzejek, ciężko zachorował na błonicę i przebywał w szpitalu w Sławnie.

² Utrzymywanie dosyć dużego (11 ha ziemi) gospodarstwa przysparzało kłopotów z powodu nakładanych wysokich kontygentów i podatków. Z tego powodu Anastazja podjęła działania mające na celu zmniejszenie posiadanego areálu. Po wielkich staraniach, łącznie z przekupieniem przewodniczącego gromadzkiej rady narodowej, w 1955 r. odpisano (bez żadnego zadośćuczynienia) część gruntów od obszaru gospodarstwa i zmniejszono go do 4,5 ha pola i 0,8 ha łąki.

³ Po jakimś czasie wstrzymano odprawianie mszy greckokatolickich w Bytowie, a w odległym o 70 km Białym Borze cerkiew została otworzona w roku 1956.

darzenia takie mocno zadziwiała sąsiadów w większości pochodzących z Kaszub, którzy o trzynaście dni wcześniej¹ obchodzili święta, ale ich wigilie sprowadzały się do spożycia zwyczajnych posiłków i bez żadnej zewnętrznej oprawy. Spotykane były więc sytuacje, że gdy podczas rozchodzącego się śpiewu ...*Boh przedwicznyj narodyw'sja*²... lub ...*u Weflejemi wesela nowyna*³... uniosło się wzrok go góry, to za oknem można było zauważyć poprzyklejane do szyb okiennych nosy. Potem podczas sąsiedzkich spotkań długo trzeba było odpowiadać na pytania, jak to można drugi raz obchodzić święta, bo przecież Pan Jezus nie mógł dwa razy się urodzić. Nie wszyscy bowiem pojmowali prostą prawdę, że i kalendarz juliański, i kalendarz gregoriański w dziejach ludzkości stanowią tylko porządek umowny.

W tych mozolnych dniach znajdowano również czas na pewne odprężenie i życie towarzyskie. W domu Anastazji bardzo często odbywały się wizyty sąsiedzkie i spotkania młodzieżowe, połączone z pogawędkami, śpiewami, grami w fanty, a nawet potańcówkami. Nie mając – oprócz objazdowego kina – innych rozrywek, ówczesna młodzież umiała zająć się sama sobą, a często – obok zabaw – wykonywano wspólnie różne prace użyteczne, jak szydełkowanie, haftowanie, wyplatanie dzianin, czy przedzenie wełny. Dzieleno się również doświadczeniami w zakresie kucharzenia i domowych wypieków.

Pewnego majowego wieczoru 1955 roku, kiedy domownicy powrócili już z nabożeństwa majowego, które odprawiane było pod przydrożnym krzyżem, w czasie spożywania kolacji do drzwi zapukał młody mężczyzna z odległego o sześć kilometrów Mielna, znany w okolicy z tego, że zajmował się handlem końmi. Przedstawił się i uprzejmie zapytał:

– Jestem tu przejazdem i mam problemy, bo zepsuł mi się wóz. Czy mógłbym prosić o siekierę lub młotek?

– Marysiu – zwróciła się do córki Anastazja, – przynieś panu siekierę z dREWUTNI.

Następnie przez chwilę było słychać odgłos jakby wbijanego pała drewnianego, po czym niespodziewany gość oddał pożyczone narzędzie, poprosił o wodę, pokłonił się i odjechał.

– Mamo – rzekł po chwili młodszy brat Marysi, – mnie się wydaje, że temu człowiekowi nic się nie zepsuło przy wozie, bo trochę postukał siekierą o dyszel, a potem o deski i niczego nie naprawiał. Przez cały czas tylko patrzył się na Marysię.

¹ Według kalendarza juliańskiego święta Bożego Narodzenia przypadają o 13 dni później w stosunku do kalendarza gregoriańskiego, według którego obchodzone są święta w obrządku rzymskokatolickim.

² Бóg przedwiczny narodził się. (ukr.)

³ W Betlejem wesola nowina. (ukr.)

Wizyty takie odtąd powtarzały się w każdy targowy dzień, kiedy to Józef Walczak powracał z nowo zakupionymi końmi ze Sławna, które następnie sprzedawał w Bytowie. Kolejne odwiedziny odbywały się już w niedziele, a nawet w dni robocze. Zalotnik nie prowadził teraz ze sobą koni, a przyjeżdżał na rowerze.

Latem, tego samego roku, do wioski zawitała ekipa ze Słupska, przeprowadzająca przebudowę sieci energetycznej. Młodzi mężczyźni, poważnie kawalerowie, zamieszkali w barakowozach ustawionych na sąsiedniej zagrodzie. Cały dzień pracowali przy wkopywaniu słupów elektrycznych, mocowaniu przewodów i podłączaniu ich do kolejnych zagród, a wieczorami odwiedzali miejscowych gospodarzy oraz chętnie brali udział w spotkaniach młodzieżowych. Często starali się zaimponować swoim miastowym obyciem i znajomością świata, który dla nich również nie był wielki i najczęściej zamykał się w obrębie jednego lub kilku powiatów. Niektóre zabudowania odwiedzane były przez nich częściej, a zawiązywane znajomości wraz z odbyciem kolejnych wizyt zacieśniały się. Tak też było w opisywanym domu. W czasie tych wieczornic oczy Marysi coraz częściej spotykały się ze wzrokiem czarniawego chłopca, średniego wzrostu i pociągłej twarzy, przedstawiającego się jako Edmund, który pełnił funkcję kierownika brygady.

Powoli sytuacja stawała się kłopotliwa: z jednej strony wizyty handlarza końmi stawały się niemal regularne, a nawet doszło do odwiedzin oblubienicy w domu jego rodziców, a z drugiej strony – pomimo zakończenia we wsi robót instalacyjnych – brygadzysta elektryków również nie zaprzestawał swoich bytności w domu Marysi. Zdarzyło się nawet, że obaj pretendenci spotkali się tu w jednym czasie, co stworzyło sytuację wielce niezręczną, a nawet doprowadzało do sytuacji, że mieli oni pretensję nie tylko do siebie nawzajem, ale również nie pochwalali swojej wybranki. Ziściła się więc scena z rosyjskiej piosenki o jarzębinie, z tą różnicą, że zamiast dzielnego tokarza i kowala zucha wystąpili chłopcy o całkiem innych profesjach. W wyniku bliskiego spotkania dwóch pretendentów przez pewien okres wizyty były zaniechane, co wprawiło dziewczynę w niewątpliwe zaniepokojenie. Sytuacja taka trwała do czasu, kiedy to Edmund przelicytował swoje dowody miłości pokonując w pewną zimową niedzielę trzydziestokilometrowy dystans pomiędzy Słupskiem a Miszewem na pieszo, ponieważ zapóźnił się na autobus. Od tej pory szanse na zwycięstwo w tej miłosnej rywalizacji przechyliły się wyraźnie w jedną stronę, co wkrótce miało zaowocować trwalszym związkiem.

* * *

Rok następny przyniósł kolejne zmiany – zarówno w sytuacji kraju, jak i w życiu Anastazji. W marcu 1956 roku w zagadkowych okolicznościach zmarł przywódca państwowy, towarzysz Bolesław Bierut¹. Wydarzenie to miało poważne konsekwencje dla stosunków społecznych w kraju. Osłabły nieco restrykcje polityczne i zaczęto wprowadzać Nieliczne swobody obywatelskie. Wydarzenia te o tyle były ważne dla sytuacji w rodzinie Anastazji, że wkrótce odbył się proces więzionego dotychczas jej zięcia. Po ogłoszeniu wyroku uniewinniającego Grzegorz na wiosnę powrócił do domu². Nie wspominając już o radości związanej z odzyskaniem ojca małych wnuków i męża córki, z powrotem Grzegorza wiązano nadzieję na poprawę sytuacji całej rodziny. Przede wszystkim ponownie w domu był silny, młody mężczyzna, który miał dać wsparcie w prowadzeniu gospodarstwa i we wszystkich sytuacjach życiowych. W zupełności jednak nie stało się tak do końca, bo po odwiedzinach (pierwszych od czasu wysiedlenia z Płonnej) swojej matki, mieszkającej na Warmii, na krótki okres powrócił on do poprzedniej pracy, a w gospodarstwie pomagał raczej doraźnie, poza obowiązkami zawodowymi.

W tym też roku naukę w szkole podstawowej zakończył trzynastoletni syn Anastazji, Andrzej. Kolejny już raz powrócił problem możliwości dalszego kształcenia dziecka. Sytuacja materialna nie poprawiła się zbyt odznaczalnie, ale była już bardziej stabilna, niż przed dwoma laty. Przede wszystkim dzięki powrotowi męża pod względem finansowym bardziej usamodzielniała się rodzina najstarszej córki, a poza tym z powodu zmniejszenia areалу gospodarstwa mniejsze były już obciążenia podatkami i zniesione zostały niektóre formy kontygentów³. Wielkim zainteresowaniem w dalszym kształceniu wykazał się też świeżo upieczony absolwent miejscowej szkoły podstawowej⁴. Wszystko to zachęciło Anastazję do podjęcia ponownej próby wysłania dziecka na naukę „w szkołach”, tym bardziej, że miała jeszcze żywo w pamięci czasy, kiedy to wcześniej z możliwości takich nie mogły skorzystać córki Marysia i Zosia. W chwilach zawahania na duchu podtrzymywał Grzegorz:

– Idź, szwagier (zwrot taki podkreślał niemal dorosłość trzynastoletniego młodzieńca) i ucz się w szkole. Może tobie jednemu będzie w życiu łatwiej.

¹ Został on wezwany do Moskwy, gdzie, osaczony, rzekomo popełnił samobójstwo.

² Mniej szczęścia mieli jego współtowarzysze z tej samej i okolicznych miejscowości, którzy otrzymali wyroki skazujące za kłamstwo w śledztwie i zostali uwolnieni dopiero po kilku latach. Poważniejsze wyroki skazujące otrzymali natomiast główni sprawcy tych zająć, a wśród nich wspomniany w opowiadaniu Piotr Hojsan i Włodzimierz Nyż.

³ Nie było już obowiązkowych dostaw mleka i mięsa, a pozostało tylko zboże i ziemniaki.

⁴ Szkoła w Gumieńcu nosiła wtedy oficjalnie nazwę „Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Podstawowego”.

– Jak ja mogę iść – odpowiadał Andrzej, – kiedy w domu nie ma pieniędzy i tak, jak Zosia, będę musiał po jakimś czasie powrócić do domu.

– Nie martw się – odpowiadał Grzegorz. – Teraz jest już inaczej. Jestem już w domu i nie pozwolę, ażeby działa ci się krzywda. Jak tylko będę mógł, to będę ci pomagał. Musisz zdobyć wykształcenie i jakiś zawód – przynajmniej ty jeden w rodzinie.

I chociaż wyraźne odczucie deklarowanej pomocy w przyszłości Andrzejowi nie było dane, to obietnica taka mocno podnosiła go na duchu i podjął starania, aby dostać się do którejś ze szkół średnich. Marne na ogół miał wyobrażenia o tym, jakie to zawody mogą być najkorzystniejsze, ale starał się słuchać w tym zakresie porady swojej nauczycielki i razem z trzema koleżankami z klasy przystąpił do egzaminów w technikum rachunkowości rolnej w odległym o siedemdziesiąt kilometrów Białym Borze. Po dwóch tygodniach listonosz przyniósł powiadomienie, że egzamin złożony został pomyślnie i przyszłego adepta rozrachunków finansowych przyjmuje się na nauki. Przyznano mu jednocześnie miejsce w bezpłatnym internacie oraz poinformowano, że istnieje szansa ubiegania się o stypendium na wyżywienie. Zachęta do skorzystania z nauki w tej szkole była równa obawom, czy będzie to możliwe do zrealizowania. Przyczyna tych obaw była taka sama, jak przed dwoma laty w odniesieniu do jego siostry, a mianowicie warunki materialne.

Ponieważ w 1956 roku pierwszy dzień września przypadał w sobotę, wakacje zostały przedłużone o dwa dni. W poniedziałek przed świtem trzynastoletni Andrzej wziął w ręce zakupioną na tę okazję tekturową walizeczkę, w której znajdowały się dwa ręczniki z wyhaftowanymi przez siostrę Marysię monogramami (aby nie pomyliły się z ręcznikami kolegów), zapasowa koszula, oraz kilka innych drobiazgów i razem z matką, niosącą związaną w pokaźny rulon kołdrę, wyruszyli na stację kolejową, znajdującą się w sąsiedniej wiosce. W ciemności i milczeniu – przy ujadaniu nocnych stróżów wiejskich zagród – pospiesznie pokonywali trzykilometrową drogę. Gdy do stacji pozostało jeszcze kilkaset metrów dał się słyszeć turkot pociągu przejeżdżającego przez most nad strumykiem na pobliskich łąkach. Obydwoje mocno musieli przeto przyspieszyć, idąc na przemian szybkim krokiem i biegnąc truchtem. Na peron wbiegli razem z pociągiem, zdążającym z Bytowa w kierunku Sławna. Andrzej, zmęczony niewiele mniej od swej rodzicielki, w biegu przechwycił niesioną przez nią kołdrę i w ostatnim momencie wtaszczył się do ruszającego już wagonu. Nie było więc czasu na jakiegokolwiek pożegnanie, a tym bardziej na przekazanie przez matkę ostatnich rad na nową drogę życiową.

Pociąg odjechał z łoskotem, pozostawiając na wiejskim peronie tumany pary, zmieszanej z dymem węglowym. Po minucie w oddali widać było tylko znikające czerwone światelka latarni krańcowych. Anastazja chwilę

postała jeszcze na peronie – niby to dla wyrównania zmęczonego oddechu, a może jeszcze bardziej dla odprowadzenia wzrokiem odjeżdżającego syna. W momencie tym nachodziły ją różne myśli. Najczęściej sądziła, że syn jest jeszcze pewnie za mały na rozpoczynanie niemal samodzielnego życia i to bez należytego zabezpieczenia materialnego. Pojechał w nieznane, bez rozpoznania jakie tam będą jego potrzeby i możliwości ich zaspokojenia. *Właściwie, to powinnam z nim pojechać* – pomyślała strapiona matka, – *zobaczyć jakie tam będą warunki i pomóc dziecku w urządzeniu się. Ale jak tu było jechać, kiedy w domu mnóstwo pracy, a ponadto trzeba by wydać dodatkowo tyle pieniędzy na podróż w obie strony. A może to któraś z sióstr powinna odprowadzić młodszego brata? Pewnie tak, ale żadnej nie przyszło to do głowy, ale jak tu im ciągle rozkazywać?*

Z rozmyślaniami nad odprowadzonym dzieckiem w głowie Anastazji przeplatały się myśli nad sobą samą: *Chłopak już zaczyna dorastać. Bardzo dobrze było mi liczyć na jego pomoc, szczególnie w obchodzeniu się z końmi. Jak Bóg pozwoli, to niedługo będzie z niego mężczyzna i mógłby wyręczyć mnie w ciężkiej pracy na gospodarstwie, a tymczasem nadal sama będę musiała mieć wszystko na mojej biednej głowie. To prawda* – pomyślała po chwili Anastazja, – *w domu byłby pomocny, ale przecież trzeba mi myśleć i o jego przyszłości. Na gospodarstwie przecież życie wszystkich jest ciężkie, to może w przyszłości chociaż on będzie miał lepszy byt...*

Problemów do takich rozmyślań wystarczyło strapionej kobiecie nie tylko na drogę powrotną do domu, ale byłoby ich dosyć również na znacznie dłuższy czas. Tymczasem, gdy przybliżyła się do domu, zaczynało już świtać na dobre i należało się już zająć dziesiątkami różnych prac przy inwentarzu, w obejściu i na polu. Rozbudziła więc Anastazja rozleniwione snem córki, a sama wzięła się za rozpalać ognia pod płytą kuchenną.

– I co – pytała Zosia, – pojechał Andrzej do szkoły? Zdążyliście na pociąg?

Anastazja prawie nic nie odpowiadała, a tylko przynaglała największego śpiocha:

– Marysiu, wstań! Bój się Boga, słońce już wysoko, a tu tyle roboty!

– Wstanę, wstanę – odburknęła Marysia, naciągając pierzynę na głowę.

Jednak na dłuższe leniuchowanie nikt tu nie miał czasu, bo tempo życia naznaczane było przez naturalny porządek pracy w gospodarstwie.

Tymczasem coraz częstsze były wizyty Edmunda, który już w smaleniu cholewek do Marysi całkowicie pokonał handlarza końmi z pobliskiego Mielna. Wkrótce zdobył się na odwagę i wyłożył, jak zwyczaj nakazywał, na stół butelkę słodkiej gorzałczyny i wydukał matce oblubienicy – przy obecności pozostałych domowników – swoją prośbę, że chciałby zostać mężem swojej wybranki i członkiem tej rodziny. Z takim obrotem sprawy wszyscy już od pewnego czasu liczyli się, a teraz pozostało tylko jej urze-

czywistnienie. Najbardziej z tego, oprócz samej zainteresowanej, zadowolona była najstarsza siostra, Helena, która bardzo lubiła zabawiać się w swatkę i odradzała podtrzymywanie dalszych więzi z poprzednim konkurentem, a teraz wszystko układało się po jej myśli. Pod koniec września odbyły się zmwiny, na które przybyła matka przyszłego zięcia i młodsza od niego siostra, Halina. Teraz pozostało tylko ustalić termin ślubu i podjąć starania o urządzenie przyjęcia weselnego. Z tym ostatnim przedsięwzięciem problemów było najwięcej, bo zwyczajowo wesele urządzano zawsze w domu panny młodej, a to zawsze pociągało za sobą pokaźne wydatki finansowe. Ale cóż? Stare porzekadło mówi „zastaw się, a postaw się” i nie pozostało nic innego, jak tylko zastosowanie się do tej maksymy.



Ślub Marii i Edmunda. Oprócz młodych, widoczni są: osoby siedzące: druga od prawej Zosia (siostra młodej); osoby stojące: trzecia od prawej Halina, siostra Edmunda, piąta od prawej matka Edmunda Bronisława.

Ślub odbył się w ostatnią niedzielę października 1956 roku w kościele Świętej Anny w Barcinie. Weselników goszczono w domu w Miszewie, a tańce odbywały się u sąsiadów. Po kilku dniach od zaślubin młoda mężatka spakowała swoje nader skromne wiano, na które składały się niemal wyłącznie jej osobiste rzeczy (nie licząc wspomnianej już wcześniej maszyny do szycia), po czym odbyła się jej przeprowadzka do domu swojego męża w Słupsku, gdzie przez blisko rok, to znaczy do przydzielenia mieszkania służbowego, młoda para zamieszkiwała razem z rodzicami Edmunda i jego siostrą.

W ten sposób Anastazja w swojej połowie domu pozostała już jedynie z szesnastoletnią Zosią, a tylko na niektóre niedziele do domu wpadał Andrzej, któremu pospiesznie należało odświeżyć bieliznę i wysupłać skromną kwotę na dalsze przeżycie. W pierwszych miesiącach powstawały dodatkowe kłopoty z przekonywaniem syna, który kilkakrotnie oświadczał, że nie chce już wracać do szkoły. Wtedy matka musiała mu nakazywać powrót lub przekonywać go, że musi przejść trud zamieszkiwania w internacie, bo szkoła dla każdego młodego człowieka jest niezbędna dla zapewnienia sobie perspektyw na lepsze życie. Zapytywany o przyczynę niechęci do dalszej nauki, odpowiadał:

– Mamo, ja nie mam niechęci do nauki w szkole, ale nie chcę mieszkać w internacie, bo jest mi tam źle. Wszyscy chłopcy mają jakieś pieniądze, tylko mnie zawsze na wszystko brakuje. Jak zapłacę za wyżywienie, to potem nie mam na nic. Sami widzicie, że nawet listy przysyłam bez opłaty, bo nie mam na znaczek. Tam zawsze trzeba coś kupować: i książki, i zeszyty, i inne rzeczy. Czasem koledzy chodzą do kina, a mnie brakuje na bilet. Jedzenie w internacie też jest słabe; zawsze przed obiadem chce mi się jeść, a na kolację i śniadanie to najczęściej dają smalec, albo cuchnącą pasztetówkę.

– Jakoś musisz przetrzymać – pocieszała go matka. – My tu też nie mamy nic dobrego do jedzenia, a musimy żyć. Może niedługo coś sprzedamy i wtedy dostaniesz parę złotych.

– Ja wiem mamo, że wam jest ciężko. I dlatego nie chcę wyciągać z domu ostatnich groszy. Jak w domu jest ktoś głodny, to chociaż chleba z mlekiem nie brakuje, a tam zawsze wszystkiego jest mało do jedzenia, a tylko kierownik ciągle na nas krzyczy. Teraz idzie zima, a ja nie mam nawet płaszcza i chodzę z gołą głową. Wszyscy są ładnie ubrani, a ja mam jedne połatane spodnie i wstyd przed koleżankami i kolegami, a nawet wychowawczyni pytała się, czy nie mam innych spodni – skarżył się syn. – Pojadę, mamo, zabiorę swoją kołdrę i więcej tam nie wrócę...

Takie skamłanie syna przyprawiało biedną matkę o wielką żalność, ale nie chciała zaprzepaścić okazji na stworzenie dla dziecka lepszej przyszłości. *Niechaj chociaż on jeden ze wszystkich dzieci ma szansę na lepsze życie* – myślała w duchu, ocierając łzy, a po chwili dodawała:

– Musisz, synku, skończyć tę szkołę i ani razu nie myśl o jej porzuceniu. Widzisz sam, że na gospodarstwie ciężko się żyje. Może chociaż ty będziesz miał kiedyś łatwiej...

Podobne rozmowy odbywały się kilkakrotnie i, przeplatane nieraz płaczem obojga, trwały do późnej nocy, po czym, zmęczeni i udęczeni, zaspali. Z biegiem czasu syn nauczył się pokonywać trudności, a raczej przywykł do spartańskiego życia, ale i matka z siostrą wzmożyły wysiłki dla zapewnienia Andrzejowi możliwości egzystencji w tych trudnych warunkach.

A wytrwałości musiało wystarczyć na długo; przed nimi było do pokonania przecież pięć długich lat...

* * *

Mijały kolejne miesiące trudnego życia. Co prawda, okrojone już o połowę gospodarstwo egzystowało, ale uzyskiwane dochody na niewiele wystarczały. Nadal obciążenia wobec państwa były dokuczliwe, a z plonami bywało różnie. Z niewielkiego gospodarstwa żywiło się siedem osób oraz należało łożyć, chociaż niewielkie, ale trudne do poniesienia koszty na utrzymywanie syna w szkole średniej. Z sytuacji swojej nie bardzo zadowolona była Helena z mężem. On wykonywał trudną pracę w składnicy drewna, która też nie przynosiła mu wystarczających dochodów. Ponadto oboje uważali, że pracują również ciężko w gospodarstwie, nie należącym przecież do nich, a wobec tego małe mają perspektywy na polepszenie swojego życia i na jakikolwiek dorobek na przyszłość.

Jesienią 1957 roku pojawiła się możliwość zmiany takiej sytuacji. Z gospodarstwa położonego na początku wsi wyprowadzał się dotychczasowy gospodarz, który obejmował właśnie sąsiednią posiadłość po swoim zmarłym ojcu. Już wcześniej występowały sytuacje, w których poznać można było, że wspólne gospodarowanie i zamieszkiwanie pod jednym dachem dwóch rodzin może powodować niekiedy pewne napięcia. Podejmowane czasem przez Anastazję próby wyjaśnienia i załagodzenia takich symptomów powodowały jeszcze większe zniecierpliwienie. Po pewnym czasie Helena zwróciła się do matki:

– Wiecie¹ co, mamó? Chciałabym wam powiedzieć coś ważnego.

– A co takiego ważnego masz mi do powiedzenia? Słucham, mów – odparła Anastazja.

– Sami widzicie, że razem ciężko nam się gospodarzy. Wy macie na utrzymaniu jeszcze dwoje dzieci, ale my też mamy swoje, którym chcielibyśmy zapewnić jakąś godziwą przyszłość. Grzegorz w składnicy haruje cały dzień, a zarobek z tego jest niewielki. Tu, w gospodarstwie, trzeba by wiele zmienić, ale sami wiecie, że ciężko dokładać do czyjegoś.

– Wiem, że nie jest tu zbyt łatwo nikomu, ale nie widzę tu żadnej waszej krzywdy. Widzisz sama, że robię, co mogę, a jeszcze nawet więcej. Za to, że ty z Grzegorzem pomagacie w gospodarstwie, to macie tu przecież wyżywienie, a i za mieszkanie też nic od was nie wołam. A do Grzegorza pieniędzy ja się przecież nie wtrącam. Widzę, że oglądacie gospodarstwo po Franku Drobińskim, tylko nie wiem jak chcielibyście tam gospodarzyć, skoro nie

¹ Do rodziców w tym domu zwracano się zawsze w liczbie mnogiej, co stanowiło wyraz szacunku.

ma tam żadnych maszyn, ani nawet stodoły. A na zapłacenie za ziemię też chyba pieniędzy nie macie.

– Właśnie o tym chciałam z wami porozmawiać. W domu¹ było przecież duże gospodarstwo i mnie się należał z tego posag.

– Przecież wiesz, że gospodarstwo nam zabrali, a tego już nie mogę dzielić, bo z czego wyżyję z dwójką dzieci. W jaki sposób teraz dam ci posag?

– Wiem, że zabrali – kontynuowała Helena, – ale posag z tamtego gospodarstwa mi się należał i ojciec chciał zapisać mi cztery hektary.

– Nie tylko chciał zapisać – przerwała matka, – ale i zapisał, tylko gdzieś się tamte papiery zapodziały podczas akcji.

– No właśnie, o to mi chodzi. Musicie potwierdzić w urzędzie, że zapisaliście mi posag z tamtego gospodarstwa, a oni przydzielą mi bezpłatnie ziemię z gospodarstwa po Franku.

– Tu nie ma co wymyślać – mówiła Anastazja. – Tak przecież było i tak zeznam w urzędach.

– Ale, mamo, to nie wszystko. Tu też pracowaliśmy razem przez wszystkie lata i w tym, czego się dorobiliśmy, jest też nasz udział. Uważam, że powinniście się podzielić z nami tym, co macie.

– Wiesz, że niewiele jest tu do dzielenia, ale zawsze uważaliśmy, jeszcze nawet jak żył ojciec, że jedna krowa jest wasza. Konie też są dwa i jednego możecie sobie zabrać. Kłacz urodzi wam żrebaka i po jakimś czasie możecie już mieć parę koni.

Dalszych propozycji odnośnie podziału majątku już nie było. Anastazja, widząc zdeterminowanie Heleny z Grzegorzem na pójście na własne, też chciałaby, aby im działa się jak najlepiej. Tylko co tu jeszcze można dzielić w tej biedzie? W momencie tym znów ogarnął ją żal. Pracowała przecież bez wytchnienia przez długie lata i ciągle musiała przeżywać kolejne upadki. Wieczorem, gdy położyła się na odpoczynek, o wszystkim opowiedziała siedemnastoletniej wtedy Zosi. Teraz obie długo rozmyślały o tym, jaka czeka ich przyszłość.

Rano, po przebudzeniu, Zosia zwróciła się do matki:

– Mamo, długo o tym wszystkim myślałam, nawet w nocy, gdy się przebudziłam. Jeżeli Grzegorz z Heleną nie chcą z nami gospodarzyć, to przecież ich nie przymusimy. A może naprawdę tak będzie lepiej? Oni są przecież już oddzielną rodziną. Mają dwoje dzieci, a może będzie jeszcze ich więcej, a czego się dorobią razem z nami? My może jakoś wyżyjemy i trzeba im pomóc, aby potem nie mówili, że stała im się krzywda.

¹ Mówiąc „w domu” ludzie pochodzący z przesiedlenia mieli na uwadze swoje rodzinne strony.

Następnie porozmawiano jeszcze raz wspólnie o wszystkim i ustalono, że na początek mają sobie pomagać w konnym zaprzęgu i wspólnie użytkować nieliczne narzędzia rolnicze.

Teraz w całym domu i na gospodarstwie pozostały dwie samotne niewiasty: pięćdziesięcioletnia, mocno spracowana i po wielu tragicznych przeżyciach Anastazja i niezupełnie jeszcze dorosła Zosia. Obie ogarniał często strach o przyszłość. Obawiały się, czy dadzą sobie radę w tak ciężkiej pracy, czy potrafią wyżyć z tego gospodarstwa i jeszcze utrzymać Andrzeja, który już drugi rok uczył się w odległej szkole. Strach ten potęgował się zwłaszcza w obliczu nadchodzącej zimy. Jednak, tak samo jak już bywało w przeszłości, i teraz kiedy to na rodzinę nachodziły różne nieszczęścia, tak i teraz nie było zbytnio czasu na rozmyślanie, a życie samo wymuszało tok postępowania. Nie było innego wyjścia, niż starać się krok po kroku stawiać czoła wszystkim trudnościom, które co chwila pojawiały się przed starzejącą się kobietą i młodą dziewczyną.

Dla odmiany ciągłych rozmyślań o wszystkich troskach i zmartwieniach wkrótce nadeszła wiadomość ze Słupska, że Marysia powiła właśnie pierwsze dziecko. Urodziła się ładna dziewczynka, której na imię dano Mirosława.

* * *

Anastazja z córką gospodarzyły się jak mogły, a raczej tak, jak pozwalały im na to siły. W tej samej wiosce też z niemałym trudem swoje gospodarstwo prowadzili Helena ze swoim mężem. Obie te rodziny pomagały sobie nawzajem, a że wszystkie trudności pokonywano przy wielkim wysiłku i z dużym poświęceniem, niejednokrotnie dochodziło do załamień, a czasem też do niedomówień. Następnie znowu wszystko wracało do normy, zwłaszcza że wymagały tego ciężkie warunki życiowe.



Anastazja z córką Zofią. Zdjęcie pochodzi z okresu, gdy w Miszewie były już same (ok. 1960 r.).

Zosia stała się już dorosłą panną i chętnie spotykała się ze swoimi koleżankami i kolegami. Uczestniczyła też we wszystkich formach życia towarzyskiego, jak wieczorki taneczne, wspólne śpiewanie, wystawianie sztuk

teatralnych i inne rozrywki. Przyszły los młodszej siostry nie był też obcy Helenie, która – pomimo natłoku obowiązków związanych z prowadzeniem gospodarstwa i wychowywaniem dzieci – bardzo lubiła interesować się tym, co dzieje się w całej rodzinie. Pewnego razu wybrała się w odwiedziny przyjaciela z minionych, niefortunnych lat – do Włodzimierza, który był na odosobnieniu w jednym z miejsc, przeznaczonych dla więźniów politycznych. Pomimo, że mąż jej za znajomość tę przed laty został uwięziony na dwadzieścia miesięcy, teraz nie żywiła już urazy do ludzi, na których wcześniej mówiono „złe duchy”. Podczas tamtej, niefortunnej znajomości, a potem wspólnej niedoli, związała się bowiem pewna nić przyjaźni i nieobcy jej był los młodego jeszcze człowieka. Ponieważ Włodek popadł w takie układy za młodzieńczych jeszcze lat, przez cały czas był wolnego stanu. Helenie zabawiła się więc w swatkę i doprowadziła do nawiązania korespondencji pomiędzy nim i swoją najmłodszą siostrą.

Kontakty listowe pomiędzy Zosią i znanym jej z młodszych lat Włodkiem, z początku bardzo ogólne, a potem zmieniające się niemal w lirykę, trwały przez dłuższy czas. Pewną przeszkodę w przeistoczeniu się tej znajomości w coś głębszego, obok oddalenia i odosobnienia konkurenta, był ich wiek, różniący się aż o jedenaście lat. Jednak z biegiem czasu i ta różnica ulegała relatywnej niwelacji. Układy takie stanowiły jednocześnie dla Zosi pewne utrudnienie w zawiązywaniu więzów z miejscowymi adoratorami.

* * *

Minęło już ponad dziesięć lat od czasu, kiedy to w wyniku politycznych zawirowań zburzono piękne wioski i rozdzielono liczne rodziny. Ci ludzie, którzy trafili na tak zwany „Zachód” w większości podnajdywali swoich krewnych i znajomych, pisali do siebie listy i niekiedy odwiedzali się. Górzej było w przypadku rozdzielenia rodzin powstałego w wyniku wywózki na Wschód. Pierwsze listy stamtąd zaczynały przychodzić późno, a o wzajemnych odwiedzinach nie mogło być mowy. Z biegiem czasu jednak i w tym zakresie nałożone rygory zaczynały mięknąć i ludzie znaleźli dość odwagi, aby próbować odnawiać stare powiązania.

Anastazji już wcześniej zdołała ustalić adresy, pod którymi przebywała jej najbliższa rodzina, a teraz przyszedł czas na podjęcie prób wzajemnych odwiedzin. Oczywiście, zamiary takie nie były zbyt popierane przez władzę, zwłaszcza przez tę za wschodnią granicą, ale też nie było już wyraźnych zakazów w tym przedmiocie. Utrudnienia polegały na nadzwyczajnym sformalizowaniu procedury wizowej. Pierwsze zaproszenie wysłane zostało pod adresem najmłodszego brata Anastazji, Michała, a wydatnej pomocy w tym zakresie udzieliła nauczycielka z miejscowej szkoły, która napisała zaproszenie i przetłumaczyła go na język rosyjski, jaki obowiązy-

wał wtedy na Ukrainie. Zaproszenie zostało wysłane, a teraz pozostały tylko długie i niepewne miesiące oczekiwania.

Zbliżała się już wiosna 1959 roku. W sobotni wieczór, po całodzienniej, wyczerpującej pracy, Anastazja z Zosią po spożyciu posiłku korzystały z chwili wytchnienia. Z niespodziewaną o tej porze wizytą przyszła Helena, od półtora roku zamieszkała już w oddzielnym domu. Wszystkie trzy niewiasty siedziały przy odgłosie trzaskającego ognia spod płyty kuchennej i rozmawiały o różnych bardziej i mniej ważnych sprawach. Nagle w przed-sionku dały się słyszeć odgłosy ocierających się o posadzkę drzwi wejściowych do budynku. Anastazja, uradowana, że z pociągu przybył jej ukochany synek, który to w niektóre soboty przyjeżdżał ze szkoły w Białym Borze, wstała i z uśmiechem na twarzy otworzyła drzwi prowadzące z sieni do kuchni.

– Zobacz no, Heleno – szybko skomentowała Zosia, – jak mama żwawo wybiega swojemu synkowi naprzeciw. Biegnie uradowana, jakby do kochanka!

Szybko nastąpiła jednak wielka konsternacja, gdy zauważono, że w przedsionku nikogo nie ma, a z chwilą otwarcia drzwi kuchennych do wewnątrz przedostał się jakiś niepojęty chłód. Wszystkie trzy niewiasty ogarnęło osłupienie, a ich ciała przeszły dziwne mrowienie. Pokażny pies, który przybył wraz z Heleną, w każdym innym przypadku zdrowo nawarczałby na intruza, a teraz natychmiast wtulił ogon pomiędzy tylne łapy, żałośnie zaskomlał i mocno przycisnął się do kolan swojej pani.

– Andrzeja nie ma – wydukała po chwili Anastazja. – Co to mogło być?

– Właśnie, co by to mogło być? – powtórzyła Helena.

Nikt jednak z obecnych nie śmiał skomentować tego zdarzenia. Po chwili struchlałe niewiasty zebrały się na odwagę i wyrzały na podwórko, ale niczego i nikogo tam nie zauważyły. Zdarzenie to musiało więc (na razie) pozostać niewyjaśnione...

W niedługim czasie, późnym wieczorem, gdy wszyscy już spali, drzwi wejściowe do mieszkania podobnie zazgrzytały o posadzkę (nie było zwyczaju zamykania ich na klucz, nawet podczas wyjazdu domowników). I teraz też przyszła najstarsza córka, Helena, która mieszkała na początku wsi, ale tym razem ze sobą przyprowadziła gościa, i to gościa bardzo zacnego. Po zapaleniu światła Anastazja ujrziała swojego najmłodszego brata, przymusowo wywiezionego w 1946 roku, razem z całą rodziną z Przybyszowa za wschodnią granicę. Nie widzieli się od trzynastu lat. Michał ubrany był w staranny, granatowy mundur kolejarski z widocznymi emblematami radzieckiej gwiazdy. Odbyło się rzewne powitanie, przy którym nie brakowało łez, a potem wzajemne wypytywanie się o przebyte przeżycia, o zdrowie i o rodzinę.

– Dobrych wieści, kochana siostró, nie przynoszę ci – zaczął swoje opowiadanie Michał, gdy ustały już łzy radości i oboje nacieszyli się swoim widokiem. – Jeszcze nie minął miesiąc od czasu, gdy pochowaliśmy ojca. Chociaż tyle miał przeżyć, tyle wycierpiał, to i tak doczekał biedak osiemdziesięciu trzech lat. Zmarł cicho i spokojnie i nawet dużo nie cierpiał. Bóg mu wynagrodził wszystkie troski.

– O Boże, to tato nie żyją? – wyjąknęła zasmucona Anastazja, przerywając bratu opowiadanie, a po policzkach popłynęły jej łzy. – Świeć Panie nad jego duszą – dodała po chwili.

– To jeszcze nie wszystko, siostrzyczko, – kontynuował Michał. – Wielka bieda zaszła na naszego najstarszego brata, Mikołaja. Najpierw poumierali mu, już niemal dorośli, obydwaj synowie.

– Jak to? To Sławek z Feckiem nie żyją? – jakby z niedowierzaniem dopypywała siostra. – A to wielkie nieszczęście spotkało Mikołaja! Przecież najpierw wojsko w bestialski sposób zabiło mu Piotra, a teraz pozostali synowie poumierali?

– Tak, poumierali. Obydwaj chorowali na suchoty. Ale to też jeszcze niecałe nieszczęście Mikołaja. Rok po śmierci synów zmarła mu żona.

– To i Hańcia Mikołaja nie żyje? – mocno zdziwiła się Anastazja.



Zdjęcie przedstawia brata Anastazji, Michała, który w 1959 r., jako pierwszy z rodziny wywiezionej na wschód, odwiedził siostrę.

– Tak, ona też nie żyje – dodał cicho Michał.

– A to naprawdę wielkie, wielkie nieszczęścia – powtarzała zmartwiona Anastazja, a po chwili dodała: – I powiadasz, że tato zmarł przed miesiącem, a czy może było to wieczorem w sobotę?

– Tak, właśnie mija miesiąc – potwierdził Michał. – A skąd wiesz, że to było w sobotę i to wieczorem? – dopypywał zaskoczony.

– Bo widzisz... – tu Anastazja przez chwilę zawahała się, – wydaje mi się, że ojciec dał nam znać o swojej śmierci.

Następnie opowiedziała o tamtym zdarzeniu w sobotni wieczór przed miesiącem.

– A to dziwne, co opowiadasz, ale wszystko się zgadza – zauważył Michał. – Nawet godzina śmierci ojca się zgadza – dodał zamyślony. – Z pewnością coś musi być, oprócz życia na tym świecie...

Rozmowy trwały długo – zarówno w tę noc, jak i przez wiele następnych nocy i dni. W rozmowach tych przeważnie przewijały się opowiadania o ciężkich przeżyciach po obu stronach, o tęsknocie, a czasem wspominano też wesołe zdarzenia, jakby przywołując na nowo młode i weselsze lata.

Wizyta ta stanowiła początek nawiązywania na nowo kontaktów Anastazji z rodzeństwem, przerywanych brutalnymi przemieszczeniami ludności w okresie powojennym. W niedługim czasie w odwiedziny swojej rodziny w Polsce przyjechał inny brat Anastazji, Teodor, którego to, po pierwotnym wywiezieniu z Przybyszowa do miasta Drohobycz, w kilka lat później powtórnie zesłano, tym razem na stepy w okolice Mikołajowa, dwieście kilometrów za Odessą. Od tego czasu miały już miejsce następne odwiedziny rodzeństwa Anastazji, mieszkającego za wschodnią granicą. Przybywali po kolei wszyscy bracia i siostry, a niektórzy nawet po kilka razy. Pomimo tego, nic już nie zdołało przywrócić tego, co było wcześniej. Życie wszystkich po prostu przybrało inne, nieoczekiwane kształty.

* * *

Kolejne lata przemijały w niemal naznaczonym, utartym trybie. Życie Anastazji nie stawało się łatwiejsze – pracy było dużo, a sił do jej wykonywania coraz to mniej. Sytuacją taką zmęczona była również jej córka Zosia. W prowadzeniu gospodarstwa nadzieję widziano w tym, że chociaż obciążenia względem państwa nie tyle były mniejsze, to ich ściąganie wiązało się z lepszymi restrykcjami. Można było niekiedy również liczyć na odpuszczenie zaległości, na pomoc w remoncie zabudowań lub inne ułatwienia. Z czasem już nieco korzystniej płacono za niektóre sprzedawane produkty. Jednak ceny na inne towary, niezbędne do życia, też nie stały w miejscu. W domu mieszkały nadal w zasadzie dwie niewiasty, czyli matka z córką, a tylko czasem zawitał dorosły już niemal Andrzej, który kończył swoje nauki w technikum. Obecność jego w domu bywała krótka, bo połowę wakacji zawsze miał zajętą obowiązkową praktyką, a również i podczas świątecznych ferii czasem uczestniczył w spotkaniach młodzieżowych, czy w kursach związanych z pogłębieniem różnej wiedzy. Nie mniej jednak każdy jego odjazd do szkoły matka żegnała łzami:

– Odjeżdżasz, synu? – mówiła, – a tak już dobrze mi było z tobą. Gdy byłeś w domu, to przynajmniej konie wcale mnie nie obchodziły, ani inne męskie roboty...

Niestety, życie było twarde, a więc i ludzie musieli być wytrzymali. Dla osiągnięcia czegoś w przyszłości należy ofiary ponosić wcześniej.

Ponieważ teraz dom Anastazji był tylko po części zajęty przez niewielkich domowników, władze gromadzkie¹ wpadły na pomysł, aby jego część wykorzystywać na świetlicę wiejską. Nikt nie pytał się samotnej gospodyni o zgodę, ale Anastazja nawet zbytnio nie broniła się przed takim posunięciem, ponieważ mogła otrzymać z tego tytułu niewielką kwotę – nie tak za dzierżawę pokoju, a raczej za jego sprzątanie. Z tej okazji w domu często przebywali postronni ludzie przy okazji zebrań, czy też organizowanych spotkań towarzyskich, co w pewnym sensie rozweselało całe domostwo.



Zdjęcie przedstawia Zofię, córkę Anastazji. 1961 r.

Zosia nadal prowadziła swoją korespondencję w Włodkiem, przebywającym na przypisanym mu odosobnieniu w Strzelcach Opolskich. Jednego razu skusiła się również do odbycia wizyty, co w poważny sposób przyczyniło się do odnowienia znajomości, a nawet do pogłębienia zawiązyujących się uczuć.

Pewne zmiany zachodziły również w najbliższej rodzinie. Otóż po jednym, kolejnym dziecku przybyło w rodzinach córek Anastazji: Marysia urodziła synka Bogusława, a Helena, po dwóch synach, miała córeczkę, o imieniu Aleksandra. Dzieci chowały się dobrze, co dało powód do zadowolenia zarówno ich rodziców, jak też babci.

Z wychowywanie małej Oli wiąże się pewne, na tyle groźne co i tajemnicze wydarzenie. Otóż pewnego razu przed wieczorem Anastazję odwiedziła Helena i po przywitaniu, bardzo podekscytowana, zaczęła opowiadać:

– Wiecie mamo, spotkało mnie dzisiaj bardzo dziwne zdarzenie.

– A co takiego znowu ci się przytrafiło? – zapytała zaciekawiona matka, która była już przyzwyczajona, że córce w roztargnieniu zdarzać się mogły różne przygody.

– W południe chciałam nakarmić Olę piersią i w tym celu położyłam się z nią na łóżko, z wierzchu na pościeli. Ponieważ dzisiaj wstałam bardzo wcześniej i byłam już zmęczona, w czasie karmienia przysnęłam razem z dzieckiem. Nie wiem jak długo spałam, ale gdy się obudziłam byłam mocno wystraszona – tak, że jeszcze teraz nie mogę dojść do równowagi.

¹ W tamtym czasie „gromada” oznaczała jednostkę administracyjną odpowiadającą późniejszej gminie, lecz znacznie mniejszej co do obszaru, który gminy obecnie obejmują.

– A co to spotkało cię tym razem?

– Tak, jak mówię, byłam zmęczona i przysnęłam razem z Olą. Nie wiem jak długo spałam. We śnie naszło mnie jakieś dziwne odrętwienie i poczułam się tak, jakbym cała była zelektryzowana. Odniosłam wrażenie, że ktoś przy mnie stoi, a potem w pokoju pojawił się nasz ojciec, ubrany na czarno – tak jak go pochowaliśmy. Gdy go ujrzałam, zrobił krok w moją stronę i odezwał się tymi słowami: *dziecko moje, nie śpij, bo dzieje się koło ciebie coś niedobrego! Musisz natychmiast wstać!* Następnie na ramieniu poczułam jakby silny uścisk, aż do bólu, co spowodowało moje całkowite przebudzenie. Cała poczułam się mocno wylękniona, ale nie miałam czasu na rozmyślanie, bowiem gdy otworzyłam oczy, ujrzałam, że Ola leży obrócona ustami do pierzyny, a wkoło jej twarzy jest natoczona piana. Natychmiast odwróciłam ją, ale ona miała już sine policzki. Potrząsnęłam nią kilka razy, po czym mocno chrapnęła i wreszcie nabrała powietrza. Dopiero teraz przejął mnie wielki strach. Zdałam sobie sprawę z tego, że dziecko po nakarmieniu odwróciło się twarzą do pościeli i po prostu dusiło się. Gdybym spała jeszcze chwilę dłużej, to teraz już by nie żyła moja kochana Oleńka.

Anastazja uważnie wsłuchiwała się w opowiadanie córki, po czym zapytała:

– Czy myślisz, że to rzeczywiście ojciec mógł cię ostrzec przed niebezpieczeństwem?

– Nie wiem, co mam myśleć, ale odniosłam wrażenie, że on naprawdę był koło mnie i ścisnął mnie za ramię. Przypomniało mi się, że w wieczór przed śmiercią powiedział do nas: *Nie bójcie się tak. Ja nigdy niczego złego wam nie zrobię. Na pewno nie będę tu przychodzić, ale, jeżeli tylko będzie to w mojej mocy, to będę starał się was chronić przed jakimkolwiek złym zdarzeniem.* Pewnie właśnie teraz ochronił mnie przed nieszczęściem.

– Nie wiem – odpowiedziała zamyślona Anastazja. – Może faktycznie ojciec chciał cię ustrzec przed nieszczęściem... Świeć Panie Boże nad jego duszą.

* * *

Najbliższe lata przyniosły kolejne zmiany, szczególnie w położeniu najmłodszych dzieci Anastazji, a przez to również odmieniało się położenie jej samej.

W 1961 roku swoją naukę w technikum zakończył Andrzej i, jako pierwszy w rodzinie, uzyskał świadectwo maturalne. Stanowiło to radosne wydarzenie dla wszystkich. Zdobyciem wyższego cenzusu społecznego przez syna, jak to na owe czasy oceniano ludzi ze średnim wykształceniem, cieszyła się przede wszystkim matka. Teraz wiedziała, że jej trud i wielkie poświęcenie nie poszły na marne. Z faktu tego cieszyła się również jego

starsza o trzy lata siostra. Miała nadzieję, że od teraz obciążenie budżetu domowego będzie znacznie mniejsze. Cieszył się też sam zainteresowany w nadziei na łatwiejsze życie jego i najbliższej rodziny, ale miał również świadomość, że i tak jego pomoc w domowym gospodarstwie nie może być stałą, bo musi myśleć nad swoim dalszym rozwojem.

Jednak o jakim tu rozwoju można myśleć mając zupełnie puste kieszenie, a o pozyskiwaniu dalszego wspomagania nie mogło być mowy? Uważał bowiem, że dosyć nadużył matczynej troski oraz poświęcenia ze strony siostry. Dlatego też już na trzeci dzień, licząc od rozdania świadectw maturalnych, podjął pracę, na tak zwanym stażu w pobliskim państwowym gospodarstwie rolnym. Z posunięcia takiego nie bardzo cieszyła się Anastazja:

– Dopiero przyjechałeś ze szkoły i należy ci się jakiś odpoczynek – mówiła, nie kryjąc swojego niezadowolenia, – a ty, jakby oparzony, wyrwasz się z domu i lecisz do roboty! Jeszcze ludzie powiedzą, że tu nic nie mamy do jedzenia, skoro musisz już zarabiać na swoje utrzymanie.

– A jak mam, mam, nie lecieć do roboty, skoro jesteśmy bez grosza przy duszy. Dosyć byłem na waszym utrzymaniu, za co jestem bardzo wdzięczny. Nigdy też nie miałem żadnych wolnych pieniędzy, to może chociaż teraz trochę zarobię, chociaż niewiele tam będą mi płacić. Przynajmniej będę mógł kupić sobie coś do ubrania.

– Ale mogłeś chociaż chwilę posiedzieć w domu. Przez pięć lat byłeś zawsze zajęty, a nawet wakacji nigdy nie miałeś całych.

– Obecnie też nie ma warunków, aby odpoczywać. Wiem, że w domu jest dużo do roboty, ale teraz przynajmniej będę mógł po południu pomagać i zawsze będzie wam lżej.



Andrzej, Zofia i Maria. 1961 r.

– Rób, jak uważasz – skwitowała rozmowę Anastazja. – Dobrze, że chociaż w popołudnia będziesz w domu. Zawsze to jakaś męska podpora...

– Nie wiem, mam, czy naprawdę będzie dla was ze mnie taka pociecha. Widzicie, jestem już dorosły. Na wiosnę byłem na pierwszej rejestracji wojskowej. Za jakiś czas wezmą mnie do czynnej służby, a tam tylko stracę dwa, albo trzy lata. Dlatego, jeżeli mam zastanawiać się nad swoim życiem, to muszę myślami wybiegać do przodu. Zauważyliście pewnie, że nikomu

nie pokazałem swojego świadectwa maturalnego. Już go wysłałem razem z podaniem o przyjęcie na studia. Za dwa tygodnie jadę do Olsztyna, gdzie będę zdawać egzaminy wstępne do wyższej szkoły rolniczej. Jak się uda, to zostanę inżynierem od hodowli ryb.

– Tak się spodziewaliśmy, że będziesz chciał iść na studia. Już dawno przecież o tym wspominałeś. Rób, jak uważasz. Ani ja, ani Zosia nie chcemy ci w tym przeszkadzać, ale też nie wiem, czy będziemy ci mogli pomagać...

– Właśnie w tym jest problem, bo mniej się boję o egzaminy, chociaż i z tym nie będzie łatwo. Ale o pieniądze będę się martwić później. Może znajdę jakieś wyjście. Przecież studentom przydzielają różne stypendia.

Po dwóch tygodniach Andrzej wyruszył w odległą, jak mu się wtedy wydawało, podróż do Olsztyna. Nigdy dotąd nie wyjeżdżał tak daleko. W czasie całej pięcioletniej nauki w technikum jeden raz był na jednodniowej wycieczce do Poznania. Teraz do podróży przysposobiła go starsza siostra, przygotowując mu niezbędne rzeczy, a bilet kupił za pierwszą swoją wypłatę, gdyż właśnie zaczął się już nowy miesiąc.

Po kolejnych trzech tygodniach listonosz przyniósł list z uczelni, w którym zawarte było powiadomienie o pomyślnym złożeniu egzaminu i przyjęciu na pierwszy rok studiów. Taki obrót sprawy napawał wszystkich wielkim zadowoleniem, ponieważ syn i brat mógł być w przyszłości nie tylko pierwszym wykształconym człowiekiem w dziejach rodziny, ale już stał się pierwszym studentem w powojennych dziejach wioski, a może nawet i w szerszej okolicy. Pozostało więc kilka miesięcy nadziei, że może coś takiego się wydarzy, co pozwoli mu podjąć tę naukę. Z pewnością tym czymś nie mogła być mizerna zapłata młodego adepta rachunkowości, pozyskiwana podczas wykonywania różnych, raczej pomocniczych, czynności w mierzonym zarządzie przedsiębiorstwa rolnego.

Lato i jesień tego roku w rodzinie zeszyły na dalszym zmaganiu się z trudami nad utrzymaniem egzystencji pomniejszonego już gospodarstwa. Żadne olśnienie w sprawie zdobycia pieniędzy na studia syna nie nastąpiło i Andrzej nadal pozostawał w domu, kontynuując swoją pracę. Zmęczone życiem matka z córką miały już teraz pewną podpórę prawie męskiej ręki, co przejściowo dawało im w poczucie większej pewności. Pomoc ta jednak nie trwała zbyt długo, gdyż po zakończonym obowiązkowym wstępnym stażu pracy dla Andrzeja zabrakło stanowiska w pierwszym jego zakładzie i zmuszony został do szukania swojego miejsca poza rodzinnym domem. Po przejściowym zatrudnieniu się w roli głównego księgowego w innym przedsiębiorstwie rolnym, a następnie jako urzędnik państwowy w Słupsku, zdecydował się on na podjęcie nauki w szkole pomaturalnej, która nie wymagała od niego finansowego zabezpieczenia. Wybór padł na oficerską szkołę

pożarniczą w Warszawie, która gwarantowała swoim słuchaczom nie tylko bezpłatną naukę, ale też pełne utrzymanie na koszt państwa.

Dla Anastazji oznaczało to utratę nadziei na to, iż kiedykolwiek nadejdzie stała pomoc w prowadzeniu gospodarstwa lub że będzie mogła przekazać je godnemu następcy. Nadziei takiej nie mogła również łączyć z przyszłym zamążpójściem najmłodszej córki, gdyż ta, pomimo przejściowych flirtów, najbardziej skłaniała się do czekania na powrót z odosobnienia swojej listownej miłości, jaką stanowił, znany jej od dzieciństwa, Włodzimierz.



*Baśka (klacz) ze swoją panią - Zośką.
1961 r.*

Życiowa sytuacja Anastazji nie uległa więc żadnej poprawie, a tylko z upływem lat coraz częściej dawały się we znaki wszystkie minione przeżycia, wykonywana ponad siły od dzieciństwa praca, powojenna kontuzja oraz wszelkie nowe utrapienia. Splot tych ciężkich wydarzeń oraz upływające lata odbijały się na zdrowiu znękaney życiem kobiety. Zaczynała podupadać na siłach, cierpiąc przede wszystkim na chorobę reumatyczną, dolegliwości związane z zachwianiem metabolizmu oraz na ogólne wycieńczenie organizmu. Cierpiała, pokonując kolejne wyzwania, ale nie widziała innego wyjścia ze swojego położenia, jak tylko nadal pracować i nie poddawać się swojej ścieżce bytowej. Obie z córką pracowały ponad swoje siły, ale wiedziały, że nie mają innego wyboru. Świadomość ta pozwalała im nie pograżać się do końca w smutku i udręczeniu, a raczej pomagała z godnością utrzymywać się na powierzchni kolei życiowych.

* * *

W następnym roku nadeszła wiadomość, że właśnie Włódkowi może być darowana reszta, zasądzonej z nadmiarem, w okresie ucisku politycznego, kary. Niebawem się to ziściło. Po odzyskaniu wolności zatrzymał się u swoich rodziców we Wrocławiu. Tu jednak długo nie zabawił i wkrótce zawitał w domu swojej listownej oblubienicy, a ponieważ w życiu już nadto stracił czasu, to teraz nie miał ochoty na kolejne jego mitręzenie.

Szybko więc uporano się ze wszystkimi formalnościami oraz przygotowaniami i na początku sierpnia odbył się ślub trzeciej córki Anastazji. I tym razem, pomimo odczuwanego niedostatku, wyprawiono gwarne wesele z sutym wyszynkiem oraz doborową orkiestrą. Na uroczystość zjechali się członkowie rodziny, przybyli bliżsi znajomi oraz koledzy i koleżanki pani

młodej. Ze strony oblubieńca grono gości było znacznie mniejsze z uwagi na dużą odległość od miejsca jego zamieszkania, a poza tym w okresie swojego odosobnienia osłabieniu uległy jego więzy z rówieśnikami, a spośród nowych znajomych niewiele było jeszcze osób, które chciałby wyróżnić zaproszeniem na tak doniosłą uroczystość.

Bawili się więc wszyscy wesoło, ale po upływie kilku dni nowożeńiec czuł się zobowiązanym do powrotu do Wrocławia i kontynuowania podjętej wcześniej pracy zawodowej w fabryce mechanicznej. Zosia natomiast, już jako młoda mężatka, pozostała jeszcze na krótki okres w rodzimym domu, wykonując prace żniwne i wykopkowe. Przez lato w pracach tych pomagał również jej brat który kontynuował nauki w szkole oficerskiej w Warszawie.



Zdjęcie ślubne Zofii z Włodzimierzem

Wraz z nastaniem jesieni dla Zosi nadszedł czas ostatecznego opuszczenia rodzinnego gniazda i wspólnego zamieszkania ze swoim mężem we Wrocławiu. Właściwie zamieszkanie to miało być nie tylko wspólne z mężem, ale również z całą jego rodziną. W tamtych czasach, w sytuacji człowieka, który, pomimo zaawansowanego wieku, dopiero zaczynał pracę zawodową, możliwość uzyskania samodzielnego mieszkania w krótkim czasie graniczyć mogła z cudem.

Nadeszła więc pora na ostateczne rozstanie się córki z matką, z którą przez tyle lat wspólnie zmagaly się ze wszelkimi przeciwnościami losu. Dokonanie tego nie było łatwe. Z jednej strony Zosią na myśl o pozostawieniu samej, starej matki targały wielkie skrupuły, a z drugiej strony czuła pewne obawy przed nowym, nieznanym etapem życiowym – tym bardziej, że nie była ona do tego wyzwania należycie przygotowana. Wyjechać miała z tym, co mogła zapakować do walizki. Całe długie lata pracy, wykonywanej w wielkim znoju, nie przysporzyły jej nijakiego dorobku. Po prostu, pozwoliło jedynie na przetrwanie. Sytuacja taka jednak nie pogrążała jej w szczególnym smutku i poczuciu krzywdy, gdyż uważała, że takie są po prostu czasy. Niemal wszyscy liczyli wtedy tylko na przetrwanie, a jednocześnie mieli nadzieję, że to lepsze nastąpi w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Anastazja w głębokim zamyśleniu odprowadzała córkę do niezbyt odległego przystanku autobusowego. Zosi również trudno było znaleźć jakiegokolwiek stosowne słowa, które mogłaby w tej chwili wypowiedzieć. Stały tak więc przez chwilę, po czym pierwsza przemówiła matka:

– Chyba autobus niedługo powinien już nadjechać – powiedziała dla przerwania męczącego milczenia.

– Pewnie już niedługo nadjedzie – odpowiedziała przygnębiona Zosia. – Mamo – dodała po chwili, – tak mi ciężko odjeżdżać. Tyle lat razem mężczyłyśmy się obie, a teraz zostawiam was samych. Jak wy tu teraz będziecie żyć?

– Nie martw się, Zosiu – odpowiedziała na to równie strapiona matka. – Tyle już przeżyłam przeciwności, to i teraz nie zginę. Jakoś sobie poradzę, a gospodarzyć już nie muszę. Zostawię sobie krowę, parę kurek i jakoś wyżyję. Na podatki już dosyć napracowałam się, a jak urzędowi nie będą podobać się moje długie, to niech sobie zabiorą tę ziemię. Nic już mi po niej...

W tym czasie na przystanek autobusowy doszła Helena, starsza siostra Zosi, wraz z małą córeczką, Olą.

– To co, siostrzyczko, już odjeżdżasz na stałe? – zapytała Helena, aby cokolwiek powiedzieć i nie stać w milczeniu.

– Ano tak, odjeżdżam, siostro. Sama przecież tak dbałaś o to, abym wyszła za Włodka. Wszystko więc poszło po twojej myśli, zatem teraz nie pozostało mi nic innego, jak tylko odjechać – uśmiechnęła się Zosia.

– Nie jedź, ciociu – zaszczebiotała mała Ola i przytuliła się mocno do płaszcza Zosi. – Ja nie chcę, żeby ciocia odjeżdżała!

– Oleńko, ciocia musi pojechać, ale nie martw się, kiedyś przyjadę do ciebie, a gdy urośniesz, to ty sama mnie odwiedzisz.

– Nie jedź, nie jedź... – błagała mała siostrzenica, szamocąc ciocię za ubranie.

W tym czasie nadjechał autobus, Zosia pośpiesznie pożegnała załzawioną matkę, nieco zakłopotaną siostrę i małą Olę, którą siłą trzeba było odrywać od poły płaszcza. Anastazja pomachała jeszcze za oddalającym się autobusem, postąpiła chwilę na przystanku, po czym powoli odeszła do domu, w którym od tej chwili pozostało jej już przebywanie tylko samej z sobą...

Teraz, w długie jesienne i zimowe miesiące, miała bardzo wiele czasu na rozmyślanie nad wszystkim: nad swoim udręczonym życiem, nad tym, co minęło i nad tym, co jeszcze może ją spotkać w przyszłości. W swoim niespełna sześćdziesięcioletnim życiu tyle już przeszła wydarzeń, tyle wycierpiała, że można byłoby obdarzyć tym kilka pokoleń. Wychowała liczne dzieci, a jeszcze znacznie więcej pochowała w ziemi, a teraz pozostało jej żyć w samotności. I co z tego, że dawno temu Cyganka w Sanoku wywróżyła jej nie tylko wiele cierpień, ale i lepsze życie na starość? Wszystko, co złe

już chyba sprawdziło się, a na to, co miałoby być dobre, jakoś nie widać perspektyw...

Tymczasem nadchodziła kolejna zima – okres, który dla ludzi pracujących na wsi stanowi pewne wytchnienie. Teraz Anastazja w swoim wychłodzonym i opustoszałym domu, po spełnieniu swoich obowiązków wobec nielicznego już inwentarza, miała więcej czasu do rozmyślań nad swoim położeniem. Jednak rozmyślać było wygodniej nad przeszłością, chociaż i tak żadnych zaszłości nie dało się cofnąć i odmienić ich biegu. Natomiast co do przyszłości, daremne było snucie jakichkolwiek planów. Żadna możliwość wyboru nie stała przed strapioną kobietą, a raczej pozostało jej poddać się biegowi zdarzeń, licząc na łaskawy los Opatrzności.

Z wiosną powoli wyraźnie można było zauważyć, że gospodarstwo traci już swój wigor. Co prawda, pole po części jeszcze przez jakiś czas z wielkim mozołem było uprawiane, przy czym Anastazja korzystała z pomocy najstarszej córki i jej męża, a niekiedy również bardziej uczynnych sąsiadów, ale efekty z tego już nie mogły być wielkie. Tymczasem niespełnione zobowiązania wobec państwa, naliczane nadal według hektarów, a nie możliwości właścicielki gospodarstwa, narastały w sposób bezlitosny. Czasami tylko udawało się wyprosić zmniejszenie nagromadzonych długów, a pozostałość zalegała na hipotece biednego gospodarstwa.

Po upływie kolejnego roku Anastazja nie widziała już możliwości dalszego występowania w roli gospodarza i postanowiła zaprzestać walki z wiatrakami. Wiedziała, że przeminął kolejny okres jej życia, a teraz pozostało jej tylko starać się o przetrwanie. Z żalem wyzbyła się więc ostatniego gospodarskiego atrybutu, jaki stanowiła piękna klacz z domieszką krwi arabskiej. Chociaż w zagrodzie pozostało jeszcze kilka innych zwierzątek, to odejście „Baśki” odczuwane było niemal na równi z wyjazdem kogoś z domowników. Teraz już naprawdę w zagrodzie zrobiło się pusto...

* * *

Anastazja od kilku lat żyła sama w swoim domu. Do stanu takiego już przywykła i nie czuła się szczególnie osamotnioną. Przecież kilkaset metrów od niej mieszkała najstarsza córka, Helena, wraz z mężem i czwórką dzieci i w sytuacjach trudniejszych zawsze mogła liczyć na ich pomoc lub wspólne spędzenie czasu. Dosyć często odwiedzały ją, również z dziećmi i mężami, młodsze córki – Marysia i Zosia. Cieszyła się więc razem z córkami ich podrastającymi dziećmi i razem z nimi przeżywała wszelkie kłopoty i niepowodzenia. Jak to zwykle bywa w życiu, kłopoty te nie omijały żadnych z rodzin. Najpierw Marysia, mieszkająca w nieodległym Słupsku, poważnie zachorowała i zmuszona była do poddania się operacji chirurgicznej. Ledwie leczenie to zakończyło się powodzeniem, spotkała ją kolejne utrapienie,

a mianowicie operacja, jakiej – dla zlikwidowania defektu powstałego podczas urodzenia – musiała być poddana dwuletnia córeczka Marysi, Mirka. Następnie kłopoty pojawiły się z inną wnuczką, a mianowicie u rocznej zaledwie Ani, córki Zosi, wykryto uszkodzenie stawu biodrowego. Defekt ten musiał być poddany kilkakrotnej operacji, a dziecko zostało na okres dziewięciu miesięcy zakute od pasa w dół w gipsowy gorset.

Te i inne kłopoty zdrowotne, pojawiające się w rodzinie, przysparzały Anastazji wiele zmartwień i obaw. Wszystko jednak na szczęście kończyło się powodzeniem i zająścia te nie spowodowały u nikogo trwałych obciążeń.

Jednak w samym życiu samotnej wdowy obecnie nie zachodziły istotniejsze zmiany. Nie miała już prawie żadnych dochodów i do takich warunków materialnych musiała dostosowywać swoje potrzeby życiowe. Na razie w zupełności dawała sobie radę, ale nierzadko dręczyły ją myśli, że przecież w niedługim czasie siły będą ją w naturalny sposób opuszczać i wtedy mogą pojawić się problemy. Jednak życie nauczyło ją już niejednokrotnie, że zbytnie zamartwianie się na przyszłość nie zawsze ma uzasadnienie, bo przecież nikt do końca nie może wiedzieć jakie koleje losu go czekają.

W ostatnich latach zaszły natomiast dalsze zmiany w życiu dzieci Anastazji. Przede wszystkim przybyły kolejne potomstwa w rodzinach jej córek. Razem było już dziewięcioro wnuków, a liczba ta układała się według starszeństwa: u Heleny czworo, u Marii troje i u Zofii dwoje. Do szeregu tego nie bardzo pasował syn, Andrzej, który dotychczas jeszcze nie dorobił się potomka. Ale u niego również zmieniała się sytuacja rodzinna. Otóż we wrześniu 1965 roku, po zakończonej nauce w szkole oficerskiej w Warszawie, otrzymał on nominację na oficera pożarnictwa, a następnie podjął służbę w Komendzie Wojewódzkiej Straży Pożarnych w Koszalinie. Tu, dzięki własnym staraniom i przy pomocy materialnej swojej matki i rodziców narzeczonej, otrzymał przydział¹ na pierwsze swoje mieszkanie. W następnym roku, po czteroletniej już znajomości, poślubił wybranek swojego serca, Helenę z rodziny Łyszyków, zamieszkałej w pobliskim Bronowie, a wywodzącej się z Paszowej koło Leska. Wprawdzie znali się oni od kilku lat, ale nie jest wykluczone, że mogli spotkać się już znacznie wcześniej, a mianowicie jeszcze podczas nieszczęsnej swojej podróży wysiedleńczej, odbywanej w ramach akcji „Wisła”. Podczas tej podróży bowiem w Zagórz koło Sanoka zostały sprzęgnięte ze sobą dwa eszelony i dalej już swoją pierwszą kilkunastodniową jazdę pociągiem odbywali jednocześnie: Andrzej, jako już rezolutny, czteroletni chłopczyk (swoje urodziny obchodził właśnie w wagonie towarowym, w miejscu bliżej nieokreślonym, bo niewiele było widać

¹ Nie było wtedy mieszkań w wolnym obrocie; dla uzyskania przydziału należało prowadzić starania w różnych instytucjach, a często konieczne do tego było wsparcie zakładu pracy, albo innej, wpływowej instytucji lub osoby. Łatwiej było uzyskać takie wsparcie jeżeli starający wykazywał się poszukiwanymi kwalifikacjami zawodowymi.

przez nieszczelności w deskach wagonów), a w tym czasie, jadąca innym wagonem, mała Hala, jako sześciomiesięczne zaledwie niemowlę, zapewne leżała gdzieś zawinięta w bambetle, pośród licznych przedmiotów, a w chłodne noce ogrzewała się od chuchu wygłodzonej, jedynej krowy. Ale to już dawno przeminęło...



Zdjęcie ślubne Andrzeja z Heleną

Młodzi małżonkowie, pomimo tego, że dysponowali już własnym mieszkaniem, przez blisko rok nie mieszkali razem, ponieważ Helence pozostał jeszcze rok nauki w technikum przemysłu skórzanego w Miastku. Po zdobyciu matury podjęła ona pracę w wojewódzkim przedsiębiorstwie handlowym w Koszalinie i w zasadzie dopiero od tej pory stanowili z Andrzejem wspólną rodzinę, chociaż jeszcze nie zupełnie kompletną. W trzecim roku małżeństwa Helenka znalazła się w stanie błogosławionym. Teraz w perspektywie pojawił się przed nimi nowy problem. Posiadane jednopokojowe mieszkanie mogłoby się na przyszłość okazać zbyt małe. Myśleli też o zapewnieniu opieki przyszłemu dziecku na czas, kiedy to sami będą przebywać w pracy. Dlatego już wcześniej Andrzej podjął starania o przydział większego mieszkania, które to wkrótce miały zakończyć się sukcesem.

Andrzeja trapił jeszcze jeden nie załatwiony problem. Samotnie mieszkająca na wsi matka nie miała tam żadnych bezpiecznych perspektyw. Choć od kilku lat nie uprawiała już gospodarstwa, to dla zapewnienia sobie bytu i tak zmuszona była do wykonywania wielu wyczerpujących czynności. Ponadto coraz częściej dawały się jej we znaki wcześniejsze przeżycia i ciężka, wykonywana od dziecięcych lat, praca. Wszystko to niekorzystnie odbiło się na jej zdrowiu, a o należytej pomocy lekarskiej w odległych od miasta miejscowościach było nader trudno. Dodatkowo przysiębiająca dla niej była świadomość, że przez całe życie nie zdołała się dorobić żadnego materialnego zabezpieczenia na starsze lata. Wkrótce jednak, w wyniku rządowych posunięć, pojawiła się wizja przydziału rolnikom w podeszłym wieku skromnych świadczeń rentowych¹. I tu pojawił się nowy problem: od warto-

¹ Decyzja ta nie w pełni podyktowana była potrzebą socjalnego zabezpieczenia rolników, ale również ułatwić miała władzy stopniową likwidację prywatnych właścicieli ziemi.

ści gospodarstwa, która miała stanowić podstawę wymiaru świadczeń, odejmowana była wysokość wszystkich zaległości z tytułu niespłaconych podatków i niezrealizowanych obowiązkowych dostaw produktów rolnych. W sytuacji takiej przekazywanie państwu gospodarstwa nie miałoby żadnego sensu, gdyż zaległości te ledwie zrównoważyłyby jego wartość.

Pracujący na szczeblu administracji wojewódzkiej syn, który jeszcze krótko po maturze zdobył pewne doświadczenia w rozliczaniu gospodarstw rolnych, pracując w urzędzie powiatowym, podjął działania mające doprowadzić do uprzedniego darowania samotnej gospodyni wszystkich rzeczowych i finansowych zaległości. Przy wsparciu pewnych osób i przy życzliwym podejściu gminnych i powiatowych urzędników, starania takie zostały uwieńczone sukcesem. Jednak czyste już od długów gospodarstwo nie mogło jeszcze być przekazane przez Anastazję państwu za świadczenia rentowe, ponieważ stanowiło ono nadal własność zmarłego przed piętnastoma laty jej męża, a według prawa spadkowego współwłaścicielami tej schedy były po części również wszystkie jego dzieci. Dopiero postępowanie spadkowe i wyrok sądu prowadzącego księgi wieczyste, uczynił ją jedynym i prawomocnym właścicielem pięciohektarowego gospodarstwa wraz z domem mieszkalnym i zabudowaniami gospodarczymi.

Teraz Anastazja mogła już we własnym imieniu wystąpić z prośbą, ażeby pozbawiono ją prawa własności do nieruchomości, które przynajmniej w jakiejś niewielkiej części mogły być uważane za rekompensatę nieprawnie utraconych dóbr na ziemi rodzimej, a stanowiących niepodważalny, wspólny dorobek jej steranego męża i od małości ciężko pracujących dzieci. Obecnie przychodziło jej wszystko utracić za skromne świadczenia, których wysokość i tak nie pozwalała na samodzielne życie. Skoro jednak nikt z dzieci nie widział możliwości dalszego prowadzenia tego gospodarstwa, w efekcie, chociaż z wielkim żalem, zostało ono przekazane na rzecz rządu.

Od tej pory Anastazja na krótki czas pozostała w domu mieszkającej po sąsiedzku córki, Heleny, a dom przekazać miała młodemu sąsiadowi, który otrzymał od władz gminnych przydział na jego użytkowanie.

Po pewnym czasie Anastazję odwiedził w domu swojej siostry syn z żoną Heleną i przedłożyli jej nową propozycję:

– Dosyć się już mama sponiewierała, żyjąc samotnie w chłodzie, w opuszczonym przez wszystkich zabudowaniu gospodarskim. Teraz zbliża się kolejna zima i należałoby pomyśleć o jakichś lepszych wygodach na starsze lata.

– Nie wiem co macie na myśli – wtrąciła się do rozmowy córka, Oleńka, – ale mama teraz już nie jest sama i wszystko, co jej trzeba do życia będzie tu miała.

Renty bowiem przyznawane były pod warunkiem nieodpłatnego przekazania swojej własności na rzecz skarbu państwa.

– Tak, droga siostró – odpowiedział na to Andrzej, – bardzo się cieszę, że udzieliłaś mamie schronienia. Wiesz jednak sama, że zawsze wygodniej jest żyć w całodobowo ogrzewanym mieszkaniu miejskim, w miejscu, gdzie jest łatwiejszy dostęp do lekarza i w pobliżu innych wygód. A poza tym, mama jeszcze może wyświadczyć nam ważną przysługę: widzicie, że spodziewamy się powiększenia rodziny i mama mogłaby się zająć opieką nad wnukiem, podczas gdy Hela powróciłaby do pracy.

– Pozwólcie, że i ja coś powiem – wtrąciła się do rozmowy sama zainteresowana. – Tu, u Oleńki, jest mi zupełnie dobrze, a ponadto do Miszewa już naprawdę przez te dwadzieścia lat przywykłam i mogłabym z powodzeniem nadal tu żyć. Nie będę jednak ukrywać, że gdy tylko przypada mi przechodzić koło mojego domu i patrzeć, że nie mam do niego już żadnych praw, to żal ściska mnie za serce. Wiem, że nie mogło być inaczej – ciągnęła dalej swoją wypowiedź Anastazja, – ale cały czas myślę o tym, że wszystko już utraciłam. Dlatego z chęcią skorzystam z zaproszenia i mogę zamieszkać z wami w Koszalinie. Może tam, jak już nie będę musiała patrzeć na to wszystko: na swoje pole, na dom zamieszkały przez obcych ludzi, to szybciej zapomnę i odzyskam jakiś spokój.

– A nie pomyślała mama o mnie – przerwała zasmuconym głosem Helena. – Teraz ja tu zostanę sama i już nie będę miała do kogo pójść i poskarżyć się, gdy będzie mi źle.

– Nie martw się, przecież nie będziesz sama. Masz dom, dzieci i męża, a poza tym, to nie będziesz miała czasu na tęsknoty, bo w gospodarstwie zawsze jest pełno roboty. Ja nie odjeżdżam daleko i nie na zawsze. Będę przecież co jakiś czas was tu odwiedzać. Pozwolisz mi tu przyjechać, prawda? – zażartowała na koniec Anastazja.

– Pamiętajcie, mamó, że jest tu wasz dom i nigdy nie musicie pytać się, czy można przyjechać – odparła Oleńka. – Już teraz zapraszam was na wszystkie przyjazdy, kiedykolwiek będziecie mieli na to ochotę.

Od tej pory stałym miejscem zamieszkania Anastazji, po dwudziestu latach pobytu w Miszewie, stał się Koszalin. Przeprowadzki wielkiej nie było. Przydatne przedmioty, stanowiące dotychczas stałe urządzenie rodzinnego gospodarstwa, a nie było tego zbyt wiele, już wcześniej zostały przemieszczone do domu córki, Heleny. Teraz wystarczyło zapakować do podróźnej torby nieliczne rzeczy osobiste, pożegnać się, jak przystało w chrześcijańskiej rodzinie i udać się do autobusu. Była to już ósma zmiana mieszkania, a szósta zmiana miejscowości, przy czym Miszewo było już trzecią wioską w życiu Anastazji, w której to spędziła co najmniej dwadzieścia lat. Teraz przyszło jej przeżywać kolejną zmianę, która różniła się tym od poprzednich, że nie była już obciążona obowiązkami wobec rodziny i nie czuła się bezpośrednio odpowiedzialna za czyjeś położenie, chociaż losy nikogo z dzieci nie były jej obojętne.

Kobietie spędzającej dotychczasowe całe swoje życie na łonie własnego domostwa i w najbliższym kontakcie z przyrodą, nie było łatwo przywyknąć do bytu pomiędzy przysłowiowymi czterema ścianami wielkiego bloku i pośród miejskiego zgiełku. Przeżycia te, najtrudniejsze zawsze na samym ich początku, po części złagodzone zostały przyjściem na świat pierwszego dziecka Andrzeja i Heleny, którym był Adam – już dziesiąty jej wnuk. Podjęcie się roli piastunki małego chłopca było pomocne w młodej rodzinie, ponieważ oboje małżonkowie zajęci byli pracą, a ponadto Andrzej zaocznie podjął się studiów ekonomicznych, co zajmowało mu również dużo czasu. Powierzone Anastazji nowe zajęcia w znacznej mierze pozwoliły jej na stopniowe zapominanie o utraconym na zawsze prawie do własnej ziemi. Z drugiej jednak strony wszystkie dotychczasowe niewygody i trudy wiejskiego życia w samotności złagodzone zostały powszechnym obcowaniem z synem i jego rodziną, w miarę wygodniejszymi warunkami bytowymi, pozbawionymi codziennej troski o utrzymanie domu i ciągle pozyskiwanie środków do przetrwania.

Z biegiem czasu stopniowemu zacieraniu ulegały doznania związane z radykalną zmianą sposobu życia. Działo się to nie tylko za sprawą wykonywania roli piastunki najmłodszego wnuka i przebywania z najbliższą rodziną, ale również poprzez nawiązywanie znajomości z nowymi ludźmi. Dalsza poprawa samopoczucia Anastazji nastąpiła dzięki stworzonej wkrótce możliwości regularnego uczestniczenia w nabożeństwach greckokatolickich, jakie na stałe już odbywały się w kościele Św. Józefa w Koszalinie. Od teraz w każdą niedzielę mogła uczestniczyć w modlitwach znanych jej od dziecięcych lat – takich samych, jakie rozbrzmiewały w cerkwiach pod wezwaniem Świętej Paraskewii w Przybyszowie i Przenajświętszej Bogurodzicy Orędowniczki Świata w Płonnej oraz mogła słuchać słowa bożego w ojczystym języku. W wyniku tych zmian powoli jakby przestawała poczuwać się na odosobnieniu, a coraz częściej miała przeświadczenie o tym, że oto znów przebywa we własnym domu i pośród najbliższych jej ludzi. Odzyskanie równowagi ducha oraz możliwość regularnego korzystania z opieki lekarskiej przyczyniły się również do zahamowania dalszej degradacji jej zdrowia, a nawet do cofnięcia się niektórych, wcześniej nabytych dolegliwości. Bywało nieraz, że w żartach wspominała, czy aby Cyganka, która przed laty w Sanoku przepowiadała jej przyszłość słowami *...wszystko przetrzymasz i doczekasz się jeszcze czasów, że będzie ci dobrze i żyć będziesz w dostatku...*, faktycznie nie miała racji i czy to nie mówiła wtedy o tych właśnie czasach? W całym jej życiu różne bywały przecież chwile, ale najbardziej w pamięci utknęły te nieszczęśliwe. Lecz nie można zawsze z uporem tkwić przy tym, co już było – i tak już nie powróci to wszystko, aby cokolwiek można byłoby zmienić. Trzeba więc starać się żyć nie tylko przeszłością, ale

czerpać radość z chwil obecnych. To, co było, to przeminęło, a tego, co będzie nie znamy, dopóki się nie wydarzy...

* * *

Równomierny i monotonny stukot kół pociągu o złącza szynowe wprowadzał pasażerów pociągu, zmierzającego z Warszawy do Lwowa, w stan senności. Większość pasażerów drzemała, a niektórzy z nich tępo spoglądali na przesuające się widoki za oknem. Od czasu, kiedy minęli Stalową Wolę i wjechali na Pogórze Rzeszowskie, mijany krajobraz stał się bardziej urozmaicony. Teraz pociąg przesuwał się na przemian to pomiędzy dwoma wzgórzami, jadąc wzdłuż jakiegoś potoku, to znów wspinał się na grzbiet wydłużonego wzniesienia, ukazując podróżnym dalekie widoki po obu stronach wagonu. Potem znów wjeżdżali na jakiś czas w gęstwinę leśną, a przed oczyma z wielką prędkością migały raz dorodne jodły, a za chwilę potężne brzozy z bukami. Wszystko to nasyczone było świeżą i soczystą zielenią, a od czasu do czasu wprawne oko zauważyć mogło uciekającą, spłoszoną zwierzynę.

Siedząca pod oknem Anastazja z zaciekawieniem spoglądała na przemierzane przestworza. Patrząc na uroki tutejszego krajobrazu, coraz bardziej czuła wielkie napięcie. *Tu niedaleko muszą być „nasze strony”* – myślała. – *Jeżeli niedługo będziemy w Przemyślu, to pewnie gdzieś tam za wzgórzami znajdują się góry bieszczadzkie i nasz drogi Beskid, a wśród niego leży ukochana Płonna i mój rodzinny Przybyszów. Jak tam teraz jest?* – zadawała sobie pytanie, intuicyjnie spoglądając w stronę południową, chociaż, nie pobierając nigdy nauki w szkole, nie mogła bliżej wyznawać się na geografii. – *Pewnie już wszystko zarosło. Przecież przeminęły już dwadzieścia trzy lata od czasu, jak w wielkim popłochu i nie mniejszym strachu, pod karabinami, pospiesznie musieliśmy opuścić swoje domostwa. Nie dali nawet obejrzeć się za siebie i ostatni raz popatrzeć na zieleniące się pszenicą pola i kwitnące sady.*

Rozmyślając tak poczuła w sercu wielki żal. Mimochodem obtarła nadgarstkiem łzy. Po chwili ocknęła się z tej nostalgii, tłumacząc sobie: *Wszystko już przecież przeminęło i nigdy nie wróci. Moje rozmyślenia nic tu nie pomogą, a tylko wprowadzą mnie w jakiś rozstrój nerwowy, który wcale nie jest mi potrzebny w tej podróży.*

Faktycznie, żadne dodatkowe stresy w tej chwili jej nie były potrzebne. Sama, przedsięwzięta przecież po tylu latach, podróż, jedna z ważniejszych w jej życiu, aż nadto przysparzała doznań, aby nie starać się już o dodatkowe sensacje. Przed kilkoma godzinami pożegnała się na warszawskim dworcu wschodnim z synem, który przygotował jej tę wyprawę i odprowadził do połowy drogi. Teraz dalej musiała sobie radzić już sama. I nic to, że

nie umiała rozczytywać tych wszystkich napisów na kolejnych mijanych budynkach stacyjnych. Przecież i tak wie dokąd ma jechać, a wszędzie są dobrzy ludzie, którzy wesprą radą, a nawet udzielą fizycznej pomocy. Nie lękała się więc Anastazja trudów samej podróży. Niecierpliwość w jej stanie ducha wynikała teraz zupełnie z czego innego. Otóż, jak wszystko się dobrze ułoży, to jeszcze za trwania tej doby, po raz pierwszy od dwudziestu trzech lat, stanie przed obliczem swojej sędziwej matki. *Jak ona teraz wygląda, czy mocno się postarzała?* – zadawała sobie pytania Anastazja. – *Przecież ja już jestem stara i siwa, a mama przeżyła dwadzieścia siedem lat więcej. A ile ona wycierpiała w swoim życiu... Szkoda, że ojca już nie ma na tym świecie... Odszedł biedaczysko, nie widząc więcej, od wysiedlenia, dwóch swoich córek, które znalazły się na zachodzie i oczekując, że syn Stefan, który zaginął w działaniach wojennych, być może jeszcze powróci do swoich...*

Jeszcze tylko dwie godziny jazdy pociągiem, przejście tej piekielnej granicy, wymyślonej przez ludzi, a potem już będzie Lwów, a następnie przesiadka na autobus do Sambora i... po tylu latach uściska mamę, a może nawet znów przytuli się do niej – tak samo jak za dzieciennych lat. *Szkoda tylko, że ojca już nie ma na tym świecie* – westchnęła ponownie Anastazja i na chwilę przysnęła z twarzą skierowaną do wagonowego okna.

Późnym wieczorem autobus ze Lwowa zajechał na niewielki dworzec w Samborze. W ciemnościach po drodze niewiele było widać, ale tu wyraźnie zarysowały się zabudowania jakby żywcem wyjęte z albumu o przedwojennych miasteczkach polskich – niskie chatynki z dachami opadającymi niemal do ziemi, a pod nimi niewielkie okienka, z których ostro przebijało się światło z wnętrza mieszkań, zasłoniętych kolorowymi płótnami. Gdzieś tam tylko widać było stare kamienice lub nowo postawione bloki betonowe. Anastazja nie miała jednak ani czasu ani większej ochoty na rozmyślanie nad tutejszą zabudową, a jedyną myślą, która ją trapiła, to jak najszybsze dostanie się pod zapamiętany adres oraz przywitanie się z matką i pozostałą, bliską rodziną.

Droga, którą pokonywała taksówka, pokryta była podniszczonym asfaltem, następnie jakiś czas jechali traktem szutrowym, a dalej już polnym gościńcem. Wreszcie taksówkarz zatrzymał mocno podniszczoną „pobiedę”, odwrócił się do zagranicznej pasażerki, zajmującej miejsce na tylnym siedzeniu i rzekł:

– *My wże, pani, dojechały. Tut’ je wułyčia Dobrowols’koho, nomer 439¹.*

Anastazja zapłaciła żadaną sumę rubli, wzięła swoje bagaże, podeszła na podwórko i mocno zastukała w drzwi wejściowe. Po chwili w progu stanął zaskoczony, sześćdziesięcioletni mężczyzna, średniego wzrostu z kilkudniowym, siwym zarostem.

¹ Już, proszę pani, dojechaliśmy. Tu jest ulica Dobrowolskiego, numer 439 (ukr.)

– To ty, Nastio? – zawołał zdziwiony i jednocześnie mocno uradowany.
– A to ty, Mikołaju? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Anastazja.
– Witam cię serdecznie, kochana siostrzyczko – odpowiedział gospodarz, – proszę zachodź do chaty.

Anastazja nie wchodziła jednak do środka. Postawiła na progu swoje torby podróżne, obcałowała brata, a następnie objęła go w serdecznym uścisku. Przez chwilę oboje nic nie mówili.

– Zachodź dalej – powtórzył zaproszenie Mikołaj, przejmując od siostry bagaże.

Anastazja zrobiła kilka kroków w głąb izby i od razu skierowała się w stronę stojącej w rogu pościeli, na której leżała staruszka z pobielalymi włosami. Ta zaś w mgnieniu oka wyskoczyła spod przykrycia, zerwała się na równe nogi i obie niewiasty mocno przyłgnęły do siebie. Następnie córka niemal siłą oswobodziła się z uścisku, ujęła matkę za ręce i na obydwu jej dłoniach złożyła swoje pocałunki. Obie niewiasty jeszcze raz uściśniły się i kilkakrotnie obcałowywały po policzkach. Przez chwilę nastało milczenie, po czym pierwsza przemówiła Paraskewia:

– Przyjechałaś, Nastio?

– Tak, mam. Wreszcie przyjechałam i tak się z tego cieszę, że nie mogę słowa wymówić – tu Anastazja otarła ściekające po policzku łzy, a po chwili kontynuowała dalej: – Minęły już dwadzieścia cztery lata od czasu gdy ostatni raz was widziałam. Nieraz już pogodziłam się z tym, że was nigdy nie zobaczę, ale dobry Bóg pozwolił mi tu przyjechać. Szkoda, że tato nie doczekali tego spotkania.

– Nie tylko on nie doczekał, biedaczysko – westchnęła sędziwa niewiasta. – Nie doczekali też synowie Mikołaja i jego żona. Powymierało połowę rodziny. Ale my żyjemy i musimy się cieszyć z tego, że możemy chodzić po tym świecie.

– My tu sobie rozmawiamy – przerwała jej Anastazja, – a ja jeszcze nie przywitałam się ze wszystkimi.

Następnie podeszła do najmłodszej siostry, o tym samym imieniu, jak ona sama, przywitała się z nią serdecznie, mówiąc:

– Nastio, jak cię ostatni raz widziałam, to byłaś jeszcze podrastającą dziewczynką, a teraz jesteś już niewiastą w sile wieku. Jak ten czas szybko minął...

– Tak, siostro, czas szybko minął, ale co my w tym czasie przeżyliśmy, to tylko Bóg jeden wie.

– Wiem o tym, że było wam ciężko – przerwała jej starsza siostra. – Porozmawiamy o tym wszystkim później. Nam też nie było lekko. Po tym czasie, jak was wywieźli, to z nami straszne rzeczy jeszcze wyprawiali. Ja sama ledwo z życiem uszłam. Właściwie, to byłam już jedną nogą na tamtym świecie, ale Bóg pozwolił mi jeszcze wrócić do dzieci i wychować je. Nas

też na siłę wyrzucili z domu, ale potem, jak już znaleźliśmy się na Zachodzie, to już nam nikt nie dokuczał i chociaż trzeba było ciężko pracować, to dało się już jakoś żyć w spokoju.

Następnie Anastazja przywitała się jeszcze z drugą żoną brata i z młodym chłopcem – synem najmłodszej siostry. Teraz wreszcie wszyscy usiedli i przez długie godziny rozmawiali i rozmawiali: o rozstaniu przed ćwierćwieczem, o swoich różnych przeżyciach, o tęsknocie i o całej rodzinie. Rozmowy te niejednokrotnie przerywane były płaczem, a niekiedy również i śmiechem, szczególnie w momentach, gdy wspomniano dawne, radosne chwile, których też nie brakowało w mocno urozmaiconym życiu. Już na niebie pojawił się pierwszy brzask, gdy wszyscy wymęczeni, ale wielce uradowani przysnęli szczęśliwym snem.

Chatynka, w której mieszkała najbliższa rodzina Anastazji, znajdowała się daleko na obrzeżu Sambora. Kiedyś, za czasów austriackich, a potem za panowania Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, zapewne była w tym miejscu niewielka wioska, a później, w okresie rozkwitu socjalizmu w *Radjańskiej*¹ Ukrainie, została przyłączona do miasta powiatowego. Po wysiedleniu z wielu domów ludności polskiej, znalazły w nich schronienie rodziny wywiezione w 1946 roku z Zachodniej Galicji.

Liczna rodzina Chyrów w pierwszym okresie trafiła w okolice Drohobycza, gdzie na niewielkiej przestrzeni ciasnego mieszkania żyło razem kilkanaście osób. Przechodziła tu swoją polityczną kwarantannę. Wszechmogąca władza oceniała kto jest kim i na jaki los zasłużył. Po pewnym czasie ustalono, że ludzie ci nie kwalifikują się do zsyłki na daleki wschód i pozwolono im podjąć poszukiwania lepszych warunków życia, ale oczywiście pod warunkiem, że w całości akceptują ustalony z góry ład i wyrażają wdzięczność władzy radzieckiej za oswobodzenie ich spod dotychczasowego jarzma. Oczywiście, mając choć szczyptę nadziei na minimum warunków życiowych, wdzięczność taką wszyscy wyrażali spontanicznie, zobowiązując się jednocześnie, że zapominają o zabranej im dotychczasowej własności i prawie powrotu do ojczystych stron. Od teraz wszyscy musieli poczuwać się jedną wielką socjalistyczną rodziną.

W miarę możliwości, powoli usamodzielniały się dorosłe już, albo teraz dorastające, dzieci, organizując sobie własne pielesze. Rozjeżdżali się więc po niedalekiej okolicy, przy czym odległość stu lub dwustu kilometrów, w perspektywie niezmiernych przestworzy *Sojuza*, wydawała się niemal sąsiednią wioską. Dla ścisłości należałoby stwierdzić, że nie wszyscy nawet musieli się troszczyć o swój los. Za niektórych trud ten podjęła władza radziecka. Tak się stało z trzydziestoletnim bratem Anastazji – Teodorem, który wcześniej ożenił się z bratanicą Andrzeja, męża Anastazji – Paraske-

¹ Radzieckiej (ukr.)

wia¹ i miał z nią dwoje dzieci. Otóż w roku 1952 znienacka został on załadowany z żoną i małymi dziećmi na ciężarówkę i wywieziony do wschodniej części Ukrainy. Wyładowano ich na goły step, gdzie mieli oni stanowić jeden z „elementów” do zagospodarowania dziewiczych obszarów.

Teraz Anastazja, najstarsza z żyjących dzieci Chyrów, po długotrwałej rozłące, gorąco pragnęła zobaczyć się z całym swoim rodzeństwem. Zadanie to nie było jednak łatwe, gdyż rodzina ta rozproszyła się po dość obszernym terenie. Wrażenia o tych wielkich odległościach nie miała natomiast Paraskewia, matka Anastazji, gdyż nasłuchiwała się niemało o licznych zsyłkach znajomych i sąsiadów na daleki wschód, dokąd w odwiedziny niekiedy trzeba było pokonywać drogę nawet przez kilka dób.

– Mamo, czy daleko stąd mieszkają siostra Marysia i brat Andrzej? – pytała Anastazja, gdy zamierzała złożyć im niespodziewaną wizytę.

– Nie, Nastio, oni mieszkają niedaleko, zaraz tu... – odpowiadała Paraska, chcąc zachęcić córkę do odbycia tej podróży.

Gdy Anastazja odbyła, wspólnie z najmłodszą siostrą, a zarazem swoją imienniczką, podróż do województwa tarnopolskiego i mocno rozczarowała się trwającą ponad pięć godzin jazdą autobusem, a po powrocie zwróciła się do matki zapamiętaną z dzieciństwa i jedyną chyba impertynencją, używaną w rodzinie Chyrów:

– Mamo, *szczoby was pryściato!*². Mówiliście, że do Reniwa to niedaleko, a autobus jechał pół dnia. To jakie to jest „niedaleko”?

– Nastio, a jakie to jest „daleko”, jeżeli dojechaliście tam przez pół dnia? Jeżeli ludzie jadą daleko, to zabiera im to kilka dni. Jak pojedziesz do Fedora, to wtedy możesz mówić, że to jest trochę dalej, ale do Marysi, czy Andrzeja to naprawdę jest niedaleko.

Nie spierały się dalej dwie siwe niewiasty o pojęcia co do odległości. Obie miały przecież inne odniesienia do terenów, w których przyszło im żyć. Razem cieszyły się natomiast, że chociaż rodzina przeszła przez tyle upokorzeń, pokonała tak wiele trudności, a teraz ponownie może spotykać się ze sobą. I nawet nie było już ważne w jakich to odbywa się okolicznościach i że nie wszyscy doczekali takich możliwości. W życiu nie można przecież pokonać wszystkiego i niekiedy trzeba potrafić pogodzić się z tym,

¹ Chodzi o córkę Dymitra, brata Andrzeja Priadki, który ożenił się w rodzinie Fiedów i miał troje dzieci: Piotra, Paraskewię i Stefana. Cała ta rodzina została wywieziona na stepy w Uljanowce (sowchoz im. Tellemana), w obwodzie mikołajowskim, 200 km za Odessą. Teodor wychował tam dwoje dzieci – Zofię i Michała. Michał został oficerem Armii Czerwonej. W roku 1990 r., gdy usamodzielniała się Ukraina, wymówił dalszą służbę na rzecz Moskwy i przeszedł, jako jeden z pierwszych, do armii ukraińskiej. Za czyn ten obniżono mu rangę o dwa stopnie, ale i tak później został pułkownikiem, służąc jako rejonowy komendant wojskowy w Kałuszu koło Iwanofrankiwska.

² *Ażeby was przysikało* (ukr.); powiedzenie to było jedynym przekleństwem używanym przez ojca Anastazji.

aby nie popadać w jeszcze większe przygnębienie. W tym momencie przypomniała sobie Anastazja brzmienie mądrej modlitwy, zasłyszanej onegdaj przez jej męża i powtarzanej w trudnych chwilach: *Boże daj mi dość wytrwałości, abym mógł zmieniać to, co leży w mojej mocy. Daj mi dość cierpliwości, abym podolał pogodzić się z tym, czego zmienić nie mogę i daj mi dość mądrości, abym potrafił odróżnić jedno od drugiego.*

Pobyty w Samborze przepełniony był radością i zadowoleniem. Anastazja miała teraz możliwość ponownego przebywania ze swoją, ponad osiemniesięcioletnią matką, która, pomimo sędziwego wieku, wykazywała znaczną energię życiową. Razem z matką zamieszkiwał najstarszy z braci, Mikołaj wraz ze swoją drugą żoną, która choć nie miała do niego zbyt serdecznego stosunku, ale zawsze to stanowiła dla niego jakąś podporę na starsze, poprzedzone tragicznymi wydarzeniami lata. W jednym domostwie zamieszkiwała też wspólnie najmłodsza siostra, również Anastazja. Niewiasta ta nie miała również zbyt szczęśliwego życia, bo w okresie, kiedy przyszło jej dorastać, rodzina jej przeżywała największe trudności zarówno ekonomiczne, jak też wielkie tragedie życiowe. Młoda Nastka nie tylko nie zdołała więc uzyskać jakiegokolwiek zawód, przez co przez całe życie musiała ciężko pracować, ale nie miała również szczęścia do prawdziwej miłości. Z przeżytych bez wzajemności uczuć pozostał jej tylko Bogdan, kilkunastoletni teraz syn, który miałby być jej podporą życiową na starsze lata. Okrutny jednak los i w tej kwestii nie obszedł się z nią łaskawie¹.

Całe dni schodziły teraz na odbywaniu przeciągających się rozmów, spacerach, wspólnej pracy w ogrodzie oraz odwiedzaniu znanych osób i dalszych krewnych, którzy również zamieszkiwali w najbliższej okolicy. Przez ten niedługi okres wszystkie ciężkie przeżycia, chociaż dobrze zapamiętane, straciły teraz nieco na swojej wyrazistości. Świat wydawał się po prostu być bardziej normalnym. Jednak Anastazja zdawała sobie sprawę z tego, że chwile te nie mogą trwać zbyt długo, dlatego starała się jak najbardziej wykorzystać ten czas. Ze wszystkiego, czego pragnęła najbardziej, to było odwiedzenie wszystkich osób z liczego jej rodzeństwa, bowiem z jej rodziny – oprócz siostry Pelagii, która w czasie wojny wywieziona była na przymusowe prace w Niemczech, a potem zamieszkała w Szczecinie – trafili za wschodnią granicę. Według prześladowców miało to być niby wyzwolenie z obcego panowania i wyjazd do swojej ojczyzny. Nikogo przecież z tych mocodawców – po jednej i drugiej stronie nowej granicy – nie obchodziło, że ludzie ci od niepamiętnych wieków mieli tylko jedną macierz, a mianowicie ziemię swoich ojców – Łemkowszczyznę. Może jedyną tylko korzyścią, wynikającą z tego przymusu, była możliwość swobodnego posługiwania się swoim językiem. Jednak i w tym zakresie nie było pełnej

¹ Syn jej zginął tragicznie w wieku 22 lat w wypadku związanym z manewrowaniem samochodem ciężarowym.

wolności. Swoboda ta w zasadzie odnosiła się tylko do najbliższego otoczenia, a w urzędach, w szkołach i innych miejscach publicznych coraz bardziej narzucany był bowiem język rosyjski¹.

Pewnego wieczoru powracający z pracy w kolchozie Mikołaj pozdrowił wszystkich domowników, po czym od razu zwrócił się do najstarszej siostry:

– Nastio, chcę ci powiedzieć, że teraz ja zaopiekuję się tobą. Wyprosiłem u „głowy” kolchozu dziesięć dni urlopu. Dosyć już wynudziłaś się w domu z tymi kobietami – tu wskazał na matkę, żonę i najmłodszą siostrę. – Jutro wyjeżdżamy trochę dalej. Kupiłem już bilety na pociąg i ruszamy w drogę.

– A dokąd to chcesz mnie zabrać, braciszku – zapytała Anastazja, nie kryjąc zadowolenia z takiej wiadomości.

– Teraz pojedziemy daleko. Odwiedzimy dwóch braci, a przy okazji zobaczysz jak duży i ładny jest nasz kraj. Pojedziemy z samego rana, bo w nocy niczego nie zobaczyłabyś.

Anastazja podwójnie była uradowana: siedząc tu już od ponad tygodnia spotkała tylko część najbliższej rodziny, a po długiej rozłące od dawna tęskniła przecież za wszystkimi. Ponadto faktycznie bardzo żądna była poznania odległych terenów. Od dziecka przecież słyszała, że na Ukrainie jest bardzo ładnie i że należą do niej wielkie terytoria. Teraz przynajmniej część z tego mogłaby ujrzeć na własne oczy. Tak naprawdę, to nigdy za młodych lat nie przychodziło jej do głowy, że mogłaby wyruszyć poza teren własnego powiatu. Los jednak chciał inaczej; nie dość, że przyszło jej żyć na znacznie oddalonym miejscu, to teraz jeszcze ma możliwość poznania nowych terenów. *Prawdę mówi przysłowie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie mogło wyjść* – pomyślała w duchu. Szybko jednak skorygowała tę myśl, bo cena zapłacona za taką okazję była zbyt wysoka.

Pociąg zmierzający ze Lwowa do Użhorodu składał się z przeszło trzydziestu wagonów. Po wyruszeniu z dosyć okazałej, jak na powiatowe miasto, zbudowanej jeszcze za czasów austriackich, stacji w Samborze, skierował się w stronę południową. W miejscu tym niewielkie wzniesienia, wchodzące w skład Roztocza, powoli zmieniały się w coraz to większe wzgórza, a potem gdzieś tam zaczynały pojawiać się kamieniste urwiska. Obszerne dotąd doliny stawały się mniejsze i pojawiały się coraz rzadziej, aż w końcu zmieniały się w strome wzniesienia. Tor kolejowy przechodził z jednej na drugą stronę górskiego potoku, którego nurt stawał się coraz to szybszy.

¹ Jeszcze za Rosji carskiej obowiązywał ukaz zakazujący używania na Ukrainie języka ojczystego. Na terenach ukraińskich należących do Rzeczypospolitej, a później leżących w zaborze austriackim oraz za czasów II Rzeczypospolitej zakazów takich oficjalnie nie wydawano, ale nie było też pełnej wolności w tym zakresie. Używanie języka ukraińskiego w oficjalnych okolicznościach zakazane było również za czasów radzieckich.

– Co to za rzeka, która cały czas towarzyszy nam w podróży? – zapytała Anastazja.

– To Dniestr – ten sam, który płynie przez Sambor. On zaczyna się w Karpatach, a potem łączy się z wieloma innymi rzekami i wpada do Morza Czarnego, niedaleko Odessy – odpowiedział Mikołaj, dumny z tego, że może siostrze objaśnić ciekawe rzeczy, chociaż sam, jako człowiek niezbyt грамотny, nie mógł mieć zbyt wielkiego wyobrażenia o geografii.

– A te wysokie góry, czy to są właśnie Karpaty?

– Tak, to są Karpaty, ale one nie są tu jeszcze wysokie – tłumaczył dalej Mikołaj. – Zobaczysz za jakiś czas, jakie tam będą góry...

– Pewnie dużo większe niż u nas, w Beskidzie? – dopytywała Anastazja, jakby chcąc zachęcić brata do dalszego opowiadania o ciekawostkach tego terenu.

– A co to za góry były u nas w Beskidzie? – zdziwił się Mikołaj. – Na największą można było wejść w ciągu godziny! I na każdej owce można było paść. Tu są takie skały, że nic na nich nie rośnie, a i nie każdy człowiek może tam dostąpić. To są Karpaty, rozumiesz?

O Karpatach Anastazja słyszała jeszcze za małej dziewczynki, a i pieśni o nich znała. Nie miała jednak w tym zakresie większego wyobrażenia, a teraz, na stare lata, przyszło jej naocznie spotkać się z nimi. *Jaki to wielki i ciekawy świat stworzył Pan Bóg* – pomyślała, nie odwracając wzroku od okna.

Oglądali więc dalej piękne krajobrazy, a pociąg wił się pomiędzy zboczami. Po jakimś czasie wąwóz, który przemierzali, zniknął z zasięgu wzroku, a ich szlak nie krzyżował się już co chwilę z szosą i płynącym obok potokiem. Teraz jechali już znacznie wolniej, a droga stawała się coraz bardziej kręta.

– Mikołaj, słuchaj no – Anastazja przerwała trwającą od pewnego czasu ciszę w przedziale, – czy mi się wydaje, czy to też prawda, że tam wysoko, na tamtej górze, jest drugi tor kolejowy?

Mikołaj spojrzał uważnie przez okno, popatrzył się w tył i w przód trasy, a po chwili odpowiedział, wzruszając ramionami na znak swojej niepewności:

– Bo ja wiem... Według mnie to nie jest drugi tor. To chyba ta sama trasa, którą my jedziemy. Za chwilę nasz pociąg będzie wspinał się na tamtą górę, ale pewnie z drugiej strony.

Tak też się stało. Pociąg, jadący mocno pod górę, zauważalnie zwolnił swój bieg, poruszał się ciężko torami wykręcającymi to w jedną, to w drugą stronę, ale przez cały czas jakby zataczał koło, co wyraźnie było widać po przesuwającym się w jednym kierunku słońcu. Wreszcie po tej samej stronie, co wcześniej, zarysowała się ogromna dolina, ale widziana już ze znacznie większej wysokości.

– Widzisz? – Mikołaj przerwał swoje milczenie. – Stamtąd przyjechaliśmy, a tam, niżej, widać tory, którymi jechaliśmy przed chwilą.

– Tak, widzę, że tamtędy jechaliśmy – odpowiedziała Anastazja. – Tu trzeba było głowy, aby wybudować taką trasę – dodała po chwili w zamyśleniu. – Ludzie wszystko potrafią...

– Oj, potrafią, potrafią – przytaknął jej Mikołaj. – Głowa musiała być tęga, ale i pracy nie mało to kosztowało.

Nagle rozmowa została przerwana niespodziewanie zaistniałym zmrokiem. Pociąg właśnie wjechał w długi tunel. Po upływie dwóch minut oczy, przywykłe już do ciemności, porażone zostały oślepiającym światłem, a pociąg znów wił się pomiędzy jednym i drugim wzniesieniem. W dalszej kolejności sceny takie powtórzyły się jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem wprowadzając w osłupienie siedzące naprzeciwko siebie starsze już rodzeństwo.

– Wiesz co, sestro – odezwał się Mikołaj. – Cieszę się, że tak wspólnie jedziemy. Były chwile, w których myślałem, iż nigdy się już nie zobaczymy. Ciężko nam tu było, ale byliśmy razem i ojciec, świeć Panie Boże nad jego duszą, zawsze wzdychał na myśl, że nie wiadomo, co się tam, w Polsce z tobą dzieje. Nieraz płakał za tobą, Pelagią i Stefanem. Biedaczysko już nigdy was nie zobaczył.

Znowu nastało milczenie. Pociąg ze zgrzytaniem kół i łoskotem przetaczał się przez Karpaty, ale teraz jechał jakby już nieco ciszej. Znaleźli się w obniżeniu pomiędzy dwoma wielkimi wzniesieniami. Mikołaj ponownie zaczął objaśniać siostrze trasę przejazdu:

– Wydaje mi się, że wjechaliśmy na *Użockyj perewał*¹. Tu zaczyna się rzeka Uż², ta sama co płynie przez Użhorod. Jak będziemy u Michała, to ją znów zobaczymy. A tam, na prawo – tu Mikołaj wyciągniętą ręką wskazywał na biegnące po prawej stronie wzniesienia, porośnięte wysokimi jodłami, za którymi widoczne były znacznie wyższe szczyty, – jest granica. Za tą rzeczką znajduje się już Polska.

– To my znów przybliżyliśmy się do polskiej granicy? – zapytała, szczerze zdziwiona Anastazja. – To tam gdzieś muszą być nasze strony!

– Tak, – przytaknął jej młodszy nieco brat. – Tam są nasze strony. Michał mówił, że stąd do Przybyszowa po linii prostej jest nie więcej niż sześćdziesiąt kilometrów. Jakby się człowiek dobrze zaparł i gdyby ze wschodem słońca wyruszył na piechotę, to przed zachodem byłby w domu.

– No, pewnie, koniecznie musiałbyś zdążyć przed zachodem słońca, bo inaczej w nocy by cię tam wilki zjadły – uśmiechnęła się Anastazja. – A tak,

¹ Przełęcz Użocka.

² Słowo „uż” w języku ukraińskim oznacza „wąż”. Od takiego brzmienia rzeki wywodzi się nazwa miasta Użhorod.

naprawdę, to po co byś tam szedł? Przecież tam już nic nie ma. Wszystko rozkradli, zniszczyli, a resztę spalili. Wszędzie już porosły lasy.

Na chwilę Anastazja zamilkła, a potem westchnęła i stłumionym głosem dodała:

– Oj, nic już tam, drogi bracie, nie ma! Tylko nasz pot i nasza krew wsiąkły w tę świętą ziemię...

– Wiem, że nie ma tam do czego wracać, ale chociaż zbliżam się już do sześćdziesiątki, to gdyby mi pozwolili, to zaraz tam poszedłbym i chociaż, – tu Mikołaj wyciągnął do przodu obie otwarte dłonie – o, tymi gołymi rękoma ryłbym w naszej ziemi i wyciągnąłbym z niej co tylko by się dało.

Przez chwilę milczał, a potem głęboko westchnął i dalej kontynuował:

– Ile razy jadę tą trasą, to serce z żalu mi się ściska na myśl, że jestem tak blisko, a nie wolno mi przejść przez tę piekielną miedzę, którą bolszewicy wyznaczyli i ogrodzili ją kolczastym drutem. Przecież tam jest nasz dom, tam są groby naszych pradziadów i tam zostały nasze korzenie, a my musimy poniewierać się, porozrzucani po świecie.

– Widać, taka już nasza dola – rzekła Anastazja w głębokim zamyśleniu, uznając słuszność wypowiedzi brata.

Tymczasem pociąg już lekko opuszczał się po południowych zboczach Karpat, a gdy na horyzoncie pojawił się bardziej wyrównany teren, Mikołaj, wyraźnie ożywiony, oświadczył:

– Według mnie, to już wnet będziemy na miejscu. Za pół godziny zobaczymy się z Michałem.

Z Michałem, najmłodszym z braci, Anastazja widziała się już dwukrotnie od czasu rozdzielenia rodziny. Tym razem jednak zmieniło się miejsce ich spotkania. Przybyła z dalekich stron siostra miała teraz okazję nie tylko spotkania się z całą jego rodziną, ale również przekonała się o tym, jak zdołali oni ułożyć sobie życie w tym oddzielonym wielkimi górami zakątku Ukrainy. Serdeczne rozmowy z Michałem i jego bardzo gościnną małżonką, Mariją, przeciągały się codziennie do późnej nocy. Powtarzano sobie po kilkakroć wspomnienia z młodych lat, z rodzinnego domu w Przybyszowie, z gospodarowania na licznych hektarach w Płonnej, w czym właśnie Michał przez jakiś czas pomagał siostrze i staremu szwagrowi i o wszystkich bardziej lub mniej odległych wydarzeniach.

Sam Użhorod okazał się miastem nadzwyczaj interesującym. Już słuchanie historii o tym mieście, tak mocno powiązanym z matką-Ukrainą, a jednocześnie stanowiącym jej wyraźnie wyodrębniony region, napawało wielkim zaciekawieniem przybyszek. Tu, w miejscu o wysoko rozwiniętym patriotyzmie, ścierały się bowiem wielkie wydarzenia, związane z cesarstwem Austro-Węgierskim, z Rumunią, Węgrami i Słowacją. Tylko w dwudziestym wieku ziemia ta kilkakrotnie zmieniała swojego suwerena, a największym wydarzeniem z najnowszej historii było powstanie po drugiej

wojnie światowej niezależnego państwa – Zakarpackiej Ukrainy. I chociaż te wolnościowe dążenia po roku 1948 krwawo zostały okupione przez tutejszych mieszkańców, to nadal istniała tu wysoka świadomość narodowa. Podobnie jak i w okolicach Lwowa, powszechnie panowała tu ukraińska mowa, a w języku rosyjskim widniały tylko niektóre napisy na budynkach urzędowych. Pisane słowa jednak nie mogły drażnić Anastazji, ponieważ nie posiadała ona takich umiejętności i samo odróżnienie liter łacińskich od cyrylicy przychodziło jej z trudem, tym bardziej nie mogła odróżnić wyrazów ukraińskich od rosyjskich. Ciekawostką dla niej stanowiła nierzadko słyszana w Użhorodzie mowa węgierska. O Madziarach jeszcze z dzieciństwa słyszała nieraz, ale z ich językiem mogła się spotkać tylko na początku wojny austriackiej, jak to właśnie w jej stronach nazywano pierwszą wojnę światową.

Po pięciodniowym pobycie w tym egzotycznym nieco miejscu, podczas spożywania porannego posiłku Mikołaj układowie podziękował za serdeczną gościnę i zawyrokował:

– Bardzo dobrze było nam tu gościć i radzi bylibyśmy jeszcze dłużej pozostać z wami. Jednak wszystko kiedyś się kończy. Nastia nie będzie zbyt długo pozostawać na Ukrainie, a na pewno chciałaby zobaczyć się ze wszystkimi. Obiecałem, że zawiozę ją jeszcze do Fedora. Niech popatrzy jak wszyscy tu żyjemy i niechaj wie, że nie przepadliśmy przez tę zawieruchę wojenną. Dlatego, drogi bracie, chciałbym ci serdecznie podziękować za tak miłe opiekowanie się nami, a jutro chcielibyśmy wybrać się w drogę do Telmany¹. Myślę, że Marija pomoże nam w zakupie biletów na tę podróż².

– Bardzo miło było nam was tu widzieć – odpowiedziała na to żona Michała. – Rozumiem jednak, że macie swoje zamiary i nie chcielibyśmy w tym przeszkadzać. Mam nadzieję, że jeszcze nie raz będziemy mogli się spotkać i serdecznie was zapraszam w odwiedziny. Szczególnie bardzo będziemy radzi ciebie, Nastio, gościć w naszym domu. A o bilety się nie martwcie.

Wieczorem, po zakończonej pracy, Marija przyniosła dwa bilety do Odessy z zarezerwowanymi miejscami do leżenia, za które nie wzięła pieniędzy i poprosiła, aby potraktowali je jako skromny upominek. Następnego dnia wyposażyła swoich gości w obfite zapasy żywnościowe na daleką po-

¹ Właściwie chodzi tu o miejscowość Uljanowka w obwodzie Mikołajowskim, za Odessą. Nazwa „Telmana” była używana tam zwyczajowo od przybranego patrona sowchozu – Ernesta Tellemana, niemieckiego działacza rewolucyjnego.

² Brat Anastazji, Michał, był w tym czasie dyspozytorem ruchu wielkiego obszaru kolejowego, a jego żona, chociaż z zawodu nauczycielka, pracowała jako kasjerka biletowa. Zdobyć biletu, ze względu na dużą ilość podróżnych, przy konieczności zapewnienia każdemu miejsca leżącego, niekiedy przysparzało wiele kłopotów.

dróż, a po południu cała użhorodzka rodzina odprowadziła dostojnych gości na dworzec kolejowy.

Nad ranem, po kilkunastogodzinnej jeździe niezwykle, jak na polskie wyobrażenia, długi pociąg relacji Użhorod – Odessa, po pokonaniu około ośmiuset kilometrów, opuścił pagórzysty teren Pogórza Podolskiego i wtoczył się na Nizinę Czarnomorską. Teraz jechali już przez wielką równinę, lecz widok był monotony nie tylko z powodu ukształtowania terenu, ale również wskutek niezmiennego pejzażu; z obu stron pociągu już od ponad godziny za oknem niemal nieustannie migały takie same drzewa, niezbyt dużej wysokości, gęsto porośnięte i dokładnie zasłaniające cały pejzaż.

– Zobacz, Mikołaj – odezwała się ze swojej ławki rozbudzona już na dobre Anastazja, – jak w tym całym lesie wszędzie rosną takie same drzewa. Od dłuższego czasu patrzę na nie i nie widzę żadnej zmiany.

– Wiesz, Nastio – odpowiedział na to młodszy brat, który również już od dłuższego czasu nie spał, – według mnie to nie jest las. Tu wszędzie są stepy i lasy nie rosną.

– A te drzewa to co? To nie las? – zapytała zdziwiona siostra.

– Zdaje mi się, że to nie las. Powiedziałem ci już, że tu są same stepy. A te drzewa to są *lisosmuhy*¹.

– A co to takiego?

– Tu na przestrzeni dziesiątek, bodaj i setek kilometrów jest tylko step i step. Sama równina z bardzo urodzajną ziemią, a lasu nigdzie nie uświadczysz. W tym klimacie zdarza się, że i przez kilka miesięcy nie spadnie ani kropla deszczu i wtedy, w czasie suszy, wiatry przenoszą dużo kurzu. Dlatego za Stalina posadzono te leśne smugi: to takie pasy nasadzonych drzew i krzewów o szerokości kilkunastu metrów, rozstawione po kilometrze na kształt kwadratu. One zatrzymują wiatr, pył i dają trochę schronienia dla zwierzyny.

Anastazja słuchała tych objaśnień z wielkim zaciekawieniem, bowiem do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, że może gdzieś być terytorium bez lasów. Tam, gdzie dotychczas żyła, zawsze lasów było pod dostatkiem, a w nich – oprócz drzew – całe bogactwo grzybów, jagód, jeżyn i innych pożytków. A w Beskidzie i Bieszczadach to i wilków, i niedźwiedzi nie brakowało, nie mówiąc o zającach, dzikach, czy innych stworzeniach. A tu tylko pola i pola – gdzie okiem sięgnąć. *Jaki ciekawy i różnorodny jest ten świat* – pomyślała.

Dalsza podróż z Odessy do Mikołajowa, położonego nad rzeką Południowy Bug, odbywała się już autobusem. Po przejechaniu kilkunastu prze-

¹ Dosłownie: Laso-smugi, co oznacza pasy sztucznie zasadzonych drzewostanów (ukr.).

cznic i rogatek miejskich¹ wjechali na szeroką szosę, prowadzącą do Mikołajowa, Chersona i dalej na Krym oraz do innych dzielnic wschodniej Ukrainy. Za miejscowością Fontanna szosa przybliżyła się na odległość kilkunastu metrów od Morza Czarnego. Teraz wyraźnie widać było jego potężne, brunatne² fale. Anastazję ogarnęła świadomość, że naprawdę przejechała przez kawał świata i znajduje się już zupełnie na innej ziemi.

Przed Mikołajowem, do którego dla obcych, a szczególnie dla gości zza granicy, wstęp w tym czasie był wzbroniony z uwagi na występujący tam przemysł zbrojeniowy, na jego przedmieściu, zwanym Warwarowka, nasi podróżni wysiedli z autobusu i pytali o połączenie w kierunku Telmany. Po dosyć długim oczekiwaniu dalszą drogę odbywali już autobusem bardzo podrzędnej jakości, w towarzystwie osób pracujących w okolicznych sowchozach³, wracających zapewne z miejskich targowisk. Teraz mocno podniszczona droga, na której kiedyś prawdopodobnie leżał asfalt, prowadziła przez ogromne, otwarte pola. W odległościach wielu kilometrów nie było widać żadnej zabudowy, a wszędzie rozpościerały się potężne i niewyobrażalne, jak na człowieka ze środkowej Europy, łany jednolitych upraw. Anastazja, pomimo, że całe swoje życie spędziła w pracy na roli, wielu z upraw nie potrafiłaby nawet odróżnić, nie mówiąc już o nadaniu nazwy rosnącym tam roślinom. Nigdzie nie można było uświadczyc tablicy z nazwami miejscowości, a jedyna rzecz, która wyróżniała przynależność połaci ziemskich do poszczególnych sowchozów, to monstrualne, wykonane z drewna, bramy pochwalne nad szosą, na których widniały nazwy przedsiębiorstw rolnych, wplecione w slogany polityczne typu: *śława komunistycznej partii radjańskoho sojuzu*⁴ lub: *rieszenija XXII sjezda KPSS wwjedom w żizń*⁵.

Gdzieniegdzie monotony pejzaż poprzecinany był zbawiennymi tu laso-smugami, ale największe zadziwienie wzbudzały potężne przyzmy pszenicy, usypane bezpośrednio na gliniastej ziemi, rozjeżdżone kołami ciężarówek i porośnięte z wierzchu skorupą zmokniętego, spleśniałego i skielkowanego ziarna. Anastazja, która od małego dziecka przyzwyczajona była do wielkiego szacunku dla ziarna, będącego synonimem chleba i nauczona była, że kromkę, która spadła na podłogę, po podniesieniu należało wprzód

¹ W tamtym czasie w Związku Radzieckim na wszystkich wyjazdach z miast pobudowane były posterunki milicyjne, które dokładnie śledziły ruchy samochodów. Szczególnie pod kontrolą były pojazdy z obcą rejestracją.

² W szelfie Morza Czarnego na wschód od Odessy na dnie zalega grubą warstwą czarny il, nanoszony ze stepów, co powoduje, że woda w tym miejscu wyraźnie jest koloru ciemnego; pewnie stąd wywodzi się nazwa morza.

³ Nazwa „sowchoz” oznaczała państwowe gospodarstwo rolne (od słów: *sowjetskoje gosudarstwo*), w odróżnieniu od „kołchozów”, czyli kolektywnej własności (*kolljektiwnoje gosudarstwo*); odpowiednie nazwy w języku ukraińskim to „*radhosp*” i „*kolhosp*”.

⁴ Chwała komunistycznej partii Związku Radzieckiego (ukr.).

⁵ Uchwały XXII zjazdu KPZR wprowadzimy w życie (ros.).

ucałować, zboże zawsze uważała za jeden z najważniejszych darów Stwórcy. Dlatego nie była w stanie pojąć tego, jak można szargać taką świętością i połowę plonów, w której zawarty jest krwawy pot robotników, przeznaczyć na zatrącenie. Dziwiła się też, jak można taką olbrzymią wartość materialną zaprzepaścić, kiedy tyle ludzi na świecie – i zapewne też w tym potężnym kraju – cierpi głód. Wątpliwości tych nie był w stanie rozproszyc jej też nikt z żyjących tu ludzi. Oni sami zapewne mieliby podobne uwagi do wielu aspektów życia społecznego i ekonomicznego, gdyby mieli odwagę na wypowiedzianie swoich sądów. Każdy z nich wołał jednak cieszyć się daną mu możliwością jako takiej egzystencji, a większe problemy niech rozstrzyga wszechmocna i jedynie słuszna władza...

Wioska, do której zmierzali nasi przybysze, była wielką osadą, zbudowaną na żyznych stepach w kilka lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. Żyjący tu w liczbie ponad dwóch tysięcy ludzie pracowali ciężko, ale nie narzekali na swoją pozycję materialną. Po prostu, naturalnego bogactwa, rodzącego się wprost na polach, było na tyle, że wystarczyło na opłacenie pracy najemnej, podzielenie się z państwem, częściowe zmarnowanie i jeszcze pozostawało na jawne rozgrabianie przez mieszkańców, którzy w ten sposób wynagradzali sobie sami swój trud, poświęcenie i wygnanie z rodzimych, zazwyczaj znacznie biedniejszych, miejscowości.

Szosa, którą przyjechał autobus, przecinała wioskę jedynie w poprzek, a dalej należało iść polnymi i błotnistymi w porze deszczowej uliczkami. Błoto to, w odróżnieniu od krajowego, nigdy nie odrywało się od nóg piechura, a ciągnęło się za nim jak gęste ciasto. Na znak zbliżających się do bram zabudowania przybyszy, pierwsze larum podnosił dorodny, uwiązany na łańcuchu czworonóg. Teodor, gospodarz domu, wyrzwał na drogę i z daleka rozpoznał swoje rodzeństwo: najstarszą siostrę i najstarszego brata. Uradowany, wybiegł im naprzeciw i wyręczył ich w niesieniu bagaży. Anastazja, znana z tego, że zawsze zwracała się wprost, przystanąła i, starając się demonstracyjnie oderwać nogi od czarnej mazi, z przekąsem zawołała:

– Ażeby was wszystkich lichy... Taka duża wieś, a drogi nie umiecie zrobić! Po co wy w tych domach siedzicie?

– Ciiii..., cicho! Nie krzycz tak z daleka – uspokajał brat głośną siostrę.
– Nie krzycz, bo jeszcze ludzie się zbiegną. Zachodźcie do chaty. Buty zaraz wyczyszcimy i wszystko będzie dobrze.

Po wejściu do schludnego i nieźle urządzonego domu, Anastazja i przybyły z nią Mikołaj przywitali się serdecznie z bratem Teodorem oraz z jego żoną, Paraskewią. Anastazja w stosunku do swojej bratowej, Paraski, była jednocześnie jej stryjenką poprzez zmarłego męża, Andrzeja. Po tej linii pokrewieństwa we wsi tej żyło jeszcze kilka innych, bliskich osób, a mianowicie dwóch braci Paraski i jej matka. Wizyta ta więc tym bardziej miała być dla Anastazji cenna.

Wszyscy ze spotkania tego byli wielce uradowani. Po wymianie kilku zdań na temat podróży i najnowszych ciekawostek, zaczęły się długie rozmowy, związane ze wspomnieniami dawnych przeżyć, minionymi zagrożeniami, wyrządzonymi krzywdami i nadzieją na przyszłe życie. Pomimo, że w opowiadaniach gospodarzy nie przejawiały się już zbyt wielkie urazy, to jednak raz po raz dało się odczuć rozżalenie nad swoim losem i wdzięczność w stosunku do Opatrzności za to, że udało im się wszystko przetrwać.

– Widzisz sestro – ciągnął swoje opowiadanie Teodor, – jeszcze niewiele zdążyłaś zobaczyć, ale możesz mi wierzyć, że żyjemy tu nieźle, chociaż pracować musimy ciężko. Myślę, że nie mielibyśmy tego wszystkiego, co mamy ani w naszym Przybyszowie, ani na Zachodniej Ukrainie. Pamiętam, gdy już byłem dorosłym kawalerem, jak mocno pragnąłem mieć chociaż złotówkę dla siebie, ażebym na przykład mógł kupić pannie cukierka w czasie zabawy! Ale zarobić nijak nie było gdzie. Teraz wszystko się odmieniło. Nie narzekam na brak czegokolwiek. Jednak – dodał po chwili, a z jego twarzy zanikł radosny uśmiech, – cośmy przeżyli, to tylko jeden Bóg może wiedzieć.

– Przeżywaliśmy wszyscy – Anastazja starała się pocieszyć brata. – Takie były czasy i nikogo one nie oszczędzały.

– Wiem, że czasy były ciężkie dla wszystkich, ale na szczęście nie wszyscy musieli przechodzić aż przez takie piekło, jak my. Sama widzisz, jak daleko trzeba do nas jechać szybkim pociągiem. Nas jednak wieźli z małymi dziećmi starą, odkrytą ciężarówką przez dwie doby. Potem wysadzili nas na goły step, a jedyną pomoc, jaką otrzymaliśmy na początek, to były łopaty, abyśmy mogli sobie nimi wykopać ziemianki. Gdy, po wielu godzinach morderczy, w końcu w wykopanych dołach Paraska ułożyła pierzyny, aby położyć w nich czteroletnią Zosię i dwuletniego Michałka, to niespodziewanie nadeszła wielka ulewa i woda szybko wypełniła przygotowane ostatnimi siłami zagłębienia. Tu ziemia jest bardzo urodzajna; do żółtego piasku nie dokopiesz się i na półtora metra. Gdy długo nie pada, to jest tyle kurzu, że czasem ciężko oddychać, ale co tu się dzieje podczas deszczu, to trochę już dzisiaj widziałas, gdy z Mikołajem szliśmy od autobusu. Od błota nie sposób oderwać nogi. A my pozostawieni byliśmy na otwartym polu w tym piekle z malutkimi dziećmi...

Tu Teodor na chwilę przerwał swoje opowiadanie, przełknął ślinę, aby rozluźnić ściśnięte żalem gardło, łyknął nieco herbaty i kontynuował dalej:

– Można byłoby jeszcze długo opowiadać o naszej biedzie, ale człowiek wolałby o tym zapomnieć. Potem nam pomagali. Nie można tego pominąć, ale żyło się nadal ciężko. Wybudowaliśmy ten dom, następnie stajenkę. Rozbudowała się cała wioska, bo ludzi wciąż przybywało. Najgorzej było przez wszystkie lata z wodą. Tu studni nie wykopiesz, choćbyś kopała nie wiadomo jak głęboko. Wodę nosiliśmy z odległego o cztery kilometry Bu-

gu. Właściwie to nie ja nosilem, bo cały czas musiałem być w pracy. Wodę nosiła Paraska. Pewnego razu, gdy powróciłem przed wieczorem do domu, to zastałem ją siedzącą na progu i spłakaną do niepoznania. Sądziłem, że pewnie nadeszła wiadomość o śmierci kogoś bliskiego z rodziny. Gdy ją nieco uspokoiłem, to wyznała mi, że płacze nad rozlaną wodą. Niosła dwa wiadra na jarzmach przez step niemal dwie godziny. Gdy, potwornie już wyczerpana, resztką sił w końcu dotarła do domu, potknęła się o próg i wszystko rozlała. Poprzez ten upadek nazbierała w sobie tyle żalu nad swoim żywotem, że łez wylanych potem było niewiele mniej, niż utraconej wody.

Teodor ponownie na chwilę zamilkł, a potem oblicze jego nieco pojaśniało i, nie chcąc w smętnym nastroju pogłębiać goszczącej u siebie siostry, dodał nieco pogodniejszym już głosem:

– Ale to wszystko jest już za nami. Swoje odcierpieliśmy i teraz żyje nam się lepiej. Mamy wygodny dom, mamy wodę, można zarobić pieniądze, a jak ktoś nie lubi spać w nocy, to i przysporzyć może sobie drugie tyle, albo i więcej. Teraz będą nam zakładać gaz, a może i drogę też zrobią w przyszłości. We wsi mamy wszystko co trzeba – sklepy, autobusy, szkołę, lekarza, nawet mały szpital. Tu nikt, nawet na grypę nie leży w domu – ze wszystkim idzie się do szpitala, gdzie jest już należyta opieka lekarska. Rano zobaczysz ile tu jest sadów. Owoców mamy tyle, że nikt ich przejeść nie zdoła – Tu Teodor podniósł przykrycie łóżka, a pod nim ukazały się ogromne słoje z zaprawami z brzoskwiń, moreli i innych owoców. – Zobacz, ile nam jeszcze od ubiegłego lata zostało. Ale to nie wszystko. W piwnicy mam siedemset litrów wina, w którym nie ma ani kropli wody i ani grama cukru. Po prostu sam sok z winogron. W oborze stoją dwie krowy, kilka świń i bez liku kaczek i kur. Nie sposób tego wszystkiego przejeść. Już w tym roku odwirowałem ponad czterysta kilogramów miodu. To wszystko jest tylko dodatkiem do pensji, którą dostaję ze sowchozu, ale pracować trzeba ciężko – i w dzień i w nocy.

Z wielkiej podróży i długich opowiadań Anastazja wyniosła zbyt wiele wrażeń, aby to wszystko poukładać sobie w głowie i spokojnie zasnąć. Rozmyślając w nocy, czuła wielką satysfakcję z tego, że oto znów spotkała się z kolejnym bratem, który – pomimo wielkich przeżyć – w ostateczności prowadzi całkiem dostatnie życie. *Widocznie nie zawsze los jest tak okrutny, jak ludzie sądzą i gdy się komuś radzi w trudnej sytuacji, że powinien żyć nadzieją, to wcale nie zawsze jest to tylko czcza gadanina* – pomyślała Anastazja zanim całkowicie zmorzył ją sen.

Rano przebudziła się dosyć późno, a gdy otworzyła oczy, to ujrzała przy sobie obydwu braci – Mikołaja i Teodora, a z sąsiedniej izby dochodziły odgłosy krzątającej się przy przygotowywaniu posiłku Paraski, bratowej i zarazem bratanicy męża w jednej osobie.

– A co ty tu robisz? – zwróciła się Anastazja do brata Teodora. – Przecież powinienś być w pracy.

– A jak ja mogę iść do pracy, kiedy w domu mam tak ważnego gościa? – zaśmiał się Teodor. – Powiedziałem o tym naczelnikowi, a on sam kazał mi iść do domu i dał mi tyle urlopu, ile potrzebuję.

Po obfitym śniadaniu Teodor wziął Anastazję na przechadzkę:

– Chodź, trochę się przejdziemy, a przy okazji przyniesiemy nieco owoców z sadu.

Wyruszyli w stronę skraju wioski. Po przejściu około tysiąca kroków zabudowania skończyły się, a przed nimi rozpostarł się ogromny i dorodny sad.

– Spójrz – zwrócił się Teodor do siostry, – To są sady naszego sowchozu. Znajdziesz tu wszystkie drzewa owocowe, jakie widziałaś w swoim życiu, ale są też i takie, których dotychczas nigdzie pewnie nie spotkałaś. Ten sad ciągnie się kilka kilometrów w jedną i drugą stronę, a rośnie w nim niemal wszystko: morele, brzoskwinie, figi, orzechy. Mamy też ogromne uprawy winogron. One rosną na krzakach podobnych do porzeczek.

Anastazja słuchała z wielkim zaciekawieniem. Szczególnie wrażenie na niej robiły bezkresne obszary tych upraw. Po chwili jednak zwróciła się do brata z prostym pytaniem:

– A skąd ty chcesz teraz przynieść do domu owoce? Przecież to jest państwowe i pewnie nie wolno brać.

– Prawda, to jest państwowe i nie wolno kraść. Ale kradzież to byłaby wtedy, gdybym ja zajechał ciężarówką i załadował kilka ton. Natomiast jeżeli biorę owoce do domu, bo potrzebuję zjeść, to nie jest żadna kradzież.

Wysłuchując tej swoistej filozofii brata, Anastazja nie do końca była przekonana, że sama może uczestniczyć w tym procederze. W przekonaniu tym jeszcze bardziej utwierdziła się, gdy przed nimi pojawił się mężczyznę w średnim wieku, uzbrojony w karabin. Mężczyzna ten jednak nie zrobił żadnego wrażenia na Teodorze, który pozdrowił go, a następnie zapytał:

– *Andrij Stepanowicz*, powiedzcie no mi, gdzie tu są teraz najbardziej dojrzałe jabłka?

Dozorca zdjął strzelbę z ramienia i dostawił ją do nogi. Poprawił czapkę i zwrócił się do przybysza:

– *Fedorze Iwanowicz*, a macie wy co zapalić?

– Wiesz przecież, że ja nie palę papierosów – odpowiedział Teodor.

– A to szkoda, wielka szkoda, bo ja tu tak od rana bez papierosa... A jeżeli chodzi o jabłka, to nie wiem gdzie są najlepsze, ale wczoraj wywozili z tamtej, oto alejki – tu ręką wskazał na boczny dukt, na którym było jeszcze znać ślady kół ciężarówki. – Myślę, że jeżeli wczoraj rwali, to pewnie tam są dojrzałe owoce.

Teodor podziękował za informację, pożegnał dozorcę, który akurat ponownie zarzucał strzelbę na plecy i poprowadził siostrę pod wskazane miejsce.

– A niech was licha! – wykrzyknęła zadziwiona Anastazja. – To stróże u was są po to, aby pokazywać skąd najlepiej jest kraść?

– Przecież tu nikt nie kradnie – uspokajał siostrę Teodor. – My wszyscy na to pracujemy i jak komuś czegoś potrzeba, do dlaczego nie miałby sobie tego wziąć? Ty musiałabyś wyjść za wioskę wieczorem, posłuchać i popatrzeć jaki wtedy robi się ruch. Ludzie znoszą i zwożą rowerami i motocyklami z pól przeróżne rzeczy: owoce, winogrona, kolby kukurydzy, zielonkę na paszę, ziarno i wiele, wiele innych płodów tej ziemi. A jak ty myślisz? Z czego ja wykarmiłbym przez cały rok kilkaset sztuk drobiu, kilka świń i dwie krowy, gdybym spał po nocach? A wiesz ile trzeba nanosić kiści winogronowych, aby zrobić z nich siedemset litrów soku na wino? Samo to przecież nie przychodzi do domu.

– Dobrze, że tak możecie znosić, ale gdyby ktoś cię zauważył i naskarżył, to co by było?

– Trafia się nieraz, że ktoś ma złość na kogoś i zrobi donos, albo, że trafi się na milicjanta.

– I co wtedy?

– Wtedy przychodzi dyrektor i upomina, ażeby to było ostatni raz. Przyłapany obiecuje poprawę i przyrzeka, że nigdy tego już nie będzie robił. Wiesz jednak, że zwierzynę trzeba nakarmić i z obiecanej poprawy nic nie wychodzi.

– No tak... – zamyśliła się Anastazja. – Ale przecież, gdyby ludziom naprawdę zakazać kradzieży, a dać im to legalnie w formie należytej zapłaty, to byłby lepszy porządek.

– Może i tak powinno być – Teodor przyznał rację siostrze. – Tylko, że nikt tego nie robi, a po drugie, to tu biorą wszyscy i nie wiem, czy ktoś jest w stanie zaprowadzić inny porządek. Na przykład *Iwan*, kuzyn *Paraski*, pasie ogromne stado owiec na stepie, w pobliżu lotniska. Tam nie ma tygodnia, aby księgowy nie spisywał na straty kilku sztuk, co je niby wilki zjadły. Czy tam są wilki, to nie wiem, ale wiem, że z owiec tych jadłem już nie raz świetną pieczeń.

Teodor na chwilę przystanął, aby przełożyć owoce do drugiej ręki, a potem kontynuował dalej:

– A na przykład *Stefan*, brat *Paraski*, jeździ do miasta z odstawianymi na rzeź krowami. Z kilkudziesięciu sztuk, które odwozi, zawsze kilka niby wypadnie z samochodów i trzeba spisać je na straty. Potem *Stefan* tak długo nie wraca z delegacji, dopóki na kołchoźnym rynku tamtejszy rzeźnik nie sprzeda ostatniego kilograma z tych krów, a uzyskanymi pieniędzmi musi się podzielić z dyrektorem. Właściwie, to on oddaje pieniądze dyrektorowi,

a tamten dzieli się nimi ze Stefanem. Żona Stefana, Genia, pracuje w kurniku. U nich w domu jajek jest zawsze tyle, że może nimi podzielić się z innymi, a pieczonymi kurami to rzucają się. Kur na obiad nie kupuje też kierownik fermy, ani dyrektor sowchozu. Nieraz dyrektor mówi do Geni: *ślu-chaj, dzisiaj u mnie będą goście z miasta. Potrzebuję dziesięć kur*. Oczywiście, że zamówienie takie musi być zrealizowane, ale wiesz sama, że choćby nie wiadomo jak jedli, to dziesięć kur nie zjedzą na jeden obiad. Rodzina dyrektora też musi przecież jakoś żyć.

Podobnych przykładów Anastazja zapewne wysłuchałaby jeszcze więcej, ale doszli właśnie do domu, gdzie ciocię z Polski przywitały dzieci Teodora i Paraski: Zosia, która pracowała w Mikołajowie i, ubrany w mundur kadeta, *Miszka*, uczący się w wojennej szkole w Kijowie.

Dzień szybko minął, a wieczorem do domu Teodora zostali sproszeni goście: bracia Paraskewii, Piotr i Stefan, kilku dalszych kuzynów i sąsiadów. Teraz odbywało się wielkie przyjęcie na cześć przybyłych gości z Polski i z Zachodniej Ukrainy. Stół ugiął się od obfitości, przygotowanych zarówno na starą modłę, jak i według nowszych, miejscowych zwyczajów. Wśród licznych dań dominowały pieczone mięsa, przygotowane z kilku rodzajów drobiu oraz różnorodne warzywa i owoce. Podawana była również kawa i słodkie kompoty, zgotowane z różnych owoców południowych, ale ze wszystkich napojów dominowały szampany, własne wino gronowe i oczywiście, w centralnym poważaniu znajdował się mocny, przeźroczysty napój, destylowany nocą. Z serwowaniem samogonów nikt tu się nie krył, a jego zapasy przechowywane były w kilkulitrowych słojach, ustawionych w widocznym miejscu i nakrytych ozdobną serwetą. Alkohol pity był z umiarem i, rzec by można, z wielkim namaszczeniem. Raczyli się nim wszyscy, w sposób całkowicie dobrowolny i nikt z gości nie chciał być posądzony, że jest krnąbrny w jego spożywaniu. Na przykład żona Piotra, która spóźniła się na gościnę z powodu pilnych zajęć, gdy już zasiadła za stół, sama poprosiła o większą szklankę, napełniła ją po brzegi i wszystkim oświadczyła:

– *Ce bude mij sztrafnyj*¹, – po czym wychyliła zawartość szklanki, a dalej gościła się już na równi z innymi.

Jednak myliliby się ten, kto sądziłby, że właśnie spożywanie obfitych potraw i picie alkoholu stanowiło zasadniczą część spotkania rodzinno-sąsiedzkiego. Rozmawiano na wszelakie tematy, wśród których z racji zaistniałej okoliczności przeważały wspomnienia z dawnych czasów, opowiadania o przeżyciach i pytania o bliższą i dalszą rodzinę. Najwięcej jednak czasu poświęcano śpiewaniu starych, ludowych pieśni, a wśród nich co chwilę przeplatały się krotochwilne, a czasami również swawolne, przyśpiewki i czastuszki.

¹ To będzie mój karny (ukr.)

Atmosfera taka nie stanowiła w tym dniu szczególnego wyjątku. Przez cały czas pobytu Anastazji w Telmanie wieczorami, z różnych stron wioski, dochodziły odgłosy gwarnych i wesołych spotkań, odbywających się przy stołach wystawionych do sadów lub na podwórka. Tu widać było autentyczność tego narodu – umiał ciężko pracować, dumnie znosił wszelakie upokorzenia, ale równie dostojnie potrafił kultywować swoje tradycje i przeżywać wesołe chwile.

Po upływie tygodnia nastąpiła pora podziękowania za nadzwyczaj serdeczne przyjęcie i czas pożegnania się z rodziną. I chociaż pożegnania zazwyczaj bywają trudne do zniesienia, to tym razem Anastazja opuszczała progi brata i bratanicy po linii swojego męża z lekkim sercem, gdyż poczuła ulgę, że po długich latach tak ciężkich prześladowaniach i po wielu cierpieniach, los nie do końca był tak srogi i potrafił wiele wynagrodzić. Co prawda, ludzie ci zachowali w sercu wielką nostalgię za tym, co utracili, ale przecież zdawali sobie też sprawę z tego, że wszystko w życiu przemija i nie można zawsze żyć tylko przeżytymi kształtami.

W drodze powrotnej z tej odległej wyprawy, Anastazja odczuwała tęsknotę za pozostawionymi za granicą braćmi i siostrami, a przede wszystkim za sędziwą matką. Wracała jednak z wielką ulgą, doznawaną na myśl, że w końcu zdołała wszystkich ich odwiedzić i naocznie przekonać się o tym, iż wszelakie nieszczęścia odwróciły się od jej najbliższych. Nachodziła ją również myśl, że pewnie już ostatni raz zobaczyła się ze swoją stareńką matką. *Przecież ona już ukończyła dziewięćdziesiąt lat – uświadomiła sobie – i naturalną jest sprawą, że ludzie odchodzą.*



Rodzeństwo z rodziny Chyrów. Od lewej: Michał, Maria, Andrzej, Anastazja (młodsza), Teodor, Anastazja (starsza) i Mikołaj. Nieobecna jest tylko siostra Pelagia, mieszkająca w Szczecinie. Zdjęcie wykonane w 1974 r., podczas pogrzebu ich matki, Paraskewii.

Pociąg z łoskotem pokonywał kolejne kilometry, a za oknem szybko zmieniały się migające krajobrazy. *Świat wszędzie jest podobny* – pomyślała nieco zmęczona podróżą Anastazja. – *Ludzie też są podobni do siebie, tylko dlatego czasami Bóg zsyła nam takie wielkie zawieruchy? Widocznie tak już musi być na tym świecie* – dodała w myśli.

* * *

Teraz wydawało się, że wszystko w życiu Anastazji powinno toczyć się utartym trybem i żadne już chwile przełomowe nie powinny mieć miejsca. Mieszkała razem z synem i jego rodziną, a najważniejszym i jedynym, zresztą bardzo cenionym, jej obowiązkiem była pomoc w wychowywaniu wnuka. Od czasu zrzeczenia się swojej własności na wsi za skromne świadczenia finansowe, mogła już więcej uwagi poświęcić na podtrzymanie swojego, mocno nadwyrężonego długoletnią i ciężką pracą, zdrowia. Nie dręczyła ją już również obawa, co do zabezpieczenia swojego przyszłego życia. Teraz miała zapewnione utrzymanie, znośne warunki mieszkaniowe, a co najważniejsze, nie była samotna. Lubiąc podróżować, często odwiedzała swoje córki, mieszkające w różnych miejscowościach.

Będąc u córek zamieszkałych w miastach skrępowana była ograniczoną przestrzenią. Pełną natomiast swobodę i pole do popisu swoimi radami od czuwała zawsze Anastazja przebywając u najstarszej córki, Heleny, która wraz z mężem prowadziła spore gospodarstwo wiejskie w Miszewie. Tutaj nadal czuła się bardzo przydatną, szczególnie podczas okresów nasilenia prac. Gdy wszyscy wyruszali na pole, to jej – tak samo jak za minionych lat – pozostawało zajmowanie się domostwem. Mówiono nawet wtedy, że taki, starszy człowiek stanowi swoisty, dobry klucz od domu. W powiedzeniu tym było dużo prawdy, bowiem osoba taka mogła mieć pod nadzorem wszystko, co pozostawało w obejściu, wyprawić dzieci do szkoły, przygotować posiłek, a czasem nawet służyć swoją radą. Właśnie rady takie, pomimo wielkiej ich przydatności, w wielu momentach, stawały się niekiedy kością niezgody pomiędzy starszą i młodszą gospodynią. Gdy już następowało przesilenie dobrych, i niekiedy zapewne słusznych instrukcji, Helena często wykazywała swoje zniecierpliwienie lubiła wtedy odzywać się tymi słowami:

– Mamo, bardzo dobrze, że chcecie mi pomóc, ale już jest za późno, aby mnie teraz uczyć, – przy czym przywykła szczególnie mocno akcentować słowa „za późno”.

Dictum takie stanowiło dla Anastazji dostateczny sygnał, że pora już zbierać się i wracać do Koszalina. Jednak zajście takie nie miało nigdy znaczenia przez dłuższy czas i po upływie kilku tygodni widać było, że matka powoli przygotowuje swoje rzeczy, a potem oświadcza domownikom:

– Ja chyba pojadę gdzieś na kilka dni.

Wszystkim było oczywiste dokąd to i w jakim celu się wybiera.

Po powrocie z Ukrainy lubiła często opowiadać o odbytych odwiedzinach u swojej najbliższej i dalszej rodziny oraz o swoich spostrzeżeniach na temat tamtejszych zwyczajów i o różnych ciekawostkach. Opowieściami swoimi zainteresowała wiele osób, a najbardziej chyba syna Andrzeja, który w kilkanaście miesięcy później sam wyruszył niemal tym samym szlakiem. Nasiliły się również kontakty listowne, a od czasu do czasu wszyscy bracia i siostry ponownie odwiedzali swoją rodzinę w Polsce.

* * *

W życiu niekiedy bywa tak, że zaistniałe drobne zajścia mają potem wpływ na kolejny ciąg zdarzeń. Tak też stało się w sprawie odnowienia kontaktów z rodziną żyjącą za oceanem, czyli z dziećmi Andrzeja seniora. Anastazja, opuszczając Miszewo, wieś w której przeżyła niemal dwadzieścia lat, z części zaoszczędzonych pieniędzy postanowiła wykonać nagrobek na mogile swojego, zmarłego przed piętnastoma laty, męża. Podczas rodzinnych odwiedzin cmentarzy, jakie zwyczajowo odbywają się w Polsce w Święto Zmarłych, syn, lubiący zajmować się fotografią, wykonał z tej okazji kilka udanych zdjęć. Pomyślał potem, że przecież zdjęcia takie powinny zainteresować także jego przyrodnie rodzeństwo, żyjące w Ameryce. Zapewne oni też chcieliby, przynajmniej na papierze, zobaczyć miejsce wiecznego spoczynku swojego ojca. Myśl taka była trafna, ponieważ zarówno ze strony Pawła, jak i Anny wkrótce nastąpiło ożywienie rzadko ostatnio prowadzonej korespondencji z rodziną żyjącą w Polsce. Korespondencja taka stanowiła szczególną ciekawostkę dla Andrzeja, który w dzieciństwie niekiedy widywał listy z Ameryki, ale nigdy dotąd sam nie nawiązywał z tamtym rodzeństwem osobistych kontaktów. Teraz, jako człowiek już dorosły i nieco obeznany w sprawach ogólnych, miał wiele do powiedzenia, szczególnie w odniesieniu do brata Pawła. Był nawet dumny z tego, że posiada nie tylko same siostry, ale również rodzeństwo płci męskiej. Widocznie i dla Pawła nawiązane kontakty miały duże znaczenie, skoro w niedługim czasie zapytał w jednym z listów, czy najmłodszy, przyrodni brat nie chciałby go odwiedzić, gdyby dostał takie zaproszenie i miałyby pokryte koszty przejazdu.

Właśnie koszty przejazdu miały w tym czasie szczególne znaczenie, gdyż stosunkowo niskie zarobki, przy niekorzystnych relacjach walutowych pomiędzy wschodnim i zachodnim blokiem politycznym¹, uniemożliwiały niemal każdemu takie przedsięwzięcie. Drugą przeszkodą w podjęciu po-

¹ W okresie tym (i wiele lat później) średni zarobek w Polsce w przeliczeniu na dewizy kształtował się w granicach 1\$ na dzień. Przy cenie przelotu około 360 \$ na wydatek taki należałoby pracować 12 miesięcy.

dróży za ocean była wieczna obawa co do możliwości otrzymania paszportu i zezwolenia na taki przejazd¹ oraz wizy od rządu amerykańskiego. W sytuacji takiej, oczywiście, najłatwiej Andrzej „pokonał” więc trudności związane z zakupem biletu, ale ostatecznie przeskoczył też pozostałe dwa kłopoty i wizyta jego za wielką wodę niebawem miała stać się faktem.

Wyjazd nastąpił w maju 1971 roku – dokładnie w siedemnastą rocznicę śmierci ojca. Podróż syna do Stanów Zjednoczonych miała wielkie znaczenie również dla Anastazji, bowiem troje, spośród żyjących tam w tym czasie pięciorga dzieci jej męża, przez ponad dziesięć lat wychowywała właśnie ona w Polsce, zastępując im nieżyjącą ich rodzoną matkę. Ponadto przez dwadzieścia siedem lat wspólnego pożycia z Andrzejem niejednokrotnie wysłuchiwała ciekawych opowieści o tamtym, zamorskim kraju i Amerykę uważała niemal jak swoją drugą ojczyznę. Mąż o swoich amerykańskich koligacjach przypominał zresztą w różnych sytuacjach. Przykładowo wszystkich ważnych obliczeń dokonywał używając angielskiego brzmienia liczb, do swoich amerykańskich dzieci często zwracał się takimi zwrotami jak: *hej, Paul, help me...*². Ale najbardziej dźwięcznie brzmiały w jego ustach wszystkie angielskie przekleństwa, wypowiadane w chwilach zdenerwowania. Tak więc, Anastazja często wspominała wszystkie powiązania z tamtym krajem, a nawet nierzadko sama opowiadała o nim wiele ciekawych, zasłyszanych wcześniej, rzeczy. Teraz z radością powitała wiadomość, że Hanię i chłopców, jak często ich nazywała w swoich wspomnieniach, odwiedzi jej syn. Dotychczas zawsze chętnie wysłuchiwała wszystkich przychodzących stamtąd listów, lecz nadchodziły one coraz rzadziej.

Wyjazdem Andrzeja do Ameryki interesowała się niemal cała rodzina. Wszyscy byli ciekawi jak naprawdę wygląda życie w tak mocno osławionym kraju, a jednocześnie chcieli dowiedzieć się w szczegółach o żyjącym tam swoim rodzeństwie. Jednak wyjazdowi temu towarzyszyło również wiele niepokoi, szczególnie związanych z bezpieczeństwem samego przelotu, natomiast małżonka Andrzeja, Helena zapewne również obawiała się, czy mąż na pewno powróci stamtąd i czy przypadkiem nie wybierze „wolności”, jak to często mówiło się o turystach nie powracających z wizyt w krajach zachodnich. Jednak samemu Andrzejowi zapewne nie bardzo przychodziła do głowy możliwość pozostania na dłuższy czas za oceanem, a to głównie z powodu obaw, że nie spodobałoby się to jego przełożonym, mającym swoich mocodawców w resorcie spraw wewnętrznych i jego przyszła kariera służbowa mogłaby być mocno zachwiana, a po drugie, to nie dopuszczał

¹ Wtedy istniały dwa rodzaje paszportów: jedne upoważniały do wyjazdów do tzw. krajów demokracji ludowej, a inne do pozostałych krajów. Jednak posiadanie tego drugiego paszportu również nie upoważniało do podróży, ponieważ konieczne było jeszcze oddzielne uzyskanie tak zwanej karty wyjazdu.

² Hej, Paweł, pomóż mi... (ang.)

takiej możliwości z powodu zwykłej tęsknoty za rodziną, a najbardziej chyba za półtorarocznym synkiem, Adamem.

W drugim dniu po odlocie z Warszawy Andrzej zatelefonował z Ameryki i utwierdził wszystkich, że podróż odbył szczęśliwie i został bardzo mile przyjęty przez Pawła i jego małżonkę. Następnie przysłał jeszcze list i kartę z pobytu z Nowego Jorku, a o częstszej korespondencji, oczywiście, nie mogło być mowy, bo listy w tamtym czasie z Ameryki potrzebowały na swoją podróż od trzech do pięciu tygodni¹. Tak więc, znacznie wcześniej można było spodziewać się czyjegoś powrotu zza oceanu, aniżeli wymiany z nim korespondencji. Po upływie sześciu tygodni Helena otrzymała wiadomość telefoniczną od męża, że niebawem powraca. Pozostawiła więc małego Adama pod opieką babci, a sama pojechała do Warszawy na powitanie męża.

Po upływie nieco więcej niż jednej doby, po środku nocy w domu ponownie pojawił się Andrzej z wiadomościami z pierwszej ręki o zamorskim życiu przyrodnych dzieci Anastazji, które onegdaj traktowała jak swoje własne. Od ich wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, a upłynęło od tego czasu już ponad trzydzieści lat, Anastazja nie spotkała jeszcze nikogo, kto widziałby je na własne oczy i mógł wiarygodnie o nich opowiedzieć. Rano, po przywitaniu się z synem, mocno zaciekawiona zwróciła się do niego:

– Dobrze, że szczęśliwie powróciłeś. Bardzo obawiałam się, aby nic złego nie przytrafiło ci się w tej dalekiej podróży.

– Też się cieszę, mamo, że znów jestem w domu i że wszystkich widzę was przy dobrym zdrowiu. Myślałem o was wszystkich, ale najbardziej tęskniłem za Adasiem. Wydaje mi się, że on mocno urósł przez te półtora miesiąca.

– Pewnie, że urósł. W jego wieku dzieci szybko zmieniają się – odpowiedziała ucieszona matka. – Ale opowiadaj, co tam widziałeś i jak tam żyją wszyscy w Ameryce.

– Do opowiadania mam, oczywiście, wiele. Widziałem się z nimi wszystkimi. Najważniejsze, że są zdrowi, a ich życie układa się różnie.

– A czy przez cały czas byłeś u Pawła, czy też przebywałeś u kogoś innego ze swoich braci lub siostr?

– Przez cały czas byłem u Pawła. Innych też odwiedzałem, ale nikt z nich nie zatrzymywał mnie nawet na kilka godzin. To znaczy – ciągnął dalej Andrzej, – nie przez cały czas byłem u Pawła. Jeździliśmy trochę po Ameryce. Razem przejechaliśmy przez sześć stanów i byliśmy jeszcze w Kanadzie. Odwiedziliśmy nawet miejsce, gdzie ojciec mieszkał w czasie swojego pobytu w Ameryce.

¹ Wszystkie listy nadchodzące z krajów zachodnich były czytane przez cenzurę, a potem nieudolnie zalepiane, lub pakowane w folię z adnotacją, że przesyłka nadeszła z zagranicy w stanie uszkodzonym. Procedura taka powodowała opóźnienie korespondencji.

– I co tam widzieliście? – zaciekawiała się Anastazja.

– Widzieliśmy tam dużo, bo stoi jeszcze dom, który ojciec wybudował, a nawet byłem w miejscu, gdzie ojciec pracował: na kolei i w kopalni. A Paweł spotkał swojego kolegę, z którym chodził do szkoły. Potem Paweł chciał odwiedzić grób swojej matki, ale odmieniły mu się plany i niespodziewanie odjechaliśmy do Pensylwanii, gdzie spotkał swoich kuzynów ze strony matki.

– Był blisko, ale jego matka zmarła prawie pięćdziesiąt lat temu i nie miał pojęcia, gdzie szukać grobu. Potem wpadł na pomysł, że pójdzie do proboszcza i poprosi, aby on popatrzył w księgi. Ja natomiast po cichu myślałem, że z grobu tego wezmę garść ziemi i położę ją na grobie ojca w Barcinie – wyjaśnił Andrzej, a po chwili dodał: – Nie wiem, dlaczego Paweł nagle zmienił swoje plany.

– A do Kanady dlaczego pojechaliście?

– Właściwie to nie jechaliśmy do Kanady, a tylko chcieliśmy zobaczyć taki ogromny wodospad, Niagarę, który leży na granicy z Kanadą. W tym czasie przypomniałem sobie, że w pobliżu mieszka kuzyn Heli, Mikołaj Wisłocki¹ i udało mi się go odnaleźć. Paweł zostawił mnie tam, a sam powrócił do domu. Mikołaj po dziewięciu dniach zawiózł mnie z powrotem do Pawła.

– To znaczy, że nie gościł cię nikt oprócz Pawła? – zapytała zdziwiona Anastazja.

– Mamo, trzeba by dużo o tym opowiadać. Tam ludzie żyją inaczej niż tu, a poza tym oni wszyscy, to znaczy moje amerykańskie rodzeństwo, są trochę dziwni. W Ameryce nikt nie przejmuje się tak bardzo drugim człowiekiem, jak ludzie w Polsce. Jeżeli zostałbym u kogoś z nich, to tylko byłbym dla nich kłopotem. Nawet nikogo nie interesowały prezenty, które im przywiozłem. Natomiast z Pawłem bardzo dobrze nam się rozmawiało i chyba naprawdę polubiliśmy się. Bardzo ciężko nam było się rozstać.

– A jak oni tam żyją?

– My, wszyscy tu w Polsce, mamy niewłaściwe wyobrażenie o życiu w Ameryce. Nam się niekiedy wydaje, że tam wszyscy żyją jak w raju; w wielkim dostatku, bez żadnych kłopotów i zmartwień. Tymczasem jest nieco inaczej. Jest prawdą, że tam jest znacznie łatwiej żyć, bo ludziom płaci się rzetelnie za wykonywaną pracę i każdego, kto ją ma, stać na zaspokojenie podstawowych potrzeb, a nawet na dostatnie życie. Tylko, że tam też kłopoty nie omijają ludzi. Tak się złożyło, że nikt z moich braci i siostr nie miał i nie ma tam łatwego życia; każdego dotknęły jakieś kłopoty. Myślę

¹ Mikołaj Wisłocki był kuzynem Heleny ze strony jej matki. Do trzynastu lat mieszkał on w Polsce, a potem wyjechał do Kanady, gdzie już od czasu zakończenia wojny mieszkał jego ojciec.

nawet, że chociaż my tu żyjemy skromnie, to nie chciałbym zamienić swojego życia na ich sytuację.

– Wiem, że nie mieli łatwo – Anastazja przerwała opowiadanie syna. – Ojciec zostawił tam troje niedorosłych dzieci, a te, które były w Polsce, po powrocie też musiały dorabiać się wszystkiego od nowa.

– Tak, mam, to prawda, że musiały tam zaczynać życie od nowa, ale nie tylko chodzi o początek. Marysia i Andrzej żyją w samotności i nie mają dobrego zdrowia. Małżeństwo Janka i Hani nie są chyba udane i z tego, co widziałem, to myślę, że brakuje im ciepła rodzinnego. Przez to wszyscy oni czworo zrobili się jacyś dziwni, jakby wytrąceni z normalnego trybu życia. Jeden Paweł tylko wydaje mi się człowiekiem bardzo życiowym, zaradnym i towarzyskim, ale on też ma wielkie kłopoty. Wystarczy pomyśleć, co on czuje, gdy codziennie musi patrzeć na wielkie kalectwo dorosłej i nawet ładnej córki. Sam też miał poważne kłopoty zdrowotne, a jego współżycie z żoną wydawało mi się jakieś dziwne. Niby to przy mnie rozmawiali ze sobą normalnie, ale ona często skarżyła mi się, że on widzi tylko pracę, a o nią nie dba i nigdzie razem nigdy nie pojechali. Spali też zupełnie w oddzielnych pokojach. Tak więc, nie ma chyba co się dziwić, że nikt tam bardzo nie zabiegał, aby przyjmować mnie w swoim domu. Nikt też nie obdarował mnie żadnymi prezentami, nie licząc dwustu dolarów, które podarował mi Andrzej. Ja natomiast, zamiast pieniędzy, wolałbym może pozostać u niego przez kilka dni i bliżej z nim zapoznać się – z żalem dodał Andrzej.

– To, co opowiadasz, nie jest zbyt wesołe – westchnęła Anastazja. – Szkoda, bo ja tyle poświęcenia wkładałam w wychowanie tej trójki, uważam je za swoje własne dzieci i chciałabym, aby wiodło im się jak najlepiej.

– Nie ma co bardzo ubolewać nad nimi, bo niczego im nie brakuje, przynajmniej w porównaniu z naszą sytuacją. Opowiadam o nich natomiast w ten sposób, bo chciałem abyście nie myśleli, że każdy, kto jest w Ameryce, ma bez troskie życie. Nie na darmo ludzie wymyślili przysłowie, że pieniądze, to jeszcze nie wszystko.

* * *

Świeżo odnowione – dzięki podróży Andrzeja (młodszego) do Ameryki – kontakty z przyrodnim rodzeństwem zza oceanu zaowocowały teraz częstszą wymianą listów. Korespondencja nadchodziła zarówno od Hani i Andrzeja (starszego), ale najczęściej pisał Paweł, który w jednym z listów pod koniec 1971 roku zapowiedział, że postanowił wreszcie zobaczyć się ze swoją rodziną żyjącą w Polsce. Tak samo zależałoby mu na odwiedzeniu miejsc, w których dorastał i spędził swoje młodości lata. Wiedział, że nic tam nie pozostało z tamtych lat, ale bardzo chciałby przez chwilę chociaż pooddychać tym samym powietrzem, pochodzić po tych samych pagórkach

i rozejrzeć się po tych samych, zielonych dolinach i zamoczyć nogi w chłodnych, rwących potokach.

Na myśl o takim spotkaniu cieszyli się wszyscy: najstarsze siostry, Helena i Marysia, które doskonale pamiętały „amerykańską” trójkę, i niekiedy tęskniły za nimi, Zosia, która wreszcie chciałaby na własne oczy ujrzeć chociażby jedną osobę z nieznanego jej rodzeństwa, Andrzej, który zaledwie przed kilkoma miesiącami poczuł prawdziwe więzi braterskie, a potem musiał rozstać się z nimi wszystkimi. Najbardziej chyba jednak cieszyła się z mającego odbyć się, po czterdziestu latach, spotkania Anastazja, która ongiś troszczyła się o dzieci swojego męża na równi ze swoimi własnymi, wychowała je, a potem tak samo, jak on, przeżywała kolejne ich odjazdy. W rozmowach i swoich częstych opowiadaniach zawsze wspominała całą tę trójkę, przytaczając ciekawe i wesołe epizody, związane z ich zachowaniem oraz razem przeżyte powodzenia i niepokoje. Często, kiedy rozgniewany ich ojciec – w chwilach swojego wzburzenia – karmił je za zawinione, a czasem i niezawinione występki, ona zawsze, ze swoim miękkim, matczynym sercem, brała je pod ochronę. Tyle jeszcze spraw chciałoby się z nimi poruszyć, tyle żali wypowiedzieć i rozweselić duszę na wspomnienia o miłych chwilach. Wszelako nieprzejeđnany los kazał im opuścić to swoje, rodzinne gniazdo. Jednak teraz miała nastąpić chwila ponownego zbliżenia z Pawłem, która na moment pozwoliłaby jakby cofnąć stracony czas.

– Paweł pewnie chciałby pojechać w nasze strony – dzielił się z matką swoimi przemyśleniami Andrzej. – Szkoda, że nie mam samochodu.

– Ano, szkoda – odpowiadała Anastazja.

– Myślę, że i tak pojedziemy do Płonnej – dodawał po chwili Andrzej. – Paweł pewnie zechce wynająć samochód i wtedy wszyscy pojeździmy.

– A gdzie on go wynajmie? Kto mu pożyczy samochód!

– Pożyczą mu. W Warszawie są już takie firmy, które za pieniądze pożyczają ludziom samochody. Przed samym jego przyjazdem dowiem się o tym dokładnie.

Kiedy na początku wiosny Paweł napisał w kolejnym liście, że jest już gotowy do wyjazdu do kraju, wszystkie niezbędne dokumenty ma już w domu, a tylko czeka na urlop, który weźmie w cieplejszej porze roku, Andrzej w każdej wolnej chwili rozmyślał nad ułożeniem najkorzystniejszego programu pobytu w Polsce brata zza wielkiej wody. Chciał, ażeby odwiedził wszystkich z rodziny, w miarę możliwości również znajomych i kolegów, a także odbył pielgrzymkę do ziemi swoich przodków, w której pozostawił najpiękniejsze swoje lata. O wszystkim tym opisał mu więc w obszernym liście, nie omieszkując wspomnieć, że wszyscy z radością tu na niego czekają. Teraz już wszystkie sprawy wydawały się załatwionymi, a pozostawało jedynie czekać na cieplejsze dni i tę ostateczną wiadomość, pewnie telefoniczną, że należy wyjechać na lotnisko.

Pod koniec kwietnia 1972 roku nadszedł kolejny list, nadany w Haskell, niewielkim mieście w stanie New Jersey. Otwierając go, Andrzej przez chwilę zastanowił się dlaczego list tym razem nie był adresowany przez Pawła, lecz przez Patrycję, jego żonę. Jak to miał w swoim zwyczaju, Andrzej zamknął się w oddzielnym pokoju, aby najpierw sam dokładnie przeczytać nowe wieści.

Po dłuższym czasie powrócił do ogólnego pokoju, w ręce trzymał rozłożony list i drżącym głosem oświadczył matce i żonie:

– Żadnego przyjazdu Pawła już nie będzie! – W tym momencie na chwilę zamilkł, po czym przełknął ślinę i dodał: – Paweł nie żyje... List pisała Pet, jego żona...

W pokoju zapanowała wielka konsternacja. Po chwili tej przygnębiającej ciszy, pierwsza odezwała się Anastazja:

– Jak to, Paweł nie żyje? Co ty, synu, powiadasz?

– Tak, mamó, Paweł nie żyje. Zmarł siódmego kwietnia... Umarł nagle w swoim ogrodzie.... A ja jeszcze tydzień temu wysłałem do niego obszerny list... Pisałem list do nieżyjącego brata! Wszystko na nic... My się już z nim nie zobaczymy, za to zapewne on wreszcie zobaczył się z ojcem...

Mówiąc to, Andrzejowi ponownie zadrżał głos, a oczy napłynęły łzami. Wycofał się więc do drugiego pokoju i tak, przez nikogo nie niepokojony, pozostał tam aż do późnego wieczoru...

* * *

Wydawało się teraz Anastazji, że czas jakby upływał szybciej. Mijały dni za dniami, tygodnie za tygodniami. Mówią ludzie, iż zawsze wraz z pograżaniem się w dostojny wiek lata nabierają większego biegu, a potem już nawet galopują. Różne są na tę sprawę poglądy: jedni mówią, że z upływem lat człowiekowi przybywa coraz to mniej nowych wrażeń i wszystkie okresy są przez to podobne do siebie, inni zaś próbują przeliczać to według prostych rachunków, że niby jeden rok dla dwulatka to połowa jego życia, a dla pięćdziesięciolatka to tylko pięćdziesiąta część. I chociaż jeden rok jest zawsze tak samo długi, jak następny, to zawsze tak było, iż połowa to znacznie więcej od pięćdziesiątej części, a więc i okresy życia można byłoby tak rozliczać. Może nawet któryś z przytoczonych poglądów, lub innych mniemań, ma jakiś sens, ale trudno jest nad tym zastanawiać się dłużej. Zapewne już filozofowie roztrząsali ten problem i dotychczas nic praktycznego z tego nie wynikło. Liczą się jednak subiektywne odczucia każdego człowieka, a nad tym właśnie intensywnie zastanawiała się nasza bohaterka.

– Dlaczego z człowiekiem nie jest tak, jak z tymi drzewami? – niejednokrotnie głośno rozmyślała Anastazja, spoglądając przez okno z wysokiego piętra na drzewa nabierające soczystej, wiosennej zieleni. – Popatrz jak one

znowu odżywają, a człowiek tylko starzeje się i starzeje. I nie ma od tego żadnego odwrotu.

Syn, słuchający tego melancholicznego spostrzeżenia, widział oblicze matki pogrążające się w przeczuciu beznadziejności. Trudno jednak było nie przyznać słuszności takiej konstatacji. Ona zapewne przeczuwała to, nad czym on, będący niemal czterdzieści lat młodszym, nie miał ochoty jeszcze się zastanawiać. Dla niego wszystko, a więc i ostateczność, wydawało się takie odległe. Nie mógł jednak patrzeć, jak jego rodzicielka pogrąża się w smutku z tego powodu i starał się ją pocieszyć.

– Mamo, wszystko na świecie przemija – odpowiadał jej, również spoglądając na mającą się różnymi kolorami przyrodę. – Drzewa też się starzeją, tylko, że żyją nieco dłużej od nas. Dla nich wiosenna odnowa to tak, jak nasze przebudzenie się o poranku. My też codziennie budzimy się do nowego życia, a różnica jest taka, że drzewa czynią to tylko raz w roku i w sumie mają mniej od nas tych swoich poranków.

– Może to i prawda... – odpowiadała wtedy, mało pocieszona, matka.

Życie jej jednak, pomimo, że miała zapewniony podstawowy dostatek materialny i mieszkała przy najbliższej rodzinie, niejednokrotnie wydawało się nadal wielce samotnym. Wszyscy z domowników zawsze mieli swoje sprawy, za którymi musieli biegać. Mieli też swoje troski i chwile radosne. Ona natomiast niejednokrotnie poczuwała się tak, jakby to wszystko jej nie dotyczyło. Nawet niekiedy drażniły ją zbyt ciche, jak na jej mniemanie, rozmowy syna ze swoją żoną, podejrzewając nawet, że oni mają pewne sprawy, znajomość których nie jest dla niej przeznaczona.

– Co wy tam szepczecie pomiędzy sobą? Co to za tajemnice? – mawiała czasami.

– My nie szepczemy, a tylko ciszej rozmawiamy, a mamę pewnie słuchawodni i myśli, że my tu jakieś tajemnice uprawiamy – odpowiadał Andrzej.

Jego żona natomiast niejednokrotnie skarżyła się mężowi:

– Mama to pewnie najchętniej wstawiłaby sobie swoje posłanie do naszego pokoju i nawet chciałaby słyszeć nie tylko dzienne nasze rozmowy...

– Oj, Helu, to nie jest tak. Nie widzisz, że ona, chociaż mieszka z nami, jest nadal samotna. My mamy swoje sprawy, swoje rozrywki, a jej niejednokrotnie pozostało tylko czekać na nasz powrót.

Nie zawsze jednak nastrój Anastazji był tak melancholiczny. Bardzo często zbierała się i z chęcią wyjeżdżała do swoich córek, niekiedy do siostry, mieszkającej w Szczecinie, a czasem odwiedzała też dawnych lub nowo zapoznanych znajomych. Zawsze, jak tylko nadarzała się do tego okazja, lubiła w domu zasiadywać pospołu przy biesiadnym stole, razem z przychodzącymi tu gośćmi. Z wielkim zaciekawieniem oczekiwała też nowej kore-

spondencji od swojego rodzeństwa zza wschodniej granicy oraz od pasierbów zza wielkiej wody.

Jedna z ciekawszych i niespodziewanych wizyt nadarzyła się w środku lata 1974 roku. Syn, korzystający w tym czasie z urlopu, rano rozłożył się właśnie z przygotowaniami do odnawiania mieszkania. Zaczął zdejmować ze ścian różne dekoracyjne elementy, przesuwać meble i rozpuszczać farby. Anastazja, nie chcąc w tym przeszkadzać, znalazła sobie powód do wyjścia z domu. Jednak, gdy w południe powróciła, mieszkanie zastała w należytym stanie, jakby się nic z rana nie wydarzyło.

– A ty co? – zapytała. – Już odechciało ci się malowania?

– Mam teraz ważniejszą sprawę od malowania. Jutro będziemy tu mieli bardzo, bardzo ważnego gościa.

– A kto to taki?

– Dostałem telegram, że przyjeżdża do nas Andrzej z Ameryki. Dał znać, że wraca z wycieczki po Ukrainie (gdzie odwiedził Marię, swoją miłość z okresu przedwojennego i owoc tej miłości, Hanię) i jutro rano będzie w Warszawie – z radością poinformował syn, również Andrzej.

– A to ci dopiero dobra nowina! – wykrzyknęła rozpromieniona Anastazja. – Wreszcie, po tylu latach ujrzę chociaż jego na własne oczy.

Poczyniono niezbędne przygotowania na przyjęcie dostojnego gościa, a przed wieczorem Andrzej wraz z matką i Mirką, córką siostry ze Słupska, wyruszył na spotkanie, które miało się odbyć na dworcu głównym w Warszawie. Z całej rodziny najbardziej czuł się właśnie on uprzywilejowany, ponieważ widział się z bratem zaledwie przed trzema laty i uważał, że zna go najlepiej ze wszystkich, a poza tym, to miał być gospodarzem tej wizyty.

Jednak podczas prowadzonych później całymi godzinami rozmów najwięcej do powiedzenia miały dwie starsze siostry Andrzejów (starszego i młodszego): Helena i Marysia, które zamorskiego brata pamiętały jeszcze ze swoich dzieciennych lat i wszyscy razem mieli wiele do wspominania. Z wielkim zaciekawieniem z przybyłym gościem rozmawiał również Grzegorz, mąż Heleny, który – jako najstarszy – pamiętał najwięcej z okresu przedwojennego. Najbardziej jednak osobą zaciekawioną życiem przybranego syna była Anastazja. Żałowała przy tym, że wizyta taka doszła do skutku zbyt późno, bo już ponad dwadzieścia lat od śmierci jej męża, a zarazem ojca tych, sponiewieranych losem, dzieci. Wypytywano niemal o wszystko: o sprawy polityczne, ogólnie o życie w Ameryce, o losy jego rodzeństwa, o przeżycia wojenne i o wiele innych kwestii. Opowiadano mu również o własnych kolejach losu i nawzajem wyjaśniano niedokończone od wielu lat rozmowy i zaszłości. Niestety, nic jednak nie mogło odwrócić dziejów i nie udało się niczego wskrzesić z popiołów.

Wydawało się, że te rozmowy, odbywające się do późnych nocy, nigdy się nie skończą. Okresowym miejscem przebywania *Endi'ego*¹ był Koszalin, skąd codziennie wyjeżdżano dla złożenia kolejnych wizyt u rodziny. Po pewnym czasie wyznał on Andrzejowi, najmłodszemu bratu, że czuje się bardzo zmęczonym i to głównie nie z powodu wyczerpania fizycznego (od czasu udziału w wojnie z Japonią, gdzie nabawił się malarii, nie powrócił on już nigdy do pełni swoich sił), a bardziej męczyły go właśnie spotkania z coraz to nowymi osobami,



Andrzej (Amerykanin) z Heleną, żoną Andrzeja (młodszego) i ich synem, Adamem

Przyjazd Andrzeja ze Stanów Zjednoczonych powtórzył się jeszcze w następnym roku, ale i tym razem jego pobyt w Polsce nie był długi. Właściwie obydwie te przyjazdy odbywały się poniekąd przy okazji, a głównym ich celem były jego spotkania z córką i jej matką, dawną jego miłością, które żyły na radzieckiej wtedy Ukrainie. Opuszczając Polskę, czyli – jak to zwykli mówić amerykańscy Słowianie – stary kraj, *Endi*, pomimo ponownego znużenia podróżą, obiecał wypady takie kontynuować jeszcze w latach następnych, ale, niestety, zamierzenia takie już więcej się nie spełniły. W niedługim czasie niespodziewanie zmarł, pobity na ulicy w Nowym Jorku w niewyjaśnionych nigdy okolicznościach, rzekomo za sprawą osób powiązanych z nim poprzez wspólnie prowadzone interesy.

W tym samym czasie natomiast powtórna podróż na Ukrainę odbyła Anastazja, a okazję do jej odbycia tym razem stanowił pogrzeb matki, Paraskewii Chyr, z domu Babiak, która przeżyła – pomimo wielkich przeżytych tragedii, wydania na świat i wychowywania liczного potomstwa oraz ciężkiej pracy – aż dziewięćdziesiąt sześć lat. Uroczystość pogrzebowa stała się zarazem okazją do kolejnego, a zarazem ostatniego, spotkania przez Anastazję aż sześciorgo, spośród siedmiorgo żyjących, braci i sióstr. Chociaż okazja do takiego zjazdu nie była wesółą, to wyjeżdżała stamtąd pokrzepiona na duchu i nieraz później wspominała, że w najcięższych czasach nie spodzie-

¹ Angielskie, zdrobniałe, brzmienie imienia Andrzej.

wała się, iż los będzie jeszcze dla niej taki łaskawy. Bywały przecież chwile, w których zdawało się, że wszystko jest już skończone, ale jednak potwierdziło się, iż zawsze, nawet w trudnych czasach, warto mieć jeszcze nadzieję.

* * *

Rok 1978 przyniósł kolejne ważne wydarzenia. Na wiosnę Anastazja dowiedziała się, że Helena, jej synowa, powtórnie znajduje się w stanie błogostawionym. W październiku urodziła się dziewczynka, której na imię dała Katarzyna. Kasia przysporzyła grono wnuków Anastazji, których teraz razem było już jedenaście.

Wcześniej przed tym wydarzeniem, bo pod koniec lata zatelefonował do Anastazji najstarszy jej wnuk, Andrzej, syn Heleny. Poinformował ją, że w domu jego rodziców bawi rodzeństwo Piotr i Marysia, dzieci dobrych znajomych, mieszkających obecnie w Kanadzie. Koniecznie chcieliby oni zobaczyć tereny, skąd wywodzą się ich rodzice i właśnie on wybiera się z nimi na Podkarpacie. Zapytał, czy babcia nie chciałaby skorzystać z okazji i wspólnie z nimi odwiedzić swoje rodzinne strony, a zarazem posłużyć młodym ludziom za przewodnika. Oczywiście, propozycji takiej nie trzeba było dwa razy jej przedstawiać. Nieraz myślała o takiej podróży, ale dziwnym trafem nigdy dotąd nie doszło do jej zrealizowania. Chciałaby chociaż raz w życiu postawić jeszcze nogę na swojej ojczystej ziemi. Teraz zamiary takie miałyby się więc ziścić.

Podróż samochodem trwała całą noc, lecz nie powodowała ona u leciwej już podróżniczki większego zmęczenia, ponieważ miała za cel ujrzenie po latach, najdroższego chyba miejsca na ziemi, swojej drogiej Płonnej i rodzimego Przybyszowa. Anastazja wiedziała o tym, że właściwie nie ma tam do czego wracać. Obie wsie zostały doszczętnie wyludnione, pola położone na wyższych stokach porastają lasem i zaroślami, a na równiejszych polach państwowe gospodarstwa pasą owce lub prowadzą nędzną, ekstenzywną uprawę – bardziej dla wydźwięku politycznego, że zrujnowane głupimi posunięciami tereny niby to znów są przywrócone życiu, niż dla osiągnięcia jakiegokolwiek sensownego pożytku. Nie mniej jednak siła nostalgii była większa od jakichkolwiek obaw i oto wkrótce miała ujrzeć to, co przed ponad czterdziestoma laty bezpowrotnie utraciła.

Budzące się do życia słońce zaczynało przypiekać swoim żarem. Zanościło się na piękny letni dzień. Z Sanoka podróżnicy udali się w dalszą drogę przez Zagórze i dalej do Płonnej – opisaną już na początku tego opowiadania trasą. Teraz droga jednak była już znacznie wygodniejsza. Na chwilę

zatrzymali się jeszcze we wsi Mokre¹, u swoich dawnych sąsiadów z Płonnej, a później z Miszewa – u rodziny Lewczaków.

Po krótkim odpoczynku u dobrych znajomych wszyscy wyruszyli w dalszą trasę. Teraz droga prowadziła przez leśne tereny, wzdłuż doliny Osławy, największej rzeki w tych okolicach. W pobliżu wąskiej szosy co chwilę pojawiał się tor kolejowy, prowadzący z Łupkowa do Zagórza i Sanoka. Po minięciu wsi Wysoczany i kilku dalszych zakrętów, Osława oddaliła się od szosy, a przed nimi ukazał się rozległy obszar uprawnych i równych, ale obecnie zaniedbanych pól. Zbliżyli się do skrzyżowania dróg. W lewą stronę ze znacznym spadkiem odchodziła odnoga prowadząca w stronę Kulasznego i dalej do Rzepedzi. Oni jednak nadal jechali prosto.

– Stąd zaczęła się nasza nieszczęsna podróż towarowymi wagonami – przytłumionym głosem poinformowała Anastazja młodych ludzi, wskazując w stronę widocznej stacji kolejowej w Kulasznie. – Zanim podstawili pociąg, trzymali nas tu pod karabinami pod gołym niebem przez kilka dni, a potem wyruszyliśmy, nie wiedząc nawet dokąd i jak długo będzie trwała ta droga.

Te, smutne wspomnienia trwałyby może nawet przez dłuższy czas, lecz szybko pokonali łagodne, chociaż dosyć długie wzniesienie i – gdy znaleźli się na jego szczycie – przed nimi roztoczył się nowy, otwarty widok: rozciągająca się w poprzek potężna dolina z płynącymi po środku strumykami, gęsto porośnięta drzewami i mniejszymi zaroślami.

– To Płonna! – wykrzyknęła jakby zaskoczona tym widokiem Anastazja, – a tam, na wprost stoi jeszcze nasza cerkiew.

Zanim jednak dojechali do oczekiwanego miejsca, starsza pani poprosiła wnuka o zatrzymanie się, bo oto po prawej ich stronie, wzdłuż wysokiej skarpy, rozciągał się zadrzewiony teren.

– To jest nasz cmentarz. Musimy tu na chwilę zatrzymać się.

Andrzej pomógł babci pokonać wysokie zbocze i razem zaczęli przezierać się przez gęstwinę kłujących krzaków. Gdy znaleźli się po środku zrujnowanego cmentarza, dał się zauważyć wysoki krzyż, wykonany z żeliwnych elementów. Wokół istniały ślady ogrodzeń zaniedbanych grobów.

– Ten krzyż stoi na mogile naszego starego księdza, a zaraz koło niego znajdują się groby wszystkich moich zmarłych dzieci.

Anastazja zatrzymała się w tym miejscu, a obok niej stanęli młodzi ludzie, towarzyszący jej w tej podróży. Przeżegnała się trzykrotnie i głośno

¹ Wieś Mokre, z nieznanых bliżej przyczyn, została oszczędzona podczas prowadzonej w 1947 r. akcji „Wisła” i do tamtych czasów zamieszkiwała ją niemal sama rdzenna ludność. Niektóre z rodzin zdołały nawet powrócić tam z tzw. Ziemi Odzyskanych. Miejscowość ta przez długie lata stanowiła swoistą enklawę etniczną, z zachowanym językiem i obyczajami swoich przodków. W późniejszym okresie nastąpiła jednak znaczna asymilacja mieszkających w Mokrem ludzi i powoli traci ono swój pierwotny charakter.

odmówiła kilka modlitw. Chwilę postąła jeszcze w skupieniu i – pokonując wielkie wzruszenie – powiedziała:

– Siedmioro ich tu, nieszczęśników, leży.

– To aż tyle dzieci wam poumierało? – ze zdziwieniem zapytał się Piotr z Kanady.

– Nie siedmioro, a ośmioro umarło. Tu jest siedem grobów, a ósmego, w którym jest pochowany najstarszy syn, Michał, pewnie nigdy już nie zobaczę. Zabity został na froncie i pochowali go nie wiadomo gdzie.



Rodzina Anastazji podczas modlitwy za zmarłe rodzeństwo, odbytej na zaniedbanym cmentarzu w Płonnej. Zdjęcie wykonane w 2004 r.

Młodzi ludzie nie bardzo wiedzieli jak w takiej sytuacji pocieszyć strapioną matkę. Stali więc wszyscy w milczeniu przez dłuższy czas. Po chwili jednak Andrzej przemógł ten marazm, wziął Anastazję za rękę, mówiąc:

– Chodź babciu, nie możemy tu przecież stać tak długo. Nic na to nie poradzimy.

– Masz rację, nikt już tego nie wróci. Niech odpoczywają w spokoju.

Zjechali ze wznesienia, a po pokonaniu kilkuset metrów, zaraz za niewielkim mostem, zatrzymali się przy murach zrujnowanej cerkwi, w której to po wysiedleniu miejscowych ludzi barbarzyńsko urządzono magazyn zbożowy. Przez skrzypiące wrota weszli do wnętrza. Tutaj mało co już przypominało dawną świątynię, w której przez wiele, wiele pokoleń ludzie szukali ukojenia dla skołatanych dusz. Chrzczone tu dzieci, przyjmowano je do pierwszej komunii, zawierano związki małżeńskie, celebrowano pogrzeby, a przez wszystkie niedziele i święta przetoczyła się tu niezliczona rzesza wiernych. Anastazji wydawało się teraz, że wystarczy zamknąć na chwilę oczy i natężyć słuch, aby jeszcze raz usłyszeć rozbrzmiewające pomiędzy murami tkliwe śpiewy bizantyjskie, poczuć upajającą woń kadzidła, a za chwilę wyjdzie kapłan przed ikonostas i uczynionym w powietrzu znakiem krzyża pobłogosławi zebranych, śpiewając: *m-y-r w-s-i-m*, a wierni odpowiedzą mu: *i d-u-c-h-o-w-i t-w-o-j-e-m-u*¹.

¹ Pokój wszystkim / i duchowi twojemu (ukr.)

Jednak nic takiego zdarzyć się nie mogło i pewnie nigdy już się nie zdarzy... Ikonostasu już dawno tu nie było, a widniejące na nim niegdyś stuletnie malowidła świętych stały się łupem rabusiów, a może spotkał ich jeszcze gorszy los – mogły posłużyć za opał bezmyślnym grabieżcom. Zamiast woni kadzidła w murach roznosił się teraz fetor zbutwiałych resztek składowanego tu kiedyś ziarna, a kapłana nie było tu już od zakończenia wojny; w nocy, wraz z całą rodziną, w samej białiznie ucieczką do Słowacji musiał ratować życie swoje i swoich najbliższych.



Wnętrze zrujnowanej cerkwi w Płonnej. Drugi i trzeci od prawej to Andrzej i Grzegorz – ochrzczeni w tej świątyni.

Teraz zamiast błękitnego sklepienia widać było walące się belki dodatkowego podestu, który po zakręcie dziejowym wykonano dla uzyskania większej powierzchni magazynowej, a przez dziurawy dach, wcześniej ograbiony z blachy, prześwitywało szaro-bure niebo, na którym złowrogo krakały latające wrony.

– Nie mogę na to wszystko patrzeć – westchnęła Anastazja. – Chodźmy stąd, bo z żalu dłużej już tu nie wytrzymam.

Wyszli na zewnątrz.

– Popatrz babciu – zauważył zdziwiony wnuk, – a dzwonnica do tej pory nie została zniszczona i jeszcze blacha nawet z niej nie została zdjęta.

– Jakimś cudem ocalała¹ – odpowiedziała Anastazja.

Dalej szli po równym, porośniętym dziką trawą polem. Po prawej stronie straszyły jeszcze zgliszcza dawnego dworu pańskiego, które oparły się požodze, wzniecone przed laty przez „zwycięską” armię.

– Andrzejku, tu wszędzie jest nasze pole: – objaśniała Anastazja zaciekawionemu wnukowi – I tam na wzgórzu, po prawej stronie, zwane „na ruskim”, i tam za strumykiem, i tam dalej po lewej, gdzie znajdowały się grzędy warzywne. A tu, na wprost, było nasze zabudowanie. Nic z niego nie zostało.

– A teraz weszliśmy już na nasz plac. Uważajcie, bo tu była studnia. Może nie jest zasypiana i można do niej wpaść – objaśniała dalej wstrząśnię-

¹ Krąży opowiadanie, że po zdjęciu blachy z budynku cerkwi rabusie przystąpili do ograbiania dzwonnicy. Pomimo pięknej w tym dniu pogody, nagle zerwała się potężna wichura i złoczyńcę zwała ze zwieńczenia dzwonnicy na ziemię, po czym znów nastał spokój w powietrzu. Od tego czasu nikt nie odważył się powtórzyć tego rabunku.

ta przygnębiającym widokiem, przygaszona niewiasta, a po chwili dodała: – O, patrzcie, tu są jeszcze mury piwnicy, która znajdowała się pod spichrzem. Gdy spalili nam dom, to przez cały rok, aż do czasu wysiedlenia, mieszkaliśmy w nim. Nawet przez zimę musieliśmy tu wytrzymać.

– A gdzie stał dom? – zapytał Andrzej.

Anastazja odwróciła się od murów piwnicy i pokazała przed siebie.

– Dom stał tutaj, a za nim były budynki gospodarcze. Nawet śladu nie ma po wszystkim. Całe lata ciężkiej pracy w tym gospodarstwie, cała mordęga dziadka na emigracji, zostały zatracone. Tu mieszkaliśmy, rodziły się dzieci, do domu przychodzili ludzie i weselili się razem z nami, a teraz niczego tu nie ma – z żalem wspominała Anastazja.

Po chwili jeszcze bardziej posmutniała. Zrobiła kilka kroków do przodu, po czym wskazała ręką na odległe o kilkanaście metrów miejsce mówiąc:

– Tam mnie postrzelił żołnierz, a tu potem leżałam we krwi – pokazała na inne miejsce. – A dziadek, który chciał mnie ratować, został zwalony uderzeniem kolby karabinowej i leżał na tym podwórku.

Młodzi ludzie, słuchający wspomnień o tych tragicznych wydarzeniach, posmutnieli na równi z opowiadającą niewiastą. Sytuacja stała się dla wszystkich nader przygnębiająca, a szczególnie dla Anastazji bardzo wyczerpująca. Andrzej, chcąc znaleźć wyjście z tego marazmu, postanowił zmienić temat rozmowy.

– A gdzie był dom mojego ojca? – zapytał.

– Grzegorz pochodził z górnego końca Płonnej. Ich dom był daleko stąd, niemal pod samym lasem. To będzie ponad kilometr stąd. Poszlibyśmy zobaczyć to miejsce, ale tam pewnie tak samo, jak i tu, wszystko tonie w zaroślach i nie ma co oglądać.

– Masz rację, babciu. Nie ma po co tam iść. Wystarczy mi, że wiem gdzie to było – odrzekł Andrzej.

Następnie cała czwórka doszła powoli do samochodu i wszyscy udali się asfaltową drogą do Przybyszowa. W Karlikowie skręcili w lewo na szutrowy trakt, ale po ujechaniu około tysiąca metrów napotkali przeszkodę w postaci szlabanu i stojącego przy nim strażnika więziennego. Okazało się, że dalej nie można się poruszać, ponieważ wśród zgłiszczy niegdyś świetnej wsi postawiono kilka baraków, stanowiących lokum więźniów pracujących przy wypasie owiec i mizernej uprawie ziemi, z której zostali ograbieni prawowici jej właściciele. Pomimo prośb, zaklinania i błagania, nie pozwolono nieszczęsnym turystom wejść do zniszczonej do cna wioski. Tak więc Anastazja, po przejechaniu ośmiuset kilometrów, pozbawiona została nawet możliwości postawienia nogi na popiołach rodzinnego domu i odmówienia modlitwy na mogiłach rodzeństwa pochowanego na miejscowym, równie zrujnowanym cmentarzu.

– Dlaczego oni się tak nas boją? – powiedziała, niby sama do siebie, zawiadziona niewiasta. – Pewnie boją się własnego sumienia! – dodała po chwili. – Że też Bóg nikogo za to nie skarze...



Helena, wraz z bratem Andrzejem i synem Piotrem w Przybyśowie, w miejscu, gdzie kiedyś stało zabudowanie jej dziadków, a rodziców Anastazji. Zdjęcie wykonane w 2004 r. W 1978 r. miejsca tego Anastazji nie pozwolili odwiedzić państwowi funkcjonariusze.

W podróży powrotnej Anastazja rozmyślała nad dolą swoją, swoich najbliższych i wszystkich pobratymców. Od tamtych, tragicznych wydarzeń minęło przeszło trzydzieści lat, ale wspomnienia o nich zawsze mocno raniły. Podróż tę jednak musiała odbyć, aby ponownie, tym razem naocznie przekonać się, że wszystko skończyło się i może należy już bardziej realnie myśleć o życiu na przyszłość – nie koniecznie tym doczesnym...

* * *

Lata następne nie przynosiły już zasadniczych zmian w życiu Anastazji. Nadal mieszkała z rodziną syna, a przy różnych sposobnościach chętnie wpadała na kilka dni do swoich córek. Czuła się jeszcze osobą przydatną w rodzinie, zwłaszcza, że zarówno syn, jak i jego małżonka byli zajęci wykonywaniem pracy zawodowej, a w domu ktoś musiał zajmować się podrastającymi dziećmi. Równie mocno oczekiwana była jej pomoc przy prowadzeniu domu, a niekiedy też radzono się w rozwiązywaniu niektórych problemów pojawiających się w rodzinie. Radości przysparzały jej również powodzenia, jakie niekiedy dotyczyły jej najbliższych, zarówno awanse w pracy, jak również odbywane podróże, spotkania towarzyskie, czy nawet przysporzenie czegoś do posiadanego mienia. W tym czasie syn doceniany był jako długoletni już oficer, z wysokim – jak na owe czasy – wykształceniem. Zajmował odpowiedzialne stanowiska służbowe, a ponadto angażował się również w innej działalności, jak chociażby funkcja ławnika sądowego lub poprzez swoją aktywność w różnych organizacjach. Również i synowa wykonywała teraz w swoim przedsiębiorstwie samodzielne i ważne obowiązki.

Wszystko to napawało Anastazję wielką dumą. Czuła zadowolenie, że chociaż sama nie miała sposobności zgłębiania wiedzy o świecie, to jej wy-

silek na rzecz rodziny nie poszedł na marne i dzieci potrafiły znaleźć swoje miejsce w życiu. Oczywiście, nie obyło się bez momentów, w których zmuszona była do wyrażania swojego, nie koniecznie zawsze w pełni uzasadnionego, niezadowolenia i krytycznie odnosić się do poczynąń niektórych osób, lub nawet ostro protestować w niektórych sprawach. Zrozumiałym jest, że krytyka ta może częściej dotyczyła nie córek i syna, a raczej ich współmałżonków, co jest zupełnie zrozumiałe w świetle obiegowych, pejoratywnych, chociaż nie zawsze uzasadnionych, opinii o teściowych, a nawet krążących na ten temat dykteryjek.



Od lewej siedzą: Jarek, syn Zofii, Anastazja, Adam, syn Andrzeja i Heleny, Kasia. Zdjęcie z roku 1981.

Niemilościernie pędzący czas pokazywał swój ślad nie tylko poprzez dorastanie wnuków, ale odciskał również swoje zęby na zdrowiu przechodzącej w poważny wiek Anastazji. Na stanie jej organizmu swoje znaki uczyniły również wszystkie dotychczasowe przeżycia, ciężkie zranienie podczas tak zwanych „akcji” oraz wykonywana od małego dziecka, mozolna, nierzadko odbywająca się w niehigienicznych¹ warunkach, praca. Zwłaszcza na szczególne uciążliwości narażona była od czasu, kiedy to, jako wdowa, pozostała sama na gospodarstwie. Teraz niemal osiemdziesięcioletnia kobieta coraz częściej odbywała wizyty w gabinetach lekarskich, a w domu, pomiędzy jej rzeczami, stałe już miejsce zajmowały liczne medykamenty. W samopoczuciu swoim nie załamywała się, chociaż nieraz żartem wspominała, szczególnie, gdy ktoś z domowników nieopatrznie wypowiadał jakieś uwagi na jej temat:

- Niedługo wam się ustąpię z tego miejsca. Już swoje przeżyłam i należałoby myśleć o przechodzeniu na tamtą stronę... Tam na mnie czekają...
- A kto tam na was czeka? – pytał syn, podtrzymując żartobliwy ton.

¹ Przykładem szkodliwej pracy może być ręczne, bez żadnych osłon, rozsiewanie nawozów sztucznych, a szczególnie pylistego, czarnego azotniaku, który miał bardzo wyniszczające działanie na wszystkie organy wewnętrzne.

– Jest ich tam niemało; więcej, niż was tutaj. Oni wszyscy z radością mnie tam przyjmą i pewnie pomyśleli już o przygotowaniu dla mnie miejsca.

– Może i myślą o tym – odpowiadał Andrzej, – ale nie ma się co tam spieszyć. Tam każdy zdąży.

– Tak, tam każdy zdąży – potwierdzała Anastazja. – I to szybciej niż niejednemu się wydaje – dodawała po chwili.

Występujące kłopoty zdrowotne powtarzały się teraz coraz częściej. Krytycznym okresem był rok 1984. Jeszcze w lutym tego roku zebrała się cała najbliższa rodzina, aby uczcić jubileusz osiemdziesiątych urodzin swojej matki. Po wspólnym, niecałkowicie udolnym, wykonaniu podniosłej pieśni *Mnohaja lita*, goszczono się długo i radośnie. Po jubileuszu tym następowало jednak systematyczne pogarszanie się zdrowia. Kiedy po konsultacjach medycznych okazało się, że niezbędny jest zabieg chirurgiczny¹ i pytano się, czy w takim wieku nie jest to przedsięwzięcie zbyt ryzykowne oraz czy mogą jeszcze opłacić się takie cierpienia, uzyskano jednoznaczną odpowiedź prowadzącego chirurga:

– Ryzyko jest zawsze, ale jak można się pytać, czy się opłaci przedłużyć komuś życie o parę, chociażby, lat, to ja nie rozumiem. I proszę więcej razy mi takich pytań nie zadawać!

Obawy mieli wszyscy: i rodzina, i lekarze, a przede wszystkim sama chora. Chociaż było to poważne przejście, to jednak Anastazja zniosła je dzielnie i z pełną godnością. Poprawa jej stanu zdrowia i samopoczucia była teraz widoczna z dnia na dzień. Wcześniej jednak, nie będąc do końca pewnym epilogu tego wydarzenia, syn powiadomił najmłodszego z braci chorej, Michała, mieszkającego w Użhorodzie na Zakarpackiej Ukrainie, aby zechciał jeszcze raz odwiedzić swoją siostrę. Kiedy Michał dotarł do Koszalina, to Anastazja znajdowała się już w domu i było wiadomo, że nie grozi jej już nic złego. Tak więc w efekcie poważne przejścia, związane z jej zdrowiem, stały się jeszcze jedną okazją do rodzinnego spotkania. Nie jest wykluczone, że spotkanie to miało również krzepiący wpływ na przebieg rekonwalescencji. Z wizyty tej cieszyli się również inni członkowie rodziny, bo była to kolejna okoliczność do licznych wspomnień z minionych lat jakimi przepełnione były długie rozmowy bliskich krewnych, a zarazem starych przyjaciół.

Po pewnym czasie stan zdrowia Anastazji poprawił się na tyle, że ponownie stała się w pełni samodzielną, a nawet nadal pomagała w utrzymaniu domu. Radowała się z dorastających wnuków i irytowała się ich swawolami. Szczególnie niepokoiły ją działania Adama mające na celu wykazanie pełnej dominacji nad młodszą siostrą. Czteroletnia natomiast Kasia, słabsza jako dziewczynka, ale nie mniej rezolutna, dla odegrania się nad starszym o

¹ Zabieg ten dotyczył układu żółciowo-wątrobowego.

ponad osiem lat bracie, musiała niejednokrotnie uciekać się do fortelu. Pewnego razu, nie mogąc bezpośrednio pokonać Adama, postanowiła zadziałać poprzez jego kota. Pod pretekstem zabawy zaniósła go do łazienki i – zamknięta od wewnątrz – uczyła tego czworonoga, mającego wrodzoną awersję do wody, sztuki pływania w napełnionej wannie. Przeżywany z tego powodu stres był znacznie silniejszy u Adama niż u zniewolonego futrzaka. Oczywiście, po zakończeniu zajścia, Adam podjął odpowiednie działania odwetowe. Przypadki podobnego, przekornego działania dziewczynki powtarzały się potem niejednokrotnie. I chociaż bezsilna nieraz babcia zajściami była niekiedy mocno umęczona, to w gruncie rzeczy radowało się jej serce na widok witalności wnuków.



Cieszyła się również poczynaniami dorastających lub już dorosłych wnuków, wywodzących się od córek. Przykładowo wielce uradowana była, kiedy dowiedziała się, iż najstarszy jej wnuk, Andrzej ma zamiar pojąć za małżonkę Jadzię Czapiewską, która wcześniej utraciła ro-

dziców i często korzystała z opieki swojej babci, zamieszkałej w tej samej wsi, w której mieszkała najstarsza córka Anastazji, Helena. Ale również razem z córkami cierpiała, kiedy to wnukom zagrażały jakiekolwiek niepowodzenia lub działania ich nie były do zaakceptowania. Chętnie też Anastazja spieszyła wszystkim dzieciom ze swoją radą, nawet wtedy, gdy rad takich może nie zawsze oczekiwały lub były one nie po ich myśli. Kiedy już wyczuła okazywane niezadowolenie z jej nieproszonej ingerencji w jakiekolwiek sprawy, zbierała się i jechała do kogo innego, albo wracała do Koszalina, gdzie czuła swój dom, miała własne lokum i uważała, że nikogo nie musi o nic prosić. Teraz nikt nie miał wątpliwości w odpowiedzi na wcześniej stawiane pytanie, czy opłacalne jest poddawanie się operacji u osiemdziesięcioletniej kobiety. Przeżyte z tego powodu cierpienia wynagrodzone już zostały darowanym okresem aktywnego i większości radosnego życia.

* * *

Tak więc w pełnej aktywności i rodzinnej miłości upływały kolejne dni, miesiące i nawet lata, których siłą praw natury pozostawało coraz to mniej do przeżycia. W grę wchodziły tu nie tylko matematyczne obrachunki kalendarzowe, ale również postępujące osłabienie sfatygowanego wcześniej organizmu. Teraz ponownie zaczęły odnawiać się dawne słabości. Coraz częściej we znaki dawały się zmiany reumatyczne, powodujące ograniczenie

możliwości dłuższego chodzenia i spowodowane ciężką pracą pogorszenie wydajności układu oddechowego. Ale największe zagrożenie pochodziło od nawracających się zaburzeń układu wątrobowo-żółciowego.

Wykonywane badania lekarskie i analizy laboratoryjne wykazały konieczność ponownej hospitalizacji Anastazji. Wiadomość o tym została powzięta przez nią z wielkimi obawami. Wiedziała, że każde pogorszenie się stanu zdrowia teraz może prowadzić do poważnych następstw.

Wkrótce nadszedł czas nieuchronnego położenia się w szpitalu. Syn z samego rana, tłumiąc w sobie zaniepokojenie, oświadczył:

– Nie ma rady, mamu, dzisiaj musimy udać się do szpitala. Tam wszystko przebadają dokładniej i podejmą odpowiednie metody leczenia.

– Wiem, że muszę tam iść. W domu już dłużej chyba nie wytrzymam, ale tam mi też pewnie niewiele pomogą. Czuję, że nadszedł już mój czas i żadne działania lekarzy na to nic nie mogą poradzić.

– Tak nie trzeba powiadać. Poprzednio tak samo mama mówiła. I co? Opłaciło się, aby jeszcze dalej żyć. Teraz też nie będzie inaczej.

Zabrali więc przygotowane wcześniej rzeczy i wyszli z domu. Przed blokiem Anastazja przystanęła, niby to dla wyrównania oddechu i odpoczynku dla sfatygowanej nogi, ale właściwie to chciała jeszcze raz popatrzeć na dom, w którym mieszkała. Ponaglana przez syna, stała przez chwilę odwrócona, mówiąc:

– Czekaj, nie bądź taki niecierpliwy. Chcę jeszcze raz popatrzeć na swoje okno, bo wydaje mi się, że już tu nie powrócę.

Stwierdzenie takie, wypowiedziane przy wyjściu z domu starszej osoby, udającej się do szpitala, mogło przyprawić każdego o złe skojarzenia, ale Andrzej nie chciał podtrzymywać minorowego nastroju, tym bardziej, że sam również był pełny obaw.

– Mamu, nie trzeba sobie teraz żartować. Należy poważnie podejść do potrzeby leczenia i być dobrej myśli. Na nieszczęścia czas przyjdzie sam i nie należy ich wywoływać.

Niestety, procedura przyjęcia do szpitala ze względów na trudności w dokładniejszym ustaleniu rodzaju schorzeń i określeniu, który z oddziałów powinien zająć się leczeniem sfatygowanej ciężkim życiem starszej niewiasty, trwała bardzo długo. Trudności te zapewne mniej wynikały z przesłanek medycznych, a bardziej były wynikiem panującej od lat – i ciągle pogłębiającej się w polskim systemie leczniczym – znieczulicy na ludzkie cierpienia. Ostatecznie mocno osłabiona Anastazja znalazła się na przydzielonym łóżku, oczekując na pokonanie kolejnego etapu procedury lekarskiej, w którym mogłaby już liczyć na udzielenie jakiegokolwiek pomocy.

Przez kilka następnych dni konkretnego rozpoznania przyczynowego raczej nie było, a tak zwany lekarz prowadzący skupił się raczej na podawaniu środków wzmacniających i zmniejszających cierpienia. W wyniku tego na-

wet uległo pewnej poprawie samopoczucie chorej. Często tak bywa w zwyczajach wielu ludzi, że wcześniejsze niedomagania w braku kontaktów z bliskim człowiekiem w czasie jego normalnej egzystencji, starają się nadrobić odwiedzinami w czasie jego choroby. Tak też musiało być i w tym przypadku. Chorą odwiedzało więc wiele osób spośród najbliższej rodziny, dalszych krewnych, a nawet znajomych – aż do stwarzania niekiedy uciążliwego natłoku. Jednak Anastazję wcale to nie deprymowało; jako zawsze osoba nader towarzyska i teraz lubiła kontakty z ludźmi.

Pobyt w szpitalu przedłużał się, a więc i siłą rzeczy odwiedziny stawały się coraz to rzadsze. Teraz ponownie o chorą troszczyły się osoby wspólnie z nią zamieszkujące, to jest syn i Helena, jego małżonka. Czasami przychodzili oni ze swoimi dziećmi – niespełna dziewięcioletnią Kasią i siedemnastoletnim Adamem. Odwiedziny matki weszły nawet w codzienny rozkład zajęć Andrzeja, który to zawsze po pracy zajeżdżał do niej na chwilę, a potem jeszcze raz wieczorem przynosił jej niezbędne rzeczy i przebywał z nią przez dłuższy czas.

Pewnego jednak razu, w trzecim tygodniu tej, niezupełnie skutecznej terapii, przybyły na oddział Andrzej – ku swojemu zdumieniu – nie zastał tam swojej matki. Współlokatorzy sali poinformowali go, że Anastazja w minioną noc przechodziła wielki kryzys zdrowotny. Popadała w omdlenia i duży niepokój, wołając o pomoc i przywołując w niezupełnie zrozumiały sposób wiele osób. Lekarz dyżurny nie umiał sobie z tym poradzić i po konsultacjach zdecydowano, że – być może – pilnie będzie konieczny zabieg chirurgiczny, w związku z czym przeniesiono ją na inny oddział. Andrzej zabrał więc przyniesione wcześniej rzeczy, a następnie odnalazł matkę na chirurgii w stanie znacznie osłabionym. Jednak żaden z lekarzy nie potrafił udzielić informacji co do planowanych metod leczenia i tak pozostało przez kolejne dni.

Wobec narastającego osłabienia i nadal występujących sensacji duchowych, powodowanych permanentnym niedoborem cukru w organizmie, Andrzej zrozumiał, że rokowania co do możliwości wyzdrowienia matki są raczej mierne. Powiadomił więc o tym swoje siostry z prośbą, aby zechciały ją jeszcze odwiedzić. Przybyła na miejsce najstarsza z córek, Helena, widząc matkę podłączoną do wielu instalacji fizjologicznych i nieustannie wzmacnianej glukozą, sama popadła w osłupienie. Uznała, że nie ma już szans na jej wyzdrowienie, a właściwie trwa już agonია, a tylko wielka niemoc nie pozwala Anastazji na opuszczenie tego świata. Przypomniła sobie w tym momencie zabobonny pogląd starych ludzi, że choremu łatwiej jest zejść, jeżeli zdaje sobie on sprawę ze swojego położenia. Postanowiła więc uświadomić matce jej sytuację.

- Mamo, mamo, czy mnie słyszycie? – odezwała się po namyśle.
- Słyszę cię, słyszę, moje dziecko.

– Mamo, oni was tu męczą, jak Żydzi męczyli Jezusa. Czy wy wiecie, że będziecie już umierać? – kontynuowała Helena. – Lekarze nic wam już nie pomogą, na was nastał już czas...

Zachowanie takie nie spodobało się współlobnym członkom rodziny, a najbardziej na takie *dictum*¹ poczuł się oburzony brat, który uważał, że chorego do końca należy podtrzymywać na duchu.

– Jak tak możesz mówić do mamy? – zaprotestował ostro.

– Ja dobrze robię, bo choremu trzeba prawdę powiedzieć, to przestanie się męczyć i szybciej umrze.

– Dobrze żeś to wypowiedziała! – oburzył się brat. – Będę to pamiętał i też ci kiedyś powiem, że nie ma już żadnych szans. *Teraz pójdziesz już na pohybel* – oświadczył i zobaczymy jak się poczujesz...

Następnie Helena zaproponowała, aby nie poddawać już mamy torturom polegającym wprowadzaniem na siłę w nią różnych płynów infuzyjnych, które tylko przedłużają agonię.

– Mama nie powinna się tu męczyć pod tymi aparatami – powiedziała – i chcę ją zabrać do swojego domu. Ona u mnie zawsze czuła się jak na swoim własnym. Przecież w Miszewie mieszkała trzydzieści lat. Niech tam дочека swojej godziny.

– A ty wiesz – odezwała się na to Marysia, młodsza siostra Heleny, – że mama bez kroplówki i zastrzyków nie wytrzyma jednej doby?

– Wiem o tym, ale z tymi urządzeniami też długo nie wytrzyma, a przynajmniej szybciej przestanie się męczyć – odpowiedziała na to Helena i poszła zapytać ordynatora oddziału, czy może wypisać chorą do domu.

Ordynator na takie zapytanie wyraził swoje niezadowolenie i stanowczym tonem przerwał dyskusję:

– Czy wy wiecie, że ona poza szpitalem w ciągu kilku godzin zginie?

– My chcemy tylko ulżyć mamie w cierpieniach – odpowiedziała Helena. – Nie chcemy zrobić nic złego. Pan sam przecież wie najlepiej, że ona nie ma żadnych szans, a te wszystkie sztuczki tylko przysparzają jej męczarni.

– Nie ma mowy o żadnym przekazywaniu chorej do domu – odpowiedział doktor Kawecki, – a co do jej szans na wyzdrowienie, to proszę tak pochopnie nie wyrokować, bo nikt nigdy nie wie jaki jest los człowieka. Ostatecznie i tak Bóg o tym decyduje i zdarzają się nieoczekiwane powroty do zdrowia. Proszę spokojnie czekać, a w jaki sposób problem rozwiąże się, to zobaczymy.

Na tym skończyła się ta dziwna dyskusja. Odwiedzający rozjechali się do domu. Umęczonym i zatrwożonym Andrzejowi i jego małżonce najbardziej wytrwale w posłusze dla zmizerowanej matki nieustannie teraz poma-

¹ Słowo, postanowienie (łac.)

gała siostra Marysia, która codziennie niemal dojeżdżała ze Słupska lub nocowała u brata, aby wystawać po wiele godzin przy łożu matki.

W sobotę rano miał się zakończyć dla Marii ten nieszczęsny dyżur, a zmienić ją miała siostra Helena. Andrzej natomiast zajął się w tym czasie innymi pilnymi sprawami. Po południu, jak codziennie, udał się do szpitala i wielkie było jego zdumienie, gdy zobaczył, że zamierzona zmiana wcale nie nastąpiła, bo najstarsza siostra nie dotarła do Koszalina, a Marysia stoi tam niemal już całą dobę.

– Przepraszam cię Marysiu, ale nie wiedziałem, że Helena nie dojechała i że ty tak długo jesteś tu bez odpoczynku i posilenia się.

– Nie jest tak źle – odpowiedziała Maria. – Jakoś tu wytrzymuję, a w posileniu się pomogły mi pielęgniarki, z którymi już się zaprzyjaźniłam. Poczęstowały mnie też kawą i nic mi nie jest.

– To dobrze – odpowiedział brat. – Teraz ja tu zostanę, a ty idź i trochę odpocznij. Zaraz cię odwiezę samochodem do domu.

– Nie trzeba mnie odwozić. Ja tu dzisiaj chcę być jeszcze dłużej.

– Jeżeli tak, to będziemy tu razem. Będzie mamie raźniej, jak nas tu więcej będzie widziała.

Stan chorej znacznie się pogorszył. Właściwie, to przy życiu pozostawiała tylko dzięki podtrzymywaniu ją płynami z różnymi preparatami infuzyjnymi. Chwilami trudno było odgadnąć, czy Anastazja jest jeszcze świadoma. W mówieniu często nie zwracała się do obecnych, a zdawało się jakby rozmawiała z kimś innym, nie zauważalnym dla stojących w pokoju osób, przywołując różnych ludzi z imienia.

– Posłuchaj no – cichutko Marysia zwróciła się do stojącego obok brata, – zdaje mi się, że wszystkie te imiona, które mama przywołuje to są ludzie z naszej rodziny: ojciec, zmarłe rodzeństwo, pewnie też rodzice i rodzeństwo mamy. Ona nie mówi wcale do nas...

Andrzej już wcześniej zauważył to samo, ale nie śmiał tego głośno wypowiedzieć.

– Mnie się też tak wydaje – odpowiedział po chwili i zaczął dokładniej wsłuchiwać się w treść tej tajemniczej rozmowy.

– *Andrijciu* – mówiła mocno przyduszonym głosem chora, – dlaczego tak mało was tu jest? Dlaczego nie przyjdziecie wszyscy i nie zabierzecie już mnie stąd?

A po chwili dalej można było słyszeć:

– Jak tu jest ładnie! Takie ładne tu łąki, i kwiatów tyle... Jak tu cudowne światło świeci... Wszyscy tu są: i Polki, i Ukrainki... Wszyscy razem...

W odpowiedzi nikt się jednak nie odezwał.

Na chwilę nastało milczenie, po czy znów można było usłyszeć podobne, niemal mistyczne nawoływania, przechodzące w relacje.

Późnym wieczorem nastąpił kolejny kryzys. Widać było, że w Anastazji mocno narasta wewnętrzny niepokój, spowodowany prawdopodobnie wielkim niedoborem cukru w organizmie¹. Przestały pomagać nawet kolejne iniekcje, które tylko powodowały rozdymanie, pozbawionego wszelkich funkcji filtracyjnych, ciała. Widząc okropne cierpienia matki Andrzej poprosił lekarza, aby spróbował ulżyć jej jakimiś niezwykłymi środkami. Wstrzyknięcie niewielkiej dawki preparatu spowodowało nieznaczny powrót organizmu do równowagi, ale systematycznie zaczęło spadać ciśnienie krwi.

W tym czasie nastąpiła trudna do określenia zmiana w zachowaniu Anastazji. Gestem dała znać, że chce, aby ująć ją za rękę. Przez jakiś czas jedną rękę trzymał syn, a drugą córka, a ona słabiutkim już uściskiem dawała poznać, że jest świadoma tej sytuacji. Przez cały czas tętno spadało, a oddech uspakajał się.

Nastała już późna noc i zaczął się dwudziesty szósty dzień kwietnia. Na zewnątrz panowała bardzo ciepła, istnie wiosenna pogoda. Przez nieco uchylone okno dał się słyszeć tylko lekki poszum powietrza. Wewnątrz pojedynczej sali panował całkowity spokój. Już nie było słychać odgłosu niepokojów chorej, a tylko po falowaniu ciała można było zauważyć, że jeszcze oddycha. Na całym oddziale panował zupełny spokój, a w przestrzeni pomieszczenia dał się wyczuć jakiś dziwny, ezoteryczny nastrój, powodujący mrowienie ciała stojących tam osób. Nastrój ten, chociaż nadzwyczaj spokojny, był trudny do zniesienia. Po jakimś czasie trwania tej przedziwnej atmosfery, Andrzej ujął siostrę za rękę, w milczeniu dał jej do zrozumienia, aby cofnęła się z sali w stronę korytarza. Gdy już przestąpili próg, ściszym głosem powiedział:

– Marysiu, mam przeczucie, że nie powinniśmy być w tej sali. Wydaje mi się, że my tam nie jesteśmy sami, a tylko przeszkadzamy w tym, co się dzieje. Poczekajmy teraz na korytarzu.

– Ja już od dłuższego czasu odczuwam to samo. Aż ciarki mi przecho-
dzą po ciele. Masz rację: my tam nie jesteśmy potrzebni.

Przez kilkanaście może minut rodzeństwo, przygaszone osobliwym na-
strojem tej tajemniczej chwili, stało w milczeniu na korytarzu, spoglądając
przez otwarte drzwi na matkę kończącą swoje życie. Wszystko jednak dzia-
ło się w wielkim skupieniu i kojącym spokoju. Wtem, falujące dotychczas
pod wpływem krótkich oddechów, ciało uspokoiło się, po czym nastąpiło
podwójne drgnięcie obu rąk i nóg i został wydany ostatni wydech.

– Marysiu, to chyba już koniec – wyjąknął Andrzej, przytrzymując sio-
strę za rękę.

– Pewnie już koniec.... – potwierdziła spokojnie, ale z wielkim żalem
Maria.

¹ Stan taki występuje w schorzeniu zwanym hipoglukemią.

W tym momencie stało się coś nieoczekiwanego. Dotychczas lekko uchylone okno, zawsze mocno ocierające o podniszczzone framugi, zaczęło powoli otwierać się całkowicie na oścież, a przez powstałą w ten sposób wolną przestrzeń dał się słyszeć energiczny przepływ powietrza. Andrzej przekroczył próg, podszedł do tego okna i powoli, pokonując znaczny opór nakapanych starych farb, domknął je do poprzedniej pozycji. W tym czasie na salę weszła pielęgniarka.

– Pójdę powiadomić lekarza, aby dopełnił swoich formalności – rzekł Andrzej i oddalił się do pokoju lekarskiego. Gdy za moment powrócił, ujrzał osobliwą scenę: na łóżku leżało ciało matki, a po środku sali stały dwie, mocno przyciśnięte do siebie niewiasty, jakby w geście pocieszenia lub wielkiego przestachu. *Pewnie Marysia doznała szoku w wyniku przeżywanego żalu, a pielęgniarka ją pociesza* – pomyślał Andrzej. Po chwili zauważył jednak, że tym razem obydwie skrzydła okienne otwarte są zupełnie na oścież.

– Co tu się wydarzyło? – zapytał, gdy niewiasty uspokoiły się nieco i przyjęły normalną postawę.

– Nie wiem co – odrzekła Maria. – Gdy tylko wyszedłeś z pokoju, to obydwie skrzydła okienne otworzyły się, ale tym razem nie odbyło się to spokojnie, ale z wielkim traskiem, aż odbiły się od ścian. Nie wiem jak to się stało, bo widzisz, że na zewnątrz nie ma wcale wiatru.

Oczywistym było, że to nie od wiatru, a jakiegokolwiek wyrokowanie, co to za siła mogła spowodować takie zdarzenie byłoby w tej sytuacji niewłaściwe. Po niewielkiej chwili pojawił się lekarz, który po utwierdzeniu się o prawdziwości zgonu, powrócił do swojego pokoju.

– Proszę państwa – powiedziała pielęgniarka, – teraz muszą być dopełnione pewne czynności, związane z zasadami postępowania ze zmarłymi. Dla rodziny nie są to przyjemne chwile. Dlatego proponuję, o ile państwo sobie tego życzą, pomodlić się i udać się do domu na spoczynek. W sprawie wszelakich formalności proszę przyjść w dzień.

Tak też uczyniono.

Cała rodzina jednomyślnie uznała, że najbardziej odpowiednim miejscem pochówku będzie cmentarz w Barcinie, w tej samej miejscowości, gdzie przed trzydziestoma trzema laty złożono ciało ojca, a zarazem męża Anastazji. Nie tylko wyznaczenie wspólnego miejsca wiecznego odpoczynku tych dwojga ludzi przesądziło o wyborze cmentarza. Wszyscy na uwadze mieli również fakt, że dla matki parafia tamta stanowiła od lat jakby jej ziemie ojczyste. Tu dawno już temu, ze wspólnej woli z mężem, obrała sobie stałe miejsce do życia, tu gospodarzyła, modliła się i miała najwięcej znajomych i przyjaciół.

Spontanicznie ustalono również, że gdyby zmarła mogła na to spojrzeć i wyrazić swoje zdanie, to najbardziej byłaby zadowolona, gdyby pogrzeb

odbył się w obrządku greckokatolickim. To była jej rodzinna religia i pomimo, że często uczęszczała do kościoła o obrządku łacińskim, to w sercu zawsze nosiła przyzwyczajenia do religii swoich przodków. Miejscowy proboszcz rzymskokatolicki dotychczas nie spotkał się z taką propozycją i na początku podchodził do niej z wielką rezerwą. Gdy już przekonano go, że parafia nic na tym nie straci, to wysunął jeszcze taki argument:

– No dobrze, ja nic nie mam przeciwko obrządkowi bizantyjskiemu. To jest przecież jedna religia katolicka, ale powiedzcie, co miejscowy proboszcz miałby do zrobienia podczas takiej liturgii. Ja przecież nie znam się na tych obrzędach. Chyba pozostanie mi być ministrantem na ten czas...

– Nie będzie ksiądz ministrantem. Może przecież asystować przy mszy, a zresztą wy, kapłani, już dogadacie się między sobą – wyjaśniła mu najstarsza z dzieci zmarłej, Helena.

W przeddzień pogrzebu przywieziono zwłoki zmarłej i ułożono je na poczesnym miejscu w domu Heleny. Ludzie ze wsi i okolicy tłumnie przybyli na modlitwy różańcowe. Na drugi dzień oczekujący tłum powitał proboszcza parafii greckokatolickiej ze Słupska, który przybył w asyście chóru. Wszyscy rozstąpili się, torując drogę kapłanowi do zmarłej. Gdy wkrótce nad trumną rozległ się donośny śpiew celebransa: *Chrystos wskres iz martwych. Smertiju smert' podoław¹*..., wybuchł spontaniczny płacz domowników i potomnych.

– Co to się stało, gdy ksiądz zaśpiewał to wasze *Chrystos wskres*...? – pytali sąsiedzi obrządku rzymskokatolickiego po zakończeniu tej części liturgii. – Dlaczego wszyscy płakali w tym momencie? – pytali dalej.

Objaśniono potem wszystkim zebranym, że właśnie trwa okres po Wielkanocy, a słowa „*Chrystos wskres*”... stanowią element wysoce uroczystego i radosnego śpiewu cerkiewnego w tym okresie. Zaś nasilenie żalu wynikało z tego, że radość ze zmartwychwstania Chrystusa nie mogła już być udziałem Anastazji – przynajmniej w naszym wymiarze rzeczywistości.

Po wniesieniu ciała zmarłej do kościoła Świętej Anny w Barcinie i zebraniu się wszystkich uczestników pogrzebu, wkrótce wyszli dwaj celebransi z różnych obrządków tej samej religii i, po okadzeniu ołtarza, trumny i wiernych, kapłan – zwrócony przodem do ołtarza – uniósł biblię ponad głowę i po raz pierwszy w dziejach tej świątyni rozległ się donośny i uroczysty śpiew:

*Благословенне царство отця, і сина, і святого духа...*²

* * * K o n i e c * * *

¹ Chrystus zmartwychwstał spośród martwych. Śmiercią śmierć pokonał (ukr.)

² *Blahosłownenne carstwo otc'ja i syna i swjatocho ducha...* - Błogosławione królestwo ojca i syna i świętego ducha... (ukr.). Słowa liturgii rozpoczynające mszę świętą w obrządku greckokatolickim. Po kilku latach w kościele p.w. Św. Anny w Barcinie zaczęto już regularnie odprawiać msze święte w tym obrządku.

S u p l e m e n t

1. Wykaz osób wchodzących w skład opisywanej rodziny

Rodzice Andrzeja Priadka, seniora

Michał – * ok. 1846 + ok. 1891
Ewa (z d. Paszkiewicz) – * ok. 1848 + ok. 1893

Rodzeństwo Andrzeja (dzieci Michała i Ewy):

Piotr – * 1869 + pozostał na rodzinnym gospodarstwie
Anna – * 1870 + 1930 wyszła za mąż za Ananiewicza w Płonnej
Paraska – * 1872 + 1924 wyszła za mąż za Czarnego w Płonnej
Dymitr – * 1875 + 1931 ożenił się u Fiedów w Przybyszowie
Andrzej – * **4.10.1881 + 20.05.1954**
Maria – * 25.8.1885 + 9.1.1953 wyszła za mąż za Birosza w Przybyszowie
Paweł – * 1886 + 1918 wyjechał do USA, zmarł tragicznie
Jan – * 14.04.1889 + 14.04.1967 gospodarzył na farmie z bratem Filipem w USA
Filip – * 16.07.1891 + 6.02.1974 był farmerem, opiekował się dziećmi Andrzeja

Nie jest wykluczone, że w rodzinie tej były również inne dzieci, zmarłe krótko po urodzeniu lub w młodym wieku.

Rodzice Anastazji z domu Chyr

Jan * 1876 +1959
Paraskewia (z d. Babiak) * 1878 +1974

Rodzeństwo Anastazji (dzieci Jana i Paraskewii z d. Chyr)

Anna – * 1902 +1914,
Anastazja – * **2.02.1904 + 26.04.1987**
Mateusz – * 1906 + 1911
Mikołaj – * 1907 + 1977
Andrzej – * 1912 + 1980
Teodor – * 1916 + 1996
Stefan – * 1919 + 1939 (zaginął na wojnie)
Maria – * 1922 + 1903
Pelagia ur. – * 25.05.1925 + 2005
Michał – * 1928 + 2003
Anastazja – * 1930 + 2012

Dzieci Andrzeja z pierwszego małżeństwa (z Katarzyną z d. Tymcio)

Maria – * 1909 + 2000
Jan – * 1911 + 1975

Michał – * 1914 + 1931
 Paweł – *1916 + 1972
 Andrzej – *1918 + 1977
 Anna – *1920

Dziecko Anastazji z pierwszego małżeństwa (ze Stefanem Zachar)

Michał Zachar – * 1924 + 17.02.1945 (zginął na wojnie)

Dzieci Andrzeja i Anastazji z d. Chyr

Piotr – * X.1928 + 1929
 Helena – * 26.9.1929
 Maria – * 1931 + 1932
 Maria – * 19.7.1933
 Piotr – * 1935 + 1935
 Ewa – * 1936 + 1938
 Olga – * IX.1938 + 1939
 Zofia – * 3.IV.1940
 Stefan – * 2.IV.1942 + VIII.1942
 Mikołaj – * 2.IV.1942 + VIII.1942
 Andrzej – * 9.V.1943

2. Późniejsze dzieje niektórych postaci wspomnianych w opowiadaniu

Dzieci Andrzeja z pierwszego małżeństwa, żyjące w USA

Maria

Po wyjeździe Andrzeja z młodszymi dziećmi do Polski pozostała w Ameryce z dwoma braćmi: Janem i Michałem. Pracowała jako pomoc domowa u aptekarza pochodzenia słowackiego w stanie Zachodnia Wirginia. Używanie w tym domu rodzimej mowy spowodowało nabycie przez nią akcentu słowackiego. Kłopot, jakiego nabawiła się w dzieciństwie (uszkodzony staw biodrowy) utrudniało jej warunki życiowe. Uważana jednak była za duchową opiekunkę młodszych od siebie braci.

Następnie przez jakiś czas przebywała w Pensylwanii w pobliżu rodziny swojego stryja, Filipa. Utrzymywała też kontakty z ciocią i kuzynami ze strony matki zamieszkałymi w miejscowości Greenville w Pensylwanii. Gdy powrócili z Polski do Ameryki młodszy bracia Andrzej i Paweł oraz siostra Anna przez jakiś czas mieszkali wszyscy razem, a potem w pobliżu siebie na Manhattanie w Nowym Jorku.

Po powrocie braci z wojny w 1945 roku zamieszkała w pobliżu Pawła w Haskell w stanie New Jersey. Tu zatrudniła się w zakładzie konfekcyjnym jako

szwaczka. Przez cały czas wiodła samotne życie, co w połączeniu z trudnościami w chodzeniu, wpływało na jej przygnębienie. W starszym wieku popadła w głęboką depresję, wymagającą leczenia. Posiadała swoje własne, niewielkie mieszkanko na



Maria w wieku 40 lat, z Sandrą, córką brata Pawła

piętrze, ale w trakcie nasilania się chorób – nie tylko zresztą na tle nerwowym – opiekę nad nią sprawował brat Paweł, z którym przejściowo wspólnie wiele razy zamieszkiwała



Maria ze swoim najmłodszym bratem, Andrzejem (juniozem, młodszym). Pierwsze i siedemnaste dziecko Andrzeja (seniora). Zdjęcie z 1995 r.

Nigdy nie wyszła za mąż, ani nie miała dzieci. W starszym wieku, kiedy bracia przedwcześnie poumierali, zaopiekowała się nią najmłodsza siostra, Anna, u której wkrótce zamieszkała. W mieszkaniu siostry, pomimo, że miała zapewnione wszystkie wygody materialne, nie czuła się zbyt swobodnie i często prosiła o umieszczenie jej w domu starców. Po wielu latach wspólnego zamieszkiwania w domu siostry życzenie jej zostało spełnione. Dom starców znajdował się w tym samym miasteczku, w oddaleniu zaledwie 15 minut spaceru. Często odwiedzała ją tu młodsza siostra, Anna, sama będąc już w nienajlepszym zdrowiu.

Zmarła w szpitalu w wieku 91 lat.

Jan

Jego losy w okresie do zakończenia drugiej wojny światowej podobne były do starszej siostry, Marii. Ze względu na stan zdrowia uwolniony został od obowiązku odbywania służby wojskowej i udziału w II wojnie światowej.

Po wojnie zamieszkał w stanie New Jersey w mieście Perth Amboy, położonym na samym wybrzeżu atlantyckim. Ożenił się z amerykańką pochodzenia niemieckiego, z którą miał troje dzieci – dwóch synów i córkę.

Jan wiódł, jak na warunki amerykańskie, żywot dosyć skromny. Zazwyczaj nie wykazywał się większą inicjatywą. Przez cały czas pozostał robotnikiem budowlanym. Mówiono, że w starszych latach nie stronił zbyt od pokrzepiania się silniejszymi trunkami. Coraz rzadziej utrzymywał również stosunki z pozostałym rodzeństwem.



Jan (pierwszy od prawej) z bratem Andrzejem (po środku). Zdjęcie z roku 1940.

piętrze, ale w trakcie nasilania się chorób – nie tylko zresztą na tle nerwowym – opiekę nad nią sprawował brat Paweł, z którym przejściowo wspólnie wiele razy zamieszkiwała

Starszy z jego synów, Michael, pełnił służbę wojskową w „U.S. Marines” i przez ponad rok (1970/71) był na wojnie wietnamskiej. Po powrocie z armii Michael pracował w handlu, a następnie awansował na managera hipermarketu. Mieszkał razem z matką i siostrą w swoim domu w Bushkill we wschodniej części Pensylwanii, a następnie przeniósł się do stanu Północna Karolina.

Jan zmarł około roku 1975.

Paweł

Po powrocie z Polski zatrzymał się na krótko u swojego stryja Filipa w Riegsville w Pensylwanii, a następnie przez jakiś czas mieszkał w pobliżu kuzynów ze strony matki w Greenville, również w Pensylwanii. Po powrocie z Polski młodszego brata, Andrzeja, zamieszkali razem na dolnym Manhattanie w Nowym Jorku, gdzie obaj wspólnie, a potem razem z najstarszą siostrą, Marią, wynajmowali mieszkanie. Pracował jako robotnik w różnych zawodach, przeważnie na budowach jako spawacz metali.

W 1943 roku został powołany do armii amerykańskiej, a w czerwcu 1944 roku brał udział w desancie wojsk amerykańskich i brytyjskich na wybrzeże francuskie w Normandii, który to desant stanowił jedną z największych batalii II wojny światowej. Następnie był uczestnikiem walk o wyzwolenie Europy Zachodniej spod okupacji niemieckiej. Przemaszerował przez Francję, Niemcy i Austrię. Swój wojenny szlak zakończył w okolicach Czeskich Budziejowic.

Znajomość języka ukraińskiego pozwalała mu na rozumienie również języka rosyjskiego, co z kolei przyczyniło się do wyznaczenia mu funkcji przybocznego

tłumacza swojego dowódcy, podczas gdy wojska amerykańskie spotkały się z Armią Czerwoną. Za dobre wywiązywanie się z obowiązków dowództwo amerykańskie zezwoliło mu na odwiedzenie ojca mieszkającego w Polsce, zaledwie o kilkaset kilometrów od miejsca spotkania się wojsk zwycięskich armii. Dla ułatwienia podróży Amerykanie wypożyczyli mu samochód wojskowy. Jednak do wizyty tej nie doszło, gdyż Rosjanie – z uwagi na rozpoczynającą się wojnę domową w Polsce, a może bardziej ze względów politycznych – nie udzielili mu zezwolenia na przejazd przez swoją strefę okupacyjną.

Wcześniej, przed rozpoczęciem ofensywy w Normandii, podczas kilkumiesięcznego stacjonowania w Anglii, zapoznał młodą dziewczynę o imieniu Patrycja. Po zakończeniu działań wojennych zaciągnął się do służby w amerykańskiej marynarce handlowej, co umożliwiło mu odwiedzanie Pet, zamieszkałej w Londynie. Podczas jednych z takich odwiedzin spóźnił się ze swoim powrotem do portu i jego statek odpłynął bez niego. Nie mając pieniędzy na powrót do Ameryki, zaciągnął się do bezpłatnej pracy na innym statku bandery amerykańskiej. Odrabiał tylko koszty swojego powrotu do USA. W 1946 roku sprowadził swoją wybrankę do Ameryki, a następnie ożenił się z nią.

Jako kombatantowi przydzielono mu do nabycia na korzystnych warunkach dom jednorodzinny w miasteczku Haskell, w stanie New Jersey – niedaleko Nowego Jorku. Niebawem urodziła im się córeczka, którą nazwali Sandra. Dziewczynka nie chowała się zbyt szczęśliwie i w wieku 4 lat zachorowała na zapalenie opon mózgowych, co odbiło się upośledzeniem jej psychiki i chociaż fizycznie wyrosła na zgrabną pannę, to intelektualnie pozostała na poziomie 4-letniego dziecka, co dla rodziców stanowiło wielką tragedię. Przeżycia te odbiły się również niekorzystnie na zdrowiu Pawła.



Paweł ze swoim najmłodszym (przyrodnym) bratem Andrzejem. Zdjęcie wykonane w Kanadzie, nad wodospadem Niagara Falls, w 1971 r.

Pracował na budowach jako ceniony spawacz. Brał udział w budowie najwyższych budynków Nowego Jorku. Materiałnie powodziło mu się nieźle. W 1971 roku zaprosił z Polski do USA najmłodszego swojego brata, zrodzonego z drugiego małżeństwa ojca – Andrzeja. Bracia, chociaż dotychczas znali się tylko z korespondencji, podczas wspólnego obcowania, razem odbytej podróży po sześciu stanach USA i wizycie w Kanadzie, mocno się polubili, tym bardziej, że mieli chyba podobne usposobienia i zainteresowania. W wyniku powstałej zażyłości Paweł postanowił odwiedzić rodzinę w Polsce. Podróż zaplanowana została na wiosnę 1972 roku, lecz nie doszła do skutku, ponieważ zmarł nagle (wieczorem w ogrodzie, nie zauważony przez nikogo) w miesiąc przed wyjazdem, mając w domu już wszystkie

dokumenty na przejazd. Żona jego, po śmierci męża, sprzedała dom i wraz z córką wyjechała do Północnej Karoliny, dokąd wcześniej wyprowadziła się jej przyjaciółka.



Płyta nagrobna Pawła na cmentarzu katolickim w Franklin Lakes w stanie New Jersey

Andrzej

Po powrocie z Polski dołączył do swojego brata, Pawła, mieszkającego u stryja Filipa w Riegsville w Pensylwanii. Następnie obaj z Pawłem wynajęli mieszkanie na dolnym Manhattanie w Nowym Jorku. Był człowiekiem, jak na ówczesne warunki, już znacznie wykształconym, co pozwoliło mu podjąć pracę w księgarni. W roku 1943 został powołany do armii amerykańskiej. Jako *marines*¹ był uczestnikiem walk amerykańsko-japońskich na Pacyfiku. Tu, oprócz przeżywania gehenny związanej ze zmaganiem się z fanatycznymi Japończykami, uznającymi tylko śmierć albo życie (nie uwzględniali możliwości zabierania pokonanych żołnierzy do niewoli) i trudami walk tropikalnych, nabawił się na całe życie ciężkiej choroby – malarii. Pomimo długotrwałego leczenia jej skutki odczuwał zawsze i do końca życia pozostał w wątpliej kondycji fizycznej.

Po zdemobilizowaniu osiedlił się na stałe na dolnym Manhattanie w Nowym Jorku. Następnie związał się z tancerką baletową pochodzenia ukraińskiego o imieniu Oksana. Związek ten jednak nie trwał zbyt długo. Oksana opuściła go, nie zrywając jednak bliskich więzi. W późniejszych latach był dumny z jej sukcesów i chwalił się, że jego wybranka występowała przed prezydentem USA – Rooseveltem. Gdy Oksana zmarła przedwcześnie, Andrzej bardzo przeżywał to psychicznie i odtąd wiódł życie samotnika, chociaż mieszkał w centrum ogromnej metropolii. W zasadzie już potem nie pracował zawodowo, a utrzymywał się z własnych dochodów, prowadząc – wspólnie ze znajomym Żydem – nieoficjalny handel starymi książkami. Amatorsko zajmował się pracami jubilerskimi, co przysparzało mu, oprócz satysfakcji, również pewnych dochodów finansowych. Inną jego domeną zainteresowania stanowiła astrologia, do której podchodził z wielkim pietyzmem, ale zajmował się nią tylko na własny użytek. Wierzył w Boga, ale z dystansem odnosił się do wszelkich dogmatów i atrybutów wszystkich konkretnych religii.

W 1971 roku, podczas swojej bytności w Ameryce, odwiedził go najmłodszy brat przyrodni, mieszkający w Polsce, Andrzej. W czasie krótkiego ich spotkania, kiedy to odbyli ciekawą rozmowę na wiele tematów, Andrzej (Amerykanin) po-

¹ Marynarz (ang.)

dzielił się swoim podejrzeniem, że ojciec pewnie nazwał swego najmłodszego syna tym samym imieniem, ponieważ w ten sposób chciał wymazać jego ze swojej pamięci z powodu porzucenia onegdaj przez niego nauki w lwowskiej szkole duchownych. Nie bardzo przyjmował do wiadomości, że nadanie imienia najmłodszemu synowi odbyło się raczej przez pomyłkę, i to nie wiadomo do końca czyją.

Następnie Andrzej dwukrotnie odwiedził swoją rodzinę w Polsce oraz mieszkającą na Ukrainie Marię, sympatię z czasu pobytu w Płonnej i wspólną ich córkę, Annę. Anna wizytę swojego ojca mocno odcierpiała, ponieważ władze radzieckie odegrały się za powiązania rodzinne na jej synu, Wiktorze (wnuku Andrzeja) i gdy odbywał on (tzn. Wiktor) służbę wojskową w Armii Czerwonej, absurdalnie posądzono go o szpiegostwo na rzecz Ameryki i skazano na wielkie prześladowania, łącznie z ciężkim więzieniem na dalekiej Syberii.



Płyta nagrobna Andrzeja na cmentarzu katolickim w Franklin Lakes w Stanie New Jersey

Andrzej zmarł w 1977 roku w sposób tragiczny, pobity śmiertelnie na ulicy Nowego Jorku. Istnieją podejrzenia, że do tego przyczynili się jego wspólnicy z biznesu, ale nie z powodów jakichś rozrachunków finansowych, a raczej w odwecie za jego odmienne poglądy na sprawę semityzmu.



Andrzej (młodszy) stoi pomiędzy grobami swoich braci, Pawła i Andrzeja, na cmentarzu w Franklin Lakes w stanie New Jersey. 1995 r.

Anna

Miała chyba najgorszą sytuację ze wszystkich dzieci Andrzeja, które były w Polsce, a następnie powróciły do Ameryki. Gdy w 1927 roku przyjechała do Polski, była jeszcze małą dziewczynką i szybko zapomniała język angielski. Po po-

wrocie musiała więc uczyć się go od nowa. Początkowo zamieszkała razem ze swoimi braćmi w Nowym Jorku. Nie mając żadnego zawodu pracowała jako



Anna ze swoim mężem i starszymi dziećmi. Zdjęcie z roku 1952.

pomoc domowa u bogatszych ludzi, przeważnie pochodzenia żydowskiego. W roku 1947 wyszła za mąż za Semeną Hnatiw, człowieka o pochodzeniu ukraińskim, który niedawno

powrócił z działań wojennych w Europie. Przez jakiś czas nadal mieszkała w centrum nowojorskiego Manhattanu. Pisała do ojca, że żyje w ogromnym budynku, a do jej mieszkania nigdy nie zagląda słońce. Semen, jako kombatan, również otrzymał na korzystnych warunkach przydział domu w miasteczku Haskell w stanie New Jersey, w odległości zaledwie stu metrów od domu Pawła (dom Anny był identyczny jak dom Pawła).

Niedługo po ślubie Anna powiła dwóch synów o imionach Michael i Steven (Michał i Stefan), a następnie, po upływie ponad dziesięciu lat urodziła bliźniaki – Andrzeja (właściwie Toma) i Katarzynę. Życie Anny nie było łatwe. Semen, jej mąż, pracował jako taksówkarz w Nowym Jorku i bardzo rzadko przebywał w domu. Anna miała nawet podejrzenia, że podczas nieobecności w domu mąż nie koniecznie nocował u swojej matki, lecz mógł przebywać w żeńskim towarzystwie. Semen był człowiekiem o bardzo ubogim duchu i nie stać go było na żadne przejawy czułości, a nawet troski o żonę i dzieci. Wobec tego życie Anny nie było łatwe. Ciężko pracowała, dorabiając na potrzeby domowe sprzątaniami u obcych, bogatych ludzi. Sama była osobą mocno wrażliwą, co tym bardziej powodowało u niej głębokie przeżywanie wszelkich kłopotów i porażek życiowych. Stany takie nawet kilkakrotnie niekorzystnie odbijały się na jej zdrowiu psychicznym.

Anna bardzo mocno przeżywała przedwczesną utratę swoich braci, szczególnie Pawła i Andrzeja. Po ich śmierci poczuła się osobą wielce osamotnioną, pomimo posiadania dosyć licznej rodziny. Następnie, około roku 1986, zaopiekowała się swoją najstarszą siostrą, Marią, która mieszkała u niej niemal do końca swojego życia. Stosunki z mężem z biegiem lat stawały się coraz to gorsze; w zasadzie łączyło ich tylko wspólne mieszkanie i kuchnia. Kolejnym szokiem dla Anny było powzięcie wiadomości, że jej mąż wcale nie jest pochodzenia ukraińskiego, a rzekomo pochodzi z rodziny Żydów ukraińskich, która wyemigrowała z terenu Ukrainy do USA. Znajomością języka ukraińskiego matka Semen (w brzmieniu ukraińskim Semko) posłużyła się, swatając syna z młodą dziewczyną, która była wtedy osobą osamotnioną i znajdowała się w trudnym położeniu materialnym.

Mąż Anny zmarł w roku 2001. Pozostała w domu z najstarszym synem, Michałem, który dotąd nie założył własnej rodziny, a jego sposób bycia pozostawia



wiele do życzenia. Córka Katarzyna i syn Stefan żyją w pobliżu niej, a najmłodszy syn, Andrzej (Tom) mieszka w Kalifornii i zawodowo zajmuje się fotografią sportową.

*Anna z bratem Andrzejem (młodszym).
Zdjęcie z roku 1995.*

Annę trzykrotnie odwiedził najmłodszy z braci – przyrodni brat Andrzej (w 1971, 1996 i 2011 roku)

Dalsze dzieje dzieci Andrzeja i Anastazji

Helena

W roku 1957 wraz z mężem Grzegorzem Warcholak i dwoma synkami opuścili zajmowany dotychczas wspólnie z matką i młodszym rodzeństwem, dom i osiedlili się w samodzielnym gospodarstwie, położonym również w Miszewie. Pomimo, że czasy dla rolników indywidualnych były trudne, to ciężką pracą i uporem systematycznie powiększali posiadany areal i odbudowali zniszczone budynki gospodarcze. Z biegiem czasu zaczynało powodzić się im znacznie lepiej.

Do dwójki wcześniej posiadanych synów, Andrzeja (właściwie Jana) i Stefana, z biegiem czasu doszła jeszcze córka Aleksandra i syn Piotr. Z biegiem lat wszystkie dzieci usamodzielniały się i zamieszkały w Słupsku. Troje młodszych dorobiło się własnych domów. Andrzej pracuje w wytwórni materiałów budowlanych, Stefan prowadzi własny zakład masarski, Aleksandra jest księgową w przedsiębiorstwie rolnym, a Piotr zawodowym strażakiem.

W późniejszym czasie, ze względu na wiek, Helena z Grzegorzem przekazali ziemię synowi Piotrowi z myślą, że będzie on następcą w prowadzeniu gospodarstwa. Jednak obecnie gospodarstwo nie jest uprawiane, a oboje żyją z otrzymywanych rent rolniczych i kombatanckiej emerytury Grzegorza. Grzegorz, jako weteran wojenny, w uznaniu za wniesiony wkład w zwycięstwo awansowany został do stopnia podporucznika rezerwy.

Oboje doczekali się sześciorgo wnuków: po dwóch chłopców u Andrzeja i Stefana oraz po jednej dziewczynce u Aleksandry i Piotra.

Maria

Po wyjściu za mąż przybrała nazwisko Cieleśz i zamieszkała w Słupsku. Na początku wraz z mężem żyli razem ze swoimi teściami, a potem w mieszkaniu przydzielonym przez zakład energetyczny, w którym pracował Edmund. W późniejszych latach jeszcze dwukrotnie zmieniali mieszkanie.

Wkrótce rodzina powiększyła się do pięciu osób. Najstarsza córka, Mirosława, urodziła się w 1957 roku, a potem na świat przyszli jeszcze dwaj synowie – Bogusław i Jarosław.

W pierwszych latach od zamieszkania w Słupsku Maria nie pracowała zawodowo, a zajmowała się gospodarstwem domowym i wychowywaniem dzieci. Później zatrudniła się w fabryce rękawiczek skórzanych, ale pracę z powierzanych materiałów wykonywała w domu.

Życie jej nie zawsze było łatwe. Oprócz kłopotów dotyczących spraw rodzinnych, przeżywała kilkakrotnie problemy zdrowotne – zarówno swoje, jak również wszystkich swoich dzieci i męża. Jednak wytrwałość i głęboka wiara pozwalały na przetrwanie największych problemów. Chętnie też, w ramach swoich możliwości, pomagała innym osobom – zarówno z rodziny, jak również znajomym i sąsiadom.

Wszystkie dzieci stosunkowo szybko pozawierały swoje własne związki małżeńskie, przez co również nieustannie przybywało wnuków. Razem Maria z Edmundem doczekali się dziesięciorgo wnuków: w rodzinie Mirosławy czworo, w rodzinie Jarosława czworo i u Bogusława dwóch.

Edmund, mąż Marii zmarł w lipcu 2010 roku.

Zofia

Po zawarciu związku małżeńskiego z Włodzimierzem Nyż zamieszkała w odległym o ponad 400 kilometrów Wrocławiu. Podobnie jak starsza siostra, na początku mieszkała razem z rodziną swojego męża. Później, za niemałym staraniem, otrzymali z mężem bardzo ciasne mieszkanko, bez żadnych wygód, w którym na świat przyszło dwoje dzieci: starsza córka – Anna i młodszy syn – Jarosław. Następnie, po dosyć długim oczekiwaniu zamieszkali w wygodniejszym już mieszkaniu.

Mąż, Włodzimierz, pracował przez cały czas w fabryce mechanicznej jako ceniony fachowiec od obróbki metali. Po odchowaniu dzieci do pracy poszła również Zofia, jednocześnie podejmując naukę w zakresie liceum. W latach następnych pracowała z mężem w tych samym zakładach pracy jako specjalistka od gospodarki narzędziowej.

Oboje dzieci po ukończeniu szkoły średniej podjęły naukę w akademii medycznej. Tak się złożyło, że dyplom lekarski pierwszy zdobył młodszy syn, Jarosław, który następnie podjął pracę w szpitalu w Słupsku, zdobywając kwalifikacje neurochirurga. Ania lekarzem została dwa lata później i pracuje w swoim zawodzie we Wrocławiu. Obydwoje dzieci zawarły wkrótce związki małżeńskie, w których na świat przyszło troje wnuków Zofii (dwoje u Anny i jeden u Jarosława).

Mąż Zofii, Włodzimierz, w miarę przechodzenia w starszy wiek, zaczął odczuwać wiele schorzeń, związanych ze swoimi przeżyciami z młodych lat. W efekcie, po wielu latach cierpień, które jednocześnie stanowiły wielką udrękę nie tylko

dla niego, ale również uciążliwe były dla zajętej pracą zawodową żony, zmarł w wieku 68 lat. Zofia została wdową mając 57 lat. Po utracie męża poczuła się osobą bardzo osamotnioną, tym bardziej, że jej relacje z rodzinami własnych dzieci nie zawsze układają się należycie. Od kilku lat korzysta z emerytury, zastanawiając się ciągle nad tym, co powinna zmienić, aby poprawić swoje położenie i nie odczuwać tak mocno swojego osamotnienia.

Od roku 2011 zamieszkała w Słupsku

Andrzej

Jest dwunastym dzieckiem matki i siedemnastym dzieckiem swojego ojca (!).

Po ukończeniu szkoły średniej został księgowym, a po odbyciu wstępnego stażu pracy w przedsiębiorstwie rolnym w sąsiednim Suchorzu, w wieku niespełna dziewiętnastu lat, został głównym księgowym w Rzeczyca Wielkiej. Następnie pracował w Urzędzie Powiatowym w Słupsku. Ponieważ ze względów materialnych nie mógł studiować w obranej wcześniej wyższej szkole rolniczej, to po rocznej pracy rozpoczął naukę w pożarniczej szkole oficerskiej. Po oficerskiej promocji w roku 1965 podjął służbę w Wojewódzkiej Komendzie Straży Pożarnych w Koszalinie, gdzie przepracował cały okres – aż do przejścia w roku 1994 na emeryturę. Pod koniec służby przez cztery lata sprawował funkcję Komendanta Wojewódzkiego Państwowej Straży Pożarnej. W wieku 40 lat uzyskał stopień pułkownika. Oprócz pracy zawodowej pełnił ważne funkcje w wielu organizacjach.

Przez siedemnaście lat (1970 -1987) razem z Andrzejem i jego rodziną zamieszkiwała matka – Anastazja.

Ożenił się w roku 1966 z Heleną z domu Łyszyk. Dochowali się dwoje dzieci – Adama i Katarzyny. Mają dwie wnuczki – Monikę (córka Adama) i Julia (córka Kasi).

Andrzej odbył wiele podróży zagranicznych po Europie, w tym rejs statkiem po Woldze oraz cztery wyjazdy do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Wraz z małżonką kilkakrotnie zmieniali mieszkanie w Koszalinie, a w roku 2002 zamieszkali we własnym domu jednorodzinnym. Pełni funkcję biegłego sądowego i rzeczoznawcy w zakresie zabezpieczeń przeciwpożarowych.

Podejmował się różnych, mniej lub bardziej udanych, zajęć hobbystycznych, w tym również budowy jachtu.

Wreszcie powyższe dzieje spisać nieudolnie się starał.

* * *

Spis treści

Zamiast wstępu	3
ROZDZIAŁ PIERWSZY. Tu się zaczęło	5
ROZDZIAŁ DRUGI. Andrzej	14
ROZDZIAŁ TRZECI. Anastazja	127
ROZDZIAŁ CZWARTY. Wspólne lata	193
ROZDZIAŁ PIĄTY. Znów sama	355
Suplement	440

